

GRZEGORZ CAŁEK

RADOŚĆ I SATYSFAKCJA 2.0



Zuwaj

**RADOŚĆ
I SATYSFAKCJA
2.0**

GRZEGORZ CAŁEK

**RADOŚĆ
I SATYSFAKCJA
2.0**

RADOŚĆ I SATYSFAKCJA 2.0

Korekta:

Adam Czetwertyński, Halina Jankowska

Zdjęcie na okładce:

Piotr Rodzoch

Wydawca:

Warszawska Fundacja Skautowa

ISBN 978-83-932395-3-5

Warszawa 2017



Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons
Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe.

Wstęp

(do wersji pierwszej)

Kiedy piszę te słowa, zostało zaledwie kilka ostatnich tygodni pełnienia przeze mnie funkcji komendanta Hufca ZHP Warszawa-Żoliborz. Jednego z największych hufców w ZHP. I z pewnością jednego z lepszych (fałszywa skromność jest mi zdecydowanie obca!).

Jestem hufcowym blisko 10 lat, więc przez ten długi czas przewinęło się przez hufiec kilkaset osób kadry i ponad setka instruktorów, którzy wspomagali mnie bezpośrednio, pracując we władzach i w rozmaitych zespołach – namiestnicztwach, KSI, zespole kształcenia itd.

Zastanawiałem się od jakiegoś czasu, w jaki sposób im podziękować. W jakiej namacalnej, a przede wszystkim trwałej formie zachować te podziękowania i pozostawić im coś, co będzie pamiątką naszej współpracy. Jak?

Tak właśnie wpadłem na pomysł, aby zebrać w jednej publikacji artykuły, które na przestrzeni ostatnich 15-20 lat napisałem do prasy harcerskiej: „Propozycji”, „Na tropie”, „W kręgu” (miesięcznika Chorągwi Stołecznej wydawanego pod koniec lat 90.), „W instruktorskim kręgu” (gazety Ruchu Całym Życiem) oraz oczywiście do „Czuwaj”.

Nie ma tu wszystkich moich tekstów (byłoby ich ok. 300). Część wypadła, bo były słabe (każdy ma gorszy dzień...), znaczna część (głównie z „Propozycji”) tu nie pasowała, bo były to materiały czysto repertuarowe. Wybrałem więc mniej więcej jedną trzecią napisanych przeze mnie artykułów. Bardzo różnych: merytorycznych, obszernych, ale także krótkich felietonów, tekstów uniwersalnych (w kilku miejscach można się zdziwić, że minęło kilkanaście lat, a problemy dokładnie te same!), ale też bardzo osadzonych w czasie, w którym były pisane, które ciekawie pokazują, jaki był wówczas, gdy powstawały, kontekst – co się działo w ZHP, o czym się mówiło. Jest więc co poczytać...

Wracając do podziękowań dla instruktorów mojego hufca: znajdują się one na samym końcu. To takie moje podsumowanie i podziękowanie dla tych, którzy przez 10 lat pomogli mi wyprowadzić hufiec na prostą.

Czytelnikowi należy się jeszcze odpowiedź na jedno pytanie: dlaczego „Radość i satysfakcja”? To tytuł zaczerpnięty z felietonu z września 2013 roku. Napisałem w nim m.in. tak:

Chyba od zawsze, a przynajmniej od czasu, kiedy jestem komendantem hufca (czyli długo), powtarzam jak mantrę, że harcerstwo powinno dawać radość i satysfakcję. Szczególnie zaś odpowiadają za to władze na każdym szczeblu harcerskiej struktury – to one powinny tak rządzić, aby ich „podwładnym” stwarzać warunki do takiego funkcjonowania w ZHP, aby służba instruktorska była źródłem radości i ogromnej satysfakcji z robienia czegoś potrzebnego, ważnego, dobrego...

Te słowa najlepiej oddają moją filozofię bycia instruktorem, a w szczególności bycia komendantem hufca. Dlatego stały się tytułem.

Życzę miłej lektury! Czuwaj!

hm. Grzegorz Calek

Aktualizacja 2017

Książka z dopiskiem „2.0” to wersja rozszerzona publikacji z 2014 r. – znalazły się w niej dodatkowe teksty, przede wszystkim nowe, a więc opublikowane w latach 2014–2017.

GC

Jak pracują komisje stopni

Funkcjonowanie komisji stopni instruktorskich w hufcu wygląda przeważnie tak: gdzieś na ścianie wisi kartka, że spotkanie odbędzie się w dniu X o godzinie Y, zaś do dnia Z należy złożyć w odpowiednim miejscu stosowne dokumenty (kartę próby, wniosek itp.).

W dniu X o godzinie Y (lub innej wyznaczonej przez komisję) zjawia się delikwent, który chce otworzyć lub zamknąć próbę na stopień, wraz ze swoim opiekunem (lub kandydatem na opiekuna). Komisja wertuje przedłożoną kartę próby, zgłasza swoje uwagi i – jak dobrze pójdzie – podejmuje pozytywną decyzję. Przy okazji opiekun mówi parę ciepłych (z reguły) słów o swoim podopiecznym. I jest super!

Chcę jednak zaproponować nieco inny system. Ma on, uprzedzam na wstępie, jedną wadę: wymaga ze strony członków komisji poświęcenia większej ilości czasu. No, ale nigdzie nie jest powiedziane, że członkostwo w niej to dorywcza fucha, a nie pracochłonna, odpowiedzialna służba!

Proponowane rozwiązanie omówię na przykładzie otwierania próby.

1. Harcerz zamierzający otworzyć próbę na stopień wybiera sobie instruktora na opiekuna. Wspólną pracą nad ułożeniem programu próby winny poprzedzić rozmowy o silnych i słabych stronach przyszłego podopiecznego, o jego zainteresowaniach, zamierzeniach na przyszłość, o planach dalszego rozwoju, które znajdą odzwierciedlenie w zadaniach próby. Pomocne w tym mogą być ogólnozwiązkowe zasady zdobywania stopni instruktorskich oraz – dobrze, żeby istniały – takie zasady, wskazówki czy wytyczne hufcowe.

Ten intensywny kontakt przed otwarciem próby jest szczególnie istotny dla całego jej przebiegu. Wiem bowiem z autopsji, że niewłaściwie wybrany opiekun może nie mobilizować i wspierać, lecz odwrotnie – opóźniać zdobywanie stopnia.

2. Ułożony program próby wędruje do komisji, która na spotkaniu roboczym (bez udziału zainteresowanego) analizuje próbę razem z przyszłym opiekunem.

Ten etap umożliwia komisji poznanie kwalifikacji opiekuna (i ich ewentualne podniesienie), wysłuchanie jego opinii o podopiecznym oraz bieżącą korektę zaplanowanych zadań. Zwróćmy uwagę na fakt, że jeśli – jak to zwykle bywa – pierwsza ocena programu próby odbywa się w obecności zainteresowanego, to za „głupoty” w nim zawarte obrywa właśnie on, choć winien jest opiekun, którego obowiązkiem jest zapewnienie jego właściwego poziomu.

W mojej propozycji ewentualne uwagi przekazywane są właśnie opiekunowi, który – dzięki wcześniejszym rozmowom – powinien być doskonałym rzecznikiem spraw kandydata.

3. Znając uwagi komisji, opiekun ze swoim podopiecznym dokonują ewentualnych zmian w programie próby. Teraz można już przekazać wszystkie dokumenty do komisji i czekać na wyznaczenie przez nią terminu posiedzenia.

4. Następnym etapem jest otwarcie próby, które – w pewnym sensie – jest formalnością, bowiem program próby jest już tak naprawdę zatwierdzony. Ktoś może stwierdzić, że tak nie powinno być. Ale spójrzmy na korzyści. Jest teraz czas na ogólniejszą refleksję, rozmowę o rozwoju kandydata, jego zamierzeniach związanych ze środowiskiem działania. To także pora na wypowiedzenie przez komisję istotnych wskazówek, będących często sugestią opiekuna. Ponadto bezproblemowa akceptacja programu próby może z pewnością zwiększyć zaufanie harcerza czy instruktora do swego opiekuna – jako „instruktora-fachowca”.

Podobnie może przebiegać zamykanie próby. Tu także kontakt z opiekunem zapewnia, że zamknięcie odbywać się będzie, gdy zarówno on, jak i komisja będą przekonani o właściwym poziomie kandydata.

W takim systemie otwarcie, a zwłaszcza zamknięcie próby mogą mieć obrzędową oprawę. Dzięki temu moment ten pozostanie na długo w pamięci instruktora.

Podsumowując, oto, jakie można wskazać plusem proponowanego przeze mnie rozwiązania:

- sprzyja kontaktowi opiekuna i podopiecznego, dając szansę lepszemu rozwojowi instruktorskiego w oparciu o relacje mistrz–uczeń;
- gwarantuje – zgodnie z metodą harcerską – jednoczesny rozwój opiekuna w wyniku istniejącej więzi pomiędzy nim a podopiecznym;

- umożliwia komisji lepsze współdziałanie z opiekunem i podnoszenie jego umiejętności;
- sprzyja budowaniu dopracowanych prób, bardzo dobrze odpowiadających na potrzeby harcerza, instruktora;
- wymusza bardziej świadome podejmowanie się przez instruktorów roli opiekuna próby na stopień instruktorski.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Założyłem, iż komisja zawsze akceptuje na opiekuna próby instruktora wskazanego przez kandydata. Uważam, że powinno to być regułą, choć, jak wynika z dokumentów związkowych, komisja nie musi tego robić.

Ale trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: dlaczego nie miałyby zostać opiekunem próby dowolny czynny instruktor, którego zdobywający stopień obdarza zaufaniem? Odpowiedź nasuwa się jedna: ponieważ komisja nie jest w pełni przekonana o jego kompetencjach. To jednak świadczy, że coś jest nie tak: albo komisja w ogóle nie pracuje z potencjalnymi opiekunami prób, albo dany instruktor nie zasłużył na posiadany stopień podharcmistra czy harcmistra.

Ale to już temat na oddzielny artykuł. Artykuł o tym, jak doskonalić umiejętności opiekunów prób i jak uczyć bycia opiekunem w trakcie zdobywania stopni podharcmistra i harcmistra...

We właściwym czasie

Jeśli spojrzymy na najbardziej doświadczonych instruktorów naszego Związku – harcmistrzów, to zobaczymy, że dzielą się oni zasadniczo na dwie grupy: tych, którzy zdobyli ten stopień za wcześniej oraz tych, którym się to udało (zdecydowanie) za późno. Jakoś nie spotkałem jeszcze kogoś, kto w opinii innych i swojej doszedł do czerwonej podkładki we właściwym czasie. I trudno wyczuć, która z sytuacji jest gorsza.

Każdy z pewnością zna takich instruktorów, którzy „od zawsze” nosili zieloną podkładkę. No a taki maruder, którego próba trwa już kilka ładnych lat, raczej nie będzie najlepszym wzorem dla innych instruktorów, rozpoczynających dopiero pięcie się wzwyz. Co więcej, często jest tak, że olbrzymie doświadczenie, wiedza, umiejętności powodują, iż próba harcmistrzowska nie jest już żadnym wyzwaniem. A zdobywanie stopnia tylko dlatego, że głupio jest mieć zieloną podkładkę, będąc średnią lub wyższą kadrą kierowniczą Związku, jest rzeczywiście bezsensowne.

Nie najlepiej jest też z „wcześniakami”. Ponieważ sam, niestety, zaliczam się do tej grupy (zostałem harcmistrzem mając zaledwie 21 lat), dlatego teraz, z perspektywy kilku lat mogę śmiało stwierdzić, że zbyt wczesne zdobycie najwyższego stopnia także rodzi wiele trudności. Sztuką jest bowiem znajdować w sobie coraz to nowszą motywację do działania, nie spoczywać na laurach.

Czy tak trudno jest znaleźć ten właściwy czas? A co to jest właściwy czas? Na te pytania jakże często trudno jest znaleźć odpowiedź. Nie tylko w harcerstwie. W ogóle – w życiu...

Analfabetyzm mistrzów

Co to jest naturalność metody? Proszę bardzo, oto dwie interpretacje. Pierwsza: naturalność oznacza, że wychowujemy na łonie natury. Druga: naturalność to pokazywanie harcerstwa na zewnątrz w wersji naturalnej, tzn. jeśli dziecko jest brudne – to dobrze, bo naturalnie, jeśli jest źle umundurowane – to również dobrze, bo naturalnie.

Wszyscy, którzy mają pojęcie o naszej metodzie (a mam nadzieję, że zaliczasz się do nich Ty, który czytasz te słowa), doskonale wiedzą, że te „nowatorskie” spojrzenia na metodę to kompletna bzdura!

I niby można by powiedzieć, że przecież to nic strasznego, trudno wymagać, aby każdy z kilkunastu tysięcy instruktorów ZHP znał metodę harcerską. Otóż nie! Jeśli ktoś jest instruktorem, czyli nauczycielem dla młodszych, to niewyobrażalne jest, aby nie znał sposobu, w jaki w naszej organizacji wychowujemy młodych ludzi. To mniej więcej tak, jakby ktoś chciał zostać nauczycielem pływania lub – co gorsze – ratownikiem wodnym, kiedy sam nie potrafi utrzymać się na wodzie.

Żeby było ciekawiej, przedstawione rozumienie metody nie wyszło z głów jakichś młodych instruktorów, ale harcmistrzów, pełniących zresztą odpowiedzialne funkcje w ZHP. Zastanawiam się, czy istnieje jeszcze jakaś organizacja, w której można osiągnąć najwyższy stopień wtajemniczenia, zostać mistrzem, nie znając jej podstawowych reguł?

A może wzorujemy się na szkole: przecież w liceum nikt nie pyta, czy potrafisz czytać, bo jest to podstawowa czynność, bez której nie wykonasz innych zadań, a w konsekwencji nie dostaniesz matury! Tylko, że tam system ten jakoś się sprawdza. U nas – nie bardzo. Dlaczego? Czy możemy coś na to poradzić? Tak, rozwiązania są dwa: albo w niższych klasach (czytaj: podczas prób przewodnikowskich) dopilnujemy znajomości liter (czytaj: metody), albo będziemy zmuszeni wykonywać testy na okoliczność zagrożenia analfabetyzmem aż do samej matury (czytaj: nominacji harcmistrzowskiej).

Swoją drogą trzeba mieć niezłe wejścia, szerokie plecy, mocne łokcie (niepotrzebne skreślić), aby zostać harcmistrzem będąc harcerskim analfabetą!

Jawność po harcercy

W ostatnich dniach marca miałem okazję uczestniczyć w konferencji „Nowoczesne standardy działań obywatelskich” zorganizowanej przez Stowarzyszenie na Rzecz Forum Inicjatyw Pozarządowych. Jednym z dwóch tematów dyskusji była „Karta zasad działania organizacji pozarządowych”. Wprowadzenie jej w życie zapewne potrwa jakiś czas. Dziś – na co zgodzili się wszyscy – fundamentalną i najprostszą do wprowadzenia jest zasada jawności działalności finansowej i merytorycznej.

Siedząc wśród przedstawicieli kilkudziesięciu organizacji trzeciego sektora, zacząłem się więc zastanawiać, jak to jest z tą jawnością u nas – w ZHP? Merytorycznie – chyba w porządku, nawet – jak myślę – sami chcielibyśmy, aby więcej informowano o tym, co robimy.

A co z finansami? O, tutaj mamy jednak wiele do zrobienia! No bo, Drogi Czytelniku, czy Twoi drużynowi albo rodzice Twoich harcerzy wiedzą, kto z komendy obozu bierze za pełnienie swej funkcji pieniądze? Czy wiesz, czy Twój hufcowy jest na etacie, a jeśli tak, to za ile? A jeżeli Ty jesteś hufcowym, czy Twoi drużynowi, szczerpowi wiedzą na jakich zasadach? Czy wiesz, ile zarabia Twój komendant chorągwi, czy ma dodatkowe przywileje, np. służbowy telefon komórkowy, samochód, mieszkanie? A czy wiesz, czy Przewodnicząca ZHP i Naczelnik ZHP są na etatach, a jeśli tak, to za ile i czy dostają dodatkowo coś extra?

Jeśli odpowiedź na choć jedno pytanie sprawia Ci trudność albo nie możesz łatwo uzyskać takich informacji, to znaczy, że – w rozumieniu wolontariuszy i pracowników kilkuset organizacji pozarządowych w Polsce – nie spełniamy podstawowych zasad etycznych, jakich winniśmy bezwzględnie przestrzegać.

A bez tego już wkrótce możemy stracić naprawdę wiele w kontaktach z innymi podmiotami trzeciego sektora, jak też – biorąc pod uwagę zapisy w projekcie ustawy o działalności pożytku publicznego – z administracją rządową i samorządową.

75 wyborowych tipsów

Wybory gminne tuż, tuż. Prawdopodobnie w większości hufców już wiadomo, kto i z jakiej listy będzie w nich startować. Oto wskazówki, które mają pomóc w gorącym okresie przed- i powyborczym.

1) Jeśli mieszkasz w gminie powyżej 40 000 mieszkańców i w związku z tym głosuje się u Ciebie na listy partyjne (lub obywatelskie), zanim zdecydujesz się kandydować z którejsz z nich, pomyśl, czy warto pakować się w jakieś układy polityczne, skazać się na przypięcie sobie (a często także całemu miejscowemu harcerstwu) politycznej, ideologicznej łątki.

2) Jeżeli chcesz startować z listy jakiejś partii, sprawdź, jaki wynik osiągnęła ona w Twoim okręgu wyborczym w ostatnich wyborach parlamentarnych. Przecież lepiej nie przystępować do ekipy, która skazana jest na niepowodzenie.

3) Lepiej, aby w wyborach nie startowali instruktorzy „z pierwszych szeregów”. W razie wygranej przeciwników listy, na której znalazł się hufcowy lub inna znacząca w hufcu osoba, możecie mieć przez kolejne cztery lata duże kłopoty z ułożeniem sobie współpracy z gminą – rządzoną przecież przez osoby, które wcale nie tak szybko zapomną, z kim Twój hufcowy lub Ty szliście do wyborów.

4) Należy pamiętać, że – zgodnie z § 8 ust. 3 Statutu ZHP – członkowie władz ZHP są zobowiązani, na czas pełnienia funkcji, zawiesić swoje członkostwo we władzach partii, ruchów lub organizacji politycznych, do których należą.

5) W okręgach jednomandatowych należy wystawiać tylko jednego kandydata. Nie raz już się zdarzało, że komitety „szły w ilość” wystawiając w takich okręgach kilku kandydatów, co kończyło się rozbiciem głosów i – w efekcie

– przegraną danego komitetu (mimo zdecydowanie większej liczby głosów oddanych na jego kandydatów).

6) W okręgach wielomandatowych, gdy głosujemy na listy, warto zadbać o różnorodność kandydatów ze względu na płeć, wiek i zawód. Jest to po prostu stosowanie zasady: „dla każdego coś miłego”. Tutaj, w głosowaniu proporcjonalnym, żaden głos się „nie zmarnuje”.

7) Praktyka wskazuje, że ludzie, zwłaszcza, kiedy nie znają kandydatów, a są zdecydowani jedynie na głosowanie na konkretną listę, wybierają osoby znajdujące się na najwyższych miejscach listy. Dlatego pamiętaj: im wyżej jesteś na liście – tym lepiej!

8) Jeżeli głosowanie odbywa się na listy, a nie na pojedynczych kandydatów (wybory proporcjonalne) – absolutnie nie angażuj w swoją kampanię harcerzy! Przez to harcerstwo może zacząć być kojarzone z określoną opcją polityczną.

9) Najlepiej, by nie kandydowali na radnych instruktorzy „z pierwszych szeregów”. Bo czy wciągając się w wir samorządowej pracy, znajdą czas na sumienne wypełnianie swych powinności w hufcu?

10) Nie tylko zameldowanie się na pobyt stały poza terenem określonej gminy, lecz również faktyczne zaprzestanie stałego przebywania na jej terenie może być podstawą podjęcia uchwały o wygaśnięciu mandatu radnego. Dlatego należy wystawiać w wyborach kandydatów o jasnej sytuacji w tym zakresie.

11) Wprawdzie można przez dwa–trzy miesiące wykreować nieznaną osobę na najpopularniejszego człowieka w gminie, ale o ile lepsza jest sytuacja, gdy ktoś już jest znany. Jeśli społeczność lokalna Cię zna (oczywiście z dobrej strony) – możesz śmiało wziąć udział w wyborach.

12) Trzeba bardzo dobrze znać specyfikę lokalnej społeczności. Są bowiem miasteczka czy wsie, gdzie największe znaczenie dla ludzi ma na przykład stan cywilny lub rodzinny (jak nie masz piątki dzieci – to nie jesteś wiarygodny itp.).

13) Zapoznaj się ze strukturą rady gminy, dowiedz się, jakie funkcjonują w niej komisje. Zapoznaj się ze statutem gminy i obowiązującymi przepisami gminnymi.

14) Uczestnicz w sesjach rady, w zebraniach komisji. W ten sposób poznasz procedury, zwyczaje obowiązujące w tych ciałach i – w przypadku wyboru na radnego – jako nowicjusz nie będziesz siedzieć bezradnie na pierwszych sesjach, kiedy inni wokół Ciebie będą rozgrywać pod siebie wszystko, co tylko się da.

15) Przejrzyj protokoły z sesji rady i posiedzeń komisji. Poznasz w ten sposób najważniejsze problemy, którymi zajmowali się radni w ostatniej kadencji.

16) Chodź na spotkania swoich radnych; dowiesz się, jakimi sprawami się zajmują, jak rozwiązują problemy lokalne. Obserwuj także ich zachowanie. Być może już wkrótce Ty znajdziesz się po drugiej stronie!

17) Rozpoznaj organizacje społeczne, stowarzyszenia, grupy mieszkańców, których zakres zainteresowań jest zbieżny z Twoim. Nawiąż z nimi kontakt – być może są to Twoi przyszli sojusznicy.

18) Rozpoznaj grupy interesów, których wpływ na decyzje rady w ostatniej kadencji był największy. Postaraj się określić, kto „pociąga za sznurki”.

19) Czytaj prasę lokalną – jest to podstawowe źródło wiedzy o sprawach Twojej gminy. Nawiąż kontakt z dziennikarzami, napisz jakiś artykuł na temat wybranego przez Ciebie problemu lokalnej społeczności. To może szybko zapocentrować.

20) Bierz udział we wszystkich szkoleniach organizowanych przez komitet wyborczy, z którego listy masz zamiar startować. Miej zasadę: zawsze się mogę jeszcze dowiedzieć, nauczyć czegoś nowego.

21) Sprawdź, kto jest przy władzy w Waszej gminie. Na tej podstawie buduj swoją taktykę wyborczą. Jeśli startujesz z listy ugrupować rządzących – wskazuj sukcesy i przedstaw plan ich kontynuacji, jeśli z listy opozycyjnej – zaproponuj alternatywne rozwiązania.

22) Nim cokolwiek zaczniesz robić, określ swoje mocne strony (te eksponuj) i słabe (staraj się je ukryć lub minimalizować ich wpływ).

23) Stwórz listę Twoich osiągnięć w działalności społecznej. Stwórz swój wizerunek: osoby aktywnej społecznie, odnoszącej w tej działalności liczne sukcesy – słowem: „człowieka skazanego na sukces”.

24) Określ swoje główne zainteresowania, te sprawy, którymi chcesz zająć się w radzie gminy. Określ grupy mieszkańców, których chcesz pociągnąć za sobą. Na tych decyzjach oprzyj swoją kampanię.

25) Na pytanie o każdą sferę działalności gminy miej przygotowaną odpowiedź. Możesz mieć swoją ulubioną tematykę, ale w radzie będziesz podejmować decyzje w różnych sprawach. Ich znajomości (choćby częściowej) mogą wymagać od Ciebie mieszkańcy – Twoi potencjalni wyborcy.

26) Miej zawsze przy sobie egzemplarz ustawy o samorządzie gminnym. Zapoznaj się z nią tak, by w razie potrzeby sprawnie znaleźć interesujące Cię przepisy. Znaj kilka najważniejszych paragrafów, aby móc „błysnąć kompetencją” na spotkaniu przedwyborczym.

27) Zawsze miej gotową odpowiedź na pytanie: „w czym jesteś lepszy od swoich konkurentów?”.

28) Przestrzegaj kultury dyskusji. Ludzie bardzo często dostrzegają i doceniają – oprócz wyższości intelektualnej, merytorycznej – także dominację kandydata w sferze kultury.

29) Graj fair. Koncentruj się na własnych atutach, a nie słabościach konkurentów. Nie trać czasu na szukanie „haka” na innych. Jest to prymitywny sposób prowadzenia kampanii. Czy chcesz zniżyć się do takiego poziomu?

30) Prowadź kampanię pozytywną. Gdy ludzie na Twoich spotkaniach przedwyborczych, w osobistych kontaktach z Tobą będą funkcjonować na „tak” – wówczas zdecydowanie łatwiej powiedzą „tak”, pochylając się nad kartką wyborczą i zaznaczając na niej Twoje nazwisko.

31) Tak jakoś jest, że ludzie mają skłonność przypisywania najlepszych cech charakteru, dużej wiedzy – słowem: bardzo chętnie ufają osobom ładnie wyglądającym. Dlatego zacznij dbać o siebie! Przejrzyj kostiumy, garnitury, krawaty, pomyśl o eleganckich dodatkach, może o zmianie oprawki okularów.

32) Zawsze się uśmiechaj – zwłaszcza, gdy jesteś już rozpoznawany (np. dzięki ulotkom czy plakatom). Ludzie na uśmiech reagują uśmiechem. A każdy człowiek na ulicy, w sklepie, w autobusie – to Twój potencjalny wyborca.

33) Gdy kontaktujesz się z ludźmi, nie unikaj uścisku dłoni. Ten gest ma w sobie magiczną moc zjednywania przyjaciół.

34) Korzystaj z każdej okazji spotkania z ludźmi – w sklepie, na spacerze, w parku, na podwórku, w teatrze...

35) Przypomnij sobie wszystkich swoich znajomych, przyjaciół. Poznaj ich znajomych, a następnie znajomych znajomych... Nic lepiej nie przekonuje, że ktoś jest świetny, niż rekomendacja znajomego, przyjaciela, osoby zaufanej. Im szerszy jest to krąg – tym lepiej.

36) Zawsze mów wyraźnie, poprawną polszczyzną!

37) W swoich wypowiedziach unikaj wyrazów trudnych. Nie dodasz sobie w ten sposób prestiżu, a efekt może być zupełnie odwrotny do zamierzonego.

38) Zamiast myśleć cały czas o tym, co chcesz powiedzieć, słuchaj uważnie zadawanych Ci pytań, aby móc jak najściślej na nie odpowiedzieć. Ludzi denerwują ci, którzy nie odpowiadają na postawione pytania – uznają ich często za krętaczy.

39) Formułuj krótkie odpowiedzi na pytania (zwłaszcza w audycjach, programach wyborczych, gdzie każda sekunda jest bardzo cenna). Zawsze zdążysz je rozwinąć.

40) Nie czytaj z kartki! Mów własnymi słowami. Jest to zdecydowanie lepsze, naturalniejsze w odbiorze.

41) Podkreślaj korzyści, jakie „zwykli ludzie” wyniosą z wprowadzenia w życie Twoich pomysłów albo jakich przykrych sytuacji dzięki nim da się uniknąć.

42) Ćwicz ton swojego głosu – wbrew pozorom kilkakrotnie ważniejsze jest to jak, niż co mówisz.

43) W wypowiedziach używaj form językowych aktywnych, które angażują słuchaczy, unikaj także takich słów, jak: „ktoś”, „niektórzy”.

44) Podczas spotkania z wyborcami nawiąż kontakt wzrokowy z każdym z jego uczestników, zanim zaczniesz mówić. Jeśli grupa jest zbyt duża, wybierz kilkanaście osób i kolejno nawiąż z nimi kontakt wzrokowy. W trakcie wypowiedzania się możesz podzielić w umyśle całą widownię na sektory, z którymi będziesz systematycznie „łapać” kontakt. Jednorazowo najlepiej utrzymywać łączność przez około 5 sekund.

45) Spraw, aby ludzie reagowali na Twoje wypowiedzi – trudno przecież bez ich reakcji stwierdzić, jaki jest odbiór Twojego przekazu. Poproś o zadawanie pytań, dzielenie się uwagami.

46) Podczas prezentacji, odpowiadania na pytania zachowaj spokojną, zrównoważoną postawę swego ciała. Ludzie podświadomie odczytują to jako informację o Twoim spokoju, zrelaksowaniu.

47) Unikaj zbędnych gestów, nadmiar osłabia ich oddziaływanie na innych ludzi. Naucz się korzystać z mowy ciała, pamiętaj przede wszystkim o postawie otwartej.

48) Dobierz dla siebie rodzaj mediów najkorzystniejszy ze względu na Twoje warunki. Jeśli masz miły, ciepły głos – skoncentruj się na wywiadach radiowych. Jeśli masz wadę wymowy – wręcz przeciwnie. Jeśli jesteś piękną, długonogą blondynką – postaw na telewizję. Jeśli masz widoczne wady urody (a szczególnie twarzy) – unikaj występów w programach telewizyjnych, w szczególności nie dopuszczaj do dużych zbliżeń czy powiększeń twarzy.

49) Przed rozpoczęciem nagrywania programu telewizyjnego spójrz w monitor, w którym widać aktualnie nagrywany obraz. Zobacz, jak wyglądasz, popraw pozycję swego ciała, odstawiaj fragment marynarki, dokumenty leżące przed Tobą na stole itp.

50) Występując w telewizji unikaj marynarek w drobne prążki, kratkę czy jodełkę. Powodują one interferencje (mówiąc po ludzku: obraz migocze!).

51) Przygotowując się do występu w telewizji, unikaj błyszczącego makijażu (np. szminki) oraz makijażu w niebieskich odcieniach.

52) Zaufaj charakteryzatorce, która przygotowuje Cię do występu na wizji. Jest ona fachowcem i wie, co robi. Uwaga Druhowie! Nie wycierajcie upudrowanej przez nią twarzy, bo będziecie się błyszczyć, co na nagraniu wyjdzie fatalnie!

53) Jeśli nie miałeś wcześniejszych doświadczeń z telewizją czy wystąpieniami publicznymi – ćwicz (jeśli masz taką możliwość) przed kamerą – nagrywaj się, mierz czas swoich próbnych wypowiedzi. Jeśli nie masz kamery – ćwicz przed lustrem.

54) Zawsze bądź pełen życia, ekspresyjny – musisz przekonać ludzi, że jesteś zaangażowany w problemy lokalne, że są one dla Ciebie bardzo ważne, że się nimi naprawdę zajmujesz.

55) Występując w radiu, mimo że tego nie widać, też nie czytaj z kartek – czułe mikrofony wyłapią ich szelest.

56) Uważnie wybieraj ewentualne propozycje występu w audycjach czy programach wyborczych. Lepiej iść w jakość, a nie w ilość!

57) Przygotuj hasło przewodnie Twojej kampanii – raczej o charakterze reklamowym niż programowym (np. rymowane). Wykorzystuj je konsekwentnie we wszystkich elementach Twojej kampanii.

58) Ustal stałą kolorystykę swoich materiałów wyborczych (plakaty, koszulki, baloniki itd.).

59) Wykonaj sobie profesjonalne zdjęcia, które będziesz mógł wykorzystać na ulotkach, plakatach czy jako ilustrację do artykułu w gazecie: część w garniturze, a część „na luzie”, w różnych sytuacjach życiowych.

60) Na każdej ulotce umieszczaj czytelny numer listy, z której startujesz oraz numer Twojej pozycji na tej liście.

61) Jeśli masz własne książki, artykuły albo ukazały się artykuły o Tobie – miej je zawsze przy sobie.

62) Zidentyfikuj miejsca, gdzie w ciągu dnia przebywa najwięcej mieszkańców (dworce, centra handlowe, targowiska). Tam oplaca się rozprowadzać ulotki i prowadzić inne formy agitacji.

63) Pamiętaj, że powszechne tu i ówdzie gabloty są czyjąś własnością. Zatem musisz uzyskać zgodę właściciela na umieszczenie w nich swoich materiałów wyborczych.

64) Pamiętaj, że nie wolno wieszać plakatów na znakach drogowych, na zewnątrz i wewnątrz budynków administracji publicznej i sądów.

65) Masz znajomą, która prowadzi kiosk, warzywniak itp.? Dogadaj się z nią i rozłóż we wskazanym przez nią miejscu swoje ulotki. Zapewne niejednemu klientowi wspomni przy okazji o Tobie coś dobrego.

66) Używaj ostrożnie metody wrzucania ulotek do skrzynek pocztowych. Po pierwsze: coraz więcej osób traktuje to z niechęcią jako natręctwo. Po drugie: nie pisz nigdy nazwisk adresatów, bo możesz narazić się na kłopoty związane z wejściem w życie ustawy o ochronie danych osobowych. Jeśli chcesz koniecznie wysłać ulotki do swoich wyborców – skorzystaj z usług poczty, która od jakiegoś czasu wykonuje usługi direct mailing.

67) Masz fantazję? Stosuj mniej konwencjonalne sposoby prowadzenia kampanii: uruchom bezpłatną linię telefoniczną dla swoich wyborców (0-800), załóż własną stronę w Internecie.

68) Prowadź kampanię nie tylko w miejscu zamieszkania Twoich wyborców. Może oni gdzieś indziej pracują, gdzieś indziej robią zakupy, gdzieś indziej spotykają się ze znajomymi itd.?

69) Jak wskazują statystyki, kilkanaście procent ludzi podejmuje ostateczną decyzję wyborczą w ostatnich dniach. Dlatego nie spoczywaj na laurach. Walcz o cenne głosy do końca!

70) Pamiętaj! W dniu wyborów nie można prowadzić już żadnej agitacji!

71) Daj innym dobry przykład: idź z całą rodziną zagłosować (oczywiście na siebie!).

72) Następnego dnia po głosowaniu rano idź sprawdzić wyniki wyborów, które będą wywieszone na drzwiach lokali wyborczych. Będziesz już wszystko wiedzieć – oszczędzisz sobie i tak mocno nadwyrężonych całą kampanią nerwów.

73) Jeśli nie zostałeś radnym – nie martw się! Zdobytego doświadczenia nikt Ci nie odbierze, a umiejętności, które nabyłeś, z pewnością przydadzą Ci się w życiu.

74) Jeśli przyjaciół harcerstwa w radzie gminy będzie mało – nic straconego. Teraz trzeba zadbać, aby przedstawiciele ZHP znaleźli się wśród fachowców spoza rady, którzy zasiądą w komisjach: oświaty, kultury, sportu itd.

75) i ostatni:

Zawsze słuchaj swojej rodziny i przyjaciół. Ich rady, podpowiedzi wynikają z najlepszej woli, z dobrego serca. Zawsze mogą się przydać w kampanii. Niech Twoi bliscy będą pierwszymi i najbardziej zaufanymi konsultantami nowych pomysłów.

OD AUTORA:

Tekst był pisany w 1998, więc niektóre wskazówki się zdezaktualizowały z przyczyn technicznych, ale także dlatego, że świat się zmienił. Niestety, zdecydowanie na gorsze – dziś nawet na poziomie lokalnym króluje czarny PR, bazujący na najniższych ludzkich potrzebach...

Nasz rytualizm

Nadchodzi czas obozów – czas, kiedy jak na dłoni widać jeden z najpoważniejszych problemów naszego Związku, który powoduje, iż nie idziemy do przodu, nie dostosowujemy się do zmieniającego się świata, tracimy dystans do coraz liczniejszej i bardziej profesjonalnej „konkurencji na rynku usług wychowawczych”.

A chodzi o nasz harcerski rytualizm. W czym się on przejawia? Oto przykłady.

Planujemy pracę obozu. Jakże często odbywa się to w ten sposób: stawianie obozu – 3 dni, zwiad – 1 dzień, Robinsonada (chatki lub inna nazwa) – 3 dni, olimpiada – 1 dzień, festiwal kulturalny (lub temu podobna impreza) – 1 dzień, odwiedziny rodziców – 2 dni (a wtedy – jak wiadomo – wszystko się rozłązi), rajd – 3 dni, bieg podsumowujący obóz – 1 dzień, zwijanie obozu – 2 dni. Jeszcze po drodze ze trzy niedziele (kto by wtedy coś robił?) i w ten oto sposób z 21-dniowego obozu zostaje nam do zagospodarowania tylko 1 dzień!

A w hufcu nie lepiej – rok wygląda tak: cały wrzesień na rozruch, Wigilia w grudniu, potem Dzień Myśli Braterskiej, co jakiś czas Święto Hufca na wiosnę, no a potem przygotowania do lata. I tak oto rok za rokiem...

Często słychać w instruktorskich gronach, że zagrożeniem dla harcerstwa są: brak funduszy, niechęć władz gminnych czy szkolnych itp., itd.... Nieprawda! Nie mieszajmy w to innych ludzi. Sami – przez nasz rytualizm, przez schematyzm naszego działania – doprowadzamy do sytuacji, kiedy stajemy się nieatrakcyjni, kiedy tracimy pozycję w polskim społeczeństwie.

Wygląda to na samobójstwo – tyle, że rozłożone na lata...

Cele dobrze uformowane

Początek roku to czas, kiedy planujemy różne przedsięwzięcia, stawiamy sobie nowe zadania, zarówno w sferze prywatnej, jak i zawodowej czy służbowej (harcerskiej).

Nie jest tajemnicą – o czym staramy się przekonać czytelników „W kręgu” od pierwszego numeru – że planowanie to połowa sukcesu. Kluczowe znaczenie ma w tym procesie formułowanie celów. I tym zajmę się szczegółowo poniżej.

Z pewnością niejednokrotnie zdarzyło ci się zastanawiać, jak to jest, że jednym ludziom osiągnięcie celów przychodzi łatwo, a innym (prawie) nigdy się nie udaje. Obserwacja tych, którzy zawsze osiągają zamierzone efekty oraz modelowanie ich zachowań przez specjalistów programowania neurolingwistycznego (NLP), pozwoliło stworzyć ogólne zasady, reguły formowania celów. Dzięki nim w realizacji celów wspiera nas nasza podświadomość, a prawdopodobieństwo ich osiągnięcia zwiększa się wielokrotnie.

Zatem jaki powinien być dobrze uformowany cel, czym powinien się charakteryzować?

Pozytywność

Cel powinien być przede wszystkim pozytywny (ciekawa zbieżność z metodą harcerską). Wiąże się to z tym, że zdecydowanie łatwiej jest działać skutecznie dążąc do tego, czego chcemy, niż do czegoś, czego nie chcemy. Aby to lepiej zobrazować, proponuję przeprowadzić następujący eksperyment.

Pomyśl przez chwilę o bliskiej ci osobie...

Czy już masz w głowie jej obraz? W porządku.

A teraz przestań myśleć o tej osobie. Spróbuj przez następnych kilkanaście czy kilkadziesiąt sekund w ogóle o niej nie myśleć...

Czy udało się?

Teraz pomyśl o miłym miejscu, w którym chcesz się znaleźć...

Co udało ci się zaobserwować? Prawdopodobnie dostrzeżesz, że jedynym sposobem ucieczki od pierwszego obrazu jest myślenie o czymś innym, co jest określone pozytywnie.

Wynika to z faktu, że nasz mózg nie rozumie słowa „nie”. Dlatego, gdy mówimy sobie, żeby się nie denerwować, nie martwić albo nie popełnić błędu – programujemy swój umysł zupełnie przeciwnie do zamierzeń!

Ta właściwość naszego mózgu pozwala łatwo zrozumieć, dlaczego tak trudno jest osiągnąć często stawianie przez ludzi cele: „nie jeść tyle słodkości” albo „nie palić papierosów”.

Reasumując: zawsze myśl o tym, co chcesz, a nie o tym, czego nie chcesz!

Własna odpowiedzialność

Wiele osób stawia sobie cele, których realizacja zależy od innych. Natomiast dobrze uformowany cel musi pozostawać pod naszą kontrolą. To my musimy mieć wpływ na to, czy zostanie osiągnięty. To my musimy być stroną aktywną – inicjatorami działania.

Oto przykłady. Cel: „za rok zostanę komendantem naszego szczebu” nie jest poprawny, ponieważ w znacznej mierze jest uzależniony od obecnego komendanta, który może pozostać na swej funkcji znacznie dłużej, niż ci się wydaje (niż chcesz). Lepszy byłby cel: „za rok założę szczeb i będę jego komendantem”. To już coś innego. Tutaj prawie wszystko zależy od ciebie.

Drugi przykład – dla chłopaków. Zamiast czekać, aż Agnieszka, Kasia czy Małgosia zostanie twoją dziewczyną, pomyśl, co ty możesz zrobić, aby zyskać jej względy!

Szczegółowość

Wyobraź sobie cel tak szczegółowo, jak to tylko możliwe. Zadaj sobie pytanie: „czego dokładnie chcę?” i odpowiedz na nie jak najdokładniej. Określ dokładne terminy, miejsca, etapy realizacji celu. Im lepiej to zrobisz, im twój cel będzie pełniejszy, bardziej szczegółowo określony, tym twój mózg będzie w stanie lepiej go przywołać, kiedy tylko nadarzy się okazja do jego osiągnięcia.

Jasne oznaki

Czy wiesz, po czym poznasz, że udało ci się osiągnąć cel? Wyobraź sobie, że osiągnąłeś cel. Co widzisz, co słyszysz, co czujesz? Skąd wiesz, że go osiągnąłeś?

Im lepiej wyobrażasz sobie osiągnięcie celu, tym lepiej programujesz się na jego osiągnięcie.

Odpowiednia wielkość

Może się zdarzyć, że cel jest zbyt duży. Wówczas należy go przekształcić w kilka mniejszych. Można to zrobić, zadając sobie pytanie: „co mnie powstrzymuje, co muszę zrobić”.

Oto przykład. Cel: „zorganizuję kurs kadry kształcącej” może być zbyt ogólny. Zatem: „co mnie powstrzymuje przed jego osiągnięciem?”. Nie mam stopnia podharcmistra. A więc mamy mniejszy cel: chcę zostać podharcmistrem! Ale to także może być dla kogoś ciągle zbyt duży cel. Należy więc powtarzać procedurę, aż uzyskamy cel odpowiedniej wielkości i osiągalny.

A co zrobić, gdy cel jest zbyt mały i zupełnie nas nie motywuje. Wtedy należy zapytać: „co mi da osiągnięcie tego celu?”. Zorganizowanie jakiegoś spotkania może nie być wystarczająco motywujące. Ale inaczej będzie, kiedy uświadomimy sobie, że zbliża to nas do zdobycia kolejnego stopnia instruktorskiego. Jak poprzednio, należy powtarzać procedurę, aż uzyskamy wystarczająco duży i motywujący nas cel.

Konsekwencje

Może się zdarzyć, że jeden cel będzie kolidować z innymi albo będzie wywierać negatywny wpływ na inne sfery twego życia. Dlatego, nim przystąpisz do działania, zastanów się, czy osiągnięcie celów nie zaburzy twoich kontaktów z ludźmi, na których ci zależy, jakie konsekwencje spowoduje w twoim życiu, co by było, gdybyś już osiągnął cel, czy tego chcesz? Jeśli odpowiedź brzmi: „tak, ale..” – to zmień cel!

Oto przykład. Twoim celem może być zapisanie się na jakiś kurs. Jednak czas poświęcony na naukę może powodować zaniedbywanie rodziny. W takiej sytuacji radość, satysfakcja z nowej wiedzy będzie stłumiona przez negatywne konsekwencje.

I to wszystko. Jednak to nie wystarczy, aby osiągnąć cele – teraz trzeba przystąpić do działania! Powodzenia!

Piraci w mundurach

Nie, to nie będzie tekst o wodniakach. Tym razem skrobnę kilka słów o piractwie, a właściwie – powiedzmy wprost – o kradzieży, jaka masowo ma miejsce w harcerstwie. Chodzi mi mianowicie o kradzież tego, co inni wymyślili – czyli wytworów ludzkiego umysłu.

Bo oto któregoś razu wpada mi w ręce śpiewnik. Bardzo gruby – mnóstwo piosenek. Pięknie ilustrowany kilkudziesięcioma rysunkami. Tyle tylko, że umieszczenie tych rysunków zdziwiło ich autora, który nikomu nie udzielił zgody na ich wykorzystanie (o pieniądzach w ogóle nie wspominam). Na dodatek nikt nie umieścił nawet o nim wzmianki. Nie jest to odosobniony przypadek.

Innym razem ktoś przynosi mi harcerską pocztówkę. Jest na niej kilka zdjęć – także moich. Oczywiście, nikt mnie nie pytał, czy może je wykorzystać. I znów wcale nie są istotne honoraria autorskie, ale przestrzeżenie obowiązujących zasad!

No i ostatni przykład – naprawdę powszechny. Bo o ile ktoś mógłby powiedzieć, że łamanie praw autorskich w przypadku zdjęć czy rysunków jest zjawiskiem marginalnym, to piractwo komputerowe w harcerstwie jest naprawdę poważnym problemem! Jestem gotów postawić wiele, że w każdym komputerze, w każdej komendzie ZHP znajdzie się choć jeden program bez licencji.

Powie ktoś: i co z tego, przecież w Polsce 60, a może nawet 80 procent oprogramowania jest nielegalne. To prawda. I w dodatku w Prawie Harcerskim nie ma nic o piractwie. Ale jak to się ma do naszych harcerskich idei...

Twarzą w twarz z dyrekcją szkoły

Jakoś trzeba zacząć współpracę z nową szkołą. Ale jak? Z pewnością nie jest dobrą metodą uprawianie partyzantki i krycie się po kątach, kiedy tylko nadchodzi dyrektor szkoły. Proponuję rozpocząć od działań jak najbardziej oficjalnych, to znaczy od spotkania z dyrekcją w celu ustalenia przynajmniej podstaw współpracy.

Poniżej znajdziesz wskazówki, jak przygotować się do takiego spotkania.

Umówienie się

Czy się umawiać na spotkanie, czy może przyjść bez zapowiedzenia? A jeśli się umawiać, to telefonicznie, osobiście czy może listownie?

Odpowiedź jest oczywista: bezwzględnie należy się zapowiedzieć, umówić się wcześniej na spotkanie. W ten sposób okazujemy szacunek dyrektorowi, pokazujemy, że mamy świadomość, iż jest osobą zajętą. Tym samym sugerujemy, że sami też jesteśmy zajęci, co tworzy nasz dobry wizerunek osób poważnych, a nie jakichś fircyków, którzy poza harcerstwem nie mają nic innego do roboty.

Jeśli się umawiać, to najlepiej telefonicznie, dzwoniąc do sekretariatu, podając swoje dane i temat, na jaki chcemy porozmawiać z dyrektorem szkoły. Odradzam umawianie się osobiste. Znam przypadki, kiedy okazało się, że dyrektor akurat miał chwilę wolną i chciał jak najszybciej załatwić sprawę, więc zaprosił do siebie drużynowego, który jeszcze... nie był przygotowany do takiej rozmowy!

Wywiad

Zanim spotkasz się z dyrektorem, warto przeprowadzić mały wywiad i dowiedzieć się czegoś więcej o nim samym oraz o jego szkole:

- Czy i kiedy w tej szkole było harcerstwo? Jeśli tak, to jak zakończyła się jego działalność? To ważne, bo musisz wiedzieć, na czym stoisz, czy miałeś poprzedników i jakie pozostawili po sobie wspomnienia. Jeśli było tu kiedyś

dobre środowisko i w szkole je pamiętają – to wygrałeś! Gorzej, jeśli współpraca między szkołą a harcerstwem zakończyła się w niezbyt miłych okolicznościach – w takiej sytuacji będziesz długo pracować na to, aby przezwyciężyć negatywny obraz harcerstwa. Musisz mieć świadomość, że będziesz (przynajmniej na początku) na cenzurowanym. Może też być tak, że nigdy w tej szkole nie było harcerstwa. To nie tak źle – czasem lepiej tworzyć nowe standardy współpracy niż zmieniać stare przyzwyczajenia.

- Czy dyrektor lubi harcerzy? Może to pytanie wydać się dziwne, bo dla czego miałby nas nie lubić? No właśnie, a jeśli ma negatywny stosunek do harcerstwa, to koniecznie należy zadać sobie to pytanie i wy badać, jakie są tego przyczyny. Jeśli chodzi o jakieś głębokie, osobiste urazy (np. jego dziecko zrobiło sobie krzywdę na zbiórce), to trzeba się poważnie zastanowić, czy nie szkoda naszej energii...
- Czy dyrektor zna mnie osobiście? To ciekawe pytanie. Często jest tak, że ciągnie nas do miejsca, w którym zaczynaliśmy swoją edukację i swoją przygodę z harcerstwem. Po kilku czy kilkunastu latach wracamy do naszej starej „budy” i oto okazuje się, że dyrektorem szkoły jest na przykład... nasza geografica! W takiej sytuacji trzeba dokonać poważnego rozeznania. Jeżeli będzie nas pamiętać z dobrej strony – to sukces mamy w kieszeni. Ale jeżeli szczerze przypominasz sobie, że mazałeś flamastrami mapy, chowałeś eksponaty albo robiłeś inne „numery” – to gorzej! Tu generalnie napotykamy istotny problem: mimo tego, że od czasu twoich psikusów minęło wiele lat, że masz już za sobą studia, pracujesz w poważnej firmie i sam masz dzieci, to twój stary nauczyciel ciągle będzie widział w tobie tego nieznośnego smyka! Dlatego jeszcze raz gorąco zachęcam: zrób dobre rozeznanie, w jaki sposób zostaniesz potraktowany.
- Kto będzie dla dyrektora partnerem w rozmowie? To kolejna ważna sprawa: podpytaj się uczniów, może znajomego nauczyciela albo sekretarki i dowiedz się, kogo najlepiej wydelegować na rozmowę. Dziewczynę czy chłopaka? Osobę starszą czy kogoś młodego? Tu nie ma prostej recepty: jedna pani dyrektor będzie wołała rozmawiać z dziewczyną („bo kobiety są bardziej odpowiedzialne”), inna zaś z chłopakiem („facet to będzie wszystko trzymał w garści”), jedna lepiej przyjmie osobę starszą („bo z wiekiem wiąże się doświadczenie i odpowiedzialność”), a inna młodszą („lubię tę spontaniczność, ten zapał młodych ludzi!”).
- Czy dyrektor ma jakieś hobby, jakiegoś „fiola”? Czy to naprawdę takie ważne? – zapytasz. Zapewniam cię, że tak. Bywa bowiem, że dyrektor jest tak pochłonięty jakąś dziedziną, że nie wyobraża sobie, jak tym można się nie

- zajmować. Na przykład dyrektor uwielbia ekologię, organizuje „zielone szkoły”, wystawy itd. I jeśli twoja drużyna nie będzie nastawiona na ekologię – to leżysz, nie masz czego szukać w tej szkole!
- Jakie są perspektywy rozwoju? Może uznasz to za brutalną rzeczywistość, ale zanim podejmiesz decyzję o wejściu do danej szkoły, warto żebyś sprawdził, jakie masz szanse na rozwój drużyn i szczeplu, to znaczy, ile w szkole jest klas w każdym roczniku.

Nasze atuty

Chyba nie wątpisz, że twoje środowisko ma atuty, prawda? Chciałbym, abys je wpisał do tabelki po lewej stronie, poniżej wpisanego już przykładu.

Teraz zastanówmy się na pierwszym przykładzie, co wynika z faktu, że mamy taki atut. Gdybyś powiedział dyrektorowi, że mamy dużo sprzętu, to przyjmie to jako kolejną informację o środowisku. Co najwyżej będzie spokojny, że nie będziecie chcieli od niego pieniędzy. Ale czy można nie wykorzystać takiego atutu? Przecież to byłby bardzo poważny błąd!!! Wykorzystaj to w nieco innej formie – zastanów się, jaką korzyść może mieć z waszego sprzętu szkoła. I tak: zamiast mówić, że macie dużo sprzętu, lepiej powiedzieć, że dysponujecie sprzętem, który pozwala zrobić duży festyn dla całej szkoły, a nawet dla kilku sąsiednich! Dostrzegasz różnicę?

Sedno w tym, aby przedstawić nasze mocne strony nie jako fakty, ale korzyści, jakie może z nich odnieść szkoła.

Wykonaj teraz dalszą część ćwiczenia – zamień atuty wpisane w lewej części tabelki na korzyści, które wpiszesz po prawej stronie.

mamy dużo sprzętu

*mamy tyle sprzętu,
że możemy zorganizować
duży festyn dla całej szkoły*

Nasze słabości

Nikt nie jest idealny, nie możemy udawać, że nie mamy słabych stron. Warto przed poważną rozmową zrobić rachunek sumienia i określić, co dyrektor może uznać za naszą słabość.

Wpisz wyniki swoich przemyśleń w lewej części tabeli.

Teraz przypatrz się przykładowi i znajdź kontrargumenty, które wpiszesz po prawej stronie.

mamy młodą kadrę

*nasza kadra jest młoda,
dlatego ma taki niesamowity
zapał do pracy,
poza tym jest otwarta,
cały czas się doskonali*

Oczekiwania

Zanim pójdziesz na spotkanie z dyrektorem, musisz jasno ustalić, po co do niego idziesz, czego właściwie chcesz, na czym ci naprawdę zależy. Ustal:

- minimum, które chcesz uzyskać, np. akceptacja dla rozpoczęcia działalności,
- maksimum, które ci się marzy, np. harcówka dla każdej drużyny,
- realne optimum, które wynika z kompromisu pomiędzy powyższymi planami; bądź gotowy na zaproponowanie konkretów (terminów, osób odpowiedzialnych).

Wykonaj teraz ćwiczenie: wpisz do górnej i dolnej części twój plan minimum i maksimum przed spotkaniem z dyrekcją szkoły. Następnie (w środku) sformułuj zamierzenia realne – optymalne.

minimum:

realne optimum:

maksimum:

Obietnice

Jasne jest, że chcemy jak najwięcej uzyskać. Ale oczywiście jest także to, że szkoła będzie chciała coś od nas. Dlatego dobrze jest wcześniej zastanowić się, co możemy w pełni odpowiedzialnie obiecać. Dokonaj podziału obietnic według stopnia uciążliwości, który wskaże, gdzie jest granica ustępstw:

- od ręki – rzeczy oczywiste!
- bezproblemowo – to możemy śmiało zrobić!
- z trudem – ale jak trzeba, to trzeba!
- nigdy – jak tego chcą, to w nogi!

Coś pisanego

Proponuję, abyś na spotkanie z dyrekcją przygotował materiał pisany o waszym środowisku. Ma on następujące funkcje:

- po prostu informuje,
- pokazuje wasze atuty, dotychczasowe osiągnięcia,
- przypomina dyrekcji o was,
- jest miłym podarunkiem.

Co mógłby zawierać taki materiał? Oto przykładowe elementy:

- kim jesteście: o harcerstwie, o hufcu (podkreślić wielkość, różnorodność, wartości harcerskie!),
- o naszym środowisku: liczebność, tradycje,
- nasze sukcesy,
- co atrakcyjnego proponujemy dzieciom,
- plany na najbliższy rok,
- dane osoby kontaktowej.

Trudne pytania

Jeszcze zanim pójdziesz na rozmowę z dyrekcją, proponuję ci ciekawe i bardzo przydatne (także w przypadku innych spotkań) ćwiczenie.

Najczęściej osoby, z którymi rozmawiamy, mają fragmentaryczny, bardzo wąski obraz harcerstwa i – co gorsze – na tej podstawie potrafią formułować generalne opinie. Często spotkasz się z pytaniami czy wątpliwościami, które wynikają właśnie z takiego spojrzenia na harcerstwo, albo są efektem stereotypów. Niejednokrotnie spotkasz się także z pytaniami, które mają wprawdzie inne źródło, ale są równie dokuczliwe.

Co robić w takiej sytuacji? Przeczytaj przykłady „trudnych pytań” zamieszczone poniżej, dopisz swoje pomysły, a następnie do każdego pytania sformułuj po kilka celnych odpowiedzi. Co ci to da? To proste: w sytuacji, kiedy usłyszysz podobne pytanie z ust dyrektora czy innej osoby – nie będziesz panikować, ponieważ to pytanie nie będzie dla ciebie zaskoczeniem. Jedyne, co będziesz musiał zrobić w tej sytuacji, to spokojnie zdecydować, którą z opracowanych wcześniej odpowiedzi wybrać: pierwszą, a może trzecią... Takie przygotowanie daje naprawdę duży komfort!!!

- A co robią dzieci na państwa zbiórkach?
- Co szkoła będzie miała ze współpracy z harcerstwem?
- Czego państwo oczekują od szkoły?

- Nie znamy się, co może mi pani powiedzieć o sobie?
- Czy prowadzicie w harcerstwie zajęcia na temat ekologii, bo mi na tym bardzo zależy!?
- Czy zajęcia harcerskie nie będą kolidowały z zajęciami szkolnymi?
- Czy ma pan jakieś doświadczenie w pracy z dziećmi?
- Czy ma pan jakieś rekomendacje, rozumie pan, że nie znam pana dokonań?
- Ostatnio była u nas drużyna tylko przez pół roku i gdzieś przepadła, czy z wami nie będzie tak samo?
- W jaki sposób zamierzacie pozyskiwać dzieci do swoich drużyn?
- Pani jest taka młoda, nie wiem, czy mogę mieć zaufanie do pani?
- Czy przypadkiem nie będziecie chcieli zwalniać dzieci z lekcji?
- Proszę mi powiedzieć, co z przynależności do harcerstwa będą miały dzieci?
- Nie wiem, czy mnie stać na harcerstwo, bo nasza szkoła nie ma dużo pieniędzy.
- Boję się, czy należycie zadbać państwo o bezpieczeństwo dzieci?
- A co z przynależności do harcerstwa będą mieli rodzice naszych dzieci?
- Jak harcerstwo zamierza włączyć się w życie szkoły?
- Czy ciągle jest tak, że harcerze nie piją i nie palą?
- Ostatnio czytałam gdzieś w prasie, że ZHP bankrutuje, czy to prawda?
- Czy pan jest z tego prawdziwego harcerstwa?

Jak wyglądam

Przed samym wyjściem na spotkanie stań na chwilę spokojnie przed lustrem i sprawdź, jak wyglądasz:

- czy jesteś uczesany, ogolony (druhowie)?
- czy masz właściwy makijaż (druhenki)?
- czy masz w dobrym stanie ubranie (odprasowany, czysty mundur, niewskazujący, że właśnie wróciłeś z gry terenowej)?
- czy masz czyste obuwie?
- czy masz przygotowane materiały?
- czy na Twojej twarzy jest uśmiech?

* * *

Teraz można śmiało powiedzieć, że jesteś przygotowany na spotkanie z dyrekcją szkoły. Pozostaje mi tylko życzyć ci powodzenia!

Z kim trzymamy sztamę

W pierwszym numerze „W instruktorskim kręgu” dość obszernie zajmowaliśmy się współpracą harcerstwa ze szkołą. I jest to oczywiste, bo właśnie szkoła jest najbliższym i naturalnym naszym sojusznikiem. Ale oprócz niej w otoczeniu każdego szczepla znajduje się mnóstwo innych osób, instytucji czy urzędów, które także mogą się stać kolejnymi sojusznikami harcerstwa. A to, że jeszcze się nimi nie stały, może wynikać z naszego stereotypowego postępowania i myślenia, nieznałazienia tego, co nas łączy, albo po prostu z nieświadomości sobie, że jesteśmy sobie potrzebni...

Ponieważ nie ma to, jak samemu dojść do mądrych rozwiązań i ciekawych wniosków, dlatego nie będę się wymądrzać, tylko od razu zaproponuję następujące ćwiczenie.

W tabelce (na następnej stronie) wypisałem kilkadziesiąt osób, instytucji, podmiotów, które zapewne znajdują się w środowisku działania waszego szczepla. A oto zadania:

- 1) To są właśnie potencjalni sojusznicy twojego szczepla! Przy każdym zaznacz, na ile podobne macie cele: czy chodzi wam o to samo, czy cele są tylko troszkę zbieżne, czy może w ogóle wam nie po drodze?
- 2) Jak wiadomo, współpracę najłatwiej nawiązać, kiedy dwie strony odnoszą konkretne korzyści. Wypisz więc dla wszystkich podmiotów, przy których zaznaczyłeś pole „chodzi nam o to samo”, co możesz im zaproponować, czego możesz od nich oczekiwać, jakie wspólne działania możecie podjąć?
- 3) Zapewne w kilku przypadkach zaznaczyłeś też pole „raczej nam nie po drodze”. W odniesieniu do tych podmiotów wymyśl po trzy przykłady działań, które mogą was połączyć. To doskonałe ćwiczenie twórczego myślenia, które może zaowocować nowymi, nieschematycznymi pomysłami!

A teraz po wykonaniu zadań przyszedł czas, aby przejść do ostatniego etapu, który zapowiedziałem na wstępie – czas na wnioski:

- Czy już dostrzegasz nowe szanse rozwojowe dla swojego szczepu?
- Czy dzięki temu ćwiczeniu znalazłeś nowych sprzymierzeńców, z którymi twój szczep jeszcze nie współpracował?
- Czy odkryłeś partnera, z którym razem zrobicie więcej i lepiej?

* * *

chodzi nam o to samo	mamy zbieżne cele	raczej nam nie po drodze	
–	–	–	agencja reklamowa
–	–	–	basen
–	–	–	biznesmen
–	–	–	fundacja pomagająca dzieciom
–	–	–	jednostka wojskowa
–	–	–	kino
–	–	–	klub komputerowy
–	–	–	klub osiedlowy
–	–	–	klub sportowy
–	–	–	koło PTTK
–	–	–	ośrodek kultury
–	–	–	ośrodek pomocy społecznej
–	–	–	ośrodek zdrowia
–	–	–	parafia
–	–	–	PCK
–	–	–	poczta
–	–	–	pogotowie ratunkowe
–	–	–	policeja
–	–	–	przedszkole
–	–	–	restauracja
–	–	–	sala koncertowa
–	–	–	schronisko dla psów
–	–	–	straż miejska
–	–	–	straż pożarna
–	–	–	supermarket
–	–	–	szkoła tańca
–	–	–	szpital
–	–	–	teatr
–	–	–	urząd gminy

XXXII Zjazd ZHP: co nam się szykuje?

Na oficjalnych stronach internetowych związanych z grudniowym Zjazdem ZHP pojawiły się bardzo ciekawe wyniki ankiety przeprowadzonej na seminarium władz naczelnych ZHP. Wzięło w niej udział 80 instruktorów, w tym: 41 członków Rady Naczelnej, 7 członków Głównej Kwatery, 12 członków Centralnej Komisji Rewizyjnej, 9 członków Naczelnego Sądu Harcerskiego oraz 11 komendantów chorągwi. Jest to więc grupa, która będzie miała decydujący wpływ na kształt dyskusji przedjazdowej, na projekty uchwał, zmian statutowych. Słowem: na to, czym zajmie się najbliższy zjazd ZHP. Poza tym można chyba uznać to grono za reprezentatywne, wszak stanowi doskonały przekrój kadry instruktorskiej ZHP – znajdziemy tu instruktorów: wybitnych i miernoty, liniowych i oderwanych kompletnie od „dołów”, społecznych i etatowych, myślących postępowo i tzw. beton.

Dla tych, którzy nie mają dostępu do sieci, podajemy co ciekawsze wnioski wynikające z ankiety:

- Nie należy spodziewać się zmian w tekstach Obietnicy i Prawa Zucha, Prawa i Przyrzeczenia Harcerskiego oraz Zobowiązania Instruktorskiego.
- Raczej nie należy spodziewać się odstąpienia od abstynenckiego charakteru ZHP. Chociaż to tylko deklaracje, a każdy, kto był na Zjeździe, wie, jaka jest prawda, niestety...
- Szykuje nam się jeszcze jedna grupa wiekowa w związku z powstaniem czwartego szczebla edukacji – gimnazjum. I dobrze, bo może przy okazji uda się zrobić coś pożytecznego z ledwie zipiącymi metodykami (oprócz zuchowej, oczywiście).
- Zjazd prawdopodobnie będzie się zajmował kwestią najbliższego zlotu ZHP. (A może jeszcze terminarzem najbliższego Betlejemskiego Światła Pokoju, przeznaczeniem pieniędzy zebranych podczas Grosika 2002 i kolorem koszuli noszonej przez naczelnika?).

- Zuchy już mogą oszczędzać, bo prawdopodobnie zaczną płacić składki członkowskie!
- Wszystko wskazuje na to, że komendanci otrzymają prawo karania instruktorów np. czasowym pozbawieniem niektórych uprawnień instruktorskich. Dotychczas mógł to robić jedynie sąd harcerski. Teraz – być może – będzie tylko władzą odwoławczą.
- Z ankiety wynika, że jak w szwajcarskim banku pewne jest podniesienie wieku instruktorskiego do 18 lat. Druhu! Druhu! Jeśli nie jesteś osobą pełnoletnią, to jak najszybciej zamykaj próbę przewodnikowską, bo jak się spóźnisz...
- Być może nastąpi podział kadry Związku na instruktorów i kadre wspierającą. Czyżby równanie instruktor = wychowawca miało przejść do historii?
- Niewykluczone, że będziemy mieć kolejny stopień instruktorski – honorowy. Jak widać cknę się niektórym do biało-czerwonej podkładki...
- Może wreszcie pełnienie określonych funkcji w Związku wiązać się będzie z posiadaniem odpowiedniego stopnia instruktorskiego. Czyżby mieli zniknąć hufcowi – przewodnicy?
- Hurrrraaaa! Może przejdzie wreszcie pomysł, że instruktor obejmujący funkcję w ZHP będzie musiał być do niej przygotowany lub przejść przeszkolenie najdalej w ciągu roku! Chociaż zapał opada, kiedy uświadomimy sobie, że ktoś będzie musiał te szkolenia przeprowadzić. No kto?
- Być może nastąpi rozdzielenie funkcji programowo-wychowawczych od gospodarczo-finansowych, choć na razie nie bardzo wiadomo, jak to miałyby wyglądać i czy to pojedynczy pomysł, czy też fragment jakiejś szerszej koncepcji (oby to drugie!!!).
- Niewykluczone, że pojawi się w ZHP nowa kategoria członka wspierającego. Czyżby to był ten genialny pomysł na zwiększenie liczebności (policzmy choćby po jednym rodzicu!) oraz sytuacji finansowej Związku (tak, tak: składka co najmniej 10 zł miesięcznie!)?
- Niestety, kadencja hufców wciąż będzie czteroletnia, choć w połowie kadencji może odbywać się będzie dodatkowy zjazd (choć nazywany inaczej).
- To niesamowite! Większość chce, aby komendanci chorągwi nie mogli być członkami Rady Naczelnej. Nadzieja na normalność?

OD AUTORA:

Warto spojrzeć na ten tekst (z roku 2001!) przez pryzmat dziś obowiązujących regulacji (trochę się zmieniło) oraz uchwał zjazdu ZHP z grudnia 2013...

Image, czyli o różnych drobiazgach słów kilka

Słowo „IMAGE”, czytane „imaż” albo „imidż”, robi ostatnio zawrotną karierę. Można przyjąć, że oznacza ono obraz, wizerunek, wyobrażenie o jakiejś firmie w otoczeniu, w jakim działa.

Oczywiste jest, że uzyskanie pożądanego image firmy jest jednym z istotnych celów marketingowych każdego przedsiębiorstwa, obok – na przykład – zwiększenia udziału w rynku. Taki sam cel powinniśmy postawić sobie w ZHP. A jeżeli nawet tego nie chcemy (o zgrozo!) albo uważamy, że sprawa nas nie dotyczy (o jeszcze większa zgrozo!) – to i tak podlegamy prawom, zasadom związanym z kształtowaniem się wizerunku firmy.

Jedną z ważniejszych sytuacji, kiedy u konkretnej osoby powstaje określony wizerunek firmy, jest moment kontaktu z nią, a szczególnie z jej liderami, władzami itp.

Zatem w jaki sposób możemy dbać o image harcerstwa? Przede wszystkim troszcząc się o pozytywne odczucia osób, które kontaktują się z jednostkami harcerskimi, a zwłaszcza z komendami.

Od czego zacząć? Proponuję przyjrzeć się naszej korespondencji i – ogólniej – materiałom, które „produkujemy”.

A oto kilka przykładów.

* * *

Na pieczętkach jednej z chorągwi widnieje napis „Chorągiew Środkowo-Bałtycka” (nazwa celowo zmieniona – dla utrudnienia identyfikacji, oczywiście) zamiast „Chorągiew Środkowobałtycka”. Drobiazg, a jednak jest to błąd ortograficzny.

Co o nas sobie ludzie pomyślą?

* * *

W pewnym hufcu używa się do dziś firmówek – pięknych zresztą! Tyle tylko, że ze względu na swój wiek są one raczej żółte, niż białe. Rozumiem – oszczędność, ale poza tym zmienił się numer telefonu i bohater hufca. Co się musi jeszcze zmienić: adres, telefon, a może nazwa organizacji, aby dokonano zmiany papieru firmowego?

Co o nas sobie ludzie pomyślą?

* * *

Inna komenda, bardzo ważna. Też stara firmówka. A na niej dwa błędy: rzeczowy i historyczny. Na środku widnieje napis: „Związek Harcerstwa Polskiego Stowarzyszenie Wyższej Użyteczności Publicznej”. A okazuje się, że takiej kategorii prawnej nigdy w ustawie o stowarzyszeniach nie było! Natomiast pojęcie „stowarzyszenia wyższej użyteczności” zniknęło z tej ustawy ładnych kilka lat temu, na początku przemian ustrojowych w Polsce.

Co o nas sobie ludzie pomyślą?

* * *

Dość powszechną praktyką jest – na wszystkich szczeblach naszego Związku – podpisywanie pism według schematu: imię – nazwisko – stopień instruktorski, np. Jan Kowalski phm.

A czy widzieliście, aby ktoś pisał np. „Jan Kowalski mgr” albo „Jan Kowalski gen.”? Piszmy po polsku: najpierw stopień, potem imię i nazwisko.

* * *

Wszystkie przytoczone przykłady to – być może – drobiazgi. Ale właśnie one składają się na to, jak jesteśmy postrzegani przez osoby, które mają z nami kontakt.

Pamiętajmy: „jak cię widzą, tak cię piszą”.

Image, czyli o dalszych drobiazgach słów kilka

Pamiętajmy: „jak cię widzą, tak cię piszą”. W ten sposób zakończyłem w poprzednim numerze „Czuwaj” moje dygresje na temat naszych (harcerskich) kontaktów z innymi osobami za pomocą pism, listów itd. Kontaktów, które kształtują wizerunek harcerstwa w społeczeństwie. Teraz potraktujmy trochę dosłowniej powyższe powiedzenie. Czyli zastanówmy się: jak nas widzą?

Zapewne nie raz zaobserwowaliście na sobie zjawisko polegające na tym, że idąc do kogoś w gości, bardzo łatwo dostrzegacie wszelkie „niedociągnięcia w sprzątanii” odwiedzanego mieszkania: a to kurz w jakimś zakamarku, w pokoju oberwana firanka, o! a w jednym rogu to jest nawet pajęczyna. W tej sytuacji nabieramy raczej kiepskiej opinii o gospodarzu. Wracamy do domu i co...? Kurz w wielu zakamarkach, firanki jak wyżej, a o pajęczynach nie wspomnę. Jak to jest? To proste: zwyczajnie przywykliśmy do naszego mieszkania, już nie zauważamy kurzu i oberwana firanka też nam spowszedniała.

Tak samo jest, niestety, z naszymi harcówkami i – tym bardziej komendami hufców. Choćby odwiedzający nas dyrektor szkoły, radny czy rodzic był mistrzem świata w bałaganieniu – to i tak dostrzeże nawet najdrobniejsze uchybienia w wystroju i porządku naszych pomieszczeń. Jak nas oceni, jakie wyrobi sobie o nas zdanie, jak będzie się do nas odnosił – wszyscy wiemy.

Zatem proponuję: wchodząc w najbliższym czasie do swojej harcówki, swojego hufca postarajcie się spojrzeć z dystansem na jego wystrój, pomyślcie, jakie budzi w was odczucia.

A oto kilka przykładów z autopsji

* * *

Komenda hufca mieści się przy ul. Iksowskiego 4. Idę pewnie, mijam numer 2. I już stoję przed budynkiem przy Iksowskiego, numer czwarty. Pierwsza klat-

ka, druga i trzecia. Żadnej tabliczki, informacji, pytam kilka osób – nikt nic nie wie. Po pół godzinie rezygnuję. Cóż, to nie ja na tym stracę. A gdyby na moim miejscu był jakiś hojny sponsor, radny? Co sobie pomyśli? Czy ktoś zastanowił się, że brak takiej podstawowej informacji może zablokować możliwość osobistego kontaktu z różnymi ważnymi osobami?

* * *

Hufiec Y. Jest dobrze. Na drzwiach piękna tabliczka: „Związek Harcerstwa Polskiego, Komenda Hufca Y w Igrekowie, czynna: poniedziałki, środy, piątki w godz. 17–19”. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że jest środa, godz. 18.15, a komenda hufca zamknięta na cztery spusty. A gdyby właśnie przyszedł jakiś interesant, to co sobie pomyśli o harcerskiej sumienności?

* * *

Hufiec Z. Już otwarcie drzwi na kilka centymetrów odrzuca człowieka. Atmosfera jak w muzeum brudnych skarpetek. Nie chcę nikogo namawiać do instalowania specjalnego systemu wentylacji, ale okna można byłoby czasem otworzyć (o higienie osobistej już nie wspomnę).

Jedno jest pewne: wizyta w hufcu Z pozostawia trwałe wspomnienia. Ale czy o tego rodzaju przeżycia chodziło hufcowemu?

* * *

Jeszcze inna komenda. Jest tabliczka, mamy czym oddychać. Wchodzi pewna osoba – interesant do komendanta. Najpierw wykonuje slalom przez kilka wyciągniętych na przejściu par nóg, potem omija dwa pieńki, przeskakuje nad leżącymi plecakami szkolnymi, jeszcze tylko przeciska się pomiędzy stojącymi w przejściu osobami, odchyła kotarę i już jest w drugim pomieszczeniu. Patrzy niepewnie wkoło: nikt się nią nie interesuje, nikt nie nawiązuje żadnego kontaktu (oprócz cielesnego – podczas dwukrotnego szturchnięcia przez przemykających obok chłopców). Jakie będą jej wrażenia? Trochę surwiwalu – OK, ale gdyby ktoś jeszcze wskazał drogę do komendanta!

* * *

To tylko kilka ponurych obrazków. Mam nadzieję, że nie z twojego hufca, Czytelniku!

PS

Po ukazaniu się mojego tekstu w zeszłym miesiącu, usłyszałem od pewnej osoby: a dlaczego nie napisałeś o sprawie najważniejszej, to znaczy błędach ortograficznych i stylistycznych w pisanych dokumentach. Dlaczego? Bez przesady, jest pewien poziom, który należy traktować jako absolutne minimum!

Z tego samego powodu nie napisałem powyżej o pożądanym (zerowym) stanie zadymienia harcerskich pomieszczeń.

Po co nam logo?

Widzisz rysunek globu i już wiesz, że to symbol ONZ. Literki PKO z „p” przypominającym skarbonkę kojarzą się bez trudu z największym polskim bankiem, a pięć kolorowych, nakładających się kółek z Igrzyskami Olimpijskimi. Taka jest właśnie funkcja znaku graficznego (logo) instytucji: przywoływać ją w pamięci człowieka w mgnieniu oka.

Konieczne wydaje się stworzenie takiego znaku Związku Harcerstwa Polskiego i dlatego właśnie Naczelnik ZHP ogłosił konkurs na logo Związku.

A dlaczego nie może to być Krzyż Harcerski – tradycyjny przecież symbol Harcerstwa? Oto kilka argumentów:

- Inne organizacje harcerskie także używają Krzyża. Nie jest więc jednoznacznie kojarzony z ZHP – a więc nie spełnia podstawowej funkcji logo.
- Jak wspomniałem, Krzyż jest symbolem o długiej tradycji i dobrze, aby nim pozostał. Jego umieszczanie na długopisach, brelokach i innych „gadżetach” – co jest typowe dla znaku graficznego – byłoby chyba niestosowne. Niech więc Krzyż pozostanie symbolem.
- Logo musi być wesołe, najlepiej kolorowe, łatwo przyciągające wzrok i pozostające w pamięci. Krzyż jest szary, monotony – i dobrze, bo miał i ma inne zadanie.
- Logo musi być łatwe do odwzorowania przez wszystkich, nawet tych, którzy nie posiadają specjalnych zdolności plastycznych. Krzyż Harcerski jest znakiem bardzo skomplikowanym i trudnym do łatwego odtworzenia. Aby się o tym przekonać, wystarczy obejrzeć kilka firmówek drużyn, hufców czy chorągwi – na każdej inna wersja.

Może słowo „logo” brzmi zbyt hucznie. Ale wybranym znakiem może się przecież okazać zwykła, ładnie opracowana graficznie lilijka, stylizowany napis „ZHP” itp. Być może w konkursie wygra jedna z funkcjonujących w Związku propozycji. Jednak wybór jej na logo ZHP będzie miał to znaczenie, że zostanie zgłoszona do Urzędu Patentowego i będzie znakiem prawnie chronionym. Ponadto na wszystkich gadżetach będzie widniał ten sam znak, który wkrótce –

miejmy nadzieję – utkwii w podświadomości wszystkich ludzi w Polsce tak, jak wspomniane na wstępie znaki ONZ czy PKO.

Namawiam Was do udziału w konkursie. Oprócz cennej nagrody zapewnicie sobie stałe miejsce w historii harcerstwa!

OD AUTORA:

Lilijka ze stylizowanymi, wpisanymi w nią literami ZHP – któż nie zna naszego logotypu? Dla dzisiejszych harcerzy, ba, nawet wielu instruktorów, to jest normalne. Jednak w roku 1996, kiedy wpadłem na pomysł stworzenia logo ZHP, a następnie szerokiego wykorzystania go w działalności marketingowej Związku – oj, nie było łatwo. Pamiętam słowa oburzenia właściwie ze wszystkich stron. I od członków władz naczelnych, którzy zarzucali mi, że chcę uczynić z ZHP firmę, aż po instruktorów, a zwłaszcza seniorów, którzy zarzucali umniejszanie roli Krzyża (zobacz też kilka stron dalej tekst, który ukazał się po rozstrzygnięciu konkursu).

Aby przyjąć logo ZHP, został ogłoszony ogólnozwiązkowy konkurs. Wpłynęło na niego 201 prac! Najlepsze z nich zostały zaprezentowane w formie wystawy podczas zebrania Rady Naczelnej, której członkowie mieli wypowiedzieć, głosując na wybrany projekt. Dodam tylko, że wygrał projekt o numerze 100...

No ale to już historia ZHP. Cieszę się, że mamy to nasze logo... :)

Nie wstydzmy się swoich sukcesów!

Z hm. Grzegorzem Calkiem – kierownikiem Wydziału Promocji i Informacji GK ZHP rozmawia hm. Adam Czetwertyński.

– Rozpocząłeś pracę na nowej w Głównej Kwaterze ZHP funkcji kierownika Wydziału Promocji i Informacji. Rozumiem, że promocji Związku Harcerstwa Polskiego. Czy naprawdę ZHP należy promować? Czy nie promujemy się sami naszymi imprezami, rajdami, obozami, naszą codzienną pracą?

– Oczywiście najlepszą promocją harcerstwa jest dobra, bardzo dobra praca gromad i drużyn. I właśnie ja staram się zaprezentować na zewnątrz naszą codzienną pracę. Poza tym chcę pomóc środowiskom w promowaniu siebie wśród dzieci i wśród rodziców, ponieważ tego, niestety, nie potrafimy. Mam nadzieję, że uda mi się w ciągu najbliższych miesięcy wydać publikację wspomagającą środowiska harcerskie w promowaniu siebie i swoich osiągnięć w szkołach i miejscu zamieszkania. Musimy umieć przekonać rodziców, że warto powierzyć swe dziecko harcerstwu, że w sposób właściwy będzie się u nas wychowywać i pożytecznie spędzać swój wolny czas.

– Pięknie, ale czy nie wystarczy w ZHP rzecznik prasowy, który centralnie promuje nasze imprezy?

– Rzecznik prasowy przede wszystkim nie promuje lecz informuje. On odpowiada za to, by dziennikarze wiedzieli jak najwięcej o pracy Związku. Ja staram się dbać o tworzenie wizerunku harcerstwa. Moim marzeniem jest, by ZHP było postrzegane jako naturalny element polskiej rzeczywistości. Chcę, aby dla wszystkich było naturalne, że tak jak jest burmistrz miasta, wójt, policja czy ośrodek zdrowia – tak samo częścią społeczeństwa czy środowiska lokalnego jest Związek Harcerstwa Polskiego. Co więcej, chciałbym promować Związek jako organizację nowoczesną oraz społecznie użyteczną – po prostu potrzebną.

– **Ale czy promowanie nowoczesnego ZHP, który nie jest nowoczesny ma sens?**

– Oczywiście niemożliwe jest promowanie nas jako organizacji nowoczesnej, jeżeli nowoczesni nie jesteśmy. Dlatego podejmuję szereg działań, by naprawdę Związek Harcerstwa Polskiego był nowoczesny. Stąd, między innymi, pomysł na logo, stąd obecność ZHP w Internecie, stąd moje starania o zawarcie w programach, które przedstawiamy, jak największej ilości interesujących propozycji.

– **Przecież my nie chcemy być nowocześni! Jako spadkobiercy idei Baden-Powella chcemy pójść do lasu, tam wybudować sobie szalasy, spędzić w tym szalasy trzy dni, żywiąc się jedynie runem leśnym. Gdzie tu nowoczesność? Jest dużo drużyn nienowoczesnych z założenia. Harcerze raz w tygodniu spotykają się na zbiórkach, coś tam na nich robią, może nawet nieco się bawią, spędzają czas nudząc się. Ja tu nie widzę nowoczesności.**

– Zgoda. Jest część drużyn, które pracują siłą dawnego rozpędu. Robią to, co zawsze robiły, nie zastanawiając się nad przydatnością swoich działań dla dzieci. Stały się już niewolnikami zwyczajów czy tradycji. Świetnym przykładem jest dla mnie alfabet Morse’a, który w pracy bardzo wielu drużyn zajmuje poczesne miejsce. Tylko powiadam: po co dzieciakom ten alfabet, skoro dziś – pod koniec XX wieku – nie potrafią skorzystać z nowoczesnych środków komunikacji: obsłużyć faxu, wpisać danych do komputera czy przesłać wiadomości pocztą elektroniczną!? Niby dobrze, że harcerze z nożem w zębach potrafią latać po lesie i żywić się korzonkami. Ale oprócz umiejętności przeżycia w gąszczu lasu, powinni także, a właściwie przede wszystkim, umieć poruszać się w gąszczu miasta, w gąszczu instytucji, urzędów i organizacji. Taki program muszę promować.

– **To twoja promocja jest na zewnątrz czy wewnątrz Związku?**

– Jak mówiłem, chciałbym nas promować jako organizację nowoczesną. Jednak zdaję sobie sprawę, że najpierw wiele musimy zmienić w nas samych.

– **Czy nie wydaje ci się, że chcesz być jakimś superwydziałem, który narzuca swoje wzorce nowoczesnego harcerstwa wydziałom programowym?**

– Nie, moja wizja promowania ciekawego, niestereotypowego, nowoczesnego programu jest zgodna z wizją wydziałów merytorycznych. Natomiast oczywiście zależy mi – tak, jak chyba każdemu instruktorowi pracującemu tutaj – aby wszystkie komórki Głównej Kwatery pracowały sprawnie, aby każde pismo, druk był estetyczny, dopracowany. Jest to przecież ważny element tworzenia wizerunku Związku.

Jak powiedziałem, szczególną wagę przywiązuję do współpracy z wydziałami programowymi. Oprócz pomocy merytorycznej, staram się rozpropagować centralne inicjatywy programowe. Przykładem może być „Gra w zielone”. Jeżeli w ubiegłym roku wzięło w niej udział 85 zespołów, to w tym roku o sto więcej – dzięki zastosowaniu nowego systemu informowania środowisk.

– Czy ten system jest oszczędny? Czy promocja opłaciła się?

– Na to pytanie nie da się odpowiedzieć. Moim zdaniem efekt jest duży. Jeżeli w tym roku ponad 4 tysiące harcerzek i harcerzy „grało w zielone”, to uważam, że odnieśliśmy ogromny sukces. Innym naszym wspólnym sukcesem jest tegoroczny „Grosik”. W zeszłym roku zebraliśmy około stu czterdziestu pięciu milionów starych złotych, w tym roku prawie siedemset. Ale jaka była promocja! Były ulotki, każdy harcerz otrzymał do wklejenia małą nalepkę. Czy to się opłaciło? Myślę, że tak! Wydaje mi się, że oprócz rezultatu finansowego, efektem tegorocznego „Grosika” jest jego wejście na stałe do kalendarza bardzo wielu środowisk harcerskich. Dzięki temu w przyszłym roku taka promocja wewnątrz Związku nie będzie już potrzebna.

Podobnie jest z innymi propozycjami – trzeba raz zainwestować, aby zaistniały one w kalendarzach i świadomości ludzi. Natomiast musimy mieć świadomość, że promocja zawsze i wszędzie kosztuje – to jest jej największy minus.

– Jeżeli Twój system promocji wewnątrz Związku ma się sprawdzić, to powinien być opracowany dalekosiężny program całej organizacji, aby było wiadome, co i w jakim czasie będzie promowane za rok, dwa lub trzy...

– Dokładnie tak. Liczę, że stanie się normą, iż GK ZHP proponować będzie co roku kilka imprez lub zadań centralnych i będzie naturalne, iż są one w kalendarzu całej organizacji. Wymaga to jednak wcześniejszego przygotowania wszystkich materiałów. Najpóźniej w czerwcu drużynowy powinien otrzymać zestaw propozycji na kolejny rok harcerski. Na przykład tegoroczne materiały, które zostały opublikowane na miesiąc przed „Grą w zielone”, powinny być gotowe i przekazane drużynowemu przed ubiegłorocznymi wakacjami. Ułatwiłoby to drużynowym solidne planowanie pracy. Chciałbym wydawać broszurkę, w której wszystkie imprezy i akcje centralne będą szczegółowo zaprezentowane.

– Ale przecież od kilku lat wydawany jest kalendarz z najważniejszymi imprezami ZHP.

– Ale są to hasła, na przykład, że będzie Nieobozowa Akcja Letnia. To za mało. Drużynowy znacznie wcześniej musi znać wszystkie podstawowe infor-

macje o tej akcji, aby wraz z drużyną zdecydować podczas pisania swojego planu, czy weźmie w niej udział. Wydaje mi się, że jest to system uczciwy wobec drużynowych, a przy tym gwarantujący nam szersze uczestnictwo środowisk w akcjach centralnych.

– Czyli w tym numerze „Czuwaj” powinna rozpocząć się promocja akcji „Zima 98” i HAL/NAL 98. Czy mam rozumieć, że Twoim zadaniem jako kierownika Wydziału Promocji jest dopracowanie w GK ZHP takiego systemu pracy, by za rok właściwa broszura i właściwa informacja na łamach „Czuwaj” się ukazała?

– Tak, ale to wymaga przedstawienia naszego systemu pracy o pół roku do przodu.

– Będziesz więc w styczniu 98 roku chciał mieć zestaw zadań, imprez, propozycji programowych na rok 1998/99, by móc przez kilka miesięcy walczyć o dopracowanie pełnych zasad i regulaminów i opublikować je późną wiosną roku 98.

– Tak samo powinno być w chorągwiach i hufcach. Niestety, jednym z największym problemów w Związku jest przepływ informacji. W wielu przypadkach informacje są po prostu blokowane, szczególnie na szczeblu hufca. Na przykład nie docierają do drużynowych kwartalniki programowo–metodyczne. Dlaczego? Nie rozumiem. W tym momencie prowadzę badania na ten temat.

– Czy Twój wydział ma jeszcze inne zadania?

– Uważam, że my – ZHP jesteśmy organizacją w państwie pożyteczną, ale za mało na ten temat do tej pory głośno mówiliśmy. Staram się dbać o ty, by stale potwierdzać naszą pożyteczność. Stąd pomysł na udział ZHP w różnych konkursach. Mamy już zresztą pierwsze sukcesy: program „Odkrywcy Nieznanego Świata” okazał się najlepszy z ponad 200 prac w konkursie im. prof. W. Degi, organizowanym przez Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Kilka miesięcy temu zgłosiliśmy ZHP do konkursu na polskiego lidera ekologii, który po raz pierwszy ogłosił w tym roku Minister Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. Mam nadzieję, że kiedy ten numer „Czuwaj” dotrze do czytelników, już będziemy znali szczęśliwe dla nas rozstrzygnięcie tego konkursu.

Właśnie konkursy są według mnie jedną z najlepszych możliwości promocji Związku. Dlatego chciałbym promować ZHP przez promocję zwycięzców różnych konkursów terenowych, przez promocję zuchów, harcerzy i instruktorów,

którzy odnieśli jakiś sukces, także pozaharcerski, np. zostali laureatami olimpiady szkolnej, dokonali jakiegoś wyczynu.

Boję się jednak, czy to się uda. Niestety, tak jakoś jest, że w harcerstwie nie lubimy się chwalić, pokazywać swych sukcesów. Koniecznie musimy zmienić swą mentalność. Musimy chcieć prezentować na zewnątrz sukcesy naszych harcerzy i instruktorów. Nie wstydzmy się swoich sukcesów!

– Zadań przed Twoim wydziałem jest wiele. Porozmawiamy na temat Twoich dokonań za kilka miesięcy. Dziękuję za rozmowę.

OD AUTORA:

Zdecydowałem się zamieścić tutaj tę rozmowę, gdyż zawiera ona wiele moich przemyśleń – pokazuje mój sposób myślenia w 1997 roku, a przede wszystkim świetnie pokazuje realia tamtego czasu i ówczesnego sposobu patrzenia na promocję Związku. Po kilkunastu latach część z nich pozostaje aktualna. Ciągle jeszcze niektóre zadania przed nami.

I jeszcze wstawka historyczna: Akcja „Grosik” była prowadzona z okazji Dnia Myśli Braterskiej. Polegała na przekazywaniu przez harcerzy swoich „grosików” (a nie zebranych od innych!) na potrzeby Centrum Zdrowia Dziecka.

O nurtach w logo słów kilka

Jakiś czas temu minął termin nadsyłania pomysłów na konkurs Naczelnika ZHP na znak graficzny Związku („Czuwaj” z marca br.). Łącznie otrzymaliśmy 201 projektów od 51 autorów (zarówno osób indywidualnych – harcerzy, instruktorów i „cywili”, jak i zespołów – drużyn, szczepów i pracowni plastycznych). Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi za miesiąc. W bieżącym numerze – kilka słów podsumowania.

* * *

Generalnie nadesłane propozycje można podzielić na dwa rodzaje. Mniej więcej połowę stanowią propozycje logo w ścisłym tego słowa znaczeniu, tzn. znaki obrazowe. Drugą część – monogramy, tzn. w różny sposób zapisane, stylizowane litery „ZHP”.

Najczęściej pojawiającym się w pracach nurtem był bez wątpienia nurt patriotyczny. Charakteryzuje się obecnością w znaku barw narodowych: raz jako tło, raz jako kolor liter, a czasem jako flaga przepleciona z pozostałymi elementami. Odmianą tego kierunku jest nurt topograficzny, związany z obecnością konturów Polski (o różnym stopniu uschematyzowania).

Dość często występował także nurt klasyczny, w którym najważniejszym elementem była lilijka albo – w kilku przypadkach – Krzyż Harcerski. Podstawowym minusem tego kierunku jest wysoki stopień skomplikowania znaku, co nie spełnia podstawowego założenia konkursu – prostoty, łatwości odwzorowania.

Wśród wielu propozycji, zwłaszcza od osób dysponujących komputerem, objawił się nurt geometryczny, zdominowany przez różne figury geometryczne.

Efektom licznego udziału w konkursie młodego pokolenia harcerzek i harcerzy jest za to nurt radosny. Mamy więc tutaj pełną gamę kolorów, obecność słoneczek, uśmiechnięte buźki oraz projekt maskotki ZHP (specjalne podziękowania).

Stosunkowo najrzadziej wystąpił nurt skautowy, ale nie można o nim nie wspomnieć. Wśród autorów prac tego kierunku widać wyraźny kłopot z usatysfakcjonowaniem zwolenników WOSM (lilijka skautowa), WAGGGS (koniczynka) oraz rodzimych patriotów harcerskich (nasza, harcerska lilijka). Pojawily się więc propozycje koniczynek w kręgu WOSM-owskim i lilijek na tle koniczynki. Ale wszystkich może pogodzić pomysł, który połączył: lilijkę (WOSM), lilijkę (ZHP) oraz koniczynkę. Polak potrafi!

Oczywiście wielu z prac nie da się zakwalifikować do jednego nurtu, bowiem łączą w sobie cechy kilku z nich.

* * *

Jak widać z liczby nadesłanych projektów, konkurs ogłoszony przez Naczelnika ZHP spotkał się z dużym zainteresowaniem. W listach dołączonych do prac wielu instruktorów podkreślało trafność decyzji Naczelnika, potwierdzając, że znak graficzny jest nam potrzebny. Jednak było też kilka opinii odmiennych, pochodzących od starszych instruktorów.

Dlatego jeszcze raz pragnę zapewnić wszystkich, że logo nie ma zastąpić Krzyża Harcerskiego! Znak graficzny, który zostanie wybrany przez specjalne jury, będzie wykorzystywany wyłącznie na materiałach reklamowych Związku Harcerstwa Polskiego, tzw. gadżetach. Już wkrótce zuchy i harcerze będą mogli pisać w szkole długopisem ze znakiem organizacji, do której należą, nalepić na zeszyte nalepkę z logo ZHP czy chodzić w harcerskiej koszulce.

Jest jeszcze jeden efekt konkursu na logo ZHP. Wśród nadesłanych prac można znaleźć wiele interesujących pomysłów, które wprawdzie nie nadają się na logo Związku, ale mogą być świetnymi znakami imprez czy programów. Mówiąc krótko: przez najbliższe kilka lat nie będzie żadnych problemów z pomysłami na różne nalepki, znaczki i plakietki.

Ofiary harcerstwa

Chcemy wychowywać nasze zuchy i naszych harcerzy na dojrzałych, świadomych obywateli Polski. Chcemy, aby byli przygotowani do pełnienia różnych, także tych najbardziej odpowiedzialnych ról społecznych. Chcemy, aby potrafili ułożyć swój plan życiowy na najbliższe 5, 10 i 15 lat i aby umieli konsekwentnie go realizować.

Takie idee przyświecają naszej instruktorskiej służbie. Wierzymy, że to, co robimy, jest z pożytkiem dla harmonijnego rozwoju naszych podopiecznych.

Ale czy tak jest rzeczywiście? A może istnieje jednak przysłowiowa druga strona medalu? Myślę, że tak. A tą drugą stroną są działania harcerskie, których efektem jest zwiększanie się – trzeba użyć tego słowa – patologii, zwiększanie się liczby ofiar harcerstwa.

Kim są ofiary harcerstwa? To nasi harcerze, instruktorzy, którym harcerstwo zabiera część ich życia. Można stwierdzić, że przecież są świadomi, na co i ile poświęcają czasu, że to ich pasjonuje, że daje im to satysfakcję. Tak, to prawda, ale ilu innych rzeczy przez to nie robią? Harcerstwo, jak narkotyk, wciąga, pochłaniając czas i energię.

Czy ofiarami harcerstwa stają się tylko starsi, tylko instruktorzy? Wcale nie. Zaczyna się on nastolatek – zastępowego. Ma on przede wszystkim zbiórkę zastępu, także zbiórkę drużyny, jako zastępowy bierze udział w radzie drużyny, a przecież trzeba się stale dokształcać – więc jeszcze koniecznie zbiórka zastępu zastępowych. No i w weekend wypad do lasu na całą sobotę! A w tym czasie jego rówieśnik idzie na basen, potem na język angielski czy inne zajęcia. Tak, tak! Już słyszę oburzenie, że przecież harcerstwo uczy samodzielności, zaradności itp. itd. Ale czy temu nastolatkowi nie zawężamy jednak możliwości rozwoju?

Dalej jest jeszcze gorzej. Dochodzą przecież odprawy drużynowych w hufcu, rady szczebu, imprezy różnego szczebla, zjazdy, spotkania... Tylko skąd na to wziąć czas?

Ostatnim etapem jest sytuacja, gdy w ankiecie personalnej, w rubryce „za-wód” możemy wpisać: harcerz.

Rozejrzyjcie się wkoło, kochane instruktorki i instruktorzy, spójrzcie na swoje komendy (różnych szczebli). Ileż w nich jest osób, które – jak tylko możecie pamiętać – pracują tam od zawsze. A kim są w życiu? Jaki osiągnęli sukces? Jakim wzorem mogą być dla młodszych instruktorów? Odpowiedź byłaby smutna, bowiem dla wielu harcerstwo jest przystanią, z której wypłyniecie równałoby się utonięciu – i to bardzo szybkiemu.

Jeszcze gorzej jest, gdy taki „harcoholik” zostanie „ważną osobą”, np. komendantem. Wtedy nie dość, że sam często rujnuje sobie życie, zapominając o rodzinie i przyjaciółach, o swych obowiązkach, to jeszcze takiego albo większego poświęcenia wymaga od swych podwładnych. Ich ewentualny opór traktowany jest wtedy jako niesumienne wypełnianie obowiązków służbowych i piętnowany jako postawa niegodna instruktora harcerskiego. A przecież często ci właśnie instruktorzy mogą być wzorem dla młodszych. Mają przecież normalne rodziny, prowadzą normalne życie towarzyskie, realizują się w swoim hobby. Nie, ale nasz „harcoholik” uważa, że jest odwrotnie, choć właśnie się rozwiódł, a o przyjaciółach czy hobby nie ma mowy, no bo kiedy.

A co jest przyczyną powstawania sytuacji, które tworzą „ofiary harcerstwa”? Jest nią przede wszystkim rozchwianie systemu wartości człowieka, w którym harcerstwo ustępują miejsca: rodzina, nauka, przyjaciele.

Jaka jest skala opisanego przeze mnie zjawiska? Wydaje mi się, że wcale nie taka mała. Rozejrzyjcie się wkoło, ileż dostrzeżecie zawodowych harcerzy, którzy nie mają „pozaharcerskich” przyjaciół i – co gorsza – własnych rodzin! To są właśnie ofiary harcerstwa! No, chyba że przeżycie w ten (harcerski od „a” do „z”) sposób życia jest najwyższą formą doskonałości.

Myślę, że nie o to chodzi, gdy składając Przyrzeczenie, mówimy „całym życiem”.

Dlatego uważajmy, aby nie zostać ofiarami harcerstwa. A jeśli taki jest nasz wybór, to przynajmniej nie róbmy ofiar z naszych podopiecznych.

Jak nas widzą? A dobrze!!!

W poprzednim numerze „Czuwaj” Paweł Zygarłowski, relacjonując problemy, jakie dostrzegają młodzi harcerze, przyszli instruktorzy pisał: „Bardzo często powtarzany problem to kwestia wizerunku harcerstwa w społeczeństwie. (...) to, że wizerunek ten nie jest dobry, źle odbija się na naszej pracy”.

Opinia o niedobrym społecznym wizerunku ZHP jest powtarzana dość często przez różne grona instruktorskie. Staje się już, niestety, stereotypem. Śmiem twierdzić, że jest jednak inaczej, że nie jest tak źle. A mam ku temu poważne powody...

Jak to jest z tym naszym społecznym wizerunkiem? Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, w lutym br. na zlecenie Głównej Kwatery ZHP zostały przeprowadzone profesjonalne badania na reprezentatywnej próbie dorosłych Polaków.

Pierwsze pytanie dotyczyło opinii respondentów o Związku Harcerstwa Polskiego. Okazuje się, że u ponad 2/3 z nich ZHP cieszy się pozytywną opinią, przy czym nieznacznie lepiej oceniają nas kobiety niż mężczyźni.

Najlepiej oceniają ZHP osoby starsze (55 lat i więcej) oraz kobiety od 25 do 44 lat (70-75%). Dobra ocena ZHP w tej ostatniej grupie jest szczególnie cenna, bowiem kobiety w tym wieku to przecież matki (lub potencjalne matki) dzieci w wieku zachowowym i harcerskim. Ich opinie mogą wynikać więc z obserwacji własnych dzieci lub dzieci rodziny czy przyjaciół, które należą do ZHP (co świadczyłoby o dobrej jakości naszych środowisk). Jeżeli zaś są to przyszłe matki – to też wspaniale, bo pozytywna opinia może ułatwić ZHP pozyskanie nowych zuchów i harcerzy w przyszłości.

Analizując pozytywne opinie, warto na koniec zauważyć, że najlepiej oceniają ZHP osoby z wyższym wykształceniem (ponad 75%). Nieco lepsze oceny zebraliśmy wśród mieszkańców miast niż wsi.

Czy przedstawione wyniki są dla nas dobre? Zdecydowanie tak. Zwłaszcza, że jedynie niecałe 4% badanych wyraziło swą negatywną opinię o ZHP (w granicach błędu statystycznego)! Ponadto wystarczy go porównać z aprobatą, jaką cieszą różne – nawet te najlepiej postrzegane – instytucje publiczne, np. Rzecznik Praw Obywatelskich, wojsko czy władze samorządowe, które mają jednak nawet kilkadziesiąt procent opinii negatywnych.

Najciekawsze jest jednak to, że jedynie trzy osoby na tysiąc biorących udział w badaniu stwierdziło, że nie słyszało o naszej organizacji! Możemy więc śmiało stwierdzić, że jesteśmy organizacją powszechnie znaną, mocno zakorzoną w świadomości społecznej.

Można wprawdzie przypuszczać, że także osoby, które wybrały odpowiedź „nie mam zdania”, nie znają ZHP. Ale tak licząc, okaże się, że nie słyszało o nas, albo zna harcerstwo na tyle słabo, że nie ma wyrobionej o nim opinii, zaledwie 15% społeczeństwa.

Myślę, że dla wszystkich będą interesujące odpowiedzi na następne pytanie – o cechy, które charakteryzują harcerkę-harcera. Respondenci mogli tutaj swobodnie wymieć trzy najważniejsze cechy.

Zdecydowanie „wygrała” odwaga, którą najlepiej charakteryzuje harcerzy wg 50% kobiet i 41% mężczyzn. Częściej wymieniali ją mieszkańcy wsi.

Na drugim miejscu wymieniano uczynność. Zaś na dalszych miejscach: niepicie i niepalenie, pracowitość i prawdomówność. Mężczyźni mówili ponadto dość często o ofiarności.

Co z tego wynika?

Wniosków jest kilka. Przede wszystkim powinniśmy:

- prowadzić spektakularne akcje – pod jakimś względem wyjątkowe, szczególne; w przypadku harcerzy starszych może to być realizacja zadań, które określamy słowem „wyczyn”;
- pamiętać o znaczeniu służby w idei harcerskiej i prowadzić działania skierowane na innych ludzi, a nie tylko zamykać się w kręgu swoich drużyn (jak to nie raz bywa);
- systematycznie prowadzić działania, które będą potwierdzać społeczną użyteczność harcerstwa;
- w swych poczynaniach, a zwłaszcza w kontaktach zewnętrznych, kierować się profesjonalizmem – być rzetelni, słowni, odpowiedzialni, uczciwi itd.

- skutecznie eliminować z harcerstwa problem picia i palenia, a – zdając sobie sprawę z jego wpływu na nasz społeczny wizerunek – wymagać abstynencji także od nieinstruktorów, którzy z nami współpracują (np. jako kadra gospodarcza na obozach).

Do dzieła!

OD AUTORA:

Profesjonalne badanie na 1000-osobowej reprezentatywnej próbie dorosłych mieszkańców Polski zostało przeprowadzone w dniach 8-14 lutego 1997 r. przez MEMRB International (Poland) na zlecenie Głównej Kwatery ZHP.

Ciekawsze wyniki prezentowałem kiedyś w swoim poradniku „Jak promować harcerstwo”.

Piją i palą

We wstępniku do wakacyjnego numeru „Czuwaj” naczelny [redaktorem naczelnym „Czuwaj” był wówczas hm. Adam Czetwertyński – przyp. GC] pyta, co się stało, że w kilku tekstach poruszony został problem przestrzegania (a właściwie nieprzestrzegania) przez instruktorów naszego Związku Prawa Harcerskiego, szczególnie zaś punktu ostatniego. Ano, drogi druhu Adamie, nic się nie stało. Po prostu na łamach „Czuwaj” znalazł odbicie fakt, że w ZHP są instruktorzy, którzy piją i palą.

Oczywiście, może ktoś powiedzieć, że przecież Prawo Harcerskie ma 10 punktów, a – jak zwykle – podnoszona jest sprawa punktu ostatniego, a właściwie jego drugiej części. Taki argument słyszałem już niejednokrotnie z okopconych ust „harcerzy”-palaczy. Jest jednak pewne ale.

Otóż, jak wynika z badań socjologicznych przeprowadzonych na zlecenie GK ZHP, niepicie i niepalenie są jednymi z najważniejszych cech przypisywanych przez polskie społeczeństwo harcerzom. To elementy odróżniające nasz ruch od setek innych stowarzyszeń.

Poza tym, jeśli chodzi o palenie, raczej nie ma większych problemów z określeniem, czy ktoś przestrzega tej normy zawartej w Prawie Harcerskim czy nie. Po prostu; albo ktoś pali, albo nie. Jest to dosyć jednoznaczne. Trudniej jest przecież z innymi punktami. Chociażby z „miłowaniem przyrody”. No bo jak zatankowałem do swojego samochodu etylinę 98 a nie bezołowiową – to złamałem nasze Prawo, czy nie? A jeśli użyłem wybielacza (...), który makabrycznie truje środowisko naturalne – to złamałem nasze Prawo, czy nie? Jest to trudne. A z paleniem – jak napisałem – jest inaczej: albo ktoś pali, albo nie.

Cóż, zdecydowanie gorzej jest z pić alkoholu. W tym wypadku granicę, której przekroczenie jest równoznaczne ze złamaniem Prawa Harcerskiego, znacznie trudniej określić. Czy harcerz może zjeść cukierka z likworem? A torcik nasączony alkoholem? A wypić piwo, gdy ma kamienie nerkowe? Czy instruktor może wychylić lampkę szampana na swoim ślubie albo w noc sylwestrową? A jak przyjmuje gości z Francji, dla których brak dobrego wina do obiadu jest oznaką barbarzyństwa? A może w harcerskim domu nie powinno być

w ogóle kieliszków, nawet dla gości? Ja mam swoją odpowiedź na te pytania. Zdaję sobie jednak sprawę, że nie da się tu ustalić tej jednej, właściwej granicy.

Czy to skandal?

Wróćmy jednak do problemu. W ZHP wielu harcerzy i instruktorów pije alkohol i pali papierosy. Czy jest to „skandal”? Oczywiście, że tak! Szczególnie biorąc pod uwagę idee, jakie przez dziesięciolecia pozostają w naszym Ruchu niezmiennymi.

Ale to – moim zdaniem – jeszcze nic wielkiego. Trudno, aby w gronie kilkudziesięciu tysięcy ludzi (myślę o instruktorach) nie znalazło się kilkanaście, kilkadziesiąt czy kilkaset „czarnych owiec”. Statystyka na to nie pozwala! Tacy „instruktorzy” są i w ZHP, i w ZHR (druhowie, bądźmy szczerzy!), i – z pewnością – w innych organizacjach harcerskich. Choć, ze względu na zdecydowanie mniejszą skalę tych organizacji, problem jest mniej widoczny. Ważniejszą sprawą – PRAWDZIWYM SKANDALEM (uwaga korekta! to ma być wielkimi literami!), tym, co odróżnia ZHP od ZHR, jest to, że w naszym Związku picie i palenie nie jest zwalczane, nie jest piętnowane. Że na picie i palenie istnieje wśród kadry kierowniczej Związku różnych szczebli powszechnie – choć, oczywiście, niepisane – przyzwolenie. I jeżeli nasi przyjaciele z bratnich organizacji harcerskich mogą mieć do nas pretensje, to przede wszystkim o ten brak reakcji na jawne łamanie harcerskich norm.

Co z tym trzeba zrobić!

No właśnie, co? Najprościej byłoby zrobić powszechną „lustrację” i wyczyścić naszą organizację ze wszystkich pijących i palących. Ale nie jest to chyba najwłaściwszy sposób rozwiązania problemu. Właściwie nic nie rozwiązuje. Zważywszy, że jesteśmy organizacją wychowawczą, wskazane byłoby zastosowanie środków radykalnych, ale wychowawczych. Proponuję więc sformułowanie programu, który zakładałby zlikwidowanie problemu w przeciągu na przykład pół roku. Należałoby wszystkim mającym kłopot z rzuceniem nałogu zaoferować pomoc organizacji, także finansową, stworzyć grupy terapeutyczne korzystające z fachowej opieki terapeutów czy psychologów.

Czy jest to realna propozycja? Wydaje mi się, że tak. Wymaga – tak naprawdę – dwóch rzeczy: otwartego stwierdzenia, bez hipokryzji, że oba nałogi są proble-

mem znacznej liczby instruktorów harcerskich oraz ich szczerzej chęci wyjścia z uzależnienia.

Dopiero po zakończeniu tych działań będziemy mogli z czystym sumieniem podejmować stanowcze, radykalne kroki, wykluczając z naszych szeregów już nie tych, co piją czy palą, lecz tych, którzy piją czy palą, bo nie skorzystali z danej im szansy rzucenia nałogu.

Wartości

Jest także w ZHP inna grupa „łamaczy” 10 punktu Prawa. To ci, którzy nie są nałogowcami, ale popalają lub popijają sobie na boczkach. Oni są zdecydowanie gorsi! Bo nałogowcom można współczuć uzależnienia, a jeśli chcą rzucić nałóg, to warto i trzeba im pomóc i jeśli walczą ze swoją słabością – to budzą mój szczerzy szacunek. A w tym przypadku jest inaczej – łamanie określonej normy zawartej w Prawie Harcerskim nie jest efektem uzależnienia (czyli choroby), ale de facto braku identyfikacji z Ruchem Harcerskim. Bo o związku z ideą harcerską nie świadczy przecież mundur, funkcja czy nawet stopień instruktorski, tylko stopień uwewnętrznienia norm będących istotą harcerstwa, życie w zgodzie z określonymi wartościami.

A co jest przyczyną takich postaw? Wydaje mi się, że sednem jest brak pracy: od zucha, harcerza z Prawem Zucha i Prawem Harcerskim – niewpajanie od najmłodszego zasad, którymi członek naszej organizacji winien się kierować. To także powtarzane tu i ówdzie przekonanie, że Prawo Harcerskie nie obowiązuje instruktorów, choć – jako wychowawców – obowiązuje nas najbardziej. To wszystko kreuje nowy typ „instruktora”, u którego – za fasadą frazesów i zewnętrznych oznak przynależności organizacyjnej – mieści się ideologiczna, aksjologiczna pustka.

Dylematy

Wiem, że rozwiązanie problemu picia i palenia w ZHP jest trudne. Ale konieczne! Chyba każdy świadomy instruktor doskonale zdaje sobie sprawę z wpływu negatywnych wzorców na proces wychowawczy.

Wiem, że zawsze pojawiać się będą dylematy typu: czy lepszy taki drużynowy, czy lepiej, aby rozpadła się drużyna, a może lepiej nie wywlekać sprawy na światło dzienne, bo jak to wpłynie na wizerunek harcerstwa... itp., itd.

Sam stałem niejednokrotnie przed takimi problemami. Chociażby teraz, gdy byłem świadkiem zdarzenia, kiedy to pewna osoba (nie precyzuję, czy „instruktorka”, czy „instruktor”) piła – i to za pieniądze związkowe (!). Co mam zrobić? Czy z racji pełnienia przez tę osobę jakiejś funkcji powinienem siedzieć cicho, aby nie psuć wizerunku harcerstwa, czy może odwrotnie – dla ochrony image ZHP ujawnić zdarzenie, aby takim incydentom w przyszłości zapobiec? A czy moje ewentualne milczenie będzie równoznaczne ze współudziałem? To są prawdziwe dylematy!!!

PS

Ponieważ nie mam większego wpływu na zachowania wielu osób, to przyjąłem następującą zasadę: wprawdzie nie zmienię starszych „instruktorów”, ale przynajmniej – będąc odpowiedzialnym za kształcenie – nie będę promował nowych, młodych „łamaczy” Prawa Harcerskiego.

OD AUTORA:

Zasadę, o której piszę w PS, rzeczywiście stosuję bez wyjątków w kształceniu. I zawsze wprost mówię i uprzedam: jesteś trunkowy, lubisz puścić dymka – nie ma szans, abym podpisał twój dyplom ukończenia kursu.

Gminne refleksje

Właśnie rozpoczynamy w Związku kolejny program w ramach „Moich Ojczyzn”. Tym razem „bierzemy na tapetę” naukę demokracji, funkcjonowanie w społeczności lokalnej. Nie unikniemy – przynajmniej w instruktorskim gronie – dyskusji o miejscu harcerstwa, hufca w swojej wspólnotie lokalnej. Tym bardziej, że wielkimi krokami zbliżają się kolejne wybory samorządowe, jakże dla nas ważne.

Zapewne tematy gminne coraz częściej będą przedmiotem instruktorskich dysput. Dziś garść moich refleksji, będących w większości efektem zajęć, jakie miałem okazję w niedawnym czasie prowadzić na kursach komendantów hufców i kadry kształcącej.

Nam się należy!

W ten właśnie sposób myślą instruktorzy w niejednym hufcu. Są przekonani, że nam – harcerstwu – coś się od gminy należy. Że nam, niejako z definicji, należy się wsparcie. Taka postawa nie sprzyja dobrej współpracy, tym bardziej, gdy towarzyszy jej stanie z założonymi rękami, biadolenie i czekanie... Tylko właściwie na co?

Aby coś zmienić, należy odbyć niewielką podróż myślową, zastanowić się, jakie są przyczyny aktualnej sytuacji i w jaki sposób możemy to zmienić.

Czy jesteśmy pożyteczni?

Jest to podstawowe pytanie, jakie powinniśmy sobie zadać. Nim pójdziemy na spotkanie do burmistrza czy wójta, spróbujmy znaleźć na nie absolutnie szczerą odpowiedź. Choć wydać się to może prowokacją, twierdzę, że wiele środowisk nie może – niestety – pochwalić się licznymi sukcesami w działaniach na rzecz swojej wspólnoty lokalnej. Owszem, harcerze zdobywają sprawności, stopnie, chodzą na rajdy, wyjeżdżają na obozy. Tyle, że rodzi się następne pytanie.

Czy to interesuje gminę?

No bo pomyślmy: co obchodzi gminę, że nasi harcerze zdobyli ileś sprawności, że przebyli podczas rajdów ileś kilometrów?

Tak – powie ktoś – ale przecież powinien interesować naszych radnych rozwój dzieci. Zgoda, powinien. Jako instruktorzy wiemy, że inwestycja w wychowanie jest niezwykle opłacalna. Nie oszukujmy się jednak, jest to inwestycja przynosząca efekty po wielu latach. A jest to perspektywa zbyt długa dla wielu, wielu radnych, których żywot odmierzają kolejne czteroletnie kadencje.

Tak więc nie możemy liczyć na specjalne względy, gdy nasze działania kierujemy do wewnątrz. W naszym programie musi znaleźć się miejsce dla aktywności w życiu społeczności lokalnej. Co więcej, to właśnie harcerstwo powinno być tym ruchem, który pobudza do działania innych, który skupia ludzi – zwłaszcza tych najmłodszych – wokół spraw swojej wspólnoty lokalnej i tę wspólnotę skutecznie buduje.

Jest to trudne, ale nie nierealne. Tym, którzy nie wiedzą, jak się do tego zabrać, przychodzi z pomocą program „Paszport do Europy”, do którego realizacji serdecznie zachęcam.

Informacja

Zdarza się, że harcerska aktywność na forum lokalnym osiąga najwyższy pułap – i nic.

To znak, że może szwankować nasz system informacji zewnętrznej. Mówiąc prościej: o naszych działaniach wiedzą nie ci, co trzeba. A do tych, którzy mają jakąś moc sprawczą, pożądana informacja w ogóle nie dociera albo zanika gdzieś wśród dziesiątek czy setek innych wiadomości.

Co więc zrobić? Przede wszystkim informować, jednakże pamiętając o zróżnicowanym ciężarze gatunkowym komunikatów (informacje też się dewaluują). A ponadto chwalić się sukcesami, eksponować osiągnięcia członków naszej organizacji, jeszcze raz informować, zapraszać, gratulować, dziękować...

Dajcie nam pieniądze!

Tym hasłem można byłoby określić strategię współpracy niejednej komendy harcerskiej. To błąd! Błąd, ponieważ cenniejszą – w dłuższej perspektywie – może okazać się życzliwość urzędników gminnych czy radnych. Tym bardziej że obecnie prawie wszystkie sfery życia lokalnego zależą wyłącznie od gminy. Zwłaszcza te dla harcerstwa najistotniejsze. Mam tu na myśli przede wszystkim (już gminne) szkoły.

Współpraca – partnerstwo

Niewątpliwie najefektywniejsza współpraca jest osiągana przy stosunkach partnerskich. A partnerstwo – z zasady – zakłada obustronną aktywność dla ko-

rzyści obu partnerów. Przy czym korzyść nie musi być wcale materialna (czyli nie wg zasady „dajcie nam pieniądze!”).

Jakie możemy lub chcemy mieć korzyści – doskonale wiemy. Natomiast co może ze współpracy mieć gmina? Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, proponuję lekturę ustawy o samorządzie terytorialnym bądź jakiegokolwiek z wielu książek o zadaniach gminy.

Jeśli posiadzimy tę wiedzę, lepiej zrozumiemy i wyczujemy intencje naszego partnera.

Konkrety i konkurencja

Zdecydowanie łatwiej pozyskamy przychyłność, a tym bardziej fundusze na harcerską działalność, jeżeli będziemy potrafili skonkretyzować nasze wnioski o pomoc i – o czym wspomniałem – działalność ta będzie najpełniej odpowiadała oczekiwaniom i potrzebom gminy.

I nie dziwny się, że ktoś będzie nas „egzaminował”, wypytywał o szczegóły organizowanych akcji, skrupulatnie czuwał nad wydatkowaniem najmniejszych nawet kwot. Nie wynika to z czyjejś niechęci do harcerzy, ale z troski o to, by nie zmarnowały się gminne, a więc publiczne pieniądze.

Ponadto musimy mieć świadomość, iż chętnych do gminnych funduszy jest wielu (zawsze więcej, niż może na to pozwolić budżet). Od nas, tylko od nas zależy, czy nasze propozycje zostaną uznane za ponadprzeciętne i warte zainwestowania. Jeśli nie będziemy wyjątkowi, świetni, to nie będziemy mieli podstaw, aby dziwić się, że dotację otrzymało np. Stowarzyszenie Zielonych Krasnali (z całym szacunkiem dla nich) – a nie ZHP.

Swój człowiek w radzie

Jest to – w powszechnej opinii – najlepszy sposób zabezpieczenia harcerskich interesów w gminie. Nie jest to do końca prawda, bowiem wiele decyzji podejmowanych jest na zdecydowanie niższym szczeblu. Ponadto radni się zmieniają, a urzędnicy pozostają. Warto więc zadbać o ich przychyłność.

Zamiast przepychać na siłę kogoś do rady gminy, w której ze swoimi pomysłami zginie osamotniony, lepiej postarajmy pozyskać dla naszych idei więcej radnych, szczególnie tych, którzy pracują w komisjach oświaty, kultury czy sportu i turystyki. Bo harcerski (czytaj: przyjazny harcerstwu) radny, to niekoniernie harcerz lub instruktor.

Ale jeśli już chcemy, aby ktoś z naszego hufca był radnym, to uczynimy wszystko, aby w świadomości społecznej z harcerskim radnym kojarzył się przede wszystkim profesjonalizm.

Co to znaczy? To już odrębny temat – rzeka...

Radny – recepta na sukces?

Wielkimi krokami zbliżają się wybory samorządowe. Od dłuższego już czasu w różnych gronach instruktorskich naszego Związku, na łamach wielu mniejszych i większych gazet harcerskich i instruktorskich gości temat udziału nas – harcerzy w tym wydarzeniu. Dodatkowymi impulsami są tu z pewnością Program ZHP „Paszport do Europy” – wyraźnie wskazujący na konieczność zaangażowania się harcerstwa w życie społeczności lokalnej – oraz stanowisko XXXI Zjazdu ZHP w tej kwestii.

I wszyscy są szczęśliwi, szykują się do startu, wygranej w wyborach i objęcia lukratywnych (?) posad w radach gmin. W tym miejscu chciałbym jednak zmaćć ten nastrój i zastanowić się nad kilkoma istotnym – jak myślę – sprawami.

Po co mielibyśmy być radnymi?

Z moich rozmów z instruktorami wynikają trzy główne powody pchające instruktorów do rad gmin:

1. szansa wybicia się, zrobienia kariery,
2. dorobienie w sumie niezłych pieniędzy do własnych dochodów, jakże często ograniczonych ze względu na przeznaczanie dużej ilości czasu na działalność społeczną w harcerstwie,
3. załatwienie ważnych spraw dla hufca czy szczepu – czytaj: załatwienie masy pieniędzy.

O ile – od biedy – rozumiem i uważam za normalne pierwsze dwa motywy, to najgroźniejsza z punktu widzenia zarówno społeczności lokalnej, jak i ZHP, jest ostatnia motywacja. Nie ma bowiem nic gorszego niż rada gminy składająca się z radnych, którzy reprezentują określone grupy nacisku, ich zainteresowania koncentrują się na bardzo wąskim zakresie działania samorządu, a jedynym ich

celem jest załatwienie swoich (swojej grupy) spraw. Każdy z pewnością zna z autopsji podobne przypadki i doskonale wie, że takie układy absolutnie nie sprzyjają harmonijnemu rozwojowi miasta czy wsi oraz właściwemu zaspokajaniu zbiorowych potrzeb mieszkańców – co jest przecież podstawowym zadaniem samorządu terytorialnego.

Problem, o którym piszę, to nic innego, jak upartyjnienie samorządu, upodabniający go do wielkiej polityki, kojarzącej się – jak wynika z badań społecznych – z nieczystą grą, rozgrywaniem partykularnych interesów, nieliczeniem się z dobrem ogółu.

Dlatego tak istotne jest, abyśmy my – harcerze nie traktowali bycia radnym jako środka do załatwienia naszych, harcerskich problemów. Dlaczego? Po pierwsze: nie będziemy wówczas różnić się niczym (oprócz nazwy i idei porzuconej gdzieś w kącie) od wielu partii politycznych, których cele są jednak zdecydowanie inne od naszych. Po drugie: nie dajmy się zwariować – „wciśnięcie” do rady gminy jednego czy dwóch naszych przedstawicieli nie przysporzy nam pieniędzy (o które, jak wspomniałem, najczęściej chodzi). Jak powiada stare powiedzenie „pieniądze szczęścia nie dają” – również w harcerstwie. Dzięki pieniądзом nie przybędą nam w jednej chwili nowe gromady i drużyny, a program sam się nie zrobi!

Czy partykularyzm jest harcerski?

Jak napisałem wcześniej, sytuacja, kiedy instruktor zostaje radnym dla załatwienia harcerskich potrzeb (szczególnie finansowych) jest groźna także dla ZHP. Z jednej strony taka postawa może fatalnie wpłynąć na wizerunek harcerstwa w społeczności lokalnej („nawet harcerze się żrą, chcą jak najwięcej wyrwać dla siebie!”), zniechęcać zwolenników naszego ruchu przez działania jawnie sprzeczne z harcerską ideą. Z drugiej zaś może mieć fatalne skutki wychowawcze. I tu dotykamy sedna problemu. Pełnienie funkcji radnego powinno być najpełniejszą formą rozwoju społecznego harcerza starszego, instruktora. Zuch, harcerz, instruktor na ścieżce swojego rozwoju w ZHP winien podejmować coraz większą odpowiedzialność za rozwój, kształtowanie swojej wspólnoty lokalnej – pełniąc coraz bardziej odpowiedzialne, dostosowane do jego rozwoju i możliwości, role społeczne. Musimy dążyć do sytuacji, kiedy decyzja o kandydowaniu na funkcję radnego będzie głęboko przemyślana, rozważna, podjęta w przekonaniu, iż nasze umiejętności, wiedza, doświadczenie może pomóc w budowaniu i rozwoju wspólnoty lokalnej, w której mieszkamy. Na kim,

jeśli nie na harcerstwie – z jego ideami, zasadami – ma opierać się tworzenie tej wspólnoty, budowanie zaufania do instytucji samorządu terytorialnego?! Kto inny, jeśli nie instruktorzy harcerscy, ma udowodnić, że jest się radnym nie jednej partii, grupy interesów czy jednego stowarzyszenia, ale radnym wszystkich mieszkańców, działającym w ich interesie?!

Są inne formy!

Gdy mówimy o współpracy z samorządem, często rozumiemy pod tym pojęciem bycie radnym, co jest przecież dużym błędem. Istnieje bowiem znacznie więcej form aktywności społecznej – także na „dorosłym” poziomie.

Podstawową jest z pewnością udział w wyborach, co jest prawem obywatelskim każdego dorosłego Polaka. Choć jest to prawo, a nie obowiązek obywatelski, to – w efekcie harcerskiego wychowania – udział w wyborach winien mieć dla harcerzy charakter normatywny.

Wybory to także szansa aktywności poprzez pracę w obwodowych komisjach wyborczych.

Podobnie jest podczas referendum. Z tym, że referendum gminne posiada dodatkową cechę istotną dla tworzenia się więzi z miejscem zamieszkania i jego problemami. Bowiem może być przeprowadzone między innymi na wniosek 1/10 mieszkańców uprawnionych do głosowania. Jeżeli cel referendum jest zgodny z celami i zasadami harcerstwa, jest – według naszej oceny – korzystny dla mieszkańców, w tym dzieci i młodzieży, wówczas nie widzę przeszkód, abyśmy nie zaangażowali się w ruch społeczny, doprowadzając do referendum, a potem – zachęcając ludzi do wzięcia w nim udziału – do jego ważności (zgodnie z ustawą o samorządzie terytorialnym dla ważności referendum niezbędna jest frekwencja minimum 30 %).

Środków partycypacji obywatelskiej w życiu społeczności lokalnej jest znacznie więcej. Możemy także aktywnie uczestniczyć w konsultacjach, spotkaniach z radnymi czy zgłaszać wnioski do miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Możemy wreszcie – jako widzowie – uczestniczyć w posiedzeniach plenarnych rady gminy. Wprawdzie nie posiadamy wówczas prawa głosowania, ale – jak wskazuje praktyka – nacisk osób obecnych na sesjach rad gmin niejednokrotnie już wpłynął na decyzje podejmowane przez radnych.

Bądźmy ekspertami!

Na koniec chciałbym trochę więcej miejsca poświęcić jeszcze jednej formie partycypacji obywatelskiej.

Próbowałem już przekonać was, że radny w pojedynkę często za wiele nie zdziała. Tak więc instruktor, choć doskonale znający potrzeby dzieci i młodzieży, mający pomysły rozwiązania ich ważnych problemów, często nie jest w stanie przekonać innych radnych.

Ponieważ – tak myślę – jesteśmy ekspertami w dziedzinie wychowania dzieci i młodzieży, możemy zająć miejsca przeznaczone dla ekspertów. Jak wynika z ustawy samorządowej, nawet połowę składu komisji rady gminy mogą stanowić osoby spoza niej. To jest właśnie miejsce, w którym możemy prezentować swoje opinie, rozwiązania, pomysły, będąc jednocześnie traktowani z należnym nam – ekspertom – szacunkiem. Często ta forma okazuje się najbardziej efektywna.

Jak widać, możliwości jest wiele. Nie trzeba od razu zasiadać w radzie gminy, aby mieć wpływ na życie lokalne. Jeśli jednak uparliście się i marzy wam się kariera radnego – wtedy zapraszam do lektury za miesiąc.

Radny – duża wiedza

Miesiąc temu zająłem się różnymi warunkami, jakie winien spełniać kandydat na radnego. Oczywiście – nie każdy kandydat, ale taki, który chce osiągnąć sukces wyborczy. No bo każdy zgodzi się z tym, że szkoda pieniędzy, czasu, ryzyka straty prestiżu, zaufania, a czasem i przyjaciół (to tylko w szczególnie niesprzyjających okolicznościach) dla przedsięwzięcia z góry skazanego na niepowodzenie.

Ale dyspozycyjność czasowa, dobre „prowadzenie się”, doświadczenie w działalności społecznej itd. to nie wszystko, to nie wystarczy, aby zostać radnym. Bowiem wymienione elementy są – używając nazewnictwa matematycznego – warunkiem koniecznym, ale niewystarczającym, aby z powodzeniem kandydować w wyborach samorządowych.

Po pierwsze: fachowiec

Co jeszcze? Ano liczy się wiedza. No bo wyobraźmy sobie np. taki Wąchock, w którym wszyscy radni są: kulturalni, mili, sympatyczni, szarmanccy, uprzejmi, weseli, żonaci (a radne zamężne), mają dzieci dobrze uczące się itd., ale nie mają wiedzy dotyczącej żadnej z dziedzin życia lokalnego. Jasne jest, że w takiej sytuacji nie ma co liczyć na rozwój Wąchocka.

Zatem zadbajmy, aby nasi – harcerscy – kandydaci na radnych byli ekspertami w jakiejś dziedzinie. I nie chodzi mi tu wcale o ukończone dwa fakultety, studia podyplomowe, trzy kursy zawodowe, uzyskane trzy licencje państwowe itd. Rzecz w tym, aby kandydat miał doświadczenie zawodowe, pewną wiedzę z jakiegokolwiek dziedziny, po prostu – był w czymś fachowcem.

Fach ma mniejsze znaczenie w czasie wyborów, choć oczywiście ludzie mają swoje preferencje. Jedni głosują tylko na nauczycieli, inni zawsze na inżynierów, zaś jeszcze inni nigdy nie oddadzą swego głosu na ślusarza (bo kiedyś ślu-

sarz źle dorobił im klucz) albo lekarza (bo wypisał ich dziecku zły antybiotyk)... Tu prawidłowości naprawdę nie ma. Wiele zależy od konkretnej gminy, konkretnego środowiska lokalnego.

Wiedza fachowa jest za to niezbędna, aby być dobrym radnym (a chyba każdy startujący w wyborach chce nim być). I – co wydaje się oczywiste – dla każdego zawodu znajdzie się w działalności rady gminy jakiś zakres spraw.

Wystarczy przyrzeć się ustawie samorządowej, która – w art. 7 – precyzuje zadania własne gminy obejmujące w szczególności sprawy:

- 1) *ładu przestrzennego, gospodarki terenami i ochrony środowiska,*
- 2) *gminnych dróg, ulic, mostów, placów oraz organizacji ruchu drogowego,*
- 3) *wodociągów i zaopatrzenia w wodę, kanalizacji, usuwania i oczyszczania ścieków komunalnych, utrzymania czystości oraz urządzeń sanitarnych, wysypisk i utylizacji odpadów komunalnych, zaopatrzenia w energię elektryczną i ciepłą,*
- 4) *lokalnego transportu zbiorowego,*
- 5) *ochrony zdrowia,*
- 6) *pomocy społecznej, w tym ośrodków i zakładów opiekuńczych,*
- 7) *komunalnego budownictwa mieszkaniowego,*
- 8) *oświaty, w tym szkół podstawowych, przedszkoli i innych placówek oświatowo-wychowawczych,*
- 9) *kultury, w tym bibliotek komunalnych i innych placówek upowszechniania kultury,*
- 10) *kultury fizycznej, w tym terenów rekreacyjnych i urządzeń sportowych,*
- 11) *targowisk i hal targowych,*
- 12) *zieleni komunalnej i zadrzewień,*
- 13) *cementarzy komunalnych,*
- 14) *porządku publicznego i ochrony przeciwpożarowej,*
- 15) *utrzymania gminnych obiektów i urządzeń użyteczności publicznej oraz obiektów administracyjnych,*
- 16) *zapewnienia kobietom w ciąży opieki socjalnej, medycznej i prawnej.*

Dużo tego, prawda? Jak widać, praktycznie każdy znajdzie wśród wymienionych zadań takie, w których czuje się fachowcem. I oto właśnie chodzi!

Jeżeli stwierdzicie, że wasz kandydat raczej nie jest specem w czymś, wówczas – dobrze radzę – przekonajcie go, że nie warto startować. Po co ma wam (lokalnemu harcerstwu) psuć opinię?!

Żeby było jasne, nie jestem przeciwny startowaniu w wyborach ludzi, którzy nie mają żadnego zawodu. Uważam jednak, że najpierw jest czas na naukę –

potem na rządzenie. W żadnej gminie w Polsce nie powinno stanowić problemu wyłonienie z kilkunastu czy kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców kilkunastu czy kilkudziesięciu naprawdę mądrych, odpowiedzialnych przedstawicieli. Leży to w interesie każdej wspólnoty lokalnej. A biorąc pod uwagę szczytne cele i zasady Związku Harcerstwa Polskiego, absurdem byłoby, gdyby właśnie środowiska harcerskie przyczyniały się do obniżania poziomu radnych.

Co samorządowiec wiedzieć powinien?

Fachowość fachowością, ale radny powinien także mieć wcale niemałą wiedzę o tym, co to jest samorząd terytorialny i jak to działa, a także o najważniejszych problemach lokalnych.

Wiedza o samorządzie

Znam radnych, którzy po dwóch kadencjach nie mają jeszcze własnego egzemplarza ustawy samorządowej... i wcale im to nie przeszkadza. To tak, jakby ktoś podróżował kilka lat przez dżunglę nie mając żadnej mapy. Zresztą efekty są podobne: błędzenie, wpadanie w pułapki przyrody (tu proceduralne), ewentualne osiągnięcie celu w czasie kilkakrotnie dłuższym.

Tak więc pierwszą rzeczą, w którą winien zaopatrzyć się kandydat na radnego, jest ustawa samorządowa z 8 marca 1990 roku. Ale to nie koniec. Ustaw, rozporządzeń, które regulują sprawy samorządu terytorialnego, są dziesiątki. Nie wszystkie trzeba znać, nie wszystkie się od razu przydadzą, natomiast warto je mieć pod ręką. Dlatego zachęcam was do kupna gotowych zestawów aktów prawnych związanych z samorządem terytorialnym. Ułatwicie sobie w ten sposób dostęp do odpowiednich przepisów, a także – co jest wielkim plusem tego typu wydawnictw – uzyskacie gwarancję systematycznego uzupełniania waszego zbioru w trakcie następowania zmian w systemie prawnym.

Poza tym polecałbym zakupienie kodeksu postępowania administracyjnego oraz książek, poradników omawiających procedury obowiązujące w różnych organach samorządu terytorialnego. Dlaczego? Tylko w ten sposób unikniemy sytuacji, kiedy inni radni (ci, którzy zostali wybrani na kolejną kadencję) będą nami manipulować, wykorzystując nasz brak wiedzy i doświadczenia.

Znajomość problemów lokalnych

Może ktoś powiedzieć, że przed wyborami ta wiedza jest nieistotna, bo kampania wyborcza to zestaw tricków i różnych zabiegów psychologicznych do-

konywanych na elektoracie. Zgoda, to prawda. Ale jeśli nawet nie zdarzy się sytuacja, że wasz kandydat na radnego zostanie „zagięty” przez jakiegoś mieszkańca, to po wyborze stanie się klasycznym przykładem „radnego bez wizji”. Już nie będę pisał o konsekwencjach tego dla harcerstwa, którego jest reprezentantem, bo – jak myślę – jest to dla wszystkich jasne.

Nasz kandydat na radnego musi znać problemy swojej społeczności lokalnej, choć nie jest niezbędna szczegółowa wiedza w zakresie wszystkich spraw ani posiadanie planu rozwiązania każdego zagadnienia. Nikt nie będzie wymagał, aby kandydat był omnibusem. Praktyką jest, iż każdy ma kilka „ulubionych” dziedzin, na których się zna, których koncepcje rozwoju ma dokładnie opracowane, którymi będzie chciał się zająć w radzie (pracując w odpowiedniej komisji). Pamiętać należy, że ludzie nie lubią omnibusów w myśl zasady: „on zna się na wszystkim, czyli na niczym”.

Jest chyba się oczywiste, że jednym z głównych zainteresowań harcerskiego kandydata na radnego będą: sytuacja dzieci i młodzieży, ich problemy, możliwości rozwoju, oferta kulturalna, sportowa, warunki szkolne itd. Pamiętajmy – o czym pisałem już dwa miesiące temu – tu jesteśmy ekspertami. I tego się trzymajmy!

A za miesiąc przeczytacie o umiejętnościach niezbędnych kandydatowi na radnego, a tak naprawdę każdemu człowiekowi, który chce skutecznie wpływać na zmiany.

OD AUTORA:

Należy pamiętać, że tekst został napisany w roku 1998 – odpowiada więc stanowi prawnemu z tamtego roku.

Radny – wiele umieć powinien

Jeżeli, drogi Czytelniku, po przeczytaniu moich ostatnich tekstów w „Czuwaj” pod wspólnym tytułem „Radny” jeszcze nie załamaleś się, że kandydat na kandydata na radnego (a od tego poziomu do zajęcia miejsca w radzie gminy przecież daleka droga) musi wiedzieć bardzo, bardzo dużo – to możesz spokojnie zasiąść do lektury tego artykułu.

Tym razem – zgodnie z zapowiedzią sprzed miesiąca – będzie o umiejętnościach, jakie powinien posiadać nasz kandydat na radnego.

Warunki konieczne, ale niewystarczające

Może to wydać się śmieszne, ale podstawową umiejętnością jest sprawne posługiwanie się naszym językiem ojczystym. I nie chodzi mi tu wcale o umiejętność stosowania wyrafinowanych figur retorycznych, ale o zwykłą zdolność do zrozumiałego (dla innych) wysławiania się w języku polskim.

Może sobie ktoś pomyśleć, że robię sobie żarty, lecz proponuję zaraz po podjęciu decyzji o kandydowaniu zakupienie – o ile ktoś jeszcze nie posiada – „Słownika ortograficznego” oraz „Słownika poprawnej polszczyzny”. Naprawdę to nie żart – najnowsza historia zanotowała już plakaty, ulotki i inne materiały wyborcze z błędami ortograficznymi (że o gramatycznych nie wspomnę).

Następnym warunkiem koniecznym w ogóle w życiu, ale zdecydowanie niewystarczającym, zwłaszcza dla osoby wkrótce publicznej, jest znajomość dobrych obyczajów. I znów proszę, żeby się nie śmiać! Bo jestem pewien, że wielu ludzi, którzy mają siebie za osoby kulturalne, dobrze wychowane, obyte, pogubiłoby się w trakcie witania z większą delegacją jakiejś instytucji (na dodatek składającą się z osób różnej płci), tym bardziej na obiedzie w wykwintnej restauracji, gdzie serwują różne dania raczej niespotykane w codziennym życiu.

I na koniec chciałbym jedynie wspomnieć o umiejętności niezbędnej naprawdę każdemu człowiekowi – łatwości kontrolowania swoich zachowań. Często rozumiemy pod tym zdolność np. do powstrzymania się przed wybuchem gniewu.

wu, kiedy jesteśmy zdenerwowani, czyli umiejętność panowania nad swoimi reakcjami emocjonalnymi. Ale to za mało. Sztuką nie jest panowanie nad sobą w sytuacjach ekstremalnych: stresu, wściekłości, złości itd. Naprawdę cenna jest umiejętność bycia poruszonym – kiedy nie jesteśmy, a powinniśmy, bycia ekspresyjnym, rozentuzjasmowanym, dominującym – kiedy jesteśmy bardzo smutni, przytłoczeni, bo samochód przejechał naszego kochanego psa, bycia pewnym siebie, poczucia własnej wartości – kiedy jesteśmy „zdołowani”, bo na trzech wcześniejszych spotkaniach w dniu dzisiejszym wykazano naszą niekompetencję.... itp., itd.

Dobre wrażenie

Te wszystkie umiejętności plus nasza wiedza mają się złożyć na nasz wizerunek jako osoby kompetentnej, obytej, doświadczonej, godnej zaufania... Najważniejszą sprawą jest bowiem to, abyśmy zawsze sprawiali dobre wrażenie. Jest ono ważniejsze niż rzeczywista ocena merytoryczna jakiejś osoby. Dlaczego? Po pierwsze: na spotkaniu przedwyborczym, z ulotki wyborcy nie wyrobią sobie opinii o żadnym kandydacie zgodnej z rzeczywistością. Opierać się będą w większości jedynie na pierwszych odczuciach – górę wezmą często nie rozum, a emocje. Po drugie: znajomość spraw lokalnych wśród mieszkańców jest z reguły fragmentaryczna i oceniają oni kandydatów na podstawie ich stosunku do jednego, ważnego dla danego wyborcy problemu oraz właśnie ogólnego, dobrego wrażenia.

Poza tym pamiętajmy, że ludzie mają skłonność do przypisywania wielu pozytywnych cech, dużej wiedzy, doświadczenia, wielu umiejętności osobom ładnym, przystojnym, zadbanym – uogólniając: sprawiającym dobre wrażenie. I na te osoby chętniej głosują.

Umiejętność pozyskiwania informacji

Kandydat na radnego w trosce o dobre wrażenie musi umieć pozyskiwać informacje. O problemach gminy, o najważniejszych sprawach, którymi zajmowała się dotąd rada gminy, o zasadach funkcjonowania władz samorządowych. Jest to przecież proste, wystarczy:

- odwiedzić biuro rady gminy, gdzie dowiemy się, jaka jest struktura rady, jakie funkcjonują w niej komisje i kiedy się spotykają, jakie obowiązują najważniejsze przepisy gminne;
- brać udział w posiedzeniach komisji oraz w sesjach rady gminy – w ten sposób dowiemy się, co jest przedmiotem obrad;
- brać udział w spotkaniach z radnymi;

- czytać prasę lokalną;
- przejrzeć protokoły z posiedzeń rady, aby dowiedzieć się, czy istnieją i jakie grupy interesów na terenie gminy;
-

Umiejętność prezentacji

Jedną z najważniejszych w okresie przedwyborczym jest umiejętność prowadzenia spotkań z potencjalnymi wyborcami, prezentowania się na szerszym forum. Na to składają się m.in. umiejętności:

- opanowania stresu, zdenerwowania (patrz: warunki konieczne...);
- zrozumiałego wysławiania się (patrz: warunki konieczne...);
- dostosowania sposobu mówienia: głośności, szybkości, wysokości, tonu głosu, długości zdań do odbiorców; dotyczy to także słownictwa, które lepiej, aby nie było przeładowane określeniami specjalistycznymi (choć dobrze jest czasem ot tak, mimochodem „rzucić” paragrafem z jakiejś ustawy – dając do zrozumienia, że przepisy mamy w małym palcu);
- wypowiadania się „z głowy” bez ciągłego podpierania się notatkami;
- nawiązywania kontaktu ze słuchaczami, „rozruszania” publiczności, zachęcenia do interakcji – poprzez zadawanie pytań, wyrażanie uwag czy wątpliwości;
- odpowiadania na szczegółowe pytania w ten sposób, aby inni również byli zainteresowani odpowiedzią – czyli przechodzenia od wąskich problemów na wyższy poziom ogólności;
- kontrolowania własnych gestów i jednocześnie wykorzystywania ich dla wpływania na uczestników spotkania;
- dbania o kulturę dyskusji.

Umiejętność przekonywania i dyskusji

No właśnie: kultura dyskusji. Jest to problem chyba wszystkich ciał kolegialnych, instytucji w naszym kraju. Polacy po prostu nie potrafią dyskutować: czy to rada drużyny, czy Sejm RP. Tym bardziej ważne stają się umiejętności przekonywania do swoich racji, polemiki, przedstawienia swego odrębnego zdania – bazujące na racjach merytorycznych, a nie sile głosu czy – o zgrozo! – argumentach rodem z pism brukowych.

Dlatego pamiętajmy, że w sporach z naszymi konkurentami, oponentami niesłuchanie ważne jest nie tylko wykazanie się wyższością merytoryczną, ale mówienie nad innymi także kulturą dyskusji.

Przedstawione umiejętności są – jak zapowiedziałem miesiąc temu – niezbędne nie tylko przyszłemu radnemu, lecz każdemu człowiekowi, który chce skutecznie wpływać na zmiany w swoim otoczeniu, skutecznie realizować swoje cele.

Celem tego artykułu było jedynie zasygnalizowanie, jak wiele osoba decydująca się na kandydowanie do rady gminy musi umieć. Przepraszam więc, jeśli zawiodłem kogoś, kto liczył, że po przeczytaniu tego tekstu nauczy się wielu niezbędnych radnemu umiejętności. Nie było to moją ambicją. Zresztą i tak by się to nie udało – trudno przecież nabyć umiejętności czytając artykuł czy nawet kilkadziesiąt podobnych tekstów. Jest tylko jeden sposób: trzeba ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć...

* * *

Żeby było jasne: radnym można zostać z powodzeniem, nie posiadając cech, o których pisałem dwa miesiące temu, nie trzeba mieć wiedzy, którą prezentowałem miesiąc temu, nie trzeba posiadać wymienionych wyżej umiejętności. Ale nam – instruktorom Związku Harcerstwa Polskiego – powinno zależeć na tym, aby nasi przedstawiciele w radach gmin (a wkrótce także powiatów i województw) byli jak najlepsi. I to w naszym interesie. Bo im lepsza rada, tym szybszy i lepszy rozwój naszych wspólnot lokalnych, tym lepsze nasze życie.

A kto inny, jak nie harcerstwo powinno dawać przykład, kreować lepszą rzeczywistość? Dlatego zadbajmy, by nasi radni byli najlepsi, by na słowa „instruktor–radny” było jedno skojarzenie: „profesjonalista”!

Jeśli komuś nie zależy na tym, a jedyną motywacją do kandydowania są względy finansowe – to znaczy, że niepotrzebnie stracił trochę czasu na czytanie moich artykułów.

WWW sieci

Statystyki są bezlitosne: liczba osób, które korzystają z zasobów sieci Internet, jest w Polsce znikoma! Więc może zamiast pisać o czymś abstrakcyjnym dla większości czytelników, lepiej byłoby oddać tę stronę komuś, kto napisze coś mądrego i „strawnego” dla wszystkich?

Jednak nie! Bo wprawdzie z Internetu korzysta mało osób, jednak trzy literki wymienione w tytule: „www” z pewnością nie są obce znacznie większej liczbie osób i – mam nadzieję – znacznie większej liczbie harcerzy i instruktorów.

Weźmy jeszcze pod uwagę, że korzystanie z sieci – to jedno, a dostępność do niej – to drugie. No właśnie: jak dostać się do Internetu? Po pierwsze: liczba szkół objętych programem „Internet dla szkół” jest coraz większa. Po drugie: jeśli wierzyć zapewnieniom różnych „szych” i „oficjeli”, to trzeba przyjąć, że każda gmina ma dostęp do sieci. Stąd już blisko do rozwiązania:

**Internet w każdej gminie + dobre kontakty harcerstwa z gminą
= dostęp każdego harcerza do Internetu.**

Uff! Problem dostępu mamy załatwiony, a więc zaczynamy. W jaki sposób? Wystarczy otworzyć jakąś przeglądarkę internetową i wpisać kilka znaków. Ja proponuję następujące: najpierw trzy razy „w”, potem kropka, potem „zhp”, znowu kropka, następnie „org”, znów kropka i na końcu „pl”.

Już coś zaczyna się bulgotać, jeszcze chwila i przed nami w pełnej okazałości objawia się strona WWW Związku Harcerstwa Polskiego.

Ci, którzy zawitali na tę stronę nie po raz pierwszy, z pewnością dostrzegą, że wiele się ostatnio zmieniło – zarówno jeśli chodzi o szatę graficzną, jak i objętość i przydatność zawartych tu informacji. Można śmiało powiedzieć, że nie ma się czego wstydić!

Co ciekawego znajdziemy na naszej stronie? Może to nie w kolejności, może to niezbyt logiczne, ale zacznę od działu „prasa harcerska” (wiesz, Czytelniku, jak to jest: nie mogę podpaść redakcji, która wpuściła mnie na te łamy!). Tutaj właśnie znajdziemy wersję elektroniczną „Czuwaj”. Co ciekawe, ostatnio zde-

cydowanie łatwiej i szybciej można znaleźć ten miesięcznik w sieci niż w wersji papierowej! To zrozumiałe: „Czuwaj” w Internecie to prawie żadne koszty (w porównaniu z wydaniem tradycyjnym) i nie trzeba czekać na zmiłowanie poczty – jeśli chcemy poczytać, to sami dotrzemy w odpowiednie miejsce w sieci.

Co poza tym? Jako że piszę te słowa w miesięczniku instruktorskim, teraz o czymś właśnie dla instruktorów. Już na pierwszej stronie łatwo dostępne znajduje się logo Centralnej Szkoły Instruktorskiej. Wystarczy tylko kliknąć i przeniesiemy się do CSI. Tu możemy dowiedzieć się o kursach, warsztatach i seminariach organizowanych w CSI w nadchodzącym roku: kiedy się odbywają, jaki jest ich program, dla kogo są przeznaczone i jak można się na nie zgłosić. I ciekawostka: Szkoła pomyślała o tych wszystkich biednych żuczkach, które z odległych krańców Polski lgną po wiedzę do „Perkoza” i zamieściła... informacje o tym, jak do niej dotrzeć. Brawo!

Teraz czas na program. Na naszej stronie znajdziesz informacje przede wszystkim o programach centralnych. Pożyteczną tradycją stało się już, że wiele materiałów, które są drukowane, zostaje zamieszczonych w sieci, dzięki czemu praktycznie każdy drużynowy, każdy instruktor może „ściągnąć” na swój komputer interesujące go teksty.

Ale to nie wszystko! Oprócz programów czy propozycji programowych wychodzących z Głównej Kwatery znajdziesz tu informacje także o imprezach (np. rajdach, konkursach), które organizują chorągwie czy hufce lub odsyłacze na strony środowisk, na których znajdują się te informacje. Uwaga! Jeśli chcecie, aby cały świat dowiedział się o fantastycznym rajdzie, festiwalu piosenki lub innym wydarzeniu, na które zamierzacie zaprosić inne środowiska – wyślijcie e-mail (wystarczy nacisnąć małą ikonkę z rysunczkiem listu na dowolnej ze stron)!

Jest jeszcze jedna ciekawa stroniczka – niby niepozorna, a mianowicie „Archiwum”. Nazwa niezbyt zachęcająca, no bo kto by zaglądał do archiwum – skrajzenia są niemiłe: pajęczyny, kurz, bród. A to błąd, wielki błąd!!! Jest to jedna z bardziej interesujących podstronic serwisu zhp.org.pl. Tutaj można znaleźć to wszystko, co kiedyś było hitem, newsem, a z upływem czasu straciło na aktualności: stare programy, akcje, propozycje programowe. Wierzcie mi, to nie jest archiwum wyłącznie dla historyków!

Zatem zapraszam na www.zhp.org.pl!!! Jeśli jeszcze nie uświadamiasz sobie, jak ciekawa jest ta strona, to może przekona cię fakt, że odwiedziło ją już ponad 33000 osób (w chwili, kiedy czytasz te słowa, jest to już zapewne liczba 35000!). Czy to dużo? Sprawdź liczniki innych organizacji, nawet tych bardzo znanych, a przekonasz się, że tak!

A następnym razem pobuszujemy po innych stronach – także o tematyce harcerskiej.

OD AUTORA:

Opisana w tym tekście strona internetowa ZHP nie była pierwszą naszą stroną. Pierwszą stroną przygotowywałem pod koniec 1996, a ruszyła ona z początkiem 1997 roku. Była to oczywiście strona bardzo prosta – składała się z zaledwie kilku ekranów, ale i tak jakakolwiek zmiana w niej (choćby poprawienie literówki) wymagała skorzystania z uprzejmości fachowców z firmy, którzy posiadali magiczną umiejętność grzebania w kodzie html (o systemach CMS nikt wtedy nie slyszal).

Z ciekawostek: firmy, w których można było wówczas założyć stronę, oferowały ceny kilkunastu tysięcy złotych rocznie za możliwość utrzymania strony na ich serwerach. Kilkaście tysięcy zł – 18 lat temu! Niesamowite pieniądze!!!

I jeszcze jedna ciekawostka: pamiętam wielomiesięczne boje z NASK (który był jedynym podmiotem rejestrującym domeny), aby zarejestrować domenę zhp.pl. Nie dało rady – byliśmy zbyt małym podmiotem, aby otrzymać domenę .pl. Jako przykład „właściwej wielkości podmiotu” podawano wtedy „Gazetę wyborczą”, która otrzymała domenę gazeta.pl. Z tego względu przez pierwszych kilka lat harcerskiego internetu używaliśmy domeny zhp.org.pl.

Pytania o punkt 10

*Harcerz jest czysty w myśli, w mowie i uczynkach,
nie pali tytoniu i nie pije napojów alkoholowych.*

Czy myślałeś kiedyś o naszym Prawie Harcerskim i jego ostatnim punkcie? I czy ostatni to znaczy najmniej ważny? Chyba nie, skoro wywołuje tak wiele kontrowersji, tyle emocji i to wśród różnych grup instruktorów, choć często z różnych powodów?

A czy zauważyłeś, że wszelkie dyskusje na temat dziesiątego punktu naszego Prawa krążą wokół dwóch spraw: picia i palenia? Czyżby wszyscy: i ci, którzy dymią jak lokomotywy i ci, dla których jest to najważniejsze „harcerskie przykazanie”, nie zauważyli, że ten słynny punkt to nie tylko alkohol i papierosy, ale coś więcej? Czy nie dostrzegają jego pierwszej części, że „harcerz jest czysty w myśli, w mowie i uczynkach”?

A może tak łatwiej? Może łatwiej przestrzegać czegoś, co jest czarne lub białe (palisz – nie palisz), bez konieczności głębszego zastanowienia się nad sensem stawianego instruktorowi wymagania, bez refleksji, dlaczego tak mam postępować, czy to jest słuszne i jak to jest wpisane w ideę harcerstwa? Czy nie jest tak, że właśnie wygodnictwo, chęć „pójścia na łatwiznę” każe wielu instruktorom zapomnieć o czystości w myśli, w mowie i uczynkach? A może zrozumienie pierwszej części dziesiątego punktu wymaga zbyt głębokiej analizy ducha Prawa Harcerskiego i zmusza do ciągłego stawiania sobie pytania o granice tej czystości i – co jeszcze trudniejsze – odpowiadania na te pytania w codziennym życiu, całym życiu: harcerskim, zawodowym, rodzinnym?

Kto z nas, z ręką na sercu, może powiedzieć, że codziennie na nowo weryfikuje swoje zdanie na temat czystości, o której czytamy w Prawie, że codziennie stara się (przynajmniej tyle!) ocenić swe postępowanie i odpowiedzieć na pytanie: czy dziś byłem harcerzem całym życiem? Kto z nas robi, nawet nie codziennie, ale w ogóle swój prywatny „harcerski rachunek sumienia”?

Może to zbyt wiele, może najpierw warto zastanowić się, coż znaczy być „czystym w myśli”, gdzie są te wspomniane wcześniej granice? Czy chodzi tylko

o to, aby nie przekląć w myślach, czy coś więcej? A czy harcerz, instruktor może w ogóle komuś życzyć źle? Czy takie postępowanie to brak czystości w myśli? Ja mam swoją odpowiedź, a ty? A w rzeczach najprostszych, codziennych: kiedy tylko pomyślę, że nie chcę iść na wykład, pozmywać naczyń, zadzwonić do przyjaciela, choć mnie o to prosił, to łamię dziesiąty punkt Prawa czy nie?

A czy nie jest tak, że harcerstwo – poprzez swe procedury i zasady – zmusza nas czasami do łamania Prawa? Bo jeśli w ferworze rywalizacji z innymi instruktorami, z inną drużyną, innym hufcem, życzę im niepowodzenia, to postępuję niezgodnie z Prawem czy nie? A podczas wyborów na zjeździe hufca czy chorągwi: kiedy kandyduję do jakiejś władzy i pragnę wygranej, co akurat oznacza przegraną kogoś innego, to łamię dziesiąty punkt czy nie? A będąc instruktorem: jeśli buduję taki system współzawodnictwa w drużynie, który rodzi niezdrową rywalizację w moich harcerzach – czy to oznacza, że nakłaniam ich do nieprzeżegania Prawa i sam łamię nasze zasady? Dużo tych wątpliwości, prawda?

Jeśli myśli trudno czasem powstrzymać, to pewnie łatwiej jest z czystością w mowie? Ale czy na pewno, czy rzecz tylko w tym, aby nie używać słów na „k” i podobnych? Czy chodzi tylko o to, by mówić prawdę?

Jeżeli ktoś pyta mnie o moje poglądy, moją ocenę i mam wybór: powiedzieć prawdę (całą prawdę i tylko prawdę) lub być nieszczerym, ale miłym i nie zrobić komuś przykrości, to czy jest wyjście, które pozwala mi nie złamać Prawa? Jeśli powiem same miłe rzeczy, ale nie powiem prawdy, to złamałem dziesiąty punkt, czy nie? I odwrotnie: jeśli powiedziałem prawdę, czym (mimo delikatnej formy) zrobiłem komuś przykrość, to złamałem Prawo, czy nie? A co w sytuacji, kiedy „dla dobra Związku” (hufca, szczepu czy drużyny) mówię nieprawdę, by coś załatwić? Czy wówczas także postępuję niezgodnie z Prawem, nie jestem czysty w mowie?

Może łatwiej jest z czystością w uczynkach? Obawiam się, że nie, bo czyż nigdy nie spotkałeś się z „podkładaniem świń” w harcerstwie? Czy nigdy nie spotkałeś instruktorów, którzy „po trupach” szli do celu, swojego celu? Jeśli nie, to może znów przypomnisz sobie sytuacje, kiedy załatwiałeś coś „dla dobra Związku”? Czy odbicie na ksero w pracy regulaminu jakiegoś rajdu to nieczystość w uczynkach? A wydrukowanie plakatu na służbowym ploterze? A dzwonenie w sprawach harcerskich ze służbowego aparatu?

Jakże trudne okazuje się Prawo Harcerskie, prawda? Może nawet tym trudniejsze, im jesteśmy starsi, bardziej dojrzały, im bliższy jesteśmy odnalezienia swej filozofii życiowej? Czy znasz odpowiedzi na te wszystkie postawione tu pytania? Czy już zdajesz sobie sprawę, że wcześniej czy później warto będzie na nie odpowiedzieć?

Pytania o punkt 10 raz jeszcze

Moje wynurzenia na temat punktu 10. naszego Prawa nie przypadły do gustu Ewie Lachiewicz – jak wynika z jej tekstu w numerze styczniowym. Jego istotą było (w istocie) pokazanie, że mój sposób interpretacji jest płytki. Tak więc tym razem może się poprawię, dodając trochę głębi...

Czy myślałeś kiedyś o naszym Prawie Harcerskim i jego ostatnim punkcie? I czy ostatni to znaczy najmniej ważny? Chyba nie, skoro wywołuje tak wiele kontrowersji, tyle emocji i to wśród różnych grup instruktorów, choć często z różnych powodów?

A czy zauważyłeś, że wszelkie dyskusje na temat dziesiątego punktu naszego Prawa krążą wokół dwóch spraw: picia i palenia? Czyżby instruktorzy nie zauważyli, że ten słynny punkt to nie tylko alkohol i papierosy, ale coś więcej? Czy nie dostrzegają jego pierwszej części, że „harcercz jest czysty w myśli, w mowie i uczynkach”?

Czy zgodzisz się ze mną, że w myślach jest „najłatwiej” nie być czystym, bo przecież nim coś zrobisz, najpierw o tym pomyślisz? A czy masz świadomość, że jednak większe szkody przynosi nieczystość w mowie, a największe z pewnością nieczystość w uczynkach? I to wszystko jeszcze dziesięciokrotnie bardziej w przypadku instruktora czyli wychowawcy? A może nawet stokrotnie – biorąc pod uwagę znaczenie osobistego przykładu instruktora?

Czym jest zatem czystość w uczynkach?

Czy instruktor, który nie trafił do swojego namiotu i spędził noc w gościnnym śpiworze jakiejś druhny, podpada pod nasze przemyślenia? A czy ma znaczenie, że druhenka ta nie jest „zwykłą” harcerką, lecz kadram – niepełnoletnią, ale kadram? A może sam fakt, że koedukacyjna komenda na obozie mieszka w jednym namiocie, jest już nieczystością wedle dziesiątego punktu?

A wieczorna kąpiel kadry obozu jak Pan Bóg ją stworzył jest zgodna z Prawem, czy nie? Jeśli myślisz, że tak, to czy zmienisz zdanie, jeśli dopowiem, że w kąpeli tej uczestniczy kadra obu płci?

A czy według ciebie zmienia coś fakt, że wszyscy ci instruktorzy są pełnoletni?

No właśnie: jeśli instruktor jest pełnoletni, to czy ważne jest, jakim jest człowiekiem prywatnie, w życiu rodzinnym? Czy jest dobrym instruktorem, czy żyje w zgodzie z dziesiątym punktem Prawa, jeżeli żyje „na kocią łapę”? A czy jest czysty w uczynkach, jeżeli zdradził żonę? A jeśli bierze ślub, „bo musi”? A co, jeśli się rozwiódł? A czy fakt, że bije swoją żonę lub dzieci oznacza, że nie jest czysty w uczynkach? Czy to tylko jego prywatna sprawa? Czy można w harcerstwie powiedzieć: „on wprawdzie maltretuje swoją rodzinę, ma panienki na boku, ale to naprawdę dobry instruktor”? Czy to aby na pewno dobry instruktor, po prostu: dobry człowiek?

Czy zgodzisz się ze mną (zejdźmy znów na poziom drużyny), że nie jest czysty w uczynkach instruktor, który swym postępowaniem, a w szczególności swymi „pomysłowymi” karami depte godność innego człowieka – wprawdzie człowieka młodego? I może tym gorzej, że jest to człowiek młody, na którym nawet błahе zdarzenia potrafią odbić trwałe piętno? I może tym gorzej, że mowa o człowieku, nad którym instruktor ma sprawować opiekę? Zastanawiasz się może, o co mi chodzi? A nie zdarzyło ci się widzieć karania poniżającą pracą (wbrew tezie, że żadna praca nie hańbi), wlewaniem wody za kołnierz, czółganiem w błocie? A czy nigdy, ani razu w swym instruktorskim życiu, nie pomyślałeś, że znęcanie się nad „biskoptami” jest dobrą zabawą tylko dla jednej strony i niejednokrotnie przekracza niebezpieczną granicę, kiedy górę biorą najgorsze zwierzęce instynkty tkwiące w człowieku?

Aby podeptać czyjaś godność nie trzeba wielkich czynów: czy pamiętasz ze swojego życia, jak bolesny był dla ciebie śmiech innych, śmiech z ciebie? I czy teraz, kiedy jesteś instruktorem, zawsze zanim powiesz coś zabawnego na temat jakiegoś harcerza, zastanawiasz się, czy nie zrobisz mu krzywdy? Czy zawsze widzisz w nim człowieka, który ma swoją godność?

Wreszcie spójrzmy na „czystość w mowie” najprościej: czy przeklinanie jest nieczystością w mowie? A samo podniesienie na kogoś głosu, np. krzyczenie na własne dziecko, które znowu nie słucha się mamy czy taty? A wrzaśnięcie „k... mać”, kiedy uderzymy się z całej siły młotkiem?

A jak jest z czystością w myślach? Czy myślenie o jakiejś druhence, która ma piękne nogi i pięknie wygląda w kostiumie kąpielowym – jest złamaniem

dziesiątego punktu? A samo pomyślenie przez chwilę, że mógłbym powiedzieć lub zrobić coś, co jest „nieczyste”?

Jakże trudne okazuje się Prawo Harcerskie, prawda? Czy znasz odpowiedzi na wszystkie postawione tu pytania? A może to nie są twoje pytania o dziesiąty punkt? A może ty rozumiesz ten punkt inaczej? Może zupełnie co innego znaczy dla ciebie „czystość”? I może postawione przeze mnie pytania nie są dla ciebie wyzwaniem, lecz codziennym rozumieniem Harcerstwa? Może...

Syndrom staruszki

Harcercz jest pożyteczny i niesie pomoc bliźnim

Czy harcerz musi być pożyteczny, musi nieść pomoc bliźnim? Czy rzeczywiście to ważne? Myślę, że każdy harcerz odpowie twierdząco. Przecież „od zawsze” harcerstwo wychowywało i wychowuje młodych ludzi, wpajając im, co to znaczy być pożytecznym. I nie przez przypadek młody człowiek, który za chwilę będzie nosić na piersi Krzyż, wyraża wolę, szczerą wolę niesienia pomocy bliźnim. I to nie takiej zwykłej pomocy, ale pomocy chętniej...

Skoro to takie ważne, to warto zastanowić się, jak u progu XXI wieku należy rozumieć ducha tego punktu naszego Prawa.

Kiedys, za moich młodych harcerskich lat, bycie pożytecznym, pomoc innym, służbę, tłumaczono w bardzo specyficzny sposób. Dziś, kiedy wracam do tego myślą, mam przed oczami ciągle ten sam obraz: harcerki lub harcerza, którzy na siłę przeprowadzają staruszkę przez ulicę. Starsi instruktorzy doskonale wiedzą, o co chodzi. Dla najmłodszych wyjaśnienie: kiedys, a właściwie jeszcze do nie tak dawna funkcjonował stereotyp harcerza czuwającego nad babcią, która przechodzi przez ruchliwą ulicę. I byłoby to pozytywne, gdyby nie fakt, że równoległe pojawiał się zazwyczaj obraz, kiedy harcerze robią to na siłę, bo... piąta i szósta osoba w zastępie także musi „odfajkować” dobry uczynek.

Ale czasy się zmieniły: ruch na ulicach większy, agresja wśród kierowców także, babć także więcej (na co wskazują dane demograficzne), ale jakoś nie ma harcerzy, którzy przeprowadziliby je przez znacznie niebezpieczniejsze ulice!

I kiedy tak patrzę na harcerstwo przełomu tysiącleci, myślę sobie, że wiele dałbym, aby harcerze chociażby tyle robili dla innych. Ja wiem, harcerze są dobrzy, kiedy jest powódź, Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, „Grosik” czy inna akcja. No właśnie: akcja. A czy punkt trzeci naszego Prawa mówi o harcerzu akcyjnym, który jest pożyteczny, niesie pomoc od czasu do czasu, kiedy okoliczności tego bezwzględnie wymagają? Znamy odpowiedź... I dlatego wracam z sentymentem do „syndromu staruszki”, który może budzić lekki uśmiezek, który pokazywał absurdalność pewnych działań wychowawczych niektórych

(pewnie nielicznych) instruktorów, ale przedstawiał niesienie pomocy na co dzień, a nie od święta!

A może czasy się zmieniły na tyle, że słowa zapisane kilkadziesiąt lat temu znaczą dziś co innego? „Niesie pomoc bliźnim” – tu nie może być wątpliwości, bo i „pomoc”, i „bliźni” znaczy to samo, choć czasem mam wrażenie, jakby w ostatnich latach pojęcie „bliźniego” coraz bardziej, niebezpiecznie zawężało się jedynie do „naszych”. Niestety, także w harcerstwie.

Myślę, że zdecydowanie trudniej jest jednak z pożytecznością. Jakże często w naszych działaniach nie ma na nią czasu! Jakże często harcerstwo staje się celem samym w sobie, przez co, zawaleni różnymi zadaniami „najwyższej wagi”, zapominamy, że istotą harcerstwa nie jest wcale przygotowywanie kolejnych imprez, kolejnych zbiórek itd. Jeśli zastępowy w wieku kilkunastu lat utożsamia harcerstwo ze zbiórkami zastępu, zastępu zastępowych, drużyny, pilnowaniem, aby jego zastęp zdobywał kolejne stopnie, jak najwięcej sprawności, jeśli jest przytłoczony tymi obowiązkami, to czy możemy wymagać, aby za parę lat, kiedy będzie miał własną drużynę, wyważył, co jest tak naprawdę ważne, co jest celem, a co tylko środkiem? Czy znajdzie czas, czy nauczy swoich harcerzy, że mają być pożyteczni, nieść pomoc bliźnim? Czy wpoi swoim wychowankom także inne ważne idee, które przecież stanowią fundament harcerstwa?

Nie chciałbym, aby ktoś odebrał to jako atak na tych, którzy wiele (zbyt wiele) czasu poświęcają dla harcerstwa. Choć – z drugiej strony – mógłbym zapytać, czy harcerstwo jest ruchem, który wymaga poświęceń? Ja uważam, że nie, że harcerstwo to pewna idea, która kształtuje ludzi w ten sposób, aby zmieniali świat na lepszy, aby byli świadomymi liderami tych zmian. Może właśnie tak należy rozumieć pożyteczność w trzecim tysiącleciu...

Jeżeli tak, to wskaźnikiem tego, czy jesteśmy pożyteczni, będzie nasz ciągły rozwój i działania służące naszej rodzinie, środowisku, w którym żyjemy i wreszcie naszemu krajowi.

A więc „pożyteczny” to znaczy pożyteczny dla rodziny, osiedla, miasta, kraju. Droga do tego jest prosta: trzeba wreszcie uświadomić sobie, że dobry instruktor to przede wszystkim dobry uczeń lub student, syn lub córka, mąż lub żona, ojciec lub matka...

Opiekunie próby: kiedy ostatnio interesowałeś się wynikami na studiach twojego podopiecznego? Namiestniku: czy wymagasz od twoich drużynowych, aby dobrą nauką dawali przykład młodszym? Komendantcie hufca: czy twoi podwładni nie zaniedbują swoich rodzin, ponieważ nakładasz na nic zbyt wiele obowiązków? Komendantcie chorągwi: czy twoi hufcowi w nawale zadań znajdują czas na obronę pracy dyplomowej, zdanie egzaminu?

Umowa harcerskich pokoleń

Przyjmuję obowiązki instruktora Związku Harcerstwa Polskiego...

Groźnie zaczyna się nasze Zobowiązanie Instruktorskie. Pierwsze słowa i już obowiązki. A gdzie prawa? Spokojnie, są i prawa, ale tak to w życiu bywa, że jesteśmy skłonni lepiej i dokładniej pamiętać swe prawa (ucznia, studenta, pracownika, instruktora itd.) niż obowiązki. Co więcej, chętniej i skrupulatnie dążymy do przestrzegania naszych praw. A obowiązki... Z tym jest różnie. I może dobrze, że Zobowiązanie zaczyna się tak mocnym akcentem, od razu „stawiając do pionu” dziewczynę czy chłopaka, którzy wypowiadają te słowa. Ważne słowa. I myślę, że przywołanie tych obowiązków już na samym początku jest niezwykle mądre. Bo kiedy, jeżeli nie w tym momencie, w momencie pasowania na instruktora, młody człowiek ma w pełni uświadomić sobie, jaką drogę wybiera, na co się decyduje, jakie obowiązki bierze na siebie?

No właśnie, o jakie obowiązki instruktora Związku Harcerstwa Polskiego chodzi? Jak zwykle w takich przypadkach odpowiedź odnajdujemy w dokumencie podstawowym – Statucie ZHP. Okazuje się, że instruktor ma obowiązek:

- dbać o dobre imię i dobro Związku,
- kierować się Prawem i Przyrzeczeniem Harcerskim i Zobowiązaniem Instruktorskim,
- stosować się do postanowień Statutu ZHP,
- brać czynny udział w życiu ZHP,
- opłacać składki członkowskie,
- szczególnej troski o powierzone im dzieci oraz młodzież, zwłaszcza ich zdrowie i bezpieczeństwo,
- rzecznictwa interesów dzieci i młodzieży,
- przygotowania następcy na pełnioną przez siebie funkcję.

Sporo tego! I pomyśleć, że to dopiero pierwsze zdanie Zobowiązania Instruktorskiego! Tym, którzy nie pamiętają (o zgrozo!) jego treści, oraz tym, którzy dopiero zostaną instruktorami, spieszę z wyjaśnieniem, że większość z wymienionych obowiązków znajduje się w dalszej części Zobowiązania. Nimi zajmemy się w najbliższych miesiącach, a tym razem chciałbym zastanowić się tylko nad jednym obowiązkiem, którego nie ma w Zobowiązaniu.

Instruktor ma obowiązek „brać czynny udział w życiu ZHP”. Nie dziwię się, że nie znajdziemy tych słów w Zobowiązaniu. Bo chyba dziwaczne byłoby ich wypowiedzianie przez człowieka, która dopiero rozpoczyna „karierę harcerską”, jest pełen zapału, zaangażowany w pracę harcerską, przejęty swoimi funkcjami, częstokroć nastawiony na „tu i teraz”, co oznacza, że nie myśli, jak to będzie kiedyś, co będzie robił w harcerstwie za lat pięć, dziesięć czy piętnaście... Więc po co ten zapis w Statucie? Może jest potrzebny właśnie tym instruktorom, którzy skończyli swój najbardziej aktywny okres w pracy instruktorskiej, którzy „wyrośli” z niektórych funkcji. Bo fakt, że już nie jestem drużynowym, nie oznacza wcale, że mam powiesić mundur na kołku, że już nic nie mogę w Związku zrobić. Ja wiem, że młodzi instruktorzy często uważają, że być instruktorem, to znaczy prowadzić drużynę, a inne funkcje są dobre dla „dziadków”, że jeśli instruktor nie prowadzi drużyny, to nie jest prawdziwym instruktorem. Zgoda, ja też kiedyś tak myślałem. Cóż, punkt widzenia zależy od... wieku, doświadczenia życiowego i wielu jeszcze innych czynników.

Jeśli byśmy przyjęli za prawdziwy przywołany wyżej sposób myślenia, to byłby to przecież „instruktorski wyrok śmierci” dla wielu ludzi, ludzi, którzy są w naszym Związku i robią dla niego tyle, ile mogą. Robią może dlatego, że ich obowiązkiem jest „branie czynnego udziału w życiu ZHP”? Ale przecież nie to jest prawdziwym problemem, że są instruktorzy, którzy chcą coś robić. Faktycznym zagrożeniem dla Związku jest trwanie co rok wielu instruktorów. Mógłby ktoś powiedzieć, że jest to wina harcerskich komend, że nie są w stanie zaproponować im czegoś odpowiedniego do ich doświadczenia i możliwości (przede wszystkim czasowych). Ale pytam: czy to komenda, czy to komendant powinien szukać instruktorom pól służby, czy może to instruktor powinien znaleźć dla siebie jakieś choćby najmniejsze poletko, gdzie zostaną wykorzystane jego umiejętności, wiedza, doświadczenie...

Zderzają się tu trzy spojrzenia. Młodych: instruktor powinien prowadzić drużynę, instruktorów, którzy nie są w stanie poświęcić zbyt dużo czasu harcerstwu: komenda powinna zaproponować mi coś „godnego”, oraz komend: jeszcze tego brakowało, żeby „starych byków” prowadzić za rączkę. I – jak to w życiu bywa najczęściej – rozwiązanie jest gdzieś pośrodku. Bo to prawda, że instruktor

„w pełni instruktorskich sił” powinien pracować na samym dole. Prawdą też jest, że wielką nieodpowiedzialnością byłoby prowadzenie drużyny na siłę, kiedy nie pozwala na to sytuacja zawodowa i rodzinna – tacy instruktorzy powinni znaleźć miejsce w swoim szczepie czy hufcu; a kto zna lepiej potrzeby całego hufca, niż komenda? Również prawdą jest, że żaden komendant nie może uszczęśliwiać na siłę dorosłych ludzi, jeśli ci sami nie będą przejawiać chęci zrobienia czegoś dla swojego środowiska.

Koniec dygresji, wróćmy do istoty sprawy: po co jest ten zapis, że obowiązkiem instruktora jest brać czynny udział w życiu Związku? Przecież gdybyśmy chcieli go naprawdę dokładnie egzekwować, to prawdopodobnie pozbylibyśmy się kilkuset, a może kilku tysięcy instruktorów, którzy „są na stanie”, ale nic nie robią? Czy o to chodzi?

Myślę, że u podłoża tego instruktorskiego obowiązku leży pewna niezwykle ważna idea. Idea, którą mógłbym nazwać umową harcerskich pokoleń: oto kiedyś, kiedy byłem harcerzem, grono instruktorów włożyło dużą część swego życia, aby ze mnie i moich kolegów „zrobić ludzi”. Jednocześnie jeszcze starsze pokolenie dbało o to, aby to „przerabianie na ludzi” miało jak najbardziej harcerski charakter. Potem ja wszedłem w wiek instruktorski i starałem się zrobić jak najwięcej dla kilkudziesięciu „kajtków”, którzy byli w mojej drużynie. I – wbrew pozorom – nie był to okres, kiedy tylko ja dawałem coś innym. Bo kiedy Związek zorientował się, że coś ze mnie będzie, zaczęto we mnie inwestować: kursy, prasa, książki... Dziś, kiedy różne obowiązki: syn, dom, firma, nie pozwalają mi odpowiedzialnie pełnić funkcji wymagającej dużej systematyczności – to znaczy być drużynowym, kiedy – co bezpośrednio wynika z powyższego – nie jestem już pierwszoplanowym „podmiotem inwestycji” ze strony ZHP, wiem, że nadszedł czas, aby oddać Związkowi to, co on mi dał, kiedy byłem zuchem, harcerzem czy bardzo młodym instruktorem. To mój instruktorski obowiązek, ale to także mój wybór, w jaki sposób dopełnię tej umowy harcerskich pokoleń...

Podejmowanie odpowiedzialności

Jestem świadomy odpowiedzialności harcerskiego wychowawcy i opiekuna.

Zuchy – zabawa, harcerze – gra, harcerze starsi – służba. A instruktorzy? Co jest istotą bycia instruktorem? Z pewnością, tak jak w przypadku harcerzy starszych, służba. Ale jest to służba specyficzna. Bo oto człowiek w wieku kilkunastu lat decyduje się robić coś dla innych, ale tę swoją aktywność kieruje na młodszych od siebie, wybierając drogę służby polegającej na kształtowaniu zuchów, harcerzy zgodnie z zasadami harcerskimi. To nie przeprowadzanie babci przez ulicę, dbanie o czystość na osiedlu. To służba na rzecz żywego, małego człowieka, wymagająca z tej racji kilkakrotnie większej odpowiedzialności! Nie, nawet wiele setek razy większej odpowiedzialności, bo przecież każdy drobiazg, każde zachowanie, każda wypowiedź może mieć ogromny wpływ na dalszy rozwój siedmio-, dziesięcio- czy piętnastolatka.

Tak więc, może właśnie to świadome podejmowanie odpowiedzialności stanowi sedno bycia instruktorem?

Kiedy myślę o odpowiedzialności, odpowiedzialności wychowawcy harcerskiego, zawsze zastanawiam się, czy współczesne harcerstwo sprzyja świadomemu podejmowaniu odpowiedzialności. Podkreślam – za słowami Zobowiązania Instruktorskiego – świadomemu! Bo czy szesnastolatek, który obejmuje drużynę, może być świadomy, o co chodzi w jego instruktorskiej robocie? Obawiam się, że nie. Widzę przecież, że nie tylko szesnastolatki, ale nawet maturzyści z kilkuletnim stażem na funkcji drużynowego, ciągle nie wiedzą, po co to wszystko, czemu ma służyć harcerstwo, co ma dać dziecku przynależność do ich drużyny.

Jeden z członków komisji stopni instruktorskich w moim hufcu ma w zwyczaju zadawać kandydatom na instruktorów pytanie, w jaki sposób zachęciłoby jego jako rodzica do zapisania córki nie do jakiegóż innej drużyny czy nawet innej

organizacji, ale właśnie do ich drużyny. I okazuje się, że młodzi ludzie mają problem z odpowiedzią na takie pytanie! Mówią o uczeniu się czegoś – ale czym wtedy harcerstwo różni się od szkoły, mówią o spędzaniu wolnego czasu – ale czym harcerstwo różni się od kółka turystycznego czy klubu miłośników wiośny? Ginie gdzieś idea harcerska, ginie gdzieś harcerski sposób na wychowanie... Czyżbyśmy nie mieli żadnych atutów? Przecież nie, tyle że młody drużynowy często nie ma świadomości, jak doskonały jest harcerski sposób wychowania, czasem nie ma nawet świadomości, że wychowuje, że ideowym oparciem dla niego są harcerskie ideały zapisane w Prawie i Przyrzeczeniu Harcerskim. Najlepszym dowodem niech będzie fakt, że niewielu drużynowych przychodzących na naszą komisję potrafi wymienić bez większego problemu choćby pięć cech, które chcą wykształcić w swoich zuchach czy harcerzach! O czym to świadczy? Właśnie o tym, że nie mają świadomości, że – po pierwsze – wychowują oraz – po drugie – kogo chcą wychować.

Mógłby ktoś powiedzieć, że przecież nie liczą się słowa, ale czyny – to, jak wygląda praca wychowawcza w danej drużynie. Zgoda, ale czy obserwacja codziennego życia gromad i drużyn pozwala optymistyczniej spojrzeć na świadomość drużynowych-wychowawców? Mam poważne wątpliwości. Wystarczy spytać przypadkowego drużynowego, po co robi coś w drużynie, w jakim celu organizuje daną grę, zabawę, aby przekonać się, że często nie stoją za tymi działaniami głębsze przemyślenia, nie stoi świadomość drogi prowadzącej ku jakiemuś ważnemu wychowawczemu celowi. Ot, dla przykładu: z reguły kiedy pytam, po co harcerze mają się uczyć alfabetu Morse'a, otrzymuję odpowiedź, że to taka harcerska tradycja, że to się robiło zawsze. A na moją uwagę, że może zamiast komunikować się za jego pomocą, lepiej byłoby zapoznać harcerzy z nowymi sposobami komunikacji (np. faksem, Internetem) następuje z reguły zdziwienie. Kiedyś nawet usłyszałem: „To nie trzeba Morse'a?” (sic!). I nie chodzi mi wcale o to, czy umiejętność kropkowania i kreskowania jest potrzebna u progu XXI wieku, ale właśnie o świadomość – czy drużynowy wie, po co to robi (naprawdę byłbym w pełni usatysfakcjonowany, gdybym usłyszał, że dzięki nauce Morse'a harcerze wyrabiają pamięć, charakter pisma czy cokolwiek innego!).

Jak bumerang wraca więc jakże często powtarzane stwierdzenie, że harcerstwo nie jest celem samym w sobie, lecz tylko środkiem, drogą do osiągnięcia wyższego celu, którym jest wychowanie czy przynajmniej przyczynienie się do wychowania zuchów, harcerzy – użyję najprostszego określenia – na porządnym ludzi.

Czy jeśli drużynowy ma świadomość celów wychowawczych, ma świadomość, że jest wychowawcą, to już jest dobrze? Niestety, nie. Bo jakże często

możemy spotkać drużynowych, którzy mają przeświadczenie, że ich sposób osiągnięcia celu jest najlepszy (albo jedyny). Jakby zapominali, że ich zainteresowania niekoniecznie muszą być zbieżne z zainteresowaniami harcerzy, że ich zadaniem nie jest zmuszenie na siłę wszystkich członków drużyny do pójścia jedną drogą, lecz pokazanie różnych dróg rozwoju, pomoc w znalezieniu własnej drogi oraz stworzenie każdemu harcerzowi warunków do podążania nią.

Ale to nie koniec, ponieważ odpowiedzialność wychowawcy to także obowiązek dbałości o każdego zucha czy harcerza jako osoby, która pełni również inne role społeczne. To powinno być nauczanie młodej dziewczyny, młodego chłopaka, jak godzić te wszystkie role, jak odnaleźć równowagę pomiędzy obowiązkami córki lub syna, ucznia, kolegi, przyjaciela i harcerza. To instruktorska powinność pomocy w budowaniu „zdrowej” hierarchii wartości.

Z tych przemyśleń wyłania się niezwykle pesymistyczny obraz rzeczywistości. Ale nie należy tragizować. Przecież samo pojęcie odpowiedzialności jest trudne i wymaga indywidualnej, głębokiej refleksji. Co więcej, jak można wymagać świadomej odpowiedzialności wychowawcy od szesnastolatka, kiedy wzorce, jakie ma w szkole, nie są najlepsze, kiedy (trudno, narażę się) wielu nauczycieli jest tylko wykładowcami określonej dyscypliny, a nie wychowawcami!

Nie zmienia to jednak faktu, że nie jest najlepiej. A jeśli tak, to trzeba się zastanowić, jak to można zmienić? Czy może instruktorem powinno zostawać się w wieku 18 lat, może potrzeba nam lepszych kursów drużynowych, a może w działaniach szczepli, kręgów i namiestnictw powinniśmy więcej uwagi zwracać na „ideość”? Myślę, że odpowiedź należy do każdego hufcowego, każdego namiestnika i każdego kształceniowca...

OD AUTORA:

Ówczesni harcerze starsi to – według aktualnego podziału na grupy metodyczne – dzisiejsi wędrownicy.

Gramy do jednej bramki

Będę dbać o dobre imię harcerstwa.

Związku Harcerstwa Polskiego czy całego harcerstwa? Wczytuję się dokładniej, jeszcze raz i jednak... Instruktor składający Zobowiązanie ma dbać o dobre imię harcerstwa, całego harcerstwa! To budujące, że na instruktora naszego Związku spoczywa obowiązek dbania nie tylko o swoją organizację, ale o cały Ruch Harcerski.

Czy to świadome sformułowanie? Czy wynika z przeświadczenia, że harcerstwo to ZHP, a inne organizacje niewiele znaczą i nie ma się co nimi przejmować? A może właśnie ta wielkość liczebna i – nie oszukujmy się – także merytoryczna ZHP zobowiązuje do odpowiedzialności za całe harcerstwo?

Niezależnie od tego, którą z powyższych myśli uznamy za właściwą, przesłanie pozostaje takie samo: instruktor musi dbać o dobre imię całego harcerstwa!

Czy to znaczy, że instruktora ZHP powinno obchodzić np. funkcjonowanie drużyn ZHR na terenie jego gminy albo postawa instruktorów tej organizacji? I czy w razie problemów, powinni oni liczyć na nasze wsparcie? Zobowiązanie Instruktorskie wskazuje wyraźnie: tak! Prawo Harcerskie (Harcerz w każdym widzi bliźniego...) również daje wyraźną wskazówkę: oczywiście, tak! A szeroko rozumiana Idea Harcerska, te wszystkie wartości, które leżą u podstaw harcerstwa? To oczywiście – odpowiedź jest twierdząca!

Wiem jednak, że i w ZHP, i w innych organizacjach harcerskich są ludzie, dla których nie mają znaczenia ideały, ponieważ górę biorą polityka, kalkulacja, wyrachowanie. I co wtedy, kiedy słowa „wartość”, „idea” są dla nich puste? Okazuje się, że nawet chłodna kalkulacja wskazuje, że jakość działania innych organizacji harcerskich leży w interesie Związku Harcerstwa Polskiego. Dziwne? Spójrzmy: jeżeli przyjmiemy za słuszny jeden z przywołanych wyżej poglądów, że nie ma co przejmować się innymi, bo dla społeczeństwa harcerstwo to ZHP, wówczas dochodzimy do konkluzji, iż każde złe działanie drużyny czy instruk-

tora ZHR (bądź innej organizacji) odbija się na wizerunku ZHP! No bo skoro dla przeciętnego Polaka istnieje tylko ZHP, to znaczy, że każdy harcerz – niezależnie od organizacji – gra w odbiorze społecznym na konto naszego Związku!

Tak więc i idea, i wyrachowanie (mam nadzieję, że akurat to jest najmniej ważne) wskazują, że słowa Prawa i Zobowiązania powinniśmy traktować z pełną powagą i odpowiedzialnością. Tak już jest, że jako ci duzi musimy przyjmować odpowiedzialność za całe harcerstwo. I w tym kontekście łatwo zrozumieć, dlaczego tak często możemy spotkać się z przejawami – nazwijmy to – braku sympatii ze strony innych organizacji, skąd te duże transparenty, naszywki itd. To przecież oni są w mniejszości, to oni muszą cały czas pokazywać, że istnieją, to oni muszą udowadniać, że harcerstwo to nie tylko ZHP. I mogę to zrozumieć, choć taka strategia ma z pewnością więcej wspólnego z marketingiem, polityką niż z harcerskimi ideałami. Niestety...

Ale właśnie tak odmienna sytuacja ZHP i innych organizacji sprawia, że instruktorowi ZHP jest znacznie łatwiej niż np. instruktorom ZHR dbać o dobre imię całego harcerstwa. A skoro tak, to róbmy to!

Właśnie, róbmy to! Zacznijmy od siebie! Czyż może być lepszy sposób dbałości o dobre imię harcerstwa, niż własne działania zgodne z duchem harcerstwa, niż własna postawa instruktorska zgodna z ideałami zapisanymi w Prawie i Przrzeczeniu oraz w Zobowiązaniu? Myślę, że najlepiej możemy wypełniać tę powinność wynikającą z Zobowiązania, prezentując sobą najwyższy poziom działań, najwyższy poziom moralny – i to zarówno w służbie instruktorskiej, jak i w życiu prywatnym czy zawodowym. Słowem: całym swoim życiem.

Miejmy świadomość, że postrzeganie harcerstwa przez zwykłych ludzi nie jest efektem jakichś wysublimowanych działań promocyjnych, ale codziennej obserwacji harcerstwa i własnych doświadczeń. Nic przecież nie może lepiej zareklamować harcerstwa niż dobrze działająca drużyna, niż dziecko, które po każdej zbiórce wraca z wypiekami na twarzy, niż instruktor, który całym sobą daje świadectwo, że jemu można zaufać.

Tak więc dbałość o to, abym ja – jako instruktor tego Związku – był jego dobrą „chodzącą reklamą”, to warunek konieczny. Ale to za mało! Skoro instruktor ZHP powinien czuć się odpowiedzialny za poziom instruktorów czy drużyn nawet z innej organizacji, to ileż bardziej ta odpowiedzialność jest większa w odniesieniu do własnego Związku!

Co więc robić? Myślę, że pole do popisu jest duże, a możliwości powstaną same, kiedy w jakimkolwiek miejscu natkniemy się na grupkę harcerzy. Pamiętam, że wielokrotnie spotkałem takie zastępy czy drużyny: w autobusie, na dworcu kolejowym, na ulicy czy gdzieś na szlaku. I pamiętam także, jak wiele

razy coś mi się w nich nie podobało: nieharcerskie zachowanie, brak dbałości o mundur itd., a mimo to miałem duże opory, aby zwrócić im uwagę, aby porozmawiać z drużynowym – przecież instruktorem tego samego Związku! Kiedyś jednak zrozumiałem, że podjęcie działania w takich sytuacjach to nie jest moja dobra wola, ale mój obowiązek wynikający z Zobowiązania Instruktorskiego. Mam przecież dbać o dobre imię harcerstwa!

Niby to proste: dbać o wysoką jakość harcerskich działań, dbać o wysoki poziom instruktorów Związku, ponieważ w ten sposób budujemy pozytywny wizerunek harcerstwa. Jednak takie idee, oczywiste stwierdzenia typu: „stawiamy na dobrych”, „liczy się wysoki poziom”, nie jest łatwo przełożyć na praktykę dnia codziennego. Bo oto co krok stajemy przed poważnymi dylematami. Czy lepiej, aby w danej szkole istniała kiepska drużyna, czy może lepiej, aby jej w ogóle nie było? Czy ulegać szantażowi pracowitego, ale nieodpowiedzialnego drużynowego: albo zostanę instruktorem, albo „obrażam się” na harcerstwo? Czy na zjeździe hufca – jako miejscu, gdzie podsumowujemy kadencję i planujemy przyszłość – mówić o negatywnych zjawiskach, czy wstrzymać się od tego, bo na sali są osoby z zewnątrz?

Takich problemów jest niesłychanie wiele, ale odpowiedzi na pytanie: „Co jest lepsze dla Związku?” trzeba udzielić sobie we własnym sumieniu.

Na koniec jeszcze jedno spostrzeżenie. Niejednokrotnie zauważyłem, iż źródłem wielu problemów czy nawet konfliktów jest zbyt osobisty, czasem wręcz personalny stosunek do naszej harcerskiej działalności. Ileż razy słyszałem stwierdzenia typu: „Ja tego nie zrobię, ponieważ to on jest hufcowym” albo „Ja jestem w przeciwnym obozie, jestem w opozycji”. Rywalizacja, opozycja? To chyba pojęcia niezbyt przystające do harcerstwa.

Wiele razy zadawano mi pytania w podobnym duchu: „To ty coś tam robisz, przecież się ponoć pokłóciliście” albo „Zgodziłeś się na to, skoro on...?”. I zawsze na twarzy mojego rozmówcy widziałem olbrzymie zdziwienie, kiedy mówiłem, że nie interesuje mnie, czy X pełni określoną funkcję, ponieważ najważniejsze jest dla mnie, jakie korzyści odniesie z moich działań Związek. Czy to takie dziwne? Przecież wszyscy gramy do jednej bramki!

Na serio

Będę... przestrzegać Statutu ZHP.

Wszystkie (a właściwie prawie wszystkie) funkcje we władzach Związku Harcerstwa Polskiego są pełnione przez instruktorów. To oczywiste i wynika wprost ze statutu naszego Związku. Myślę, że nie podlega także dyskusji, że instruktorzy powinni serio traktować to, co zapisane jest w Zobowiązaniu Instruktorskim. No i jasne jest, że instruktor powinien przestrzegać Statutu ZHP.

A jeżeli tak, jeżeli te trzy stwierdzenia są oczywistą prawdą, to należy zadać pytanie, dlaczego tak wiele przepisów Statutu nie znajduje swego odzwierciedlenia w rzeczywistości, dlaczego władze harcerskie nie podejmują skutecznych działań dla zmiany tego stanu? No dlaczego?

Dlaczego w wielu środowiskach zafiksowanie na punkcie na przykład rozwoju fizycznego spycha w niebyt inne sfery rozwoju, chociaż w Statucie czytamy o rozwoju wszechstronnym?

Dlaczego lektura planów pracy drużyn czy obozów (szczególnie części dotyczącej nagród i kar) oraz praktyka wskazują, że wielu instruktorów „zapomina” o poszanowaniu prawa do godności swoich wychowanków?

Dlaczego instruktorzy są tak płodni w wymyślaniu kar, a wyjąłowieni intelektualnie podczas tworzenia systemu nagradzania i motywowania, skoro w Statucie czytamy o godności, przyjaźni pozytywności?

Dlaczego w kontaktach z innymi organizacjami, a nawet innym środowiskami ZHP, nie dominuje przyjaźń, tolerancja, prawda – wartości, które Statut określa jako fundament harcerskich zasad?

Dlaczego w działaniach wielu hufców nie widać służby – jednej z zasad harcerskiego wychowania?

Dlaczego w wielu drużynach zaginęła praca zastępami, która jest przecież jednym z fundamentów metody harcerskiej?

Dlaczego program jest narzucany wielu drużynom i składa się z szeregu imprez: szczepowych, namiestnictw, hufca, chorągwi, skoro wedle Statutu program powstaje samorządnie w drużynach?

Dlaczego instruktorzy upolityczniają harcerstwo, niby zapominając, że nie chodzi jedynie o przestrzeganie przepisu o zawieszeniu członkostwa we władzach partii, lecz o ducha prawa, o utrzymanie apolitycznego charakteru Związku?

Dlaczego instruktorzy śpiewający na zjazdach hufców i chorągwi Hymn ZHP, nie znają jego słów („pójdzie wraz harcerzy polskich lud...”)?

Dlaczego wielu instruktorów w pełni świadomie bojkotuje noszenie na mundurze odznak WOSM i WAGGGS?

Dlaczego na każdym rajdzie czy innej imprezie prawie każde środowisko jest inaczej umundurowane, „bo tak się u nas nosi”?

Dlaczego wielu drużynowych nie przejmuje się obowiązkiem uzyskania zgody rodziców na przynależność ich dzieci do drużyny?

Dlaczego można spotkać instruktorów, którzy mają 15 lat, skoro według Statutu trzeba być o rok starszym?

Dlaczego bez trudu można znaleźć instruktorów nieprzygotowanych do pełnienia funkcji, skoro jest to jednym ze statutowych warunków zostania instruktorem?

Dlaczego Obietnicę Zucha czy Przyrzeczenie Harcerskie przyjmują nieinstruktorzy?

Dlaczego tak łatwo znaleźć na obozach czy rajdach kadrę instruktorską, która doskonale bawi się w swoim gronie, zapominając, że spoczywa na niej obowiązek „szczególnej troski o powierzone im dzieci oraz młodzież, zwłaszcza ich zdrowie i bezpieczeństwo”?

Dlaczego wielu instruktorów nie ma opłaconych składek instruktorskich i... nic się nie dzieje?

Dlaczego zdarzają się niepełnoletni drużynowi, którzy nie mają pełnoletniego opiekuna?

Dlaczego ogranicza się prawa członkowskie instruktorów bez orzeczenia sądu harcerskiego?

Dlaczego wiele drużyn – co od lat pokazuje spis harcerski – działa bez zgody (mianowania) komendanta hufca?

Dlaczego tak rzadko sądy czy komisje rewizyjne odwołują ze swojego składu osoby, które nic nie robią?

Dlaczego tak wiele hufców nie wypełnia jednego ze swoich podstawowych zadań: nie kształci drużynowych i funkcyjnych?

Dlaczego tak mało jest hufcowych, którzy rzeczywiście budują wspólnotę instruktorską w swoim hufcu?

Dlaczego masa hufców nie ma planu kształcenia, choć jego przyjęcie jest jednym z zadań komend hufców?

Dlaczego są chorągwie, w których pół roku po zjeździe program rozwoju chorągwi pozostaje na papierze, skoro tworzenie warunków do jego realizacji jest jednym z zadań komendanta chorągwi?

I tak dalej...

Dlaczego tak jest? Czy zapisy statutowe są zbyt idealistyczne? A może się po prostu zdezaktualizowały przez kilka ostatnich lat? A może są to po prostu nieistotne drobiazgi? Niektóre z przepisów być może są mniej istotne, ale w powyższych pytaniach znalazły się też postanowienia o fundamentalnym znaczeniu, związane z ideą harcerską, programem czy metodą! A jeśli nawet przyjmiemy, że część przepisów jest rzeczywiście mniej istotna, wówczas musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy instruktorowi, który ma przestrzegać Statutu ZHP, wolno je bagatelizować.

Łatwo jest zwalić winę na prawo, a czemu nie poszukać winy w człowieku?

Myślę, że błąd tkwi w moich założeniach, jakie poczyniłem na początku, a ściślej w stwierdzeniu, iż nie podlega dyskusji, że instruktorzy powinni serio traktować to, co zapisane jest w Zobowiązaniu Instruktorskim, a tym samym traktować serio zapisy statutowe. Obawiam się, niestety, że to jest istota problemu, że dla wielu z nas – instruktorów, Statut naszego Związku jest mało znaczącym dokumentem. Choć teraz sobie pomyślałem, że może nie jest dokumentem mało znaczącym, lecz po prostu nieznanym. Cóż więc mi pozostaje? Tylko zaprosić do lektury...

OD AUTORA:

Niesamowite, że od napisania tego tekstu minęło 14 lat, a ciągle jest tak bardzo aktualny...

Będę... profesorem?

*Będę... pracować nad sobą,
pogłębiać swoją wiedzę i umiejętności.*

Przewodnik – obowiązkowo gimnazjalista, podharcistrz z maturą, a harcistrz co najmniej z licencjatem. Albo inaczej: drużynowy po podstawówce, szczerpowy z maturą, hufcowy – magister, komendant chorągwi – doktor, naczelnik z habilitacją, zaś przewodniczący ZHP – profesor...

Chyba taka wizja nie jest, niestety, realna. Przynajmniej na razie. Choć wszystko zmierza w dobrym kierunku, bo jak wiadomo przykład idzie z góry i właśnie ta nasza „góra” jest już zgodna z moim planem. Oto nasza przewodnicząca jest profesorem! Im bardziej w dół, tym gorzej, choć – z tego, co wiem – komendant krakowski może pochwalić się doktoratem.

Może to dziwaczne łączyć szczeble „kariery” harcerskiej ze stopniami czy tytułami naukowymi. Ale pomyślałem sobie, że skoro obowiązkiem instruktora Związku Harcerstwa Polskiego jest pogłębianie swojej wiedzy i umiejętności, to właśnie formalny poziom wykształcenia może być doskonałym tego miernikiem.

Jednak poziom wykształcenia instruktora pełniącego ważną funkcję to tak naprawdę oznaka jego indywidualnych decyzji, pracy, wartości. A znaczenie tego można docenić w kontekście przewodzenia określonym grupom harcerskim i osobistego przykładu instruktora-funkcyjnego, jakim oddziałuje on na swoich podwładnych i podopiecznych. Rzecz jest głębsza, ponieważ sednem jest to, czy my – instruktorzy rzeczywiście stale się doskonalimy, czy pomagamy młodszemu od nas rozwijać się, czy swoim działaniem sprawiamy, że dla naszych podopiecznych doskonalenie się jest czymś naturalnym, czymś, bez czego nie można być pełnowartościowym instruktorem?

Odruchowo odpowiemy: tak, oczywiście! Mam jednak poważne wątpliwości, bo czy zrzucając liczne obowiązki na drużynowych, przybocznych, na naszych namiestników i innych funkcyjnych, zwracamy uwagę na ich doskonalenie? In-

czej: czy przytłoczeni obowiązkami znajdą na to czas? I jeszcze jedno: czy zdarzy się, że namiestnik siądzie ze swoimi drużynowymi, hufcowy zaś z namiestnikami i porozmawiają o przyszłości: w jakim kierunku zamierzam się rozwijać, co chcę osiągnąć w życiu, kim chcę być za rok, za dwa, za pięć lat?

Obserwacja naszej harcerskiej rzeczywistości nastraja mnie pesymistycznie: mało kto planuje rozwój ze swoimi podopiecznymi, bo... przecież jest tyle do zrobienia! Zostawmy w spokoju tytuły naukowe, pozostawmy wyłącznie w harcerskim kręgu i przyjmijmy, że wystarczającym miernikiem doskonalenia instruktora jest jego stopień. Nawet przy takim założeniu mój humor nie poprawi się. Dlaczego? Odpowiem pytaniem: czy nigdy nie słyszałeś, nie słyszałaś z ust instruktora – przynajmniej – pracowitego, aktywnego itd. następujących słów: „Mam tyle roboty, że nie mam czasu na zdobywanie stopni!”? Ja słyszałem to wiele razy i dochodzę do wniosku, że coś w naszym Związku jest postawione na głowie!!! Jak to możliwe, że drużynowy ma czas, żeby prowadzić zbiórkę, być w hufcu i w jeszcze kilku miejscach, że namiestnik jest na kilku zbiórkach drużyn, na dyżurze w hufcu i zebraniu komendy, a brak im czasu, żeby pomyśleć o sobie, aby planowo i świadomie zająć się swoim rozwojem?

Wszystko byłoby wspaniale, gdyby istnienie harcerstwa było celem samym w sobie. Ale tak nie jest i powinniśmy zapytać, jak to się ma do idei harcerstwa. No właśnie, spójrzmy na to przez pryzmat misji harcerstwa: przecież to marnowanie ludzi, kiedy harcerstwo tak potrafi ich pochłonać, że nie mają czasu myśleć o swoim doskonaleniu!

Ech, gdyby chociaż stopnie instruktorskie faktycznie tworzyły każdemu ścieżkę rozwoju... A z reguły co mamy: programy prób nastawione na zrobienie z człowieka fachmana od prowadzenia drużyny lub innej jednostki. To może stopnie harcerskie tak ochoczo zdobywane przez wielu instruktorów? Tu z kolei prym wiodą techniki harcerskie...

No więc gdzie jest miejsce na kształtowanie instruktora na świadomego, otwartego, mądrego, aktywnego członka społeczeństwa, na dojrzałego obywatela Polski? To jest właśnie problem. Pamiętam, jak na jakimś kursie nalegałem na drużynowych, aby w swoje próby wpisali wyjście raz na jakiś czas do teatru, na koncert, na wystawę... Wzbudzało to wielkie zdziwienie i słyszałem wówczas: u nas w hufcu to nie przejdzie, bo przecież musi coś być z ... (tu padały nazwy technik harcerskich), a to jest niepotrzebne. Słowem: rozwijaj się człowieku, ale tylko harcersko.

To nie byłoby takie złe, gdyby zadania prób na stopnie kształtowały cechy, postawy ogólnoludzkie, przydatne w zwyczajnym, dorosłym życiu. To naprawdę byłoby doskonałe! Niestety tak nie jest i często wtłaczamy w głowy instruk-

torów rzeczy nieprzystające do rzeczywistości, nieprowadzące do ich nieharcerskiego – zwykłego, ludzkiego rozwoju.

Myślę, że wszystkim nam zależy na tym, aby być liderami, aby nasi harcerze wyróżniali się w tłumie młodych ludzi doświadczeniem, rzetelnością, pracowitością, uczciwością i tymi wszystkimi innymi cechami, które leżą u podstaw harcerstwa.

Jednak żeby tak było, musimy postawić na doskonalenie, co więcej, doskonalenie z duchem czasów, musimy wreszcie zacząć traktować nasz ruch jako środek do celu, a nie cel sam w sobie. Tylko wtedy mamy szansę wypuszczać ze swych szeregów tysiące ludzi aktywnych, świadomych i wykształconych – liderów społecznych, którzy nie będą w tyle, bo w czasie, kiedy inny uczyli się języków obcych, chodzili na kursy i studia podyplomowe, oni... bawili się na zbiórce. Tylko bawili się, a nie uczyli bawiąc!

A może czas uświadomić sobie, że harcerska służba to także służba sobie? A więc: może trochę pozytywnego, budującego... egoizmu?

OD AUTORA:

Na początku tekstu jest mowa o ówczesnej przewodniczącej ZHP hm. Marii Hrabowskiej oraz komendantce Chorągwi Krakowskiej – hm. Jarosławie Balonie.

W poczuciu odpowiedzialności

Wychowam swego następcę.

Ciekawe, po co w Zobowiązaniu Instruktorskim znalazł się fragment o wychowaniu swego następcy? Czy jest to naprawdę konieczne, aby każdy instruktor znalazł i przygotował kogoś, kto przejmie po nim schedę? Każdy – od drużynowego po naczelnika? Jaka idea za tym stoi?

Myślę, że jest w tym coś z naturalnego dążenia do przetrwania gatunku, w tym przypadku gatunku o nazwie „harcerz”. To sposób na zapewnienie ciągłości istnienia naszego ruchu oraz – co najistotniejsze – gwarancja ciągłości harcerskiej tradycji, tej całej „otoczki”, która sprawia, że harcerstwo za kilka lat będzie obchodzić stulecie swego istnienia, cały czas przyciągając do siebie tysiące młodych ludzi.

Oczywiście, kiedy mówimy o prawie wiekowej tradycji harcerstwa, zawsze pojawia się kwestia jego aktualności – aktualności wartości, metody, programu. Czy to przekazywanie następcom, niczym w sztafecie, idei, własnych doświadczeń, wiedzy i umiejętności jest podstawowym efektem tej wagi, jaką przykładamy w Związku do wychowania tych, co przyjdą po nas? Chyba tak, chociaż niejeden dostrzeże tu także zagrożenia: przecież nietwórcze przywiązanie do tego, co było kiedyś, wierne odtwarzanie przeżyć z własnych wczesnoharcerskich lat, ślepe klonowanie rozwiązań stosowanych przez swoich drużynowych, może prowadzić do zacofania organizacji – w dodatku w kwestii najmniej istotnej z punktu widzenia ciągłości idei harcerstwa... Bo jakże często młody drużynowy przejmuje jedynie rozwiązania programowe, bez krytycznego spojrzenia na ich wartość zmieniającą się z upływem czasu, a pomija to, co najważniejsze: ponadczasowość wartości, aktualność metody!

To jednak temat na inne rozważania, skoncentrujmy się więc na wychowaniu następcy. Kiedy patrzę na wyniki spisu harcerskiego z ostatnich lat, kiedy widzę

zaangażowanie w harcerstwo młodych ludzi, ich stosunek do Związku, nabieram przekonania, że istnienie nakazu wychowania następcy to coraz bardziej konieczność, to warunek, żeby za te dziesięć lat było komu świętować stulecie harcerstwa. Obawiam się bowiem, iż harcerstwo stanie się organizacją ludzi w średnim i podeszłym wieku – organizacją tych, którzy pamiętają „prawdziwe” harcerstwo, „czują” je, którzy jeszcze zdążyli zachłysnąć się tą ideą. Może, w najlepszym wypadku, będzie też grupa dzieci traktujących harcerstwo nie jako sposób na życie, lecz jeszcze jedno kółko zainteresowań, sposób miłego spędzenia wolnego czasu, jedynie forma taniego spędzenia wakacji.

Przedstawiam może zbyt czarne scenariusze, ale może wreszcie czas uswiadomić sobie, co nas czeka, jeśli nic nie zmienimy w działaniu instruktorów pełniących istotne funkcje w naszym Związku. A może przede wszystkim należy zmienić sposób myślenia o przyszłości?

No właśnie, jak myśli o przyszłości swojej jednostki instruktor? Chyba najczęściej jest to myślenie typu: „Ja tu będę zawsze, ja zawsze będę prowadził tę drużynę, nie wyobrażam sobie, aby mnie tu nie było” i tak dalej...

Przypomnij sobie, ile znasz drużyn, których drużynowi nigdy nie myśleli o tym, że kiedyś z przyczyn zawodowych, rodzinnych czy ze względu na kontynuowanie nauki nie będą mogli jej prowadzić? A ile znasz drużyn, które na skutek takiego myślenia rozpadły się po odejściu drużynowego? Ja potrafię wymienić co najmniej kilka przypadków. Czy zgadniesz, co z reguły słyszałem na temat tych drużynowych z ust ich przełożonych – szczerpowego lub hufcowego? Słowa dezaprobaty, oburzenia, krytykę nieodpowiedzialności? Nie! Peany: jaki to wspaniały instruktor, jaką wspaniałą drużynę prowadził, jak ci jego harcerze go uwielbiali, no i taki autorytet, że po jego odejściu wszystko się rozpadło, bo nikt nie był w stanie go zastąpić. A ja pytam: to dobry instruktor? to odpowiedzialny instruktor? A gdzie jego następcą?!?

Toż to prawdziwy skandal! To nieodpowiedzialność, tak „uzależnić” od siebie harcerzy, żeby po odejściu drużynowego nie mogli znaleźć sobie miejsca w harcerstwie! To skrajna nieodpowiedzialność nie rozprowadzić (że użyję kolarskiego określenia) przybocznego na swojego naturalnego następcę! W tym momencie – jako sędzia harcerski – pomyślałem sobie, że to się nadaje do sądu harcerskiego!

Można nie myśleć o tym, że kiedyś nadejdzie chwila rezygnacji z prowadzenia drużyny i przekazania jej następcy, kiedy jest się niedojrzałym instruktorem, nastoletnim drużynowym. To przywilej wieku (choć z pewnością nie funkcji!). Ale nie można przystać na taką postawę w przypadku wszelkich funkcji pełnionych powyżej drużyny!

Czy może być coś jeszcze gorszego? Owszem, to postawa: „po mnie choćby potop”. Przejawia się ona co najmniej tzw. paleniem mostów albo kompletnym brakiem zainteresowania losami jednostki po zakończeniu kadencji. Napisałem „co najmniej”, gdyż wymienione sytuacje nie są tak groźne, jak chociażby prowadzenie do utożsamiania harcerstwa przez różne urzędy z aktualnym komendantem (po nim nie będzie partnera), niszczenia (tak!) ludzi, którzy chcieliby być następcami (nawet, gdy jest to ostatnia kadencja) czy „przyzwyczajenie” instruktorów, że komendantem jest X (inny nie będzie – nie ma się co starać, kształcić, lepiej schować ambicje).

Może się dziwisz, że to, co czytasz, przypomina horror i z pewnością nie ma nic wspólnego z ideą harcerską? Zgoda! Mam jednak dla ciebie niemiłą wiadomość: wszystkie wymienione przypadki wzięte są z życia...

Co zatem robić, jak zadbać o to, by wychowanie następcy nie było jedynie pustym, statutowym obowiązkiem? Myślę, że nic nie zastąpi idei, harcerskich wartości tkwiących głęboko w każdym instruktorsze, nic nie zastąpi poczucia obowiązku spoczywającego na każdym harcerzu od chwili, kiedy wypowiada słowa Zobowiązania Instruktorskiego.

I jeszcze jedno. Marzy mi się, że zawsze, w poczuciu zbiorowej odpowiedzialności za wspólną przyszłość, przynajmniej na rok przed końcem kadencji będzie jasne, czy i kto szykuje się na następcę albo (jeszcze lepiej!) kto jest szykowany na następcę! Chciałbym już za dwa lata wiedzieć, kto będzie moim następnym hufcowym, komendantem chorągwi. A kiedy w kalendarzu widzę „październik 2000”, to myślę: jak dobrze byłoby wiedzieć, kto będzie moim następnym naczelnikiem...

OD AUTORA:

W sprawie opisanej w ostatnim akapicie zrobiliśmy postęp – zgodnie z Ordynacją wyborczą ZHP kandydaci na funkcje: Przewodniczącego ZHP, Naczelnika ZHP oraz komendanta chorągwi muszą zgłosić swoją kandydaturę odpowiednio wcześniej.

Będę prawdziwym instruktorem

*Powierzonej przez Związek Harcerstwa Polskiego służby
nie opuszczę samowolnie.*

Cóż to znaczy samowolnie? Sięgnąwszy do mądrych słowników dowiaduję się, że chodzi o takie postępowanie, które jest wynikiem jedynie własnej woli, nieliczenia się z nikim i z niczym.

I tu pojawia się kłopot: bo najczęściej zdarza się, że ktoś opuszcza swą funkcję z własnej woli przy dezaprobachie innych! Weźmy taki przykład: drużynowy postanawia oddać drużynę następcy, którym ma być dotychczasowy przyboczny. Jest to jego własna decyzja, jego wola. Ale inni są temu przeciwni – nie chce jego odejścia szczerpowa, namiestnik i hufcowy. Ale drużynowy stwierdza, że podjął już decyzję – oddaje drużynę. Czy to znaczy, że opuszcza ją samowolnie?

No dobrze, zostawmy ściśle odwoływanie się do definicji słownikowych.

Ech, gdyby zawsze było tak jak w powyższym przykładzie, to byłoby naprawdę świetnie. Wprawdzie nie ma się czemu dziwić, że przełożeni nie chcą pozbyć się bardzo dobrego drużynowego. Jednak – z drugiej strony – nie można być wiecznie drużynowym, trzeba dać szansę innym, po to wychowuje się następcę, to jest gwarancja ciągłości naszej organizacji.

Myślę więc, że istota ostatniego zdania naszego Zobowiązania jest inna, że nie chodzi o trzymanie na siłę instruktorów na kiedyś objętych funkcjach. Zatem o co chodzi? Myślę, że o odpowiedzialność. Odpowiedzialność za własne decyzje, własne wybory, za tę małą cząstkę harcerstwa, w której pełnimy służbę, i za zuchy, harcerzy i innych instruktorów w niej skupionych. Tak! Podstawą jest odpowiedzialność! To właściwie jedyny sposób, aby zabezpieczyć się przed porzuceniem przez instruktora pełnionej przez niego funkcji.

Zazwyczaj jest tak, że kiedy instruktor obejmuje swą funkcję, jest bardzo miło: fantastyczne zaangażowanie, niewiarygodny zapał, mnóstwo pomysłów, niesamowite wizje... W takim momencie szczerze wierzymy, że zawsze tak bę-

dzie, że ta wspaniała dziewczyna, ten wspaniały chłopak – na wskroś przesiąknięci ideą harcerską – zawsze będą tacy! Ale kiedyś nadchodzi taki moment, że pojawia się coś innego na ich drodze życiowej, coś być może znacznie ważniejszego: studia, praca, rodzina. Harcerstwo odchodzi na dalszy plan...

Wtedy właśnie pojawia się problem, bo okazuje się, że z dnia na dzień drużyna zostaje bez drużynowego, że nie ma przybocznego przygotowanego do jej przejęcia, ponieważ w hufcu nikt się o to nie martwił, a drużynowy także o tym nie pomyślał, wychodząc jeszcze do niedawna z założenia, że zawsze będzie pełnił tę funkcję.

Co więcej, okazuje się wtedy, że nie zabezpieczyliśmy się na taką sytuację! Ale – z drugiej strony – co moglibyśmy zrobić? Prokuratora przecież nie postawimy przy każdym drużynowym, prawda? A pisemne zobowiązania? – cóż one są warte, jeśli ktoś chce odejść z ZHP, jeśli harcerstwo przestało się dla niego liczyć i absolutnie nie zależy mu na opinii jakichś „nawiedzonych”?

Moment odejścia to czas egzaminu, kiedy okazuje się, jakim kto jest instruktorem, jakim jest człowiekiem. Nie są tutaj istotne pisemne zobowiązania, lecz instruktorska i zwykła ludzka odpowiedzialność!

Ale zapewnienie ciągłości pracy środowisk to nie tylko odpowiedzialność drużynowych czy szczepowych. To przede wszystkim odpowiedzialność instruktorów harcerskich komend za pozyskiwanie, kształcenie, za wychowywanie następców. O ile można wybaczyć siedemnastolatкови brak perspektywicznego spojrzenia na przyszłość swojej drużyny, to nie da się wybaczyć takiego błędu jego przełożonym – namiestnikowi, hufcowemu. O ile brak dbałości o wychowanie następcy jest skrajną nieodpowiedzialnością komendanta hufca, to niezwrócenie na to uwagi przez komendanta chorągwi dyskwalifikuje go jako instruktora odpowiedzialnego za całą chorągiew.

Ciągle przewija się tu jedno słowo: „odpowiedzialność”. Tym jednym słowem przesiąknięte jest całe Zobowiązanie! Oto deklarujemy naszą świadomość odpowiedzialności harcerskiego wychowawcy i opiekuna, dbałość o dobre imię harcerstwa – czyli odpowiedzialność wobec Ruchu (tego przez duże „R”). Mamy przestrzegać Statutu ZHP – to odpowiedzialność wobec zasad organizacji. Dalej zobowiązujemy się pracować nad sobą, pogłębiać swoją wiedzę, swoje umiejętności – to także odpowiedzialność: wobec nas samych i naszej organizacji, której rozwój zależy od nas – a więc naszej wiedzy, umiejętności. No i wreszcie deklarujemy wychowanie następcy, pozostawienie kogoś na swojej funkcji – to znowu odpowiedzialność za rozwój organizacji, odpowiedzialność wobec niej.

Kończąc ten cykl rozważań nad naszym Instruktorskim Zobowiązaniem myślę, że to jest właśnie słowo-klucz, które stanowi istotę bycia instruktorem – prawdziwym instruktorem.

Może wystarczyłoby, gdyby młody człowiek, który właśnie za chwilę wejdzie na drogę instruktorską, miał świadomość, jakie czekają go obowiązki, z jaką wiedzą, jakimi umiejętnościami, a nade wszystko z jaką odpowiedzialnością wiąże się bycie instruktorem. Wówczas, zamiast wygłaszać długi tekst Zobowiązania, mógłby powiedzieć tylko trzy słowa: będę prawdziwym instruktorem...

Życzę sobie, nam wszystkim, naszym wychowankom, naszemu Związkowi, niekoniecznie wielu, ale za to samych prawdziwych instruktorów!!!

OD AUTORA:

Cykl moich tekstów nt. Zobowiązania Instruktorskiego wraz z tekstami Marzeny Przepiórkowskiej i Kamy Bokackiej złożył się na wydaną przez Ruch Całym Życiem publikację pt. „Instruktorskie rozważania”.

Nowa filozofia, czyli harcerstwo XXI wieku

Ręce poszły w górę, ktoś je policzył i ogłosił wynik. Potem jeszcze raz to samo i okazało się, że mamy... nowego naczelnika. Niby nowego, choć nazwisko jakby znane.

No dobrze, nie czas na żarty, kiedy sytuacja jest poważna. A jest poważna, bo nie jest normalne, że zmienia się szef tak dużej organizacji zaledwie na rok przed końcem kadencji.

Jestem jednak zdania, że jest to szansa dla naszego Związku! Dlaczego? Po pierwsze: kończy się pewien etap w życiu organizacji, jest to więc dobry moment na podsumowania, ale – jeszcze bardziej – na krystalizowanie wizji przyszłości. Po drugie: każda zmiana wyzwala nową energię, a ta energia bardzo się przyda przez ten rok – rok przedjazdowy. No i po trzecie: z pewnością lepiej jest mieć znajomego posła, który będzie przychylny harcerstwu (założenie to wydaje mi się oczywiste!), niż tę samą osobę trzymać na siłę na funkcji, której nie chce już pełnić.

*Po czasach burzliwych stoi przed polskim harcerstwem okres ciekawy, żywiołowy i pełen szans. Jednak możliwości rozwoju, jakie daje nam ta nowa rzeczywistość, szybko ulotnią się, jeżeli nie spróbujemy znaleźć swojej ścieżki ku przyszłości.**

Sądzę więc, że jest dobrze, że otwierają się przed Związkiem dobre perspektywy na najbliższy rok. Rodzi się jednak następne pytanie: co przez ten rok robić? Myślę, że snucie jakichś poważnych planów nie jest realne. Rok to czas niedługi. Dlatego proponuję, aby ten czas wykorzystać na profesjonalne

PRZYGOTOWANIE ZJAZDU ZHP

Co należy przez to rozumieć?

Po pierwsze: należy uświadomić sobie, że ten Zjazd wytyczy drogę, jaką podąży Związek w pierwszych latach nowego tysiąclecia. To od niego będzie zależeć, czy ZHP przeżyje kolejną młodość, czy nadaży za zmieniającą się rzeczywistością, czy też w stulecie harcerstwa zostanie zredukowany do wielkości organizacji kanapowej.

Po drugie: trzeba odpowiedzieć na pytanie, jaki ma być nasz Związek, jakie ma być harcerstwo w pierwszej dekadzie XXI wieku. Na szczęście nie powinno to być zadanie trudne, bo odpowiedź znajdujemy w „Strategii rozwoju ZHP 1999-2007”.

Po trzecie: należy jak najszybciej rozpocząć szeroką dyskusję instruktorską o kierunkach rozwoju ZHP. Niniejszym tekstem i szczególnie niektórymi тезami mam nadzieję ją pobudzić!

Po czwarte: proponuję stworzyć zespół instruktorów, który – krótko mówiąc – przygotuje merytorycznie ten Zjazd. I nie chodzi mi wcale o grono ludzi, których celem będzie „podłubanie” w Statucie ZHP, ale o zespół doświadczonych instruktorów różnych szczebli, który z uwagą będzie słuchał głosów w toczącej się dyskusji, wyciągnie wnioski z tego, co dzieje się w środowiskach, a także wykorzysta profesjonalną wiedzę z takich dziedzin, jak: zarządzanie, marketing, prakseologia, psychologia społeczna, socjologia, pedagogika, polityka społeczna.

Po piąte: efektem dyskusji ma być „przekucie” zapisów „Strategii rozwoju” na konkretne rozwiązania programowe, metodyczne, organizacyjne i finansowe.

Po szóste: należy przygotować pakiet konkretnych propozycji do przyjęcia przez Zjazd Związku.

I po siódme: te propozycje zmian należy oprzyrządować konkretnymi projektami zmian zapisów statutowych oraz innymi kluczowymi przepisami związkowymi.

Może ktoś w tym miejscu stwierdzić: „A jednak Statut!”. Owszem, tak! Tyle, że nie piszę o zmianach przypadkowych, cząstkowych, lecz o korektach, które wynikają z dalekosiężnego planu wdrażania przyjętej strategii rozwoju. To jednak różnica, bo zmiany w Statucie są tu narzędziem wprowadzania zmian, a nie celem samym w sobie.

KIERUNKI ROZWOJU

Plan jest jasny, tylko w jakim kierunku powinniśmy zmieniać nasz Związek? Jak już wcześniej napisałem, odpowiedź znajdziemy w „Strategii rozwoju ZHP 1999-2007”.

STRUKTURA

Powinniśmy dysponować strukturą, która nie będzie ograniczała i hamowała naszych działań, lecz pozwoli elastycznie reagować na zmieniające się społeczne uwarunkowania. Musimy umiejętnie budować zaplecze naszego działania i tworzyć warunki do tego, aby w demokratycznym i pluralistycznym społeczeństwie Związek Harcerstwa Polskiego mógł odgrywać rolę odpowiednią do swego potencjału i godną swojej tradycji.

Sądzę, że trzeba zdecydowanie postawić na hufce jako ten szczebel organizacji, który najbardziej wpływa na jego kondycję, a jednocześnie jest (przynajmniej w większości przypadków) na tyle blisko gromady czy drużyny, że z definicji jest bardziej harcerski niż biurokratyczny. Przy czym nie chcę wcale rewolucji. Osobiście byłbym szczęśliwy, gdyby wszystkie hufce były w stanie wypełniać te zadania, które wynikają ze Statutu ZHP 2000 roku!

Oczywiście znaczy to, że wiele hufców przestanie być hufcami, a właściwie – bądźmy szczerzy – szczepami czy związkami drużyn – nazywanymi chyba tylko z tradycji hufcami. Tak, napiszę to wprost: konieczne będzie łączenie wielu hufców! Jeśli mamy stworzyć model nakierowany na hufce, na ich wspieranie, to musimy mieć do dyspozycji jednostki o potencjale zdolnym sprostać minimalnym statutowym wymaganiom!

Taki pogląd wynika z jeszcze jednego założenia: znacznej redukcji funkcji chorągwi oraz Głównej Kwatery ZHP. Wszak nie można ograniczyć zadań chorągwi, jeśli cały czas będą hufce ledwo zipiące, wymagające permanentnego wpierania w najbardziej podstawowych zadaniach.

POMOCNICZOŚĆ

Padło tu wcześniej stwierdzenie o redukcji zadań chorągwi i Głównej Kwatery. Ale czy to się da zrobić? Myślę, że tak, o ile zmienimy paradygmaty tak

modne wśród średniej i wyższej kadry naszego Związku. Czas na nową filozofię działania! Proponuję więc upowszechnić zasadę pomocniczości, którą – w odniesieniu do naszego harcerek poletka – można byłoby streścić w następującym stwierdzeniu: tylko tyle chorągwi, tylko tyle Głównej Kwatery, ile to konieczne, tyle drużyny, hufca, ile tylko możliwe.

Sednem jest więc takie funkcjonowanie organizacji, gdzie pierwszeństwo mają wszelkie działania oddolne, te na najniższym poziomie – właśnie drużyny czy (maksymalnie) hufca. Jednostki nadrzędne nie powinny zaś wkraczać tam, gdzie „doły” sobie poradzą, nie powinny odbierać tej inicjatywy, a działać tylko wtedy, kiedy potrzebna jest im pomoc.

Co zatem mają robić chorągwie, co ma robić Główna Kwatera? Najogólniej mówiąc: stwarzać hufcom warunki do jak najbardziej komfortowego wykonywania przez nie swoich zadań, poprzez:

- kształcenie profesjonalnej kadry, która będzie w stanie realizować zadania hufca,
- dbanie o wizerunek Związku, promowanie ZHP jako takiego oraz jego „produktu”, którym ma być jak najatrakcyjniejsza dla adresatów oferta wychowawcza,
- prowadzenie skutecznego lobbingu – jako członek trzeciego sektora oraz jako rzecznik dzieci i młodzieży,
- tworzenie, wdrażanie i monitorowanie rozwiązań organizacyjnych i finansowych.

Do obowiązków Głównej Kwatery oraz komend chorągwi powinien należeć także nadzór nad działalnością władz niższego szczebla. Ale nadzór z prawdziwego zdarzenia, a nie to, co jest dziś i co – stwierdzam w pełni świadomie – można nazwać parodią nadzoru.

Teraz jest tak, że hufce mogą mieć wielkość niewielkiego szczepu i nie realizować zadań nawet tych należących do szczepu i... nic się nie dzieje! Z drugiej strony komendant chorągwi, jeśli się na kogoś zawezmie, może zrobić, co chce! To bez wątplenia niedobry układ, zakładający dobrą wolę, czyste intencje, kierowanie się dobrem organizacji, brak indywidualnych uprzedzeń itd. Słowem: przygotowany dla aniołów! A w to, że mamy ich w Związku wiele, przestałem wierzyć jakieś dziesięć lat temu, kiedy wystawiłem swój nos poza macierzysty szczep.

Co zrobić? Proponuję wprowadzić przejrzyste procedury, które sprawią, że niezależnie od tego, czy komendantem chorągwi jest Igrekowski czy Iksiński, hufcowy, który nie spełnia swoich zadań, będzie wiedział, że może się spodzie-

wać takich samym działań interwencyjnych ze strony chorągwi. Co więcej – będzie dobrze wiedział, jakie metody mogą zostać wobec niego zastosowane. Ale to także oznacza, że taki hufcowy nie może liczyć na dobre serce komendanta chorągwi, bo jest to z kolei jego obowiązek, aby w razie niewypełniania zadań przez hufiec, podjąć stosowne kroki. I musi je podjąć, bo inaczej sam zostanie rozliczony przez komisję rewizyjną albo naczelnika!

Myślę, że to dobre rozwiązanie: nadzór oparty nie na uznaniowości, lecz na określonych procedurach. Gdybym był hufcowym, to z pewnością chciałbym mieć taką jasną sytuację: że jeśli czegoś nie zrobię, to komendant chorągwi mnie pogoni, pogoni na pewno, bo jak on tego nie robi, to jego pogonią!

Żeby to wszystko działało, potrzebna jest jeszcze kontrola sądów harcerskich. Teraz większość decyzji komendantów nie podlega takiej kontroli. To źle! Myślę, że zasadą powinno być istnienie możliwości odwołania się od decyzji (także tej nadzorczej) do sądu harcerskiego.

Nie sposób wyobrazić sobie sprawnego funkcjonowania organizacji bez jeszcze jednego elementu. Jest nim doskonale przygotowana, kompetentna, obdarzona autorytetem

KADRA

Musimy tak kształcić i przygotowywać kadrę, aby była w stanie podolać nowym potrzebom i problemom wychowawczym oraz sprawnie kierować Związkiem.

Sposób na to, aby mieć profesjonalną kadrę, jest jeden: kształcić, kształcić i jeszcze raz kształcić. Przy czym nie chodzi mi wyłącznie o kursy, ale o permanentne doskonalenie się, długofalowe przygotowywanie do objęcia ważnej funkcji.

O właśnie, przygotowanie do funkcji – to jest klucz do sukcesu! Teraz mamy bardzo ciekawe zjawisko, że właściwie, będąc instruktorem, mogę być komendantem hufca, chorągwi czy naczelnikiem. Zupełnie tak, jakby próby instruktorskie zawierały w sobie treści przygotowujące do pełnienia tych funkcji! I w efekcie mamy niekompetentną kadrę, która – to wcale mnie nie dziwi – nie potrafi sprostać podstawowym zadaniom statutowym.

Kwestia przygotowania do pełnienia funkcji jest jednym z bardziej interesujących paradoksów naszej organizacji. Bo oto drużynowy chce mieć zastępowych przeszkolonych – jak chłopak nie ukończył kursu zastępowych, to nie

będzie mianowany. Oczko wyżej: drużynowy, jeśli nie ma dyplomu ukończenia kursu drużynowych, patentu drużynowego czy innego dokumentu – nie zostanie mianowany przez hufcowego na funkcję. A więc, aby zostać zastępowym czy drużynowym, trzeba mieć potwierdzone kwalifikacje! Ale żeby zostać komendantem hufca czy chorągwi, albo naczelnikiem – wystarczy mieć poparcie wystarczającej liczby głosujących; nie trzeba być przygotowanym do pełnienia tej funkcji, nie trzeba mieć odpowiedniego wykształcenia czy doświadczenia. Dziwne, prawda?

Tutaj wyłamię się z konwencji tego tekstu i zaproponuję jeden, mały zapis statutowy. Przecież wystarczyłoby, gdyby w Statucie ZHP znalazło się mniej więcej takie zdanie: „Funkcję we władzach ZHP może objąć wyłącznie instruktor przygotowany do jej pełnienia.”, a Rada Naczelna przyjęłaby kryteria, o jakie przygotowanie do jakich funkcji chodzi. Może byłoby lepiej?

PROGRAM

Jeśli chcemy skutecznie wychowywać, szybko reagować na zmiany w otoczeniu organizacji i nowe potrzeby społeczne, jeżeli chcemy być konkurencyjni wobec innych stowarzyszeń, musimy mieć ideę, metodę wychowawczą i program, które spowodują, że młodzi ludzie „zagłoszą nogami” i spośród dwudziestu tysięcy działających w Polsce stowarzyszeń wybiorą Związek Harcerstwa Polskiego.

Do tej pory w naszym Związku funkcjonowało przekonanie, że można zrobić program „na górze” i „doły” z wielką radością go zrealizują. Moje doświadczenia wskazują, że te propozycje wykorzystywały tylko dwa rodzaje środowisk. Te najlepsze, których drużynowy zawsze i wszędzie szukał inspiracji, był otwarty na wszelkie nowości, pomysły. No i te najgorsze, dla których gotowy program był jak zbawienie, bo drużynowy nie musiał pogrążyć się w niezwykle męczącej pracy, jaką jest wymyślenie czegoś dla drużyny. A gdzie ta masa „średniaków”...?

Druga kwestia to dotychczasowy tematyka programów, która w ostatnich latach zależała głównie od tego, skąd udało się zdobyć pieniądze. I tak: mieliśmy pieniądze z Komitetu Integracji Europejskiej – był „Paszport do Europy”, są pieniądze z fundacji profesora Zatońskiego – walczyliśmy o czyste płuca...

A sprawa jest prosta: myślę, że program powinien być tworzony na szczeblu bardzo dobrze funkcjonującego hufca! Jest jeszcze jeden argument przemawiający za tym: problemy finansowe Związku w ostatnich latach, które jasno wska-

zują, że pieniędzy na szczeblu Głównej Kwatery będzie coraz mniej! Kiedyś – nawet przy wszystkich istniejących patologiach we wdrażaniu rzeczywistych procesów decentralizacji – nastąpi wreszcie głęboka decentralizacja finansów państwa i wygrają ci, którzy najwcześniej zrozumieją, że trzeba się ustawić w kolejce do pieniędzy lokalnych i dobrze zdiagnozować, na co ta władza lokalna jest chętna dać fundusze.

Czy to znaczy, że Główna Kwatera i chorągwie powinny w ogóle nie interesować się programem? Oczywiście, że nie. Sądzę, że „góra” powinna raczej pokazywać, jak robić program, a nie – co robić. A więc kształcenie! Poza tym ktoś musi zbierać i upowszechniać ciekawe pomysły, rozwiązania.

Myślę sobie, że do najwyższych szczebli naszej organizacji powinno także należeć doskonalenie inicjatorów programu harcerskiego, którzy – z jednej strony – podchodząc marketingowo, tworzyliby zręby programu atrakcyjnego dla młodych ludzi początku tysiąclecia, a – z drugiej strony – dbaliby o to, aby w tym zaspokajaniu oczekiwań, w tej walce z coraz silniejszą i specjalistyczną konkurencją, nie zgubić naszych ideałów, wartości, bez których harcerstwo nie będzie już harcerstwem.

Tylko połączenie aktualności programu z jego ideowością może zapewnić nam równowagę pomiędzy radością z „zagłosowania nogami” a satysfakcją z kultywowania tradycji.

ZMIANY

Będzie to wymagało pokonania lęku przed zmianą. Porzucenia tradycyjnego myślenia o organizacji i rutynowych, sprawdzonych sposobów postępowania. Harcerstwo zawsze odgrywało rolę prekursora, odważnie sięgało do spraw trudnych i niepopularnych. Będzie to wymagało niezwykle trudnego przekształcania ludzkich postaw i nawyków.

I to jest problem. Bo gdyby zgodzić się z przedstawioną tu koncepcją, to oznaczałoby, że większość działań obsługiwałyby zespoły społecznych zapaleńców (które są w stanie zrobić więcej, niż rzesza pracowników etatowych!), a w Głównej Kwaterze czy w komendach chorągwi zostałyby tylko:

- służby finansowe,
- koordynatorzy i organizatorzy kształcenia,
- specjaliści od promocji,
- koordynatorzy spraw prawno-organizacyjnych Związku.

Tego oporu najbardziej się boję. Jednak jestem przekonany, że będąc instruktorem Związku Harcerstwa Polskiego nie można spasować, trzeba wreszcie dokonać kolejnego kroku w rozwoju naszej organizacji. Bo ileż można się szczyć powrotem do światowych organizacji skautowych czy protektoratem Prezydentów RP? To przeszłość, z której może być dumny odchodzący naczelnik ZHP, ale nie jego następca czy – tym bardziej – nowe władze, które zostaną wybrane przez najbliższy Zjazd ZHP.

Przed nami przyszłość z nowymi wyzwaniami. Musimy się przygotować na nie. Także po to, aby mieć swoją cegiełkę, swoje własne sukcesy, którymi każdy z nas będzie mógł się szczyć.

PS: Niezależnie od tego, czy koncepcja działań nowych władz naczelnych na najbliższy rok będzie bardziej lub mniej zgodna z moimi poglądami, szczerze życzę nowemu Naczelnikowi i jego ekipie powodzenia. I to nie tylko z sympatii, ale we własnym – instruktora ZHP – interesie!

* Cytaty pochodzą z dokumentu „Strategia rozwoju Związku Harcerstwa Polskiego 1999-2007”.

Co ja – szaraczek mogę?

A któż może sobie zadać powyższe pytanie? Sądzę, że zdecydowana większość instruktorów ZHP, kiedy tylko się zastanowią nad tym, jaki (realnie) mają wpływ na swój Związek teraz – kilka miesięcy przed jego Zjazdem.

Bo sytuacja w skrócie wygląda tak:

- Rada Naczelna uchwała Ordynację wyborczą, która przewiduje, że zbiórki wybierające delegatów na Zjazd odbywają się od początku września do połowy listopada. Większość zbiórek odbywa się raczej później niż wcześniej, ponieważ trzeba się „obudzić” po wakacjach, mianować drużynowych i innych funkcyjnych, gdyż dopiero to mianowanie będzie im dawać czynne prawo wyborcze. Tym sposobem okazuje się, że hufiec ma wybranego delegata na kilka tygodni przed Zjazdem.

- Mimo tak późnego wyboru, to i tak... za wcześnie, ponieważ jeszcze nie ma gotowych materiałów przedjazdowych! Kiedy więc delegat ma się z nimi zapoznać? Brak szans, nie mówiąc już o spotkaniu z instruktorami swojego hufca, skonsultowaniu się z nimi, aby reprezentować na Zjeździe nie tyle swój pogląd, lecz swoje środowisko!

- Przygotowania na ostatni moment powodują, że przeciętny delegat idzie na Zjazd nieprzygotowany – ot, po prostu nie ma szans, aby w ostatniej chwili zorientować się, co i jak! W takim razie prym wiodą starzy wyjadacze – manipulatorzy, a więc członkowie dotychczasowych władz naczelnych oraz komendanci chorągwi. Wygląda to mniej więcej tak: jest do przegłosowania coś ważnego, więc Naczelnik zbiera komendantów chorągwi i klaruje im, jakie powinny być decyzje Zjazdu. Ich zadaniem jest przypilnowanie, aby prowadzona przez nich chorągiew wykazała się lojalnością. Nie jest to trudne, wszak głosowanie jest jawne i łatwo bystrym wzrokiem ogarnąć kilkunastoosobową delegację!

- Jeśli dopiero na Zjeździe okazuje się, kto kandyduje na jaką funkcję, to jest to wybór nie w imieniu określonego środowiska instruktorów, lecz pojedyncze-

go delegata! Jaki ja mam realny wpływ na Związek, kiedy dopiero po Zjeździe dowiaduję się nie tyle, kto został wybrany, ale nawet, kto kandydował do władz naczelnych???

- Kolejna sprawa to program Zjazdu. Tak jakoś się składa, że jest on tak ułożony, że mnóstwo czasu zajmują procedury, sprawy statutowe, a na rzeczy fundamentalne (np. program) nie starcza czasu, bo już świta i wszyscy są zmęczeni.

- A zgłosić jakiś wniosek? Można, tyle że jest niewielka szansa, aby przeszło coś, co nie zostało przygotowane przed Zjazdem. Powiem szczerze: to dobrze, a właściwie byłoby dobrze, gdyby był czas na zgłoszenie tych wniosków (patrz punkt pierwszy).

- Jeszcze o kwestii wyborów delegatów. Jest to fantastyczne miejsce do manipulowania! Wyobraźmy sobie, że komendant chorągwi nie lubi kilku hufców (bo tam są krnąbrni instruktorzy). Jak ich wyeliminować? Jeśli z tego hufca mamy 40 instruktorów z czynnym prawem wyborczym, to przecież wystarczy stworzyć okręg tego hufca z jeszcze dwoma, które będą miały razem ponad 40 instruktorów i sprawa załatwiona – wybiorą swojego! Proste, prawda? Tak sobie myślę, że jak na politykierstwo i prymitywizm pewnych instruktorów na ważnych szczeblach, to jest to zbyt łatwy sposób manipulowania...

- I ostatnia sprawa. Prawie każdy hufiec ma swoich przedstawicieli we władzach naczelnych. Zapytam cię więc, instruktorze – szaraczkule, ile razy podczas kończącej się kadencji odbyło się w twoim hufcu spotkanie z tym przedstawicielem? Czy wiesz, czym się zajmuje np. Rada Naczelna? Czy choć raz ten instruktor konsultował się z tobą i innymi instruktorami twojego hufca w jakichś sprawach, które mają być przedmiotem zainteresowania określonej władzy naczelnej? Odpowiedz sobie w duchu, jaki więc masz wpływ na Związek Harcerstwa Polskiego???

A jak musiałoby być, aby realny wpływ każdego instruktora na losy Związku był większy? Proszę bardzo, oto kilka pomysłów:

- Zbiórki wybierające delegatów zrobić przed wakacjami, wówczas cała jesień mogłaby być poświęcona na spotkania delegatów oraz ich konsultacje z własnymi środowiskami. Krótko mówiąc: faktycznie reprezentowaliby oni na Zjeździe poglądy całych hufców, swoich środowisk!

- Zobowiązać delegatów do organizowania spotkań przedzjazdowych z tymi, którzy ich wybrali. Po zjeździe zobowiązać do tego wybranych członków władz naczelnych.

- Rozliczać delegatów z ich działań – przygotowań przed Zjazdem, aktywności na Zjeździe oraz realizacji zaleceń zbiórek wyborczych.

- Wprowadzić w Ordynacji przepis, że instruktorzy kandydujący na funkcje Naczelnika i Przewodniczącego ZHP muszą zgłosić swoją kandydaturę na trzy miesiące przed Zjazdem, a kandydaci do pozostałych władz naczelnych – na miesiąc przed Zjazdem. Dzięki temu nawet instruktor – szaraczek będzie wreszcie miał poczucie, że „góra” się z nim liczy!

- Większość prac programowych wykonać w gronie delegatów przed Zjazdem (byłaby na to cała jesień!), tak aby sam Zjazd podjął ostateczne decyzje. To trochę tak, jak w Sejmie: robotę wykonują komisje, a na posiedzeniu plenarnym „przyklepywane” są ich decyzje, głosowane rozwiązania wariantowe, wnioski mniejszości, a także podejmowane uchwały „ideowe”, kierunkowe.

- I ostatnie, może najważniejsze: wybierać na Zjazd instruktorów silnych, myślących samodzielnie, nieschematycznie, potrafiących wykorzystać własną wiedzę specjalistyczną z różnych dziedzin, dla których Związek to pasja, styl życia, a nie jedynie zawód.

To tylko kilka propozycji. Z pewnością masz własne pomysły i wiele z nich warto wprowadzić w życie, dlatego apeluję do ciebie: molestuj intelektualnie władze swojego hufca, chorągwi, swego przedstawiciela w Radzie Naczelnej, inicjuj spotkania w instruktorskich gronach. Bo przecież to jedyny sposób, aby coś zmienić na lepsze, aby nie mieć poczucia, że zmarnowana została kolejna szansa udemokratycznienia naszego Związku, że nie wykorzystasteś nadarżającej się okazji dokonania zmian w ZHP. Wszak następna możliwość będzie dopiero za cztery lata...

PS: W związku z głosami instruktorów, którzy zwracali się do mnie e-mailem lub osobiście po artykule o harcerstwie XXI wieku („Czuwaj” z grudnia 2000 r.) wyjaśniam, iż pomocniczość jest jedną z zasad społecznej nauki Kościoła sformułowaną w 1931 r. w encyklice *Quadregesimo anno* i stanowi dziś podstawę organizacji społeczno-gospodarczej Unii Europejskiej.

Super-Rada pod choinkę

Ale emocje! Podnosi się poziom adrenaliny z każdym dniem przybliżającym nas do rozpoczęcia Zjazdu ZHP! A ja pytam: po co te emocje? Może Zjazd jest władzą najwyższą w naszym Związku, ale – z całym szacunkiem – jakaż to realnie władza, skoro jest tylko trzydniowa, jakaż to władza, skoro można „swobodnie” traktować jej uchwały przez cztery lata? Kto więc stanowi o funkcjonowaniu naszego Związku przez całą kadencję? Ano jest taka władza, która robi to, a właściwie: powinna robić. To Rada Naczelna!

No właśnie: robi to czy powinna robić? Żeby było jasne: nigdy bym sobie nie pozwolił na wątplenie w skuteczność i sumiennność Rady! To pytanie, a właściwie wątpliwość, czy faktycznie Rada decyduje o ZHP, to tylko opinia zasłyszana gdzieś w Związku.

W ogóle dobrze jest czasem przystawić ucho tu i ówdzie, aby usłyszeć, co się „na dole” mówi, jakie są opinie o funkcjonowaniu „góry”. Szczególnie dobrze jest to zrobić właśnie teraz – pod koniec kadencji. A co się takiego mówi? Przyłożyłem ucho i usłyszałem coś takiego: „Najpierw Rada nic nie robiła, a później zajmowała się jakimiś dziwnymi gierkami, przepychankami”, „Właściwie po co ona, skoro niewiele robiła, a Związkowi nic się nie stało?”, „Podniecali się jakimś duperelami, a najważniejsze dla nas sprawy nie zostały ruszone!”.

Żeby wyrobić sobie wszechstronną opinię, postanowiłem, że zapoznam się z poglądami członków Rady oraz delegatów na Zjazd. Przyłożyłem więc ucho gdzieś indziej i słyszę narzekania, postulaty, że:

- Rada powinna decydować o podstawowych, najważniejszych sprawach Związku!
- powinna oceniać realizację uchwał Zjazdu ZHP, a na dodatek podejmować własne!
- musi mieć możliwość decydowania w sprawach systemu metodycznego – bo to przecież najważniejsza rzecz!!!
- powinna zatwierdzać regulaminy i instrukcje – zwłaszcza te, które dotyczą zasad działania gromad czy drużyn oraz oczywiście kształcenia, bo przecież od kształcenia zależy przyszłość naszego Związku!

- musi mieć możliwość oceniania działań Naczelnika, realizacji budżetu Związku i podejmowania decyzji o absolutorium – czyli (w razie czego) musi mieć możliwość... %@*#!

Kiedy tylko to usłyszałem, naszła mnie myśl następna: a jak to właściwie jest teraz? Sięgnąłem więc czym prędzej do Statutu i sprawdziłem! Może trudno w to uwierzyć, ale okazało się, że nie trzeba walczyć o te postulaty, nie trzeba bić się o te kompetencje Rady, ponieważ... są one zapisane w naszym Statucie!!!

Poczułem się więc kompletnie zdezorientowany – jeśli z tymi kompetencjami jest w miarę dobrze (piszę „w miarę”, ponieważ można kilka rozwiązań ulepszyć – ale to jest temat na inny artykuł), to w czym problem? Jeszcze raz powtórzę: jeśli zapisy statutowe, rozwiązania prawne są przyzwoite, to o co chodzi? Odpowiedź nasuwa się sama: problem nie tkwi w przepisach, lecz w praktyce działania. Czyli – idźmy dalej i odkryjmy wspólnie sedno sprawy – problem tkwi W LUDZIACH!!!

Powinienem się więc zmartwić, ale nie! To wielkie szczęście, że chodzi o ludzi! Przecież problemem jest to, co możemy za chwilę zmienić?! Właśnie za chwilę możemy zmienić tych, którzy się nie sprawdzili! Tak, jestem pełen entuzjazmu i optymizmu, ponieważ szczerze wierzę w to, że w tak olbrzymiej organizacji, z tak dużą liczbą instruktorów, można bez problemu znaleźć 30-40 ludzi, którzy spełniają kryteria konieczne do zasiadania we władzach tak dużej organizacji!!!

Wreszcie dotarliśmy do zasadniczej kwestii. Bo czy rzeczywiście każdy delegat może być członkiem Rady Naczelnej? Sądzę, że nie. Rzecz w tym, aby umieć określić, który się do tego nadaje. Mam świadomość, że to trudne, dlatego spieszę z pomocą, przedstawiając swój własny zestaw kryteriów, według których wybrałbym członków Rady Naczelnej.

Warunek konieczny (ale – rzecz jasna – zdecydowanie niewystarczający): czas. Jeśli ktoś jest szefem wielkiej firmy, zajmuje eksponowane stanowisko, to jest wielce prawdopodobne, że nie znajdzie czasu, aby przygotowywać się solidnie do posiedzeń Rady czy jej komisji. Nieodpowiedzialnością jest także kandydowanie do Rady, kiedy wiadomo, że specyfika pracy, nauka na studiach zaocznych albo sytuacja rodzinna nie pozwolą poświęcać weekendów, abyjechać na drugi koniec Polski na jej zbiórkę.

Na marginesie: ten warunek nie ma w pełni zastosowania do przewodniczącego i wiceprzewodniczących Związku, ponieważ – jak sądzę – na tych funkcjach trzeba mieć osoby poważane, znaczące coś także poza harcerstwem. Oczywiście oprócz tego przydałby się choćby jeden wiceprzewodniczący, który zamiast zaj-

mować się reprezentacją, skoncentrowałyby się na kierowaniu Radą Naczelną. Sądzę, że jakość pracy Rady mijającej kadencji to właśnie efekt braku osoby, która kierowałaby jej pracami.

To był warunek konieczny, ale zdecydowanie niewystarczający. Najważniejsze wydaje mi się kryterium merytoryczne, które nazywam umiejętnością strategicznego myślenia o Związku.

Może narażę się wielu osobom, ale uważam, że Rada nie jest miejscem dla drużynowych, a ściślej drużynowych, którzy nie potrafią spojrzeć szerzej na organizację niż przez pryzmat swojej drużyny. Podobnie jest ze szczepowymi czy hufcowymi – jeżeli nie mają umiejętności patrzenia z perspektywy szerszej niż własny szczep czy hufiec. A to dlatego, że w Radzie powinno się rozstrzygać sprawy strategiczne, ważne dla całego Związku. To nie miejsce, aby rozmawiać o cieciciu, która nie wpuszcza do szkoły, wielkości i kolorach sprawności harcerek albo o układzie książki pracy obozu. Sorry! To nie to forum! A właśnie po takich tematach można rozpoznać kogoś, kto nie dostrzega, na jakim szczeblu organizacji się znajduje. Tak więc moja rada na sprawdzenie, czy kandydat odpowiada kryterium merytorycznemu, jest bardzo prosta: sprawdzić „syndrom ciecicia”!

Tu pojawiają się następne pytania: skąd bierze się ta umiejętność strategicznego spojrzenia i czy warto wziąć pod uwagę coś jeszcze? Proponuję zwrócić uwagę jeszcze na dwa elementy.

Po pierwsze: poziom intelektualny kandydatów. Tak naprawdę jest to warunek, który powinniśmy stawiać właściwie każdemu kandydatowi do każdej funkcji: od kronikarza zastępcy po Przewodniczącego ZHP! Dla naszego dobra.

Po drugie: wykształcenie, przygotowanie merytoryczne. To chyba rzecz oczywista, chociaż wciąż można znaleźć wielu instruktorów (także – niestety – na wyższym szczeblu), którzy traktują organizację jak zabawę i nie dostrzegają, że będziemy mieli szansę na rozwój tylko wtedy, gdy postawimy na profesjonalizm władz naczelnych! Dlatego uważam, że jak najbardziej na miejscu będzie zadanie każdemu kandydatowi do władz naczelnych pytania: „Jak jesteś do tej funkcji przygotowany?”. Nie sądzą, żeby ktoś się obruszył. Bo jeżeli wymagamy od dzieciaka patentu zastępczego, zanim obejmie tę funkcję, jeżeli wymagamy od nastolatka ukończenia kursu drużynowych, zanim zostanie mianowany, to jak wiele winniśmy żądać od instruktora aspirującego do najwyższych funkcji w harcerstwie...

Tyle na początek wystarczy. Czy to dużo? Może, choć ciągle wierzę, że znajdziemy w ZHP kilkudziesięciu ludzi spełniających powyższe kryteria. Czego nam i naszemu Związkowi życzę. Będzie to doskonały prezent pod choinkę, prawda?!

Całkiem serio

Któż nie słyszał o słynnej dziurze budżetowej? Chyba każdy, kto choć trochę interesuje się tym, co dzieje się w naszym kraju. Niestety, jej efekty dosięgły także nasz Związek. Przestały się ukazywać kwartalniki metodyczne, „Czuwaj” zaś – z założenia miesięcznik – swym cyklem wydawniczym zaczął przypominać raczej kwartalnik albo półrocznik...

Podjmując się trudu stworzenia nowego „Czuwaj”, stanęliśmy przed ważnym pytaniem: czy można tak dalej? Czy można nadal uzależniać systematyczność wydawania i objętość gazety instruktorów ZHP od stanu kasy państwa, ofiarności donatorów czy sponsorów? Odpowiedź na te pytania była jednoznaczna: nie możemy zdawać się na czyjąś łaskę, nie możemy ponownie doprowadzić do sytuacji, kiedy od czyjejś dobrej woli zależy ukazanie się kolejnego numeru gazety! Poszliśmy więc śladem wytyczonym przez prasę pozaharcerską i założyliśmy, że głównym źródłem finansowania „Czuwaj” będzie prenumerata.

Czy jest to realne? Muszę przyznać, że jestem optymistą. I to z kilku powodów. Przede wszystkim wierzę w Ciebie, w nas wszystkich – w instruktorów ZHP. Wierzę w powszechną świadomość, że trzeba czytać „Czuwaj”, aby wiedzieć, co dzieje się w naszej organizacji, że warto go czytać, że warto na niego przeznaczyć kilkadziesiąt złotych rocznie.

Drugi powód mojego optymizmu, to nastawienie do „Czuwaj”, z jakim miałem okazję zetknąć się w ostatnich dwóch miesiącach. Właściwie wszyscy instruktorzy, z którymi rozmawiałem, wykazywali pełne zrozumienie sytuacji i mówili to samo: że wolą zapłacić kilka złotych za gazetę, jeśli będą mieli pewność, że dostaną ją co miesiąc i że będzie w niej to, co im najbardziej potrzebne.

W tym miejscu nie pozostaje mi nic innego, jak obiecać, że zrobię naprawdę wszystko, aby sprostać tym oczekiwaniom, aby „Czuwaj” był chętnie czytany, aby – mówiąc najprościej – był miesięcznikiem każdego instruktora ZHP!

OD AUTORA:

Jest to wstępniak z „mojego” pierwszego numeru „Czuwaj” – z września 2002 roku.

Instruktorzy

Jest ich według tegorocznego spisu harcerskiego dokładnie 14 831. Choć stanowią niespełna osiem procent wszystkich członków Związku Harcerstwa Polskiego, są bez wątpienia najbardziej zróżnicowaną grupą.

Ta różnorodność jest naprawdę duża: pod względem wieku, wykształcenia, stanu cywilnego... Mamy więc w Związku instruktorów-nastolatków oraz stulatków, mamy takich, którzy ledwie skończyli osiem klas podstawówki, ale mamy także profesorów! A poza tym – jak w społeczeństwie: „mydło i powidło”. Są kawalerowie i „stare panny”, ale także tacy, którzy dorobili się trzeciego męża czy czwartej żony oraz sporej gromadki dzieci; są naprawdę mądrzy i niezbyt błyszczący inteligencją; są cholerycy i flegmatycy; są ludzie odpowiedzialni, ale również zdarzają się (niestety!) tacy, którym nigdy nie powierzyłbym swoich dzieci, i tak dalej...

Styl

Jeśli tak wielu różnych ludzi wchodzi w tę blisko piętnastotysięczną grupę, określaną jednym mianem – instruktorzy, to nie można się dziwić, że w efekcie mamy też ogromne zróżnicowanie pod względem – jeśli można użyć takiego sformułowania – instruktorskim. Innymi słowy: mamy wiele typów instruktorów. Oto krótki przegląd:

Abstynent radykał

To instruktor, który nie tylko uważa, że picie czy palenie jest niedopuszczalne (jako niezgodne z Prawem Harcerskim), ale jest przekonany, że właśnie 10 punkt Prawa jest najważniejszy. Przez pryzmat tego i tylko tego punktu ocenia innych instruktorów i gotów jest walczyć ze wszystkimi przejawami jego łamania.

Przestrzegający niepraktykujący

Być może kiedyś był nawet abstynentem radykałem, jednak aktualnie jest zwolennikiem relatywizmu w podejściu do Prawa Harcerskiego i w różnych sytuacjach znajduje dobre wytłumaczenie jego swobodnego traktowania. Podo-

bieństwo nazwy do określenia „wierzący niepraktykujący” nie jest przypadkowe: on jest za przestrzeganiem Prawa, tyle, że jest... niepraktykujący.

Służbista (papierkowiec)

Ludzie, dzieci, cel wychowawczy, program? To dla niego rzeczy mało istotne! Najważniejsze, aby zgadzało się saldo, aby w papierach było wszystko w porządku, aby wszystko było w zgodzie z przepisami. Nie sposób nie zgodzić się, że są to rzeczy ważne, tylko gdyby jeszcze w umyśle takiego instruktora starczyło miejsca na myślenie o zuchach, harcerzach...

Dzieciom – tak, papierom – nie!

Ten instruktor to z kolei przeciwieństwo służbisty. Dla niego ważne są dzieci. Tylko i wyłącznie. A papiery, dokumenty? To najpewniej wymysł urzędników z parlamentu, rządu czy Głównej Kwatery. Zresztą to nieistotne czyj, bo przecież liczą się tylko dzieci i niech ktoś powie, że jest inaczej, że potrzebna jest jakaś polisa, faktura czy inna biurokratyczna bzdura... Taki instruktor papierom mówi: nie! Stanowcze i zdecydowane!

Wychowawca bez wychowanków

Oj, znamy takich, znamy. Taki to lubi być instruktorem. Chętnie pojedzie na rajd, uczestniczy w konferencji instruktorskiej, kominku, chętnie pojedzie na kwaterekę i na obóz. I byłoby wspaniale, gdyby nie te dzieci. Bo kto wymyślił, że instruktor to wychowawca?

Teoretyk (aż do bólu)

Zgodzi się z pewnością, że w Związku nie jest najlepiej, ponieważ coraz częściej dostrzega, że dzieci zachowują się niezgodnie z przyjętymi kryteriami teoretycznymi. A o drużynowych w ogóle nie warto wspominać – nie są w stanie sprostać podstawowym wymaganiom metodycznym. Ważne: z pewnością swoimi przemyśleniami podzieli się z innymi na konferencjach, sympozjach, a i niejedną redakcję zaszczyli swym tekstem.

Praktyk (aż do bólu)

Pogardza teorią – on po prostu wie, jak TO się robi. Wszak jest drużynowym już tyle lat. Wypada się tylko modlić, aby jeszcze za swego życia miał chwilę słabości i przynajmniej przejrzał jakiś poradnik dla drużynowych albo przeczytał jakiś artykuł – może przekona się, czy to, co robił, było rzeczywiście harcerstwem.

Człowiek–orkiestra

To instruktor, który jest niezastąpiony. Oprócz swojej drużyny jest przybocznym u kolegi, poza tym musi dbać o szczep, bo szczepowy ostatnio nawala. Kto, jak nie on, zainicjuje spotkanie komisji rewizyjnej hufca? A po tym spotkaniu wpadnie jeszcze na KSI. I – jak dobrze pójdzie – wyrobi się także na spotkanie referatu w chorągwi... O drobniejszych funkcjach szkoda wspominać.

Gwiazda jednego sezonu

Błyszczycy, szumi i znika. Kariera tyle błyskotliwa, co bardzo, bardzo krótka, krótka tak jak poprzednie zdanie.

Zawodowiec

Oby harcerstwo istniało jeszcze cztery i pół roku! Dlaczego akurat tyle? Ponieważ tylko tyle zostało zawodowcowi do emerytury!

Wieczny drużynowy

Ma duże doświadczenie, ogromną wiedzę, spore umiejętności, ale nie będzie się dzielił nimi z innymi instruktorami, ponieważ uważa, że każdy instruktor powinien być drużynowym. To trochę tak, jakby wybitnego podróżnika, który zwiedził cały świat, obsadzać w roli przewodnika po osiedlu. Ale cóż – ten typ tak ma.

„Mieszacz” – podróżnik

Taki instruktor to zmora środowisk. Namiesza taki, namiesza, pozmienia coś w środowisku, zaproponuje rewolucyjne i jedynie słuszne zmiany, poprzestawia w głowach instruktorów to, co już było ułożone i... zmienia środowisko. Teraz będzie mieszać gdzieś indziej.

Reprezentacyjny

To typ optujący za wąską specjalizacją. On nie zna się na metodzie, regulaminach, nie lubi pracować ani z dziećmi, ani z instruktorami. On specjalizuje się w reprezentowaniu. I jest w tym dobry: figura w porządku, włosy uczesane, mundur wyprasowany, pierś wypięta do odznaczeń.

Oczywiście to tylko subiektywna i ograniczona lista instruktorskich typów. Czy odnalazłeś wśród nich siebie?

Różne problemy

Skoro typów instruktorów jest tak wiele, to oczywiste jest, że pojawia się także cała masa... kłopotów.

Z sondy przeprowadzonej w ostatnich miesiącach wśród instruktorów wynika, że intuicja nie zawodzi – faktycznie problemów wymienianych przez uczestników sondy było bardzo dużo – blisko 30! Co ciekawe – na prośbę o wymienienie trzech najważniejszych, jeden był zazwyczaj inny, nietypowy, a dwa były podobne. To właśnie problemy wymieniane na dwóch pierwszych miejscach utworzyły poniższy ranking (patrz poniżej oraz trzy wypowiedzi pochodzące z sondy na następnych stronach).

* * *

Różnorodność wieku, wykształcenia, wielość typów ludzkich, mnóstwo spraw do rozwiązania. To może przyprawiać o ból głowy Naczelnika, komendantów chorągwi, hufcowych czy szefów kształcenia różnych szczebli!

Jednak z punktu widzenia redaktora naczelnego miesięcznika dla instruktorów, wygląda to dużo bardziej optymistycznie: jestem bowiem spokojny o to, że tematów do artykułów przez długi, długi czas nie zabraknie...

NAJWAŻNIEJSZE PROBLEMY DOTYCZĄCE INSTRUKTORÓW

- Nieprzestrzeganie przez instruktorów Prawa Harcerskiego.
- Nieznajomość metody harcerskiej.
- Zamykanie się w swoim środowisku, atomizacja Związku.
- Brak poczucia odpowiedzialności za Związek, brak utożsamiania się z nim.
- Brak motywacji do działania / brak systemu motywowania instruktorów.
- Brak chęci kształcenia się, ciągłego doskonalenia.
- Duże zróżnicowanie poziomu instruktorów.
- Brak stałych grup wspierających instruktorów (namiestnictw, kręgów).
- Niewychowywanie następców i w efekcie znikanie kolejnych środowisk.
- Brak kreatywności, „powielactwo” (programów, pomysłów itd.).
- Brak wodzów, silnych osobowości.
- Syndrom organizacji kolonijnej.

Całkiem sprawiedliwie

Czasem tak się w życiu zdarza, że trudno znaleźć rozwiązanie jakiegoś problemu, ponieważ nie dysponujemy rozwiązaniami dobrymi, lecz wyłącznie złymi (albo bardzo złymi). Wówczas wybieramy tzw. mniejsze zło.

Gdy zastanawiałem się ostatnio nad kwestią prenumeraty „Czuwaj”, wydało mi się, że jestem właśnie w takiej sytuacji. Piszę „wydawało”, gdyż jednak udało się znaleźć rozwiązanie – jak sądzę – sprawiedliwe. Ale po kolei...

Planując kolejne numery, a zwłaszcza te, które ukażą się w przyszłym roku, zaczęliśmy kalkulować: ile – oprócz prenumeraty – należy drukować tzw. gratisów. I tu zaczęły się problemy!

Bo czy darmowy egzemplarz „Czuwaj” powinien dostać tylko Przewodniczący ZHP? A może wiceprzewodniczący też? Jeśli tak, to dlaczego mielibyśmy pominąć pozostałych członków prezydium Rady Naczelnej? A właściwie dlaczego nie wszystkim członkom Rady dawać darmowy egzemplarz? A Centralna Komisja Rewizyjna, a Naczelny Sąd Harcerski? A instruktorzy GK?

Nie lepiej jest z chorągwiami. Czy dać jeden egzemplarz dla komendy? A może jeszcze po trzy dla referatów? A przecież KSI nie wolno pominąć – to już cztery egzemplarze!

Prowadząc tego typu rozważania wyszło nam, że powinniśmy drukować... 300 gratisów! No, tego to nie dalibyśmy rady udźwignąć finansowo! Skoro tak, to zastosowaliśmy inną strategię: zamiast zastanawiać się, kto powinien dostać gratisowy egzemplarz, zaczęliśmy liczyć... kto nie musi go mieć za darmo!

I tym oto sposobem doszliśmy do rozwiązania, które wcale nie jest wyborem najmniejszego zła, ale wręcz przeciwnie. Otóż jeśli ktoś chce mieć swój egzemplarz „Czuwaj”, to musi go zaprenumerować. Dotyczy to wszystkich instruktorów! Podkreślę dobitniej: **WSZYSCY** muszą zaprenumerować „Czuwaj”. Nie będzie „równiejszych”, szczególnie uprzywilejowanych... To bardzo sprawiedliwe, prawda?

Naczelnik już zapłacił za prenumeratę swojego egzemplarza, zastępczyni od programu też. Oczywiście ja też – przecież naczelny musi dawać dobry przykład! A Ty? Czy już zaprenumerowałeś swój miesięcznik???

Całkiem refleksyjnie

Rzecz będzie o harcerskim refleksie. A właściwie refleksie instruktorskim, w pierwszą rocznicę XXXII Zjazdu ZHP.

Przez kilka ostatnich miesięcy miałem okazję przyjrzeć się z bliska różnym środowiskom, usłyszeć, o czym mówi się podczas rozmaitych spotkań instruktorskich. I co? No i jestem przerażony wspomnianym na wstępie instruktorskim refleksem.

Oto komendant hufca nie wie, co się rok temu zmieniło w Statucie, inny nie słyszał o czymś takim jak „Barwy przyszłości”, a jeszcze inny nie zauważył, po prostu przegapił (sic!), że Zjazd ZHP w ogóle miał miejsce!

Czy to tragedia? Owszem, ale bywa znacznie gorzej.

KSI pewnego hufca zatwierdza na opiekunów prób przewodnikowskich... przewodników – aż strach liczyć, od ilu lat jest to niedopuszczalne. W innym hufcu drużynowi nie zauważyli (biedactwa!), że nie ma już stopni ochotnika, tropiciela, odkrywcy itd. Może – dzielni prorocy – czekali na nadchodzące właśnie zmiany metodyczne?

Ten brak refleksu czy – określmymy to wyraźnie – bezwład, ociążałość naszej organizacji musi niepokoić, zwłaszcza teraz, kiedy szykuje się nam tak wiele istotnych zmian w metodzie, kształceniu oraz finansach. Pojawia się bowiem pytanie: jeśli po roku od Zjazdu ZHP wielu instruktorów nie wie, jakie są jego postanowienia, jeśli są drużyny, które po blisko dziesięciu latach nie zdołały przestawić się na nowy system stopni, to jaka jest realna szansa na wprowadzenie przyjmowanych właśnie uchwał?

Tego typu refleksje mogą wydawać się demotywujące, z drugiej jednak strony trzeba mieć świadomość, że opisany stan w żadnym razie nie powinien być barierą dla wprowadzania zmian. Wręcz przeciwnie: tylko głębokie zmiany mogą odmienić Związek Harcerstwa Polskiego.

Pozostaje więc kibicować, aby wszystkim, którzy mają wolę zmian, się udało.

Całkiem nienormalnie

Od kilku miesięcy można się zapoznać (m.in. w Internecie) z projektami dokumentów związanych z dorosłymi w ZHP. Co więcej, w udostępnionych materiałach wyraźnie został określony termin oraz sposób przekazywania uwag do kilku, ważnych przecieży, regulaminów (m.in. Ruchu Przyjaciół Harcerstwa, kręgów instruktorskich i planowanych kręgów starszyny). I co? Przyszła jedna (sic!) odpowiedź!!!

A może lepiej jest z projektami instrukcji w sprawie organizacji i zasad działania gromad i drużyn? Wszak dotyczy to każdej drużyny, każdej komendy hufca! Owszem, jest lepiej, odpowiedzi przyszło tu aż cztery razy więcej. Tyle, że w liczbach bezwzględnych nie jest to wynik zbyt imponujący...

Czyżby te wszystkie projekty były idealne? No przecież nie! Zawsze można znaleźć jakieś błędy, zawsze można jakiś przepis udoskonalić, zapisać lepiej, precyzyjniej.

Dlaczego więc jest tak mało uwag? W wielu rozmowach z różnymi instruktorami słyszę, że to przecież typowe, że najpierw nikt nie ma żadnych zastrzeżeń, że jest cisza, a narzekania zaczną się dopiero po uchwaleniu dokumentów. I słyszę zazwyczaj, że jest to normalne.

A ja mówię: nie! To nie jest normalne!!! Apeluję więc: jeśli ktoś ma jakiegokolwiek uwagi, wnioski, wątpliwości – niech wypowie je teraz albo zamilknie na wieki! No, może trochę przesadziłem, niech zamilknie do czasu następnej dyskusji o zmianach.

Całkiem solidarnie

Czy to normalne, że w Poznaniu kupuje się limuzynę, a w Opolu ZHP straci obiekt własnoręcznie wyremontowany przez dzieci? – takie pytanie postawił dziennikarz „Newsweeka” w tekście opublikowanym w połowie marca.

Zawsze twierdziłem, że każdej firmie, instytucji czy organizacji dobrze robi, kiedy ktoś spojrzy na nią z boku i powie, co myśli o jej funkcjonowaniu. Z dystansu, bez zaangażowania w codzienną działalność, można dostrzec wiele problemów, których normalnie nie widać, gdyż stały się już dla nas codziennością. Dlatego właśnie powyższe pytanie skłoniło mnie do trudnych refleksji...

Czy to, o czym pisze ten dziennikarz, rzeczywiście nie jest absurdem? Czy to ma sens, że jedne komendy stać na wszystko, inne zaś toną w długach i zmuszone są wyprzedawać „na szybko” (czyli za mniej niż wynosi rzeczywista wartość) majątek Związku? Czy to da się pogodzić z tak wzniosłymi ideałami harcerskimi? I wreszcie: czy nie nadszedł już czas, aby w imię solidarności członków jednej organizacji w praktyce zademonstrować, że nie jesteśmy zlepkiem pojedynczych hufców czy chorągwi, lecz stanowimy autentyczną wspólnotę, że istnieje więź środowisk całego Związku Harcerstwa Polskiego?

Utopia? Abstrakcja? Być może... Trudno sobie wyobrazić, że chorągiew X przelewa dajmy na to sto tysięcy złotych na konto chorągwi Y, rozwiązując jej problemy finansowe. Bo niby z jakiej racji? Przecież to nieuczciwe, nielogiczne, niemotywuujące, aby środowiska gospodarne, pracowite, oszczędne dopłacały do tych leniwych, źle zarządzanych, szastających pieniędzmi na prawo i lewo (oczywiście wtedy, kiedy się pojawiają)! Z tym można byłoby się zgodzić w pełni, gdyby stan finansowy środowisk był wyłącznie efektem skutecznego lub nie zarządzania. Niestety, trzeba pamiętać o tym, że bieda wielu środowisk wynika bezpośrednio z fatalnej sytuacji materialnej olbrzymich obszarów naszego kraju. Może więc w takiej sytuacji gesty solidarności mają sens?

Opisany problem dostrzegają nie tylko osoby patrzące na nasz Związek z pozycji obserwatora. Głosy wzywające do solidarności środowisk biednych i bogatych pojawiły się także na regionalnej zbiórce hufcowych w „Perkozie”. I będą się pojawiać coraz częściej – wraz z pogłębianiem się różnic w zamożności różnych regionów Polski. Co więc z tą solidarnością? Co z braterstwem? Co z naszymi harcerskimi ideałami?

Całkiem niby

Związek Harcerstwa Polskiego – taka duża organizacja, z takimi tradycjami! Przez kilkadziesiąt lat naszej historii setki tysięcy ludzi przewinęło się przez nasze szeregi! Jestem więc pewien, że zostało już wymyślone... no prawie wszystko, a na pewno powstało mnóstwo opracowań gier czy zabaw, skryptów dla różnych funkcyjnych, konspektów zajęć na rozmaitych kursach itd. I cały czas powstają.

Czy w związku z tym nowym drużynowym, szczepowym, namiestnikom lub hufcowym łatwiej jest pełnić swoją funkcję?

Myślę, że niestety nie, ponieważ niby mamy dorobek, a jakby go nie było. Bo „bycie” dorobku to dla mnie jego powszechna dostępność dla młodszych, którzy nie chcą wyważać otwartych drzwi, lecz skorzystać z tego, co ktoś już kiedyś wymyślił, którzy wolą uczyć się na cudzych błędach.

Fakt, dużo dobrego zrobił dla upowszechnienia myśli instruktorów Internet. Ale tu nie chodzi o wyjątki – bo ileż osób „wrzuca” swoje opracowania do sieci?

Z moich obserwacji wynika, że największe marnotrawstwo naszego dorobku ma miejsce w związku z pracą komisji stopni instruktorskich. Przecież każdy podharmistrz i harcistrz zostawia po sobie jakiś ślad metodyczny lub programowy. Tylko co to za ślad? Jakaś gazetka odbita w pięciu egzemplarzach na ksero i schowana na zawsze w czeluściach hufcowego archiwum, zbiorów płytów używany wyłącznie w szczepie, konspekty zajęć na kursie drużynowych wykorzystywane tylko w dwuosobowym hufcu...

No, już koniec narzekania, czas na pozytywne, konstruktywne rozwiązania.

Druhu! Druhu! Jeśli przygotowałeś (zwłaszcza w ramach próby na stopień instruktorski) jakiś materiał metodyczny, programowy lub repertuarowy – prześlij go do naszej redakcji! Może zamieścimy go jako artykuł albo cykl artykułów w „Czuwaj”? A może zrobimy z niego specjalną wkładkę?

Tylko od Ciebie zależy, czy Twoje pomysły zostaną upowszechnione, czy ktoś inny z nich skorzysta. Daj sobie szansę!!!

Deklaracja ideowa

Siłą harcerstwa było i jest trafne odczytywanie aktualnych wyzwań i program, odpowiadający zmieniającym się potrzebom społecznym. Ponieważ harcerstwo jest ruchem, umie właściwie dostosować się do zmiennych warunków i jest elastyczne w sposobach działania, jakimi się posługuje, aby osiągać cele wychowawcze.

Ależ uczestników XXXII Zjazdu ZHP poniosła fantazja! Ależ cudowne mieli samopoczucie! W jednym akapicie „Deklaracji ideowej” tak mało konkretnych, rzetelnych faktów, a tak wiele pobożnych życzeń, marzeń...

Żeby nie popadać w skrajny pesymizm, przyjmijmy świadomie, że harcerstwo było i jest siłą. I odłóżmy to, co było – wszak Zjazd winien zajmować się przede wszystkim tym, jaki jest Związek dziś i jaki ma być w przyszłości.

* * *

Zbiórka regionalna komendantów hufców. Zajęcia o programie rozwoju hufca. Początek – analiza SWOT, określanie szans i zagrożeń wynikających z funkcjonowania hufca w określonym środowisku lokalnym. Gdzieś z tyłu toczy się ożywiona wymiana zdań:

– Co to za bzdury! Nie mam co robić, tylko zastanawiać się nad tym, co się dzieje dookoła...

– No właśnie, mamy masę własnych problemów!

A ponoć naszą siłą jest „trafne odczytywanie aktualnych wyzwań”...

Może są hufce, które potrafią dokonać „trafnego odczytania”. Jednak mnie zatrzaża rzecz bardziej prozaiczna – ile jest hufców, którym w ogóle chce się rozejrzeć wokół siebie, aby te wyzwania stojące przed harcerstwem dostrzec?

* * *

Początek roku harcerskiego. W hufcu, a także w Internecie pojawiają się obficie zapytania o plany pracy drużyn z lat minionych. Ktoś przytomnie zauważa, że przecież świat się zmienia, zmieniają się dzieciaki, szkoła też inna, no a poza

tym inna jest również... każda drużyna. Czy ten sposób poszukiwani inspiracji dotyczy wyłącznie drużyn? Skądże – ściągać, przepraszam – inspirować się, można także planując działania namiestnictwa, a nawet przedsięwzięcia programowe hufca.

Gdyby chociaż ktoś ściągał z programów ogólnozwiązkowych czy chorągwianych, które jednak starają się być „na czasie” – to byłoby dobrze. Ale nie, najlepsze są pomysły z własnego podwórka. Własne i sprawdzone (to, że jakieś 10 czy 15 lat temu, to już mniej istotne).

A ponoć naszą siłą jest „program, odpowiadający zmieniającym się potrzebom społecznym”...

Pewnie są drużyny, namiestnictwa, których program odpowiada „zmieniającym się potrzebom społecznym”. Ale ile jest środowisk, których program w ogóle nie odpowiada na jakiegokolwiek potrzeby (dzieci, środowiska działania)?

* * *

Zacne grono instruktorskie. Łezka w oku kręci się zebranych, kiedy wspominają hufce liczące po kilka tysięcy osób, kiedy mówią o pieniądzach, których kiedyś starczało na wszystko. Konstatacja: teraz nic się nie da – nie ma na pensje, a harcerzy dużo, dużo mniej... Wniosek ze spotkania: jakoś trzeba te etaty utrzymać. Tak, właśnie tak – nie utrzymać stan liczebny, ale etaty, to jest priorytet! Ktoś wspomina nieśmiało, że jest możliwość pozyskania grantu na działalność z gminy, wystarczy wypełnić dość prosty wniosek. Jaka reakcja – entuzjazm, zadowolenie? Nie, ton zupełnie inny:

– Nigdy tego nie robiliśmy, to i bez tej pisaniny damy sobie radę.

– Robimy dla nich tyle pożytecznych rzeczy, więc to oni powinni przyjść do nas, a nie my do nich.

A ponoć „harcerstwo umie właściwie dostosować się do zmiennych warunków”...

Wiem dobrze, że są środowiska, które potrafiły się odnaleźć w nowych warunkach, są partnerami gmin, powiatów, instytucji lokalnych. Ale przerażające jest, jak wiele komend nie zauważyło, że warunki się zmieniły, czasem wcale nie na gorsze, lecz po prostu na inne.

* * *

Zostały ogłoszone do konsultacji projekty nowych stopni i sprawności harcerskich. Konsultacje to konsultacje – ktoś ma jakieś zastrzeżenia, komuś nie podo-

ba się filozofia, ma inną koncepcję. To wszystko jest zrozumiałe. Sporo zarzutów dotyczy jednak tego, że nowe stopnie są wbrew tradycji. O, to poważny zarzut, warto więc zgłębić, co takiego kryje się pod tą tradycją. Wystarczy poznać kilka głosów, aby to zrozumieć – tradycja to tradycyjne (czytaj: przedwojenne) nazwy stopni, tradycja to stare (czytaj: KIHAM-owskie) wymagania i tak dalej...

Jeśli tak ma wyglądać przywiązanie do tradycji, to ja wolę być mniej tradycyjny, a niepoprawnie współczesny! Pamiętam doskonale, jak w 1983 roku zdobywałem młodzika (nawet nie wiedząc wówczas, że to KIHAM, czyli coś „anty”), ale to wcale nie znaczy, że te same wymagania są dobre dwadzieścia lat później. Sentymenty na bok!

Jeśli ktoś uważa, że tradycyjne jest nauczanie alfabetu Morse’a czy obsługi telefonów polowych, to ja jednak wolę być niepoprawnie współczesny i promować umiejętności komunikacji przez Internet, „komórkę” itp.

A ponoć harcerstwo „jest elastyczne w sposobach działania, jakimi się posługuje”...

* * *

Myślę, że źle rozumiana tradycja jest tym, co uwstecznia harcerstwo. Bo harcerstwo tradycyjne to wcale nie harcerstwo tradycyjnego Morse’a, tradycyjnego młodzika czy tradycyjnego ćwika.

Harcerstwo zawsze było awangardą swoich czasów, patrzyło w przyszłość. Właśnie takie było harcerstwo przedwojenne, takie było harcerstwo KIHAM-owskie. Jeśli nie zrozumiemy tego dziś, to wkrótce nie będziemy już awangardą, lecz staniemy się skansenem, muzeum programu – wprawdzie aktualnego, wyśmienitego, „trafionego”, ale... przed kilkunastu czy kilkudziesięciu laty.

Całkiem zniesmaczony

Myślę, że naprawdę źle jest wtedy, gdy rzeczy nienormalne zaczyna się powszechnie traktować jako coś normalnego, naturalnego...

Kiedy rozmawiam z instruktorami różnych szczebli naszej organizacji, z reguły potwierdzają oni pogląd, że drużyny narzekają na hufce, te na swoje chorągwie, a chorągwie na Główną Kwaterę. Co gorsze, moi rozmówcy stwierdzają to właściwie bez większych emocji, przyjmując, że „widać tak już musi być”, że „to jest przecież normalne”. Czy aby na pewno?

Czy to naprawdę takie normalne, że hufcowy szuka jakichś „haków” na swojego drużynowego, bo... go nie lubi?

Czy tak musi być, że zamiast wytłumaczyć instruktorom, co i dlaczego dzieje się w Związku, „zwała się” wszystko, co najgorsze, na komendę chorągwi, Główną Kwaterę, Radę Naczelną czy CKR?

Czy naprawdę jesteśmy aż tak wielką organizacją, że jako coś naturalnego należy traktować blokowanie informacji przepływających z „góry” na „dół” i odwrotnie?

Czy w dyskusjach prowadzonych wśród instruktorów muszą się pojawiać określenia typu: „kretyński pomysł”, „chory umysł”, „burek”, „urzędas”, „nawiedzeńcy” albo „pan komendant” zamiast „druh”?

Zastanawiam się, z czego to wynika. Może z frustracji, z ogólnie złych tzw. nastrojów społecznych? Może z trudnej sytuacji Związku? A może z tego, że jednak – wbrew naszym życzeniom – harcerstwo wcale nie uczy „różnić się pięknie”?

Co można zrobić, aby instruktorskie dyskusje były bardziej harcerskie? Osobiście rozwiązania widzę trzy.

Po pierwsze: więcej pokory! Pamiętam, że kiedyś było tak, że jak się czegoś nie wiedziało, to człowiek robił wszystko, aby to poznać. Ba, nawet się wstydził, że czegoś nie rozumie. A teraz, kiedy obserwuję dyskusje internetowe, widzę,

że niezrozumienie czegoś nie jest wcale motywacją do doskonalenia się, lecz podstawą do stwierdzenia: „to jest bez sensu, to jest głupie”.

Po drugie: więcej pozytywności! To przecież nie jest takie trudne przyjąć, że wszyscy w ZHP mamy jak najlepsze intencje i chcemy jak najlepiej dla naszej organizacji...

Po trzecie: więcej szacunku! Bo chyba nie jest zbyt wygórowanym żądaniem, aby instruktor najzwyczajniej w świecie lubił innych ludzi...

OD AUTORA:

Napisane 11 lat temu. Niestety, jakże aktualne...

Całkiem wakacyjnie

Wiele razy od kadry obozowej słyszałem taki pogląd: najważniejsze są finanse, najważniejsze, aby w obozowych papierach było wszystko w porządku, bo przecież jak przyjedzie jakaś wizytacja, to tego będzie się przede wszystkim czepiać. A często padało jeszcze jedno stwierdzenie: bo za program to jeszcze nikt nigdy nie siedział, a za „papierzy” – tak!

Ponieważ się z tym absolutnie nie zgadzam, więc jadąc na wizytację, zwykle sprawy „papierów” zostawiam pozostałym członkom zespołu wizytacyjnego, a sam zajmuję się czymś innym.

To ciekawe, jak często oboźny czy komendant dziwi się, kiedy zwraca mu się uwagę na sterczące gwoździe, wręcz zachęcające: „sympatyczna druhenko, nabij się na mnie”. Albo na linkę wiszącą między namiotami wołającą: „harcerczu, biegnij do mnie, a jak mnie nie zauważysz, to poszerzę twój uśmiech”. Albo na leżącą siekierkę – ona przecież potrafi zrobić takie malownicze, niemal książkowe rany. I tak dalej... Słowem: bezpieczeństwo!!!

Ale czy życzenie, aby wrócić z obozów w komplecie i w pełnym zdrowiu, jest naszym celem? Nie! Moim zdaniem jest to – że użyję terminologii matematycznej – warunek konieczny, ale niewystarczający, aby uznać akcję letnią za udaną. Tym warunkiem, który sprawi, że obóz będzie naprawdę wartościowy, jest oczywiście program: dobrze przygotowany, z myślą przewodnią, z ciekawą obrzędowością, z miejscem na wszechstronny rozwój dziecka, także – mimo wakacji – intelektualny. Program realizowany po harcersku: z gwiazdkami zachowowymi, stopniami, sprawnościami i z całym naszym bogactwem form pracy.

U progu lata życzę wszystkim bezpiecznych kolonii i obozów, zadowolonych dzieciaków oraz satysfakcji z dobrze spełnionej instruktorskiej służby. Ach, kompletnie bym zapomniał, jeszcze porządku w „papierach”.

Całkiem medialnie

Kiedy w połowie wakacji w stacji TVN ukazał się reportaż na temat picia na obozie harcerskim, większość znanych mi instruktorów nie kryła oburzenia. Nie ma się czemu dziwić – trudno nie denerwować się, kiedy cała Polska dowiaduje się, że na obozie harcerskim nastolatek upił się do nieprzytomności, że kadra też nie wylewa za kołnierz, a wycieczki dzieci do pobliskiego sklepu „po browar” nie są niczym niezwykłym.

I nie ma tu znaczenia, że to nie był harcerz tylko „cywil”, że pokazane w reportażu dzieci niosące torby z podejrzaną zawartością nie były z obozu harcerskiego. Informacja poszła w świat i będzie rzutować na pracę instruktorską każdego z nas, na relacje naszych środowisk z rodzicami, szkołą, sponsorami...

Jednak najciekawsze jest to, że owo oburzenie zostało skierowane na TVN, a nie na organizatorów obozu, którzy dopuścili do zaistnienia takich kompromitujących faktów. W ślad za takim myśleniem poszedł postulat, aby „GK coś z tym zrobiła”.

A ja pytam: co takiego? Czy tak, jak radzą niektórzy, procesować się z TVN-em? No przecież nie!

Po pierwsze dlatego, że z mediami byśmy nie wygrali, a poza tym nie jest w interesie Związku mieć złe kontakty z jakąkolwiek ogólnopolską stacją telewizyjną. Ale jest drugi, zdecydowanie ważniejszy argument: może ta sytuacja nie jest tak jednoznaczna, jak została przedstawiona w reportażu, jednak nie śmiałybym wchodzić z kimkolwiek na ścieżkę wojenną, ponieważ nie jestem pewien, czy w tym samym czasie nie na jednym, ale na dziesięciu czy dwudziestu innych obozach nie dzieją się równie naganne rzeczy. Ba, muszę stwierdzić z goryczą, że jestem pewien, iż bez trudu TVN znalazłby kilka takich pseudo-harcerskich obozów.

Co więc robić? Przede wszystkim uświadomić sobie, że każdy powinien robić to, co do niego należy: dziennikarze – szukać wszędzie, także w harcerstwie, sensacji, instruktorzy – dbać, aby wartości harcerskie nie pozostawały tylko na papierze, a komendy harcerskie – dbać o podnoszenie poziomu harcerstwa i z pełną determinacją wyciągać konsekwencje wobec tych, którzy nie są w stanie sprostać obowiązującym w naszym ruchu zasadom.

Demokracja „kruczków”?

Komendant hufca powołał właśnie trzy nowe zespoły, które mają wspierać jego pracę. O, a w innym hufcu komendant zafundował sobie komisję historyczną i zespół promocji.

Dziwne? Niby nie, tylko czemu to ma służyć, skoro za miesiąc będzie zjazd hufca? Ano właśnie: zbliżają się zjazdy hufców, więc komendantom potrzebni są przychylni im uczestnicy zjazdu. A czyż jest łatwiejszy na to sposób niż stworzyć zespół, komisję czy inne ciało i postawić na czele swojego poplecznika?

Jesień 2003 roku stoi pod znakiem zjazdów hufców. Nadchodzi czas podsumowania ostatniego czterolecia, ocen, także personalnych, oraz dokonywania wyborów na kolejną kadencję. Najbliższe trzy miesiące w życiu naszego Związku to czas egzaminu z demokracji. Od jego wyniku zależy przyszłość hufców, które pełnią dziś kluczową rolę w stwarzaniu warunków do działania gromadom i drużynom.

Jesteśmy w tym miejscu, kiedy warto zastanowić się, jaka jest nasza harcerska demokracja? Czy problemy w jej urzeczywistnianiu wynikają z niedoskonałych zapisów rozmaitych dokumentów związkowych, czy też są efektem ułomności, a może celowego, nieharcerskiego działania niektórych instruktorów?

Śmiem postawić może niepopularną tezę, że w takiej organizacji, jak ZHP, z takimi długimi, pięknymi tradycjami, z tak fantastyczną i ponadczasową ideą, mamy zbyt wiele wypaczeń demokracji. Ich autorami są z reguły starzy „wyjadacze”, którzy bogaci wieloletnim doświadczeniem i motywowani utrzymaniem swojego „stołka”, do perfekcji opanowali sztukę manipulowania paragrafami, stosowania rozmaitych wybiegów – serwując nam demokrację „kruczków”, w której gubią się młodzi, naiwni, ideowi drużynowi.

Niech ten „temat z okładki” będzie dla nich przestrogą przed zjazdami hufców, a jednocześnie motywacją do zapoznania się ze Statutem ZHP i Ordynacją wyborczą, aby udział w zjeździe hufca był jak najbardziej świadomy...

Czynne prawo wyborcze

Udzielenie absolutorium, wybór nowych władz hufca, uchwalenie programu rozwoju hufca – wszystko to wymaga większości w głosowaniu. Dlatego tak ważne jest, kto będzie miał możliwość głosowania na zjeździe, czyli – mówiąc fachowo – będzie miał czynne prawo wyborcze.

W różnych instruktorskich dyskusjach, kiedy tylko ktoś narzeka na władze swojego hufca, zazwyczaj pada standardowa odpowiedź: „sami sobie wybraлиście”, „to od was zależy, kto będzie komendantem”, „to przecież drużynowi o tym decydują” itp. Rzeczywiście, drużynowi mają z mocy Statutu ZHP czynne prawo wyborcze. Jednak najistotniejsze jest to, jaką mają siłę sprawczą, czy są gronem przeważającym liczebnie na zjeździe.

Pobieżne wyliczenia wskazują, że wcale tak nie musi być, bowiem czynne prawo wyborcze mają także członkowie władz hufca – komendy, komisji rewizyjnej oraz sądu (o ile został wybrany). Razem może to być grono nawet dwudziestu osób! Do tego dochodzi jeszcze jedna kategoria uczestników zjazdu z głosem decydującym. Są to osoby pełniące „inne funkcje powierzane w trybie mianowania przez właściwego komendanta hufca”. I to jest miejsce prawdziwych popisów dla kreatywnych hufcowych: wystarczy powołać komisję historyczną, zespół promocji, zespół archiwalny, zespół ds. wdrażania strategii rozwoju, a jedno dotychczas namiestnictwo podzielić na cztery (według nowych grup metodycznych)... i już mamy kilku nowych instruktorów z czynnym prawem wyborczym.

Czy można coś na to poradzić? Rozwiązania widzę dwa. Można zwrócić się do komendanta chorągwi, aby w trybie nadzoru sprawdził, czy nie jest to omijanie zapisów Statutu ZHP i Ordynacji wyborczej. Jednak nie polecam tej drogi, ponieważ może prowadzić do niepotrzebnej eskalacji konfliktu, a poza tym – przyznam szczerze – niezbyt wierzę w jej skuteczność. Bo który komendant chorągwi zdecyduje się podpaść hufcowym na kilka miesięcy przed zjazdem chorągwi?

Sądzę więc, że najlepszą metodą jest... skorzystanie ze swoich praw i stawienie się na zjeździe hufca. Życie pokazuje, iż absencja drużynowych na zjeździe jest jednak główną przyczyną ich małego udziału w decydowaniu o sprawach hufca.

Krótko mówiąc: chcesz mieć wpływ na swój hufiec? Daj sobie szansę i weź aktywny udział w jego zjeździe!

Bierne prawo wyborcze

Dość często kwestia biernego prawa wyborczego, a więc prawa do bycia wybranym na funkcje, np. w komendzie hufca, komisji rewizyjnej czy sądzie harcerek hufca, jest bagatelizowana. Niejednokrotnie instruktorzy wyrażają opinię, że to nie ma większego znaczenia. Niesłusznie – należy pamiętać, że jeśli ktoś ma bierne prawo wyborcze, to naturalne jest to, że zechce z niego skorzystać. A trzeba mieć świadomość, że z chwilą wyboru członkowie władz hufca uzyskują także czynne prawo wyborcze na całą kadencję, a więc na kolejnym zjeździe hufca będą mieli głos decydujący.

No i jest jeszcze jedna kwestia: czy jest nam obojętne, kto będzie nami rządził przez najbliższe cztery lata?

Dwie kolejne, pełne kadencje

Jednym z największych osiągnięć ostatniego Zjazdu ZHP jest zmiana w Statucie, w myśl której funkcję m.in. komendanta hufca można sprawować nie dłużej niż przez dwie kolejne pełne kadencje.

Przyznam, że kiedy usłyszałem, iż ta poprawka została przyjęta, trudno mi było uwierzyć w taką postępowość. Jednak rozmowa z kilkoma instruktorami i chwila analizy zgasiły szybko mój entuzjazm. Zaraz po zjeździe usłyszałem taką wypowiedź jednego z hufcowych: „Pewnie następny zjazd to zmieni, bo okaże się, że nie ma nowych ludzi, którzy chcą zostać komendantami. A nawet jeśli tak się nie stanie, to ustąpię na pół roku przed końcem drugiej kadencji, no i wtedy nie będę podpadał pod dwie kolejne, pełne kadencje. Licznik zacznie mi bić od nowa, czyli kolejne siedem i pół roku i znów ustąpienie na kilka miesięcy przed końcem drugiej, kolejnej kadencji. No a wtedy będę już na emeryturze...”.

Porażająca szczerłość mistrza demokracji „kruczków”... Niestety, jestem prawie pewien, że ten plan uda się zrealizować.

Kiedy już mamy ustalone, kto i w jakim charakterze uczestniczy w zjeździe hufca, przychodzi czas, aby zająć się samym zjazdem.

Materiały

Uczestnik zjazdu powinien dysponować kompletem materiałów, m.in. sprawozdaniem ustępujących władz hufca (komendanta i komendy, komisji rewizyjnej oraz sądu harcerek).

Czy zwolennik demokracji „kruczków” może w tym miejscu naruszyć zasady demokracji, a szczególnie zasadę, że to zjazd hufca jest najwyższą jego władzą, która wybiera m.in. komendanta i komendę hufca, a także zatwierdza ich sprawozdanie i udziela (lub nie) absolutorium? Niestety tak. Dość częstą praktyką jest bowiem dostarczanie materiałów uczestnikom zjazdu dopiero w momencie przybycia na jego miejsce. Nie jest to komfortowa sytuacja dla tych instruktorów, którzy chcą rzetelnie zapoznać się z dokumentami, aby móc uczciwie, z pełnym przekonaniem podnieść rękę w głosowaniu nad absolutorium.

Miejsce

W poradniku dla organizatorów zjazdów hufców wydany w czerwcu br. przez Główną Kwaterę ZHP czytamy:

Wybermy dobre miejsce.

Miejsce jest o tyle istotne, że nie tylko powinno stanowić o wygodzie pracy, ale również podnosić prestiż spotkania. Zjazd to bardzo ważne wydarzenie nie tylko dla instruktorów oraz członków Twojego hufca. Zjazd powinien być również wydarzeniem dla władz samorządowych właściwych dla Twojego miejsca działania. Dlatego też nieodzownym elementem jest zaproszenie gości na to spotkanie. Niemniej jednak gości wypada zaprosić w stosowne miejsce, np. ratusz miejski, sale konferencyjne urzędów, starostw, inne. Organizacja harcerska w większości miast, miasteczek, wsi cieszy się zaufaniem społecznym, więc przy odrobinie dobrej woli i zaangażowania nie powinno być problemów ze zorganizowaniem spotkania w ważnym miejscu Waszego miejsca działania.

Nic dodać, nic ująć. Aż szkoda czasu, aby udowadniać, że wybieranie złego miejsca na zjazd – miejsca, które będzie zniechęcało do długiej i wnikliwej pracy, jest przejawem patologii w realizowaniu procedur demokratycznych obowiązujących w ZHP.

Przewodniczący zjazdu

Na zjeździe hufca jest kilka osób szczególnie wpływających na jego przebieg. Najważniejszą jest bez wątpienia przewodniczący zjazdu, który kieruje jego pracami, ale także poddaje pod głosowanie wnioski formalne, uchyla niektóre pytania oraz interpretuje postanowienia regulaminu zjazdu.

Doświadczenie pokazuje, że obsadzając tę funkcję „swoim” człowiekiem, wielu komendantów próbuje zapanować nad zjazdem, a zwłaszcza jego bardziej aktywnymi uczestnikami. Niestety, często się to udaje, czego efektem jest stłumienie wszelkiej dyskusji merytorycznej.

Inne funkcje zjazdowe

Jeśli nie funkcję przewodniczącego, to może obsadzić drużynowymi inne funkcje zjazdowe? Pewnie, że można i warto, gdyż może to wpłynąć pozytywnie na jakość działania zjazdu! Czyżby więc tutaj nie było żadnych „kruczków”?

Znów życie pokazuje, że stary „wyjadacz” może wykorzystać obsadę komisji do swoich celów – i to na trzy różne sposoby.

Po pierwsze: może obsadzić komisję uchwał i wniosków osobami, które zadbają, aby ostateczny kształt programu rozwoju hufca nie był zbyt rozbudowany.

Po drugie: młodych instruktorów, którzy jeszcze niezbyt wiedzą, o co chodzi na zjeździe, ponieważ uczestniczą w nim po raz pierwszy, może „kupić”, proponując ich do komisji wyborczej lub skrutacyjnej – dla szesnastoletniego drużynowego będzie to zaszczyt.

Po trzecie: „krnąbrnych” może zaproponować na funkcję protokolantów – doświadczenie pokazuje, że sporządzanie protokołu skutecznie wyłącza instruktora z aktywnego uczestnictwa w zjeździe.

Nad czym obradować?

Czy jest możliwe, aby zjazd nie przyjął programu rozwoju hufca albo aby nie ocenił ustępujących władz? Teoretycznie nie, ponieważ Statut ZHP wyraźnie stanowi, że zjazd musi to zrobić. Nie tak dawno spotkałem się jednak na zjeździe (wprawdzie chorągwi, a nie hufca – ale to w sumie jeszcze gorzej!) z przypadkiem wniosku, żeby zjazd... nie zajmował się tym, co należy do jego statutowych obowiązków!

Głosowania udało się uniknąć tylko dzięki przytomności pełnomocnika Naczelnika ZHP, który przypomniał, że w kompetencjach tego gremium nie leży głosowanie nad zasadnością zapisów Statutu ZHP.

Pozostaje więc liczyć, że podobną czujnością wykażą się obecni na każdym zjeździe hufca pełnomocnicy komendanta chorągwi.

Program rozwoju hufca

We wspomnianym już poradniczku zjazdowym czytamy:

Dostarczmy na czas propozycję programu rozwoju hufca.

Zebranie i złożenie programu rozwoju hufca jest ostatnim etapem przygotowanie tej części zjazdu. Należy zwrócić szczególną uwagę, aby propozycja strategii dotarła do rąk uczestników co najmniej na dwa tygodnie przed spotkaniem, jest wtedy szansa, aby nanieść poprawki, uwagi, korekty. Daje nam to szansę na przyjęcie strategii podczas zjazdu hufca. Mamy też pewność, że jest ona wynikiem pracy zespołów instruktorskich hufca, a nie tylko samej komendy. Pamiętajmy, że program pracy powinien być akceptowany przez członków danego środowiska, a nie tylko przez jego część, dlatego przestrzegam przed tworzeniem go w gronie kilku instruktorów.

Znów nic dodać, nic ująć. Zaapeluję tylko: niech praca nad programem rozwoju hufca rozpocznie się jak najwcześniej przed zjazdem i niech odbywa się w szerokim, różnorodnym gronie!

Jawnie czy tajnie

Jak głosować: jawnie czy tajnie? Z reguły ci, którzy się nie boją ocen, chcą, aby głosowanie było tajne, ponieważ wtedy nie ma żadnych nacisków na głosujących i można uzyskać informację o autentycznym poparciu dla proponowanych rozwiązań czy kandydatów. Za to ci, którzy nie są pewni swej pozycji, forsują zwykle głosowanie jawne – wiedząc, że jest wiele takich osób, które może chcą głosować „przeciw”, ale nie są zdesperowani na tyle, aby zrobić to z otwartą przyłbicą.

Na szczęście przed manipulacjami chroni nas znowu Statut ZHP stanowiący, że „wybory władz odbywają się tajnie, chyba że uprawnieni do głosowania

jednogłośnie postanowią inaczej”. Niby zapis prosty, ale prowadzi do różnych dziwnych interpretacji. Warto więc dobitnie podkreślić, że zasadą jest głosowanie tajne, a żeby odbywało się w sposób jawny, ktoś musiałby złożyć taki wniosek, a następnie musiałby on przejść bez ani jednego głosu przeciwnego czy wstrzymującego. W praktyce jest tak, że zawsze znajdzie się choć jedna osoba, która wstrzyma się od głosu – a to wystarczy, aby głosowanie było tajne.

Więcej niż połowa czy niekoniecznie?

Ile trzeba zebrać głosów, aby zostać wybranym do władz hufca? Wydawało mi się, że zarówno Statut ZHP, jak i Ordynacja wyborcza są w tym względzie jednoznaczne:

- w głosowaniu trzeba uzyskać największą liczbę głosów, ale więcej niż połowę,
- kiedy dwie osoby uzyskały tyle samo głosów (ale więcej niż połowę ważnych głosów!), przeprowadza się głosowanie uzupełniające, w którym decyduje zwykła większość,
- jeżeli jeszcze są miejsca wakujące, wówczas przeprowadza się wybory dodatkowe, w których znów trzeba uzyskać więcej niż połowę głosów.

Proste, prawda? Tymczasem kilkanaście dni temu w Internecie Marcin napisał: „w moim hufcu dominuje przekonanie, że w drugim głosowaniu jedyny kandydat zostanie wybrany bez względu na otrzymane poparcie”.

Toż to demokracja „kruczków” w czystej formie! Znów pozostaje nam liczyć na czujność pełnomocnika komendanta chorągwi...

Syndrom zapracowanego człowieka

Na koniec o sytuacji, która zawsze doprowadza mnie do wściekłości, a która z lubością jest wykorzystywana przez starych wyjadaczy, którym nie w smak jest, aby toczyła się długa dyskusja, aby przyjmować rozbudowane programy rozwoju. Tę sytuację określam mianem „syndromu zapracowanego człowieka”.

Dzieje się to zazwyczaj po kilku godzinach obrad, kiedy co poniektórych zaczynają dopadać pierwsze oznaki zmęczenia. Okazuje się, że sala się przerzedza, coraz więcej osób spogląda na zegarek, ktoś się spieszy na pociąg, ktoś ma ważną uroczystość rodzinną itd. A zjawisko to zdecydowanie nasila się po

ogłoszeniu wyników wyborów. Wtedy z reguły mało kto chce jeszcze pracować nad kwestiami merytorycznymi.

Jaki w takiej sytuacji stosuje się „kruczek”? Wniosek formalny! Ktoś zgłasza wniosek o zamknięcie dyskusji, znużeni uczestnicy zjazdu przegłosowują go potulnie. Koniec dyskusji o przyszłości hufca, można się rozejść...

Jak więc jest z tą demokracją?

Czy z tego wszystkiego płynie wniosek, że demokracja, przynajmniej na poziomie hufców Związku Harcerstwa Polskiego, to fikcja? Że ma ona wyłącznie charakter patologiczny?

Oczywiście, że tak nie jest! Myślę, że w większości hufców demokracja autentycznie funkcjonuje:

- głos decydujący mają drużynowi oraz instruktorzy rzeczywiście pracujący na rzecz hufca, a nie szefowie fikcyjnych zespołów, kierowcy i sprzątaczkę (z całym szacunkiem dla tych profesji),
- hufcowi przez dwie kadencje potrafią wychować swoich następców, którzy godnie „przejmą po nich pałeczkę”,
- instruktorzy czują, że tworzą prawdziwą wspólnotę,
- wszyscy instruktorzy są zaangażowani w rozwój hufca (nie ma opozycji, frakcji) i wszyscy mają pozytywne intencje – aby ich hufiec się rozwijał,
- zarówno przed zjazdem, jak i w jego trakcie dopełniane są demokratyczne procedury określone w Statucie i Ordynacji wyborczej ZHP,
- dokonywana jest rzetelna ocena pracy ustępujących władz hufca.

Po cóż więc pokazywanie tych wszystkich patologii, czy to nie jest instrukcja dla osób, które patrzą na harcerstwo wyłącznie przez pryzmat osobistych korzyści?

Mam nadzieję, że tak nie jest, ponieważ moją intencją było uczulenie wszystkich uczestników zbliżających się zjazdów na zagrożenia wynikające z obowiązujących w naszej organizacji procedur, a przede wszystkim uświadomienie, że korzystanie z dobrodziejstw demokracji wymaga wiedzy, zaangażowania i uczciwości.

* * *

Jak więc jest z tymi patologiami: to kwestia ludzi czy niedoskonałych przepisów? Sądzę, że jednak przede wszystkim ludzi, bowiem najlepsze przepisy może wypaczyć ktoś, kto ma złą wolę!

Oczywiście można Statut doprecyzować, można zabezpieczyć się przed wieloma patologiami, ale czy rzeczywiście o to chodzi? Czy, biorąc pod uwagę idee harcercskie, należałoby kształtować nasze związkowe prawo z założeniem, że będą je stosować nie ludzie prawi, uczciwi, ale kombinatorzy, oszuści i bezwzględni manipulanci?

Przyjęcie takiej filozofii to byłoby dopiero kuriozum!!!

OD AUTORA:

Też napisane 11 lat temu i też, niestety, w dużej części aktualne...

Całkiem dorośle

Byłem ostatnio świadkiem kilku niezależnych od siebie dyskusji na jeden i – jak widać – poruszający temat: jakie jest miejsce osób dorosłych w naszym Związku? Czym jest nowa grupa dorosłych – starszyzna? Jaka powinna być rola starszyzny i seniorów w ZHP?

Niewątpliwie źródłem tych dyskusji jest uchwała Rady Naczelnej, konstytuująca starszyznę oraz (na nowo) seniorów, która zamiast porządkować sprawy członkowskie w głowach wielu instruktorów, dokonała jeszcze większego galimatiasu. Tym bardziej jeśli nałoży się na to jeszcze nieprecyzyjne zapisy statutowe o funkcjach instruktorskich. Ale to oddzielny temat...

U podłoża problemu leżą jednak nie kwestie zapisów w dokumentach, ale przyjętej filozofii.

Według jednej z nich harcerstwo to ruch, którego misją jest wychowanie dzieci i młodzieży i w związku z tym można być w Związku albo wychowankiem, czyli do 25 lat (maksymalny wiek wędrownika), albo wychowawcą. Innej możliwości nie ma, czyli krótko mówiąc: nie można być wiecznie wychowankiem.

Druga filozofia zakłada, że nie można w dniu 25. urodzin wyrzucać z naszych szeregów tych, którzy nie odnaleźli w sobie powołania do służby instruktorskiej, że oni mogą być przydatni naszej organizacji właśnie jako starszyzna czy – będąc już w wieku emerytalnym – seniorzy.

Dylemat to duży, bo czyż można pozbywać się kogoś, kto chce nadal pomagać, chce nadal żyć zgodnie z wartościami harcerskimi? No ale czy organizację wychowawczą stać na zajmowanie się tymi, którzy powinni być wsparciem?

Myślę, że każdy musi sam określić swoje poglądy. I pewnie konieczne przy tym będzie uświadomienie sobie dwóch prawd. Po pierwsze: bez wątpienia to zuchy i harcerze są najważniejszymi członkami naszej organizacji. To oni są podmiotem działań wychowawczych prowadzonych w harcerstwie. A po drugie: pewne jest, że poglądy na kwestię miejsca dorosłych w ZHP zmieniają się wraz z wiekiem. O czym tak samo powinni pamiętać i ci młodzi, i ci trochę starsi...

Całkiem zjazdowo

Minęliśmy już półmetek zjazdów hufców. Wybory, władze, delegaci, programy, uchwały... Słowem: wszystko w normie. Tym razem jednak zjazdy hufców miały dodatkowe zadanie: zająć stanowisko w dyskusji na temat osobowości prawnej jednostek terenowych ZHP.

Jak to wyglądało w praktyce? Z moich rozmów z instruktorami z różnych części Polski wynika, że dyskusja o osobowości prawnej przebiegała zwykle według jednego z dwóch następujących wariantów.

Wariant 1 – zerowy. A więc: zero zainteresowania, zero dyskusji, zero uchwał na temat osobowości prawnej.

Wariant 2 – przewencyjny. A więc: brak dyskusji lub dyskusja minimalna oraz podjęcie uchwały za osobowością prawną – na zasadzie „może dzięki temu chorągiew i GK-a wreszcie się od nas odczepią”.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego taki jest obraz dyskusji, której efektem może być podjęcie decyzji bądź co bądź jednej z ważniejszych w historii Związku i – co najważniejsze – właściwie nieodwracalnej? Czy jest to temat sztuczny, wytworzony przez „góre” oderwaną od „dołów”?

Z pewnością dla większości drużynowych jest to temat abstrakcyjny, który w ich świadomości ma znikome znaczenie dla codziennej działalności drużyn. Ale pewnie jest to także efekt niedostatecznej informacji – takiej rzetelnej, obiektywnej, zrozumiałej dla osób bez wykształcenia prawniczego, która – wedle uchwały zjazdowej – powinna zostać opracowana przez władze naczelne. No i która powinna się także znaleźć w Internecie i na łamach „Czuwaj” – o czym piszę, bijąc się w swoje redaktorskie piersi.

Przed nami jeszcze ponad miesiąc zjazdów hufców, a potem zjazdy chorągwi. Cały czas liczę na interesującą dyskusję o osobowości prawnej, dyskusję, która będzie ukierunkowana nie na przeszłość („chodzi o to, aby za długi komornik nie mógł zlicytować majątku hufca”), ale na przyszłość – co nam to da za rok, dwa, za pięć lat...

Całkiem szczęśliwy

Wczoraj od moich przyjaciół – Kamy i Roberta, szczęśliwych rodziców niedawno narodzonego Stasia, otrzymałem takie oto podziękowania z prośbą o przekazanie na łamach „Czuwaj”:

Braterstwo to często powtarzane w harcerstwie słowo. Szafuje się nim na lewo i prawo, rzadko zastanawiając się nad jego sensem. A przecież ma ono wymiar bardzo konkretny, wręcz namacalny. Proste, altruistyczne BRATERSTWO sióstr i braci w harcerstwie. Takiego właśnie BRATERSTWA doświadczyliśmy osobiście. W momencie dla nas trudnym, kiedy było nam najbardziej potrzebne, przywędrowało do nas z całej Polski. W takim momencie można tylko dziękować Bogu, że są przy nas tak wspaniali PRZYJACIELE. Niektórych znamy osobiście. Byli uczestnikami naszych kursów, prowadziliśmy ich próby instruktorskie albo współpracowaliśmy w Ruchu Całym Życiem. Innych nigdy nie spotkaliśmy na naszej harcerskiej drodze, ale mimo to postanowili nam pomóc.

Wam wszystkim, którzy byliście z nami w tych trudnych dla nas chwilach, gorąco dziękujemy. Za Waszą pomoc. Za Wasze dobre myśli. Za Waszą KREW. Nigdy Wam tego nie zapomnimy.

Kama, Robert i Staś Bokaccy

Kiedy to czytałem, byłem naprawdę szczęśliwy. Podobnie jak ponad rok temu, kiedy harcerze z różnych zakątków Polski zbierali hektolitry krwi na potrzebującego wówczas pomocy Zubka – autora felietonów o podharcemistrzu Jossarianie.

Jestem szczęśliwy, ponieważ dzięki takim dowodom braterstwa, dowodom ciągle żywej idei harcerskiej, mam świadomość, że mogę być dużo spokojniejszy o zdrowie mojej rodziny, zwłaszcza moich dzieci. Wiem, że w razie – nie daj Boże – takiej potrzeby, znajdę oparcie w ludziach, z którymi może nie łączy mnie znajomość osobista, ale coś innego, wyjątkowego – więź przynależności do Wielkiej Harcerskiej Rodziny.

Choćby dla tej myśli, dla tej budującej świadomości – warto być harcerzem!!!

Jak nas widzą, czyli rzecz o wizerunku harcerstwa

Z wizerunkiem harcerstwa jest bardzo, bardzo dziwnie...

Z jednej strony bardzo dobre opinie, wysokie zaufanie społeczne, z drugiej – pogardliwe używanie słowa „harcerz”, „harcerzyk” w życiu codziennym przez polityków czy dziennikarzy.

Z jednej strony wiara w magiczną moc mediów, z drugiej – bagatelizowanie sytuacji, które faktycznie wpływają na obraz szczepu czy hufca w środowisku lokalnym.

Z jednej strony narzekanie na infantylnie pokazywanie harcerstwa w telewizji, a z drugiej – infantylnizm w codziennej pracy drużyn.

Z jednej strony profesjonalizm, wiedza, a z drugiej – niezrozumienie, że w *public relations* nie wszystko zależy od nas oraz ciągle narzekanie na „krwiożercze” media.

A na dodatek każdy ma tu swoje zdanie i każdy – podobnie jak na medycynie, polityce i (ostatnimi czasy) skokach narciarskich – się na tym zna.

A więc jak to jest z tym naszym wizerunkiem? Jak nas widzą?

W ogóle...

Jak nas widzą? To pytanie jest wyrazem naturalnej chyba ciekawości, jak jesteśmy postrzegani i oceniani przez społeczeństwo. Właśnie kierując się tą ciekawością, a także po to, by mieć rzetelne podstawy do planowego i świadomego kreowania wizerunku naszej organizacji, Główna Kwatera ZHP już w 1997 roku zamówiła profesjonalne badanie w firmie MEMRB International Poland. Odbyło się ono w dniach 8-14 lutego 1997 roku na ogólnopolskiej reprezentatywnej próbie losowej 1000 dorosłych mieszkańców Polski.

Wyniki zachwyciły wszystkich! Jedynie 3 osoby na 1000 zadeklarowały, że nie znają ZHP, można więc przyjąć, że skrót „ZHP” jest powszechnie znany,

mocno zakorzeniony w świadomości społecznej. Opinię pozytywną o ZHP wyraziło ponad 2/3 respondentów, negatywną zaś zaledwie 4% badanych.

No tak, ale to było już siedem lat temu. Czy od tamtego czasu coś się zmieniło? Wyniki nowszych badań pokazują, że niewiele.

Z badania CBOS sprzed roku wynika, że harcerstwo cieszy się cały czas bardzo dużym zaufaniem – prawie 3/4 społeczeństwa, a więc jeszcze więcej niż w badaniu z 1997 roku. Wprawdzie mniejszym niż tradycyjnie cieszące się dużym uznaniem Kościół i wojsko, czy organizacje charytatywne typu WOŚP, PCK i Caritas, ale większym od ONZ, policji czy telewizji (o instytucjach stricte politycznych jak Sejm i rząd nawet nie wspomnę!).

Oczywiście trudno porównywać oba badania, jednak nie chodzi tu o szczególnie poprawność metodologiczną czy precyzyjność naukową, lecz o pokazanie niezaprzeczalnego faktu – że harcerstwo cieszy się wysokim zaufaniem społecznym.

Prawdziwym miodem na serce mogą być dla instruktorów wyniki badania CBOS „Opinie o problemach młodego pokolenia”, zrealizowanego w dniach 15-20 października 1998 roku. Wynika z nich, że w opinii społecznej najlepiej pomaga rodzinie w wychowaniu dzieci i młodzieży wcale nie szkoła, nie Kościół, ale właśnie harcerstwo. To doprawdy szczególnie dowód zaufania!

i w szczególe...

Tak więc ogólnie możemy optymistycznie stwierdzić, że jest dobrze. A czy tak samo dobrze jest, kiedy z dużego poziomu ogólności (zaufanie, pozytywna opinia, ogólna ocena) schodzimy na poziom konkretów?

Znow odwołam się do badań MEMRB. Respondentom zadano w nim pytanie: „Z jakimi trzema cechami kojarzy się Panu/Pani harcerz? Proszę wymienić w kolejności pierwszą najważniejszą cechę harcerza, drugą najważniejszą i trzecią”.

Zarówno kobiety, jak i mężczyźni za najbardziej charakterystyczne dla harcerza uznali odwagę (u kobiet – 50,1%, u mężczyzn – 40,9%). Druga cecha – uczynność, wymieniana była już dużo rzadziej – średnio 32,6%. Na kolejnych miejscach znalazły się: niepicie i niepalenie, pracowitość oraz prawdomówność. Słowem: same pozytywne cechy.

Czy zatem możemy być w pełni zadowoleni? Niestety nie...

Coś jest nie tak...

No właśnie, coś jest nie tak z tym naszym wizerunkiem. Mamy bowiem do czynienia z dziwnym dualizmem.

Z jednej strony cieszymy się naprawdę wysokim i – co ważne – stabilnym zaufaniem społecznym, jesteśmy szanowani, doceniani za nasze działania. Różni „ważni” ludzie lubią się pokazywać w towarzystwie harcerzy. Dostajemy liczne nagrody, jak chociażby w ostatnim czasie nagroda dla Hufca Gdańsk-Śródmieście czy medal „Przyjaciel Integracji”.

Z drugiej strony – w codziennych, potocznych opiniach, komentarzach wyrażanych przez zwykłych śmiertelników, jak i osoby publiczne czy media, harcerstwo jawi się nie jako organizacja wychowawcza, lecz zabawowa, niepoważna, a harcerz kojarzy się z naiwnością, nieżyciowym idealizmem, zabawą. Zresztą wszyscy dobrze znamy te docinki i uszczypliwości o „chłopakach w krótkich gaciach biegających po lesie”, utożsamianie harcerstwa wyłącznie z podchodami lub – w najlepszym razie – stanem na warcie podczas kolejnej uroczystości „ku czci” lub przeprowadzaniem staruszki przez ulicę...

Skąd ten dualizm? Czy to nie dziwne, że jedno spojrzenie na harcerstwo idzie w parze z drugim? A może któryś z tych obrazów jest nieprawdziwy? Sądzę, że oba są prawdziwe i wbrew pozorom jeden sposób myślenia nie przeczy drugiemu. Można się domyślać, że to duże społeczne zaufanie wynika z autentycznego przekonania, że harcerstwo robi dobrą robotę, że efekty jego działań są pozytywne. I nie ma tu znaczenia, czy jest to w pełni pozytywna akceptacja całości działań harcerskich, czy raczej ocena porównawcza, na zasadzie „lepiej, żeby poszedł na zbiórkę, niż stał pod budką z piwem...”, „na kolonię nie, ale na obóz harcerski jeszcze mnie jakoś stać...”. Przypuszczam, że na naszą korzyść działa także zasada kontrastu – łatwiej doceniać harcerstwo, kiedy tło społeczno-polityczne (rząd, Sejm, samorząd) nie jest najwyższych lotów.

Ta akceptacja idzie często, niestety, w parze z przekonaniem, że harcerstwa nie można traktować zbyt poważnie, że to jest głównie zabawa... Skąd bierze się takie spojrzenie? Sądzę, że to nic innego jak niewiedza – po prostu myślenie o harcerstwie jest bardzo powierzchowne, zbudowane na podstawie prostych skojarzeń, schematycznych obrazów, codziennej obserwacji: generalnie są OK, las i zabawa w podchody, biwaki i obozy, zbieranie do puszek w supermarkecie, stanie pod pomnikiem 11 listopada oraz – jednak chyba w coraz mniejszym stopniu – babcia przeprowadzana przez ulicę.

Jak zmienić tę sytuację? Rozwiązanie wydaje się oczywiste: należy zadbać o dostarczenie zwykłym ludziom informacji o misji wychowawczej Związku,

należy im uświadomić, że harcerstwo to coś więcej, że jego celem nie jest zabawa, przygoda – że to są tylko narzędzia do osiągnięcia nadrzędnego celu wychowawczego.

Kiedy napisałem to zdanie, przypomniałem sobie przytaczane już badania CBOS. I uświadomiłem sobie, że znajdujemy się na dobrej drodze, skoro jesteśmy oceniani jako lepszy sojusznik w wychowaniu niż Kościół czy szkoła. Chociaż być może tu znów działa zasada kontrastu i wypadamy dobrze tylko dlatego, że respondentom zostaliśmy zaprezentowani na tle takich a nie innych instytucji.

A może... jesteśmy skazani na dualizm w myśleniu o harcerstwie? Może taka jest nasza specyfika, że raz jesteśmy szanowani, a innym razem traktowani pozytywnie, ale z pobłażaniem, życzliwie, ale z przymrużeniem oka – jako „nieszkodliwi ideowcy”?

Gdzie się robi promocję?

Wielu instruktorów na grunt harcerski przeszczepia zasadę świata show-businessu, że istnieje się tylko wtedy, gdy pokazuje nas telewizja i nie jest ważne, jak istnieje się w mediach – byle tylko istnieć.

Z prezentowanych wyników badań wynika, że dla harcerstwa nie jest to właściwe podejście. Zdecydowanie największe znaczenie w kształtowaniu opinii respondentów o harcerstwie mają czynniki bezpośrednio związane z daną osobą, czyli jej własne doświadczenia z przeszłości (47,8%), własne obserwacje (46,7%), a także kontakty międzyludzkie – ze znajomymi i z rodziną (odpowiednio 19,2% i 11,6%). Media zaś odgrywają dużo mniejszą rolę: 2,9-19,2%. Zatem w promowaniu ZHP wcale nie należy koncentrować się na mediach!

A co oznacza fakt, że blisko połowa respondentów zadeklarowała, iż czerpie wiedzę o harcerstwie z własnych doświadczeń? Przede wszystkim należy uświadomić sobie, że są to często doświadczenia sprzed kilkunastu, a może nawet kilkudziesięciu lat, a więc doświadczenia w dużej mierze stereotypowe, „wyglądzone” już przez upływający czas i w związku z tym trudne do zmiany. Bo jeśli komuś harcerstwo kojarzy się wyłącznie z jego pierwszym (i ostatnim) obozem, na którym dostawał „baty” od „nawiedzonego” komendanta, to zmienić to przekonanie będzie naprawdę bardzo trudno. Z przeprowadzonego badania wynika, że jedyną realną szansą na zmianę opinii o ZHP jest w tej sytuacji nabycie nowych, pozytywnych doświadczeń – na podstawie przeżyć kogoś naprawdę bliskiego, np. własnego dziecka czy dziecka kogoś z rodziny. A więc zmiany

może dokonać wcale nie telewizja czy prasa, lecz wyłącznie dobrze działająca gromada lub drużyna, dobry obóz – po prostu obserwacja harcerstwa na bardzo dobrym poziomie!

To wszystko prowadzi do konkluzji, że najbardziej opiniotwórczy charakter ma działalność środowisk harcerskich, że wizerunek harcerstwa budowany jest nie „na górze”, ale „na dole” – w drużynie, szczepie oraz hufcu.

Warto to uświadomić sobie, tym bardziej że lata płyną i coraz częściej rodzicami naszych zuchów i harcerzy będą osoby, które same nawet „nie liźnęły” harcerstwa. Nie mają więc własnych doświadczeń, zatem obserwacja gromady czy drużyny, do której należy syn lub córka, będzie głównym czynnikiem trwałego kształtowania ich opinii o harcerstwie.

Jaki wizerunek?

W listopadzie ubiegłego roku podczas zbiórki instruktorów odpowiedzialnych w komendach za promocję próbowaliśmy znaleźć odpowiedź na pytanie, jaki wizerunek harcerstwa powinniśmy kształtować w społeczeństwie. Punktem wyjścia było przekonanie, że nadrzędnym celem jest uzyskanie stanu pełnego społecznego zaufania do ZHP, co będzie skutkowało dla członków organizacji poczuciem prestiżu, dumy z przynależności do ZHP.

Odpowiedź jest oczywiście różna – w zależności od tego, o kim myślimy.

Kiedy ten materiał był prezentowany podczas zebrania Głównej Kwatery, padło tam ciekawe stwierdzenie, że „to wszystko jest oczywiste i nie sposób się z tym nie zgodzić”. To prawda. Przecież chcemy być atrakcyjni dla dzieci, chcemy być modni, chcemy mieć poważanie i sympatię rodziców, chcemy być traktowani jako skuteczni i rzetelni partnerzy. Ale w takim razie dlaczego to wszystko nie ma przełożenia na rzeczywistość?

Sami sobie winni

Kiedy po ubiegłorocznym Ogólnopolskim Zlocie Drużynowych pojawił się reportaż w telewizji, już po jego obejrzeniu zasiadłem przy komputerze, aby na forum czy liście dyskusyjnej zobaczyć, jakie są reakcje instruktorów – zwłaszcza uczestników Zlotu. Nie były one dla mnie zaskoczeniem – znów narzekanie, że nas źle pokazali, że wyszliśmy infantylnie. Kiedy służyłem opinii o „Teleharcach”, było podobnie: jesteśmy infantylni – „stare byki płasają, mruczą jakies

głupie przyspiewki”. Ale czy to efekt nieprzychylnych nam ekip telewizyjnych, które myślą tylko o tym, jak wypaczyć wizerunek harcerstwa? Oczywiście że nie!

I tu dochodzimy do istotnego problemu: zapominamy, że to my sami jesteśmy odpowiedzialni za wizerunek harcerstwa!

Bądźmy uczciwi – sami jesteśmy sobie winni!

To nie wymysł mediów, ale w rzeczywistości „stare byki” lubują się w głupawych płasach i trudno się dziwić, że jakaś „szycha” przybyła na spotkanie instruktorskie może zwątpić w powagę harcerstwa, kiedy witana jest przez maturzystów i studentów „słoneczkiem”. Sami kształtujemy we władzach lokalnych nasz obraz, kiedy kontakty z gminą nie ustawiamy partnersko, lecz ograniczamy do bycia zawsze na zawołanie i wystawiania godzinami pod pomnikami podczas rozmaitych, zawsze najważniejszych uroczystości, zapominając, czy i jakie ma to walory wychowawcze dla naszych harcerzy. I nie dziwny się, że urzędnik czy rodzic traktuje harcerstwo niepoważnie, jako zabawę, kiedy w sytuacji oficjalnej, urzędowej widzi czterdziesto- albo pięćdziesięcioletniego instruktora w krótkich gaciach, obowiązkowo z długą finką wchodzącą mu w p... pewną część ciała.

Nie chcę tu rozpoczynać dyskusji, czy te przykłady są w porządku, czy nie. Tu nie o to chodzi. Zależy mi tylko na tym, aby uświadomić sobie, że wywołują one pewne reakcje i budują określony nasz wizerunek.

Zmieniajmy się!

W ten sposób doszliśmy do najważniejszego chyba problemu związanego z kształtowaniem wizerunku harcerstwa: **często chcemy, aby ludzie mieli inny obraz ZHP, niż jest on w rzeczywistości!**

To jest prawdziwa bariera!

Dlaczego? Bardzo łatwo to wyjaśnić:

Możemy zbudować wśród dzieci i młodzieży wizerunek ZHP jako organizacji ciekawej, gdzie jest świetna zabawa, gdzie można nabyć wiele pożytecznych umiejętności, jednak wizerunek ten zostanie błyskawicznie i bezpowrotnie

zburzony, kiedy dzieciak, który właśnie przyszedł do drużyny, przez pierwsze dwa miesiące wcale nie zazna zabawy, przygody, ale będzie wkuwał: symbolikę krzyża i lilijki, Prawo Harcerskie, historię harcerstwa i drużyny, strukturę ZHP – bo jak powszechnie wiadomo, jest to podstawa! I tak przez kilka miesięcy. A mundur? Wcale nie będzie mógł się nim szybko szczyścić (choć właśnie mundur był dla niego głównym magnesem przyciągającym do ZHP), ponieważ zanim go otrzyma, będzie musiał zdobyć chustę, pierścień do chusty, plakietkę drużyny, naszywkę na plakietkę itd.

Możemy zbudować w umysłach rodziców wizerunek ZHP jako organizacji zapewniającej ciekawy program i bezpieczeństwo, jednak ten wizerunek zginie, gdy rodzic choć raz zobaczy niefrasobliwość drużynowego przy przechodzeniu z drużyną przez jezdnię albo świetną zabawę w gronie kadry (a dzieci zostawione są bez nadzoru), kiedy po raz kolejny, pytając dziecko po powrocie ze zbiórki „co ciekawego”, usłyszy, że „właściwie ciągle to samo – śpiewanki, pąsy i zabawy”.

Możemy zbudować wśród naszych partnerów wizerunek ZHP jako organizacji profesjonalnej, rzetelnej uczciwej, jednak wystarczy jeden artykuł o „afetach”, nawet w prasie brukowej, jedno nierzetelne albo nieterminowe rozliczenie się w gminie z otrzymanej dotacji na HAL – a nasza wieloletnia praca nad wizerunkiem przepadnie.

Reasumując: skutecznie zbudujemy nasz wizerunek tylko wtedy, kiedy to, jaki on ma być, będzie odpowiadało rzeczywistości. Potrzeba nam zatem zmiany – zmiany mentalnej, w naszych głowach, zweryfikowania, co jest naprawdę istotą harcerstwa, a co czystym rytualizmem.

Jakość!

I wreszcie potrzeba nam zmiany samej organizacji – żeby ZHP był rzeczywiście organizacją profesjonalną: profesjonalnie zarządzaną, z profesjonalną kadrami, z doskonałym, odpowiadającym dzieciom, a nie instruktorom czy seniorom programem. Słowem: musimy postawić na jakość naszych działań. To jest prawdziwy klucz do sukcesu w kształtowaniu wizerunku harcerstwa!

Musimy skoncentrować się na podnoszeniu poziomu gromad i drużyn, zwiększaniu atrakcyjności realizowanego w niej programu, polepszaniu jakości kształcenia, aby mieć fachową i odpowiedzialną kadrę w organizacji. Musimy wreszcie doczekać się wysokiej jakości w zarządzaniu organizacją na wszystkich szczeblach jej struktury.

Mam świadomość, że to długi i trudny proces, że być może wymaga zmian statutowych. Jednak trzeba podjąć ten trud, trzeba rozpocząć dyskusję, bo inaczej zupełnie utracimy kontrolę nad postrzeganiem społecznym harcerstwa.

News: 1%

Kiedy piszę te słowa, newsem dnia jest, że zostaliśmy zarejestrowani jako organizacja pożytku publicznego, a tym samym uzyskaliśmy prawo do przyjmowania wpłat kwoty będącej 1% podatku za 2003 od osób fizycznych.

Chyba nikogo nie trzeba przekonywać, że jest to niesamowita szansa dla całego Związku, aby pozyskać środki na działalność, a jednocześnie zbudować silniejsze więzi między harcerstwem a środowiskiem jego działania. Powodzenie tej akcji zależy będzie oczywiście od aktywności konkretnych jednostek harcerskich, ale także od wizerunku harcerstwa w oczach podatników. I odwrotnie – ta akcja to szansa na poprawę naszego wizerunku.

Zobaczmy, jak zdamy ten egzamin...

OD AUTORA:

Minęło 10 lat od napisania tego artykułu, a niektóre postulaty ciągle są aktualne, czasem nawet jeszcze bardziej niż dekadę temu...

Całkiem marzycielsko

Smutni są ci, którzy liczyli, że tak jak kiedyś byliśmy stowarzyszeniem wyższej użyteczności, tak teraz znajdziemy się w elitarnym gronie organizacji pożytku publicznego. Nic z tego. Zarejestrowanych jest już kilkaset organizacji pożytku publicznego. Organizacji masa, a pożytku publicznego – czy tak samo dużo? Czy to naprawdę elita organizacji?

Weszły właśnie nowe przepisy o podatku od towarów i usług, czyli o VAT. I nikt jakoś nie przewidział, że może być organizacja, która sprzedaje towary i usługi w ramach tej organizacji. Nikt chyba nie przewidział, że jest takie stowarzyszenie, które ma więcej, dużo więcej, dziesięć tysięcy razy więcej członków niż wymagane prawem 15 osób. A do tego urzędnicy fiskusa chowają głowy pod biurka, nikt nic nie wie...

Hufiec X składa wniosek w konkursie grantowym. Nie powinno być żadnych problemów. Ale jednak są, bo urzędnicy przyzwyczajeni są do stowarzyszeń lokalnych, gdzie składający wniosek to jednocześnie szef stowarzyszenia, osoba realizująca projekt, podsumowująca, a całe biuro stowarzyszenia mieści się w teczce. Tymczasem pojawia się ktoś z ZHP – organizacji dziwnej, bo w Krajowym Rejestrze Sądowym nie ma nic o hufcu X, nie ma nazwiska hufcowego, który podpisał wniosek. Urzędnik działający rutynowo raptem się gubi...

Kiedy słyszę o takich problemach, kiedy widzę, że powstaje prawo, które ma być dopasowane i do – z całym szacunkiem – stowarzyszenia 20-osobowego, i do ZHP, to coraz bardziej przekonuję się, że docelowym, optymalnym dla nas rozwiązaniem będzie po prostu ustawa o ZHP.

Ale sobie pomarzyłem... Jednak pomarzyć można, może kiedyś te marzenia staną się rzeczywistością!

OD AUTORA:

10 lat minęło od napisania tego tekstu, a do spełnienia marzeń jakby bliżej...

Całkiem zatrważające

Jestem przekonany, że dla każdego harcerza, dla każdego instruktora, który w ostatnich dniach lipca oraz 1 sierpnia był w Warszawie, uroczystości 60. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego były niezapomnianym przeżyciem. Te tłumy ludzi, mnóstwo kombatantów, na każdym kroku widoczni harcerze z różnych organizacji ramię w ramię pełniący służbę – to wszystko było niesamowite i wzruszające.

Jednak jak to zwykle bywa w naszej organizacji, po wszystkim zaczyna się... narzekanie (choć pewnie nie jest to tylko problem ZHP, ale coś, co leży w naszym narodowym charakterze).

Otóż przeczytałem ostatnio w Internecie głosy instruktorów zniesmaczonych udziałem ZHP w uroczystościach rocznicowych: że tragicznie małe zaangażowanie, kompromitująco niska liczba harcerzy na Zlocie Małego Powstańca, kiepska obecność w mediach, że innych było lepiej widać...

Ooo, właśnie dochodzimy do sedna! Przyznam, że większością głosów oburzenia na nasz udział w rocznicy Powstania Warszawskiego byłem po prostu zażenowany, bowiem dla wielu instruktorów nie liczy się to, jakie miejsce w programie harcerskim zajmuje kultywowanie tradycji, nie jest istotne, czy wciąż nieodłączną częścią harcerstwa jest wychowanie patriotyczne. Okazuje się, że ważniejsze od tego, czy na koloniach i obozach tysiące harcerzy w sposób dla siebie najlepszy uczciło rocznicę Powstania, jest to... czy byliśmy wystarczająco widoczni w mediach, czy nas zauważono.

A tu przecież nie jest najważniejsze pokazywanie się, rozwijanie transparentów i inne tego typu działania „pod publiczke”. Tu potrzebna jest pamięć, harcerska służba, kształtowanie postaw patriotycznych! Ale... może się myłę? Ech, chyba nie, skoro – jak wynika z badań opinii publicznej ogłoszonych w ostatnich dniach lipca – aż 77% Polaków nie zna dokładnej daty wybuchu Powstania Warszawskiego, a tylko 14% wie, ile dni trwało. Zatrważające!

Czuwaj družno!

Czuwaj druhu!

Za moich wczesnoszkolnych lat było tak, że kiedy ksiądz z naszej parafii szedł przez osiedle, to zlatywały się dzieciaki, pędziły jak najszybciej – byle tylko zdążyć podbiec i przywitać idącego słowami „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. To było takie normalne, takie naturalne...

Pamiętam też, jak chodziliśmy po górach – mijaliśmy dziesiątki, pewnie setki ludzi kompletnie nam nieznanymi, obcych. A jednak to było fantastyczne, że kiedy mówiliśmy sobie „cześć”, raptem stawaliśmy się sobie bliscy! Ktoś czymś poczęstował, opowiedział, jak jest na górze, zdradził jakąś górską tajemnicę... Każdy czuł, że jest się częścią tych gór, tej nieopisanej wspólnoty ludzi, których jakaś nieznaną siłą ciągle pcha na szlak. A to „cześć” mówione na szlaku było dla wszystkich czymś zupełnie normalnym, naturalnym...

Pamiętam też początki mojego zuchowania. Jakiż to byłem dumny, gdy szedłem na zbiórkę, gdy witałem się mówiąc „czuj”, gdy opowiadałem rodzicom o „moim druhu”... A był on nie byle kim, skoro harcerze z innych szczepów, widząc go, jak szedł na czele naszej drużyny, witali go okrzykiem „czuwaj”! Czulem się wtedy naprawdę kimś wyjątkowym, a – może to wydawać się śmieszne – marzeniem moim było też być kiedyś harcerzem, który pozdrawia innych harcerzy nie dziecinnym, zuchowym „czuj”, ale prawdziwym, „dorosłym” „czuwaj”!

Nie jest najlepiej

Minęło od tamtych czasów wiele lat. I sporo się zmieniło. W kwestii księdza dzisiaj wiele dzieciaków skwitowałyby pewnie sprawę krótko: „obciach”. W górach nieco lepiej – czasem słychać jeszcze „cześć”, zwłaszcza na bieszczadzkich połoninach czy w tych partiach Tatr, gdzie mniej wczasowiczów, a więcej turystów. A „czuwaj”? Co z tym naszym stuletnim niemal pozdrowieniem?

Chyba nie jest najlepiej – do takiego smutnego wniosku doszedłem podczas obchodów 60. rocznicy Powstania Warszawskiego. W te trzy dni Warszawa zaroilo się od harcerzy, właściwie nie sposób było przejść jakąkolwiek ulicą w centrum miasta, aby nie zobaczyć przynajmniej kilku osób w harcerskich mundurach. A co się działo w niedzielne popołudnie na Powązkach! Trzeba było przeciskać się przez tłum, w którym pewnie było tyle samo harcerzy, co kombatanów. Słowem: coś wspaniałego! Ale mimo tej masy harcerzy tak rzadko słyshałem „czuwaj”... Było to dla mnie ogromnym zaskoczeniem, więc zacząłem zastanawiać się, dlaczego tak jest?

Najpierw przyszła mi do głowy myśl najczarniejsza z czarnych, bo kompletnie antyharcerska: a może harcerze z różnych organizacji ignorują siebie? Nie, to jednak nie to – na szczęście – bo udało mi się zaobserwować, że brak powitania ma charakter ponadorganizacyjny.

A może tak po prostu łatwiej, może to z wygody, ponieważ harcerz, który chciałby pozdrawiać innych harcerzy naszym zawołaniem, musiałby w tym harcerskim tłumie właściwie cały czas wołać: „Czuwaj! Czuwaj!”?

Czasy bez powitań

Rozmowa z kilkoma instruktorami uświadomiła mi, że ta właśnie hipoteza jest najbliższa prawdy. Okazało się bowiem, że nie tylko ja, lecz także inni instruktorzy zauważają, że coraz częściej spotkanie dwóch harcerzy pozbawione jest jakiegokolwiek słowa czy gestu powitania. I choć to marne pocieszenie, to jednak trzeba przyznać, że w ogóle coraz częściej ludzie mijają się jakby siebie nie zauważając, jakby zamknięci we własnym świecie – nic nie powiedzą, a czasem nawet odwrócą głowę, udając, że nas nie zauważyli. Czyżby nadeszły czasy bez powitań? Pewnie tak, skoro moi rozmówcy zasypali mnie przykładami potwierdzającymi to spostrzeżenie. Także z harcerskiego podwórka...

Oto idzie harcerz na zbiórkę, a przed szkołą stoi dwóch instruktorów szczepu. Czy powie im „czuwaj”? Niestety nie – ani me, ani be!

Podczas wizytacji obozu w komendzie siedzi komendant obozu z trójką innych instruktorów – wszyscy wzorowo umundurowani, czerwone podkładki, srebrne i złote sznury. Podchodzi harcerz – czy usłyszymy „czuwaj” albo... cokolwiek? A skąd, nie miejmy złudzeń!

Od podstaw u podstaw

Może zatem należy zacząć od podstaw i jeśli dom tego nie nauczył, jeśli szkoła tego nie nauczyła, to harcerstwo powinno zapłacić tę lukę i nauczyć harcerzy podstawowych zasad *savoir-vivre* 'u? Ot, choćby tyle, że należy się przywitać, że osoba młodsza wita pierwsza starszą, mężczyzna (chłopak) – kobietę (dziewczynę), a idący – stojącego. Choćby tyle!

To plan minimum, plan adresowany do naszych wychowanków. A wychowawcy? Tu też nie jest wcale wspaniale. Wprawdzie z reguły młoda kadra instruktorska już wie (notabene czas najwyższy, jak się ma blisko dwadzieścia lat!), że wypada się przywitać, ale z pozdrowieniem tradycyjnym „czuwaj” jest już gorzej. Wiem to z własnego doświadczenia: niejednokrotnie podczas wizytacji, szkoleń czy innego typu spotkań instruktorskich witano mnie nie naszym „czuwaj”, lecz „dzień dobry”. A szczególnie dołujące jest, kiedy na każdym, dosłownie każdym spotkaniu komisji stopni instruktorskich mojego hufca przy najmniej jednemu instruktorowi albo kandydatowi na instruktora muszę zwracać uwagę, aby użył magicznego słowa „czuwaj”...

Musimy znaleźć przyczynę

Cóż, mamy w naszym Związku problem – zanika tradycja witania się po harcersku. A ponieważ nie można pozostać na to obojętnym, więc pojawia się zasadnicze pytanie: co się dzieje, jaka jest przyczyna tego stanu rzeczy? Odpowiedzi starałem się znaleźć podczas rozmów z wieloma instruktorami – pełniącymi różne funkcje, w różnym wieku. Oto, co usłyszałem:

- Co właściwie znaczy „czuwaj”? Co to w ogóle za powitanie? Czy wyobrazasz sobie, że dzieciak z dzieciakiem wita się w ten sposób? Że co...? Że ma czuć, być czujny albo coś w tym stylu? To jest po prostu przestarzałe i to jest podstawowy powód, że „czuwaj” zostało wyparte przez „cześć”, „siema” i inne tego typu luzackie określenia. Chyba trzeba się z tym pogodzić...
- Wydaje mi się, że nie można powiedzieć, że to jest problem całego ZHP, to jest kwestia środowiska, a konkretnie tego, czy drużynowy, instruktor zwraca uwagę czy nie na takie sprawy, jak witanie się pozdrowieniem „czuwaj”.
- Ja widzę po sobie i moich instruktorach, że z reguły jest tak, że do jakichś „pań-druhen” np. w chorągwi mówimy z reguły „dzień dobry”. Jeśli z jakiegoś powodu odbieramy taką osobę jednak bardziej jako harcerza, wtedy używamy „czuwaj”. W ten sam sposób standardowo mówimy do instruktorów,

- z którymi nie jesteśmy (w ogóle albo jeszcze) „na ty”. No a potem to mówimy sobie po prostu „cześć”.
- „Czuwaj” wydaje mi się takie sztywne... Jak witam się z jakimś instruktorem w ten sposób, to mam wrażenie tworzenia się między nami niepotrzebnie jakiegoś dużego dystansu. I w ogóle mam wtedy poczucie takiej dużej oficjalności...
 - A ja traktuję zawołanie „czuwaj” zupełnie naturalnie. Pewnie dlatego, że od zawsze u mnie w szczerpie się w ten sposób witano. To przecież chyba normalne! Jednak czasem, aby nie wprowadzać zbyt oficjalnej atmosfery, stosuję zbitkę „cześć – czuwaj!”. I chyba tak jest dobrze.
 - Myślę, że to problem braku poszanowania dla naszej harcerskiej tradycji. Tak się zapatrzyliśmy na tę nowoczesność, że zapominamy o tym, co nas łączy, czy powinno łączyć – mundur, harcerskie powitanie czy sposób zwracania się do siebie „druhno – druhu”.

Druh druhowi...

Ciekawe, prawda? I daje sporo do myślenia... Nie będę jednak w tym miejscu silił się na ogólne wnioski, ponieważ problem, o którym piszę, wymaga raczej samodzielnego przemyślenia przez każdego instruktora. Ale jest jeszcze coś: w ostatniej wypowiedzi została zasygnalizowana jeszcze jedna ważna kwestia – zwracania się do siebie „druhno – druhu”.

Problemy właściwie są tutaj dwa. Pierwszy z nich jest szczególnie drażniący, bo czyż można być spokojnym, kiedy na imprezie harcerskiej (wszyscy mają mundury, identyfikatory) ktoś mówi do ciebie „proszę pana”? Albo dzwoni do redakcji harcerskiej gazety i zaczyna: „Dzień dobry. Proszę pana, ja mam taką sprawę...”. Wrrrr... Można się nieźle zdenerwować!

Ale to jeszcze nic, drugi problem jest dużo poważniejszy. Zauważyłem rzecz dziwną: podczas rozmaitych dyskusji instruktorskich (czy na żywo, czy w Internecie), w momencie, gdy temperatura rozmowy się podnosi – raptem ci, którzy jeszcze przed chwilą byli ze sobą po imieniu, zaczynają sobie „druhować”. Albo kiedy jeden z dyskutantów chce komuś dokuczyć mówi np. tak: „Nie wiem, druhu, skąd czerpiesz takie informacje, ale to bzdura!”. Czy mówiąc „druh” taki instruktor wie, co właściwie znaczy to słowo, co to znaczy być dla kogoś druhem? Chyba niestety nie. A z taką radością usłyszałbym coś takiego: „Mój miły druhu, siądźmy spokojnie razem, sprawdźmy to...”. Zupełnie inaczej to brzmi, prawda?

Tradycja

Wiele osób, z którymi rozmawiałem w ostatnich tygodniach o naszym po-zdrowieniu, wskazywało, że może właśnie w ten sposób – przez odejście od tradycyjnego „czuwaj”, od „druhowania” przejawia się chęć patrzenia w przy-szłość, że to oznaka nowoczesności. Przyznam, że to mnie zdumiewa, zwłaszcza że sam jestem zwolennikiem nie tyle nowoczesności w harcerstwie, co patrzenia w przyszłość i właściwego podejścia do harcerskiej tradycji. Właściwego, to znaczy podejścia pełnego szacunku do tradycji, budującego harcerską wspólnotę i zgodnego z tym, co było zawsze istotą harcerstwa – czyli aktualności działań.

Zatem, jeśli chcemy rezygnować z tradycji, to rezygnujemy przede wszystkim z tego, co jest wbrew aktualności, co czyni z nas oryginalny skansen (np. nie-które elementy mundurowe, elementy programu aktualne na początku ubiegłego wieku), a zachowajmy to, co jest absolutnie nieszkodliwe (i śmiało może iść w parze z nowoczesnością na poziomie programowym), pozytywnie tkwiące w świadomości społecznej i co skutecznie buduje naszą harcerską wspólnotę.

* * *

Pozostawiam cię, Druhu, Druhu z tymi myślami. Zastanów się, co ty możesz zrobić, aby wśród harcerskiej braci znów brzmiało jak najczęściej „czuwaj”. Czy to jest wykonalne zadanie? Oczywiście, a jego powodzenie zależy tylko od nas – szczególnie drużynowych, namiestników, kształceniowców czy członków komisji stopni instruktorskich.

Czuwajcie Czytelniczy – moje Druhny i moi Druhowie!

Całkiem zaufali?

Wszystko zaczęło się od tego, że pewien podharc mistrz nie dołączył do swej dokumentacji próby harc mistrzowskiej opinii hufcowego. A to błąd: wszak harc mistrza zamyka się tylko raz w życiu! Cudem jakimś zreflektował się jednak ostatniego dnia i uzyskał opinię – nowoczesną, elegancką, prosto z e-maila.

Po zreferowaniu przebiegu próby (szczegóły zostawmy, bo to doskonała historia na temat z okładki pt. „Patologie w naszych KSI”) okazało się, że z harc mistrza nici, bo... na opinii hufcowego brak podpisu!

To kłopot! A może Wysoka Komisja uwierzy na słowo? Może zaufa instruktorowi? O nie! Wtem ktoś przypomniał sobie: przecież dwa piętra niżej odbywa się zbiórka hufcowych, wystarczy przyprowadzić komendanta, który potwierdzi autentyczność opinii!

Komisja na szczęście wyraziła zgodę. Więc kursik na dół po komendanta – tu okazuje się, że teraz nie może on wyjść z odprawy. Szybki powrót na górę z informacją, co i jak. Cóż więc zrobić: a może zanieść próbę na dół w celu podpisania jej przez komendanta?

I tu następuje gwóźdź programu: Wysoka Komisja nie zezwala zanieść opinii do podpisu, bo przecież zainteresowany mógłby podpisać podrobic (sic!), wysłała więc umyślnego druha z KSI, który idzie krok w krok za zainteresowanym, niosąc samemu opinię i oczywiście nie pozwala mu wręczyć jej hufcowemu do podpisu, lecz sam dopilnowuje podpisania (bo przecież można byłoby dokument podmienić!).

Historia ta kończy się niby dobrze – przybył nam nowy harc mistrz. Ale gdy słuchałem jej po raz pierwszy, ogarnęła mnie wściekłość, że w Związku, w którym coraz trudniej o nową kadrę, w którym coraz mniej młodych, zapalonych, świadomych harc mistrzów, w tak podły sposób traktuje się młodego instruktora, który dał i chce jeszcze więcej dawać harcerstwu.

Krótko mówiąc: toż to patologia!!! Należy czym prędzej zmienić tę (chyba zbyt) Wysoką Komisję!

Po co nam to?

Co konkretnie? Ano zaliczanie służby instruktorskiej...

Przyznam, że obserwując zaliczanie służby za ubiegły rok w kilku hufcach, upewniłem się, że jest to bez sensu. Argumenty za zaliczaniem służby pozostawię zwolennikom tego rozwiązania, a tu skupię się tylko na argumentach przeciwnych.

Po pierwsze: mamy dużą uznaniowość kryteriów. Gołym okiem widać, że w różnych hufcach w bardzo różny sposób podchodzi się do zaliczania służby, stawiając różne wymagania.

Są hufce, gdzie pilnuje się opłaconych składek, gdzie trzeba było się wykazać działaniem podczas akcji letniej lub zimowej, a przede wszystkim trzeba pełnić konkretne funkcje. Co więcej każdy przypadek indywidualnie rozpatruje komendant hufca, posiłkując się opiniami na temat osiągnięć instruktora w minionym roku.

Ale są także hufce, które (przeczytawszy w „Regulaminie służby instruktorskiej”, że służbę zalicza się nie tylko instruktorowi, który pełni funkcję instruktorską, ale także takiemu, który „aktywnie pracuje na rzecz Związku”) zaliczają służbę wszystkim, jak leci, nawet takim instruktorom, których „aktywna praca” sprowadza się do przyjsicia na wigilię instruktorską szczepu czy kręgu. Czy to ma więc sens?

Po drugie: jest to oręż w walce z niepokornymi. Niestety, znam wiele przypadków, kiedy komendant hufca nie zaliczał służby „niepokornym” instruktorom. Dlaczego? „Bo nie i już!”. Niejednokrotnie tacy „niepokorni” nie chcą walki, nie chcą zadzierać z hufcowym, pasują. A to błąd. Bowiernie nie wiedzą, że zgodnie ze Statutem ZHP „Skreślenie z listy członków może nastąpić (...) w stosunku do instruktorów również w wypadku braku zaliczenia służby instruktorskiej przez kolejne 2 lata”. I jest duże oburzenie, że z dziesięciu instruktorów hufca, którzy nie mają zaliczonej służby instruktorskiej za poprzednie dwa lata, hufcowy skreśla z listy tylko dwóch – tych „niepokornych”. Czy to złamanie prawa? Otóż

wcale nie, ponieważ hufcowy nie musi, ale tylko MOŻE skreślić instruktorów. A że wybrał z dziesięciu tylko tych dwóch? Cóż, widać miał powody...

Po trzecie: to nic nie daje. Bo jeśli jakiś instruktor przyjdzie do mnie, abym mu wypisał zaświadczenie o służbie instruktorskiej np. na potrzeby pracy czy studiów, wówczas na pewno nie będę sprawdzał, za ile lat ma zaliczoną służbę. W funkcję motywacyjną zaliczenia jakoś nie wierzę, choćby ze względu na kwestie opisane wcześniej.

Po czwarte i ostatnie: te przepisy prowadzą do absurdów. Oto dwa przykłady...

Od września br. powraca do czynnej służby po roku przerwy pewna instruktorka, zostaje drużynową. Czy będzie więc uczestniczyła z czynnym prawem wyborczym w zjeździe sprawozdawczym w listopadzie tego roku? Niestety nie! Jest wprawdzie drużynową, ale nie ma zaliczonej służby za poprzedni rok. Absurd, prawda?

Ta sama drużynowa w maju następnego roku będzie chciała otworzyć próbę przewodnikowską swojej przyboocznej i będzie chciała być opiekunką tej próby. Ale nic z tego, nie ma przecież zaliczonej służby. Zatem albo trzeba znaleźć innego opiekuna, albo poczekać do jesieni, kiedy już będzie miała służbę zaliczoną.

Chyba wystarczy. O zaoszczędzeniu miejsca w Statucie i jednej instrukcji (zaliczania służby) mniej już nawet nie ma co pisać...

Całkiem po bratersku

Wśród wielu informacji, jakie w pierwszych tygodniach kwietnia pojawiły się w mediach w związku ze śmiercią naszego Papieża, znalazłem jedną zupełnie niepasującą do tej wyjątkowej, refleksyjnej atmosfery panującej w Polsce. Otóż dyrektor pewnego zakładu pracy (nieważne przy tym są nazwa i miejscowość) zaapelował do swoich pracowników, aby zrzekli się premii i „trzynastek”. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że apel ten został uzasadniony... nauką Jana Pawła II! Przeróżające, prawda?

Przypomniałem sobie to zdarzenie, kiedy jakiś czas potem zobaczyłem dyskusje w harcerskim internecie oraz krążące apele o to, aby działające w Polsce organizacje harcerskie połączyły się w jedną. Apele miały oczywiście solidne uzasadnienie: przecież „tego chciał od nas Ojciec Święty Jan Paweł II”.

Przyznam, że nie wiem, w jakiej homilii albo w jakim liście (nie mówiąc już o dokumentach rangi encykliki) pisał o jednej organizacji harcerskiej Ojciec Święty... A właściwie wiem, jestem pewien, że oczywiście nigdzie o tym nie było mowy!

Czuję się dziwnie, czuję, że nadużyto pamięci i nauki Jana Pawła II dla promowania idei, która chyba nie jest już możliwa do przeprowadzenia. Musimy bowiem mieć świadomość, że drogi dwóch największych organizacji (ZHP i ZHR) pod względem ideowym czy metodycznym rozchodzą się coraz bardziej, zwłaszcza po ostatnich zmianach metodycznych w ZHP oraz doprecyzowaniu kierunku ideowego przez ZHR.

* * *

To ciekawe, jak często dostrzegamy tylko skrajności w relacjach między organizacjami harcerskimi – albo źle rozumiana, kompletnie nieharcerska konkurencja, albo jedność przez stworzenie jednej organizacji. A przecież świat nie jest czarno-biały, nie jesteśmy skazani tylko na takie dwie skrajności. Jest prze-

cież codzienna, doskonała współpraca, wspólne spotkania, kominki, rajdy, jest poznawanie się, a nawet dostrzeganie różnic i czerpanie z nich inspiracji dla własnego rozwoju.

Jest wreszcie przyjaźń, serdeczność, życzliwość, a przede wszystkim szacunek dla innych ludzi... Współpracując między organizacjami w duchu tych wartości, możemy śmiało powoływać się na nauczanie Jana Pawła II. I dopiero wtedy możemy w pełni poczuć, że jesteśmy wierni Jego słowom – zjednoczeni nie w jednej organizacji, ale wokół jednej, pięknej idei Harcerstwa.

Całkiem motywacyjnie

Nie ma chyba spotkania instruktorskiego, warsztatów dla kadry, nie mówiąc o dłuższych formach, takich jak wszelkiego rodzaju kursy instruktorskie, na których wcześniej czy później nie pojawiłby się temat motywowania instruktorów czy – szerzej rzecz ujmując – systemu motywowania kadry...

Sz szczególnie interesujące jest, jakie znaczenie w procesie motywowania kadry ma najwyższe wyróżnienie Związku, jakim jest Krzyż „Za Zasługi dla ZHP”.

Z moich rozmów z wieloma instruktorami wynika, że odznaczenie to jest widziane nie jako instrument motywujący, przyznawany u szczytu aktywności instruktora–wychowawcy, ale raczej oznaczenie faktycznie „za zasługi”, a więc przyznawane wtedy, kiedy już tę najwyższą aktywność instruktorską ma się za sobą, zasłużyło się mocno pracą w rozmaitych strukturach organizacji itd. W powszechnym odbiorze na tak wysokie wyróżnienie nie ma szansy drużynowy czy szczerpowy, który jeszcze nie ukończył trzydziestki...

Czy to dobrze? Odpowiedź na to pytanie zależy od tego, czy ma to być odznaczenie tylko za zasługi, czy również sposób na motywowanie kadry. Jeśli to drugie, to oczywiście należałoby pomyśleć o zmianach. Przede wszystkim w praktyce wnioskowania przez harcerskie komendy o to odznaczenie.

Po drugie: warto pomyśleć także o zmianach w przepisach – o ile oczywiście chcemy motywować tym wyróżnieniem do pracy młodszych instruktorów.

Rozwiązania widzę tu dwa: albo należy wprowadzić możliwość, aby Srebrny Krzyż otrzymywali podharcemistrzowie (teraz warunkiem *sine qua non* jest bycie harcymistrzem), albo należy wprowadzić dodatkowy stopień odznaczenia: Brązowy Krzyż „Za Zasługi dla ZHP”.

Ot, to tylko kilka luźnych myśli na trzy miesiące przed kolejnym zjazdem Związku...

OD AUTORA:

Półtora roku później (w lutym 2007 r.) Rada Naczelna wprowadziła Brązowy Krzyż „Za Zasługi dla ZHP”, który mogą otrzymać już podharcemistrzowie.

Całkiem biernie

Właśnie w Internecie (na stronie zjazdowej: zjazd.zhp.pl) pojawił się najnowszy projekt poprawek do Statutu. Jest to zapewne wersja, która nie będzie podlegać przed zjazdem większym zmianom. Dlatego uważnie ją przeczytałem i zaintrygowało mnie, skąd się wzięły niektóre pomysły. Tym bardziej, że ze zmianami statutowymi jest tak, iż z pozoru drobna zmiana może znacząco wpłynąć na organizację. Jeśli dobrze wpłynie – to doskonale. Gorzej, jeśli oprócz pozytywów, mamy także nieciekawe efekty uboczne...

Oto świeżutki przykład: projekt zmian w Statucie zawiera propozycje istotnego ograniczenia biernego prawa wyborczego (dla przypomnienia: prawa do bycia wybieranym do różnych władz). W dużym skrócie można stwierdzić, że nie będzie można łączyć funkcji członka władz hufca z żadną inną funkcją we władzach ZHP pochodzącą z wyboru za wyjątkiem członkostwa w radzie chorągwi czy Radzie Naczelnej.

Brzmi to niezłe i domyślam się nawet intencji twórcy tego przepisu: chodzi pewnie o to, że może mieć miejsce dwuznaczne mieszanie ról (np. raz ktoś kontroluje, raz on jest kontrolowany) i że pionowy wykonawczy, sądowniczy i kontrolny nie powinny się przeplatać. Ale spójrzmy na wspomniane wyżej efekty uboczne tego uregulowania...

Jeśli założymy (a nie będzie to chyba błędem), że na poziomie hufców mamy tych najaktywniejszych instruktorów, tych, którzy są najbliższe „dołów”, a jednocześnie jeśli przyjmiemy, że członków władz jest w każdym hufcu średnio 12–15 (5–6 osób w komendzie, tyle samo w komisji rewizyjnej i gdzieś jeszcze w sądzie), to okaże się, że proponowany przepis Statutu zamyka drogę do komendy chorągwi, sądu harcerskiego chorągwi, CKR czy NSH grupie około 5000–6000 najaktywniejszych instruktorów!!! Oznacza to, że albo będą oni stawiani przed trudnymi wyborami funkcji, albo trzeba będzie sięgać do instruktorów tych dalej od „dołów” lub „aktywnych inaczej”.

Ale czy naprawdę chcemy, aby bierne prawo wyborcze kojarzyło się instruktorom z... biernością?

Całkiem marzycielsko

Kiedy piszę te słowa, do XXXIII Zjazdu ZHP pozostał zaledwie tydzień. Za 10 dni będziemy mieli pewnie nową „Strategię rozwoju”, „Podstawy wychowawcze” i (oby!) lepszy Statut. Będziemy także mieli nowe władze naczelne Związku.

Poznaliśmy już wielu kandydatów do tych władz. I kiedy tak sobie siedzę i czytam o ich dokonaniach, doświadczeniach, to nachodzą mnie może dziwne, może nieco naiwne marzenia. Marzenia, które jednak dotyczą nie tego, ale następnego zjazdu.

A mianowicie marzy mi się, aby na XXXIV Zjeździe ZHP każdy kandydat do Głównej Kwatery czy Rady Naczelnej był osobowością w skali całej organizacji. Cóż to dla mnie znaczy? Mówiąc najkrócej, że nie będą potrzebne długie życiorysy, że nie będzie się trzeba dopytywać, kto to jest, jakie pełnił funkcje, co osiągnął. Nie będzie takiej potrzeby, bo będą to po prostu osoby doskonale znane.

I tak: marzy mi się „pierwszy programowiec Związku”, którego poznam dzięki artykułom metodycznym i programowym (najlepiej w „Czuwaj” – oczywiście!), dzięki referatom na konferencjach nt. wychowania, dzięki kierowaniu ogólnopolskimi projektami programowymi. Chciałbym kształceniowców, którzy wiedzą, na czym polega praca z kadrą na poziomie centralnym, czego dowodem będzie posiadana Złota Odznaka Kadry Kształcącej. Chcę mieć „naczelnych sędziów harcerskich”, którzy znani są z wysokich standardów etycznych. Myślę także o specach od zarządzania i finansów, za którymi stoją obiektywne, rzecz jasna pozytywne, wyniki pracy na poziomie wyższym niż szczepeł.

Krótko mówiąc, marzę o ludziach, którzy wiedzą, co w Związku piszczy, którzy przez całe cztery lata byli aktywni, swą pracą przygotowywali się do funkcji we władzach naczelnych, którzy odnieśli sukcesy – marzę o prawdziwych harcerskich gwiazdach!

Pewnie to naiwne marzenia, ale z drugiej strony są aż cztery lata, aby się ziściły. Może się uda? Bo przecież lepsze gwiazdy na firmamencie Związku, niż gwiazdki... urwane z choinki.

Całkiem prawdziwie

Niejeden raz zajmowałem się w swoim życiu consultingiem w zakresie rekrutacji pracowników, wiele przejrzałem w swoim życiu życiorysów (o, przepaszam – cv!). Więc powinienem być przyzwyczajony do tego, że w owych cv pisze się zwykle różne, średnioprawdziwe rzeczy, nieco ubarwia się rzeczywistość, pisze się o stanowiskach czy dokonaniach, które dobrze wyglądają tylko na papierze, w rzeczywistości zaś lepiej nie mówić. I tak dalej. Niby powinienem być przyzwyczajony, a jednak...

Widziałem także w ostatnich latach wiele harcerskich życiorysów, prezentowanych przy różnych okazjach przez instruktorów. Teraz, kiedy miałem okazję zapoznać się z życiorysami kandydatów do najwyższych funkcji w naszym Związku, powróciły podobne refleksje.

Zastanawiam się na przykład, czy można w harcerskim cv mówić, że szeftowało się jakimś przedsięwzięciem, skoro owszem, było się mianowanym na funkcję, ale jeszcze nic się nie zrobiło?

A czy wypada pisać, że się pełniło jakąś funkcję, jeśli odchodziło się w niesławie, bo dało się plamę? No niby formalnie wszystko w porządku – ktoś pełnił funkcję, ale etycznie – chyba nie tak.

A czy można napisać w harcerskim cv, że się za coś odpowiadało, jeśli ta odpowiedzialność została na papierze, a nigdy nie znalazła odzwierciedlenia w rzeczywistości?

Przykłady można mnożyć... A może dobrze byłoby, aby nasze harcerskie życiorysy zawierały tylko te doświadczenia i fakty, w przypadku których możemy odpowiedzialnie, uczciwie napisać: nie „do moich obowiązków należało” – lecz „wzorowo zajmowałem się...”, nie „pełniłem funkcję drużynowego” – lecz „byłem dobrym drużynowym”?

Ksiądz Tishner powiadał, że są trzy rodzaje prawdy: „prowda, tyz prowda i gówno prowda”. Chciałbym, aby w harcerskich cv było jak najmniej tej trzeciej...

Całkiem czasowo

Przy okazji pewnej dyskusji internetowej, jaka miała miejsce na początku stycznia, pojawił się temat, który co jakiś czas wraca jak bumerang – z różną siłą, w rozmaitych gronach instruktorskich, przy różnych okazjach. Rzecz dotyczy harcerskiej, a ściślej instruktorskiej przeszłości osób, które np. pojawiają się w mediach (najczęściej w niezbyt dobrym kontekście) albo w inny sposób nadepną nam na odcisk. Dla jasności kilka przykładów...

Wypowiada się w mediach pewien niezbyt lubiany polityk, twierdzi, że jest harcmistrzem. I już oburzenie: jaki z niego harcmistrz? harcmistrzem to on był, ale 20 lat temu!

Ukazuje się w prasie informacja, że podejrzany o coś (mniejsza o to) jest instruktor harcerski. Oczywiście wywołuje to oburzenie: jaki z niego instruktor? Przecież on nie działa w ZHP już od 10 lat!

Na radzie miasta wstaje starsza pani i przyłączając się do dyskusji stwierdza, że kiedyś to było harcerstwo, że ona jest też instruktorką – harcmistrzynią, że za jej czasów to hufiec miał 10 tysięcy harcerzy itp. itd. (oczywiście wszyscy ją odtąd mają za autorytet w dziedzinie harcerstwa). Znow oburzenie: przecież ona nie ma pojęcia, co się dzieje w tym hufcu od 15 lat!

Ale, ale... Z drugiej strony dobrze wiem, jaka jest reakcja, gdy ktoś nieśmiało, nawet żartobliwie zaproponuje, aby uprawnienia instruktorskie były czasowe. Zwykle wtedy słyszymy: przecież instruktorem jest się przez całe życie! albo: nigdy nie przestaje się być harcmistrzem!

Słowem: myślę, że idea czasowości uprawnień instruktorskich jest nie do zrealizowania. Zresztą mamy w tym względzie praktyczne doświadczenia – bo wiem widać, jak ciężko postępuje pierwsza weryfikacja odznak kadry kształcącej. Ba, lobbing idzie tak daleko, że nieudacznicy, którzy nie są w stanie spełnić wymagań, próbują zlikwidować czasowość tych odznak! Mam cichą nadzieję, że im się nie uda.

Całkiem odważnie i lojalnie

Kiedy słucham wieści, jakie docierają ostatnio do moich redaktorskich uszu, albo czytam te, które docierają na moje konto e-mailowe, nie mogę oprzeć się smutnemu wrażeniu, że ostatnio mamy w Związku złą passę. A to posądzenia o pedofilię (często sprzed wielu lat), a to jakieś podejrzenia o libacje, a to problemy z „instruktorami” (celowo piszę w cudzysłowie!), którzy kopcą papierosy jak lokomotywa itp. itd.

Oczywiście jestem święcie przekonany, że to nasz związkowy margines, że to incydenty, wyjątki od reguły, jaką jest ofiarna służba instruktorska, ideowa postawa kadry... Warto jednak zajmować się takimi przypadkami i to z wielu powodów – od czysto wizerunkowych, przez problemy związane ze skutecznością procesów kadrotwórczych w organizacji czy kwestie skuteczności w zarządzaniu i nadzorowaniu działalności, a skończywszy na dylematach związanych z realnym funkcjonowaniem w naszym ruchu obowiązującego systemu wartości.

Przekonany do powyższych argumentów, przyglądam się tym niechlubnym przypadkom i dostrzegam pewną prawidłowość. Otóż tym, co je łączy, jest powszechna niechęć czy nieumiejętność wyjaśnienia takich trudnych spraw. Najczęściej wygrywa strategia ślepego – nic nie widzę, o niczym nie wiem. Często także wybierana jest metoda „na przeczekanie”. Czasem także słyszę o lojalności wobec „tego zasłużonego instruktora”...

A nam potrzebne jest przecież wyjątkowe wyczulenie na wszelkie „trudne” sytuacje. Potrzeba nam odwagi, aby nie chować głowy w piasek. Potrzeba lojalności – ale nie wobec „zasłużonego instruktora”, lecz przede wszystkim wobec organizacji, jej wartości i zasad. No i oczywiście potrzeba nam determinacji.

Tej odwagi, zdrowej lojalności i determinacji życzę nam wszystkim. Dla naszego wspólnego dobra...

Podstawy wychowawcze

*Związek Harcerstwa Polskiego jest ogólnopolskim,
patriotycznym stowarzyszeniem...*

Po publikacji w lutowym „Czuwaj” materiału nt. ostentacyjnego nieprzestrzegania przez komendanta pewnego hufca 10. punktu Prawa Harcerskiego, kilka osób w rozmowie ze mną formułowało taki oto komentarz: „to bardzo częste zjawisko, że Prawo Harcerskie nie jest traktowane poważnie – jako zbiór wartości i wyznacznik postaw właściwych dla członków Związku Harcerstwa Polskiego”. Niestety, muszę się z tym zgodzić...

Pamiętam taką scenę podczas jednego ze spotkań mojej hufcowej komisji stopni instruktorskich, gdy młody kandydat do otwarcia próby przewodnikowskiej na pytanie o lilijkę noszoną na prawej kieszeni munduru odparł, że to tradycja jego środowiska. Kiedy dopytałem, jak długa jest ta tradycja i jaka jest jej geneza, odpowiedział, że genezy nie zna, sama tradycja zaś ma... jakiegoś pół roku (sic!). Ale to tylko przykład, bo znam przypadki noszenia podkładek pod lilijką na rogatywce (bo taka tradycja), noszenia dziwnych sznurów (bo to obrzędowe), nienoszenia plaketek WOSM i WAGGGS (bo tak postanowiliśmy) itd. O różnych rodzajach bluz mundurowych nie wspomnę...

Spotkałem jakiś czas temu środowisko, w którym z zasady zdobywa się inne stopnie harcerskie niż te oficjalnie obowiązujące w Związku. Kiedy w 1993 r. zmieniono system stopni na pięciostopniowy – oni mieli o jeden więcej. Kiedy dziesięć lat później dodaliśmy w Związku jeden stopień – oni dojrżeli do systemu pięciostopniowego...

Demokracja jest, prawda? Dlatego właśnie w pewnej drużynie wybrano sobie kadre. I nikt, w szczególności wybrany drużynowy, nie chce słyszeć o mianowaniu komendanta hufca, o próbie przewodnikowskiej. A kurs drużynowych i przygotowanie do funkcji? To tylko „biurokratyczne ograniczenia”...

Spójrzmy na zestawienia pokazujące, jak płacone są składki członkowskie. Są środowiska, które zawsze mają 100% opłaconych, ale są też takie (wcale nie te najbiedniejsze), które z zasady nie płacą. Dlaczego? Ponieważ „nie będziemy

placić na strukturę”, „to wymyśl tych na górze”, „nic mi ta organizacja nie daje”. Czyżby? – chciałoby się zapytać...

Wszystkie opisane wyżej sytuacje łączy bardzo podobne myślenie: że harcerstwo to „dobro ogólnonarodowe”, że nie mogą tu istnieć jakieś przepisy, zasady, które ograniczałyby swobodę działania (w tym programy, formy itd.) pojedynczego drużynowego. To drużynowy jest panem u siebie w drużynie, więc nikt i nic nie może mu nakazywać czegegokolwiek.

Zgoda, także uważam, że właściwy jest prymat ruchu, a właściwie Ruchu, nad organizacją, że ważniejsze są idee niż regulaminy, jest jednak pewne „ale”. Otóż istnieje określone minimum przepisów, dzięki którym możemy o sobie powiedzieć, że jesteśmy członkami jednego stowarzyszenia, że mamy gwarancję (albo duże prawdopodobieństwo), iż działania nasze będą na właściwym poziomie, będą – mówiąc krótko – harcerskie.

Kluczem jest tutaj słowo, które padło już przed chwilą – otóż jesteśmy stowarzyszeniem. Co ciekawe, niewiele osób, będąc członkiem innych, mniejszych stowarzyszeń, neguje ich zasady, nikt się nie dziwi, że musi ukończyć jakiś kurs, uzyskać jakieś uprawnienia itd. A u nas od razu jest to odbierane jako zamach na wolność, ograniczenia biurokratyczne itp. itd. Czemu? Przecież my także jesteśmy stowarzyszeniem!

Stowarzyszenie jest dobrowolnym, samorządnym, trwałym zrzeszeniem o celach niezarobkowych.

Stowarzyszenie samodzielnie określa swoje cele, programy działania i struktury organizacyjne oraz uchwała akty wewnętrzne dotyczące jego działalności.

Jak widać z powyższych zapisów Ustawy o stowarzyszeniach, pierwszym, chyba najważniejszym określeniem charakteru stowarzyszenia jest dobrowolność. Widzimy też, że każde stowarzyszenie ma swobodę w określaniu swoich zasad, celów, programów. To daje do myślenia...

Jeśli chcemy być członkami ZHP, to dobrowolnie godzimy się na przestrzeganie Prawa Harcerskiego.

Jeśli chcemy być członkami ZHP, to dobrowolnie wyrażamy wolę noszenia munduru – takiego, jaki nosi się w organizacji.

Jeśli chcemy być członkami ZHP, to dobrowolnie wybieramy drogę naszego rozwoju przez system stopni harcerskich oraz innych instrumentów metodycznych.

Jeśli chcemy być członkami, ba, nawet kadrami ZHP, to dobrowolnie przyjmujemy zasady, zgodnie z którymi tą kadrami stać się możemy.

Wreszcie jeśli chcemy być członkami ZHP, to dobrowolnie godzimy się łączyć na utrzymanie ZHP – naszej organizacji.

Innej możliwości nie ma.

Całkiem mocna przestroga

W połowie kwietnia wielu komendantów naszego Związku (także piszącego te słowa) zmroziła informacja o komorniku, który zajął konta ZHP. Jednak nie chcę tu rozpisywać się na temat pieniędzy, rozliczeń itp. itd. – masochistą nie jestem. Lepiej będzie przyjrzeć się przyczynie całego zamieszania, na co wiele osób, zwłaszcza wygłaszających tu i ówdzie „krwiożercze” komentarze, pewnie nie zwróciło uwagi.

Otóż postępowanie komornicze jest ostatnim etapem ciągu zdarzeń, który rozpoczął się od nieszczęśliwego wypadku, jakiemu podczas zbiórki harcerskiej uległ kilka lat temu jeden z harcerzy Chorągwi Dolnośląskiej (po upadku z drzewa na głowę). Krzywda dziecka jest bezsporna, więc nie będę absolutnie podważał wyroku sądowego w tej sprawie, jednak muszę zatrzymać się przez chwilę przy jego uzasadnieniu, gdyż padło w nim wiele ważnych słów, a cały wyrok należy bez wątpienia traktować jako solidną przestrogę.

Co stwierdził sąd? Przede wszystkim sąd uznał winę ZHP, gdyż „nie było bezpośredniego zakazu wchodzenia na drzewa”. A ponadto opiekunowie „nie mieli nawet kontaktu wzrokowego z dziećmi, którymi mieli się opiekować”. Ale to mało. Jeśli bowiem harcerscy opiekunowie nawet mieliby stały kontakt wzrokowy z podopiecznymi, jeśli nawet zabroniliby wchodzić na drzewo (jednocześnie zapewne należałoby zabronić kąpeli, wchodzenia na wysokie mury i tysiąca innych niebezpiecznych czynności), to sąd „dobija” nas kolejnym stwierdzeniem: „tego typu zachowanie, nieposłuszeństwo nieodłącznie wiąże się z młodym wiekiem i dlatego, sprawując pieczę nad dziećmi, należy kierować się ograniczonym zaufaniem wobec nich”.

Kiedy to pierwszy raz przeczytałem, pomyślałem: to koniec harcerstwa!

Oczywiście jest, że nie zrezygnujemy z samodzielnych zwiadów zastępów, z biegów harcerskich, gier terenowych i innych typowo harcerskich form opierających się na samodzielności zastępów bądź pojedynczych harcerzy. Jednak warto przy tym pamiętać o naszej odpowiedzialności za bezpieczeństwo. I to potrójnej: oczywiście przede wszystkim za bezpieczeństwo naszych wychowanków, ale także za bezpieczeństwo nas samych oraz – co widać po ostatnich efektach działania komornika – za bezpieczeństwo całej organizacji.

Higienicznie, przepisowo

Pamiętam ze swoich szczenięcych harcerskich lat, że jedną z największych plag, jaka mogła spotkać obóz, był kontrola wszechwładnego sanepidu. Samo słowo „sanepid” w ustach kadry było synonimem największego zagrożenia, jakie potencjalnie na nas czyhało.

Minęło sporo lat, żyjemy w innej rzeczywistości, a nasze obozy są coraz bardziej profesjonalne. Zatem należy przypuszczać, że wiele się zmieniło i reakcje na słowo „sanepid” powinny być już inne. Czyżby?

Przypadki z tegorocznej Harcerskiej Akcji Letniej pokazują, że kontrola pań (bo zwykle są to właśnie panie) z lokalnej stacji sanitarno-epidemiologicznej może być zarówno czystą przyjemnością, jak i wydarzeniem niemal traumatycznym. A różnorodność wymagań stawianych obozom jest tak wielka, że można byłoby nimi zapełnić pewnie cały numer „Czuwaj”! Oto kilka przykładów z ostatnich dwóch miesięcy...

Kontrolka mopowania

Kuchnia. To tu przyrządza się posiłki, to tu jest potencjalnie największe prawdopodobieństwo wystąpienia uchybień, które w konsekwencji mogą prowadzić nawet do masowego zatrucia. Trudno się więc dziwić, że na tej części obozu skupia się największa uwaga sanepidu.

Czy wymagania różnych lokalnych sanepidów są tu jednakowe? Czy możemy być spokojni, jeśli przestrzegamy dwóch podstawowych dokumentów sanitarnych w ZHP (chodzi o „Instrukcję sanitarną dotyczącą organizowania stacjonarnych obozów pod namiotami, lokalizowanych poza wyznaczonymi na stałe miejscami obozowisk posiadających odpowiednią infrastrukturę” oraz o „Zasady dobrej praktyki higienicznej w żywieniu zbiorowym na obozowiskach”)? Nie.

Jedne kontrole zwracają baczniejszą uwagę na estetykę zadania kuchni lub miejsca wydawania posiłków, albo osłonięcie kuchni od wiatru. Inne zaś mają szczególne wymagania dotyczące głównego kuchennego stołu – raz może być przykryty wyłącznie ceratą, raz musi być aluminiowy, innym razem... nie ma to absolutnie żadnego znaczenia.

Podobnie jest z podłogą w kuchni. Są sanepidy, dla których nie jest to istotne i akceptują zwykłą ściółkę leśną. Inne chcą, aby kuchnia stała na piasku, inne zaś życzą sobie, aby rozłożyć na ziemi siatkę (swoją drogą ciekawe, co ona daje, skoro kurzy się przecież tak samo, a ewentualne resztki jedzenia nawet trudniej zebrać niż z gołej ziemi?). Ale spotkałem się także z przypadkiem, gdy sanepid żądał podłogi, którą da się umyć mopem. A najlepiej jeszcze, aby była prowadzona pisemnie kontrolka czyszczenia podłogi w kuchni!

Syndrom deski

Szczytem różnorodności, jeśli chodzi o urządzenie bloku kuchennego na obozie, jest z pewnością problem desek do krojenia.

I nie chodzi wcale o to, że w jednych miejscach muszą to być wyłącznie deski plastikowe, a gdzie indziej drewniane. Rzecz w ich przeznaczeniu i liczbie. Czasem wystarczy, gdy będzie tylko kilka rodzajów desek, np. na warzywa, mięso surowe, wędliny itd. (zgodnie z naszą „Instrukcją sanitarną”). Ale okazuje się, że liczba niezbędnych (czytaj: wymaganych przepisami) desek potrafi być różna. Rekord, o którym usłyszałem, to... 11 desek!!!

Co ciekawe, kiedy pewna komendantka kolonii zuchowej zapytała skądinąd bardzo sympatyczną panią z sanepidu, czy w domu także ma kilka rodzajów desek, ta bez mrugnięcia okiem potwierdziła, że tak właśnie jest.

I jeszcze jedno bardzo ważne wymaganie: jeśli mamy kilka desek, to jasne jest, że powinny one być w sposób jednoznaczny, wyraźny oznaczone, np. symbolami lub kolorami. A jeśli są takie oznaczenia, to musi być przygotowana na piśmie legenda – instrukcja, który kolor oznacza jaką deskę. Instrukcja zaś musi być dostępna w kuchni, w miejscu dla wszystkich dobrze widocznym.

Duże znaczenie wszelkie kontrole przykładają – co jest oczywiste – do warunków przechowywania żywności. Jednak także tutaj mamy do czynienia z ogromną różnorodnością wymagań.

Mamy więc sanepidy, które nie interesują się tym właściwie wcale, ale także takie, które sprawdzają z termometrem w rękę temperaturę miejsc, w których

przechowuje się żywność, oraz żądają, aby prowadzić kontrolkę mierzenia temperatury w lodówce. Właściwie to już standard.

Jednak nic nie przebiję pani z sanepidu w miejscowości P., która nakazała prowadzenie dokumentacji przyjmowania artykułów spożywczych od zaopatrzenia do kuchni. Dokumentacji, która będzie zawierała informacje m.in. o stanie żywności, stanie opakowania, a także... stanie higienicznym zaopatrzeniowca. Komendant tego obozu zapytał mnie, jak ma to sprawdzić?...

Część mieszkalna

Mniejsza różnorodność wymagań, w porównaniu z blokiem kuchennym, dotyczy innych części obozów i kolonii.

Mamy na przykład do czynienia z różnymi oczekiwaniami względem namiotów dla zuchów (z podpinką lub bez, podłogi z gumy albo dodatkowo rozłożone na podestach drewnianych, ale także w ogóle niekonieczne).

Czasem pani kontrolująca namioty skoncentruje się wyłącznie na haczykach na ręczniki (powinny być w takiej odległości, aby ręczniki dzieci nie stykały się ze sobą). Czasem warunki mieszkalne przyjmie bez żadnych uwag, ale za to zażąda specjalnych środków zabezpieczenia dzieci przed owadami.

Za potrzebą

Bez wątplenia najwięcej zaskoczeń dla komendantów i kwatermistrzów obozów związanych jest z latrynami. Wynika to z bardzo dużej liczby rozmaitych rozwiązań, jakie w zakresie załatwiania potrzeb fizjologicznych preferują różne lokalne sanepidy. Rozwiązań jakże odbiegających od tego, co nakazuje nasza „Instrukcja sanitarna”.

Kontrolujący o nastawieniu liberalnym traktują latrynę jako coś normalnego na obozie harcerskim i nie zgłaszają właściwie żadnych uwag.

Ci mniej liberalni uznają za standard przymocowanie w latrynach deski sedesowej oraz zapewnienie możliwości oczyszczenia rąk po skorzystaniu z latryny (np. specjalnymi chusteczkami do rąk albo wodą z baniaka).

No i to tyle, jeśli chodzi o rozwiązania klasyczne, tradycyjne dla obozów (a jednocześnie w pełni zgodne z naszą „Instrukcją sanitarną”). Teraz rozpoczynają się rozmaite wariacje...

Czasami sanepid akceptuje latrynę, jednak ma dodatkowe żądania, np. wyłożenie latryny folią, specjalny sposób dezynfekcji (wariant: oczywiście z prowadzoną kontrolką) czy podpisanie umowy na wywóz nieczystości (i przedłożenie jej do wglądu w określonym terminie).

Zdarza się także, że sanepid preferuje robienie latryn nie nad kopanymi w ziemi dołami, ale nad beczkami, które są raz na jakiś czas opróżniane.

Ale coraz częściej na obozach harcerskich można zobaczyć toalety typu TOI-TOI. I znów od oczekiwań lokalnego sanepidu zależy, czy i ile „toitojek” będziemy musieli mieć na obozie.

Być może skończy się na jednej, gdzieś obok bloku kuchennego, może na dwóch-trzech („aby dzieci, którym nie pasują warunki w latrynie, mogły w cywilizowany sposób załatwić swoje potrzeby”). Niestety, może się także okazać, że będzie to jedyne akceptowalne przez sanepid rozwiązanie i wtedy (w zależności od wielkości obozu) będziemy musieli mieć kilka czy nawet kilkanaście „toitojek”.

O ile wcześniejsze przykłady różnorodności wymagań sanepidu są wprawdzie utrudnieniem, ale nie mają większych konsekwencji, o tyle żądania posiadania kilkunastu „toitojek” może wręcz zrujnować budżet obozu (wszak mówimy tutaj o nieprzewidzianych wydatkach na obozie rzędu nawet kilku tysięcy złotych!).

To niestety prowadzi do sytuacji, kiedy komendanci obozów są zmuszeni niezbyt po harcersku kalkulować: czy opłaca się wydać kilka tysięcy na wynajęcie toalet, czy zaryzykować i zapłacić kilkaset złotych mandatu...

Prawdziwe zagrożenia

Dla uczciwości, aby nikt, czytając ten tekst, nie nabrał fałszywego przekonania, że wszystko na obozach jest cudowne, a tylko „ten wstrętny sanepid się czepia”, trzeba jednak przyznać, że zdarzają się rozmaite uchybienia, że zdarzają się wpadki, które mogą skutkować autentycznym zagrożeniem epidemiologicznym, a jeśli nie aż tak zdecydowanie, to ocenić je należy negatywnie przynajmniej w kategoriach elementarnych zasad higieny.

Tego lata widziałem pojemniki ze zlewkami zaledwie kilka metrów od stolówki i miejsca wydawania posiłków, nad którymi unosiły się stada os (co ciekawe, sanepidowi to nie przeszkadzało). Widziałem także menażki tak brudne, że strach w nich jeść.

Widziałem także zmywalnie menażek rodem z lat 80., a więc trzy wanienki (jedna z rozcieńczonym płynem, dwie z wodą do płukania), które przestają być

zdatne do użytku po zanurzeniu w nich pierwszej brudnej menażki, a których zawartość po „umyciu” menażek przez zaledwie jeden zastęp nie przypomina już czystej wody, lecz...

I jeszcze jeden grzech: niestety bardzo rzadko instruktorzy służbowi w wystarczający sposób pilnują dzieci pełniące służbę w kuchni, aby myły ręce przed zetknięciem się z żywnością. A szkoda, bo wolałbym nie zastanawiać się, jedząc kanapkę, czy była ona smarowana masłem przez harcerza, który po wyjściu z latryny umył ręce.

Niestety, na takie sprawy sanepid rzadziej zwraca uwagę niż na np. liczbę desek do krojenia.

Na kogo trafisz...

Wygląda więc na to, że to, czy wizytę sanepidu na naszym obozie będziemy wspominać miło, czy będzie to przeżycie traumatyczne, nie tylko od tego, jaki poziom prezentujemy, ale także od tego, na kogo trafimy.

Możemy trafić na osobę skrajnie liberalną i niewnikliwą, że nawet nie odwiedzi co drażliwszych miejsc, za to spędzi miłe chwile na rozmowie z nami przy kawie.

A może trafimy na osobę tak ufającą harcerzom i tak rozumiejącą ideę obozowania (może sama kiedyś była instruktorem?), że wprawdzie obejrzy wszystko dokładnie, ale w razie uchybień udzieli nam życzliwie pewnych rad (słyszałem o pewnej pani, która, widząc niezbyt dobre warunki przechowywania żywności, stwierdziła, że napisze w protokole, że wszystkie artykuły żywnościowe są przywożone na bieżąco przez dostawców i że „w razie czego takiej wersji należy się trzymać” – pytanie: czy to dobrze?).

Najciekawiej jest wówczas, gdy trafimy na parę kontrolujących, którzy mają odmienne poglądy. Wygląda to nawet komicznie, gdy przy nas, czyli osobach kontrolowanych, wyklócają się, jakie rozwiązanie jest właściwie i co tak naprawdę powinniśmy robić.

Niestety, gorzej jest wtedy, gdy odmienne poglądy, te mniej korzystne dla nas, ma osoba stojąca wyżej w hierarchii. Na przykład na pewnym obozie w sierpniu tego roku jedna z pań nakazała, aby przedstawić do wglądu umowę na dostarczenie do obozu dwóch „toitojek”. Kosztowało to kilkaset złotych, ale udało się. Kiedy jednak kwatermistrz obozu zjawił się ze stosowanym kwitem w siedzibie sanepidu, liczba niezbędnych toalet zwiększyła się – decyzją kierowniczką – już do pięciu!

Ale może być jeszcze gorzej. Możemy też trafić na panią, która na przywitaniu odkryje karty mówiąc, że w życiu nie wysłałaby swego dziecka na obóz harcerski pod namiotami i że dziwi się innym rodzicom, że nie mają obaw. I w ogóle to niewłaściwe, że takie obozy jeszcze są prawnie dopuszczalne. Cóż, otwarte postawienie sprawy pozbawia nas już na wstępie złudzeń i trudno w takim przypadku liczyć na pozytywne wyniki kontroli, prawda?

Pytania

Jak to jest, że w pełni przestrzegając obowiązujących w ZHP przepisów (przypomnijmy raz jeszcze: „Instrukcji sanitarnej dotyczącej organizowania stacjonarnych obozów pod namiotami, lokalizowanych poza wyznaczonymi na stałe miejscami obozowisk posiadających odpowiednią infrastrukturę” oraz „Zasad dobrej praktyki higienicznej w żywieniu zbiorowym na obozowiskach”), nie możemy być spokojni o wyniki kontroli sanepidu?

Jak to jest możliwe, że w państwie prawa obozom harcerskim stawia się tak różne wymagania i to za każdym razem podpierając się obowiązującymi przepisami?

Jak to możliwe, że to, co jest doskonałym rozwiązaniem na jednym obozie, pięćdziesiąt kilometrów dalej potrafi być traktowane jako rzecz niedopuszczalna, kwalifikująca się do wklepienia mandatu komendantowi obozu?

Takie pytania coraz częściej zadają sobie komendanci, zwłaszcza ci, którym przyszło zapłacić w tym roku mandat za coś, co gdzie indziej nie jest karane przez inny sanepid. I coraz częściej, niestety, zmieniają kryteria, według których wybierają miejsce kolejnego obozu. Znam wiele środowisk, które miejsce następnego obozu określają, biorąc pod uwagę nie walory przyrodnicze, historyczne czy ekonomiczne (odległość od miejsca zamieszkania) terenu, ale... „przyjemność” miejscowego sanepidu – wymagania, jakie stawia obozom i znajomość realiów obozowania pod namiotami.

Przepis na normalność

Co więc zrobić? Jaki jest przepis na normalne, spokojne, bezstresowe obozowanie?

Po pierwsze: konieczne są precyzyjne przepisy sanitarne, które pozostawiają niewielki margines na interpretacje. Ważne jest, abyśmy, jadąc w jakikolwiek

zakątek Polski, mieli pewność, że wszędzie sanepid będzie żądał od nas zapewnienia dzieciom takich samych warunków, że będzie to dla nas sytuacja w pełni przewidywalna (także pod względem logistycznym i finansowym).

Po drugie: rzecz w tym, aby przepisy uwzględniały specyfikę naszych obozów (może wystarczyłoby wprowadzić w odpowiednim rozporządzeniu ministra kategorię „obozu harcerskiego pod namiotami”, której nie dotyczyłyby wskazane przepisy?).

Po trzecie: konieczna jest zmiana świadomości osób kontrolujących nasze placówki, aby wiedziały, na czym polega specyfika obozu harcerskiego. To najtrudniejsze zadanie, bo najmniej od nas zależne. Jednak bez tego zawsze będziemy mieli problemy z kontrolami, które zamierzają przykładać do obozu pod namiotami miarę taką samą, jak do kolonii organizowanej w budynku.

A my co?

W tym miejscu koniecznie należy zadać sobie pytanie: czy my, organizatorzy obozów, sami możemy coś zrobić, aby kontrola sanepidu była dla nas mniej stresująca i abyśmy nie narażali się na mandaty? Oczywiście, możemy.

Przede wszystkim powinniśmy zadbać o to, aby nasze obozy były w jak największym stopniu zgodne z dwoma podstawowymi dokumentami sanitarnymi obowiązującymi organizatorów obozów w ZHP przywoływanymi już wcześniej (oba dokumenty znajdują się na www.haliz.zhp.pl).

Dlaczego jest to tak ważne? Ponieważ przestrzeganie naszych przepisów jest bardzo istotnym argumentem w rozmowie podczas kontroli sanepidu, jest świadectwem, że dbamy o warunki sanitarne na obozie. Nie będziemy przecież poważnie traktowani, jeśli nie spełnimy wymagań, o których mowa w naszych wewnętrznych harcerskich instrukcjach. Nie będziemy wiarygodni w przedstawianiu swoich racji, jeśli nawet nie jesteśmy w stanie wypełnić własnych, harcerskich zaleceń.

Po drugie: warto, abyśmy wcześniej, jeszcze przed obozem, dokładnie zapoznali się z wymaganiami lokalnego sanepidu (może na przykład warto podczas zwiadu kwatermistrzowskiego odwiedzić sanepid i sprawdzić, czy nie mają swoich specyficznych oczekiwań wobec obozów harcerskich, a jeśli tak, to czy będziemy w stanie je spełnić?). Zaoszczędzi nam to stresów, a także niepotrzebnych, nieprzewidzianych wcześniej wydatków („toitoje” naprawdę sporo kosztują), a w skrajnym przypadku nawet pozwoli wcześniej podjąć świadomą, odpowiedzialną decyzję o zmianie lokalizacji obozu.

I jest coś jeszcze: chodzi o naszą postawę, nasze nastawienie, nasz stosunek do osób kontrolujących placówkę.

Wiadomo przecież, że w przypadku każdego przepisu, nawet nadzwyczaj precyzyjnych i jednoznacznych, można z różną dociekliwością sprawdzać ich respektowanie. Wiele przecież zależy od nastawienia osoby kontrolującej. Powinniśmy więc uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby było ono jak najlepsze. Z pewnością więc lepiej przywitać osobę kontrolującą z uśmiechem, życzliwie, poczęstować kawą, niż dać jej odczuć, że jest „złem koniecznym”. Ta kawa to po prostu sposób tworzenia właściwych relacji z drugą osobą. Krótko mówiąc: pamiętajmy, że im będziemy miłsi, sympatyczniejsi, tym lepszej reakcji możemy się spodziewać. Niby to oczywiste, ale czy rzeczywiście pamiętamy o tym podczas kontroli sanepidu?

Perspektywy

Czy są szanse, aby komendantom obozów Harcerskiej Akcji Letniej 2007 nie były zbyt gwałtownie serca na hasło „sanepid”?

Czy jest możliwe, aby wiedzieli, jakie precyzyjne przepisy ich obowiązują i mieli pewność, że te i tylko te przepisy mają spełnić, organizując obóz, a nie jakieś dodatkowe, zgodne niekoniecznie z prawem, lecz z osobistymi poglądami lokalnego sanepidu?

Czy wreszcie będzie tak, że organizacja gospodarczej części obozu będzie w pełni przewidywalna logistycznie i finansowo i żaden komendant z drżeniem serca nie będzie już czekał, co nowego w tym roku wymyśli sanepid oraz jakie dodatkowe wydatki będą się z tym wiązały?

Jestem optymistą, mam nadzieję, że już za rok będzie lepiej, po prostu normalniej.

Ech...

Kilka dni temu wróciłem z kursu kadry kształcącej zorganizowanego przez CSI na „Głodówce”. O ile wspomnienia z kursu mam doskonałe (świetna ekipa – młoda, ambitna, sumienna, pracowita), to gorzej jest ze wspomnieniami dotyczącymi przygotowań do niego. I nie chodzi tu wcale o przygotowania merytoryczne, bo z tym nie było problemów, ale o rekrutację, a konkretniej sprawę odpłatności za kursy...

Otóż w tym roku koszty form prowadzonych w Centralnej Szkole Instruktorskiej ZHP są zróżnicowane: stosunkowo niskie dla uczestników z chorągwi, które odprowadziły należne składki do Głównej Kwatery, a dla pozostałych – dużo wyższe. Idea jest oczywista – w ten oto sposób chodzi o zachęcenie (zmuszenie?) chorągwi do płacenia składek.

Sam pomysł jest dobry, ale problem w tym, że zdecydowana większość chorągwi nie ma opłaconych składek. A jednocześnie właściwie wszyscy twierdzą, że... składki za siebie i swoje środowiska zapłacili, co zresztą mogą potwierdzić.

I tu pojawia się problem: czy zwykły, szary instruktor może coś poradzić na to, że hufiec albo – zdecydowanie częściej – chorągiew „przejadła” jego składki zamiast odprowadzić do Głównej Kwatery? Czy zwykły instruktor może jakoś wpłynąć na komendanta hufca czy chorągwi, który nie zachował się rzetelnie, nie zastosował do uchwały składowej Rady Naczelnej? Pewnie, niestety, nie.

I tym oto sposobem doszedłbym do konkluzji, że zwykły instruktor nie powinien cierpieć za swoich nierzetelnych przełożonych i płacić więcej za kurs. Doszedłbym do tego, gdyby nie to, że uświadomiłem sobie, że przecież rozmaite rozwiązania w naszym Związku nie powinny zakładać patologii, niesumienności.

Ale czy z kolei możemy udawać, że jest normalnie, skoro nie jest normalnie, po harcersku? Ech...

OD AUTORA:

W kwestii ściągłości składek zanotowaliśmy w ostatnich latach znaczący postęp! :)

Więcej elastyczności!

W październiku mijają trzy lata, odkąd zostały zatwierdzone „Standardy kursów drużynowych”. Wydawać by się mogło, że to wystarczający czas, aby się do nich przyzwyczaić, aby nauczyć się z nich korzystać. Tymczasem, niestety, ciągle mamy do czynienia z czterema zasadniczymi problemami...

CZAS

Nie wiem, skąd wzięło się przekonanie, że czas podany w standardach to świętość, że nie może być absolutnie zmieniony. A to oczywiście nieprawda, gdyż jest to jedynie czas sugerowany. Takie określenie wskazuje wyraźnie, że twórcy standardów dobrze wiedzieli, że nikt lepiej niż kadra konkretnego kursu nie jest w stanie dopasować czasu poświęcanego jakiejś tematyce do potrzeb środowiska oraz samych uczestników kursu. A potrzeby te mogą być oczywiście bardzo różne, np.:

- poświęcimy na kursie mniej czasu na jakąś tematykę, jeśli wiemy, że w naszym środowisku nie ma z tym żadnych problemów, że coś stoi u nas „z zasady” na najwyższym poziomie (np. możemy mniej czasu poświęcić na konstytucję drużyny wędrowniczej, jeśli wszystkie drużyny mają doskonałe konstytucje, wszyscy wiedzą, jak ją tworzyć, jak z nią pracować, a jej posiadanie przez drużynę wędrowniczą jest uznawane za normalność),
- możemy znacznie ograniczyć jakieś treści, jeśli miesiąc czy dwa temu wszyscy kursanci byli na dwudniowych warsztatach namiestnictwa i poświęcili znacznie więcej czasu niż przewiduje standard na rozpracowanie zagadnień metodycznych czy jakichkolwiek innych (np. jak pracować z przybocznym, sojusznicy gromady/drużyny),
- więcej czasu zajmie nam coś, z czym wiemy, że są u nas w hufcu problemy (np. jeśli „leżą” sprawności indywidualne zuchów albo funkcjonowanie systemu zastępowego).

Oczywiście może się zdarzyć kadra kursu, która jest mniej doświadczona i nie potrafi samodzielnie określić optymalnego czasu poświęcanego różnym treściom. Właśnie wtedy pomocna może być zapisana w standardzie sugerowa-

na liczbę godzin. Jednak ciągle nie jest to czas obowiązkowy, lecz tylko sugerowany, a więc taki, który powinien zapewnić realizację określonych zamierzeń.

Powyższe uwagi dotyczą pojedynczych treści i zamierzeń ze standardów. Wynika z nich zasadnicza konsekwencja – skoro zmienna może być liczba godzin poświęcanych różnym treściom, to oczywiste jest, że różna (bardzo różna!) może być także całkowita liczba godzin na kursie drużynowych i w żadnej mierze nie należy się nią sugerować! Dlatego właśnie, aby nie ograniczać zespołów kadry kształcącej organizujących kursy, planowana jest likwidacja określenia ogólnego czasu trwania kursów. Ważniejsze jest przecież, czy zostały zrealizowane zamierzenia, a nie ile czasu poświęcono na kurs.

FORMY

Drugim mitem związanym ze standardami, który rodzi wiele problemów, jest przekonanie, że to, co zapisane w standardzie, musi znaleźć swoje odbicie w zajęciach kursowych. Jest to oczywiście nieprawda, gdyż zajęcia (te trwające półtorej czy dwie godziny) wcale nie są jedynym sposobem realizacji kursowych treści. Nasze zamierzenie możemy przecież realizować na wiele innych sposobów, m.in. przez:

- pracę własną kursantów,
- przygotowywanie prac w grupach,
- wpłeczenie różnych treści w obrzędowość,
- własną postawę prowadzących zajęcia,
- kontakty, rozmowy pomiędzy zajęciami,
- realizowanie jakichś treści przy okazji innych (np. robiąc zajęcia kursowe, niejako „przy okazji” prezentujemy kursantom formy pracy, dajemy repertuar gier, zabaw czy płasów).

Wracając do czasu na kursie – jak widać, może się okazać, że niby w planie nie poświęciliśmy na konkretne zajęcia wielu godzin (jak sugeruje standard), a w rzeczywistości kursanci dobrze, bardzo dobrze znają wszystko to, co powinni!

KOLEJNOŚĆ

To ciekawe, skąd u wielu kształceniowców przekonanie, że kolejność treści w standardach wskazuje... kolejność zajęć na kursie! Oczywiście, nie jest to prawda, gdyż standardy to tylko spis treści i zamierzeń – ułożony owszem, z pewną logiką, która ma pokazać całość wiedzy i umiejętności, jakie powinien posiadać po kursie drużynowy. Jednak inna jest przecież logika układania programu kursu, bo szczególnie jest kolejność przekazywania informacji, wdrażania kursantów w tajniki prowadzenia drużyny.

Aby odnieść sukces na kursie, należy przede wszystkim zauważyć, które treści powinny być przed którymi. W ten sposób ułożymy główną oś, „kręgosłup” merytoryczny kursu, a z resztą już nie będzie problemów. Niestety, bardzo często brakuje kształceniowcom takiej refleksji, dlatego można spotkać programy kursów, w których np. (podaję na przykładzie kursu drużynowych zuchowych):

- jest mowa o planowaniu pracy w gromadzie, kiedy kursanci jeszcze nie wiedzą, co to jest cykl sprawnościowy,
- kursanci mają rozpisać cykl sprawnościowy nie wiedząc dobrze, jak wygląda zbiórka zuchowa,
- mówi się o zbiórce zuchowej, kiedy jeszcze nie są znane zuchowe formy pracy.

Oczywiście nie jest tak, że wspomniany wcześniej „kręgosłup” jest stały, jedyny, niezmienny. Zależy on, rzecz jasna, od doświadczenia – zarówno uczestników kursu, jak i jego kadry.

DZIELENIE I ŁĄCZENIE

Jeśli już wskazaliśmy, że nie należy kolejności treści w standardach traktować jako kolejności zajęć na kursie, to oczywiste będzie stwierdzenie, że – wbrew przekonaniu wielu kształceniowców – treści i zamierzenia kursowe nie tylko można, ale wręcz należy dzielić i łączyć tak, aby układały się logicznie w głowach kursantów.

Niestety, spotkałem się z programami kursów, na których dwa razy zaplanowano zajęcia nt. skautingu (raz – te z części ogólnej standardu, drugi – te z części harcerskiej) albo dzielono na dwa zajęcia o propozycjach programowych Związku, choć w części ogólnej zamierzenie brzmi: „uczestnik będzie znał i potrafił korzystać z propozycji programowych ZHP”, zaś w części harcerskiej (przy planowaniu): „uczestnik będzie potrafił uwzględnić propozycje programowe ZHP w pracy drużyny”. Kuriozum? Oczywiście!

Co z tego wszystkiego wynika? Przede wszystkim należy mieć świadomość, czym są standardy, jaka jest ich rola. Warto pamiętać, że mają one pomagać kadrze kształcącej, a nie utrudniać jej kształcenie. Mają być wskazówką, ramą, schematem, który jednak dostosowujemy do naszych potrzeb. Nie jest przecież możliwe, aby standardy ogólnozwiązkowe były idealnie dopasowane do tak różnorodnego Związku. To doskonałe dopasowanie musi zostać każdorazowo dokonane przez zespół kadry kształcącej tworzący program kursu. A żeby to zrobić dobrze, potrzebna jest wiedza, doświadczenie, a nade wszystko elastyczność. Właśnie tego życzę wszystkim naszym kształceniowcom.

Instruktorska elita

Grupa ludzi wyróżniająca się lub uprzywilejowana w stosunku do reszty społeczeństwa ze względu na posiadanie pewnych cech lub dóbr cenionych społecznie.

Słownik języka polskiego PWN

Elita

Czy mówiąc o harcmistrzach, możemy użyć określenia elita? Innymi słowy: czy możemy w przypadku harcmistrzów mówić o czymś wyróżniającym ich (poza oczywiście czerwoną podkładką) lub jakichś przywilejach, o czymś, co jest cenione wśród innych instruktorów?

Gdyby tak było, wówczas komisje stopni instruktorskich w chorągwiach (dla przypomnienia: na tym poziomie realizowane są próby harcmistrzowskie) furczałyby od ilości roboty, można by rzec – byłyby rozgrzane do (harcmistrzowskiej) czerwoności.

A jak jest? Obserwacja tego, co się dzieje w wielu hufcach, nawet pobieżna, wrywkowa lektura rozkazów komendantów chorągwi pokazuje, że wcale nie otwiera się tak wielu prób harcmistrzowskich, wcale nie ma pędu do zostania harcmistrzem. Dlaczego?

Motywacja

Kluczową sprawą jest oczywiście brak motywacji do zdobywania tego najwyższego stopnia. Można byłoby stwierdzić, że teraz ci podharcmistrzowie nie tacy, jak kiedyś. Że nieambitni, że nie chcą się rozwijać itd. Jednak jest to zbyt duże uproszczenie. Bo spójrzmy na to odwrotnie – tak naprawdę do czego (oprócz własnej satysfakcji) jest potrzebna instruktorowi czerwona podkładka?

Jeśli chodzi o możliwość pełnienia funkcji w Związku, to raczej nie znajdziemy tu specjalnej motywacji dla młodego instruktora. Bo chodzi tu o funkcje:

Przewodniczącego ZHP, Naczelnika czy komendanta chorągwi – a więc zbyt niedostępne zarówno poziomem struktury, jak i wiekiem (średnia wieku 19 osób pełniących wymienione funkcje to ponad 50 lat). W grę wchodzi także członkostwo w sądach harcerskich – ale to raczej zasiadanie niż realna funkcja (notabene to dobrze, że sądy nie mają zbyt wiele roboty).

Wydaje mi się, że najsilniejszą motywację z motywacji formalnych dają instruktorom tylko dwa uprawnienia harcmistrza. Po pierwsze: możliwość bycia opiekunem prób podharcemistrzowskich, ponieważ taka jest bardzo często potrzeba rozwijających się środowisk, w których młodzi przewodnicy chcą zdobywać wyższy stopień i potrzebują opiekuna – partnera niezbyt odległego wiekiem. I po drugie: możliwość zdobycia srebrnej odznaki kadry kształcącej, choć to dotyczy już tych instruktorów, którzy chcą angażować się na poziomie hufca i wyższym niż hufiec.

To wszystko, właściwie nie ma więcej przepisów, ba, nawet przyjętych zwyczajów, uzależniających pełnienie funkcji w Związku ze stopniem harcmistrza. Jeszcze kilka-kilkanaście lat temu jasne było, że przewodnik to generalnie drużynowy, podharcemistrz – instruktor działający na szerszym forum, np. na szczeblu hufca, realizujący się na funkcji np. namiestnika czy szczepowego, a dla harcmistrza zarezerwowane są funkcje w zespołach chorągwianych i centralnych. Teraz tego nawet nie ma. Z łatwością można wymienić nazwiska przewodników, którzy są szefami zespołów w chorągwiach czy Głównej Kwaterze.

Niby harcmistrz może pełnić wszystkie funkcje w Związku. Ale po cóż zdobywać ten stopień, skoro – wyłączwszy tych kilka najwyższych funkcji i sądy harcerskie – można w ZHP pełnić właściwie każdą funkcję będąc podharcemistrzem?

Dla porządku wspomnieć trzeba o jeszcze jednym uprawnieniu harcmistrza. Otóż ze zdobyciem tego stopnia wiąże się możliwość otrzymania Krzyża „Za Zasługi dla ZHP”. Ale trudno mi wyobrazić sobie podharcemistrza, który z tego powodu chce zdobyć kolejny stopień...

Brak formalnych, realnych „motywatorów” jest więc, jak sądzę, główną przyczyną, że podharcemistrzowie nie walą drzwiami i oknami do chorągwianych komisji stopni instruktorskich.

Co więc pozostaje? Chęć rozwijania się? Do tego także nie trzeba stopnia, choć oczywiście dobrze zaplanowana próba jest tu dużą pomocą. Pozostaje tak naprawdę ambicja oraz poczucie odpowiedzialności – albo ze względu na wspomnianą wcześniej możliwość bycia opiekunem prób podharcemistrzowskich, albo dlatego, że ciągle pamiętamy o osobistym przykładzie instruktora...

Ale jest jeszcze coś, jest jeszcze jeden problem, który nie tylko, że nie jest motywacją dla podharcemistrzów do zdobycia czerwonej podkładki, ale wręcz

przeciwnie – doskonale demotywuje wielu podharcistrzów do otwarcia kolejnej próby. Może to wykręt, tylko pokraczne alibi, a może fakt – nie wiem. Ale musi coś być w tym, jeśli wielu instruktorów, których namawiam do otwarcia próby harcistrzowskiej mówi mi, że nie chce być harcistrzem, ponieważ widzi... jacy są ci harcistrzowie. A gdy pociągnąć ich za język, wówczas bez trudu wymieniają dość logiczną listę swoich zarzutów do harcistrzów.

Zatrzymali się

Jest to chyba główny zarzut: że się zatrzymali w instruktorskim rozwoju, że się nie doskonalią i że w związku z tym nie są na bieżąco.

Ileż to razy słyszałem opowieści o harcistrzach, których wypowiedzi świadczą, jakby zatrzymali się w swoim postrzeganiu ZHP gdzieś w połowie czy pod koniec lat 80. Nie mówią o zjeździe hufca tylko o konferencji sprawozdawczo-wyborczej hufca, dopytują się czasem o skład rady hufca oraz komisji instruktorskiej hufca (i rady hufca, i konferencje zniknęły w roku 1990, kiedyś zaś komisjami instruktorskimi nazywano dzisiejsze sądy harcerskie), czytają „Motywy”, a nawet... je prenumerują!

Jeśli to liniowy harcistrz – cóż, trudno. Ale podobne opowieści słyszałem także o tych harcistrzach, którzy powinni być szczególnie uwrażliwieni na zmiany zachodzące w Związku, którzy powinni być przykładem stałego instruktorskiego rozwoju – czyli o członkach komisji stopni instruktorskich. Zwykle z uśmiechem na ustach otwierający lub zamykający próbę harcistrzowską opowiadali o członkach komisji dopytujących, kiedy właściwie będziemy w tym WOSM i w tym WAGGGS, albo twierdzących, że druhna Maria Hrabowska jest nadal Przewodniczącą ZHP i tak dalej... Śmiać się czy płakać?

Okazuje się, że młodzi ludzie, którym mówi się, że mają się stale rozwijać, że mają iść do przodu – widzą to wszystko! Widzą ten brak rozwoju, widzą myślenie kategoriami lat 70. czy 90., boli ich żenujący poziom tych, którzy winni być mistrzami.

Nie szanują

To drugi zarzut do harcistrzów, ale pewnie bardziej odczuwalny, bo osobisty. Bardzo często młodzi instruktorzy narzekają, że są traktowani przez star-

szych harcmistrzów „z góry” wyłącznie ze względu na wiek, kiedy oczekiwaliby partnerstwa, braterstwa, zrozumienia.

Jest to tym bardziej odczuwalna postawa, gdy nałoży się na nią poprzedni problem, a więc – mówiąc delikatnie – bycie niezbyt na czasie. A jeśli do tego dołożymy fakt, że kiedyś ów harcmistrz był kimś ważnym – wówczas naprawdę bywa ciężko.

Bo jak rozmawiać z Bardzo Ważnym Harcmistrzem, skoro koronnym argumentem jest na przykład to, że ileś lat temu był przez ileś lat komendantem hufca? Nieważne, że to było dawno, nieważne, że od tamtego czasu Statut zmienił się chyba 8 czy 10 razy. On wie lepiej, bo przecież pełnił taką ważną funkcję...

Postawa

To trzeci, najbardziej nośny medialnie i dostrzegalny zarzut – postawa, swobodne traktowanie zasad obowiązujących w Związku. Oczywiście, patologie takie jak picie czy palenie (także w trakcie imprez harcerskich), nieprzestrzeganie obowiązujących przepisów – to nie jest problem wyłącznie harcmistrzów. Jednak w ich przypadku – mistrzów, elity instruktorskiej – jest to szczególnie zauważalne i karygodne.

Wizerunek

Należy mieć świadomość, że te zarzuty wobec harcmistrzów są dużym uogólnieniem, pewnie krzywdzącym dla zdecydowanej większości z nich. Ale cóż, tak to jest z wizerunkiem, że w dużej mierze tworzą go stereotypy, że olbrzymi wpływ na jego kształtowanie mają „czarne owce” i właśnie na podstawie pojedynczych, patologicznych przypadków, które siłą rzeczy są bardziej nagłośnione, tworzy się obraz blisko czterech tysięcy harcmistrzów.

Co więc robić? Pomysłów, które mogą zmienić wizerunek harcmistrzów w oczach młodych podharcmistrzów, może być wiele.

Może należy podnieść rangę stopnia, dając uprawnienia do jego przyznawania wyłącznie Naczelnikowi ZHP (jak zresztą niegdyś bywało), który analizowałby dorobek kandydata na harcmistrza?

Może warto pomyśleć nad konkretnymi, bardziej motywującymi uprawnieniami dla harcmistrzów? Może sposobem byłoby większe uzależnienie powierzania funkcji od posiadanego stopnia instruktorskiego?

Może bardziej konsekwentnie należy wykorzystywać dostępne w naszej organizacji możliwości (czytaj: sądy harcerskie), aby pozbywać się tych „czarnych owiec”, które psują opinię nie tylko o harcmistrzach, ale w ogóle o instruktorach i harcerstwie?

A może dobrze byłoby, aby harcmistrz nie był dożywotnim stopniem, ale żeby wymagał przedstawienia Naczelnikowi ZHP sprawozdania ze swojej służby harcmistrzowskiej, ze swojego dorobku – choćby raz na 10 lat? Tak, tak, wiem, że to za duża rewolucja...

* * *

Harc mistrzowski rachunek sumienia

Konsekwentnie realizuje swoje cele życiowe

- Kiedy po raz ostatni zastanawiałeś się, co chcesz osiągnąć za rok, za pięć, dziesięć lat?
- Kiedy po raz ostatni dokładnie analizowałeś swoje sukcesy i niepowodzenia i wyciągałeś wnioski na przyszłość?
- Kiedy po raz ostatni odniosłeś sukces? Czy był to efekt twojego świadomego działania?

Ma poczucie odpowiedzialności za życie rodzinne i społeczne

- Czy myśląc o przyszłości, planując ją, myślisz nie tylko o sobie, ale także o swojej rodzinie?
- Co zrobiłeś ostatnio dla innych, zupełnie bezinteresownie?
- Czy myślałeś o tym, że bycie harcmistrzem, to nie tylko bycie dobrym instruktorem, ale także mężem, żoną, ojcem, matką, pracownikiem...?

Kreuje rzeczywistość

Potrafi inspirować i organizować swoje środowisko do potrzebnego społecznie działania

Wpływa na oblicze harcerstwa

- Czy myśląc o problemach w miejscu zamieszkania, w pracy, w harcerstwie zastanawiasz się, co ty możesz zrobić, aby je rozwiązać?
- Jak wiele w pozytywnych zmianach, które zachodzą wokół ciebie, jest efektem twojego działania, twojej inspiracji? A może jesteś tylko biernym obserwatorem?
- Czy myślałeś kiedyś, co zostawisz po sobie, jaki trwały ślad?
- Co w ostatnim roku zrobiłeś, aby harcerstwo było lepsze?

Ma dużą wiedzę i umiejętności w zakresie samodzielnego kierowania zespołem

- Czy ludzie lubią z tobą pracować? Jak myślisz, dlaczego?
- Kiedy po raz ostatni szefowałeś jakiemuś projektowi, zespołowi zadaniowemu?
- Czy jest grono instruktorów, za które czujesz się odpowiedzialny?

Własne doświadczenia życiowe i wychowawcze potrafi przelożyć na trwały dorobek

- Czy wychowałeś następcę?
- Ilu masz wychowanków, którzy powiedzą, że od ciebie nauczyli się harcerstwa?
- Czy z twoich doświadczeń życiowych wynika coś dla innych ludzi?

Jest znaczącą osobowością w zespole instruktorskim, z którym pracuje, i w środowisku swojego działania

Jest wzorem dla instruktorów

- Kiedy po raz ostatni byłeś opiekunem próby instruktorskiej? Dobrym opiekunem!
- Czy zawsze pamiętasz, jak ważny w harcerstwie jest osobisty przykład instruktora?
- Czy przebywając z młodszymi instruktorami myślisz o tym, że twoje wypowiedzi, twoje zachowanie są dla nich przykładem?
- Jak myślisz, ilu jest instruktorów, dla których jesteś wzorem?
- Co zrobiłeś, aby być dla innych prawdziwym autorytetem?

Polityka kadrowa w hufcu

Pewnie przesyta polityką, a szczególnie tą najbrudniejszą, jaką mamy okazję obserwować na co dzień w mediach, powoduje, że na sformułowanie „polityka kadrowa” wielu instruktorów reaguje alergicznie. Inni zaś obruszają się, przekonując, że o polityce kadrowej można mówić w firmie, ale nie w harcerstwie. To błąd!

Czy naprawdę musimy prowadzić w hufcu politykę kadrową? No może nie musimy, ale inaczej – czy warto? I właściwie co to takiego jest? Na te pytania odpowiedź przyjdzie sama, kiedy zastanowimy się, co możemy zyskać prowadząc świadomie, planowo, perspektywicznie pracę z kadrą hufca. Argumentów można znaleźć sporo, tutaj skoncentruję się na trzech z nich, tych najważniejszych.

Aby kadra się rozwijała

Jeśli przyjmiemy – a nie będzie to, jak sądzę, błędem – że naturalnym miernikiem poziomu rozwoju naszej kadry jest stopień instruktorski, wówczas jasne się stanie, że jednym z najważniejszych celów prowadzonej przez nas polityki kadrowej jest właściwe „zarządzanie” zdobywaniem stopni instruktorskich, czyli... Zobaczymy to na przykładzie.

W jednej z drużyn pewnego szczepla jest dobrze zapowiadający się przyboczny. Ma dopiero 15 lat, ale już przejął wiele zadań drużynowego i wszyscy w szczeple (w tym sam zainteresowany) są przekonani, że od września przyszłego roku (a więc kiedy już będzie miał 16 lat) przejmie drużynę. Co więcej, plan jest taki, że już w kwietniu 2008 r. zacznie realizować próbę przewodnikowską. Zamknie ją prawdopodobnie przed obozem w roku 2009. Wiadomo przecież, że złożenie Zobowiązania Instruktorskiego na obozie jest tym, o czym marzy!

Jeśli nasz przyboczny, a właściwie już drużynowy, będzie się prawidłowo rozwijał jako instruktor, wówczas po roku (a więc zgodnie z przepisami związkowymi) będzie pewnie mógł myśleć o otwarciu próby na kolejny stopień instruktorski. Krótko mówiąc – pod koniec 2010 r. pewnie stawi się przed komisją stopni instruktorskich, aby otworzyć próbę podharc mistrzowską.

Niby to bardzo, bardzo odległa perspektywa, ale czy na pewno? Spójrzmy na to od innej strony – kto miałby być opiekunem tej próby? Naturalne byłoby, gdyby to był szczepowy. Problem w tym, że opiekunem próby podharc mistrzowskiej musi być harc mistrz. A nasz szczepowy właśnie myśli dopiero o zamknięciu... własnej próby phm. Ale nic straconego – policzmy: wiosną 2007 r. zamyka próbę podharc mistrzowską, wiosną 2009 r. mija mu dwuletnia karencja między zamknięciem phm. a otwarciem hm. i otwiera próbę harc mistrzowską. Jeśli zrealizuje ją w półtora roku (czyli w średnim zalecanym czasie), jesienią 2010 r. prawdopodobnie będzie już harc mistrzem – a więc w sam raz, aby zostać opiekunem próby podharc mistrzowskiej swojego dziś dopiero 15-letniego przybocznego.

Nierealne, za długi czas, nie do objęcia umysłem? Może dla drużynowego lub szczepowego tak, ale nie dla hufcowego czy innej osoby, która w hufcu odpowiada za politykę kadrową. Myślenie w perspektywie czterech czy więcej lat, myślenie o tym, kiedy dla poszczególnych instruktorów jest właściwy czas na otwarcie kolejnej próby, a także dbałość o właściwą liczbę i jakość potencjalnych opiekunów prób (czyli podharc mistrzów i harc mistrzów) oraz tworzenie atmosfery pozytywnej rywalizacji w doskonaleniu się przez zdobywanie stopni instruktorskich – to wszystko jest właśnie sednem świadomego zarządzania rozwojem kadry hufca. To jest właśnie polityka kadrowa!

Aby byli następcy

Jak ze stopniami instruktorskimi, tak jest i z pełnionymi na poziomie hufca funkcjami. Tu także konieczne jest myślenie perspektywiczne. Przejawem odpowiedzialności za rozwój hufca jest nie tylko znalezienie kandydatów na funkcje namiestników czy skarbnika na zjazd, który odbędzie się jesienią tego roku, ale już dziś myślenie o tym, kto będzie te funkcje pełnił za dwa lata, a kto w kolejnej kadencji, a więc od jesieni 2011 r. To jest dopiero świadectwo prawdziwej odpowiedzialności za rozwój środowiska a jednocześnie wypełnienie zawartego w Zobowiązaniu Instruktorskim nakazu wychowania następcy. Cztery lata i więcej – ja wiem, że to znów odległa perspektywa, jednak myślenie tyle lat naprzód

jest naprawdę konieczne. Dlaczego? Wróćmy na chwilę do naszego 15-letniego dziś przybocznego. Jak pamiętamy, jeśli wszystko dobrze pójdzie, pod koniec 2010 r. otworzy on próbę podharc mistrzowską. Rok później, na zjeździe hufca jesienią 2011 r. jego próba będzie na ukończeniu. W sprzyjających okolicznościach może nawet będzie już podharc mistrzem. Będzie miał ponad 19 lat i już 3 lata doświadczenia na funkcji drużynowego. Pewnie to jeszcze za mało, aby zostać namiestnikiem, ale instruktorem namiestnictwa – dlaczego nie? I może po kolejnych dwóch latach, jako 21–22-letni podharc mistrz będzie mógł samodzielnie podjąć się pełnienia funkcji namiestnika? Realna perspektywa, prawda? A przypomnę nieśmiało, że mówimy teraz już o roku... 2013!

Myślenie o tym, kto obejmie funkcje w hufcu za 2, 4, 6 lat, zaplanowanie działań mających na celu jak najlepsze przygotowanie kandydatów – to jest właśnie polityka kadrowa. Zresztą w tym miejscu najtrudniejsza w realizacji, gdyż nigdy nie jest tak, że nasze plany uda się w pełni zrealizować, bo przecież ktoś może zacząć studia za granicą, zacząć pracować poza naszą miejscowością, założyć rodzinę i mieć mniej czasu albo po prostu odejść z harcerstwa...

Znalezienie następców to jedno, ale równie ważne jest, co dzieje się z tymi, którzy przestają pełnić służbę na ważnych funkcjach. Zazwyczaj stosowana jest strategia cytryny – wycisnąć, ile się da, i wyrzucić. Ale czy stać nas na to, aby nie wykorzystać wieloletniego doświadczenia, olbrzymiej wiedzy instruktorów, którzy przez jakiś czas byli namiestnikami, kształceniowcami, programowcami hufca? Odpowiedź jest oczywista. Przewidywanie takich sytuacji i planowanie współpracy ze starszymi instruktorami to także jest polityka kadrowa!

Aby mieli satysfakcję

Czy można pełnić jakąkolwiek funkcję, nie mając z tego satysfakcji? Cóż, pewnie można, jednak w naszym Związku, gdzie liczy się przede wszystkim jakość, nie możemy pozwolić na to, aby główną motywacją do pozostawiania na funkcji było poczucie obowiązku, poświęcenie się, służba na siłę. I za wszelką cenę. Nie oszukujmy się: ludzie są najbardziej twórczy, najskuteczniejsi wtedy, gdy podejmowane przez nich działania sprawiają im satysfakcję. Dlatego naszym zadaniem jest stworzenie całego systemu wspierania kadry, który będzie zawierał nie tylko tradycyjne narzędzia motywowania (bez wątpienia bardzo ważne), lecz przede wszystkim zindywidualizowane instrumenty pozytywnego oddziaływania. Czasem będzie to możliwość doksztalcania, czasem gadżet, czasem po prostu czas na rozmowę, a najczęściej być może takie zarządzanie,

którego podstawą będzie stawianie coraz to nowych wyzwań. Prawdziwych wyzwań, którym sprostanie daje nieopisaną satysfakcję i wewnętrzne poczucie, że „to mnie kręci”, że się rozwijam. To jest właśnie polityka kadrowa!

Zadania na dziś i jutro

Polityka kadrowa w hufcu to podejmowanie różnych działań, których celem jest posiadanie dużego grona dobrej, czyli ideowej, kompetentnej, zmotywowanej kadry instruktorskiej, a w efekcie doprowadzenie do sytuacji, kiedy nie ma problemu z obsadą wszelkich funkcji instruktorskich w hufcu, a więc hufiec może się dynamicznie rozwijać.

Jak widać, na politykę kadrową w hufcu składa się kilka etapów czy procesów:

- pozyskiwanie kadry (w tym także wynajdywanie nowych źródeł pozyskiwania kadry),
- określanie wzajemnych relacji (rzecz w tym, aby osoba podejmująca się pełnienia funkcji miała świadomość swoich zadań, a także środków, którymi dysponuje) i sformalizowanie ich (opis funkcji, mianowanie w rozkazie),
- kształcenie (w tym dokształcanie do podjętej funkcji oraz kształcenie do... kolejnej funkcji),
- ustawiczne wspieranie (które ma wybitnie indywidualny charakter),
- ocenianie realizacji ustaleń podjętych w momencie obejmowania funkcji (stałe oraz po umówionym okresie) i na podstawie tej oceny podjęcie decyzji, co dalej: czy pełnienie nadal tej samej funkcji, czy podjęcie się innej, czy odejście z czynnej służby instruktorskiej (lub w ogóle z ZHP).

W kolejnych numerach „Czuwaj” zajmiemy się szczegółowo tymi elementami. W tym miejscu jeszcze tylko dwie uwagi.

Po pierwsze: warto zauważyć, że wymienione wyżej elementy układają się w cykl pracy z kadrą. Cykl, ponieważ zarówno określenie, że ktoś dalej będzie pełnił jakąś funkcję, jak i zmiana na funkcji lub podjęcie funkcji po okresie braku aktywności – to wszystko są... źródła pozyskiwania kadry, a więc pierwszy z wymienionych elementów.

Po drugie: uważny czytelnik zauważy, że jest to schemat mający swoje źródło w dokumencie WOSM z 1990 r. „Adults in scouting” („Dorośli w skautingu”). I trudno się dziwić, bowiem w tej dziedzinie nic przełomowego nie da się raczej wymyślić, a poza tym warto korzystać ze sprawdzonych skautowych rozwiązań.

Skąd ich brać?

Kiedy mówimy o polityce kadrowej w hufcu, wiele osób ma na myśli przede wszystkim etap ustalania zasad współpracy z kandydatem na funkcję w hufcu, a więc określanie zakresu obowiązków i kompetencji decyzyjnych, sposoby wspierania, zasady oceny itd., czyli modne ostatnio tu i ówdzie opisy funkcji. Jednak musimy pamiętać o pierwszym, najtrudniejszym chyba etapie w cyklu pracy z kadrami, jakim jest samo pozyskanie kandydatów na funkcje.

Zastanówmy się więc, jakie mamy źródła pozyskiwania kadry na najważniejsze funkcje w hufcu. Czyli – innymi słowy – odpowiedzmy sobie na tytułowe pytanie: skąd brać kandydatów na drużynowych, szczepowych, namiestników czy kształceniowców?

Drużynowi

Z drużynowymi jest stosunkowo łatwo, o ile w naszym hufcu prawidłowo pracują szczepy. Wówczas najczęściej drużynowymi zostają wychowankowie tego szczepu albo przybocznicy w danej drużynie, ew. wędrownicy z innych drużyn czy gromady tego samego szczepu.

Trudniej jest wtedy, gdy mamy w hufcu jednostki działające samodzielnie, które nie mogą korzystać z dobrodziejstw pełnego ciągu wychowawczego w szczepie. No a poza tym to na komendzie hufca spoczywa obowiązek zapewnienia „białych plam” znajdujących się na mapie chyba każdego hufca. Aby wesprzeć samodzielne drużyny oraz rozwijać harcerstwo w miejscach dotąd zaniedbanych, konieczne jest sięganie do mniej popularnych rozwiązań, często uważanych za obciążone dużym ryzykiem – zbyt dużym, aby z nich skorzystać. Myślę tu o pozyskiwaniu kandydatów:

- zupełnie z zewnątrz, z innego hufca (np. instruktor, który przyjechał do naszego miasta na studia),
- z grona nauczycieli – „cywili”
- spośród studentów pedagogiki (pedagogiki specjalnej, psychologii).

Przyjrzyjmy się bliżej najważniejszym zaletom i wadom powyższych trzech rozwiązań.

Gdy wyda nam się, że za dużo tu minusów, że to zbyt ryzykowne, wówczas warto uświadomić sobie jeszcze jedną zaletę tych trzech rozwiązań – „lepszy rydz, niż nic”!

Oczywiście nie twierdzę, że tym sposobem rozwiązaliśmy problemy kadrowe w hufcu, że znikną nam wszystkie „białe plamy”, ale jeśli na 20, 30 czy 50 gromad i drużyn w hufcu, tylko kilka z nich poprowadzą drużynowi pozyskani nieco mniej tradycyjnie, to i tak będziemy mogli być pewni, że warto było.

Namiestnik, kształceniowiec...

Zdecydowanie trudniej jest z funkcjami w hufcu, bowiem najczęściej nie mamy tak komfortowej sytuacji, że na funkcję namiestnika czy programowca mamy po kilku kandydatów. Często przecież nie mamy żadnego. Ponadto przygotowanie odpowiednich kandydatów jest zdecydowanie bardziej czas- i pracochłonne, gdyż – po pierwsze – ma bardzo indywidualny charakter (uzależnione jest od dotychczasowych doświadczeń oraz indywidualnych predyspozycji) i – po drugie – jest bardziej specjalistyczne (wbrew pozorom nie jest w praktyce możliwa prosta zmienność na funkcjach np. namiestnika, programowca hufca i szefa kształcenia). Tak więc naszym zadaniem jest właściwie ciągłe poszukiwanie, ciągłe zastanawianie się, kto dalej mógłby pociągnąć robotę w hufcu, aby możliwie jak najwcześniej wychwytywać potencjalnych kandydatów na wszelkie funkcje – nawet w dłuższej perspektywie (o czym pisałem w poprzednim numerze).

A gdzie możemy znaleźć tych kandydatów?

Wariantów jest kilka. Prześledźmy je na przykładzie poszukiwania kandydata na namiestnika na kolejną kadencję – zobaczymy, jakie możliwości mamy na pół roku przed zjazdem hufca:

- kontynuacja – czyli obecny namiestnik zostaje na kolejną kadencję,
- wychowanie następcy z zastępcy – funkcję obejmuje ktoś, kto wcześniej był wicenamiestnikiem,
- zmiana funkcji w pionie (do góry), czyli awans – namiestnikiem zostaje doświadczony drużynowy, szczebowy,
- zmiana funkcji w pionie (w dół) – namiestnikiem zostaje instruktor, który pełnił funkcję „wyżej” w strukturze,

- zmiana funkcji w poziomie – namiestnikiem zostaje instruktor, który pełnił inną funkcję na poziomie hufca (np. członka ZKK, programowca),
- powierzenie dodatkowej funkcji/rozszerzenie kompetencji – funkcję lub tylko obowiązki namiestnika (co w praktyce wychodzi na to samo, jeśli chodzi o czas i zaangażowanie) przejmuje instruktor, który już pełni równoległe inną funkcję na poziomie hufca,
- powrót po latach – namiestnikiem zostaje doświadczony instruktor, który wraca do czynnej służby po iluś latach rozłąki z harcerstwem (zakładam, że przyczyną tej przerwy nie było wyrzucenie ze Związku, ale np. wyjazd na studia czy założenie rodziny),
- import z innego hufca – namiestnikiem zostaje ktoś spoza naszego hufca.

Oczywiście każdy z tych wariantów ma swoje plusy i minusy. Wiele z nich pokrywa się z wyszczególnionymi przy okazji funkcji drużynowego. Dlatego zajmijmy się szczegółowo zaletami i wadami tylko trzech rozwiązań. Obok są zestawione plusy i minusy objęcia funkcji namiestnika przez wicenamiestnika, instruktora pełniącego już inną funkcję oraz przez doświadczonego drużynowego.

Oczywiście mamy także inne metody, np. łapanka, czekanie aż sytuacja się sama rozwiąże, czekanie na ochotnika, pogodzenie się z wakatem na funkcji. Mimo niewątpliwej popularności, jaką cieszą się one w naszym Związku, zdecydowanie odradzam ich stosowanie we własnym hufcu!

* * *

Życzę owocnych poszukiwań następców. Do zjazdów hufców zostało naprawdę niewiele czasu!

* * *

kandydat na drużynowego z innego hufca

- + Jeśli zgłosił się od nas sam (często tak właśnie jest, gdy instruktor „na zesłaniu” poczuje deficyt aktywności harcerskiej), można liczyć, że będzie zmotywowany do działania,
- + ma nowe spojrzenie, pomysły – może wnieść do naszego hufca „powiew świeżości”, głównie w sferze programowej,
- + ma możliwość wykorzystania w ciekawy sposób kontaktów ze swojego poprzedniego środowiska (np. gdy chcemy zorganizować rajd na jego „stare” tereny).
- Tak naprawdę nie wiemy, jaki jest – na co go stać, jakie są jego możliwości, jak sprawdza się w pracy itd. – wymaga więc nie tylko wsparcia, ale też stałego monitoringu,
- nie wiadomo, czy naprawdę chce, czy to tylko „słomiany zapał” i zbyt lekko traktowane zobowiązanie (bo w razie czego zniknie tak szybko, jak się pojawił),

- nie wiadomo, jak się zaaklimatyzuje w naszym hufcu,
- istnieje możliwość konfliktów czy nieporozumień wynikających z przyzwyczajęń, bo przecież „co kraj, to obyczaj, co hufiec, to zwyczaj”.

kandydat na drużynowego z grona nauczycielskiego

- + Ma fachową wiedzę pedagogiczną,
- + gwarantuje bezpieczeństwo w pracy z dziećmi,
- + (prawdopodobnie) cieszy się zaufaniem u rodziców, a to jest przecież bezcenne,
- + ma dobre kontakty i doświadczenie w pracy z dyrekcją, więc może łatwiej uzyskać wsparcie ze strony szkoły (np. pomieszczenie na harcówkę),
- + daje gwarancje stabilności (nie będzie mieć matury, nie wyjedzie na studia itd.).
- Nie ma doświadczenia harcerskiego, więc może „nie czuć” harcerstwa, a jego działania mogą mieć charakter bardziej podręcznikowy niż prawdziwie harcerski,
- istnieje niebezpieczeństwo przenoszenia wzorów szkolnych do drużyny,
- istnieje niebezpieczeństwo niezdrowych relacji wynikających z tego, że drużynowy jest jednocześnie nauczycielem harcerzy („przyjdiesz na zbiórkę – dostaniesz 5”, drużynowy to „pan nauczyciel”, nie starszy brat),
- w przypadku złej motywacji do pracy z drużyną (np. dla awansu zawodowego, dla lepszych relacji z dyrekcją) może odejść po ustaniu przyczyny podjęcia się funkcji.

kandydat na drużynowego spośród studentów pedagogiki

- + Ma fachową wiedzę pedagogiczną,
- + (prawdopodobnie) gwarantuje bezpieczeństwo w pracy z dziećmi,
- + może mieć silną motywację – funkcja jest szansą na skonfrontowanie uczelnianej teorii z praktyką,
- + nie ma doświadczeń harcerskich, więc nie ma balastu „tradycji?”, głupich zwyczajów, nietrafionych gier, nieudanych zbiórek, więc jeśli jest kreatywny – może stworzyć coś nowego, niekonwencjonalnego.
- Nie wiemy, jaki jest – czy jest odpowiedzialny, czy można powierzyć mu dzieci – wymaga więc stałego monitoringu,
- nie ma doświadczenia harcerskiego, więc może „nie czuć” harcerstwa, a jego działania mogą mieć charakter bardziej podręcznikowy niż prawdziwie harcerski,
- ze względu na młody wiek i brak doświadczenia może nie zagrazać zbyt długo miejsca na funkcji.

dotychczasowy wiceniemiestnik

- + Ma odpowiednie doświadczenie,
- + wie, jak wygląda praca namiestnictwa, zapewnia ciągłość jego pracy,
- + zna członków zespołu, będzie umiał z nimi sprawnie pracować,
- + jego awans ma duży walor edukacyjny – młodzi instruktorzy widzą w praktyce, na czym polega wychowanie następcy i jak wygląda „ścieżka kariery” w hufcu.
- Może popełniać te same błędy, co dotychczasowy szef,
- może działać zbyt schematycznie, rutynowo,
- prawdopodobnie nie wniesie zbyt wiele świeżości w pracę namiestnictwa.

instruktor, który pełni już inną funkcję

- + Jest to „nasz człowiek” – doskonale wiemy, na co go stać,
- + z racji swej aktywności ma dobrą orientację w działalności hufca,
- + ma autorytet, wyrobioną markę (zakładam, że tylko takiej osobie chcemy powierzyć nowe zadania),
- + nowe zadania mogą być dla niego wyzwaniem – to kolejny etap jego rozwoju, duża satysfakcja, a więc także motywacja do działania.
- Może być przeciążony nadmiarem zadań,
- dotychczasowe pole służby może zostać zaniedbane (bo bardziej atrakcyjne jest nowe),
- zwiększamy ryzyko w funkcjonowaniu agend hufca – gdy odejdzie (nawet z przyczyn losowych), będziemy nagle mieć dwa wakaty,
- powierzenie mu funkcji może nas rozleniwzić – tracimy motywację do szukania kogoś naprawdę nowego na tę funkcję.

doświadczony drużynowy (awans)

- + Otrzymuje szansę rozwoju, awansu – to niesłychana motywacja,
- + stoi za nim doświadczenie na funkcji drużynowego i własne sukcesy – to podstawa dla zyskania autorytetu u młodej kadry,
- + uczestnicząc w pracy namiestnictwa, poznał jego zadania i sposób działania, a jednocześnie ma świeżą ocenę jego pracy od drugiej strony (drużynowego),
- + jego awans ma duży walor edukacyjny – młodzi instruktorzy widzą, jakie są drogi rozwoju drużynowego.
- Proponując nową atrakcyjną funkcję, być może doprowadzamy do zbyt wczesnego odejścia z funkcji drużynowego (ma następcę?),
- jeśli wcześniej nie był szykowany na tę funkcję, a otrzymał ją tylko jako wybijający się drużynowy, może się okazać, że jest za słabo do niej przygotowany,
- są możliwe konflikty z innymi drużynowymi – niezadowolonymi z jego awansu, zazdrośnymi (dlaczego on a nie ja?).

Co mam robić, co mam zrobić?

Co mamy do zrobienia?

Bardzo często, prowadząc zajęcia na kursach dla kadry hufców, widziałem olbrzymie zdziwienie na twarzy kursantów, gdy wskazywałem, że od analizy zadań statutowych hufca oraz programu rozwoju hufca powinniśmy zacząć określanie tego, co ma do zrobienia pojedynczy instruktor komendy: „Jak to, przecież powszechnie wiadomo, co powinien robić skarbnik hufca, programowiec czy namiestnik? Przecież pisano i mówiono o tym nie raz, jest co nieco w rozmaitych dokumentach związkowych!”

Zgoda, jednak nam przecież nie chodzi o RAMOWY zakres obowiązków, zadania uniwersalne, pasujące do każdego hufca ZHP – gdyż każdy hufiec jest inny, ma swoją specyfikę, a ponadto stale się zmienia – dzisiaj sformułowane zadania, dziś określony podział obowiązków za dwa lata stanie się już pewnie nieaktualny.

Tak więc musimy nasze działania na kadencję określać w dwojaki sposób:

– część zadań będzie rutynowa – bo wynikająca wprost ze Statutu ZHP, np. wiadomo, że komendant wydaje rozkazy, że komenda corocznie będzie musiała przyjąć budżet, że musi funkcjonować komisja stopni instruktorskich, że trzeba przygotować w połowie kadencji zjazd sprawozdawczy...

– druga część będzie specyficzna dla naszego hufca w danym momencie jego rozwoju – zadania w tym zakresie powinny być dokładnie określone w programie rozwoju hufca.

Niby wydaje się to oczywiste, jednak na wszystkich szczeblach naszej organizacji króluje rutyna – ta w najgorszym tego słowa znaczeniu. I co robią komendy? To samo, co rok czy dwa lata temu, ale także czasem to samo, co nawet pięć czy dziesięć lat temu! A plan rozwoju – cóż, to dokument, którym nie trzeba się przejmować. Tak niestety jest w wielu hufcach, a także wyżej – znam takie

chorągwie, gdzie w sprawozdaniu komendy z całej kadencji nie było ani jednego (sic!) odniesienia do planu rozwoju chorągwi!

Reasumując: obowiązki statutowe musimy wypełniać, to oczywiste, jednak najważniejszych kierunków pracy dla komendy musimy szukać w planie rozwoju hufca.

Kto to ma zrobić?

Wiedząc, co mamy do zrobienia, możemy określić, jaka powinna być optymalna struktura komendy hufca (wraz z jej różnymi agendami). Optymalna, czyli taka, która w najwyższym stopniu daje szansę wykonania wszystkich zadań na najwyższym poziomie, a także – to bardzo ważne – uwzględnia realia hufca. Innymi słowy: plany możemy mieć wspiane, ale musimy je zweryfikować, biorąc pod uwagę, czy mamy wystarczająco dużo kompetentnej kadry. Jeśli nie, wówczas konieczne będzie przykrojenie marzeń do rzeczywistości: zrobienie jednego namiestnictwa zamiast czterech, połączenie KSI z kapitułą stopnia HR itp.

Ważne jest, aby właśnie teraz, a więc na etapie układania się do pracy, realnie zaplanować wykorzystanie hufcowej kadry, ponieważ potem może być już za późno – ktoś w natłoku obowiązków się wypali, a ktoś łączący kilka funkcji po prostu jedną z nich „odpuści”.

Jak się dzielimy pracą?

Dzielenie się pracą wydaje się już banalnym etapem – wiadomo przecież, jaka jest struktura, komu podlega jaki zespół, więc wszystko wydaje się oczywiste. Z reguły rzeczywiście nie ma tu istotnych problemów, chociaż... warto zwrócić uwagę na coś, co nieuzgodnione zawczasu, potrafi się mścić w kolejnych latach pracy – to kwestia styku kompetencji.

Nie jest źle, gdy mamy do czynienia z konfliktem pozytywnym, a więc sytuacją, kiedy dwie osoby (dwa zespoły) chcą wykonywać te same zadania. Rozwiązaniem jest w takim przypadku analiza, w jakie szersze działania lepiej wpisują się te zadania. Z reguły udaje się dość łatwo dojść do porozumienia.

Gorzej jest natomiast w przypadku konfliktu negatywnego, kiedy zostają nam do wykonania jakieś zadania (z reguły te mniej przyjemne), a na horyzoncie niestety nie widać chętnego do podjęcia się ich. Także w tym przypadku warto

zastanowić się, do których kompetencji najlepiej pasuje to bezpieczne zadanie. Takie rozwiązanie będzie wprawdzie nieco na siłę, ale jest ono o niebo lepsze od tak często praktykowanego sposobu polegającego na powoływaniu zastępcy ds. programowych czy ds. organizacyjnych, któremu „wrzuca się” do obowiązków wszystko to, co nie mieści się w obowiązkach innych członków komendy.

Co konkretnie trzeba zrobić?

Teraz dopiero dochodzimy do określenia konkretnych zadań dla poszczególnych instruktorów. Warto, aby odpowiadały one nie na pytanie „co trzeba zrobić?”, ale na inne – „co trzeba zrobić?”. Subtelna różnica, prawda? Ale w praktyce kolosalna! Musimy bowiem zmienić wreszcie myślenie w naszym Związku – rozliczajmy się nie z tego, co było robione, jak pięknie pracowaliśmy, ale z efektów pracy. Niech „Staraliśmy się, a wyszło jak zwykle” zastąpi „Zrobiliśmy, osiągnęliśmy sukces!”.

Jak dokonamy oceny?

Odpowiedź na powyższe pytanie jest kluczem do przedstawienia się na zarządzanie przez rezultaty. To jedyny sposób, aby nie tylko planując działania, ale równie potem – realizując je, będąc pochłoniętym tzw. bieżącymi sprawami, nie zgubić z pola widzenia naszego celu.

Zatem ustalając, jakie zadania ma każdy z instruktorów, warto od razu pomyśleć, jakie będą kryteria oceny realizacji tego zadania. Innymi słowy: bardzo konkretnie określamy, co, kiedy, w jakim stopniu ma być zrobione.

* * *

Na koniec jeszcze jedna uwaga: wiem, że przedstawiony tu proces jest czasochłonny, że wymaga sporo wysiłku intelektualnego. Jednak naprawdę to się opłaca, gdyż w ten sposób oszczędzamy sobie wielu sytuacji stresowych, demotywujących w trakcie długiej, czteroletniej kadencji.

Co muszę móc?

Po trzech numerach zmagania z polityką kadrową w hufcu jesteśmy w ciekawym miejscu. Przypomnę, że ostatnio ustaliliśmy, co mamy do zrobienia w nadchodzącej kadencji, a nawet kto to ma zrobić, czyli podzieliliśmy pracę na członków komendy i podległe im zespoły. Następnie sformułowaliśmy konkretne zadania dla poszczególnych instruktorów, a nawet do każdego z zadań określiliśmy kryteria oceny oraz konkretne wskaźniki.

Czy to wszystko? Prawie, prawie, ale jeszcze mamy coś do ustalenia. Musimy teraz zastanowić się, jakie dać uprawnienia, kompetencje decyzyjne, instrumenty do działania, dzięki którym nasz namiestnik, programowiec bądź inny funkcyjny będzie mógł bez trudu zrealizować powierzone mu zadania i osiągnąć cel określony – jak pamiętamy – bardzo konkretnie, mierzalnie. Innymi słowy: instruktor, któremu dajemy określone zadania, musi precyzyjnie wiedzieć, co może, a czego nie.

Jak konstruowanie takich kompetencji wygląda w praktyce? Można powiedzieć, że to nic innego, jak uzupełnienie, dokończenie zdania:

*Jeśli mam zadanie...
i mam osiągnąć.../zorganizować...
/doprowadzić do tego, że...
to muszę mieć uprawnienia/kompetencje do...*

Oto ilustracja tego schematu na przykładzie kompetencji szefa hufcowej KSI:

*Jeśli mam zadanie
systematycznego organizowania spotkań KSI
i mam zorganizować w każdym miesiącu jedno spotkanie,
to muszę mieć uprawnienie do samodzielnego decydowania
o terminach spotkań KSI.*

Z tym z pozoru łatwym zadaniem wiąże się kilka problemów. Oto najważniejsze z nich:

Poczucie oczywistości. Bardzo często zdarza się, że nie określamy, nie spisujemy takich uprawnień, które wydają się nam oczywiste. Pamiętać jednak należy, że ich oczywistość nie musi być ponadczasowa, że oczywiste są być może teraz, ale wcale nie muszą być za pół roku czy rok, albo kiedy – nie daj Boże – dojdzie do jakichś zgrzytów w naszej współpracy. Warto więc, aby komendant wiedział, czego może wymagać, a funkcyjny hufca, czego się od niego żąda. Nawet, gdy chodzi o rzeczy z pozoru banalne.

Zadania bez kompetencji. To chyba jeden z największych problemów: powierzamy komuś jakieś zadania (i żądamy konkretnych efektów!), ale nie ma on instrumentów do ich realizacji. Na przykład: namiestnik ma dbać o zdobywanie stopni przez swoich drużynowych, ale nie ma żadnych możliwości wpływu na działanie KSI oraz hufcowej kapituły stopni HO/HR.

Brak precyzji. Zbyttnia lakoniczność pojawia się najczęściej wtedy, gdy przy najmniej jedna ze stron „nie czuje”, po co w ogóle to określanie kompetencji. A efektem takiego braku precyzji są problemy w przyszłości, kiedy okazuje się, że komendant miał co innego na myśli, a namiestnik czy programowiec co innego.

Nadmiar szczegółów. To przeciwieństwo poprzedniego problemu, ale też może rodzić kłopoty. Dlaczego? Ponieważ im bardziej szczegółowe jest określenie zakresu kompetencji decyzyjnych funkcyjnego, tym większe prawdopodobieństwo, że pominiemy jakieś inne szczegółowe kwestie. Najczęściej wyjdą one dopiero podczas dokonywania oceny pracy albo w sytuacjach problematycznych, gdy dla jednej osoby coś jest oczywiste, a dla drugiej nie, bo „przecież na to się nie umawialiśmy”.

Konieczność współpracy. Aby uniknąć problemów w przyszłości, warto już na etapie określania kompetencji decyzyjnych naszego hufcowego funkcyjnego wydzielić te, które:

- wymagają współpracy z kimś (i określić z kim, np. „w porozumieniu z zespołem kadry kształcącej...”),
- są wyłączną kompetencją tego funkcyjnego, czyli – innymi słowy – ma on „monopol” na załatwianie określonych spraw.

Brak konsekwencji. Ostatnia, ale najważniejsza rzecz, która jest podstawą dobrego zarządzania, czyli konsekwencja. Bez niej te wszystkie nasze zabiegi nie mają sensu. Bo po cóż ustalać zasady, po cóż określać, co kto może, jeśli nie będziemy się trzymać tych ustaleń?

Po prostu demokracja

Ostatnich kilka tygodni to bez wątpienia czas ciekawy dla obserwatorów działań władz naczelnych naszej organizacji. Dziś, a piszę te słowa w pierwszych dniach lipca, kiedy już wiadomo, że 9 września w Bydgoszczy odbędzie się XXXV Nadzwyczajny Zjazd ZHP, kiedy już nieco opadły emocje, warto spojrzeć chłodnym okiem na te wydarzenia. Warto zastanowić się nad ich przyczynami, aby być mądrzejszym na przyszłość.

Krótko

Sekwencja wydarzeń jest mniej więcej następująca: jak co rok w czerwcu miało odbyć się zebranie Rady Naczelnej, na którym zaplanowano głosowane absolutorium dla członków Głównej Kwatery za ubiegły rok. W kwietniu br. komisje Rady zaczynają przygotowania – oceniają realizację planów operacyjnych. Mniej więcej miesiąc później pojawiają się pierwsze sygnały (oficjalnie i w tzw. zakulisowych rozmowach), że ocena przygotowana przez komisje jest krytyczna i że w związku z tym możliwe jest nieudzielenie absolutorium, a następnie nawet przegłosowanie przez Radę Naczelną wygaśnięcia mandatów Głównej Kwatery.

Przeliczenie głosów, jakimi dysponują w Radzie krytycy GK, wskazuje, że powyższy scenariusz nie jest wyłącznie hipotetyczny. O sytuacji tej rozmawiają w kuluarach Zjazdu Programowego władze Związku – Główna Kwatera, Komwent RN, CKR, NSH, komendanci chorągwi. Ci ostatni tuż po zakończeniu Zjazdu ogłaszają, że komendy chorągwi wystąpią do Przewodniczącego ZHP z wnioskiem o zwołanie zjazdu nadzwyczajnego, którego celem ma być m.in. wymiana władz naczelnych.

Dwa tygodnie później Rada Naczelna na swoim zebraniu w dn. 16 czerwca udziela absolutorium tylko dwóm członkiniom Głównej Kwatery. Do głosowania nad wygaśnięciem mandatów Naczelniczki i pozostałych członków GK nie

dochodzi, gdyż Przewodniczący ZHP ogłasza przerwę w obradach. Na początku tygodnia podejmuje decyzję o zwołaniu zjazdu nadzwyczajnego, którego celem będzie wymiana władz naczelnych (z wyjątkiem NSH i CKR).

Tyle historii w bardzo dużym skrócie.

A o co chodzi?

Odpowiedź na powyższe pytanie jest stosunkowo prosta – to klasyczny przypadek konfliktu władz, w naszym przypadku pomiędzy władzą wykonawczą a uchwałodawczą. Konfliktu, którego podłoże jest jednak dość złożone.

Po pierwsze: nie ma co udawać – ów konflikt ma charakter personalny. XXXIII Zjazd ZHP wybrał jedną ekipę do kierowania Związkiem, a tymczasem ci, którzy – mogłoby się wydawać – wybory przegrali, a także duża część ich zwolenników, weszli do Rady Naczelnej, a więc władzy, która *ex definitione* ma oceniać Główną Kwaterę.

Po drugie: konflikt między władzami ma charakter systemowy. Przyczyną są przepisy statutowe niedoskonale regulujące wzajemne relacje pomiędzy Radą Naczelną a Główną Kwaterą i generalnie niewłaściwie określające pozycję obu władz w strukturze. Dowodem są liczne przepisy, które mają charakter szczegółowy i w związku z tym winny być raczej właściwością zarządu, tymczasem leżą one w kompetencjach Rady, a więc władzy, która z zasady ma jedynie wytyczać kierunki rozwoju organizacji w poszczególnych obszarach.

Nie można, mówiąc o podłożu zaistniałego konfliktu, nie wspomnieć o ścięciu się szerszych nurtów w harcerstwie. Przy czym pojawiające się określenia, że jest to konflikt młodych i starych, „nurtu zachowawczego” i „postępowców”, są jednak zbyt upraszczające rzeczywistość. Zakładając jak najbardziej pozytywne intencje członków władz naczelnych, sądzę, że mamy tutaj do czynienia przede wszystkim z konfliktem dwóch wizji rozwoju Związku. Wizji, które różnią się w głównej mierze określeniem nie kierunku, ale prędkości koniecznych do przeprowadzenia zmian. Czy rzeczywiście nie mamy czasu i pozostajemy w tyle, czego skutkiem jest m.in. kurczenie się organizacji pod względem liczebnym? Czy może wielkość i różnorodność środowisk i kadry ZHP nie pozwala na gwałtowne zmiany, zwłaszcza równające w górę, a więc ignorujące siłą rzeczy środowiska słabsze? Właśnie te pytania ustanawiają moim zdaniem główną oś podziału.

I gdzieś na końcu jest to, co pewnie winno być najważniejsze podczas dyskusji absolutoryjnych: realna ocena sukcesów i porażek. A tutaj jest tak jak w życiu

– nie należy ulegać jednostronnym opiniom, ponieważ prawda jak zwykle leży gdzieś pośrodku – bo przecież nie jest wcale tak, że cała Rada lub cała Główna Kwatera jest zła i odwrotnie – nie jest też tak, że wszyscy członkowie obu władz w pełni sprawdzają się w swoich rolach.

Czy to demokracja?

W ostatnim miesiącu niejednokrotnie padały oskarżenia o łamanie zasad demokracji. Czy jednak rzeczywiście jest się o co bać? Wydaje mi się, że nie.

Przecież komendanci chorągwi mieli statutowe prawo (oczywiście przy pomocy swoich komend) wnioskować do Przewodniczącego o zwołanie zjazdu nadzwyczajnego. Inną rzeczą jest, czy systemowo jest to dobre rozwiązanie, aby zaledwie 6 komend chorągwi mogło wpływać na zwołanie zjazdu, ale o tym dalej.

Przecież Rada Naczelna miała pełne statutowe prawo szczegółowo oceniać pracę Głównej Kwatery. Ba, nawet miała taki obowiązek, aby nikt nie zarzucił jej głosowania nad absolutorium bez wystarczająco wnikliwej analizy. Oczywiście jest, że Rada miała także pełne prawo nie udzielić absolutorium, a nawet przegłosować wygaszenie mandatów członków GK. I jeśli ktoś chciałby się oburzać, to raczej na delegatów, że przyjęli Statut dający Radzie takie uprawnienia, a nie na samą Radę, która wykorzystuje instrumenty, w jakie została wyposażona.

Również nie jest zamachem na demokrację to, że jakaś władza (tu: GK) wykorzystuje możliwości statutowe dla obronienia swojej pozycji wobec innych władz. Owszem, wniosek Głównej Kwatery do Przewodniczącego w sprawie zwołania zjazdu nadzwyczajnego nie ma mocy prawnej, nie wiąże Przewodniczącego, jest raczej deklaracją intencji. Ale to nie znaczy, że jest bezprawny, że to złamanie prawa. A takie głosy również się pojawiły po ogłoszeniu uchwały Głównej Kwatery.

I wreszcie: nie ma w tym nic niestosownego i z pewnością nie można mówić o zamachu na demokrację w odniesieniu do decyzji Przewodniczącego ZHP o zwołaniu wrześnieowego zjazdu nadzwyczajnego. Przecież to zupełnie normalne, absolutnie mieszczące się w kanonach współczesnej demokracji postępowanie władzy, która widząc, że dwie władze są w konflikcie, postanawia odwołać się do instancji wyższej, a ściślej najwyższej (czyli zjazdu ZHP), prosząc ją o weryfikację mandatu do sprawowania władzy.

W wydarzeniach ostatnich tygodni jest właściwie tylko jedno zdarzenie, które – moim zdaniem – było przekroczeniem zasad zapisanych w naszych związko-

wych przepisach – to przerwanie obrad Rady Naczelnej przez Przewodniczącego bez głosowania przez Radę zmiany porządku obrad. Ale nawet tego nikt rozsądny nie nazwie złamaniem zasad demokracji, gdyż tego typu działania są akceptowalne we współczesnych systemach demokratycznych w sytuacji, gdy inne środki nie są skuteczne. Zresztą wszyscy znamy stosowane choćby w parlamencie wybiegi typu przedłużanie wystąpienia na mównicy, wnioskowanie o kolejną przerwę, zasypywanie komisji poprawkami, co ma przedłużyć jej pracę. To także jest demokracja! Najważniejsze jest wszakże, aby osoba stosująca takie wybiegi czy kruczki prawne czyniła to z dobrymi intencjami. No a chyba nikt nie zarzuci druhowi Przewodniczącemu działania w złej wierze.

Nikt nieuprawniony nie zwołał zjazdu, nikt nie odwołał niezgodnie ze Statutem Rady Naczelnej, Przewodniczącego ZHP czy Głównej Kwatery, nikt nie zmusił siłą członków Rady do głosowania wbrew swej woli... Czyli wszystko dzieje się w zgodzie z procedurami statutowymi. Demokracja w ZHP ma się więc doskonale!

Przyszłość

Ostatnie tygodnie z pewnością były trudne. Teraz jednak najważniejsze jest, aby wyciągnąć z tego wszystkiego wnioski, które pomogą nam w przyszłości być lepszą, skuteczniej zarządzaną organizacją. Warto więc już dziś dyskutować o tym, jakich należy dokonać zmian systemowych, jeśli chodzi o relacje pomiędzy władzami naczelnymi. A głównych problemów jest kilka.

Z pewnością należy zastanowić się nad relacjami między Radą Naczelną a Centralną Komisją Rewizyjną, w szczególności w zakresie oceny działalności GK i głosowania nad absolutorium. Być może warto rozważyć pojawiający się pomysł, aby zlikwidować CKR, przypisując jej kompetencje Radzie. Radę zaś należałoby wówczas wyraźnie nazwać najwyższą władzą ZHP pomiędzy zjazdami – m.in. określającą kierunki działań zarządu organizacji, a jednocześnie sprawującą nad nim nadzór.

Poukładania na nowo wymagają z pewnością także relacje między Radą a Główną Kwaterą. Spektrum możliwości jest olbrzymie: od większego usamodzielnienia zarządu wraz z likwidacją corocznego absolutorium po system, w którym zarząd byłby wybierany przez Radę Naczelną i podlegałby permanentnemu, drobiazgowemu nadzorowi.

Pozostaje też rzecz chyba najważniejsza do przemyślenia i mądrego uregulowania w kolejnym Statucie – kwestia relacji pomiędzy chorągwiami a władzami

naczelnymi. W tym miejscu muszę zgodzić się z komendantami chorągwi, którzy twierdzą, że trzeba zadbać, aby chorągwie nie stały się „księstwami udzielnymi”. Jednak co do recepty, mam pogląd zdecydowanie przeciwny. Sądzę, że jedynym sposobem na zachowanie jedności Związku w zakresie idei, programu czy kształcenia nie jest wzmocnienie chorągwi, ale władz naczelnych (w szczególności Naczelnika i Głównej Kwatery), aby miały silną pozycję w starciu z chorągwiami, które dzięki uzyskaniu osobowości prawnej zostały zdecydowanie wzmocnione i pozbawiły Naczelnika ZHP możliwości wykorzystywania finansowych instrumentów nacisku w celu wymuszenia na chorągwiach odpowiednich działań.

Mamy też do przemyślenia wiele zagadnień szczegółowych, jak choćby kwestię wybierania nowych delegatów na zjazd w sytuacji wygaśnięcia ich mandatu (np. na skutek odejścia z ZHP), co przy czteroletniej kadencji nie jest wcale rzadkie.

* * *

Jesteśmy więc wygrani czy przegrani? Myślę, że – wbrew pozorom i pełnym emocji opiniom – jesteśmy wygrani. Demokracja w Związku ma się dobrze, za dwa miesiące najwyższa władza potwierdzi lub nie mandat władz naczelnych, przez ostatni miesiąc doskonale poznaliśmy zawilgości Statutu, co pewnie zaprocentuje w przyszłości. A na koloniach i obozach trwa normalna praca wychowawcza... Czyli wszystko w normie.

OD AUTORA:

To mój pierwszy tekst w „Czuwaj”, który został poddany gruntownej cenzurze prewencyjnej. Tak po ludzku to oczywiście rozumiem: emocje, konflikt władz, syndrom obłąkanej twierdzy...

Co w zamian?

W poprzednich artykułach o polityce kadrowej w hufcu skoncentrowaliśmy się na tym, co nasz funkcyjny ma robić: wiemy więc, jakie cele przed nim stawiamy, jakie ma zadania, w jaki sposób będziemy go oceniać oraz jakie dajemy mu kompetencje. Słowem: mnóstwo pracy, same obowiązki, a na dodatek precyzyjny system permanentnej oceny i represji – nic, tylko zrezygnować już na starcie...

Aby starczyło energii

Na szczęście mało kto po wstępnych ustaleniach dotyczących jego przyszłej funkcji zrezygnuje z jej pełnienia. Głównie dlatego, że nowa funkcja to dla każdego duże wyzwanie, olbrzymia energia wewnętrzna i silna motywacja.

Rodzą się w tym miejscu, a właściwie powinny się zrodzić w głowie odpowiedzialnego, myślącego przyszłościowo hufcowego, pytania: na ile tej motywacji wystarczy, ile czasu można pracować dla samej satysfakcji? Różnie to bywa z tym czasem. Niestety najczęściej motywacji nie starcza na całą kadencję (na marginesie: może jest za długa?). Warto więc już na samym początku układania się do pracy ustalić, co naszemu funkcyjnemu zaoferujemy w zamian, aby motywacja do pracy trwała jak najdłużej, aby funkcja była jak najdłużej wyzwaniem.

Niektórzy pewnie się oburzą – jak to, przecież to służba instruktorska, nie można więc myśleć w kategoriach „co w zamian”? To myślenie tyleż ideowe, co niestety naiwne. Może nawet jeśli rzeczywiście idea czy poczucie misji będą cały czas motywować instruktora do działania, to pewne jest, że z czasem zniknie świeżość, pojawi się zmęczenie funkcją, a być może nawet coraz częściej wątpliwości: czy mnie to ciągle bawi, czy to mnie satysfakcjonuje, czy trzymam mnie coś więcej niż poczucie obowiązku i tak dalej...

Dlaczego więc warto myśleć o satysfakcjonowaniu, motywowaniu naszego funkcyjnego w momencie podejmowania funkcji? Z kilku powodów.

Po pierwsze, o czym było już wyżej – po prostu po to, aby utrzymać jak najdłużej satysfakcję i motywację do działania na tak wysokim poziomie, aby efekty pracy były możliwie jak najlepsze. Ale to nie wszystko.

Po drugie – warto zmienić dominujący chyba w naszym Związku sposób myślenia o obsadzaniu funkcji oraz pracy z instruktorami na funkcjach. Obecnie – oczywiście to moja subiektywna ocena – dominuje strategia cytryny. A więc jak ktoś jest chętny do pracy, to maksymalnie go wykorzystujemy, często dajemy po kilka funkcji i zupełnie nie zważamy, czy przypadkiem nie skończy się to zbyt szybkim wypaleniem. I zamiast mieć instruktora pełniącego odpowiedzialnie funkcję przez cztery lata kadencji, mamy takiego, który pracuje za dwóch albo i trzech, ale ledwo dociągnie do zjazdu sprawozdawczego.

A ja proponuję podejście inne, bardziej partnerskie, a więc tworzenie swoich kontraktów, w których – z jednej strony – określamy zadania do wykonania, mierniki oceny, kompetencje, z drugiej zaś – umawiamy się co tego, co damy tej osobie w zamian, jak będziemy ją wspierać. Takie podejście jest moim zdaniem bardzo odpowiedzialne, po prostu uczciwe.

Ale jest jeszcze trzeci aspekt. Otóż opisany wyżej system jest nie tylko uczciwszy, nie tylko lepiej motywujący, ale także wymusza większą odpowiedzialność, gdyż rodzi poczucie dwustronności układu, ekwiwalentności: praca społeczna – świadczenia ze strony organizacji. To sytuacja „coś za coś”. Oczywiście ten aspekt ma znaczenie w stosunku do osób, które nie są odpowiedzialne „dla idei”. Piszę o tym jednak, mając przekonanie, że niestety z tą ideowością bywa różnie.

Co możemy dać

Wiele osób, kiedy mówimy o świadczeniach organizacji niejako „w zamian” za pełnienie funkcji, myśli: ooo, chcą płacić. A wcale nie – tutaj zupełnie nie chodzi o pieniądze, choć oczywiście część pomysłów na to, co może hufiec dać funkcyjnemu, ma charakter finansowy.

Warto zauważyć, że formy wspierania, motywowania instruktorów mogą mieć bardzo różny charakter. Są osoby, dla których najważniejsze jest poczucie, że ich praca jest... zauważana i sprawiedliwie oceniana. Dla nich ważne będzie ustalenie zasad oceny oraz precyzyjne umówienie się co do czasu i sposobu udzielania im informacji zwrotnej. Innymi słowy: najważniejsze jest dla nich, aby systematycznie przełożony mówił im, co robią dobrze, a co źle, oraz – bardzo ważne – aby taka wspólna ocena miała charakter cykliczny. To daje im nie tylko poczucie, że ktoś dostrzega i docenia ich pracę (już to jest motywujące),

ale także wpływa na zwiększenie energii i świeżości w podejmowaniu kolejnych zadań (każda gruntowna ocena to jakby nowy początek – nowy zapał, nowe wyzwania). Dla innych najważniejsza będzie rzecz nieco podobna i też zupełnie niezwiązana z pieniędzmi – gwarancja wsparcia komendanta, maksymalna dostępność na co dzień.

Jeszcze inni oczekiwac będą pomocy w ich doksztalcaniu się. Może więc sfinansujemy komuś kurs albo jakieś warsztaty w CSI? Ale czemu nie mielibyśmy zadbać w ogóle o rozwój naszych funkcyjnych? Możemy przecież dofinansować warsztaty pozaharcerskie – zwłaszcza kiedy umiejętności z nich wyniesione będą wykorzystane w pracy z kadrą hufca.

Zdarza się, że nasza młoda kadra słyszy od swoich rodziców, że z harcerstwa chleba mieć nie będą. Sposobów pozyskania ich akceptacji może być wiele: od prostych zaświadczeń „zewnątrznych” (wolontariackich albo po odbytych szkoleniach), którymi będzie się można chwalić w swoim cv, przez umożliwienie odbycia staży studenckich (a propos: studentów dziennikarstwa zapraszam do współpracy z naszą redakcją!), aż po refundowanie kosztów internetu w domu (dzięki czemu – jak wiadomo – łatwiej studiować).

Przykładów elementów, które mogą być zawarte w umowie między hufcowym a jego funkcyjnym, może być mnóstwo – tak wiele, jak instruktorów, z których każdy jest inny, każdy potrzebuje innego wsparcia, wymaga innego sposobu motywowania. I to właśnie – indywidualne podejście – jest kluczem do optymalnego zawarcia kontraktu z każdym funkcyjnym naszego hufca. Zresztą zobaczcie sami niżej – znajdziecie tam z pewnością takie pomysły, które byłyby dla was doskonałe, motywujące, ale na pewno i takie, które przeczytacie, wątpiąc i dziwiąc się, że dla kogoś może to być istotne.

* * *

CO W ZAMIAN, czyli wsparcie

- Prenumerata własnego egzemplarza „Czuwaj”.
- Bieżący kontakt i wsparcie komendanta – spotkanie przynajmniej raz na dwa tygodnie.
- Sfinansowanie udziału przynajmniej w jednych warsztatach dla kadry kształcącej lub programowej.
- Udział w szkoleniu dla NGOs na temat pozyskiwania środków oraz pozyskiwania środków z EFS.
- Wyjazd „luźny” z komendą hufca w góry.

- Całościowy feedback raz na dwa miesiące.
- Osobista pomoc w nauce języka angielskiego.
- Udział przynajmniej w jednych warsztatach dla kadry kształcącej w CSI ZHP.
- Pomoc w kontakcie z komendantami dużych szczepli.
- Zdjęcie z głowy wszelkich obowiązków biurowatycznych związanych z funkcją.
- Pomoc w zakończeniu próby podharcemistrzowskiej.
- Możliwość kontaktu telefonicznego z komendantem o każdej porze.
- Wystawienie zaświadczeń o pracy wolontariackiej po każdym roku.
- Pomoc w załatwieniu stażu potrzebnego do zaliczenia studiów.
- Pobyt na obozie hufca gratis (bez pełnienia funkcji, czyli wypoczynkowo).
- Udział w wycieczce instruktorskiej.
- Załatwienie stażu/praktyk w firmie X (akurat starego harcerza).
- Zapewnienie ukazującej się na bieżąco literatury programowej i kształceniowej.
- Zestaw gadżetów hufcowych.
- Służbowy telefon komórkowy z limitem 50 zł.
- Możliwość codziennego korzystania z komputera hufcowego z dostępem do Internetu.
- Udział w kursie emisji głosu.

Blisko finału

Czas pomyśleć o finalizowaniu umowy. To słowo brzmi może nieco biznesowo, ale doskonale oddaje to, co powinniśmy zrobić. Musimy się bowiem umówić na pełnienie funkcji, musimy ją dokładnie opisać. Oczywiście wszystko po to, aby nie było żadnych wątpliwości:

- co jest główną ideą, o co chodzi na tej funkcji, czego generalnie się oczekuje, jakie jest główne zadanie – czyli jaka jest misja,
- jaki jest czas na wypełnianie misji, na jaki okres pracy się umawiamy (po którym nastąpi ocena, rozliczenie i decyzja, co dalej),
- jaki jest zakres obowiązków, a więc co należy robić, ale także, czego nie trzeba, a wręcz nie należy robić (bo to jest w zakresie obowiązków kogoś innego),
- w jaki sposób będzie dokonana ocena skuteczności podejmowanych działań, a więc jakie są kryteria oceny i kiedy (jak często) będzie dokonywana,
- o czym można decydować na tej funkcji, a więc jakie są kompetencje decyzyjne, w szczególności zaś w jakich sprawach funkcyjny ma głos ostateczny,
- co i kto w hufcu ofiaruje funkcyjnemu w zamian, jakiej może on oczekiwać pomocy czy – szerzej – jakiego wsparcia (bo umowa to przecież zobowiązanie obustronne – nie tylko funkcyjny coś daje z siebie, jego hufcowy także!).

Powyższymi elementami zajmowaliśmy się w poprzednich numerach „Czuwaj”. Bez nich trudno mówić o dobrze sporządzonym opisie funkcji, o właściwym umówieniu się na działanie. Ale jeszcze kilka innych elementów warto zawrzeć w takiej umowie. Może mniej oczywistych, ale bardzo przydatnych – zwłaszcza, kiedy umawiamy się na dłuższą współpracę.

Przełożony

Bardzo często problemy w bieżącej pracy, zresztą na każdym szczeblu Związku, biorą się z braku precyzyjnego określenia podległości służbowej. Pół biedy, jeśli jesteśmy np. zastępcą komendanta hufca ds. programowych czy innym funkcyjnym podlegającym bezpośrednio hufcowemu. W takiej sytuacji sprawa

jest prosta – mamy bowiem jednego szefa. Gorzej jest jednak, gdy struktura hufca, ułożenie w niej rozmaitych hufcowych agend sprawia, że jesteśmy gdzieś w środku albo – nie daj Boże! – na samym dole tej struktury. Wówczas bardzo często okazuje się, że mamy mnóstwo szefów. Na przykład instruktor namiestnictwa ma nad sobą: wicenamistników, namiestnika, zastępcę komendanta hufca ds. programowych i samego komendanta. Dodajmy do tego skarbnika i zastępcę ds. organizacyjnych, a okaże się, że z powodu nadmiaru szefów nie da się normalnie pracować!

Mówiąc krótko: jeśli nie wiadomo, komu podlegamy, wówczas o problemy w codziennej pracy nie jest trudno. Recepta wydaje się prosta: każdy funkcyjny musi wiedzieć, kto jest jego bezpośrednim przełożonym.

Podwładni

Jednak przedstawiona powyżej recepta ma jeszcze drugi składnik. Nie wystarczy bowiem, aby funkcyjny wiedział, komu podlega. Konieczne jest jeszcze, aby:

- jego przełożony wiedział, że ma takiego podwładnego i żeby czuł się za niego odpowiedzialny (to bardzo ważne!),
- inni instruktorzy wiedzieli, że system jest taki, że każdy funkcyjny ma swojego przełożonego i to on ma „monopol” na przydzielanie jemu zadań – nie można więc dawać mu dodatkowej roboty „z boku”, czyli poza wiedzą przełożonego, gdyż to ten przełożony odpowiada za „swojego człowieka” i – jako odpowiedzialny szef – wie najlepiej, czy jest on w stanie przyjąć dodatkowe zadania bez ryzyka, że zaniedba podstawowe obowiązki.

Reasumując: nie będzie zgrzytów w pracy hufca, jeśli każdy będzie wiedział, komu podlega i za kogo sam jest odpowiedzialny. To takie oczywiste i proste, prawda?

Czas

Jednym z najczęstszych zarzutów pojawiających się podczas oceniania pracy instruktorów na rozmaitych funkcjach, jest stwierdzenie o ich zbyt małej inicjatywie, o zbyt małym zaangażowaniu w pełnienie funkcji. Pewnie źródłem problemu jest w wielu przypadkach zwykłe lenistwo, brak satysfakcji czy po

prostu znudzenie funkcją (notabene: jest to koronny argument za planowaniem zmienności na funkcji!). Jednakże często sednem problemu jest czas – przełożony chciałby, aby jego funkcyjny poświęcał więcej czasu na rozmaite zadania, instruktor zaś nie jest w stanie sprostać tym oczekiwaniom, gdyż ma na głowie studia, rodzinę. I – powiedzmy dla jasności – są to rzeczy o wiele ważniejsze niż harcerstwo.

Szczerze mówiąc, taki konflikt jest trudny do uniknięcia, ponieważ dla przełożonego zawsze (no, prawie zawsze) jego podwładny za mało się angażuje. Co więc zrobić, aby nie było pretensji związanych z czasem? Czy można uniknąć takich problemów?

Najlepiej precyzyjne ustalenia dotyczące czasu zawrzeć w umowie sporządzanej jeszcze przed objęciem funkcji. Mam oczywiście świadomość, że to bardzo trudne, gdyż zanim zdobędziemy nieco doświadczeń, zanim w praktyce okaże się, jak czasochłonna jest określona funkcja, nasze myślenie o niej jest odrealnione – z reguły zbyt optymistyczne. Trudno się dziwić – przecież po otrzymaniu propozycji pełnienia jakiejś ważnej funkcji jesteśmy pełni zapału, optymizmu, wierzymy, że nam się uda, a na dodatek wszyscy wkoło nas motywują, wzmacniając nasze przekonanie, że to wszystko pestka, że bez trudu damy sobie radę. Przesadny optymizm czy – mówiąc brutalniej – naiwność jest w tym momencie rzeczą normalną. Wiedząc o tym, musimy jednak zdobyć się na chwilę refleksji i rzeczowo zastanowić się, jak to jest z tym czasem. Sądzę, że taki obowiązek spoczywa przede wszystkim na komendancie hufca jako osobie bardziej doświadczonej, świadomej i odpowiedzialnej.

Ustalenia dotyczące czasu powinniśmy zacząć od podstawowego pytania: ile nasz funkcyjny może poświęcić czasu na realizowanie swoich zadań? To kluczowe pytanie, na które odpowiedź powinniśmy otrzymać właściwie na samym początku rozmowy z kandydatem na każdą funkcję. Bowiemy hufcowy, proponując komuś objęcie konkretnej funkcji, wie (czytaj: powinien wiedzieć), czego oczekuje, a więc także ma świadomość, z jakim obciążeniem czasowym jest ona związana. Zatem szczerą odpowiedź kandydata jest pierwszą ważną weryfikacją jego kandydatury.

No właśnie, odpowiedź ma być szczerą, realną, odpowiadającą stanowi faktycznemu, a przecież, o czym pisałem wyżej, mamy do czynienia z osobą pełną energii, optymizmu, umniejszającą potencjalne problemy. Nie oczekujemy więc od niej realnej oceny swoich możliwości czasowych. Dlatego to hufcowy winien po rozmowie określić, czy kandydat na funkcję dysponuje odpowiednim czasem, by się jej podjąć. Powinien to uczynić przede wszystkim w interesie hufca, aby za kilka miesięcy czy za rok nie okazało się, że jednak ktoś nie jest w stanie

podolać swej funkcji. Oczywiście wszystkiego nie przewidzimy – może ktoś z przyczyn losowych być zmuszony do podjęcia dodatkowej pracy, mogą komuś się urodzić czworaczki i tak dalej. Słowem: samo życie...

Wiedząc, ile czasu może poświęcić nasz przyszły namiestnik czy programowiec, siądźmy razem i określmy czas, jaki należy poświęcić na wykonanie wszystkich zadań. Aby nie były to jedynie ćwiczenia na papierze, ale realne, później przestrzegane ustalenia, róbmy to, trzymając się następujących zasad:

- 1) Najpierw określmy, ile czasu zajmą stałe elementy (np. dyżury, zbiórki komendy hufca), potem te, które są konieczne dla osiągnięcia celów, ale są zmienne (np. szkolenia, spotkania namiestnictwa), na końcu zaś miejmy rezerwę, którą można poświęcić na działania dodatkowe (konsultacje, dodatkowe spotkania itd.).
- 2) Ustalmy, że będziemy dokonywać okresowych kontroli, np. raz na kwartał sprawdzimy, czy określenie czasu się sprawdza, a także czy nie zmieniły się możliwości czasowe.
- 3) Jeśli tylko zmieni się coś w życiu funkcyjnego, co sprawi, że będzie miał mniej czasu – należy reagować błyskawicznie, bowiem lepiej zawczasu dokonać weryfikacji ustaleń i zmniejszyć liczbę zadań do realizacji, niż czekać, ryzykując, że za chwilę jakieś ważne zadania nie zostaną wykonane albo będą wykonane na niezadowalającym poziomie.

* * *

I to właściwie komplet zagadnień, które składają się na opis funkcji. Jest jednak coś jeszcze, co może wydawać się dziwne w momencie podejmowania nowych zadań. Chodzi o to, co dalej, jaka dalsza „kariera” czeka naszego namiestnika, programowca czy kształceniowca? To bardzo ciekawe pytania, ale odpowiedzi na nie znajdziesz w następnym numerze...

Zatoczyliśmy koło

Już w pierwszym odcinku o polityce kadrowej użyłem sformułowania, że mamy do czynienia z cyklem, a więc procesem, który stanowi pewną zamkniętą całość i jest powtarzalny. Czy rzeczywiście?

Zaczynamy od pozyskania kandydata na określoną funkcję (pamiętacie, jak zastanawialiśmy się nad źródłami pozyskiwania kadry?). Następnie uzgadniamy z naszym kandydatem szczegóły związane z jego pracą – czego od niego oczekujemy, jakie ma zadania, jakie otrzymuje od nas kompetencje, kiedy i jak będzie oceniany, oraz co zapewnimy mu w zamian, jak będzie wspierany na swojej funkcji. Krótko mówiąc: opisujemy jego funkcję. Po mianowaniu przychodzi czas pracy na funkcji, a w tym czasie dbamy o dalszy rozwój instruktora, w szczególności o doksztalcanie do pełnionej funkcji, a także zapewniamy mu wsparcie – zgodnie z naszą umową. Na koniec okresu sprawowania funkcji, na jaki się umówiliśmy (optymalnie: na koniec kadencji), następuje ocena i podejmujemy wspólnie decyzję dotyczącą przyszłości. Jaka to może być decyzja? Możliwości są trzy:

- Może się okazać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, a miniony okres pełnienia funkcji sprawił, że nasz instruktor tak naprawdę dopiero teraz jest bardzo dobrze przygotowany do jej pełnienia. Nie jest absolutnie nią znudzony, ma cały czas silną motywację, a jej pełnienie sprawia i najpewniej dalej będzie sprawiać mu ogromną satysfakcję. Słowem: jest idealnym kandydatem do objęcia tej funkcji na kolejny okres.
- Istnieje też możliwość, że czas pełnienia określonej funkcji był tak długi, że nasz instruktor osiągnął na niej właściwie wszystko, co mógł. Jest więc prawdopodobne, że dalsze jej pełnienie nie byłoby celowe, gdyż nie znalazłby w sobie wystarczającej motywacji. Ponadto przez czas pełnienia funkcji dojrzał jako człowiek, z pewnością rozwinął się instruktorsko, jest więc gotowy do podjęcia nowych wyzwań, które znów będą sprawiały mu olbrzymią satysfakcję, będą dla niego motywujące. Jeśli do tego okazuje się, że został wykształcony jego następcą, wówczas rozwiązanie jest oczywiste – nasz in-

struktor powinien ustąpić miejsca swemu następcy, odejść z dotychczasowej funkcji i podjąć się nowej.

- Jest, niestety, także wariant trzeci – nasz funkcyjny chce odejść z funkcji, gdyż dalsza praca nie sprawiałaby mu satysfakcji (a wiemy, że wyłącznie z poczucia służby nie da się zbyt długo dobrze wykonywać powierzonych zadań). Dodatkowo inne okoliczności, np. zmęczenie funkcją i chęć odsunięcia się na dalszy plan, podjęcie pracy zawodowej, założenie rodziny, mogą sprawić, że – świadomie, bardzo odpowiedzialnie – nie chce podejmować się nowych zadań. Wówczas decyduje się na zakończenie swojej instruktorskiej aktywności.

Kontynuacja

Pierwsze dwa warianty, a więc dalsze pełnienie funkcji oraz zmiana funkcji, są w oczywisty sposób domknięciem cyklu. Bowiem źródłem kadry (pierwszy element cyklu) staje się... osoba dotąd ją pełniąca.

Z doświadczenia wiemy, że powierzenie funkcji osobie, która dotąd ją pełniła, jest naturalnym, bardzo częstym sposobem obsadzania funkcji w hufcu. Musimy jednak mieć świadomość, że nie jest to wcale rozwiązanie optymalne. Ma bowiem kilka poważnych wad:

- Blokuję dynamiczny rozwój samego funkcyjnego – jasne jest, że podejmując się nowej funkcji, miałby zdecydowanie większe możliwości rozwoju.
- Blokuję rozwój młodszych instruktorów, którzy być może już dojrżeli do danej funkcji, ale nie mogą jej objąć, bo mamy „etatowego” szczepegowego, programowca czy namiestnika...
- Nie wykorzystuje optymalnie wewnętrznych motywacji instruktorów. „Stary” funkcyjny nie ma już tak dużej motywacji jak na początku pełnienia funkcji (a ile może być tzw. nowych początków?), a motywacja młodszego instruktora, który mentalnie jest gotowy do podjęcia się nowego wyzwania, który jest w idealnym momencie do objęcia funkcji, zostaje zmarnowana, bo przecież być „wice” i działać na własny rachunek to nie to samo.
- Nie pozwala budować w umysłach młodych instruktorów swojej wizji służby instruktorskiej – nie widzą oni perspektyw, nie widzą możliwości rozwoju, nie widzą szans, aby się przebić. W efekcie często odchodzą z organizacji.

O tym, jak ważny jest to problem, świadczyć może fakt, że statutowo wprowadzono kadencyjność, a więc ograniczenie w długości pełnienia kilku kluczowych funkcji w Związku. W hufcu dotyczy to funkcji hufcowego.

Zmiana funkcji

Powyższych wad jest pozbawiony drugi z przedstawionych wariantów, a więc zmiana funkcji. Źródłem kadry (pierwszy element cyklu) staje się tu kadra, która pełniła wcześniej inne funkcje, która sprawdziła się w działaniu, a dzięki nabywaniu doświadczeń, dzięki kształceniu jest przygotowana do objęcia nowej funkcji.

Sądzę, że właśnie zmienność na funkcjach jest najlepszym rozwiązaniem dla organizacji, najbardziej sprzyjającym jej rozwojowi. To powinien być naturalny sposób obsadzania funkcji w hufcach! Co zrobić, aby tak się stało?

Przede wszystkim należy dobrze zrozumieć istotę cyklu polityki kadrowej, którego sednem jest stały rozwój naszych instruktorów. Warto go z nimi świądomie, długoterminowo planować. Niech wiedzą, jak mogą się rozwinąć przez pełnienie funkcji w ZHP, niech mają ułożoną w głowach własną „ścieżkę kariery” czy – mniej biznesowo – „ścieżkę instruktorskiego rozwoju”. Niech drużynowy wie, że może w przyszłości objąć funkcję wicenamiestnika, a potem namiestnika, programowca czy kształceniowca hufca. Niech wie, że nie są to funkcje dla niego niedostępne, o ile będzie dobry w tym, co robi. No właśnie, to bardzo ważne: niech dobór instruktorów do funkcji świadczy o tym, że kompetencje merytoryczne i umiejętność pracy z ludźmi – to są główne kryteria awansu instruktorskiego.

Jeśli kogoś nie przekonuje taka argumentacja, to użyj jeszcze jednego argumentu, bardziej pragmatycznego. Warto poświęcić sporo wysiłku na umiejętną pracę z kadrami, gdyż widać, że kadra, z którą dobrze pracujemy, która jest zmotywowana, a jednocześnie nie jest wyeksploatowana, nie odchodzi, zostaje w organizacji i podejmuje nowe wyzwania. Gdy do tego zapewnimy sobie dopływ na funkcje hufcowe nowych osób z drużyn i szczepów, wówczas okaże się, że nie mamy prawa mieć jakichkolwiek problemów kadrowych!

Na dalszy plan

Jak pamiętamy, ostatnią z przedstawionych możliwości po dokonaniu oceny było wycofanie się z instruktorskiej aktywności. Jednak taki moment wcale nie oznacza, że ktoś musi odejść z organizacji! Być może, kiedy nieco odpocznie, kiedy ułoży sobie życie, wróci do nas – starszy, bardziej doświadczony życiowo i bezcenny jako kandydat na jakąś funkcję. Stanie się więc dla nas... źródłem kadry. Widać więc, że jednak w polityce kadrowej w hufcu mamy do czynienia z cyklem.

Co było do udowodnienia.

Biję się w piersi

11 lat temu zostałem kierownikiem Wydziału Promocji i Informacji Głównej Kwatery ZHP. Pełniłem tę funkcję (z przerwą) przez jakiś czas, wydałem kilka lat później książkę „Jak promować harcerstwo”, z której wielu „promotorów” korzysta do dziś. Na różnego rodzaju kursach i szkoleniach prowadziłem zajęcia promocyjne dla kilkuset instruktorów z całej Polski. Słowem, choć brzmi to pewnie mocno nieskromnie, pewnie jest jakaś (wcale niemała) część moich zasług w tym, jak dziś się promuje w ZHP. Ale czy rzeczywiście zasług? Z perspektywy ponad dziesięciu lat widzę, że popełniłem wiele błędów. Dziś widzę, że trzeba było działać inaczej. Może wtedy nie byłoby różnych problemów z promocją? Jest ich sporo, ale dwa budzą mój szczególny niepokój.

Po pierwsze: propaganda, a nie promocja

Ciągle wiele osób zajmujących się promocją (na różnych szczeblach naszej organizacji) postrzega ją jako coś samodzielnego, niezależnego od innych naszych działań, jakby nie widząc bezpośredniego związku między codzienną działalnością ZHP, w szczególności działaniami programowymi, a wizerunkiem.

Tłumaczę to zjawisko zwykle na następującym przykładzie. Gdybym miał trochę pieniędzy, to bez trudu mógłbym przygotować kampanię wizerunkową, dzięki której rodzice potencjalnych harcerzy byliby przekonani, że harcerstwo to pożyteczny i bezpieczny sposób spędzania wolnego czasu przez ich dzieci. Można byłoby także stworzyć wśród dzieci modę na harcerstwo. To naprawdę dałoby się zrobić. Ale co z tego, skoro dziecko przyszyłoby na pierwszą zbiórkę i zaczęło uczyć się łopatologicznie symboliki lilijki i krzyża, na następnej historii harcerstwa, na kolejnych „sznurkologii”, historii drużyny i regulaminów – a wszystko w nieciekawej oprawie pod przewodnictwem mało charyzmatycznego drużynowego... A gdzie przygoda, gdzie pasja, gdzie radość, gdzie rozwijanie zainteresowań? No właśnie – pewnie okazałoby się, że były wyłącznie chwytami reklamowym.

Tu dochodzimy do sedna: możemy prowadzić działania marketingowe, możemy przekonać rodziców i dzieci, że harcerstwo jest atrakcyjne. Ale to będzie propaganda dopóty, dopóki rzeczywiście harcerstwo takie nie będzie naprawdę.

Nie da się prowadzić solidnej, uczciwej promocji, nie da się przekonać ludzi, że harcerstwo jest świetne bez wcześniejszego (lub przynajmniej równoległego) podjęcia działań, które sprawią, że faktycznie takie będzie. Rzecz jasna mowa o działaniach zmierzających do uatrakcyjnienia programu i wyszkolenia doskonałych, charyzmatycznych drużynowych.

Reasumując: zmiana wizerunku nie może być efektem działań promocyjnych (właściwie: propagandowych), musi być – patrząc długofalowo – efektem autentycznej zmiany naszej organizacji!

Po drugie: parcie na szkło

Wiele osób zajmujących się w ZHP promocją cierpi na przypadłość, która najczęściej dopada polityków i jest przez dziennikarzy i PR-owców określana nieco pogardliwie „parciem na szkło”. Rzecz w tym, aby się pokazać, aby załbysnąć w mediach. Mamy więc coraz więcej rzeczników prasowych, speców od promocji czy PR-u, którzy zajmują się w istocie jedynie małym wycinkiem *public relations* określanym mianem *media relations*.

Co w tym złego? Ano to, że osoby zajmujące się promocją w ZHP najchętniej zajmują się działaniami skierowanymi wyłącznie do jednej grupy – do mediów. Czasem jeszcze prowadzą tzw. wewnętrzny PR (sprowadzający się jednak głównie do gadżetów). A tymczasem zupełnie zaniedbana jest praca promocyjna z dwiema grupami dla nas bezapelacyjnie najważniejszymi – rodzicami oraz dziećmi – potencjalnymi członkami naszej organizacji.

I chyba właśnie o to mam do siebie największe pretensje: bo przecież powinienem przewidzieć, że ktoś, kto odpowiada za promocję, będzie podejmować takie działania, które są lepiej widoczne (wystąpienie w telewizji, artykuł w prasie) i przynoszące względną sławę i tym samym satysfakcję. A PR skierowany do rodziców czy dzieci? Cóż, on jest mało spektakularny, a przede wszystkim trudno zobaczyć jego bezpośrednie efekty (bo kto wie, czy wzrost liczebności gromad i drużyn to efekt działań promocyjnych, kształceniowych czy programowych w hufcu?).

Biję się więc w piersi za swoje błędy. Jedno, co mnie może jakoś usprawiedliwiać, to fakt, że wówczas, gdy startowałem z promocją w GK ZHP, rzeczy, które dziś są oczywiste, były traktowane jak moje widzimisię. Pamiętam, jak kilka miesięcy musiałem przekonywać, aby zrobić badania wizerunku harcerstwa, pamiętam, jak pomyśl, byśmy mieli logo ZHP, uznano za zamach na krzyż harcerski i podważanie „tradycji i wysiłku pokoleń harcerskich”. Pamiętam, że szkoda było pieniędzy na stronę internetową ZHP (która jednak ruszyła od stycznia 1997 r.)... Ech, to były zupełnie inne czasy.

Instruktorzy, dyskutujmy!

Od kiedy pamiętam, w naszym Związku trudno rozmawiało się na tematy trudne. Ciężko było publicznie, choćby na łamach harcerskiej prasy, podejmować dyskusje o problemach, które mają dla naszej organizacji złe skutki – ideowe, organizacyjne czy wizerunkowe.

Zamiast podjąć instruktorską rozmowę o przyczynach problemu, jego skali, możliwościach poradzenia sobie z nim albo przynajmniej zminimalizowania dolegliwości dla ZHP, zwykle brało górę myślenie typu „lepiej nie mówmy o tym głośno”.

Takie stwierdzenia słyszałem, kiedy 10 lat temu pisałem w „Czuwaj”, jak to instruktorzy, niestety, piją i palą. To samo usłyszałem, kiedy dwa lata temu pisaliśmy o komendancie, który na stronie internetowej hufca prezentował swoje zdjęcie z papierosem w ręku.

Motyw ten powrócił blisko rok temu, kiedy opublikowaliśmy oświadczenie Ruchu Całym Życiem kończącego swoją działalność. Bo myślenie, aby „nie dyskutować”, tyczy nie tylko spraw raczej zgodnie uznawanych za problemy (np. postawa części instruktorów), ale także spraw kontrowersyjnych albo po prostu takich, gdzie nie ma jednej objawionej prawdy, a różni instruktorzy mają prawo mieć odmienne poglądy.

W styczniu, przed miesiącem, znów usłyszałem ten refren: „lepiej nie mówmy o tym głośno”, kiedy członkowie NSH nie chcieli odpowiedzieć na łamach „Czuwaj” na tekst hm. Piotra Kowalskiego z numeru grudniowego. A szkoda, bo było o czym pisać: o granicach i formach krytyki instruktorskiej, o stylu rozmowy harcistrzów z harcistrzami, o niedoskonałościach Statutu, o pozycji Naczelnego Sądu Harcerskiego, o przygotowaniu do pełnienia funkcji w NSH, o roli „Czuwaj” w inicjowaniu dyskusji instruktorskiej, no i oczywiście merytorycznie o samej sprawie.

Przyznaję, że jestem w stanie zrozumieć taki sposób myślenia – lepiej nie wszczynać publicznie awantur, nie poruszać kwestii kontrowersyjnych, lecz po-

kazywać, jak wspaniała jest nasza organizacja, ile w niej dobrego się dzieje. Rozumiem to, choć uważam, że jest to myślenie dla nas szkodliwe, utrudniające przewycięzanie problemów i unikanie błędów w przyszłości.

Ostatnio widzę jednak nowe, dużo poważniejsze zjawisko – z przerażeniem zauważam, że w dyskusji o tym, co dzieje się w Związku, zaczyna królować autocenzura. Przykłady?

Jestem na zebraniu Naczelnego Sądu Harcerskiego. Kilka osób z dezaprobatą wypowiada się o tym, że instruktor odrzucony jako kandydat do GK ZHP przez Zjazd – najwyższą władzę ZHP – mimo tej wyraźnie negatywnej oceny pełni kluczowe role w Głównej Kwaterze. No to może trzeba o tym głośno powiedzieć? Może warto zastanowić się, czy to rzeczywiście naganne, czy może jednak wszystko jest w porządku, gdyż oczywistym prawem Naczelnika ZHP jest swobodny dobór współpracowników? Niestety, takiej dyskusji nie będzie – nie ma woli, aby porozmawiać o tym otwarcie.

Rozmowa z członkami Rady Naczelnej. Jako kuriozalne uznają to, że jedną z najbardziej eksponowanych, znaczących funkcji wykonawczych w Głównej Kwaterze – komendanta Centralnej Szkoły Instruktorskiej ma pełnić instruktor, który jest wiceprzewodniczącym ZHP, a więc członkiem Rady Naczelnej nadzorującej przeciw działania Głównej Kwatery. Czy połączenie tych ról jest rzeczywiście kuriozalne, czy możemy tu mówić o konflikcie interesów? A może to pojęcie w ogóle nie ma racji bytu w odniesieniu do działalności harcerskiej, społecznej? Niestety, takiej niewątpliwie ciekawej dyskusji nie będzie – nie ma woli albo odwagi, aby ją podjąć.

Kilkoro dojrzałych harcmistrzów stwierdza, że według nich protektorat Prezydenta RP nad harcerstwem nie jest wcale jednoznacznie dla nas dobry, że przy tej okazji powinniśmy zastanowić się nad miejscem ZHP w całym ruchu harcerskim. Jednak nie zastanowimy się nad tym – żaden z nich nie podejmie publicznie dyskusji na ten temat, nie przedstawi swoich poglądów. Bo nie można?

Grupa doświadczonych instruktorów, pełniących istotne funkcje w chorągwiach narzeka, że źle jest, iż zdecydowaną większość funkcji w Głównej Kwaterze obejmują instruktorzy z Warszawy, szczególnie z jednego hufca, a przy tym często różne zasady (np. przyznawania odznak kadry kształcącej) i konieczne doświadczenie traktowane są w GK z przymrużeniem oka. Twierdzą, że to psucie systemu i marginalizowanie „terenu”. Niestety, nie podzielił się swoimi wątpliwościami z członkami władz naczelnych. Ze strachu?

Coś dziwnego się dzieje w naszym Związku, tym bardziej że kluczowe role we władzach naczelnych odgrywają instruktorzy, którzy wyrosli w środowiskach, gdzie prawda, uczciwość, otwartość zawsze były stawiane na pierwszym

miejscu. Skąd więc przekonanie, że członkowie czy Głównej Kwatery, czy Rady Naczelnej chcą słyszeć same pochwały i są zamknięci na głosy krytyki? Co takiego sprawia, że w wielu instruktorskich umysłach rodzi się pokusa autocenzury, a może nawet strach, żeby powiedzieć: „ja sędzę inaczej”?

Jeśli ktoś myśli, że samoograniczanie dyskusji w gronie instruktorskim – o tym, co dobre dla naszego Związku, a co nie, które działania władz wyznaczają dobre standardy, a które nie mieszczą się w nich – jest dla ZHP dobre, to się myli. Jestem przekonany, że członkowie władz naczelnych bardzo chętnie uzyskaliby informację zwrotną na temat swojej pracy, że bardzo chętnie dowiedzieliby się, co naprawdę o ich działalności myślą instruktorzy, a szczególnie instruktorska elita – harcmistrzowie.

Apeluję więc o odwagę dyskusji, odwagę wygłaszania poglądów „po linii” i „nie po linii”. Zgodnie z własnym sumieniem. Każda dyskusja jest twórcza, harcerska i rozwijająca!

OD AUTORA:

W tekście jest mowa o artykule hm. Piotra Kowalskiego pt. „Lex Bednarczyk”, w którym autor piętnował wykładnię Statutu ZHP dokonaną przez NSH na zjeździe nadzwyczajnym w Bydgoszczy.

Być harcmistrzem

To, jakim będziemy harcmistrzem, w dużej mierze zależy od tego, kiedy nim zostaniemy, w jakim momencie swojego życia. Najczęściej mamy do czynienia z dwiema skrajnymi możliwościami – czas nominacji harcmistrzowskiej przychodzi zbyt wcześnie lub zbyt późno.

Czy jednak ma to jakieś istotne, praktyczne znaczenie dla Związku, dla samego instruktora? Jestem przekonany, że ma.

Zdecydowanie więcej jestem w stanie powiedzieć o harcmistrzowskim wczesniactwie, bo sam, niestety, jestem jego przykładem – wszak zostałem harcmistrzem w wieku 21 lat. Oczywiście wówczas wydawało mi się, że jestem u szczytu swej instruktorskiej aktywności, że teraz tylko trzeba sięgnąć po tę czerwoną podkładkę, a potem... będzie już z górki. O, jak bardzo się myliłem! Nie było z górki i cały czas nie jest z górki – cały czas pojawiają się nowe szczyty, które muszę, które chcę zdobywać. I gdybym teraz, z perspektywy wielu lat, miał powiedzieć, dlaczego nie warto zostać harcmistrzem zbyt wcześnie, wskazałbym na dwie zasadnicze trudności. Po pierwsze: mając ten najwyższy stopień instruktorski powinniśmy być gotowi na doskonalenie się z wykorzystaniem innych bodźców, powinniśmy umieć cały czas znajdować w sobie motywację do działania. To, jak pamiętam, było bardzo trudne dla mnie – miałem przy nazwisku hm., HR – i co dalej, skoro do tej pory dwudziestolatka najbardziej „kręciło” zdobywanie stopni? Ja na to gotowy jeszcze nie byłem. Po drugie: dopiero nosząc pod krzyżem czerwoną podkładkę uświadomiłem sobie (może przesadnie), że instruktorzy wokół patrzą na mnie, że ode mnie – harcmistrza wymagają więcej, że nie mogą pozwolić sobie na jakąś instruktorską wpadkę, nie mogą czegoś odpuścić. Na to również nie byłem przygotowany...

Z moich obserwacji wynika, że równie wielu, co harcmistrzowskich wczesniaków, jest tych, którzy ów stopień zdobywają za późno. I – wbrew pozorom – nie jest to wcale dużo lepsza sytuacja niż opisana wcześniej. Dlaczego? Ponieważ stopień zdobywany zbyt późno, a więc na przykład po okresie największej aktywności w ZHP, to konieczność wymyślania na siłę zadań, to często zdobywanie harcmistrza *honoris causa* – podczas gdy wcześniej, podczas pełnienia

istotnej funkcji, próba ułożyłaby się i realizowała niemalże „sama”. Zbyt późne zostanie harcmistrzem to także za późny zastrzyk motywacji – tej, która jakże potrzebna była wcześniej. Za późna nominacja harcmistrzowska to wreszcie zmarnowany czas, kiedy można było innym dać wiele będąc opiekunem prób podharcmistrzowskich i harcmistrzowskich. Widać więc, że są to straty nie tylko dla samego instruktora, ale i dla Związku.

* * *

Od strony przepisów wygląda to tak: w wieku 16 lat otwieramy próbę przewodnikowską, mając 17 lat składamy Zobowiązanie Instruktorskie, rok później otwieramy próbę podharcmistrzowską i w wieku 19 jesteśmy podharcmistrzami, dwa lata później otwieramy próbę harcmistrzowską, która trwa pewnie dwa lata. Gdy dodamy do tego, że próby trwają nieco dłużej, a praca instruktorska między kolejnymi próbami też jest dłuższa niż minimalne okresy karencji, wówczas widzimy, że czas na zostanie harcmistrzem to wiek przynajmniej 24-25 lat.

Tak to wygląda regulaminowo, ale życie jest życiem, każdy z nas jest inny, każdy ma inne doświadczenia... Zatem każdy podharcmistrz powinien sam sobie odpowiedzieć na pytanie, czy przyszedł jego harcmistrzowski czas. A zadaniem każdego harcmistrza – komendanta, kształceniowca, opiekuna próby, mentora, autorytetu jest pomóc młodszym instruktorom, aby zostali harcmistrzami (to najważniejsze!), ale także, aby to było w najwłaściwszym czasie.

Tani Związek

Od kilku lat zawrotną karierę robi w Polsce hasło „tanie państwo”. Trudno się dziwić – cały czas jesteśmy krajem na dorobku i jeszcze przez wiele lat będziemy musieli myśleć o wydatkach z państwowej kasy przez pryzmat dziury budżetowej. A zresztą, nawet gdy już będziemy naprawdę bogaci, to nie znaczy, że będzie można szastać publicznymi pieniędzmi. Ale jest jeszcze coś – to hasło odnosi się oczywiście do aparatu państwa i jego wydatków. A ów aparat cały czas postrzegany jest przez sporą część społeczeństwa jako zło konieczne. Aparat państwa – siła nacisku, państwo autorytarne, biurokratyczna machina, państwo kontra obywatel... Takie skojarzenia budzą się w umysłach wielu ludzi. Czy więc może dziwić, że „tanie państwo” nie stało się rzeczywistym programem na poprawę jakości państwowej administracji, lecz populistycznym hasłem partii i partyjek od prawa do lewa?

Jednak ostatnio zauważam z ciekawością, że coraz częściej hasłu „tanie państwo”, mimo jego całego ładunku populistycznego, przeciwstawiane jest określenie „sprawne państwo”. Coraz częściej mówi się o tym, że państwo ma być przede wszystkim nie tanie, ale skuteczne. Że taniałość nie jest wartością samą w sobie, ale sprawność struktur państwa, szybkie, skuteczne i praworzędne działania – już tak.

Dlaczego o tym piszę? Ponieważ widzę tu głębokie analogie z tym, co dzieje się w naszym Związku.

Od wielu lat nasza organizacja boryka się z problemami finansowymi. Długi, komornicy, zajęte konta, cięcia wydatków – to nasza związkowa codzienność. Czy więc może dziwić negatywny stosunek wielu instruktorów do kosztów, jakie generują harcerskie struktury, szczególnie tych, które związane są z płacami? A gdy do tego dołożymy jeszcze myślenie o działaniu w naszej organizacji nie w kategorii pracy w trzecim sektorze, ale opłacania tego, co winno być misją, służbą instruktorską – wówczas staje się jasne, dlaczego praca zarobkowa w harcerstwie nie cieszy się prestiżem, ba, często nawet jest traktowana z pogardą jako dowód nieudacznictwa życiowego etatowych instruktorów, braku wyższych celów, ambicji itd.

Jestem przekonany, że to dominujący sposób myślenia. Dlatego nie dziwi, że na wielu zjazdach (od zjazdów hufców po zjazd ZHP) częstym argumentem, niezwykle mocnym, mającym przekonać niezdecydowanych do kandydata jest argument, że oto będziemy mieć tani hufiec/tanią chorągiew/tani Związek (niepotrzebne skreślić). Że dzięki pracy społecznej wszystkim się poprawi.

Dla jasności: to, o czym piszę, nie znaczy wcale, że jestem zwolennikiem zatrudniania komendantów czy członków komend. Absolutnie nie, zresztą sam jestem społecznym komendantem jednego z największych hufców w Polsce. I uważam, że osoby pełniące funkcje z wyboru Z ZASADY powinny pracować społecznie, choćby po to, aby ich motywacja do reelekcji miała wyłącznie pozafinansowy charakter.

Tu chodzi o coś zupełnie innego: otóż jestem przeciwny twierdzeniu, że społecznie to zawsze lepiej, że bez pracowników to zawsze skuteczniej. Zgodzę się, że społecznie to taniej. Chociaż?... Nie wiadomo, czy per saldo nie wyjdzie drożej. Czy więcej nie będą nas kosztować niepodjęte na czas decyzje, nieprofesjonalnie przygotowane dokumenty, zaniechania wynikające z tego, że ktoś coś robi społecznie, że nie na wszystko ma czas, że nie ma kogoś, kto zawodowo, profesjonalnie dba o jakiś aspekt funkcjonowania mniejszego czy większego kawałka ZHP.

Czy to znaczy, że komendanci mają być na etatach? Pisałem już wyżej – oczywiście, że nie. Jest przecież wiele innych metod zapewnienia profesjonalnego funkcjonowania komendy – od szerokiego wsparcia wyłącznie społecznych zespołów, przez zatrudnianie na umowy cywilnoprawne, outsourcing rozmaitych usług, aż po zatrudnianie na normalną umowę o pracę profesjonalistów w zarządzaniu, kierowników projektów itd.

Najważniejsze jest, aby dokonując wyboru którejs z powyższych albo jeszcze innej formy, mieć na względzie przede wszystkim skuteczność działania struktur naszej organizacji. To ona, ta wysoka skuteczność, powinna być zasadniczym celem. A myślenie w kategoriach, że zatrudnianie kogokolwiek będzie źle odebrane, że nie jest mile widziane – to powinno mieć drugorzędne znaczenie. Albo w ogóle znaczenia mieć nie powinno.

Baza-karmicielka

Różne mamy hufce w Związku Harcerstwa Polskiego. Jedne mają przede wszystkim cudowne zuchy i świetnych harcerzy, inne wspaniałą, zaangażowaną kadre, są (na szczęście) takie, które mają i jedno, i drugie. Ale są też hufce, które mają przede wszystkim... bazę.

Baza jest rzeczą w takim hufcu najważniejszą. Bo to wokół niej skupia się zdecydowana większość aktywności kadry.

Tak naprawdę wszystko zaczyna się wczesną wiosną, a w przypadku bardziej przezornych, nawet zimą. Wtedy trzeba zacząć się bardzo intensywnie reklamować, bo to daje szansę, że zgłosi się do nas kilka środowisk z różnych części Polski – środowisk, które oczywiście preferują obozowanie w bazach. Dodatkowo, aby zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu, oferujemy specjalne „motywatory” dla kadry, np. zatrudnienie na umowę zlecenia. W ten oto sposób zapełnimy naszą bazę na część jednego turnusu, a może nawet na kilka?

No ale baza musi być zapełniona przez cały okres wakacji, tak więc trzeba znaleźć jeszcze trochę dzieciaków. W hufcu jest nawet kilka drużyn i oczywistą oczywistością jest, że ich obóz będzie „na hufcowej bazie”. Już komenda hufca się o to postara. Malkontenci twierdzą, że to ogranicza swobodę drużyn, że to drużyny powinny same decydować o sposobie spędzenia harcerskich wakacji. Ale przecież równie dobrze można stwierdzić, że wyjazd na hufcową bazę to... tradycja. Nieźle brzmi prawda? W sumie rzeczywiście to tradycja, skoro gromady i drużyny jeżdżą do hufcowej bazy „od zawsze”...

Ojej, może się jednak okazać, że ciągle nasza hufcowa baza nie ma pełnego obłożenia przez całe wakacje! Ale nie szkodzi, przecież od lat w kwietniu-maju wystarczy rozwiesić troszkę plakatów, poroznosić trochę ulotek i znajdzie się spora grupa cywili, którzy zapewnią nam 100% wykorzystania bazy.

A więc sukces! Baza zarobi na sobie oraz na kadre hufca. Z pewnością starczy pieniędzy na wiele miesięcy, ściślej – do następnych wakacji, kiedy nasza baza-karmicielka da nam kolejny rok utrzymania. Słowem: perfekcyjny system!

W każdym tygodniu dostaję po kilka maili – reklamówek baz harcerskich. Mam nadzieję, że z hufców, w których oprócz bazy mają także dzieciaki i kadre, która wie, jak sensownie pracować i chce „robić” z nimi harcerstwo.

Koniecznie harcmistrz?

Kiedy pisałem półtora roku temu „temat z okładki” o naszej instruktorskiej elicie – harcmistrzach, wskazywałem, że ze zdobycia najwyższego stopnia instruktorskiego nie wynikają zbyt duże nowe uprawnienia. I że – być może – to jest przyczyna, iż młodzi podharcmistrzowie nie szturmują KSI, aby otworzyć próbę harcmistrzowską. Efekt: harcmistrzów w wieku poniżej 40 lat mamy niewiele ponad 10%.

Ale czy konkretne uprawnienia, takie jak pełnienie funkcji w sądach harcerskich, KSI czy możliwość opiekowania się próbami instruktorskimi powinny być główną motywacją do bycia harcmistrzem? Czy nie ważniejsze jest to nieopisane wewnętrzne „coś”, co pcha nas, by być częścią elity – czy dla samego prestiżu, czy dla mobilizowania siebie do bycia lepszym?

Zastanawiam się nad odpowiedziami na te pytania, ponieważ myślę, że niektóre uprawnienia harcmistrzów są... systemowym błędem i powodują więcej szkód niż pożytku. Chodzi mi szczególnie o dwie kwestie – ograniczenie biernego prawa wyborczego do sądów harcerskich wyłącznie do harcmistrzów oraz możliwość opiekowania się próbami podharcmistrzowskimi wyłącznie przez harcmistrzów. Po kolei...

Sędziowie

Skąd wątpliwość, czy to dobre rozwiązanie, aby sędziami harcerskimi mogli być wyłącznie harcmistrzowie? Rzecz jasna z harcerskosądowniczej autopsji oraz z obserwacji różnych zjawisk, które dzieją się wokół sądów harcerskich.

Oczywiste są chyba intencje, jakie kierowały twórcami zapisu o harcmistrzowskim składzie sądów. To harcmistrzowie – mistrzowie harców a przy tym ludzie bardziej doświadczeni życiowo mieli rozwiązywać trudne sytuacje związane z konfliktami między instruktorami czy problemy natury etycznej. Tym bardziej że nie kierują się w swym orzekaniu paragrafami, ale własnym rozumieniem idei oraz doświadczeniem życiowym. Trudno więc zaprzeczyć, że

harcmistrowie są z definicji idealnymi kandydatami na sędziów. Systemowo – świetnie, ale w praktyce wychodzi gorzej. Przede wszystkim z dwóch przyczyn.

Po pierwsze: mamy mało harcmistrzów, więc niejednokrotnie okazuje się, że istnienie sądu harcerskiego w hufcu (w składzie minimum trzech harcmistrzów) wymaga sięgnięcia do naprawdę dawno nieaktywnych instruktorów. Stąd już tylko krok do traktowania tej ważnej przecież władzy jako przechowalni dla dinozaurów. Przecież nie o to chodzi, tak prestiżu sądów nie zbudujemy.

Po drugie: doświadczenie życiowe, o którym pisałem wcześniej jako o pozytywie, może stać się także argumentem przeciwnym. Pamiętam bowiem tych doświadczonych harcmistrzów, którzy oceniali dzisiejsze drużyny przez pryzmat kilkusetosobowych szczepów w każdej szkole (lata 70.) albo dzisiejsze obozy przez pryzmat generalnej biedy lat 80. O odniesieniach do codzienności uczniów czy po prostu młodych ludzi na początku XXI wieku szkoda mówić...

Czy więc nie można byłoby dopuścić do sądów, przynajmniej w hufcach i chorągwiach, podharcistrzów?

Jak widać postulatu zmiany nie rozciągam na Naczelny Sąd Harcerski, który odgrywa niezwykle ważną rolę naszego związkowego Trybunału Konstytucyjnego, bowiem dokonuje wykładni Statutu ZHP. W tym wypadku nie tylko powinni być to harcmistrzowie, ale najlepiej osoby z wykształceniem prawniczym bądź administracyjnym. Nie można przecież dokonywać wykładni „na wyczućie”, „na zdrowy chłopski rozum”, „bo tak sądzi większość” czy stosując jeszcze jakieś inne dziwaczne metody.

Opiekunowie

Drugą kwestią, która wzbudza nie tylko moje wątpliwości, jest przepis Systemu stopni instruktorskich, który pozwala na pełnienie roli opiekuna próby podharcistrzowskiej wyłącznie harcmistrzom. Intencja twórców tego przepisu była oczywista: opiekun posiadający stopień wyższy niż zdobywany, a więc bardziej doświadczony życiowo i instruktorsko – harcmistrz po prostu – będzie lepszym opiekunem niż podharcistrz. A to w oczywisty sposób winno przełożyć się na wyższy poziom prób podharcistrzowskich, a w przyszłości – podharcistrzów. Założenie naprawdę bardzo dobre, niestety w życiu wychodzi gorzej.

Oczywiście powód jest jeden – brakuje młodych harcmistrzów. A trudno się dziwić, że młodzi przewodnicy, którzy otwierają próbę na stopień podharcmistra, nie chcą jej realizować pod opieką harcmistrza – „staruszka” (a dla 19-latka już 40-latek to kompletnie inne pokolenie). Dlatego kończy się na wyborze

„opiekuna pro forma”, na papierze, a próbą realnie opiekują się podharc mistrzowie (np. komendanci szczepów, kształceniowcy, namiestnicy), którzy dla tych młodych ludzi są autentycznymi wzorami – harc mistrzami na drodze instruktor-skiego rozwoju.

Problem dostrzegli rok temu między innymi instruktorzy z Chorągwi Wielko-polskiej, składając do odpowiedniej komisji Rady Naczelnej ciekawe propozy-cje. Komisja ta zastanawiała się nad rozwiązaniami, które uchroniłyby młodych kandydatów na podharc mistrzów przed koniecznością szukania „opiekunów pro forma” z czerwoną podkładką.

Pojawił się więc pomysł, aby opiekunem próby podharc mistrzowskiej mógł być już podharc mistrz z otwartą próbą harc mistrzowską albo podharc mistrz, który ma ten stopień przynajmniej dwa lata i ma za sobą opiekowanie się z po-wodzeniem zamkniętą próbą przewodnikowską.

Rok temu w Radzie Naczelnej wygrał argument, że w ten sposób obniżymy poziom prób podharc mistrzowskich. Ale kto wie, czy następnym razem nie wy-gra z myśleniem tyleż ideowym, co odrealnionym, rzeczowa ocena sytuacji?

* * *

Nie jestem oczywiście pewien, że rozwiązania, o których piszę, są dobre. Tym bardziej, że zmniejszają motywację niektórych instruktorów do zdobywa-nia stopnia harc mistrza. Prawdę mówiąc, sam się sobie dziwię, że myślę o ogra-niczeniu uprawnień harc mistrzów. Ale cóż, bez pomysłów, zwłaszcza kontro-wersyjnych, nie może być twórczej dyskusji o zmianach w naszym Związku. A jak widać na kilkanaście miesięcy przed zjazdem ZHP, z dyskusją u nas kru-cho. Co też co nieco mówi o jakości naszych harc mistrzów. Ale to już temat na inny artykuł...

OD AUTORA:

Jak wiadomo, dziś jest możliwość, aby opiekunem próby podharc mistrzowskiej był pod-harc mistrz (po spełnieniu określonych warunków).

Kodeks

– cztery pory roku

Podobno tylko krowa nie zmienia poglądów. Najwyraźniej nie jestem krową, bo zmieniłem w ostatnim roku poglądy wielokrotnie. Mowa o moich poglądach na temat kodeksu instruktorskiego.

Jesień 2007. Kiedy opadł kurz po kolejnym zjeździe i rozpoczęły się pierwsze przymiarki do tworzenia kodeksu, najbliższy wydawał mi się pogląd, że uchwalenie tego dokumentu jest bez sensu, skoro Zjazd Programowy stwierdził, że Prawo Harcerskie dotyczy w takim samym stopniu wychowanków i wychowawców. Tworzenie kodeksu miałyby sens, gdyby Zjazd postanowił przeciwnie – że Prawo Harcerskie jest tylko dla wychowanków, wówczas powstałaby dziura – konieczne byłoby określenie wymagań stawianych instruktorom.

Zima 2007/2008. Na dobre rozpoczęły się prace nad kodeksem. I dylematy, które pojawiły się podczas pierwszych dyskusji, zapaliły mnie znów do idei kodeksu. Czy kodeks miałby być niczym kodeks karny, gdzie opisane zostały drobiazgowo rozmaite przekroczenia norm, a przy każdym przypadku miałyby zostać określone precyzyjnie sankcje? Czy może kodeks powinien być zestawem pożądanых cech instruktora, opisem postaw wzorcowego instruktora ZHP? Te dylematy utwierdziły mnie w przekonaniu, że jest o czym i że warto rozmawiać. Notabene, miejmy tego świadomość, sam pomysł kodeksu jest dobitnym dowodem, że coś jest nie tak, bo jeśli wszystko jest w porządku, to przecież nikomu do głowy nie przychodzi myślenie o stworzeniu „zawodowego” kodeksu etycznego.

Wiosna 2008. Powstały pierwsze projekty kodeksu. I im dłużej je czytałem, tym bardziej byłem przekonany, że kodeks w takim kształcie jest nam kompletnie niepotrzebny. Dlaczego? Ponieważ z pewnością nie rozwiąże żadnych problemów, o których była mowa, gdy Zjazd Programowy decydował się na

jego stworzenie. Bo czy można liczyć na to, że ci, którzy nie przejmują się ani zapisami Prawa Harcerskiego, ani słowami Zobowiązania, przeczytają kodeks i raptem zaczną pracować nad sobą? No nie, nie możemy na to liczyć! Może więc lepiej nie uchylać kodeksu i poczekać półtora roku do kolejnego zjazdu ZHP, aby ten wypowiedział się, co dalej?

Lato 2008. Stało się coś ważnego. Spotkałem instruktorów, którzy z przekonaniem mówili, że czekają na kodeks, że potrzebują go w pracy opiekunów prób, w pracy komisji stopni instruktorskich, że potrzebują takiej inspiracji na kursy drużynowych, na spotkania hufcowe kadry, na kominki instruktorskie. Co więcej: mają przekonanie, że kodeks w zaproponowanej formie wpłynie pozytywnie na ich młodą kadre.

Znów zmieniłem zdanie. Jeśli zaledwie na 50 kursach drużynowych kilkuset kandydatów na instruktorów głębiej zastanowi się, dlaczego chcą być instruktorami, jeśli tylko 100 czy 200 instruktorów przemyśli swoją instruktorską drogę, jeśli zaledwie w 100 czy 200 próbach instruktorskich opiekun weźmie do ręki kodeks i zastanowi się ze swym podopiecznym, co to znaczy być instruktorem – to warto, warto uchwalić taki kodeks!

I z przekonaniem, że nikomu kodeks nie zaszkodzi, a wielu może pomóc, opowiadam się stanowczo za jego uchwaleniem. Byle tylko nie okazał się instrumentem, który stanie się swoistym alibi dla władz ZHP, które spoczną na laurach w poczuciu, że problem postaw instruktorskich został załatwiony. Bo to nieprawda, ciągle mamy sporo do zrobienia.

Prawdziwe problemy ZHP

Czas płynie szybko, minęły trzy lata kadencji, już za rok zbierze się kolejny zjazd ZHP. Sporo czasu zajmie zapewne podsumowanie czterolecia, bo działo się sporo. Stulecie skautingu, Złot w Kielcach, Silesia, Wędrownicze Watry, mnóstwo nowych wartościowych instruktorów, ale także spadek liczebny, wyprzedaż majątku Związku. Rozwój harcerskiego internetu, ale także zastój intelektualny w formie drukowanej. No a poza tym zjazdy nadzwyczajne, zmiana większości władz naczelnych w wyjątkowych okolicznościach. Mamy zagwarantowane długie, burzliwe podsumowania. Jeszcze pewnie będzie do przegłosowania mnóstwo poprawek do Statutu, tak więc istnieje duże ryzyko, że znów zabraknie czasu i sił (delegaci też muszą spać), aby porozmawiać o tym, co rzeczywiście będzie dla naszego Związku najważniejsze przez kolejne cztery lata. A co będzie najważniejsze?

Odpowiedź na to pytanie z pewnością zależeć będzie od tego, co komu jest najbliższe, na jakim poziomie struktury naszego Związku działa. Jedni powiedzą więc, że największym problemem jest spadek liczebny, ale – z drugiej strony – nie chodzi o ilość, ale o jakość. Pewnie dla wielu problemem są finanse, ponieważ bez pieniędzy ciężko jest cokolwiek zrobić. Jeszcze inni wskażą na kwestie wizerunkowe. Spora grupa powie także, że problemem są nasze struktury, które, co trzeba stwierdzić z przykrością, często przeszkadzają zamiast pomagać...

Ale czy to rzeczywiście są najistotniejsze problemy naszego Związku, czy naprawdę nie ma poważniejszych? Odpowiedź znajdziemy z łatwością, kiedy zastanowimy się, co jest dla nas najważniejsze: czy rozwój liczebny, czy finanse, czy wizerunek, czy sprawne struktury?

Problem 1: w jakim celu

Otóż nie, najważniejsze jest to, co mamy zapisane w naszej misji, a więc wychowanie – to jest nasz problem numer jeden! Nie jest to problem nowy. Wystar-

czy sięgnąć do uchwał ostatnich dwóch zjazdów zwykłych ZHP (dalej już nie sięgajmy), aby przekonać się, że był dostrzegany trzy i siedem lat temu. To przecież zjazd w 2001 r. przyjął program „Barwy przyszłości”, w którym jednym z priorytetów było „wzmocnienie wychowawczego charakteru organizacji”. A cztery lata później została przyjęta strategia rozwoju ZHP, która dokładnie tak samo formułuje swój pierwszy cel.

I co z tych uchwał wynika? Niestety, niewiele. Śmiało stawiam tezę, że „wychowawczość” ciągle jest najważniejszym problemem ZHP. Owszem, robimy wiele pożytecznego: dajemy tysiącom dzieciaków możliwość spędzenia w miarę ciekawie czasu na zbiórkach, rajdach czy biwakach, zabieramy je na tanie, dość interesujące, a przede wszystkim bezpieczne kolonie (coraz częściej) i obozy (coraz rzadziej), jesteśmy pożyteczni z punktu widzenia szkół czy gmin. Tego nikt rozsądny nie będzie negował. Ale czy to jest wychowanie? Czy jesteśmy organizacją wolnego czasu, tanich wakacji i stania pod pomnikami, czy jednak organizacją wychowawczą, to znaczy w swych działaniach mającą za pierwszoplanowy cel kształtowanie powierzonych dzieci według reguł i wartości obowiązujących w harcerstwie?

Odpowiedź jest moim zdaniem dość oczywista. Ale ważne jest, aby dłużej już się nie uśmiechać, nie udawać przed samym sobą, że jest dobrze, skoro dobrze wcale nie jest. Warto zastanowić się wreszcie, co tak naprawdę możemy zrobić, aby autentycznie wzmocnić ten charakter naszej organizacji, charakter wychowawczy. Mam pełne przekonanie, że nie zrobimy tego uchwałami zjazdowymi w stylu tej sprzed trzech lat, w której powołaniem się na dokument „Podstawy wychowawcze” (a kto go zna?) próbuje się załatwić cały problem, na dodatek rozmywając realne, ważne zadania pomysłami o dzieleniu się dorobkiem z innymi organizacjami.

Jeszcze raz powtórzę: żadną uchwałą tego nie zrobimy. Sądzę więc, że nie warto czekać na zjazd, a dobitniej mówiąc: szkoda marnować kolejny rok, lepiej jak najszybciej zmusić się do refleksji nad sprawami, które stanowią istotę problemu. A takich spraw, rozmaitych dylematów jest sporo. Odpowiedzmy więc sobie na kilka pytań:

- Czy można liczyć na to, że 16- czy 17-letni przyboczny lub drużynowy może realnie prowadzić działania wychowawcze?
- Czy metoda harcerska jest tak opisana, że drużynowy jest w stanie ją zrozumieć i – co najważniejsze – zastosować w praktyce?
- Czy mając do czynienia z bardzo słabym drużynowym, po prostu pozwalamy mu dalej działać (bo chodzi o to, aby było harcerstwo), czy rozwiązujemy drużynę (aby nie skażać dzieci pseudoharcerstwem)? A czy jeśli pozwalamy

mu działać, to czy całą energię koncentrujemy na wsparciu merytorycznym dla niego?

- Czy instruktorem, a potem podharc mistrzem i harc mistrzem może zostać w ZHP tylko ten, kto rozumie wychowawczą misję harcerstwa (choćby tyle, choć tak naprawdę warto byłoby brać pod uwagę działanie zgodnie z misją)?
- Czy w ZHP mówi się o popełnianych błędach wychowawczych i czy coś się z tym robi?
- W ilu hufcach prowadzona jest systematyczna ocena gromad i drużyn pod kątem osiągania przez drużynowych wymiernych rezultatów wychowawczych?
- Czy mamy – jako organizacja – jakieś realne możliwości wymuszenia na komendach hufców i chorągwi autentycznego wspierania drużynowych?
- Kiedy ostatni raz w naszym Związku dokonano zmiany przepisów tak, aby ułatwić życie zwykłemu drużynowemu (chodzi tutaj o realne działania, a nie uchwały w sprawie odbiurokratyzowania)?
- Kiedy po raz ostatni w ZHP dokonaliśmy wnikliwego, szerokiego przeglądu sposobów i form naszej działalności wychowawczej? Kiedy po raz ostatni zmieniliśmy coś w sposobie naszego działania, tak aby skuteczniej oddziaływać na wychowanków? I czy to były działania powszechne?

To tylko kilka pytań. Bez rzetelnej, uczciwej odpowiedzi na nie i wiele podobnych, będziemy dalej dreptać w miejscu, coraz bardziej degradując z roku na rok wychowawczą rolę harcerstwa.

Problem 2: w jaki sposób

Obok problemu, czy ciągle jeszcze wychowujemy, współistnieje drugi – dla harcerstwa szczególnie ważny – czy to, co robimy, jest rzeczywiście... harcerstwem, a więc czy pracujemy metodą harcerską. Lektura tematu z okładki sierpniowego numeru „Czuwaj” autorstwa hm. Marcina Bednarskiego nie pozostawia złudzeń – zawartość harcerstwa w harcerstwie niestety się ciągle zmniejsza. Ale dlaczego tak jest? Przyczyn jest wiele.

Po pierwsze: chyba dość powszechnie... nie wierzymy w metodę harcerską. Brzmi to może strasznie, wręcz absurdalnie, ale to – jak sądzę – jest główny powód niestosowania metody. A przecież w życiu: bierzemy lekarstwo, bo liczymy, że nam pomoże, przyjmujemy odpowiednią pozycję, aby szybciej jechać na koniu czy płynąć, powtarzamy do znudzenia jakieś czynności, aby nabrać sprawności manualnej czy gibkości – robimy to wszystko, ponieważ wierzymy, że to jest skuteczne, że to droga do sukcesu. A więc dlaczego nie stosujemy

metody harcerskiej w prowadzeniu gromad i drużyn? Logiczne jest, że gdyby drużynowy wierzył, że metoda jest skuteczna, że stosując ją, coraz lepiej i coraz łatwiej będzie prowadzić drużynę, wówczas zrobiłby wszystko, aby ją lepiej poznać i jak najlepiej jej używać. A więc nie wierzymy w metodę, bo gdybyśmy w nią wierzyli, to byśmy ją z pewnością stosowali.

Po drugie: metoda jest nieznana instruktorom. I nie chodzi mi tutaj o wklepanie na pamięć elementów i cech metody, nie chodzi o znajomość jej rozmaitych mnemotechnicznych systemów zapisu (typu statki, zamki, koła zębate itp.), rzecz w tym, że nie jest znana jako praktyczny zbiór zasad pracy z drużyną. Dlatego właśnie mamy drużynowych, którzy w środku nocy wyrecytują cechy metody harcerskiej, ale nie podadzą ani jednego przykładu, jak te cechy przekładają się na funkcjonowanie ich drużyny. Dlatego słyszymy, że dzieci mają iść do lasu, bo mamy naturalność metody. Dlatego co raz słyszę, że nie wolno się spierać w gronie instruktorskim, bo metoda jest pozytywna. Dlatego drużynowy nie może być zbyt stary, bo wtedy niczego się nie nauczy od harcerza, a przecież jest wzajemność oddziaływań. Dlatego musimy na każdym zjeździe przyjmować nowy program ZHP, bo program jest stale doskonalony... Bredni wynikających z niezrozumienia metody jest cała masa!

Ale, ale... Skoro tak powszechna jest nieznajomość metody harcerskiej, a więc tego, co nas winno odróżniać od innych form spędzania przez dzieci czasu po lekcjach, to konieczne jest odpowiedzenie sobie na pytanie: dlaczego tak się dzieje. Zatem – po trzecie – metoda harcerska nie jest stosowana, bo w namiestnikach, kształceniowcach i hufcowych, mianujących drużynowych, jest za mało determinacji, aby wymagać jej znajomości oraz stosowania. Wystarczy więc, że ktoś chce pracować z dziećmi, a już szczęśliwi powierzamy mu prowadzenie drużyny. Nieważne, czy ma predyspozycje do pracy wychowawczej, nieważne, czy potrafi prowadzić drużynę metodą harcerską. Ma chęci, więc niech robi. I w ten oto sposób mamy „drużyny harcerskie” działające jako kolejne koła zainteresowań, klasodrużyny, które na dodatek dają kadrze możliwość darmowego wypoczynku latem i zimą, kluby zainteresowań pracujące tylko zgodnie z pasją drużynowego. Wszystko to są ciekawe i użyteczne sposoby organizowania dzieciom wolnego czasu. Problem w tym, że nie można zespołów tak prowadzonych nazwać gromadami zachowowymi czy drużynami harcerskimi.

Ale nieznajomość, a co za tym idzie, niestosowanie metody, ma swoje źródło w czymś jeszcze. Może czas najwyższy, aby powiedzieć wprost, że metoda harcerska jest za trudna. A ściślej: że funkcjonujący dziś jej zapis jest za trudny. Czy naprawdę musimy mieć metodę opisaną cechami, które nie przekładają się bezpośrednio na działanie drużynowego? I jeszcze trzy zasady, i jeszcze cztery

elementy... A dlaczego akurat te trzy to są zasady, a te cztery to elementy? Jak to wytłumaczyć 16-latkowi, aby potrafił po kursie drużynowych robić harcerstwo?

Zwykle w tym miejscu słyszę głosy oburzenia, że przecież to już tradycja, że tak jest skonstruowana metoda skautowa i nie możemy tego zmieniać. A ja na to mówię: odrzucmy tradycję, dajmy sobie spokój ze skautingiem, jeśli dalej mamy przez to mieć metodę sformułowaną w taki nieczytelny dla młodego instruktora sposób. Wolę mieć nietradycyjnie opisaną metodę, ale realnie stosowaną, niż pięknie i mądrze sformułowaną, ale stosowaną jedynie fragmentarycznie. Zbierzmy więc najętsze związkowe głowy metodyczne i stwórzmy taki opis metody, który będzie prosty, zrozumiały dla każdego – starego harcmistrza i młodego kandydata na drużynowego. Taki opis, żeby każdy mógł z łatwością zrozumieć, że bez jednego choćby elementu metody harcerstwo jest już ułomne, żeby każdy element był dla naszej kadry uzasadniony i niezbędny.

Metoda jest źle opisana, nieznana, niestosowana. I co w związku z tym? Organizacja może na to reagować w różny sposób. Prześledźmy to na przykładzie systemu zastępowego (nie zastępowych!) w drużynie harcerskiej. Praca zastępami w ujęciu klasycznym, tzn. ze zbiórkami zastępów, działającym zastępem zastępowych, to już rzadkość. Mam wrażenie, że tak działająca drużyna jest obecnie postrzegana jako ewenement czy nawet dziwoląg.

Co można z tym zrobić? Przede wszystkim trzeba zacząć się zastanawiać, co się takiego dzieje, że mamy do czynienia z powszechnym problemem niefunkcjonowania systemu zastępowego. Pewnie dojdziemy do podobnych wniosków jak wyżej: że metoda jest za trudna, niezrozumiała, a może także stwierdzimy, że żyjemy w innych czasach – takich, w których praca zastępami w klasycznym ujęciu nie jest już możliwa.

Niezależnie od wyciągniętych wniosków będziemy mieli do wyboru jedną z trzech dróg:

- 1) Stwierdzamy, że system zastępowy jest doskonale wymyślony, że musi działać, a że nie działa, to kwestia słabej kadry, słabego kształcenia, należy więc przede wszystkim rozpocząć ofensywę metodyczną, która sprawi, że drużynowi będą potrafili pracować zastępami.
- 2) Dochodzimy do wniosku, że świat się zmienił, że warunki działania drużyn, ich liczebność zmieniły się tak bardzo, że nie mamy wyjścia – musimy dokonać aktualizacji systemu zastępowego, np. uznać za właściwe, w pełni akceptowalne takie funkcjonowanie systemu zastępowego, w którym nie ma zbiórek zastępów, a podział na zastępy istnieje wyłącznie w zakresie realizacji zadań w małych grupach na zbiórcie drużyny.

3) Możemy też udawać, że wszystko jest w porządku, że nie ma problemu. To zresztą bardzo łatwe do przyjęcia, bo przecież jeśli piszę o powszechnych problemach w funkcjonowaniu metody harcerskiej czy systemu zastępowego, to przecież nie posługuję się żadnymi twardymi danymi, nie mam żadnych badań na ten temat. A więc jest jak z termometrem – nie ma termometru, więc nie da się stwierdzić, że nie ma gorączki, a to, że gołym okiem widać chorobę – to tylko subiektywne przekonanie.

Tak jak z systemem zastępowym, tak też jest z reagowaniem na problemy związane z całą metodą. I mam wrażenie, że w naszym Związku, niestety, od wielu lat wybieramy ostatnią z powyższych dróg, po prostu udajemy, że jest pięknie, a jak ktoś twierdzi, że wcale pięknie nie jest – tym gorzej dla niego.

Dlaczego tak jest? Pewnie dlatego, że łatwiej, konkretniej, bardziej widowiskowo, no i często wymiennie finansowo dla komendy, jest zając się pozyskiwaniem środków, organizowaniem imprez na pokaz, spotykaniem się z różnymi lokalnymi VIP-ami, tworzeniem różnych mądrych przepisów. To lubimy, a metoda? Cóż, to nie budzi emocji, co zresztą najlepiej widać na zjazdach Związku, które żmudne, najczęściej nocne godziny poświęcają na omawianie setek poprawek do Statutu, podczas gdy sprawy programowe i metodyczne załatwia się w kilkanaście minut (o ile dobrze pamiętam, do projektu „Podstaw wychowawczych ZHP” na ostatnim zjeździe nie zgłoszono ani jednej poprawki!).

Problem 3: co proponujemy

Trzeci problem związany jest z tym, co jest treścią naszych działań (chciałoby się powiedzieć, wychowawczych). I tu można byłoby stwierdzić, że jest świetnie, bo co jak co, ale z technikami harcerskimi jest nieźle. Samarytanka, nadawanie morsem, wyznaczanie azymutów, tropienie za znakami patrolowymi – to jest to, z czego możemy być dumni, to jest sedno współczesnego harcerstwa. No właśnie i to jest... poważny problem. Bo okazuje się, że świadomość wychowawczą drużynowego, biegłość metodyczną zastępuje płytkie, powierzchowne, fasadowe harcerzowanie. I tak uczy my nieśmiertelnego alfabetu Morse'a, w razie czego dorabiając ideologię, gdy ktoś spyta, po co. Uczy my dzieci poruszać się po lesie, podczas gdy gubią się w dżungli miasta, i coraz trudniej nam konkretnie odpowiedzieć rodzicowi, który pyta, co ich synowi lub córce da przynależność do harcerstwa.

To zdumiewające, że zapominamy o swojej misji wychowania – kiedy istnieje tak duży społeczny popyt na kształtowanie młodego pokolenia, że nie stosujemy metody harcerskiej – skoro jest skuteczna, co widać po tych drużynach, w których się ją stosuje, a rozumienie harcerstwa spłaszczamy do tzw. tradycyjnych technik harcerskich, które są akurat częścią warsztatu drużynowego, która wymaga największej refleksji. Przy czym refleksja jest potrzebna każdemu drużynowemu, który planując i wdrażając w drużynie jakikolwiek swój pomysł programowy, odpowie sobie na pytania: Po co to chcę robić? Jaki to ma cel wychowawczy? Czy to jest dla dzieciaków ciekawe?

Ale refleksja jest potrzebna przede wszystkim mądrym głowom w kwaterach, a już szczególnie na szczeblu centralnym – w Radzie Naczelnej i Głównej Kwaterze. Bowiem już czas najwyższy, aby zastanowić się nad aktualnością technik harcerskich (kiedyś odpowiadały na potrzeby wychowanków i potrzeby społeczne, a dziś – jakie współczesne techniki będą odpowiedzią na nie?) oraz niektórych instrumentów metodycznych (niekoniecznie ich likwidacją, ale choćby unowocześnieniem, większą profesjonalizacją czy lepszym ich opisaniem).

* * *

Oczywiście teraz należałoby zacząć szukać odpowiedzi na pytanie, co powinniśmy zrobić, aby poradzić sobie z opisanymi problemami. Jednak to kwestia oddzielnego artykułu, a właściwie cyklu artykułów: o roli harcerskich komend, o kształceniu drużynowych, o zadaniach stojących przed zjazdami, a może także o czasowości uprawnień instruktorskich, reformie systemu stopni instruktorskich i zmianie naszej metody.

Ktoś powie: „Co to za tekst, który tylko wymienia problemy, a nie proponuje rozwiązań! Nie ma sensu mówić o problemach!”. Czyżby? Obawiam się, że trzeba najpierw mówić głośno o tym, co naprawdę jest istotne, skoro wielu Bardzo Ważnych Instruktorów uważa, że najważniejszymi problemami są ciągle zmiany w statucie czy kwestie majątkowe – zapominając, że bez baz i majątku będzie harcerstwo, ale bez harcerzy już nie.

Za zasługi – ale jakie?

Jest najwyższym wyróżnieniem w ZHP. Od kiedy wprowadzony został jego trzeci stopień – brązowy – zdecydowanie częściej można zobaczyć podczas rozmaitych harcerskich uroczystości, jak jest wręczany. I to wcale nie „harcerskim emerytom”, ale młodym instruktorem. Czy ktoś jednak zastanawiał się, jaki właściwie jest profil wzorcowego kandydata do wyróżnienia Krzyżem „Za Zasługi dla ZHP”?

A czy właściwie powinien być taki profil? Czy dwa przyznane krzyże muszą być ze sobą porównywalne? Oczywiście jest, że porównywalne w pełni nigdy nie będą, bowiem otrzymują je przecież różni ludzie, a tę różność podkreślać powinien jeszcze fakt, że instruktorami w stopniu podharcmistra czy (zwłaszcza) harcmistra powinny zostawać osoby wyjątkowe, znaczące osobowości – co łatwo możemy wyczytać z idei tych stopni zawartych w systemie stopni instruktorskich.

Jednak pewna porównywalność jest niezbędna, głównie dlatego, że porównywanie się z innymi to naturalny proces, który może wzmocnić albo osłabić znaczenie, a tym samym siłę motywacyjną przyznanego wyróżnienia. Nieraz spotkałem się z sytuacją, że dwóch-trzech instruktorów stawało w szeregu, aby otrzymać krzyż, a zgromadzeni doskonale wiedzieli, że zasługi tych osób nie są w żadnej mierze porównywalne – i było czuć, że coś jest nie tak, że niedobrze się stało, że są wyróżniani w tym samym momencie. Skąd te wątpliwości i kto jest winien tej sytuacji? Pewnie ktoś (komendant hufca czy chorągwi) wcześniej nie pomyślał o odznaczeniu i łąduje ono na piersi instruktora za późno; i wszyscy to wiedzą. Albo odwrotnie: zostało przyznane za wcześniej, trochę „na kredyt” – głównie w celach motywacyjnych. Skutek – ta dysproporcja.

W skali kraju – patrząc na publikowane w rozkazach decyzje Przewodniczącego ZHP o przyznaniu Krzyża „Za Zasługi dla ZHP” – dostrzec też można różnicę w podejściu do nagradzania w poszczególnych chorągwiach (to komendanci chorągwi składają wnioski). W jednych nowi odznaczeni pojawiają

się prawie w każdym rozkazie i licznie, w innych nagradzanych jest niewiele i rzadko. Trudno powiedzieć, o czym to świadczy – o zastrzonych „kryteriach wewnętrznych”, o zaniedbaniu, niewykorzystywaniu czy przeciwnie – o nadużywaniu tego narzędzia motywowania i nagradzania?

Określenia modelu kandydata do odznaczenia naszym najwyższym wyróżnieniem może pomóc harcerskim komendom w prowadzeniu mądrej polityki motywacyjnej wobec swojej kadry i podejmowaniu decyzji w pełni świadomie, a nie pochopnie. Dzięki temu mamy szansę utrzymać ciągle wysoką rangę Krzyża „Za Zasługi dla ZHP”.

Krzyż brązowy

Obserwując, kto jest zgłaszany do odznaczenia krzyżem brązowym, można odnieść wrażenie, że ten stopień jest traktowany jako skromniejsza wersja krzyża srebrnego. Tymczasem uchwała Rady Naczelnej określa precyzyjnie, jakie warunki powinien spełnić kandydat do odznaczenia. W ten sposób może powstać następujący profil:

Kandydat do odznaczenia Brązowym Krzyżem „Za Zasługi dla ZHP”

Opis:

Instruktor w stopniu podharcemistrza lub harcemistrza, który:

- jest naturalnym liderem w swoim środowisku,
- swoją postawą krzewi wartości zawarte w Prawie Harcerskim, będąc wzorem do naśladowania dla innych,
- prowadzi systematyczną i skuteczną pracę z kadłą.

Pełnione funkcje:

- szczebowy
- przewodniczący kręgu instruktorskiego
- namiestnik
- członek zespołu kadry kształcącej
- członek KSI.

Optymalny wiek:

- 25–30 lat.

Krzyż srebrny

Również kandydatom do odznaczenia Krzyżem srebrnym stawiane są w uchwale Rady Naczelnej konkretne wymagania. Profil kandydata może więc wyglądać tak:

Kandydat do odznaczenia Srebrnym Krzyżem „Za Zasługi dla ZHP”

Opis:

Instruktor w stopniu harc mistrza, który:

- jest znaczącą osobowością w swoim środowisku instruktorskim,
- jest wzorem do naśladowania dla innych instruktorów,
- przynajmniej 10 lat jest aktywnym instruktorem, pełni wzorowo powierzone funkcje,
- swoimi doświadczeniami, wiedzą dzieli się z instruktorami na szerszym forum,
- może się wykazać wybitnymi osiągnięciami w służbie instruktorskiej.

Pełnione funkcje:

- szczepowy
- namiestnik
- szef zespołu kadry kształcącej hufca
- komendant hufca
- szef zespołu na poziomie chorągwi lub centralnym.

Optymalny wiek:

- 27–35 lat.

Krzyż złoty

Co ciekawe, przywoływana już uchwała Rady Naczelnej nie mówi ani słowa o wymaganiach stawianych kandydatom do odznaczenia Złotym Krzyżem. Może to dobrze – wszak mówimy o najwyższym możliwym wyróżnieniu w ZHP – jasne jest więc, że chodzi tu o instruktorów naprawdę wybitnych. Moja propozycja profilu kandydata – poniżej.

Kandydat do odznaczenia Złotym Krzyżem „Za Zasługi dla ZHP”

Opis:

Instruktor w stopniu harcmistrza, który:

- jest znaczącą osobowością w skali całego Związku,
- jest wzorem do naśladowania dla innych instruktorów,
- swoimi doświadczeniami, wiedzą dzieli się z instruktorami na szerszym forum,
- może się poszczycić trwałym dorobkiem metodycznym, programowym, kształceniowym lub organizacyjnym.

Pełnione funkcje:

- nie mają znaczenia.

Optymalny wiek:

- od 30 lat.

Zdaję sobie sprawę, że przedstawione propozycje mogą się wydać kontrowersyjne. Bo czy Krzyż „Za Zasługi dla ZHP” nie jest także dla zwykłego drużynowego? Czy żeby otrzymać krzyż trzeba koniecznie wystawić nos poza swoją drużynę, swój szczerp? Czy rzeczywiście mają być wyróżniani tylko ci wybitni? Czy trzeba mieć trwałą dorobek, a nie można po prostu „robić swoje”? Warto szukać odpowiedzi na te i inne pytania. Warto szukać sensu i tego właściwego momentu na odznaczanie instruktorów krzyżem. Rozmowa o tym będzie wyrazem naszej troski o rangę największego wyróżnienia harcerskiego. Dyskutujmy więc.

Na wstępie

Może to błędne wrażenie, ale jednak wydaje mi się, że ostatnio zwiększa nam się w ZHP liczba instruktorów, którzy w przepisach prawnych pokładają wielkie nadzieje. Chyba jednak zbyt wielkie...

Bo czy rzeczywiście od dobrego przepisu może nam gwałtownie przybyć nowych drużynowych? Czy najlepsze przepisy sprawią, że będziemy mieli więcej instruktorów i to bardziej – cokolwiek to znaczy – ideowych? A czy jakies przepisy są w stanie powstrzymać głupotę lub złą wolę jakiegoś funkcyjnego, który koniecznie chce uzasadnić potrzebę sprawowania przez niego bardzo ważnej funkcji?

Żeby być uczciwym – częściowo pewnie tak, bo mądry przepis jest w stanie pomóc w niektórych przypadkach. Ale problem w tym, że fanatyczni zwolennicy przepisów cierpią zwykle na dodatkową przypadłość, która potęguje niepożądany efekt – zazwyczaj chcą przepisami opisać wszelkie możliwe sytuacje. A że życie pisze najlepsze scenariusze, więc jest to niemożliwe. Ale ta konstatacja wcale nie zniechęca miłośników kazuistycznego prawa, a wręcz przeciwnie – motywuje do wynajdywania jeszcze większej liczby, jeszcze bardziej niesamowitych przypadków, na które oczywiście dobre prawo zawsze powinno być przygotowane.

Tak oto pogłębiamo swą wiarę w przepisy, nie zastanawiając się, czy nie lepiej – zwłaszcza w harcerstwie – byłoby mniej zdać się na prawo, a bardziej na zdrowy rozsądek.

A za kilka miesięcy, na kolejnym zjeździe ZHP, po raz n-ty przyjmiemy uchwałę o konieczności odbiurokratyzowania ZHP...

Jest po bratersku

Będzie o braterstwie, znów. A to za sprawą pewnej dyskusji, która przetoczyła się przez harcerski Internet w okolicach Dnia Myśli (nomen omen) Braterskiej.

Przyczynkiem do tej dyskusji była rozprawa w Urzędzie Patentowym dotycząca krzyża harcerskiego. A właściwie nie sama sprawa krzyża (w tej sprawie wypowiedziano już chyba wszystkie argumenty), co pismo skierowane przez Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej, w którym znalazły się różne argumenty mające uzasadnić stanowisko tej organizacji.

I tu problem – wielu instruktorów ZHP dostało niemal szału, czytając o załączaniu przez nas symboli, o komunistycznej organizacji itd. I jak zwykle padło pytanie: a gdzie braterstwo?

Ale czy pismo władz innej organizacji pokazujące, co o nas myśli, to rzeczywiście przejaw postawy niebraterskiej? Ależ skąd! Porzućmy wreszcie to myślenie, że jak ktoś mówi coś trudnego, a więc z reguły nieprzyjemnego, to znaczy, że to niebraterskie, nieharcerskie itd.

Jeśli relacje braterskie to takie, jakie charakteryzują najbliższą rodzinę – bracia, to moim zdaniem wszystko jest w porządku. Bo czy od swego rodzeństwa oczekujemy tego, że w twarz będzie nam mówiło tylko miłe słówka, a za plecami nas obgadywać? Czy nie chcemy, aby nasz brat, nasza siostra mówili nam wprost, co o nas myślą, co im się w naszym postępowaniu nie podoba, co – ich zdaniem – powinniśmy w swoim życiu zmienić? Od kogo mamy oczekiwać prawdy, trudnej dla nas prawdy, pełnej szczerości, jeśli nie od swojego brata czy swojej siostry?

Uważam więc, że to dobrze, iż dowiadujemy się, co myślą o nas nasi harcerscy bracia. To zdecydowanie lepiej, niżby mieli nam prawić komplementy, kiedy ich poglądy są inne. Tak więc niech mówią nam prawdę – bo to jest braterskie. A jednocześnie niech szanują nasze prawo do innego zdania, do sprzeciwiania się czy nawet oburzenia – to też braterskie. To wszystko jest braterskie dopóki jest uczciwe, prawdziwe – dopóki wypowiedane słowa są odzwierciedleniem autentycznych poglądów, a nie efektem chłodnej, można by rzec – politycznej kalkulacji.

Inna rzecz, że od swojego brata (dla jasności – przyrodniego) wolałbym słyszeć przez długie lata nie tylko to, że moja mamusia się źle prowadziła – bo na to przecież nie mam żadnego wpływu. Ale ciągle mam wpływ na to, jak się teraz uczę, kim teraz jestem, co teraz robię wartościowego. Widać jednak, że łatwiej ciągle przywoływać złe pochodzenie niż dostrzec, co dobrego dzieje się dzisiaj, jakie zachodzą zmiany. Tym bardziej, że mamy już do czynienia z pokoleniem wnuków, którym przychodzi ciągle słuchać o tej źle prowadzącej się mamusi, a właściwie babci. Ile pokoleń jeszcze potrzeba?

Harcerskie formaty

Po zakończeniu forum programowego w Załęczu Wielkim (21–22 marca br.) w harcerskim internecie rozgorzała na nowo dyskusja o programie. I dobrze. Jednym z wątków, który zawsze pojawia się przy takich okazjach, jest pytanie – gdzie powstaje nasz program?

Jedni twierdzą, że kluczową rolę w tworzeniu programu ZHP ma odgrywać centrala. To tutaj – w Głównej Kwaterze ZHP – powinny gromadzić się najtęższe umysły instruktorskie. To tu powinien powstawać program, który będzie odpowiadał na potrzeby współczesności, a tym samym będzie przyciągający dla dzieci i młodzieży. To myślenie skutecznie wspomagane jest przez „głosy z terenu” wielu instruktorów, którzy z sentymentem wspominają programy w pudełkach typu „Woda jest życiem” albo „Paszport do Europy”.

Inni są przekonani, że program powstaje oczywiście w gromadzie i drużynie. Ba, tę oczywistość mamy nawet zapisaną w Statucie ZHP. Więc nie ma o czym rozmawiać, a próby tworzenia programów centralnych czy chorągwianych są pozostałością po centralistycznym myśleniu w stylu z minionej epoki. Mówiąc krótko: nie ma powrotu do programu w pudełkach.

Kto ma rację? Gdzie leży prawda? Pewnie jak zwykle – pośrodku.

Jest dla mnie oczywiste, że drużynowy ma decydującą rolę w określaniu programu drużyny. To on najlepiej wie, co jest potrzebne jego harcerzom, jakie mają oczekiwania, jakie są oczekiwania środowiska działania. Zna także swoje możliwości i ograniczenia – co również ma spore znaczenie. Niech więc program powstaje rzeczywiście samorządnie w drużynie!

Ale czy to oznacza, że władze centralne mogą kwestie programowe odpuścić? Ależ nie! Niech gromadzą wyśmienite pomysły z całej Polski, opracowują je i wydają, nawet w postaci legendarnych pudełek. I niech te pudełka wysyłają do wszystkich hufców. To wcale nie stoi w sprzeczności z samorządnym tworzeniem programu w drużynie, o ile – i to jest najważniejsze! – owo pudełko nie będzie obowiązkowym programem dla każdej gromady i drużyny, ale pomocą dla drużynowego. Pomocą, do której drużynowy będzie mógł sięgnąć wtedy, kiedy uzna to za stosowne. Już to widzę oczami wyobraźni: drużynowy chce

zająć się jakąś tematyką, przychodzi więc do swojego hufca, a tam w hufcowej biblioteczkę stoją pudełka z programami z ostatnich kilku lat; szuka więc i bez trudu znajduje – ekologia, korzystanie z praw obywatelskich, zdrowy styl życia, tolerancja wobec niepełnosprawnych, umiejętność szybkiego uczenia się, dylematy etyczne współczesnego nastolatka i tak dalej...

* * *

Osoby oglądające seriale rozrywkowe, teleturnieje telewizyjne doskonale wiedzą, że w znacznej części (może w większości?) nie są one naszym rodzimym pomysłem. Zwykle są kupowane jako tzw. format telewizyjny, a więc szablon programu, opisujący treść, formę, typ aktorów pasujących do obsady głównych ról, a w przypadku teleturniejów nawet treść zadań, wystrój studia itd. Dlaczego wydaje się na coś takiego duże pieniądze zamiast wymyślić coś własnego? Bo wiadomo, że w takim formacie wszystko jest opracowane perfekcyjnie, a co najważniejsze, że został on sprawdzony w wielu krajach. Mówiąc krótko: wiadomo, że to się sprawdzi (czytaj: będzie miało odpowiednio wysoką oglądalność, a więc zarobi na sobie reklamami przed programem, w trakcie i po nim).

Podobnie wyobrażam sobie inspirację płynącą z góry do namiestnictw, szczepów i drużyn – formaty harcerskie, które w ciemno można wdrożyć, gdyż wiadomo, że są atrakcyjne dla dzieciaków, perfekcyjne pod względem formy i bezbłędne metodycznie, no i oczywiście ponieważ zostały już wielokrotnie sprawdzone w różnych środowiskach.

Oczywiście można mieć obawy, że to zabije kreatywność drużynowych. Czy jednak drużynowy-artysta rzeczywiście pójdzie na łatwiznę – wyłączy swą indywidualność i zacznie stosować wyłącznie sprawdzone formaty? Z pewnością nie. A że zrobi tak drużynowy, który jest kiepskim rzemieślnikiem – cóż, może to lepiej, niżby miał katować swoich harcerzy wprowadzając własnymi, ale marnymi pomysłami.

„Naj”, ale zgodnie z prawdą

Pierwsi w Polsce, najstarsi, najwięksi – tego typu przymiotniki to nieodłączny element promowania się firm. I choć to – logicznie rzecz biorąc – niekoniecznie wpływa na jakość fakt, że jakaś firma w czymś była pierwsza, że jest najstarsza – to jednak taki sposób działa na odbiorców, na zwykłych ludzi. Dobrze więc, że promując naszą organizację, stosujemy metody sprawdzone w biznesie...

Tak więc w ostatnich miesiącach, przy okazji kampanii 1%, nieraz mogliśmy przeczytać, że jesteśmy największą organizacją pozarządową w Polsce, ale także organizacją najstarszą.

Jedną z podstawowych zasad PR-u brzmi: „mów prawdę”. Poza tym idea harcerska – wiadomo. Dlatego warto zastanowić się, czy te nasze przechwałki rzeczywiście są prawdą...

Czy ZHP jest najstarszą organizacją pozarządową? Odpowiedź zależy oczywiście od tego, jakie daty weźmiemy pod uwagę. W przypadku ZHP mówimy o 1918 r., ale przecież za rok chwalić się będziemy stuleciem harcerstwa. Nie może więc dziwić, że także inne organizacje szukają swych najdawniejszych korzeni. I tak:

- Związek Ochotniczych Straży Pożarnych RP przypomina, że pierwsze ochotnicze straże powstały w latach 60. XIX wieku,
- Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w Polsce podaje rok 1864 jako datę swojego powstania,
- w 1873 r. powstało Galicyjskie Towarzystwo Tatrzańskie, które w 1920 r. zmieniło nazwę na Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, a w 1950 połączyło się z Polskim Towarzystwem Krajoznawczym, tworząc znany nam wszystkim PTTK,
- Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, o którym była mowa wyżej, powstało zaś w 1906 r., a więc też przed początkami harcerstwa,

- wprowadzie dopiero w 1950 r. zaczął działać Polski Związek Wędkarski, jednak jego korzenie sięgają do 1879 r., kiedy powstało Krajowe Towarzystwo Rybackie.

Kiepskie to pocieszenie dla nas, ale faktem jest, że mnóstwo organizacji, z ogromnym i znanym PCK na czele (powstałym w 1919 r.), mówi o sobie jako o najstarszej organizacji pozarządowej w Polsce. Co ciekawe – także wiele tych, które powstały... po 1989 r.

Czy ZHP jest największą organizacją pozarządową? Odpowiedź na to pytanie – co oczywiste – zależy od liczb, które podają same organizacje. Należy więc podchodzić do nich z rezerwą. Jak by nie patrzeć, z pewnością biją nas liczebnie na głowę ochotnicze straże pożarne, które mają około 700 tysięcy członków, oraz Polski Czerwony Krzyż, który podaje, że samych członków klubów Honorowych Dawców Krwi jest 200 tysięcy.

Co z tego wynika? Że nie jesteśmy ani najwięksi, ani najstarsi. Zresztą nie jest to wcale powód do zmartwień – najważniejsze, abyśmy wiedzieli, co chcemy robić i abyśmy robili to po prostu dobrze. A wówczas ludzie docenią nas bez specjalnych zabiegów PR-owskich.

Jak rodzi się Statut?

Kwestie, o których tu będzie mowa, można z grubsza przyporządkować do jednej z dwóch grup. Po pierwsze – są to wszystkie te problemy, które wiążą się z samym sposobem pracy nad zmianami w statucie. Po drugie – są to kwestie związane z dyskusją wewnątrz Związku nad projektem statutu i wszystkim tym, co z tej dyskusji wynika. Choć tak naprawdę wszystko wiąże się ze sobą. Spójrzmy więc na te zjawiska, zostawiając na boku kwestie merytoryczne związane z projektem Statutu ZHP.

Królik z kapelusza

Zespół statutowy wykonał niewątpliwie tytaniczną pracę. Problem w tym, że zaprezentował nam tylko efekt końcowy – projekt całego statutu. No i jeszcze założenia. I obok naturalnych wątpliwości dotyczących samego projektu (naturalnych, bo przecież instruktorzy mają różne zdania), pojawiły się pytania typu: A skąd się wzięły takie założenia? Dlaczego wybrano taki wariant, a nie inny? Dlaczego zrezygnowano z...? Dlaczego wprowadzono...? Jakimi kryteriami kierowano się wybierając określone rozwiązania? No właśnie, te pytania dotyczą w istocie nie samych zapisów projektu statutu, lecz założeń. Widzimy więc, że pokazano projekt, kazano nad nim dyskutować – tak jakby założenia do niego były uzgodnione, bezdyskusyjne. A to nieprawda.

Zresztą jest to szerszy problem, który – ze względu na dużą wagę – zasługuje na oddzielne omówienie.

Analiza – założenia – zapisy

To chyba grzech pierwородny zaprezentowanego projektu statutu – nieodpowiednia kolejność działań, a właściwie brak ważnych działań, które powinny poprzedzić etap pracy nad konkretnymi zapisami. W czym rzecz? Otóż – o czym

była już mowa wyżej – został zaprezentowany projekt statutu, natomiast pominięto ważne wcześniejsze etapy (wariant: nie pominięto, ale nic o tym nie wiemy).

Przede wszystkim nie dokonano analizy funkcjonowania naszego Związku (albo znów – nic o tym nie wiemy, ale tego już nie będę więcej powtarzała...), choćby pocziwej analizy SWOT – w szczególności więc nie wiemy, jakie zidentyfikowano słabe strony organizacji, nie wiemy, jakie określono zagrożenia, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć. Dalej: nie określiliśmy, które problemy naszej organizacji są najważniejsze, najbardziej blokują jej rozwój. Nie określiliśmy i nie przeprowadziliśmy symulacji różnych wariantów, aby wybrać ten optymalny. Wreszcie: nie dokonaliśmy analizy dostępnych narzędzi, które miałyby pomóc nam dokonać w najbliższej kadencji (i w najbliższym dziesięcioleciu!) znaczącego, powszechnego skoku rozwojowego we wszystkich aspektach funkcjonowania organizacji pozarządowej (przecież nie wszystko da się zrobić za pomocą zmian w statucie i – co może ważniejsze – nie wszystkie problemy wymagają takich zmian).

Dopiero po tych wszystkich analizach moglibyśmy stworzyć założenia – nawet nie tyle do statutu, ile po prostu do strategii rozwoju organizacji. A z tej strategii, z określonej w niej wizji, priorytetów, niemalże „samo” by nam wyszło, jakie rozwiązania będą najlepsze.

Zgoda co do założeń to dopiero punkt wyjścia do tworzenia dokumentu. Ale to już robota dla prawników, którzy na podstawie precyzyjnych wskazówek są w stanie przygotować dobry projekt statutu w dwa tygodnie.

Mania konsultowania

To problem, nad którym zastanawiam się już od dłuższego czasu: czy i jak konsultować różne dokumenty w Związku. Generalnie mam poczucie, że w ZHP przesadzamy z konsultacjami. Czy dlatego, żeby mieć alibi? Czy żeby mieć poczucie poparcia dla proponowanych rozwiązań? Czy dla utwierdzenia się w przekonaniu, że to, co wymyśliliśmy, jest w miarę sensowne? A może to przekonanie, że tak jest bardziej demokratycznie?

Ale o jakim alibi mowa? Przecież i tak odpowiedzialność za decyzje ponoszą członkowie władz. To bardziej demokratycznie? Ależ skąd, przecież demokracja polega na tym, że mam swoich przedstawicieli w Radzie Naczelnej, na Zjeździe ZHP – i oni m.in. w moim imieniu mają decydować, mają podejmować odpowiedzialność.

Warto więc zadać sobie pytanie, czy ogólnozwiązkowe konsultacje projektu statutu w ogóle mają sens? I tak, i nie. Za odpowiedzią twierdzącą stoi przede wszystkim argument „uchwalalności” statutu (o tym szerzej nieco dalej). A przeciwno – kilka innych, którym też warto się przyjrzeć szerzej.

Punkt widzenia...

Konsultacje projektu statutu – zgodnie z marcową uchwałą Rady Naczelnej – miały się odbyć przede wszystkim na poziomie chorągwi. To chorągwie miały przedstawić w maju swoją opinię; oprócz nich oczekiwano także na stanowiska pozostałych władz naczelnych.

Gdy przyjrzeć się bliżej wnioskowi z tych dyskusji, to chyba nie ma żadnego zaskoczenia. Można śmiało stwierdzić, że szkoda było tego czasu, szkoda godzin spędzonych na spotkaniach, litrów wypitej wody i kilogramów zjedzonych paluszków i ciasteczek. Naprawdę szkoda, bo w tych opiniach nie ma właściwie niczego, czego nie można byłoby się spodziewać po opiniach władz bezpośrednio zainteresowanych takim lub innym kształtem dotyczących ich zapisów. Bo jaka władza odpowie pozytywnie na pytania typu:

- Czy chcecie, aby statut ograniczył wasze kompetencje?
- Czy jesteście za tym, aby można było was odwołać w każdym momencie, a nie tylko raz w roku – przy okazji uchwalania absolutorium?
- Czy chcecie, abyście (jako władza) zostali zlikwidowani?
- Czy chcesz, aby twój wybór na funkcję komendanta był ograniczony tylko do dwóch kadencji?

Kto liczył tutaj na aprobatę, ten był bardzo, bardzo naiwny...

Żeby być uczciwym, trzeba dodać, że kwestia walki „o swoje” nie dotyczy jedynie władz chorągwi czy władz naczelnych (z CKR na czele, która nie chce być likwidowana). Sygnał do takiego patrzenia na projekt statutu dał sam zespół statutowy, który skoncentrował się zdecydowanie najbardziej na kompetencjach... oczywiście Rady Naczelnej (ta drobiazgowość i kontrast w porównaniu z opisami innych władz ZHP porażają).

Stąd wniosek, pewnie dla wielu osób kontrowersyjny, że jedynym sposobem, aby uchronić się przed pisaniem statutu „pod siebie” jest stworzenie zespołu z instruktorów, którzy nie są członkami żadnych władz naczelnych i nie zamierzają na najbliższym zjeździe do tych władz kandydować.

Uchwalalność

Statut musi być uchwalony przez zjazd ZHP większością 2/3 głosów. I to właściwie argument, który zamyka dyskusję nad tym, czy należy konsultować projekt statutu. Bowiem 1/3 blokująca to tylko 70 osób. Niewiele. Tym bardziej że na niekorzyść zwolenników wprowadzania trudnych zmian działają dwie okoliczności. Po pierwsze – przeciwnicy niekorzystnych zmian są bardziej zmotywowani do udziału w zjeździe i głosowania. Wśród nich będzie z pewnością większa frekwencja, więc może się okazać, że blokująca liczba zmniejsza się do 60 osób, a nawet jeszcze mniej. Po drugie – propozycji, które spotykają się z oporem, jest wiele, więc grono przeciwników uchwalenia „trudnego” statutu jest niejednorodne – składa się z osób, które są niezadowolone z rozmaitych przepisów. Ich liczba więc rośnie.

Bez szans?

Taka analiza prowadzi niestety do pesymistycznych wniosków – że właściwie są niewielkie szanse, aby przegłosować statut, który będzie ograniczał kompetencje, poczucie stabilności aktualnych władz, w szczególności władz wykonawczych.

Czy naprawdę nie ma szans na dokonanie zmian w naszym statucie? Są, pewnie jednak muszą postępować dużo wolniej. Trzeba bowiem cały czas pamiętać, że to nie jest kwestia szybko podejmowanych uchwał w gronie nielicznej Głównej Kwatery, to nie tylko kwestia przekonania kilkudziesięciu osób z Rady Naczelnej, tutaj niestety jest problem tej większości 2/3, czyli konieczności przekonania około 150 osób ze środowisk z całej Polski – to znaczy de facto całego Związku. A to wcale nie jest takie proste.

Sztuka przekonywania

Aby skutecznie przekonać Związek do czegokolwiek (w szczególności do zmian w statucie), trzeba przede wszystkim zdać sobie sprawę z jego wielkości i różnorodności. Przecież mamy tu i drużyny kilkudziesięciosobowe i „drużyny” pięciosobowe, drużyny ograniczające swój program do zabaw militarystycznych i takie, które deklarują specjalność duchową. Mamy hufce tysiącosobowe (i większe) i „hufce” około stuosobowe, mamy komendantów hufców

w wieku studenckim i takich, którzy mogliby być ich dziadkami. Mamy instruktorów w nowych mundurach, tych jeszcze z CSH oraz takich, którzy nie mogą się rozstać ze swoją „olimpijką”. Mamy wreszcie przewodników na poziomie harcmistrzowskim i harcmistrzów na poziomie przewodnikowskim. I tak dalej... Ci wszyscy ludzie, te wszystkie jednostki występują pod jednym szyldem Związku Harcerstwa Polskiego. To dla nich wszystkich ma być nowy statut.

Ta świadomość różnorodności jest tak ważna, bo widać, że jej nam niestety bardzo w Związku brakuje. Brakuje w wypowiedziach w Internecie, w dyskusjach instruktorskich, brakuje także na zjazdach ZHP, na których co i raz głos zabierają delegaci, którzy myślą, że u innych jest tak samo jak u nich.

Styl

Jest gorzej – nie dość, że każdy myśli przez pryzmat swojego podwórka, to jeszcze porozumienie utrudnia fakt, że nie potrafimy ze sobą rozmawiać. I coraz częściej nasze wewnątrzharcerskie dyskusje przypominają język tabloidów albo anonimowych komentarzy w rozmaitych portalach internetowych.

Lubimy przy tym przypinać sobie łatki. Jak tylko jest jakiś opór czy pytanie – od razu: beton. I – choć zdecydowanie mi bliżej merytorycznie do osób, które tak mówią – to jednak coś się we mnie burzy, jak słyszę to magiczne określenie „beton”, które wypowiedzane jest najczęściej z intencją, że zakończy ono wszelką dyskusję. No właśnie nie, nie powinno ono nic zamykać, ale otwierać. Bo dopiero wtedy, gdy pojawia się opór, wątpliwość zaczyna się prawdziwe wyzwanie dla kogoś, kto chce autentycznie przekonać innych do zmian.

Kiedy napotykamy opór, mamy dwie drogi: albo kogoś wyzywać od betonu, albo starać się zrozumieć jego sposób myślenia. Ja wybieram to drugie, ponieważ zrozumienie tych, którzy nie chcą zmian, to klucz do znalezienia sposobu, aby ich przekonać. A zakładam, że to jest właśnie naszym celem.

To ludzkie

Ktoś, kto kiedykolwiek zetknął się z zarządzaniem zmianami, wie doskonale, jak bardzo opór zaburza proces zmian. A bierze się on mówiąc najprościej z tego, że mamy do czynienia z ludźmi. Ludźmi, którzy na przykład mają poczucie zagrożenia dla posiadanej władzy czy pozycji, nie mają dostatecznej informacji, nie dostrzegają korzyści, obawiają się nieznanego, są przywiązani do tradycji

albo po prostu mają wewnętrzną niechęć do jakichkolwiek zmian. Czy te przyczyny oporu, choć teoretyczne, nie pasują jak ulał do sytuacji naszego Związku?

Nie warto więc obrażać się, że ktoś nie rozumie naszych poglądów, nie warto obrażać ludzi, oskarżając ich o zacofanie itd. To przecież naturalne, ludzkie, to jest wkalkulowane w proces zmian. Im szybciej to zrozumiemy, im szybciej uświadomimy sobie, że najwięcej zmian musimy dokonać nie w związkowych dokumentach, ale w naszych instruktorskich umysłach, tym lepiej.

Powolutku do przodu

Jak zatem możemy wprowadzać zmiany w statucie (czyli dokonywać przeobrażeń systemowych w Związku)?

Przede wszystkim, niezależnie od losu istniejącego projektu statutu i wyników XXXVI Zjazdu ZHP, powinniśmy cały czas rozmawiać. Dyskusja instruktorska, taka jak choćby przed Zjazdem Programowym, powinna być permanentna. Powinniśmy tworzyć stałe fora wymiany myśli instruktorskiej, powinniśmy rozmawiać na kursach instruktorskich, dzielić się swoimi przemyśleniami w Internecie i na łamach „Czuwaj”. To daje nadzieję na ścieranie się poglądów i wspólne wykuwanie mądrych rozwiązań.

Po drugie – powinniśmy spróbować dokonywać zmian małymi krokami. Może najpierw przećwiczmy model bezkadencyjny, ale z możliwością odwołania w każdym momencie, na przykładzie Naczelnika ZHP i Głównej Kwatery? A jak się sprawdzi, jak udowodnimy sami sobie, że Naczelnik może w takim układzie być silny, a rada potrafi działać racjonalnie, to łatwiej będzie ten sam model wprowadzić szczebel niżej.

Po trzecie – nie wszystko naraz. Może część zmian warto odłożyć na później? I nie dlatego, że są mniej ważne, ale ze względu na to, że mniej jednoczesnych zmian daje większą szansę na sukces. Zwróćmy uwagę, że w projekcie statutu jest sporo ciekawych rozwiązań, ale wielu instruktorów mówi – „dno”, ponieważ widzi w nim tylko większą podległość zarządów radom, likwidację CKR i sądów w hufcach. To im wystarczy, aby zanegować całość.

A może by tak...

...jednak zrobić wszystko jak należy? A więc po kolei, bez poczucia przymusu, że musimy zdążyć do grudniowego zjazdu, a z przekonaniem, że lepiej

sensownie przygotować się do zmiany statutu i doprowadzić do przygotowania projektu, który będzie odpowiadał zarówno stanowi obecnemu Związku i tendencjom w nim występującym, jak i wizji organizacji za cztery lata. Mogłoby to wyglądać na przykład tak:

- 8-9 grudnia 2009 – przyjęcie przez XXXVI Zjazd ZHP strategii rozwoju ZHP, która zawiera wizję organizacji w roku 2013, a najlepiej w jeszcze dalszej perspektywie,
- grudzień 2009 – powołanie (tylko problem – przez kogo?) zespołu statutowego, w którym NIE BĘDZIE członków władz naczelnych i władz chorągwi,
- do kwietnia 2010 – opracowanie założeń do statutu, wynikających z przyjętej strategii rozwoju ZHP, z wariantami różnych rozwiązań, przedstawienie założeń do powszechnej dyskusji w Związku,
- od kwietnia do listopada 2010 – dyskusje w hufcach i w ich efekcie przyjęcie stanowisk (opowiedzenie się za określonymi wariantami) przez zjazdy chorągwi,
- od grudnia 2010 do lutego 2011 – praca nad tekstem statutu i przedstawienie go do konsultacji,
- od lutego do czerwca 2011 – konsultacje ogólnozwiązkowe – dotyczące nie tyle rozwiązań merytorycznych, ile zapisów, sformułowań,
- czerwiec 2011 – zjazd statutowy ZHP, przyjęcie nowego statutu.

A jak będzie w rzeczywistości? Co dalej? To w dużej mierze zależy od tego, jaką decyzję podejmie Rada Naczelna obradująca w dniach 20-21 czerwca br. w Warszawie.

Strategia, czyli co dalej?

Co dalej? – to pytanie wybrzmiewa coraz wyraźniej. I trudno się dziwić, wszak czas do Zjazdu, wyznaczającego koniec kadencji, liczymy już nie w miesiącach, ale w tygodniach.

Niestety, nie ma co ukrywać, jesteśmy w innym miejscu niż przed poprzednim zjazdem – cztery lata temu. Wówczas mieliśmy projekt strategii opracowywany od roku i konsultowany przez duże grono instruktorów z całej Polski. Że był to projekt zbyt optymistyczny, pisany w różowych okularach, a nade wszystko, że był nazbyt szczegółowy – to inna sprawa. Ale był.

PERMANENTNIE

Oczywiście można byłoby skoncentrować się na tym, kto jest winien obecnej sytuacji. I z pewnością znajdą się chętni do rozliczania. Jednak zostawmy to i skoncentrujmy się na tym, co jest tutaj zasadniczym problemem, zresztą ogólnozwiązkowym.

Otóż problemem harcerskich strategii na każdym szczeblu organizacji jest korzystanie z nich okazjonalnie, co oczywiście sprawia, że nie prowadzą do sukcesu. Tak więc strategią ekscytujemy się najbardziej w momencie jej powstawania. Potem jest coraz gorzej, z reguły dlatego, że okazuje się, iż strategia przeszkadza, jest biurokratycznym, teoretycznym balastem, a przecież „dobrze wiemy, co trzeba zrobić”.

O strategii przypominamy sobie znowu dopiero przed kolejnym zjazdem (sprawozdawczym lub zwykłym) – głównie dlatego, że statut wymusza sprawdzenie, czy i jak została zrealizowana. Choć, prawdę mówiąc, widziałem takie zjazdy (hufca, chorągwi), które wcale nie przejmowały się statutowymi nakazami i nie oceniały realizacji strategii.

MASOWO

Stwierdziłem wcześniej, że największe zainteresowanie strategiami jest w momencie ich uchwalania. Ale to nie znaczy wcale, że to zainteresowanie może nas satysfakcjonować. Bowiem strategie są z reguły pisane przez wąskie zespoły pasjonatów. Rzadko kiedy projekty są rozumiane i ogarniane przez uczestników zjazdów. Efekt? Przyjęte dokumenty pozostają osamotnione na kolejne lata. Gdyby chociaż komendant wszystko ogarniał... Okazuje się, że mijają kolejne cztery lata, strategia pozostała na papierze, a życie przecież jakos się toczy. Wniosek? Ta biurokracja jest kompletnie niepotrzebna! Zwolenników myślenia strategicznego zatem ubywa z roku na rok.

OD DOŁU

Czy jest jakieś lekarstwo na ten problem? Co zrobić, aby strategie były dokumentami autentycznie wyznaczającymi ścieżkę rozwoju organizacji? Aby było powszechne przekonanie, przynajmniej wśród instruktorów zasiadających we władzach ZHP wszystkich szczebli, że to ich strategia, dobrze diagnozująca autentyczne problemy i celnie wskazująca sposoby ich rozwiązania, że to jest doskonały sposób na dokonanie jakościowego skoku?

Możliwości jest pewnie kilka. Jedną z najprostszych wydaje się być tworzenie strategii... normalnie, czyli wychodząc od problemów „na dole” – tych, które dotyczą realizacji misji naszej organizacji, nie zaś od problemów, które identyfikowane są na „górze” Związku – często problemów wyłącznie struktur, ich problemów samych ze sobą.

Tak więc musimy szukać odpowiedzi na pytanie, cóż takiego się dzieje, że – jak wskazuje choćby liczebność naszej organizacji – mamy problemy z realizacją misji:

- Czy to kształtowanie charakteru prowadzą osoby nieprzygotowane?
- Jeśli tak, to czy jest to kwestia ogólnozwiązkowa – systemu przygotowania kadr?
- A może to efekt braku wsparcia na poziomie hufca – przez dobrego namiestnika, przez kształceniowców? A może tych zespołów w ogóle w hufcach nie ma?
- Dlaczego jest tak z kadrą wspierającą hufców? Czy to znów błąd systemu, a może niewłaściwa struktura?

- No właśnie: może generalnie ta struktura wymaga zmiany na taką, która będzie bardziej nakierowana na drużynowego – a więc realizatora naszej misji?
- A może wcale nie chodzi o kadre, tylko problem tkwi w wyzwaniach – tych, o których mowa w naszej misji? Może stawiamy dzieciakom niewłaściwe, mało ekscytujące wyzwania?
- Jeśli tak, to może czas zastanowić się nad naszym programem?
- A może – o zgrozo, cóż za herezja! – jednak coś jest nie tak z naszą metodą?

I tak dalej... Chyba na pierwszy rzut oka widać, że odpowiedzi na tego typu pytania dają właściwie od razu gotowe cele strategiczne na następną kadencję – proste, oczywiste. I dobrze, bo takie powinny być. Dojście do nich będzie, rzecz jasna, dużo trudniejsze. Ale od tego są właśnie nasze władze naczelne – Rada i na poziomie wykonawczym Główna Kwatera.

Oczywiście jest jeszcze wiele innych aspektów wokół strategicznych, które są warte uwagi. (...) Także sposobów podejścia, propozycji, jak dalej pracować nad strategią, może być wiele. Można także sformułować wiele kolejnych, ciekawych pytań. I może być wiele różnych celów strategicznych.

Wszystko to może być. Może – jeśli tylko w Związku podejmiemy dyskusję o tym, co jest dla nas ważne w kolejnych czterech latach. Bo nie może być tak, że planowy, świadomy rozwój naszej organizacji leży w zakresie zainteresowań tylko niewielkiej grupy pasjonatów. Rozmawiajmy więc! Czasu coraz mniej!! To już naprawdę ostatni moment!!!

Krótką ławka

W tzw. minionej epoce zjazdy ZHP były dość przewidywalne, a wybory na funkcję naczelnika ZHP nie były zbyt emocjonujące. Lata 90. nie wniosły tutaj nic nowego – wszak był to czas dziesięcioletnich rządów naczelnika hm. Ryszarda Paćlowskiego.

Trudno się więc dziwić, że pojawienie się oprócz „oficjalnego” kandydata jeszcze innego (w 2001 r. – hm. Rafała Bednarczyka), a nawet dwojga innych (w 2005 r. – hm. Rafała Klepacza i hm. Doroty Całki) było rzeczą nową, zaskakującą, a dla wielu niezrozumiałą. Niektórzy mówili nawet, że to źle świadczy o naszym Związku, skoro nie potrafimy uzgodnić, kto ma być naszym naczelnikiem. Takie głosy stanowiły jednak margines, bowiem chyba większość instruktorów odczytała te prawdziwe wybory jako lekcję demokracji i dojrzałości naszego stowarzyszenia.

Nie sposób nie zgodzić się z tym, że to świetna lekcja demokracji, a przy tym okazja do zdrowej konkurencji i tworzenia wysokich standardów. Przypomnieć tu wypada, że cztery lata temu o tej porze (czyli na miesiąc przed zjazdem) znaliśmy już troje kandydatów na funkcję naczelnika, a ich ekipy zaprezentowały się w „Czuwaj” oraz na licznych spotkaniach instruktorskich. A teraz – cisza, na kilka tygodni przez zjazdem niewiele wiadomo...

Mimo tej pozytywnej oceny konkurencji między kandydatami na naczelnika, ich ekipami i ich wizjami, sądzę, że powinniśmy porzucić myślenie o wyborach naczelnika jako castingu, na którym wybieramy z kilku konkurujących ze sobą ekip. Dlaczego? Ponieważ nas jako ZHP na to nie stać!

Nie stać nas, ponieważ – stawiam zupełnie świadomie tę tezę – nie mamy zbyt wielu instruktorów, którzy mogą pełnić funkcje w Głównej Kwaterze. I nie chodzi mi tutaj jedynie o predyspozycje intelektualne, ale także o doświadczenie w pełnieniu funkcji na różnych szczeblach organizacji, umiejętność patrzenia przez pryzmat całego Związku i ogarnięcia spraw całej organizacji, wiedzę fachową i konieczne na danej funkcji umiejętności oraz – to równie ważne – możliwości czasowe, rodzinne i zawodowe zaangażowania się w pracę w zarządzie, jakim jest GK ZHP.

Gdybyśmy wzięli pod uwagę te wszystkie parametry, to okaże się, że mamy niestety bardzo krótką ławkę właściwie na każdą funkcję w Głównej Kwaterze – od osoby od pracy z kadrą, przez tę od programu, wizerunku i promocji, wspierania komend i na funkcji skarbnika kończąc.

Co z tego wszystkiego wynika? Jedno – podwójny apel. Po pierwsze – do kandydata lub kandydatów (?) na funkcję naczelnika ZHP: porzućcie myślenie w kategoriach układów personalnych, prywatnych relacji i zaproponujcie funkcje w swojej Głównej Kwaterze najlepszym z najlepszych. I drugi apel – do harcistrzyń i harcistrzów: jeśli kandydat na naczelnika ZHP zaproponuje Wam funkcję w swojej Głównej Kwaterze, to nie kierujcie się prywatnymi relacjami, ocenami personalnymi, ale jedynie swoimi możliwościami życiowymi oraz kompetencjami i... przyjmijcie propozycję. Tak trzeba, bo Związek w potrzebie!

Ważniejsi, najważniejsi

Przy okazji Dnia Myśli Braterskiej sporo się mówiło o drużynowych. Oczywiście za sprawą wyróżnień, jakie ci najlepsi otrzymują z rąk Naczelnika ZHP. Także my w lutowym „Czuwaj” poświęciliśmy drużynowym trochę uwagi. I, jak zwykle przy tej okazji, padały słowa o wiodącej roli drużynowego, o tym, że jest najważniejszy w naszej organizacji, że bez niego nie ma wychowania, w zasadzie nie ma harcerstwa. Zgoda. Drużynowy jest najważniejszy, bowiem to on bezpośrednio realizuje misję naszego Związku, to on zajmuje się dziećmi, wychowuje ich, stawiając wyzwania.

Na marginesie: Baden-Powel poszedł jeszcze dalej – wszak jemu przypisuje się słowa: „Gdybym mógł wybierać miejsce, które chciałbym zajmować w ruchu, to chciałbym być zastępowym”...

Chyba nikt nie ma wątpliwości, że być drużynowym to zaszczyt, że drużynowi rzeczywiście są najważniejsi! Zwykle podczas rozmów instruktorskich dodają tu jeszcze jedno: że (zwłaszcza) młodym drużynowym należy się szacunek i podziw. Tak, właśnie tak, podziwiam młodych ludzi, którzy, zamiast iść na randkę, do kina lub umówić się z przyjaciółmi na ciacho, siedzą w domu i przygotowują kolejną zbiórkę, a potem ją prowadzą.

Czasem jednak mam wrażenie, że z tym podkreślaniem ważności drużynowych... przesadzamy. Ostatnio usłyszałem, zresztą po raz kolejny, jak w kilku zespołach instruktorskich (nawet na pewnym kursie instruktorskim!) w sposób specyficzny podkreślano znaczenie drużynowego – nie przez to, o czym pisałem wyżej, ale przez umniejszanie roli innych instruktorów. A więc według filozofii: drużynowi – najważniejsi, reszta – dodatek, czasem wręcz balast.

Powtórzę raz jeszcze: drużynowi są najważniejsi, ponieważ bezpośrednio pracują z dziećmi. Ale to nie oznacza, że namiestnicy, kształceniowcy czy komendanci różnych szczebli są nieważni! To zgubny sposób doceniania drużynowych. Bo owszem, może jeszcze bardziej podkreślić ich znaczenie, ale jednocześnie demotywuje wszystkich tych, którzy powinni czuć w sobie siłę do

wspierania drużynowego, którzy powinni czuć, że są ważni dla organizacji. Tak nie można mówić do instruktorów na zbiórce kadry, na kursie instruktorskim! Namiestnik musi wiedzieć, że jest ważny, ponieważ od niego zależy jakość pracy drużynowego. Kształceniowiec musi mieć świadomość, jak wielka odpowiedzialność za kształtowanie młodych instruktorów na nim spoczywa i jak to jest istotne z punktu widzenia organizacji. Wreszcie komendant musi uświadamiać sobie, jak realizacja misji na jego terenie zależy od warunków, które stworzy swojej kadrze. Wszyscy oni przecież są bardzo ważni dla naszego Związku i trzeba o tym głośno, dobitnie mówić!

Instruktor – wolontariusz na 100%

Oprócz członków władz naczelnych oraz chorągwi, pewnie niewielu instruktorów wie, że 12 marca 2010 r. weszła w życie bardzo ważna, duża nowelizacja ustawy o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie, a więc tej, która w pełni nas dotyczy – jako stowarzyszenia posiadającego status organizacji pożytku publicznego.

Nowelizacja zawiera wiele zmian, m.in. szerzej definiuje działania organizacji mieszczące się w sferze pożytku publicznego, daje możliwość tworzenia (na wzór Rady Działalności Pożytku Publicznego) wojewódzkich, powiatowych i gminnych rad, wprowadza zmiany w zasadach zlecania zadań publicznych oraz w kwestii odpłatnej i nieodpłatnej działalności pożytku publicznego. Są to zagadnienia, które w oczywisty sposób dotyczą Związku Harcerstwa Polskiego, dlatego omówimy je szerzej w jednym z kolejnych numerów „Czuwaj”.

W tym miejscu chciałbym zwrócić uwagę na pewną bardzo istotną dla nas zmianę. Związana jest ona z definicją wolontariusza.

Pewnie niektórzy pamiętają, że dotąd występowały w tej sprawie duże kontrowersje. Skrajnie niekorzystne dla nas interpretacje mówiły wręcz, że przecież z samej istoty formy prawnej stowarzyszenia wynika działanie członka stowarzyszenia na jego rzecz, a więc trudno nazwać wolontariuszem na przykład instruktora ZHP, który nawet kilka czy kilkanaście godzin tygodniowo poświęca pracy społecznej na rzecz ZHP.

Nowelizacja ustawy rozwiewa jednak wszelkie wątpliwości, ponieważ zawiera nową definicję wolontariusza jako osoby, która „ochotniczo i bez wynagrodzenia wykonuje świadczenia na zasadach określonych w ustawie”. Ale to nie wszystko – w dalszej części ustawy mamy *expressis verbis*: „Członek stowarzyszenia może również wykonywać świadczenia, jako wolontariusz, na rzecz stowarzyszenia, którego jest członkiem”. Dobrze więc, że to jest już jasne i jednoznaczne!

Na telefon

Długa i sroga zima, tragedia smoleńska, powódź. Okazji do pełnienia służby mamy wiele, zbyt wiele w tym roku, nomen omen – Roku Służby. Nikt nie powinien narzekać, bo przecież „Służba. Braterstwo. Praca nad sobą”, przecież „Całym życiem pełnić służbę...”, przecież „Nieść chętną pomoc...”. A jednak...

Dzwoni do mnie w majowe południe ktoś z delegatury dzielnicowej centrum zarządzania kryzysowego. Chce, aby harcerze poroznosili po terenach zagrożonych powodzią ulotki, w których jest mowa o tym, jak się zachować w związku z istniejącym zagrożeniem. Rozmawiamy. Okazuje się, że pan ma nas – harcerstwo – za skoszarowaną, gotową na gwizdek służbę mundurową. Pan jest kompletnie zdziwiony, gdy uświadamiam mu, że owszem, mamy ponad 1000 osób w naszym hufcu, ale nikt tutaj nie pracuje na etacie – wszyscy albo są teraz w pracy (ci starsi), albo (ci młodszy) na uczelni lub w szkole. Słowem – nie ma szansy, aby w godzinach pracy urzędu (czyli w ciągu najbliższych 3-4 godzin) poroznosić ulotki.

Ale rozmawiamy dalej. Pan przyjmuje argument, że faktycznie nie ma sensu roznoszenie ulotek po domach do 5000 mieszkańców, wystarczy obkleić drzwi wejściowe do zaledwie kilkudziesięciu bloków – a to jest robota dla dwóch pracowników na 2-3 godziny.

W kolejnych rozmowach z różnymi instruktorami otrzymuję szerszy ogłęd sytuacji. Służba pełniona przez hufce miała być uzgadniana na linii centrum kryzysowe – komenda chorągwi. Nikt jednak nie przewidział, że dzielnicowe delegatury tego centrum, że burmistrzowie dzielnic też będą mieli własne, innowacyjne pomysły – też będą chcieli się wykazać, że mają „swoich” harcerzy, którzy na zawołanie zrobią wszystko. A to przecież takie łatwe – zadzwonić po harcerzy, zamiast zrobić coś samemu, np. roznieść plakaty, które – co też dowiedziałem się później – miały być roznoszone do administracji zagrożonych osiedli.

Służba. Bez niej nie ma harcerstwa. Jest jego immanentną częścią. Jednak instruktorzy – świadomi harcerscy wychowawcy – muszą pamiętać, że nie jest ona celem, ale środkiem do celu, sposobem, w jaki uczymy młodych ludzi wła-

ściwych postaw, w jaki ich kształtujemy na przyszłych dorosłych, odpowiedzialnych obywateli. Warto się zastanowić, czy bycie „służbą na (każdy) telefon” jest tym, co wspiera realizację naszej wychowawczej misji. Bo że to wspiera inne cele, w szczególności wizerunkowe, to oczywiste. No ale dla nas na pierwszym miejscu jest wychowanie. A dla naszych harcerzy – służba rodząca poczucie bycia AUTENTYCZNIE potrzebnym.

Formalnie = realnie

On nie może być drużynowym, ponieważ nie jest przeszkolony do tej funkcji. To zrobimy tak, że formalnie będziesz drużynową ty, a ona będzie dalej normalnie prowadzić zbiórki.

U nas jest taka tradycja, że drużynowym może być dopiero instruktor. Więc on prowadzi zbiórki od prawie roku, no ale nie może być drużynowym, bo ciągle nie jest instruktorem.

To nie są cytaty wzięte z sufitu, lecz wypowiedzi zasłyszane kilka-kilkanaście dni temu.

Jedno na pewno się zgadza – zgodnie ze Statutem ZHP rzeczywiście powierzenie funkcji drużynowego wędrownikowi (a nie instruktorowi) powinno mieć charakter wyjątku, no a poza tym oczywiste jest, że drużynowy musi być przeszkolony do pełnienia tej funkcji. Zresztą potwierdzenie tej zasady znajdziemy także w instrukcjach gromady i drużyn.

Potrzebujemy do zespołu kadry kształcącej hufca ludzi z odznaką kadry kształcącej. Żeby wszystko było legalnie – nie mamy wyjścia, musimy odkopać jakiegoś hufcowego dinozaura i mianować do zespołu...

Tu też mamy do czynienia z prawdziwymi przesłankami – rzeczywiście do zespołu kadry kształcącej hufca potrzebujemy instruktorów z OKK. Doprecyzujmy za dokumentem „Kształcenie kadry w ZHP”: musimy mieć ich dwóch.

Ale zostawmy stronę formalną. Bo istotne tutaj jest to, czy metoda radzenia sobie z tymi problemami kadrowymi jest właściwa? Czy ma sens tworzenie na papierze fikcji, kiedy dobrze wiemy, że życie będzie wyglądać zupełnie inaczej? Czy naprawdę w harcerstwie jesteśmy zmuszeni, żeby siebie – powiedzmy wprost – oszukiwać? Czy mamy świadomość, że jest to nieuczciwe, kompletnie niemotywuujące wobec dziewczyny czy chłopaka, że choć realnie prowadzą drużynę, to jednak nie są mianowani na funkcję drużynowego i nie noszą granatowego sznura?

Z drugiej strony – czy niby lepsze jest jawne nieprzestrzeganie związkowych przepisów? Czy możemy dopuszczać (my – szczepowi, hufcowi), aby dawać młodej kadrze sygnał, że przepisy ZHP (w szczególności zasady statutowe) można traktować wybiórczo? Czy nie boimy się, że kiedyś nam to wypomną – jeżeli w tym przypadku zlekceważyliśmy przepis, to w innych też nam wolno? No a jeśli chodzi o drużynowych – czy to nie dziwne, że ktoś prowadzi jakiś czas drużynę, a nie został dotąd przeszkolony?

Ano właśnie – podążmy tropem ostatniego pytania: jeśli ktoś realnie prowadzi drużynę, to rodzi się pytanie, gdzie był dotąd jego szczepowy, namiestnik, jak to się stało, że p.o. drużynowy nie ukończył odpowiedniego kursu rok temu czy więcej, kiedy był jeszcze przybocznym?

Ja wiem, że to są trudne problemy, niełatwe sprawy. Z jednej strony przepisy, z drugiej – człowiek i to pewnie zmotywowany (jeszcze!). Aby pozbyć się dylematów, widzę jedno rozwiązanie: myśleć o swojej kadrze dwa-trzy lata do przodu.

Instruktor – wolontariusz

Instruktor wolontariuszem? Wciąż budzi to zdziwienie wśród sporej grupy kadry Związku Harcerstwa Polskiego. Dlaczego? Z dwóch powodów. Każdy zaś dotyczy osób o innym stopniu znajomości zagadnień związanych z wolontariatem.

Tym mniej świadomym wolontariat kojarzy się przede wszystkim z centrami wolontariatu. Ba, są nawet przekonani, że wolontariusz to wyłącznie taka osoba, która działa właśnie w centrum wolontariatu. Niektórzy dodają do tego wspieranie stowarzyszeń i fundacji o celach charytatywnych, działających na rzecz ludzi potrzebujących, dzieci itp. I są przekonani, że aby móc nazywać siebie wolontariuszem, muszą nawiązać współpracę z tego typu organizacją.

Dochodzi więc czasem do kuriozalnych sytuacji, że instruktor, który chce być gdzieś wolontariuszem, szuka na siłę jakiegoś stowarzyszenia, bo tam chciałby podzielać wolontariacko. A co z harcerstwem? Hmm, no właśnie, wielu instruktorów zapomina, że Związek Harcerstwa Polskiego także jest stowarzyszeniem, a nawet ma status organizacji pożytku publicznego. I że jeśli kilka godzin tygodniowo zajmują się swoją gromadą, drużyną, szczerem czy hufcem, to oczywiście są wolontariuszami!

Powiedzmy to dobitnie: wolontariuszem można być także w ZHP, co więcej – wolontariuszem jest każdy drużynowy, każdy przyboczny! Z tego względu Związek Harcerstwa Polskiego jest jedną z największych w Polsce (największą?) organizacji, jeśli chodzi o liczbę stale (a nie dorywczo) działających wolontariuszy.

Ale – zapytają ci bardziej zaznajomieni z problematyką – jak to jest, przecież niedawno jeszcze mówiono nam, że ktoś, kto działa na rzecz swojego stowarzyszenia, nie jest wcale wolontariuszem, gdyż robi to niejako z obowiązku – obowiązku członkowskiego. Rzeczywiście, jeszcze do niedawna pojawiały się takie głosy. Na szczęście były one w zdecydowanej mniejszości i żeby raz na zawsze rozwiązać wszelkie wątpliwości, w nowelizacji ustawy o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie, która weszła w życie w marcu br., wprowadzono prostą i jednoznaczną definicję wolontariusza.

Zgodnie z art. 2 ustawy o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie wolontariuszem jest osoba fizyczna, która ochotniczo i bez wynagrodzenia wykonuje świadczenia na zasadach określonych w ustawie.

Istotne są tutaj zatem trzy elementy – że jest to świadczenie:

- ochotnicze (to jasne i nie powinno sprawiać jakichkolwiek problemów),
- bez wynagrodzenia (przy czym za wynagrodzenie nie uznaje się zwrotu kosztów podróży służbowych i diet, a także innych niezbędnych kosztów ponoszonych przez wolontariusza, a także kosztów szkoleń związanych z jego działaniami na rzecz organizacji),
- na zasadach określonych w ustawie, o których piszę dalej.

Wolontariusze mogą wykonywać świadczenia między innymi na rzecz organizacji pozarządowych, w szczególności stowarzyszeń. A więc także na rzecz Związku Harcerstwa Polskiego, ale – to ważne – z wyłączeniem prowadzonej przez ZHP działalności gospodarczej.

Kto wolontariuszem?

Powtórzmy więc raz jeszcze, bo tego nigdy za wiele: jeśli bez wynagrodzenia (a to jest przecież zasadą) przygotowuję zbiórki jako przyboczny czy drużynowy, jeśli prowadzę szczerp, zespół kształcenia, namiestnictwo czy hufiec – to na pewno jestem wolontariuszem! Na pewno, ponieważ wolontariuszem jest każdy, kto chce bez wynagrodzenia robić coś dla stowarzyszenia (np. ZHP), przy czym może to być zarówno osoba pełnoletnia, jak i niepełnoletnia (np. 15-letni przyboczny, 17-letni drużynowy).

Obowiązki ZHP

Zgodnie z przepisami prawa Związek Harcerstwa Polskiego – jako korzystający z wolontariuszy – ma wobec nich szereg obowiązków.

Najważniejszym (ponieważ rodzi także inne skutki, o czym dalej) jest obowiązek zawarcia z wolontariuszem porozumienia, które określa zakres i sposób wykonywania świadczeń, a także czas, na jaki zostało zawarte.

Forma porozumienia jest uzależniona od czasu wykonywania świadczeń przez wolontariusza. Jeśli porozumienie będzie zawarte na mniej niż 30 dni, wówczas porozumienie może być zawarte ustnie (chyba że sam wolontariusz poprosi o zawarcie porozumienia na piśmie). Porozumienie powinno być obowiązkowo sporządzone na piśmie, jeśli świadczenie wolontariusza wykonywane jest przez okres dłuższy niż 30 dni. Biorąc pod uwagę specyfikę pełnienia funkcji w ZHP, możemy przyjąć jako zasadę zawieranie porozumień pisemnie.

Dlaczego tak ważne jest zawarcie porozumienia? Oczywiście możemy stwierdzić, że ze względu na charakter harcerstwa powinniśmy przestrzegać przepisów prawa. Zatem jeśli ustawa o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie nakłada na nas obowiązek zawarcia porozumienia, to powinniśmy je zawrzeć. I już!

Ale podpisanie porozumienia ma bardzo praktyczne, ważne skutki. Oto bowiem wolontariuszowi z mocy samej ustawy przysługuje ubezpieczenie z tytułu wypadku przy wykonywaniu świadczeń (na podstawie ustawy z dnia 30 października 2002 r. o zaopatrzeniu z tytułu wypadków lub chorób zawodowych powstałych w szczególnych okolicznościach), ale – to bardzo ważne! – pod warunkiem, że zostało zawarte porozumienie na czas dłuższy niż 30 dni!

Przy okazji warto wspomnieć, że świadczenia z tytułu wypadku przy wykonywaniu zadań wolontariusza na rzecz ZHP nie przysługują poszkodowanemu (tzn. wolontariuszowi) wskutek wypadku, który nastąpił z jego winy umyślnej lub rażącego niedbalstwa. I jest jeszcze jeden przypadek, który podaję jednak wyłącznie dla porządku (!!!): świadczenia nie przysługują także wolontariuszowi-poszkodowanemu, który, będąc w stanie nietrzeźwości lub pod wpływem środków odurzających lub substancji psychotropowych, przyczynił się w znacznym stopniu do spowodowania wypadku, o ile zostało to udokumentowane w aktach sprawy przez odpowiednie organy policji lub prokuratury.

Inne obowiązki ZHP (jak każdego innego stowarzyszenia, które korzysta z wolontariuszy) określa Dział III ustawy o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie. Oto one:

- Na żądanie wolontariusza ZHP ma obowiązek wydać pisemne zaświadczenie o wykonaniu świadczeń przez wolontariusza, w tym o zakresie obowiązków.
- Na prośbę wolontariusza ZHP może przedstawić pisemną opinię o wykonaniu świadczeń przez wolontariusza (to przydaje się np. w związku z praktykami na studiach, jako dokument, dzięki któremu można uzyskać dodatkowe punkty podczas rekrutacji albo uzyskać... lepszą ocenę w szkole).
- ZHP ma obowiązek poinformować wolontariusza o przysługujących mu prawach i ciążących obowiązkach oraz zapewnić dostępność tych informacji (za-

- nim ktoś zawoła: „to dziwne”, proponuję wszystkim szczerpowym, namiestnikom, hufcowym zrobić rachunek sumienia – czy nasi drużynowi rzeczywiście znają prawa i obowiązki drużynowego?).
- Organizacja ma obowiązek informować wolontariusza o ryzyku dla zdrowia i bezpieczeństwa związanym z wykonywanymi świadczeniami oraz o zasadach ochrony przed zagrożeniami. Z pewnością warto będzie dłużej zastanowić się, co to znaczy w praktyce – aby w krytycznych sytuacjach nie okazało się, że ZHP nie wypełnia wobec swych wolontariuszy podstawowych obowiązków. Tym bardziej, że mamy także ustawowy obowiązek zapewnienia bezpiecznych i higienicznych warunków wykonania przez wolontariusza świadczeń.
 - ZHP pokrywa koszty podróży służbowych i diet, chyba że wolontariusz zwolni go z tego obowiązku (ważne: w formie pisemnej pod rygorem nieważności!). Organizacja może pokryć także inne niezbędne koszty ponoszone przez wolontariusza oraz koszty szkoleń związanych z wykonywanymi przez niego zadaniami. Te kwestie z pewnością powinny być uregulowane w porozumieniu.

Obowiązki wolontariusza

Najważniejszym obowiązkiem wolontariusza jest należyte wykonywanie obowiązków, o których mowa w podpisanym porozumieniu. Jest to o tyle istotne, że porozumienie jest umową cywilnoprawną, a w związku z tym wolontariusz może odpowiadać m.in. za niewykonanie lub nienależyte wykonanie zobowiązania wynikającego z zawartego porozumienia. Na szczęście w ZHP ew. problemy w tym zakresie rozwiązuje polisa od odpowiedzialności cywilnej, która obejmuje kadre ZHP.

Porozumienie

Wróćmy na chwilę do porozumienia jako najważniejszego dokumentu, który określa zasady łączące wolontariusza z naszą organizacją.

Wiemy już, że musimy je zawierać właściwie z każdym wolontariuszem w ZHP – od przybocznego po instruktora zespołu w Głównej Kwaterze ZHP. Jednak zanim z zapałem weźmiemy się do tego, warto sobie przypomnieć, że w czerwcu br. Rada Naczelna przyjęła „System pracy z kadrą w ZHP” (patrz:

wkładka do numeru 9/2010 „Czuwaj”), w którym pojawia się pojęcie umowy w sprawie pełnienia funkcji. Przywołajmy więc odpowiednie zapisy systemu:

Umowa w sprawie pełnienia funkcji – (instruktorska, wolontariacka, o pracę itp.). Indywidualizowany zapis ustaleń między przełożonym a podwładnym, dotyczący zakresu obowiązków, uprawnień, decyzyjności oraz wsparcia ze strony organizacji. Podstawą do zawarcia umowy jest opis funkcji.

3.1. Praca przełożonego z kadrą uwzględnia:

- Przed mianowaniem na funkcję – weryfikację kandydata pod względem przygotowania do pełnienia funkcji (w tym spełnienia wymagań formalnych i predyspozycji), zapoznanie z opisem funkcji, sformułowanie umowy na pełnienie funkcji.*
- Mianowanie na funkcję – podpisanie umowy na pełnienie funkcji połączone z delegowaniem zadań i uprawnień, a następnie powołanie na funkcję w rozkazie.*

Zatem, skoro mamy w ZHP wprowadzić jako zasadę podpisywanie umowy przed mianowaniem na funkcję, to sensownym rozwiązaniem wydaje się połączenie tej umowy z porozumieniem, o którym mówi ustawa o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie. A właściwie jeszcze inaczej – chodzi o to, aby porozumienie miało w ZHP formę umowy w sprawie pełnienia funkcji.

Taka umowa będzie regulowała szczegółowo kwestie, które są dla nas istotne z punktu widzenia pracy z kadrą. Tak więc treści, które mają być obowiązkowo zawarte w porozumieniu z wolontariuszem (przypomnę: zakres i sposób wykonywania świadczeń oraz określenie czasu), siłą rzeczy znajdą się w takiej umowie.

Punkty za... harcerstwo

Ale rodzice się ucieszą! A gimnazjaliści mają wreszcie szansę mieć kontrargument, kiedy znów od nich usłyszą, że lepiej, aby się uczyli zamiast znowu iść na zbiórkę – lub coś w podobnym tonie...

Co takiego się stanie? Otóż jest szansa dla wielu gimnazjalistów, aby mieli coś namacalnego z harcerstwa... Bowiem od kilku lat podczas rekrutacji do liceum można uzyskać dodatkowe punkty za „osiągnięcia w aktywności na rzecz innych ludzi, zwłaszcza w formie wolontariatu” (to dokładny cytat z rozporządzenia Ministra Edukacji Narodowej).

Zasady szczegółowe ustalane są dla każdego województwa oddzielnie przez odpowiedniego kuratora oświaty. Różna może być więc liczba punktów (od jednego do pięciu), różne też są dodatkowe warunki, jakie musi spełnić gimnazjalista, aby te punkty zostały uwzględnione. Na przykład wolontariat musi trwać minimum pół roku (świętokrzyskie), średni roczny czas powinien przekraczać 24 godziny (pomorskie) albo po prostu nie może to być działanie jednorazowe. Są jednak i takie województwa, gdzie nie ma żadnych dodatkowych wymagań (np. mazowieckie, łódzkie).

Jak to wygląda w praktyce? Bardzo różnie. Znam przypadki gimnazjalistów, którzy chcieli otrzymać punkty za kwestowanie przez jeden dzień w ramach WOŚP albo takich, którzy zbierali pieniądze do puszek dla jakiejś fundacji tylko przez dwie godziny. To oczywiście patologia, ale dobrze pokazuje, że z czystym sumieniem możemy i powinniśmy zadbać o gimnazjalistę-przybocznego, który od roku (a może i dłużej) jest przecież wolontariuszem, przygotowując z drużynowym zbiórki, rajdy i inne imprezy drużyny. Jest to przecież w czystej formie wolontariat, a więc działanie ochotnicze i bez wynagrodzenia!

Ktoś powie kpiąco: cóż to jest te kilka punktów? Hmm, takiej osobie poleciłbym, aby zapytała, czy rzeczywiście to jest nieważne, jakiegoś gimnazjalistę, któremu zabrakło jednego, dwóch czy trzech punktów, aby się dostać do upragnionego liceum...

Zatem: gimnazjaliści – upomnijcie się o dokument, który potwierdzi waszą działalność wolontariacką. Drużynowi – pomyślcie o swoich przybocznych. Komendanci szczepów i hufców – zadbajcie o swoją najmłodszą kadre!

80 złotych

5 marca br. Rada Naczelna ZHP podjęła uchwałę nr 35/XXXVI w sprawie jednorazowej indywidualnej składki członkowskiej wnoszonej przez instruktorów ZHP. Mówiąc krótko: pełnoletni instruktorzy mieli wpłacić ekstra składkę w wysokości 80 zł na pokrycie zobowiązań szczebla centralnego naszej organizacji. W skrócie chodzi oczywiście „o składkę 80” albo – jeszcze krócej – o „80 zł”, co stało się w ZHP właściwie samodzielnym już znakiem.

To tyle, jeśli chodzi o fakty. Nie zamierzam w tym miejscu rozpisywać się na temat, kto wniósł projekt, w jakim kształcie, kto zmienił, kto uchwalił itp., itd. Warto przez chwilę zastanowić się nad innymi kwestiami, problemami czy zjawiskami występującymi w naszej organizacji, które cała sytuacja ze „składką 80” unaoczniała lub wzmocniła.

Stosunek do organizacji i „góry”

Najwięcej ciekawych obserwacji dotyczy postaw instruktorskich. Widać je doskonale po wypowiedziach w dyskusji, jaka rozpełtała się po uchwaleniu dodatkowej składki.

Kiedy zastanawiam się nad dominującym tonem w reakcjach instruktorów, próbuję sobie przypomnieć, czy przeczytałem gdzieś w sieci albo usłyszałem podczas rozmów choć jeden głos (poza instruktorami z władz naczelnych), którego motywem przewodnim byłaby trwoga czy choćby zaniepokojenie stanem finansów organizacji albo mobilizacja, motywacja – że tak, że razem musimy zmierzyć się z tym problemem. Obawiam się, że takiego typu głosów nie było. A jeśli były, to zostały zagłuszone przez inne. Jakież?

Przede wszystkim widać oderwanie „dołów” od problemów całości organizacji, kompletne niezrozumienie, że zobowiązania, które przypisane są do szczebla centralnego, są przecież długami całego ZHP – nie tylko Głównej Kwatery. Samo to jednak nie jest – według mnie – niczym specjalnie zaskakującym i nie-

właściwym. Bo myślę sobie, że drużynowy albo szczeptowy, a nawet instruktor z poziomu hufca, dajmy na to namiestnik – oni wcale nie muszą wiedzieć, o co chodzi z tymi długami – komu i ile jesteśmy winni itd. Mają przecież swoje zadania i swoją odpowiedzialność związaną z pełnioną funkcją. Ale nie wiedzieć – to jedno, a prezentować postawę typu „to nie moje długi – płacicie je sobie sami” – o, to zupełnie inna sprawa.

Taką postawę uważam za z gruntu nieharcerską. Bo przecież to nie są długi obecnej Głównej Kwatery, obecnej Rady Naczelnej. To są po prostu długi ZHP. I dla oceny sytuacji i opisanych postaw kompletnie nie ma tu znaczenia, że długi te powstały wiele lat temu i obecne władze nie są ich sprawcami. Ważne jest to, że zobowiązania po prostu trzeba spłacać. I jest to obowiązkiem każdej organizacji, a szczególnie takiej, która uczy uczciwości, gospodarności, słowności itd.

A swoją drogą – ciekaw jestem, czy każdy z instruktorów, który pastwił się nad władzami naczelnymi ZHP, ma opłacone składki członkowskie? To nie jest wbrew pozorom pytanie bez związku ze „składką 80”. Ci, którzy interesują się tematem, wiedzą dobrze, że gdyby zostały wpłacone do GK ZHP wszystkie zaległe składki członkowskie, wówczas nie byłoby potrzeby myśleć o nadzwyczajnych działaniach.

Na opisaną postawę, którą osobiście uważam za destrukcyjną dla Związku, bo rujnąjącą poczucie wspólnoty, nakłada się kolejna. Jest to brak zaufania do tzw. góry. Przejawia się on choćby w pytaniach typu: „a skąd ja wiem, czy za rok znowu nie wymyślą nowej składki?”, „a na co to – pewnie na pensje?”, „dlaczego mam płacić za luksusy władz?”.

Jak odpowiadać na tego typu pytania? Jak, mając w głowie zasady harcerskie? Ta postawa jest groźna, ponieważ ma zdolność pogłębiania się i rozszerzania, co znowu może być destrukcyjne dla Związku. Bo jeśli dziś tak łatwo przychodzi instruktorom podważanie dobrych intencji członków władz naczelnych, ich osobiściej uczciwości, a nawet ich harcerskości – to co dalej? Czego jeszcze można się spodziewać? Czy można być spokojnym, podejmując się jakiegokolwiek funkcji w naszej organizacji, jeśli istnieje groźba, że zostanie się sponiewieranym w stylu typowym dla dzisiejszego świata polityki? Strach o tym myśleć...

Zainteresowanie

Wcześniej twierdziłem, że to nic złego, że drużynowy czy namiestnik nie znają kwestii zobowiązań na poziomie centralnym, ponieważ mają swoje sprawy i podejmują odpowiedzialność na swoim poziomie struktury Związku. Rodzi się

jednak pytanie, od jakiego poziomu – jakiej funkcji, jakiego stopnia – powinniśmy wymagać znajomości spraw ogólnozwiązkowych, także tych, które dotyczą sytuacji finansowej ZHP? Od stopnia podharc mistrza? Od funkcji na poziomie hufca? Warto o tym pomyśleć co najmniej z dwóch powodów.

Po pierwsze – obserwacja dyskusji toczonych w marcu tego roku o składce dodatkowej pokazuje generalną zasadę – że im ktoś więcej wie o problemach Związku na szczeblu centralnym, tym łatwiej przyjmuje ideę wspólnego złożenia się na spłatę zobowiązań, tym bliższe są mu takie hasła, jak wspólnota, solidarność związkowa.

Po drugie – to przecież już na poziomie hufców (lub rejonów hufców) wybierani są delegaci na zjazdy ZHP. A ci bez wątplenia powinni mieć wiedzę o sprawach, które są przedmiotem obrad zjazdu. Ponadto to oni za kilka lat będą członkami władz naczelnych, tak więc im wcześniej zaczną myśleć w kategoriach całego Związku, tym lepiej.

Powinniśmy więc wyciągnąć wnioski z dyskusji o „składce 80” i zastanowić się nad usprawnieniem mechanizmów informowania instruktorów ZHP o sytuacji Związku bądź o stworzeniu nowych, bardziej efektywnych metod. Może jakiś system kontaktów członków Rady Naczelnej ze swoimi „wyborcami”? Może nowe formy wykorzystujące Internet? Warto o tym pomyśleć, bo jeśli tego nie zrobimy, wówczas nadal wiedza o sprawach całej organizacji będzie wśród instruktorów mizerna, a zwiększać się będzie jedynie raz na jakiś czas, w krytycznych sytuacjach, zapewne tylko na chwilę. Warto także dlatego, że niska wiedza nie przeszkadza wielu instruktorom wypowiadać równie autorytatywne, co absurdalne opinie o działaniach władz naczelnych. A może jest wręcz przeciwnie – mała wiedza pomaga, bo niewiele wiedząc, łatwiej znajdować szybkie, cudowne rozwiązania problemów?

Struktura

Mówiąc o tym, co zdarzyło się po uchwaleniu składki dodatkowej, nie sposób nie pokusić się o refleksję na temat funkcjonowania struktur naszej organizacji.

Przede wszystkim zaskakuje łatwość, z jaką członkowie władz różnych szczebli, ba, nawet całe władze, stwierdzają, że nie podporządkują się uchwałom Rady Naczelnej, a nawet będą wzywać do niezapłacenia nałożonej składki (sic!). Rozumiem zaskoczenie, niesmak czy nawet wzburzenie. Ale to przecież jawne łamanie Statutu ZHP (komendy mają obowiązek realizować uchwały

władz ZHP). No i gdzie Prawo Harcerskie, Zobowiązanie Instruktorskie, gdzie osobisty przykład instruktora?

Poza tym zastanawiam się, czy członkowie takich władz (zwłaszcza komend) nie boją się, że jakaś grupa instruktorów kiedyś ich zlekceważy? Przecież dziś oni dają przyzwolenie na takie zachowanie w przyszłości! To potencjalnie bardzo groźne zjawisko.

Ciekawe jest także przyjrzenie się działaniom władz naczelnych ZHP. Otóż w momencie, gdy tylko pojawiły się głosy o unieważnieniu uchwały Rady Naczelnej w sprawie składki dodatkowej, okazało się, że na ostateczny werdykt trzeba będzie troszkę poczekać. I w rezultacie wielu instruktorów nie wiedziało, czy wpłacać 80 zł, wielu hufcowych i skarbników głowiło się, czy zachęcać, czy przyjmować te wpłaty, bo nie wiadomo, czy w ogóle i ew. kiedy dojdzie do unieważnienia uchwały Rady Naczelnej. Główna Kwatery martwiła się, czy będą planowane wpływy i czekała na Radę Naczelną. Rada z kolei czekała na werdykt Centralnej Komisji Rewizyjnej. Ta zaś na wykładnię Naczelnego Sądu Harcerskiego.

Czy to ma sens? Czy nie szkoda czasu? Czy to nie jest marnowanie zasobów i niepotrzebne angażowanie kilku czy kilkunastoosobowych władz naczelnych? Czy nie jest dla nas ważną wartością pewność uchwał podejmowanych przez Radę Naczelną – pewność i dla zasady, i ze względu na szacunek władz organizacji wobec instruktorów, którzy czekają na rozstrzygnięcie? Myślę, że ta sytuacja będzie dobrą wskazówką dla delegatów, którzy będą przyjmowali już za pół roku zmiany w Statucie ZHP.

Kiedy mówimy o stwierdzaniu nieważności uchwał lub o wykładni Statutu ZHP, trzeba zwrócić też uwagę na styl myślenia, który powinien towarzyszyć decyzjom władz. Myślę, że równie ważne, co zgodność podejmowanych uchwał z przepisami prawa i zasadami jego stanowienia, jest myślenie w kategoriach dobra Związku – nie spółki prawa handlowego, nie urzędu administracji, lecz stowarzyszenia, które samorzędnie określa zasady swojego działania. Jeśli zatem do uchwał Rady Naczelnej są jakieś wątpliwości, ale jednocześnie sposób działania Rady da się obronić albo po prostu opiera się na równie uprawnionej interpretacji przepisów, to oczywiście powinno się wybierać takie rozwiązania, które zapewnią stabilność organizacji, będą budowały autorytet jej władz, a przede wszystkim nie będą powodowały zamieszania zupełnie niezrozumiałego dla przeciętnego instruktora albo – co gorsze – pogłębiającego tylko niechęć do tego, co dzieje się „tam na górze”.

PR

W dyskusjach wokół „składki 80” dość często można się było spotkać z argumentem, który dotyczył właściwie tego samego, choć czasem był różnie zwerbalizowany. Jedni mówili o tym, że wcześniej nie zostali poinformowani, inni – że źle to rozegrano z instruktorami, jeszcze inni – wprost stwierdzali, że od strony promocyjnej to było fatalne.

Dużo w tym racji. Lecz kiedy to piszę, myślę przede wszystkim o aspektach zewnętrznego PR. Grzechy naszej organizacji są tutaj oczywiste: brak osoby odpowiedzialnej za kontakt z mediami, brak spójnego przekazu, brak wcześniejszego planu i działań wyprzedzających. Sam moment był także nieszczęśliwy – okres intensyfikacji działań jednostek ZHP związanych z pozyskiwaniem jednego procenta przy jednoczesnej zdolności mediów do podchwycenia i twórczego rozwinięcia tematu rzekomo upadającego ZHP...

Jednak to wszystko dotyczy tego, co działo się lub nie z punktu widzenia PR na zewnątrz organizacji i w odniesieniu do zewnętrznych grup – rodziców, mediów, naszych potencjalnych dobroczyńców jednoprocenowych itd. A tymczasem w przytoczonych wyżej opiniach mowa wcale nie o tym, ale o aspekcie wewnętrznym PR. Bo czym jest stwierdzenie, że władze naczelne fatalnie rozegrały sprawę z instruktorami?

Rzeczywiście, można było inaczej. Wyobraźmy sobie taką sytuację: po zjeździe w grudniu 2009 r. nowy skarbnik dokonuje przeglądu sytuacji finansowej, przedstawia projekt działań naprawczych, informuje o tym Radę Naczelną. I w tym momencie władze naczelne ramię w ramię analizują i przedstawiają Związkowi (przez delegatów na zjazd, przez komendantów chorągwi, na zjazdach chorągwi, w „Czuwaj”, w Internecie itd.) plan działań, który składa się, powiedzmy, z pięciu-sześciu wariantów. Przedostatnim punktem (przed sprzedażą majątku) jest zbiórka wśród członków organizacji. Wtedy właśnie podnosi się lekki alarm – bo oto ktoś myśli o tym, aby sięgnąć do kieszeni dzieci, instruktorów. Władze naczelne solidarnie informują, że przecież to przedostatni wariant, a są inne punkty planu naprawczego. Przy tym rozpoczynają dyskusję nt. odpowiedzialności za wspólną organizację. W kolejnych miesiącach Związek (sprawdzonymi drogami) jest informowany, że niestety pewne działania przyniosą skutki tylko w ograniczonym zakresie, a zatem realna staje się zbiórka wśród członków organizacji. Mowa jest o kwocie 36 zł od dziecka (a więc drugie tyle, co obecnie) lub 160 zł od instruktorów. Kolejne dyskusje, członkowie Rady Naczelnej konsultują pomysły. W efekcie po kilku miesiącach Rada Naczelna stwierdza, że nie można obciążać dzieci żadną większą składką, tym bardziej na

spłatę długów. Ponadto dochodzi do wniosku, że nie można żądać wpłaty także od instruktorów, którzy nie są pełnoletni. Staje więc na tym, że składkę dodatkową zapłacą wyłącznie pełnoletni instruktorzy. To pierwsza dobra wiadomość. Druga – że będzie ona wynosiła nie 160 zł (jak wcześniej się mówiło), ale połowę mniej – czyli 80 zł. Oczywiście to efekt skutecznych działań prowadzonych przez władze naczelne. Wielu osobom, które przez kilka miesięcy oswoiły się z myślą o składce w wysokości 160 zł albo o składce dla dzieci – wyraźnie ulżyło.

Scenariusz ciekawy, prawda? Rodzi się we mnie tylko jedna, ale zasadnicza wątpliwość: czy rzeczywiście tak trzeba? Czy naprawdę poziom wiedzy o organizacji, poziom utożsamiania się z nią, poziom zaufania do władz naczelnych jest tak niski, że trzeba się uciekać do tego typu chwytów PR-owskich? Czy to naprawdę konieczne? A nie lepiej, aby członkowie władz naczelnych wykorzystali swój czas nie na „ugłaskiwanie” potencjalnie zbuntowanej kadry, ale na pracę merytoryczną – metodyczną, programową czy realnie związaną z ujarzmieniem naszych długów?

Ja wiem, że takie czasy, że trudno wymagać jakichś szczególnie innych postaw niż te, które kształtuje współczesny świat, media, Internet. że teraz tak trzeba. A jednak szkoda, bo chciałbym, abyśmy w harcerstwie nie musieli się uciekać do różnych chwytów marketingowych, ale mogli rozmawiać normalnie, wprost, w poczuciu odpowiedzialności za nasz wspólny Związek.

Internet

Wielokrotnie na łamach „Czuwaj” pisaliśmy, że konieczna jest w Związku dyskusja wśród kadry. Że powinniśmy rozmawiać o naszej organizacji, o różnych aspektach jej działania. Choćby dlatego, że – o czym była mowa wcześniej – dyskusja zwiększa wiedzę o organizacji, a im większa wiedza, tym lepsze zrozumienie dla działań podejmowanych na wyższych szczeblach: w hufcu, chorągwi czy na poziomie centralnym. Dyskusja – rozumiana jako pozytywny spór poglądów – to także szansa na rozwój organizacji, na podejmowanie decyzji bardziej przemyślanych, a w konsekwencji po prostu lepszych.

Po ogłoszeniu uchwały Rady Naczelnej o składce dodatkowej rozgorzała dyskusja. Gorąca, jakiej dawno nie widzieliśmy. Ale czy o taką dyskusję chodzi, czy ona nam – Związkowi – coś dała? Oczywiście tak – uzmysłowiliśmy sobie bowiem wiele problemów organizacji, o których pisałem wyżej, zatem wyciągnięcie z niej wniosków z pewnością wiele da członkom obecnych i przyszłych władz naczelnych ZHP.

A merytorycznie? Czy dyskusja, która miała miejsce, posunęła nas do przodu? Niestety, nie bardzo. Ale, przyznam szczerze, osobiście wcale na to nie liczyłem. Bowiem dyskusja ta odbywała się zasadniczo w Internecie. Mieliśmy zatem do czynienia ze wszystkimi cechami dyskusji internetowej – z jej prostotą, płytkością, pobieżnością, brakiem głębszej analizy, z posługiwaniem się hasłami, harcerskimi memami, a także z językiem skrótowym, dla lepszego efektu bardzo wyrazistym, czasem tabloidowym – a więc zapominającym o słowach takich, jak szacunek, zaufanie, przyzwoitość, zrozumienie, troska...

Najbardziej przedziwnym obrazkiem, który utkwił mi z dyskusji internetowych, są wypowiedzi młodej kadry na próbach przewodnikowskich, a także potwierdzenie przez starszych (ich opiekunów), że oto w ich hufcach jest wielu takich młodych, którzy przez „składkę 80”... nie będą zamykać próby przewodnikowskiej. Pomijając fakt, że mamy tu do czynienia z oczywistym niedoczytaniem treści uchwały (chodziło przecież o instruktorów pełnoletnich i to na koniec 2010 r.), to myślę sobie, że chyba nie chcę mieć w Związku osób, które zaczynają swoją drogą instruktorską od negacji zasad organizacyjnych i przez głupie 80 zł gotowi są odsunąć w czasie swoje Zobowiązanie. Zresztą opiekunów, którzy „wdrukowują” tym młodym takie postawy albo sami mówią, że przez tę składkę odejdą z ZHP (sic!), chyba też nie będę za bardzo żałował.

PS: Ten tekst nie był pisany z inspiracji żadnej z władz naczelnych, nie był też cenzurowany, jest w całości odzwierciedleniem poglądów autora. Jeśli się z nimi nie zgadzasz – napisz do nas na czuwaj@zhp.pl.

Dla kogo czynne prawo wyborcze?

Zaczęła się jesień zjazdowa. Ale zanim odbędą się pierwsze zjazdy, wcześniej, a ściślej co najmniej cztery tygodnie wcześniej, w rozkazach komendantów hufców pojawiają się listy uczestników tych zjazdów, a więc osób, które mają czynne prawo wyborcze.

Od kilku lat systematycznie, w rytm zjazdów zwykłych i sprawozdawczych hufców, pojawiają się i w sieci, i w rozmowach na żywo ciągle te same pytania o to, kto to jest kadra, kto może mieć czynne prawo wyborcze w hufcu, co z przybocznymi, co z członkami komend szczepów itp., itd.

Trzeba uczciwie przyznać, że sami skomplikowaliśmy sobie w Związku tę sprawę. Bo przecież – warto przypomnieć – czynne prawo wyborcze ma kadra, która opłaciła składki członkowskie. A kadra to ci członkowie zwyczajni, którzy pełnią funkcje instruktorskie. A z kolei funkcje instruktorskie to funkcje członków władz ZHP, funkcja drużynowego lub kierującego podstawową jednostką organizacyjną oraz – i to jest właśnie sedno problemu – „inne stałe funkcje związane z realizacją zadań statutowych powierzane w trybie mianowania przez właściwego komendanta hufca, komendanta chorągwi lub Naczelnika ZHP”.

Jest to skomplikowane i rodzi wiele problemów. I dla tych, którzy w dobrej wierze chcą zgodnie ze statutem sporządzić listę uczestników zjazdu hufca, i – niestety – także dla tych, którzy, powołując sobie przychylnych instruktorów na rozmaite dziwne funkcje, chcą wpłynąć na wyniki zjazdu (patrz: „Demokracja kruczków” – temat główny w numerze „Czuwaj” z września... 2003 roku!).

Czy jest jakieś rozwiązanie tego problemu? Oczywiście – wystarczy określić w statucie zamkniętą listę funkcji, które dają czynne prawo wyborcze. Możliwości jest wiele, np. czynne prawo wyborcze mogą mieć drużynowi, szczepowi i członkowie władz. Ale można też sobie wyobrazić, że – dla podkreślenia znaczenia drużynowych w ZHP – wyłącznie oni będą mieli czynne prawo wyborcze.

Coś z tym koniecznie trzeba zrobić! Na szczęście okazja będzie już za chwilę na grudniowym zjeździe nadzwyczajnym.

Przedzjazdowo o statucie

Powołany przez Przewodniczącego ZHP wiosną br. zespół statutowy przekazał wyniki swoich prac Radzie Naczelnej i delegatom, którzy spotkają się na zjeździe ZHP, poświęconym m.in. właśnie zmianom w statucie. Można więc zacząć podsumowania...

Grzech pierworodny

Od początku pracy tego zespołu było jasne dla wszystkich jego członków, że coś jest nie tak, że mamy tutaj systemowy błąd. Oto bowiem liczyliśmy na to, że prace będą przebiegać wreszcie we właściwej kolejności. Jakiej? Najpierw zostanie przedstawiony projekt nowej strategii ZHP, będzie solidnie przedyskutowany. Dopiero potem, kiedy przyjdzie czas na myślenie o tym, jak najskuteczniej wdrożyć tę nową strategię, będzie można mówić o zmianach w przepisach ZHP – takich, które wzmocnią ten proces. Być może – to wcale nie jest pewne – mogłoby się okazać, że dla realnej zmiany Związku Harcerstwa Polskiego konieczne są także zmiany statutowe.

Tego jednak nie było. Zespół statutowy rozpoczął prace właściwie równoległe z zespołem strategicznym, nie wiedząc, w jakim kierunku idzie myślenie o rozwoju naszej organizacji. Podsumowując, można byłoby pokusić się o odpowiedź na pytanie, gdzie nastąpiło opóźnienie? A może zespół statutowy zaczął prace zbyt wcześnie? No nie, dziewięć miesięcy przed zjazdem to nie jest za wcześnie, raczej zespół strategiczny spóźnił się... przynajmniej o rok.

Mała dygresja o zjazdach ZHP

Nie warto roztrząsać teraz, skąd to opóźnienie – bo to jest fakt. Zresztą można się było tego spodziewać, bowiem choćby najnowsze doświadczenia naszej organizacji pokazują, że terminy dawane władzom naczelnym przez zjazdy ZHP

są napinane do granic możliwości, a powoływane zespoły robią wszystko „na ostatni moment”.

Z tego płynie pierwszy ważny wniosek: określanie terminów, zasad pracy przez zjazd ZHP powinno uwzględniać powyższy systemowy problem i kształtować mądrze, świadomie terminarz działań. I druga ważna rzecz – tego nie da się zrobić na kolanie, w amoku gorących zjazdowych głosowań, to wszystko musi być przygotowane wcześniej i przedstawione delegatom jedynie do akceptacji.

Oczywiście w tym miejscu może ktoś się oburzyć, że przecież zjazd to najwyższa władza, że nie można tak manipulować itp. Czy jednak naprawdę Nasza Najwyższa Władza zawsze wie, co robi? To, jak został określony w uchwałach sposób zwołania i tematyka najbliższego zjazdu, pokazuje, że nie.

Co można zrobić

Wróćmy do zespołu statutowego, który już na samym początku swojej pracy stanął przed zasadniczym problemem – co robić, kiedy nie wiadomo, jaki kierunek wyznaczy Związkowi nowa strategia?

W tej sytuacji zespół podjął decyzję, że proponując zmiany, będzie się kierował zasadami niebudzącymi wątpliwości, uniwersalnymi, to znaczy:

- Po pierwsze – że funkcjonowanie Związku ma być tańsze i adekwatne do stanu organizacji.
- Po drugie – że najważniejsi są drużynowi i drużyny, w których realizowana jest nasza misja, a reszta instruktorów i struktur ma służyć ich wspieraniu.
- Po trzecie – że statut ma być krótszy dzięki przesunięciu wielu rozstrzygnięć do aktów niższego rzędu.
- Po czwarte – że jak najwięcej rozwiązań powinno być elastycznych, gdyż mamy różnorodny Związek i tam, „na dole” ludzie najlepiej wiedzą, jak ułożyć swoją pracę.
- Po piąte – że zapisy dotyczące kompetencji władz muszą być jednoznaczne, aby nie powodowały sporów kompetencyjnych.

Czyj pomysł

Ale nie tylko czas do zjazdu (jednak zbyt krótki) i niewłaściwa kolejność (brak strategii przed rozpoczęciem prac nad statutem) były kluczowymi problemami zespołu. Najważniejszy i nierozwiązany do teraz pozostaje dylemat – kto właściwie powinien określać kierunki pracy nad statutem ZHP? Sam zespół? Władze naczelne? A może zjazd?

Te pytania dotyczą właściwie wszystkich zespołów statutowych w ostatnich latach, których pracę choć trochę znam. Brak określenia kierunków prac nad statutem powodował zwykle, że propozycje zmian były wypadkową poglądów członków zespołu, a ściślej tych, którzy uczestniczyli systematycznie w pracach. Teoretycznie niby był to plus, gdyż poglądy te były różne, a ponadto miały być reprezentatywne dla Związku – co miał zapewnić skład wywodzący się z różnych władz i szczebli organizacji. To tylko jednak teoria. Doświadczenia pokazują, że górę podczas prac nad statutem biorą, niezależnie od szczebla organizacji, raczej osobiste pomysły czy wręcz „statutowe fobie” związane z dyskusyjnymi kwestiami, np. osobowością prawną dla hufców czy kadencyjnością. Zajmowane funkcje zaś są najczęściej psychiczną blokadą dla zmian – bo czy to nie dziwne, że przeciwko likwidacji sądów jako władzy w ZHP jest przedstawiciel NSH, a za rozszerzeniem uprawnień CKR – przedstawiciel tej władzy?

Dość często zajmuję się przygotowaniem statutów lub zmian w statutach stowarzyszeń lub fundacji. I zazwyczaj wygląda to tak, jak u nas: „prosimy napisać nam statut”. Zawsze wówczas odpowiadam, że napisanie statutu to nie jest problem, ale pod warunkiem, że wiadomo, jak ma działać organizacja. Odpowiedzi na to pytanie w odniesieniu do ZHP ciągle nam brakuje. Ba, nie bardzo nawet wiadomo, kto miałby jej udzielić.

Główny mit statutowy

Na myślenie o zmianach w statucie mają wpływ bez wątpienia także mity, które krążą wśród instruktorów. Jest ich sporo, ale chciałbym przywołać chyba najważniejszy z nich: że mamy statut taki sam (mniej więcej), jak wtedy, gdy byliśmy organizacją kilka razy większą. To akurat prawda. Ale jest jeszcze druga część – że to musi być koniecznie zmienione, bo właśnie ten statut skrojony na Związek kilkuset tysięcy jest przyczyną wszelkiego zła. Taki pogląd nazywam mitem, gdyż właściwie nie ma dowodu na to, że tak jest. Co więcej, sądzę, że to wygodna wymówka, aby uniknąć głębszej rozmowy o problemach związanych ze strukturą naszego Związku.

Bo czy rzeczywiście problemem są chorągwie na terenie województw, a niżej hufce? A może to, że trudno zarządzać Związkiem, w którym są chorągwie kilkunastotysięczne i półtoratysięczne, albo hufce po 100 osób i dziesięć razy większe? Może trzeba pomyśleć o tym, dlaczego wiele chorągwi i mnóstwo hufców nie wykonuje swoich zadań statutowych? Czy dzieje się tak, bo nie są w stanie na przykład z powodu wielkości, liczby kadry? A dlaczego tak wiele hufców narzeka na swoje chorągwie, a jednocześnie tak wielu drużynowych deklaruje,

że nikt im nie pomaga we własnym hufcu? Czy chorągwie rzeczywiście są obciążeniem, zwłaszcza finansowym, dla hufców, a nie wsparciem?

Problemy można mnożyć. Znamy je doskonale. Kluczowe pozostaje jednak pytanie – czy rzeczywiście ich rozwiązanie wymaga zmian statutowych? Być może tak, choć niewykluczone, że więcej osiągniemy nie poprzez zmianę naszego prawa, ale przez zmianę mentalną i ciągłe przypominanie sobie, kto jest najważniejszy (drużyna, drużynowy) oraz jaka jest rola hufca (wspieranie drużynowych, a więc tych, którzy realizują naszą misję) i chorągwi (wspieranie hufców w wykonywaniu ich zadań). A jak to nam nie wystarczy, to więcej osiągniemy przez realny nadzór nad działalnością komend – nadzór nie w kwestiach finansowych, ale właśnie w zakresie wspierania drużynowego.

Co dalej

W ten oto sposób dochodzimy do konkluzji – jaka powinna być dalsza kolejność działań:

- na zjeździe zostaje przyjęta strategia, która jest wizją ZHP na najbliższe lata,
- zostają przyjęte poprawki do Statutu albo nie (z wyłączeniem zmian wynikających z ustawy o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie – bo te przyjęte być muszą!),
- po zjeździe zostaje stworzony program wdrażania strategii, który determinuje konieczne zmiany w przepisach ZHP,
- dopiero analiza tych przepisów daje odpowiedź na pytanie, czy wymagane są dalsze zmiany statutowe: jeśli tak – trzeba je przygotować na zjazd zwykły w 2013 r., ale nie na ostatni moment – najlepiej do końca 2012 r., aby było wiele miesięcy na przedyskutowanie ich, zwłaszcza jeśli miałyby być rewolucyjne (trzeba pamiętać, że dla zmian statutowych potrzebujemy 2/3 głosów); jeśli nie – koncentrujemy się na uproszczeniu przepisów niższego rzędu – instrukcji i regulaminów.

Zjazdowe pozytywy

Grudniowy zjazd Związku dla wielu instruktorów stał się źródłem nieprzyjemnych emocji i odczuć: niesmaku, zażenowania, braku nadziei, bezsilności itd. Czy z wrodzonego optymizmu, czy w poczuciu, że to bardziej po harcersku (bo przecież harcerz jest zawsze pogodny!), poszukajmy jednak pozytywów grudniowego spotkania...

Po pierwsze – goście. Warto zwrócić uwagę na liczbę byłych naczelników, którzy zajęli miejsce w pierwszym rządzie. Choć dla wielu osób nie ma to kompletnie większego znaczenia, ba, wielu powiedziałoby raczej do nich „proszę pana”, ale ten nadal istniejący związek z naszym stowarzyszeniem (niezależnie od tego, jak dawno pełnili funkcję i jak się z nią rozstali) wart jest podkreślenia.

Plusem są także goście zewnętrzni, choć oczywiście ktoś mógłby narzekać, że nie było osobiście Ministra Edukacji Narodowej, Premiera, Prezydent zaś pojawił się jedynie... na filmie. Może to mało, ale jest to znak, że jesteśmy jednak ważną organizacją, czyniącą wiele dobrego. Potwierdzeniem tego faktu mogą być także odznaczenia przyznane przez Prezydenta RP – nie tylko dla „szych ze struktur” albo wyłącznie instruktorów Nieprzetartego Szlaku, ale dla „zwykłych instruktorów”, robiących swoje w szczepach czy hufcach w całej Polsce.

Po drugie – strategia. Zjazd dużo rozmawiał o strategii, spierał się, najwyraźniej wielu delegatów ona obchodziła! To ważne, bo pamiętamy, że poprzednia strategia nie budziła takich emocji, gdyż – jak twierdzili jej zwolennicy – była tak dobrze przygotowana lub – jak uważali oponenty – i tak nie miała szansy niczego zmienić. Ważne jest także to, że jesteśmy na dobrej drodze do złotego środka. Mamy bowiem za sobą doświadczenie ze strategią zbyt obszerną, zbyt szczegółową, przynaukowioną, abstrahującą od „dołów”, teraz zaś odwrotnie – nieco populistyczną, bo wyłącznie skierowaną na „doły”, pozbawioną długookresowego myślenia strategicznego. Można więc liczyć, że kiedy wyciągniemy z niej wnioski, stworzymy następną niemal idealną!

Po trzecie – statut. Przyjęliśmy dwa ważne bloki zmian w Statucie ZHP. Jest szansa, że pracując w ten sposób, uda się przyjąć także inne zmiany. A tym samym udowodnimy, że wyciągnęliśmy wnioski sprzed dwóch lat, kiedy głosowanie wszystkich zmian łącznie potrafiło zaprzepaścić całe przedzjazdowe miesiące i zjazdowe godziny pracy.

Dyskusja (przydługa zresztą) nad wyborem kierunkowym w sprawie statutu pokazała, że delegaci na szczęście nie dadzą się omamić wielkimi słowami o całościowych, bezbłędnych i nowoczesnych itd. projektach statutu. Jednak potrafią wczytać się w treść projektu statutu i odnaleźć prawdziwe intencje autorów. Co więcej, są zdeterminowani, aby zapobiec federalizacji ZHP i prymatowi struktury nad ruchem.

Po czwarte i najważniejsze – przesilenie. Nastąpiło (mam nadzieję) pewne przesilenie, po którym już żaden zjazd nie powinien być taki sam. Myślę, że dojrzelśmy do tego, że najwyższa władza tak dużej organizacji nie może pozwalać sobie na tak wiele przypadkowości i improwizacji. Musimy więc przemyśleć, czy zjazd powinien być tak duży (i tak realnie pracuje i ma wpływ na zmiany garstka osób), z kogo powinien się składać (tylko delegaci? także komendanci chorągwi?). Dalej: jak powinien następować wybór delegatów i co zrobić, aby kandydowali ludzie naprawdę – powiem ogólnie – sensowni (niestety, co zjazd utwierdzam się w przekonaniu, że duży, zbyt duży procent jego uczestników to osoby, które gubią się w tym wszystkim, co się dzieje). Wreszcie: musimy uświadomić sobie, że zjazdu nie da się zrobić „z marszu”, bazując jedynie na rutynie; tu konieczne jest solidne przygotowanie – dotyczy to właściwie wszystkich, ale myślę tu przede wszystkim o członkach prezydium oraz członkach zespołów zjazdowych – na nich bowiem spoczywa główna odpowiedzialność za sprawny przebieg i skuteczność zjazdu.

Jak widać, zjazd może być także źródłem ciekawych, pouczających wniosków. Miejmy nadzieję, że dogrywka zjazdowa 10 marca przebiegnie w taki sposób, że po prostu uznamy część grudniową za wypadek przy pracy...

Mniej papierów – zacznijmy już!

Szczerze mówiąc, z pewną rezerwą podszedłem do niektórych zapisów przyjętej właśnie nowej strategii ZHP. Ot, na przykład hasło „mniej papierów”. Gdyby popatrzeć na całą otoczkę biurokratyczną istniejącą wokół przeciętnego drużynowego, to okazuje się, że wcale nie jest on zawałony dokumentami, nie musi wcale produkować tony dokumentów, sprawozdań itd. Przynajmniej nie wynika to z zasad ogólnozwiązkowych – w szczególności z instrukcji działania drużyny.

Skąd więc przekonanie o konieczności odciążenia drużynowych? Czy rzeczywiście są zmuszeni „produkować papiery”? Czy faktycznie w drugiej już dekadzie XXI wieku musimy tworzyć tyle dokumentów, potwierdzeń, kwitów...?

Moje obserwacje z ostatnich kilku lat pokazują, że w rzeczywistości jest tak, że większość „produkcji papierniczej” drużynowych jest wynikiem wcale nie przepisów związkowych, lecz rozmaitych wskazówek, zasad, decyzji wprowadzających wzory i formularze głównie na poziomie... szczepli lub hufca. Co więcej, walka z nimi jest bardzo trudna (choć często kończy się sukcesem). Oto kilka przykładów z życia wziętych...

Harcerze z hufca zgłaszają się na pewną harcerską imprezę. Przychodzą do mnie – hufcowego i proszą o potwierdzenie na piśmie, że... są harcerzami. Nie wystarczy, że przyjadą ze swoją drużynową, która będzie z nimi na imprezie? Czy mało ważne jest słowo instruktorki? Czy rzeczywiście ktoś podejrzewa, że chcą się podszyć pod harcerzy? Absurd!

Piszę opinię na zakończenie próby na stopień instruktorski. Nie, nie będę jej drukował, podpisywał. Wysyłam ze swojego służbowego e-maila wprost na adres KSI. Niestety, to mniej ważne – musi być papier, musi być podpis. Ale, ale, czy tylko o to chodzi? Nie, chodzi o to, że komisja chce mieć pewność, że ta opinia to naprawdę moje słowa. Dlaczego? Bo oczywiście na pewno ktoś zamierza przyjść na KSI ze sfalszowaną opinią swojego komendanta hufca... Absurd!

Takie przykłady można mnożyć. Na koniec jeszcze jeden, pokazujący obraną przez mnie strategię walki z taką biurokratyczną postawą.

Będą ciekawe warsztaty dla kadry. Są na nie zgłoszenia. Do zgłoszenia musi być dołączone potwierdzenie opłacenia składek. Proponuję drużynowej trzy-stopniowy sposób działania. Najpierw ma napisać wraz ze zgłoszeniem informację, że potwierdza (ona – instruktorka ZHP) słowem harcerki, że ma opłacone składki. Jeśli to nie pomoże, wówczas ma pokazać mojego maila. Jeśli i to nie pomoże – niech organizator warsztatów zadzwoni do mnie, a wtedy osobiście potwierdzę.

Do tej pory w podobnych sytuacjach kończyliśmy na etapie drugim, a więc na pokazaniu mojego e-maila. Marzy mi się jednak, aby wystarczyło słowo harcerza. A właściwie słowo instruktora. Byłoby milej, bardziej ideowo, bardziej harcersko. No i papierów mniej!

Zjazdowe oszczędności

W ciągu ostatnich czterech miesięcy miałem okazję obserwować kilka zjazdów. Całego ZHP (grudniowy), a poza tym zjazdy różnych hufców. A gdybym policzył wszystkie zjazdy, na których byłem jako instruktor? Oj, to byłaby pokazna lista. I w grudniu, i podczas ostatniej jesieni zjazdowej, i wcześniej – właściwie zawsze duża część zjazdowego czasu była niestety marnowana. Ciekawsze jest jednak inne zjawisko – że to trwanie cennych minut czy nawet godzin zjazdowych to zazwyczaj efekt działania pojedynczych osób, które mają wewnętrzną potrzebę pogwiazdowania. I nie ma na to rady, bo w gronie kilkudziesięciu czy – tym bardziej – kilkuset uczestników zjazdu zawsze znajdzie się tych kilku gwiazdorów. Nie ma na to rady, bo gwiazdora trudno poskromić...

Czy więc jesteśmy bezradni? Czy nie ma szansy, aby na naszych zjazdach oszczędzić trochę czasu? Cóż, jak napisałem wyżej, z gwiazdoramii sobie nie poradzimy, no, ewentualnie może sobie z nimi poradzić naprawdę dobry prowadzący obrady. Możemy jednak starać się uniknąć epidemii gwiazdorstwa, a więc sytuacji, gdy inne osoby i my sami – zafascynowani energią, rzutkością, błyskotliwością gwiazdorów – zechcemy im dorównać, zechcemy także zostać zjazdowymi gwiazdami. Jak? Wystarczy unikać czterech najgroźniejszych pułapek:

Pułapka specjalizacji. Oczywiście jest, że każdy uczestnik zjazdu na czymś się zna – bo ma specjalistyczne wykształcenie, bo wykonuje określony zawód. Jednak bycie specjalistą nawet najwyższej klasy nie oznacza, że trzeba uzmysłowić ten fakt całemu zjazdowi. Naprawdę nie trzeba przedstawiać swojego życiorysu zawodowego, aby dodać sobie powagi i zyskać podziw, nie trzeba używać słów z żargonu zawodowego, których nikt nie zrozumie (swoją drogą to jedna z ważniejszych wskazówek – żeby mówić na zjeździe tak, aby inni zrozumieli!), nie warto marnować czasu na barwne porównania osadzone w specyfice zawodowej (a więc mało zrozumiałe dla reszty). Zanim więc popisziesz się swym niewiarygodnym profesjonalizmem, zastanów się, czy naprawdę musisz. I po-

myśl, ile czasu zjazdowego oszczędzisz wszystkim, gdy zdecydujesz się podjąć wyzwanie... niepodnoszenia ręki.

Pułapka niewiedzy. Oczywiście jest także, że nie wszystko na zjeździe jest dla nas jasne. Bo to „nie nasza branża” (czyli specjalność innych), bo nie przeczytaliśmy dokumentów (oj, nieładnie!), bo straciliśmy uwagę na chwilę itd. Gwiazdorzy w takich sytuacjach, zamiast poczuć dyskomfort z powodu niewiedzy, co robią? – zgłaszają wniosek, pytanie, okraszając je sformułowaniami typu „bez sensu”, „absurd” itp. Zanim więc stwierdzisz publicznie, że coś jest bez sensu, zapytaj sąsiada po lewej, o co chodzi, jak nie wie – sąsiada po prawej, a potem jeszcze kogoś mądrzejszego na sali.

Pułapka procedur i drobiazgow. Gwiazdorzy najczęściej zarażają innych swą umiejętnością zwracania uwagi na drobiazgi, zwłaszcza proceduralne. To imponuje, to zachęca innych, aby pokazać się – że ja też tak potrafię! Jednak zanim zgłosisz uwagę dotyczącą jakichś spraw, zastanów się, czy naprawdę musisz, czy jest ona tak ważna, że bez niej nie da się dalej obradować?

Pułapka wirowa. Ta pułapka też jest po części związana z wewnętrzną potrzebą zwracania uwagi zjazdu na detale. Ale jest najgroźniejsza, gdyż najtrudniej się jej oprzeć. Oto ktoś zgłasza wniosek formalny, ktoś inny popiera, ale ktoś zgłasza wniosek przeciwny, inny poprawkę – bardzo trudno jest uniknąć wciągnięcia się w ten zjazdowy wir. Jednak zanim ten wir cię wciągnie, zastanów się, czy naprawdę nie możesz się mu oprzeć? Pomyśl, ile czasu zjazdowego oszczędzisz wszystkim, gdy zdecydujesz się podjąć wyzwanie... niepodnoszenia ręki.

Od redaktora

Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że jestem zwolennikiem jawności i transparentności działań, szczególnie działań władz w harcerstwie. I z przekonania, że tak po prostu powinno być w takiej organizacji, jak nasza, i z pragmatyzmu – bo im więcej wiedzą instruktorzy, im więcej się rozmawia, tym lepiej rozumieją podejmowane przez władze decyzje, a ponadto – tym mniej okazji do przypuszczeń i domysłów oraz mniejsza skłonność do konstruowania rozmaitych teorii spiskowych.

A jednak zamurowało mnie, kiedy zobaczyłem, że w Internecie instruktorzy coraz częściej w rozmaitych dyskusjach, oczywiście dla potwierdzenia wygłaszanych poglądów, zamieszczają swoją korespondencję e-mailową prowadzoną z członkami różnych władz ZHP – w całości, z pełną specyfiką skrótowości korespondencji elektronicznej i z uwzględnieniem jej nie służbowego, lecz prywatnego charakteru.

Przyznam, że gdy siadłem do pisania kolejnego e-maila, złapałem się na tym, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem za czas jakiś nie będzie on dostępny publicznie? Poczulem się jak w amerykańskim filmie: „cokolwiek powiesz (i napiszesz), może być wykorzystane przeciwko tobie!”...

Czas na refleksję

Od momentu ogłoszenia przez Główną Kwaterę zestawu informacji na temat karty członkowskiej ZHP w Internecie zaczęła się ożywiona dyskusja. Szczególne znaczenie – jak okazało się później – miała wymiana poglądów prowadzona na FB w grupie „Stołeczna będzie super”. To właśnie dość ostre opinie wyrażane tam przez dosłownie dwie-trzy osoby (z litości nie przytoczę nazwisk), sprawiły, że od samego rana w czwartek 26 kwietnia rozpętała się medialna burza. „Dziennik Gazeta Prawna” napisał o udostępnieniu komercyjnemu bankowi danych osobowych członków ZHP, a za nią inne media powtórzyły informację o sprzedaży danych, powszechnym oburzeniu i złości oraz... niebezpieczeństwie dla instruktorów pełniących służbę np. w Afganistanie (sic!).

Chyba nadszedł czas na refleksję...

Po pierwsze – powinniśmy my wszyscy, którzy wypowiadamy się o naszej organizacji w Internecie, pamiętać, że dyskutujemy w swoim gronie, ale przeczytać nasze wypowiedzi może każdy. A jakie są tego skutki? No właśnie widzimy – oto wypowiedzi kilku osób (zresztą dokładnie cytowane) pozwoliły „rzetelnemu” dziennikarzowi zrobić news mówiący o rzekomo powszechnym buncie w ZHP. I oto zamiast akcji wizerunkowej, która mogła pokazać nowoczesność dużej organizacji, mamy aferę... Na szczęście możemy mieć pewność, że następnego dnia inne afery czy pseudoafery przykryją skutecznie całe zamieszanie.

Po drugie – warto w kontekście opisywanej sytuacji zastanowić się – i to zadanie dla każdego instruktora – coź znaczą słowa Zobowiązania Instruktorskiego „Będę dbać o dobre imię harcerstwa”? Warto pokusić się o autorefleksję, czy postawa polegająca na publicznym „szukaniu dziury w całym” przynosi nam więcej korzyści, czy strat?

Po trzecie – warto wykorzystywać osoby, które mają taką naturę, że zawsze znajdą jakiś minus, problem, zawsze doszukają się błędów. Naprawdę warto korzystać z tych zdolności – piszę zupełnie serio! Oczywiście myślę tutaj o osobach, które autentycznie dążą do tego, aby działania Związku i jego władz były perfekcyjne, a nie chcą jedynie poszumieć, zabłysnąć albo – nieważne z jakich przyczyn – wzbudzić w innych emocje.

Po czwarte – jeśli ktoś naprawdę chce wpłynąć na działania władz, to warto zastanowić się, jaka jest najlepsza droga? Czy to skuteczne zadawać pytanie w Internecie rzecznikowi prasowemu ZHP albo Głównej Kwaterze? A może jednak lepiej i szybciej po prostu napisać e-mail (adresy są powszechnie dostępne)?

Po piąte – to refleksja skierowana do władz wszelkich szczebli – nie ma rady, żyjemy w świecie, w którym Internet narzuca sposoby komunikowania się, relacji międzyludzkich. Trzeba się więc przyzwyczaić do tego, że ludzie nie czytają dokumentów (nawet najlepiej przygotowanych) i nie mają odpowiedniej wiedzy, co oczywiście nie przeszkadza im wygłaszać opinii *ex cathedra*. A że w Internecie wszyscy są równi – nie ma respektu dla wieku, wykształcenia, doświadczenia, funkcji, więc bez trudu nawrzucać każdemu członkowi każdych władz organizacji może zarówno harcmistrz, jak i przyboczny czy zastępowy. Wreszcie trzeba przyzwyczaić się do tego, że zawsze znajdują się osoby, które będą czerpały osobistą radość z pokazania, że wiedzą lepiej, że ktoś popełnił błąd. I nie ma co liczyć, że instruktorzy harcerscy, niby ze względu na wzniosłe harcerskie idee, będą odstawać od przeciętnej. Nic z tego. Z tym nie ma co walczyć, z tym po prostu trzeba nauczyć się żyć.

Nasze obozowe stałości

Obserwuję swój hufiec, inne hufce i chorągwie, obserwuję nasz Związek. Obserwuję i widzę. Widzę, że mijają lata, a w sprawach wokółobozowych pewne zjawiska są niezmiennie...

Ktoś przeczytał artykuł w „Czuwaj” (dobrze, że przeczytał!), a konkretnie moją rozmowę ze Skarbnikiem ZHP, z której wynika, że odpłatność za obóz to teraz będzie „składka członkowska zadaniowa”. Pyta więc mnie z obawą, czy to oznacza, że jeszcze przed akcją letnią zmienią się przepisy? Wyczuwam duży niepokój – i trudno się dziwić, ponieważ jak spojrzę na minione 10 lat, to widzę, że bardzo często zmieniały się instrukcje dotyczące HAL. Niektóre nawet już w trakcie wakacji. Słyszę jednak nieco gorzkie zapewnienie, że kadra obozowa da sobie radę, bo jest do tego przyzwyczajona...

Z niektórymi komendantami prowadziłem przez ostatnie lata ożywione, ciekawe dyskusje na temat wyjeżdżania na bazy. Bazy mają swoje plusy – wiadomo. Mają też jeden zasadniczy minus – koszty (taki obóz kosztuje mniej więcej tyle, ile tydzień dłuższy obóz w lesie), co utrudnia możliwość elastycznego kształtowania kosztów, np. dla rodzin wielodzietnych, czy wzięcia ze sobą dzieci z rodzin, które na to po prostu nie stać. Efektem jest zmniejszenie liczby HAL. Okazuje się, że tu zmiany nie będzie – przyzwyczajenie bierze górę.

Patrzę, gdzie jadą na obóz różne środowiska. Nazwy miejscowości jakby znane. No tak, ci jadą tu po raz trzeci, tamci – po raz piąty. Rekordziści – po raz czternasty!!! Z czego to wynika? Ci pierwsi mówią, że tak wyszło, że okoliczności, ci ostatni – że z przyzwyczajenia...

Ale czy tylko takie są nasze obozowe stałości? Na szczęście nie! Jest rzecz stała bez wątplenia najważniejsza: oto cały czas mamy kadre, której się chce przygotować te kolonie i obozy, której się chce poświęcić cały swój urlop na harcerski wyjazd, której się chce zajmować dziećmi przez kilka tygodni, 24 godziny na dobę! Szczególny mój podziw budzi młoda kadra, ta w wieku licealnym, która ma przecież na dwa miesiące wakacji ileś innych atrakcyjnych propozycji, a jednak wybiera wyjazd ze swoją gromadą lub drużyną. Jeśli to także przyzwyczajenie – to dobrze, byle tylko z czasem ten stan świeżości, entuzjazmu i satysfakcji nie przerodził się w mało kreatywną rutynę. Trzymam kciuki!

Od redaktora

Początek kolejnego roku harcerskiego to doskonały czas, aby pokazać, że w praktyce stosujemy w szczepach i hufcach zapisy strategii ZHP skryte pod hasłem „mniej papierów”. Oraz że generalnie cała idea pomocy, ułatwiania życia drużynowym, aby mieli więcej czasu na te najważniejsze działania – wychowawcze – jest nam bliska.

Oto bowiem są hufce, które każą swoim drużynowym – jak co roku! – wypełniać, drukować, podpisywać i przynosić karty informacyjne/meldunkowe/zgłoszeniowe (obojętne, jak to się nazywa) o gromadzie lub drużynie i drużynowym. Są takie, które każą drukować i przynosić po kilka egzemplarzy planu pracy, składającego się z kilkudziesięciu punktów – takiego wypasionego, 30-40-stronicowego! Bywają takie komendy, które wymagają szczegółowych konspektów wszystkich zbiórek – aż do czerwca 2013 roku (nikt mnie nie przekona, że ma sens rozpisywanie z dokładnością do minuty, trzech flamastrów i dwóch zwojów krepiny zbiórek na 10 miesięcy do przodu). Istna makabra!

Szanujmy lasy! Szanujmy naszych drużynowych! Mniej papierów!!!

Uczmy się na (cudzych) błędach!

Czy światowe media zainteresowały się we wrześniu Polską ze względu na nasze wyniki gospodarcze? Może zaciekawił je program ekonomiczny przedstawiony przez opozycję parlamentarną? A może start ekstraklasy piłkarskiej? A może tak pasjonujący okazał się ślub córki byłego Prezydenta RP? Otóż nie! Okazuje się, że największym echem odbiła się w mediach, przynajmniej tych europejskich, afera związana z ujawnieniem zdjęć z otrzęsin z pewnego gimnazjum na zachodzie Polski.

Pozostawmy zarówno ocenę tego wydarzenia, jak i sposób reakcji mediów na boku. Spójrzmy na fakty: oto gdzieś trwa jakaś zabawa – tak to przynajmniej odbierają jej organizatorzy (szkoła), uczestnicy (uczniowie) oraz ich rodzice. Ktoś podczas tej doskonałej zabawy robi zdjęcie telefonem. Zamieszcza je w Internecie. A w sieci zaczyna ono żyć własnym życiem, jest pokazywane w telewizjach, komentowane przez dziennikarzy, polityków, dyżurnych medialnych ekspertów, interesują się nim także media zagraniczne. A, jeszcze dochodzi jeden smaczek – chodzi o wyjątkową szkołę i o wyjątkowego dyrektora szkoły – bo księdza. Międzynarodowa afera medialna!

A czy podobny ciąg zdarzeń mógłby dotyczyć harcerstwa?

Smaczek? Jest – organizacja wychowawcza, szczytne idee, praca społeczna itd. Czy harcerze mają telefony? Oczywiście! Czy chętnie zamieszczają zdjęcia w sieci? Jasne! No i pozostaje ostatnie pytanie: czy też odbywają się w ZHP zabawy, które są akceptowane przez kadre, przez dzieci, w których nie widzą nic dziwnego nawet rodzice, a z zewnątrz, w innym kontekście mogą być przyczyną podobnej afery?

Na to pytanie nie odpowiem, zachęcając jedynie do przeczytania raz jeszcze, z uwagą tytułu tego krótkiego felietonu...

300 x CZUWAJ

Ludzie

Ale czas szybko leci!

18 lat wydawania pisma, 250 numerów. Jaki to szmat czasu, uświadamiam sobie, kiedy policzę, że ci, którzy rodzili się wtedy, kiedy i „Czuwaj”, a więc we wrześniu 1990 r., są dziś nie zuchami, nie harcerzami, ale wędrownikami lub instruktorami, najlepsi może nawet w stopniu podharc mistrza. Jaki to duży kawałek historii naszego ruchu, dostrzeżemy, gdy porównamy ZHP w roku 1990 i dziś, gdy uświadomimy sobie, że wiele marzeń z 1990 r. – choćby o powrocie do organizacji skautowych, miejscu Boga w harcerstwie, a także to najważniejsze: po prostu o przetrwaniu – zostało spełnionych, że niepokoje z okresu przelomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zdecydowanie są już za nami. Owszem, dziś takie problemy, jak liczebność organizacji, jej oblicze ideowe, wizja programowa, wizerunek w społeczeństwie są jak najbardziej aktualnymi, palącymi problemami, jednakże zupełnie innymi jakościowo, niż te 18 lat temu.

Minęło 5 lat od czasu, gdy pisałem powyższe słowa, wydaliśmy kolejnych 50 numerów. I właściwie mógłbym napisać to samo, no, może z tą różnicą, że najlepší z urodzonych w roku powstania „Czuwaj”, są już pewnie harcmistrzami...

Podobnie jak pięć lat temu, kiedy przypominam swoje teraz już 20 lat współpracy z gazetą i swoje ponad 10 lat redaktorowania – znów moje myśli biegną do ludzi, dzięki którym możemy dziś świętować. Myślę znów o naszych autorach.

Gdy w roku 2002 powierzono mi robienie „Czuwaj”, jednym z moich problemów było pozyskanie nowych autorów. Zależało mi na tym, aby zebrać jak najwięcej instruktorów, którzy potrafią pisać i... mają o czym pisać. Zastanawiałem się, jak ich docenić, motywować. Pomysł był prosty – za odpowiednią liczbę artykułów każdy autor dostanie coś! Tak więc autor jednego tekstu miał dostać kubeczek, po pięciu artykułach przysługiwał zestaw gadżetów (pod-

kładka pod mysz, czapeczka itp.), po dziesięciu – koszulka, a po 20 – czuwajowy polar.

Dziś, z perspektywy ponad 10 lat, już wiem, że system może być fajny, motywujący, ale... kompletnie nierealny! Właśnie zrobiłem zestawienie wszystkich autorów od połowy 2002 roku, a więc od momentu, kiedy zostałem naczelnym. Wynika z niego, że powinienem wyprodukować... 600 kubków. A inne nagrody? Jeśli za 20 tekstów miał być polar, to za dwa razy więcej pewnie wycieczka zagraniczna, a za kilka razy więcej – chyba mercedes?

No dobrze, przyjrzyjmy się tej liście podziękowań (i „nagród”):

Mercedesy

Największe podziękowania i mercedes ze wszystkimi możliwymi opcjami należy się bez wątpienia Anicie Reguckiej-Kwaśnik – naszej najplodniejszej autorce, a przede wszystkim autorce uniwersalnej, potrafiącej doskonale pisać dla każdego – od zastępowego po harcmistrza, na bardzo różne tematy – o metodzie, harcerskiej idei, technikach harcerskich, programie, a ostatnimi laty o skautingu irlandzkim, oczywiście z licznymi interesującymi odniesieniami do ZHP. Tekst Anity, który możecie przeczytać w tym numerze na stronach 20-21, jest jej 75. tekstem za moich czasów! Gdyby doliczyć artykuły pisane za redaktorowania Adama Czetwertyńskiego (w tym te tworzone wspólnie z Jarkiem Balonem), to musiałbym dołożyć do tego mercedesa jeszcze przynajmniej garaż i szofera...

Drugie miejsce zajmuje w tej klasyfikacji Ania Poraj z 46 tekstami. Duża część z nich powstała w latach, gdy Ania pełniła funkcję zastępczyni naczelnika ZHP. Wówczas „Czuwaj” był jednym z głównych miejsc dyskusji o zmianach metodycznych (kto pamięta, że właśnie na łamach „Czuwaj” zaproponowaliśmy oznaczanie drugiego i trzeciego stopnia harcerskiego krokiewkami?), a po ich przyjęciu źródłem informacji dla środowisk (pamiętacie wkładkę o projekcie starszoharcerskim?). Ale wraz z odejściem z Głównej Kwatery Ania nas nie opuściła, redagowała jeszcze przez długi czas rubrykę psychologiczno-pedagogiczną, a i dziś poproszona o pomoc – nie odmówi (dlatego właśnie na naszej konferencji 9 marca prowadzi grupę kształceniową!). Może ktoś powiedzieć, że 46 tekstów Ani to duuuużo mniej niż 75 Anity. Owszem, ale warto pamiętać, że przez wiele lat Ania z racji swej funkcji nadzorowała „Czuwaj”. I właśnie za ten nadzór, którego częstym elementem było docenienie i zwykłe, ale jakże motywujące „dziękuję” – za to mercedes się po prostu Ani należy!

Polary

Słowo się rzekło – od 20 do 30 tekstów przysługuje polar.

Na pewno należy się Joli Łabie, dzięki której istnieje w gazecie tematyka rozwoju duchowego i na którą zawsze można liczyć, gdy potrzebny nam jest tekst, który sprawi, że w tym szalonym świecie zatrzymamy się na chwilę i zastanowimy nad tym, co jest naprawdę ważne, aby przywrócić istotnym sprawom należną im rangę (pamiętacie temat numeru „Święta zapomnianych narodzin”?).

Kolejny (wirtualny) polar wędruje do specja od kształcenia, a dziś „szychy” – szefa komisji programowej Rady Naczelnej – Wiesia Laskowskiego, który przez lata potrafił wyjaśniać cierpliwie zawilości systemu pracy z kadrą zapisanego w wielu dość często zmieniających się dokumentach.

Rafał Suchocki – dawno nie gościliśmy go na naszych łamach, a kiedyś był w każdym numerze – może pamiętacie jego alfabet harcerski z przymrużeniem oka? Myślę sobie, że w czasach, gdy w harcerstwie często (zbyt często) zamiast radości, spontaniczności, zabawy gości ponuractwo, sztywniactwo i postawa „na baczność” – może warto wrócić do rubryki na luzie. Bo tłumaczenie harcerza, że WOSM to Wojewódzka Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska naprawdę nie musi budzić złości, prawda?

Katarzyna Krawczyk – właściwie jej polar niepotrzebny, bo przecież ma czerwone wdzianko ratowników... Ale zasłużyła jak najbardziej. I nawet nie liczbą ciekawych tekstów o programie, Kodeksie Instruktorskim i Komentarzu do Prawa Harcerskiego (tak, tak, są takie dokumenty Rady Naczelnej!), ale przede wszystkim bardzo dobrym zrozumieniem potrzeb redakcji, kiedy prosiliśmy ją o tekst „na cito”...

Paweł Chmielewski. Formalnie na polar zasłużył, ale na razie nie dostanie go, bo liczymy, że dzięki stałemu pisaniu felietonów przejdzie za niedługo do kategorii posiadaczy luksusowych samochodów. Paweł potrafi świetnie pisać. Mądrze i po polsku – to rzadkość (najczęściej występuje jedno lub drugie, albo... żadne). Niestety, obowiązki w GK trochę ograniczają mu wykorzystanie talentów pisarskich, choć mam nadzieję, że wrodzona namolność redaktora naczelnego przyniesie efekty.

W kategorii polarowców mieści się też Ewa Lachiewicz, ale wyłącznie formalnie – ze względu na liczbę tekstów (co Ewa, jako matematyczka, z pewnością zrozumie). Ewa to osoba, której zasług dla naszej gazety nie sposób przecenić. Solidna, rzetelna, kompetentna, pisząca konsekwentnie i logicznie (jak to miło czytać teksty, w których jedno zdanie wynika z drugiego, a akapity nie są przypadkową zbieraniną myśli!). Ale Ewa to także od wielu lat członkini kole-

gium redakcyjnego, potrafiąca rzeczowo ocenić numer, chwalać za to, co dobre, ale uczciwie, surowo, choć niezwykle taktownie wskazując błędy. A propos błędów – jak to dobrze, że Ewa zaprzestała dokonywania korekty wydrukowanych numerów. Robiła to przez wiele lat, oczywiście z sympatii, w dobrej wierze, ale to było potwornie stresujące – bo czy może być coś gorszego dla redaktora niż błąd zauważony po wydrukowaniu gazety – kiedy już nic nie można poprawić?

Podziękowania należą się także autorowi, który współpracuje z gazetą jeszcze od czasów Adamowych – Pawłowi Wespińskiemu. Paweł potrafił zawsze pisać ciekawie – po prostu o harcerstwie, o instruktorowaniu, o harcmistrzostwie. Zawsze w swoim stylu, czasem kontrowersyjnym – spójrzcie na jego tekst w tym numerze, choć króciutki, to rozegrała się o niego w naszym redakcyjnym gronie niezła wojna. Czy to bełkot, czy poezja? Czy chodzi w nim o coś, czy o nic w nim nie chodzi? Ciekawe, co myślą o tym tekście Czytelnicy. Tak czy siak – polar się należy!

Emilia Kulczyk – to moje duże zaskoczenie. Bo wydawało mi się, że Emilka to osoba, która więcej tekstów nie napisała (choć obiecywała), niż napisała. Ale okazuje się, że... wydawało mi się. Żarty żartami, ale Emilce należy się polar bez dwóch zdań – za teksty (których jednak jest sporo), za dyskusje podczas kolegów redakcyjnych i za różnego rodzaju wsparcie dla redakcji. A o teksty (również te zaległe) i tak będę się upominał!

Ryszard Polaszewski – prawdziwy instruktor, spec od kształcenia, rzetelny autor za czasów funkcjonowania w CSI (wcześniej, jako zastępca komendanta CSI, a nie tak dawno – jako komendant Szkoły). A przede wszystkim osoba, z którą można było ciekawie porozmawiać o pracy z kadra, o metodzie, o problemach ZHP, o harcerstwie. Ryszard pewnie nawet nie przypuszcza, jak wiele z naszych rozmów zaowocowało felietonami albo tematami z okładki. Polar się należy jak najbardziej – czerwony, harcmistrzowski!

Czy wiecie, kto najodważniej podejmował w „Czuwaj” takie trudne tematy, jak relacje intymne między wychowawcami i wychowanymi czy abstynencja instruktorów? A pamiętacie rozważania o różnych nurtach w ZHP? Czy wiecie, co to był (jest) „trójkąt Klepacza”? Rafałowi Klepaczowi należy się cały zestaw polarów, bo nie chodzi tylko o liczbę tekstów, ale o ich jakość, o umiejętność wzniesienia dyskusji o sprawach trudnych, o przełamywanie harcerskich tabu.

Sprawdzę jeszcze raz – tak, ostatni na polar załapał się Jędrzej Kunowski, który gościł na naszych łamach głównie jako PR-owiec Związku. Hmm, dawno Jędrzej nie pisał, może podzieli się swoimi doświadczeniami radnego?

Koszulki

Wedle ustaleń koszulkami nagradzamy autorów przynajmniej 10 tekstów.

Lepsza koszulka (polo?) należy się przede wszystkim druhowi przewodniczącemu Andrzejowi Borodzikowi, autorowi między innymi cyklu gawęd inspirowanych punktami Prawa Harcerskiego. Słowa podziękowania kieruję do Zubka, który opisywał w krzywym zwierciadle naszą harcerską rzeczywistość jako podharcemistrz Jossarian (gdyby doliczyć wcześniejsze rozważania podharcemistrza Jossariana, z pewnością Zubek byłby gdzieś pomiędzy polarami a kategorią mercedesów).

W koszulki odziewam wirtualnie naszych znakomitych autorów z czasów ich aktywności w Głównej Kwaterze: Kasię Kwapińską (zastępczynię naczelnika odpowiedzialną za sprawy strategiczne), Anię Filipow (komendantkę CSI w okresie poperkozowym), Piotra Kowalskiego (pierwszego specjalisty w ZHP od 1% – pamiętacie kampanię z Tytusem albo „sprawności na całe życie”?) oraz Michała Góreckiego (pamiętacie jego cykl o odznakach PTTK albo temat z okładki „Harctrix”?).

Koszuli czuwajowe za więcej niż 10 tekstów otrzymują także: Paweł Smardz (piszący do nas głównie jako komisarz zagraniczny) oraz Inga Rusin (obecna komisarka), Ewa Gąsiorowska (pierwsza szefowa Wydziału Starszoharcerskiego GK ZHP, która na łamach „Czuwaj” wyjaśniała nowy pomysł na harcerzy starszych, wprowadzając zupełnie nowy instrument metodyczny – projekt starszoharcerski), Tomasz Nowak (ciekawe połączenie: muzykolog i specjalnościowiec w jednym), Marcin Bednarski (człowiek niezłomnie wierzący w skuteczność metody harcerskiej, dzięki stosowaniu której każde dziecko wyjdzie ze zbiórki z wypiekami na twarzy), Grzegorz Skrukwa (mający ciekawe przemyślenia na temat harcerstwa, dawno niepiszący do nas, a szkoda), dwójka starych czuwajowych współpracowników, którzy (biorąc pod uwagę całą historię „Czuwaj” sytuują się bliżej kategorii motoryzacyjnej) – Jarosław Balon oraz Basia Wojtaszek (wcześniej – Smoła), a także wciąż niespełniony prawnie, choć w zasadzie inżynier z mojego hufca – Darek Brzuska – tropiciel związkowych absurdów i nieprawidłowości, obecnie w roli VIP-a z Rady Naczelnej.

Zestawy gadżetów

Słowa podziękowania i obietnicę otrzymania (bo mamy co nieco w naszych szafach!) zestawu czuwajowych gadżetów kieruję do autorów, którzy napisali

w okresie mojego redaktorowania do nas przynajmniej pięć tekstów. Są wśród nich między innymi: Iwona Brzózka (moja zastępczyni w hufcu), Dorota Kolałowska (osoba niestrudzona w rozwijaniu Nieprzetartego Szlaku, ale też w innego typu działaniach programowych), Andrzej Grabowski (główny promotor szczepów w ZHP), Jola Kreczmańska (pasjonatka pracy z kadrą i z ludźmi w ogóle), Kamil Wais (wybitny historyk harcerstwa), Ryszard Rutkowski (w pewnym okresie nasz główny ekspert prawny i z radością byśmy powitali go ponownie na naszych łamach!), Agnieszka Rytel (kiedyś uczestniczka jednego z moich kursów komendantów hufców, a dziś prężna hufcowa, skupiająca i inspirująca duże hufce w ZHP), Anna Głowacka (znana bardziej w gazecie jako Zabłocka), Maria Kotkiewicz (ciągle z nami współpracująca), Monika Marks (jeden z najlepszych ekspertów od wędrownictwa – mój hufiec!), Anna Peterko (oj, szefowa KSI zdecydowanie powinna być w kategorii polarowej!), ks. Janusz Strojny (czas powrócić na nasze łamy!), Marcin Binasiak (autor jednego z najlepszych tekstów w ostatnim czasie – o krzyżu harcerskim).

Kubeczki

Miejsce na te jubileuszowe wynurzenia się już niestety kończy, nie mogę więc zatrzymać się przy każdym autorze, ale warto wspomnieć, że wśród tych, którzy zasłużyli na kubeczek czuwajowy są nasi naczelnicy, przewodniczący i wiceprzewodniczący, członkowie wszystkich władz naczelnych, komendanci chorągwi, hufców i zwykli instruktorzy, czasem aktualnie niepełniący żadnej istotnej funkcji, za to mający doświadczenia, którymi chcą dzielić się z innymi.

Wszystkim składam gorące podziękowania!!!

Poza kategoriami

Na koniec zostały mi dwie osoby, które – biorąc pod uwagę liczbę tekstów – pewnie bez trudu dałoby się zaklasyfikować gdzieś wyżej, ale tak naprawdę nie mieszczą się w żadnych kategoriach, bo nie teksty w ich przypadku są najważniejsze.

Podziękowania należą się mojemu poprzednikowi – Adamowi Czetwertyńskiemu, który po krótkiej przerwie, jaka nastąpiła w wyniku zmiany redaktora naczelnego, w jakiś naturalny sposób wrócił do gazety – bez słów, bez żadnych ustaleń – i jest z nami. Dziś trudno mi wyobrazić sobie pracę w redakcji bez

Adama, który co miesiąc mi pokazuje, jaka jest różnica między zwyczajną korektą a redakcją merytoryczną, a nadto wytrąca mnie często z błęgiego nastroju, bezlitośnie oceniając teksty, które ja bym zaakceptował. Widać, że łagodnieję coraz bardziej, Adam zaś wciąż trzyma ostry redaktorski kurs (niczym z wężyków – kto jeszcze je pamięta?).

No i na koniec Misia (formalnie – Halina Jankowska, ale przecież dla wszystkich po prostu Misia) – bez której nie mógł się obyć Adam jako naczelny, bez której nie mogę się obyć i ja. Misia – osoba o dwóch obliczach: z jednej strony towarzyska, otwarta, taka milusińska gaduła, potrafiąca cierpliwie zachęcać do czytania, pisania, dzielenia się sukcesami swoich środowisk, z drugiej – tnąca bezlitośnie bełkot w redagowanych tekstach, niepoprawna tropicielka logiki wywodu i piękna polszczyzny w najbardziej beznadziejnych tekstach...

Misiu, Adamie, właściciele wirtualnych kubków, gadżetów, koszulek, polarów i mercedesów – bez Was nie byłoby tych moich dziesięciu lat, nie byłoby tych trzystu numerów. Dziękuję!

Przyzwyczajenie

Sprawdziłem dokładnie, policzyłem raz jeszcze – w ponad połowie e-maili ze zgłoszeniem na konferencję instruktorską z okazji wydania 300. numeru „Czuwaj”, oprócz podstawowych informacji czy zwyczajnej prośby o przyjęcie na konferencję, znalazł się dopisek, komentarz bądź pytanie dotyczące sposobu zgłoszeń.

Czy naprawdę nie ma ankiety aplikacyjnej? Czy naprawdę wystarczy, jak podam, w której grupie chcę być? A funkcja, PESEL – nie są wam potrzebne? Czy muszę opisywać, jak wykorzystam wiedzę z konferencji w swoim środowisku? A gdzie mogę znaleźć formularz zgłoszeniowy? To tylko wybrane z pytań.

Niewiara niektórych w – jak widać – zbyt prosty system zgłoszeń była tak duża, że przesyłali nam komplet informacji (z numerem PESEL, adresem, telefonami), wiele osób zamieściło w swoim mailu solidne, wyczerpujące uzasadnienie, dlaczego powinniśmy ich przyjąć na konferencję.

Skąd się to bierze? Pewnie z przyzwyczajenia. Przyzwyczajenia uczestników różnych szkoleń, że zawsze muszą wypełnić obszerne ankiety, formularze. A ankiety? One też są z przyzwyczajenia. Bo łatwiej na kolejne warsztaty, kolejną konferencję skopiować wzór, który mamy w komputerze, niż pokusić się o refleksję, czy wszystkie żądane dane są nam rzeczywiście potrzebne.

Może warto troszkę powalczyć z tymi przyzwyczajeniami? Oj tak, zachęcam więc kształceniowców do powtarzania prostej zasady: zbieramy tylko te dane, które NAPRAWDĘ są nam potrzebne. Bo przecież ma być mniej papierów, ma być prościej, czyż nie?

Po prostu sensowny!

Aby dobrze znał swoje środowisko harcerskie – to, którego ma być przecież reprezentantem.

Aby, oprócz tego, że doskonale zna sprawy swojej drużyny, swojego szczepu czy hufca, potrafił spojrzeć na problemy ZHP z perspektywy całej organizacji.

Aby znał kompetencje statutowe zjazdu ZHP jako najwyższej władzy organizacji.

Aby rozumiał, że na zjeździe ZHP nie wnosi się uwag do programów sprawności harcerskich lub gwiazdek zuchowych, nie załatwia się indywidualnych skarg na złego komendanta szczepu czy hufca, nie rozpatruje się odwołania od decyzji o rozwiązaniu jednostki albo niezatwierdzeniu opiekuna próby przez KSI, nie omawia się problemów dotyczących nazwy drużyny czy koloru chusty...

Aby rozumiał, że do zrealizowania swojego wielkiego marzenia o kandydowaniu do jakiejś władzy naczelnej wcale nie musi być delegatem na zjazd ZHP.

Aby wiedział, że nie ma co kandydować, jeśli nie będzie w stanie (ze względów rodzinnych, zawodowych lub jakichkolwiek innych) pojechać w dniach 5-8 grudnia br. (czwartek-niedziela) do Warszawy.

Aby miał świadomość, że jego rola zaczyna się w momencie wyboru, bo musi dowiadywać się jak najwięcej o Związku i uważnie czytać – w szczególności projekty dokumentów zjazdowych.

Aby podczas długich, nużących obrad nie myślał wyłącznie o przerwach, ale o tym, co dzieje się na sali obrad.

Aby przez cały czas trwania zjazdu był aktywny – w zjazdowych komisjach, w pracy nad dokumentami, w dyskusji plenarnej, a także uczestnicząc we wszystkich głosowaniach.

Aby miał świadomość, że przyjechał po to, by wyrażać swoją opinię, głosując „za” lub „przeciw”, a nie wstrzymując się od głosu.

Aby miał świadomość, że kandydowanie oznacza deklarację na całe cztery lata – deklarację uczestnictwa w ewentualnych zjazdach nadzwyczajnych ZHP przez całą kadencję.

Aby twój delegat na grudniowy zjazd ZHP był po prostu sensowny – musisz:

- po pierwsze – zachęcać do kandydowania tych, którzy spełniają powyższe (albo określone przez siebie kryteria),
- po drugie – wziąć aktywnie udział w zbiórce wyborczej,
- po trzecie – głosować na tego najlepszego!

Wyboru sensownych delegatów na zjazd życzę nam wszystkim. A czy się wybór udał, okaże się w grudniu.

O naszych kwalifikacjach

W połowie maja w Warszawie odbyła się ciekawa konferencja Instytutu Badań Edukacyjnych, podsumowująca 16 spotkań regionalnych odbywających się pod wspólnym tytułem „Krajowe ramy kwalifikacji – zmiana dla edukacji i rynku pracy”. Rzecz była o... Polskiej Ramie Kwalifikacji. Dziwna nazwa, prawda? Zatem co to takiego i właściwie jaki to ma związek z ZHP – że piszę o tym na łamach „Czuwaj”?

Myślę, że wiele wyjaśni cytaty z materiałów konferencyjnych:

Polska Rama Kwalifikacji zmienia sposób podejścia do kwalifikacji. Polega na zrozumieniu, że to, co wiemy, umiemy, kim jesteśmy, nie tylko wynika z tego, czego nauczyliśmy się w szkole czy na studiach, ale też z naszego doświadczenia zawodowego, kursów, szkoleń czy samodzielnego zdobywania wiedzy czy umiejętności. Ważne jest to, co człowiek wie, potrafi, a nie tylko to, czego i ile czasu go uczono w szkole lub na uczelni. Ważna jest wiedza, umiejętności i kompetencje społeczne, czyli efekty uczenia się.

Ciekawe, prawda? Już sobie wyobrażam – oczywiście za ileś lat, po stworzeniu procedury zapewnienia jakości – jak setki godzin pracy wolontariackiej instruktorów są przełożone na opis kwalifikacji zrozumiały np. dla pracodawców naszych instruktorów...

To jednak daleka przyszłość i rzecz raczej dla kolejnych władz naczelnych naszej organizacji. Dla nas – działających na poziomie drużyn, szczepów i hufców jest inne zadanie: najpierw sami musimy sobie uświadomić, jaką wiedzę, jakie umiejętności i jakie kompetencje nabywamy podczas pełnienia rozmaitych funkcji w ZHP. I że są to naprawdę niesamowite doświadczenia, które stawiają instruktorów ZHP w znakomitej pozycji wyjściowej na rynku pracy czy w ogóle w życiu. Bo czy można porównać doświadczenia „zwykłego” 19-latką z jego rówieśnikiem-instruktorem ZHP, który ma za sobą kilkaset godzin doświadczeń

w pracy wychowawczej z dziećmi, który potrafi zorganizować imprezę dla kilkudziesięciu czy kilkuset osób, który potrafi załatwić w urzędach rozmaite sprawy, w tym te „nie do załatwienia”?

Instruktor harcerski zdobywa wyjątkowe kwalifikacje, warto to sobie uświadomić i dokonać jeszcze jednej ważnej zmiany mentalnej – zacząć to wykorzystywać! I zerwać z funkcjonującym w wielu środowiskach myśleniem, że to harcerstwo, idea, służba, więc... nie wypada wykorzystywać kwalifikacji, które wynosimy z ZHP, w swoim życiu prywatnym, zawodowym. To przecież absurd! Wpisujemy więc swoje doświadczenia w cv, wykorzystujemy pracę wolontariacką w ZHP do zaliczania rozmaitych praktyk studenckich, do podwyższania ocen w szkole – może w ten sposób osiągniemy jeszcze inny efekt, PR-owski: pokażemy, że harcerstwo to, owszem, zabawa dla dzieci, ale dla wychowawców – miejsce uzyskiwania wyjątkowych doświadczeń i umiejętności, takich „na serio”.

W harcerstwie wyższe standardy

Pod koniec czerwca wszystkie media zajęła afera (nie wiem, czy to właściwe słowo, bo co drugie wydarzenie w mediach to albo afera, albo wpadka), której negatywną bohaterką była kobieta dziś pracująca jako nauczycielka w jednej z żoliborskich szkół, a także jako jedna z tysięcy ekspertów Ministerstwa Edukacji Narodowej decydujących o awansie zawodowym. Okazało się, iż jest to dzieciobójczyni – problem w tym, że przestępstwo popełniła ona ponad 30 lat temu, zatem zdążyła już odsiedzieć swoje w więzieniu, a wyrok uległ zatarciu. W świetle prawa jest więc osobą niekaraną.

Przetoczyła się więc przez media gorąca dyskusja. O ile eksperci-prawnicy, ale także inni komentatorzy, raczej nie kwestionowali samej idei zatarcia kary, o tyle niepokój i liczne pytania budziło to, czy taka osoba, mimo formalnego bycia niekaraną, powinna być dopuszczona do pracy z dziećmi – czy w tym wyjątkowym przypadku standardy nie powinny być bardziej wyśrubowane?

To bardzo ciekawe, zachęcające do zadania pytania: a jak jest u nas – w harcerstwie z tymi standardami? Zacznijmy od przewinień mniej istotnych, tzn. takich, które nie podpadają pod kodeks karny, ale związane są z naruszeniem Statutu ZHP lub innych zasad organizacyjnych. W regulaminie sądów harcerskich sformułowana jest generalna zasada: nie wszczyna się postępowania, jeśli od przewinienia minęły cztery lata. Mało? Warto dodać, że regulacja ta obowiązuje... od 1 lipca 2013 r. Wcześniej okres przedawnienia wynosił zaledwie dwa lata – zdecydowanie za mało.

A jak jest w przypadku przestępstw określonych w kodeksie karnym? Tutaj wspomniany już regulamin sądów harcerskich daje im możliwość zawieszenia postępowania dyscyplinarnego do czasu zakończenia postępowania karnego, a po nim termin przedawnienia biegnie dalej. Istnieje także możliwość wszczęcia postępowania mimo upływu terminu harcerskiego przedawnienia w wypadku orzeczenia prawomocnego wyroku karnego, jeśli jego ujawnienie nastąpiło po tym terminie, a więc po czterech latach.

Jednak w odniesieniu do przestępstw jesteśmy w ZHP w tej samej sytuacji jak państwo – bezradni, gdy przestępstwo się przedawniło, bez procedur, gdy sprawca odbył karę i uległa ona już zatarciu.

O ile politycy przy okazji opisywanej historii złożyli wiele deklaracji na temat takich zmian prawa, które zablokują możliwość pracy z dziećmi osobom kiedykolwiek skazanym za pewne rodzaje przestępstw (wobec dzieci), ale pewnie nic się nie zmieni (gdyż pojawią się kolejne afery), o tyle może warto się zastanowić, czy w ZHP nie powinniśmy ustanowić tych wyższych standardów? Dalibyśmy w ten sposób przykład rządzącym, że nie chodzi o słowa, ale o czyny. A zrobienie tego świadomie, a nie pod wpływem bieżącej sytuacji lub jakichś nacisków, pokazałoby, że **naprawdę dbamy o to, co dla nas najważniejsze – bezpieczeństwo dzieci i zaufanie ich rodziców.**

Obozowe normalności

Aż musiałem zajrzeć do słownika, aby się upewnić, jakie są te moje najnowsze doświadczenia obozowe. Przeczytałem więc, że „normalnie” to „według normy, tak jak powinno być, prawidłowo, należycie, właściwie; zwyczajnie, przeciętnie, naturalnie”...

Odwiędziłem obóz jednego ze środowisk mojego hufca. W bazie obozowej. Jak im się wiedzie – ano dobrze. Z czego są dumni – ze zbudowanych pryczy. No rzeczywiście, widać, że się przyłożyli, widać trud dzieciaków włożony w ich budowę. Widać też ogromną satysfakcję – okazuje się bowiem, że wszyscy z okolicy przychodzą „na wycieczki” – chcą na własne oczy przekonać się, jak wyglądają samodzielnie budowane prycze. No bo dawno tu czegoś takiego nie widziano, ba, nawet nie było wiadomo, jak załatwić żerdzie do ich budowy. Dlaczego? Podobno to nie jest normalne, że z żerdzi buduje się samodzielnie prycze czy różnego typu urządzenia obozowe...

Na innym obozie też dobrze o nas mówią – że ci żoliborscy harcerze to tacy pozytywnie inni. O co chodzi? Ano podobno teraz relacje między hufcami a bazami są mniej harcerskie, a bardziej biznesowe – hufce płacą, więc wymagają: są duże oczekiwania za jak najmniejsze pieniądze. Podpisywane są wielostronicowe umowy, zapisane w nich kary umowne, a życzliwości harcerskiej i zaufania niewiele. No i harcerze muszą mieć wszystko gotowe – sami nie rozłożą namiotów, nie przeniosą sprzętu. To podobno normalne, widać nasi harcerze są inni...

Gmina przyznała dotację na akcję letnią. Świetnie! Dzięki niej uda się zabrać na obóz więcej dzieciaków – wiadomo: kryzys, bezrobocie, brak pieniędzy. Okazuje się jednak, że na sam obóz pieniędzy dotrze dużo mniej. Dlaczego? Ponieważ chorągiew musi z czegoś żyć. No i hufiec też. Dowiaduję się, że nie powinienem się dziwić, bo podobno to teraz normalne...

Zaczynam z niepokojem dostrzegać, że normalne jest chyba to, co dla mnie nie jest normalne. A może tę definicję normalności trzeba byłoby jakoś zmienić? Zostawiłbym tylko „prawidłowo, należycie, właściwie”, resztę, a szczególnie „zwyczajnie, przeciętnie” – zdecydowanie bym wyrzucił!

Harcerstwo: radość i satysfakcja!

Chyba od zawsze, a przynajmniej od czasu, kiedy jestem komendantem hufca (czyli długo), powtarzam jak mantrę, że **harcerstwo powinno dawać radość i satysfakcję**. Szczególnie zaś odpowiadają za to władze na każdym szczeblu harcerskiej struktury – to one powinny tak rządzić, aby ich „podwładnym” stwarzać warunki do takiego funkcjonowania w ZHP, **aby służba instruktorska była źródłem radości i ogromnej satysfakcji z robienia czegoś potrzebnego, ważnego, dobrego...**

I tak sobie od czasu do czasu w różnych gronach powtarzałem o tej radości, o tej satysfakcji, aż któregoś dnia na facebooku oraz e-mailowo zostałem zrugany przez członków pewnej komendy: że – mówiąc najłagodniej – te słowa to populizm, że przecież tak się nie da, że łatwo tak powiedzieć, a trudniej zrealizować w praktyce itd.

Otóż nie, można także w praktyce! Oto kilka najbanalniejszych przykładów:

Czy trzeba w najprostszej sprawie żądać od instruktora wystąpienia na piśmie? Nie, można korzystać z poczty elektronicznej (patrz: strategiczne „mniej papierów”)!

Czy rzeczywiście każda sprawa wymaga „uleżenia się”, „nabrania ważności”? Nie, przecież znakomitą większość spraw na poziomie hufca (ale także chorągwi) można załatwić od ręki!

Czy trzeba czekać nawet kilka miesięcy z odpowiedzią na e-mail wysłany przez drużynowego, szczerowego, komendanta (w zależności od tego, na jakim poziomie struktury jesteśmy)? Nie, przecież można odpowiadać od razu! Czyli z odpowiedzi powiedzmy w dwa-trzy dni wyjątek (choć w przypadku tych, co odpowiadają po miesiącu, to akurat też jest wyjątek, tyle że w drugą stronę).

Czy w sprawach trudnych trzeba rzeczywiście narzucać swoje rozwiązania? Ależ nie – warto się spotykać, rozmawiać, tłumaczyć i wspólnie podejmować

decyzje (nawet gdy, jak w przypadku mojego hufca, zyska się etykietkę „hufca rozdemokratyzowanego”).

Czy jeśli ma być satysfakcja, to znaczy, że nie należy wyciągać konsekwencji ani karać? Nie, choć przede wszystkim warto wychowywać (także kadrę), tłumaczyć zasady i tworzyć dobre standardy oraz atmosferę, w które nie wypada ich nie przestrzegać.

Hmmm, ja naprawdę wierzę, że harcerstwo może być źródłem radości i satysfakcji!

Najważniejsze – pięć lat później

Pięć lat temu, jesienią 2008 r., a więc rok przed zjazdem ZHP pisałem w „Czuwaj” o problemach ZHP. Nazwałem je problemami prawdziwymi – takimi, które powinny nas, kadre instruktorską, najbardziej niepokoić.

Dwa miesiące przed 38. Zjazdem ZHP wróciłem do tego tekstu. Bo to naturalny czas, kiedy podsumowujemy minione czterolecie, oceniamy realizację uchwał poprzednich zjazdów, rozważamy, na ile strategia ZHP realnie nas zmieniła, wreszcie zastanawiamy się, w jakim kierunku powinna zmierzać nasza organizacja.

Wróciłem zatem do tamtego tekstu i...? Okazało się, że te trzy wskazane wówczas problemy ciągle pozostawiłbym na podium. Tyle tylko, że dorzuciłbym jeszcze kilka. Piszę więc niby na nowo, choć dość obszernie cytuję swoje słowa sprzed pięciu lat (mniejszą czcionką).

Problem 1: w jakim celu

Najważniejsze jest to, co mamy zapisane w naszej misji, a więc wychowanie – to jest nasz problem numer jeden!

Nie jest to problem nowy. Wystarczy sięgnąć do uchwał ostatnich dwóch zjazdów zwykłych ZHP (dalej już nie sięgajmy), aby przekonać się, że był dostrzegany 3 i 7 lat temu. To przecież zjazd w 2001 r. przyjął program „Barwy przyszłości”, w którym jednym z priorytetów było „wzmocnienie wychowawczego charakteru organizacji”. A cztery lata później została przyjęta strategia rozwoju ZHP, która dokładnie tak samo formułuje swój pierwszy cel.

I co z tych uchwał wynika? Niestety, niewiele. Śmiało stawiam tezę, że „wychowawczość” ciągle jest najważniejszym problemem ZHP. Owszem, robimy wiele pożytecznego: dajemy tysiącom dzieciaków możliwość spędzenia w miarę ciekawie czasu na zbiórkach, rajdach czy biwakach, zabieramy je na tanie, dość interesujące, a przede wszystkim bezpieczne kolonie (coraz częściej) i obozy (coraz rzadziej), jesteśmy pożyteczni z punktu widzenia szkół czy gmin. Tego nikt rozsądny nie będzie negował. Ale czy to jest wychowanie? Czy jesteśmy organizacją wolnego czasu, tanich wakacji i stania pod pomnikami, czy jednak

organizacją wychowawczą, to znaczy w swych działaniach mającą za pierwszoplanowy cel kształtowanie powierzonych dzieci według reguł i wartości obowiązujących w harcerstwie?

Odpowiedź jest moim zdaniem dość oczywista. Ale ważne jest, aby dłużej już się nie uśmiechać, nie udawać przed samym sobą, że jest dobrze, skoro dobrze wcale nie jest. Warto zastanowić się wreszcie, co tak naprawdę możemy zrobić, aby autentycznie wzmocnić ten charakter naszej organizacji, charakter wychowawczy.

(...) lepiej jak najszybciej zmusić się do refleksji nad sprawami, które stanowią istotę problemu. A takich spraw, rozmaitych dylematów jest sporo. Odpowiedzmy więc sobie na kilka pytań:

- Czy można liczyć na to, że 16- czy 17-letni przyboczny lub drużynowy może realnie prowadzić działania wychowawcze?
- Czy metoda harcerska jest tak opisana, że drużynowy jest w stanie ją zrozumieć i – co najważniejsze – zastosować w praktyce?
- Czy mając do czynienia z bardzo słabym drużynowym po prostu pozwalamy mu dalej działać (bo chodzi o to, aby było harcerstwo), czy rozwiązujemy drużynę (aby nie skażać dzieci pseudoharcerstwem)? A czy jeśli pozwalamy mu działać, to czy całą energię koncentrujemy na wsparciu merytorycznym dla niego?
- Czy instruktorem, a potem podharc mistrzem i harc mistrzem może zostać w ZHP tylko ten, kto rozumie wychowawczą misję harcerstwa (choćby tyle, choć tak naprawdę warto byłoby brać pod uwagę działanie zgodnie z misją)?
- Czy w ZHP mówi się o popełnianych błędach wychowawczych i czy coś się z tym robi?
- W ilu hufcach prowadzona jest systematyczna ocena gromad i drużyn pod kątem osiągnięcia przez drużynowych wymiernych rezultatów wychowawczych?
- Czy mamy – jako organizacja – jakieś realne możliwości wymuszenia na komendach hufców i chorągwi autentycznego wspierania drużynowych?
- Kiedy ostatni raz w naszym Związku dokonano zmiany przepisów, tak aby ułatwić życie zwykłemu drużynowemu (chodzi tutaj o realne działania, a nie uchwały w sprawie odbiurokratyzowania)?
- Kiedy po raz ostatni w ZHP dokonaliśmy wnikliwego, szerokiego przeglądu sposobów i form naszej działalności wychowawczej? Kiedy po raz ostatni zmieniliśmy coś w sposobie naszego działania, tak aby skuteczniej oddziaływać na wychowanków? I czy to były działania powszechne?

* * *

Problem cały czas istnieje. Choć trzeba uczciwie przyznać, że jest to problem... wieczny, bo czy kiedykolwiek będziemy mogli spocząć na laurach i powiedzieć sobie, że oto jesteśmy już wystarczająco wychowawczy? No nie!

Warto jednak przypomnieć, że sporo w minionych pięciu latach się zdarzyło. Przede wszystkim została opracowana i przyjęta strategia ZHP, która w centrum stawia drużynowego, a więc przypomina, że najważniejsi są ci, którzy bezpośrednio realizują misję ZHP. Strategia ta, chyba głównie przez to, że w rzeczy-

wistości jest dokumentem adresowanym do poziomu szczepli i hufców, została dobrze przyjęta, a przede wszystkim jest powszechnie zrozumiała. Zresztą czy można nie rozumieć idei, że działania struktur ZHP wszystkich szczebli powinny kręcić się wokół ułatwiania życia tym, którzy pracują z dziećmi „na pierwszej linii”?

Oczywiście uchwała uchwała, a życie życiem. Strategię trzeba ciągle przypominać, trzeba stale mobilizować kadrę wspierającą w hufcach i chorągwiach do praktycznego wdrażania jej w życie. Bo przyjęcie (tylko aby mieć odfajkowane) raz w roku programu operacyjnego do Strategii ZHP – to stanowczo jest za mało!

Problem 2: w jaki sposób

Obok problemu, czy ciągle jeszcze wychowujemy, współistnieje drugi – dla harcerstwa szczególnie ważny – czy to, co robimy, jest rzeczywiście... harcerstwem, a więc czy pracujemy metodą harcerską. Lektura tematu z okładki sierpniowego numeru „Czuwaj” autorstwa hm. Marcina Bednarskiego nie pozostawia złudzeń – zawartość harcerstwa w harcerstwie niestety ciągle się zmniejsza. Dlaczego tak jest? Przyczyn jest wiele.

Po pierwsze: chyba dość powszechnie... nie wierzymy w metodę harcerską. Brzmi to może strasznie, wręcz absurdalnie, ale to – jak sądzę – jest główny powód niestosowania metody. (...) Logiczne jest, że gdyby drużynowy wierzył, że metoda jest skuteczna, że stosując ją, coraz lepiej i coraz łatwiej będzie prowadzić drużynę, wówczas zrobiłby wszystko, aby ją lepiej poznać i jak najlepiej używać. A więc nie wierzymy w metodę, bo gdybyśmy w nią wierzyli, to byśmy ją z pewnością stosowali.

Po drugie: metoda jest nieznana instruktorom. I nie chodzi mi tutaj o wklepanie na pamięć elementów i cech metody, nie chodzi o znajomość jej rozmaitych mnemotechnicznych systemów zapisu (typu statki, zamki, koła zębate itp.), rzecz w tym, że nie jest znana jako praktyczny zbiór zasad pracy z drużyną. (...)

Ale, ale... Skoro tak powszechna jest nieznajomość metody harcerskiej, a więc tego, co nas winno odróżniać od innych form spędzania przez dzieci czasu po lekcjach, to konieczne jest odpowiedzenie sobie na pytanie: dlaczego tak się dzieje. Zatem – po trzecie – metoda harcerska nie jest stosowana, bo w namiestnikach, kształceniowcach i hufcowych, mianujących drużynowych, jest za mało determinacji, aby wymagać jej znajomości oraz stosowania. Wystarczy więc, że ktoś chce pracować z dziećmi, a już szczęśliwi powierzamy mu prowadzenie drużyny. Nieważne, czy ma predyspozycje do pracy wychowawczej, nieważne, czy potrafi prowadzić drużynę metodą harcerską. Ma chęci, więc niech robi. I w ten oto sposób mamy „drużyny harcerskie” działające jako kolejne koła zainteresowań, klaso-drużyny, które na dodatek dają kadrze możliwość darmowego wypoczynku latem i zimą, kluby zainteresowań pracujące tylko zgodnie z pasją drużynowego. Wszystko to są ciekawe i pożyteczne sposoby organizowania dzieciom wolnego czasu. Problem w tym, że nie można zespołów tak prowadzonych nazwać gromadami zuchowymi czy drużynami harcerskimi.

Ale nieznamość, a co za tym idzie, niestosowanie metody, ma swoje źródło w czymś jeszcze. Może czas najwyższy, aby powiedzieć wprost, że metoda harcerska jest za trudna. A ściślej: że funkcjonujący dziś jej zapis jest za trudny. Czy naprawdę musimy mieć metodę opisaną cechami, które nie przekładają się bezpośrednio na działanie drużynowego? I jeszcze trzy zasady, i jeszcze cztery elementy... A dlaczego akurat te trzy to są zasady, a te cztery to elementy? Jak to wytłumaczyć 16-latkowi, aby potrafił po kursie drużynowych robić harcerstwo?

W ostatnim pięcioleciu porozmawialiśmy trochę na ten temat, ale ciągle nam brakuje głębokiej refleksji skutkującej konkretnymi działaniami. Ważne jest jednak, że badamy, analizujemy, zastanawiamy się, rozważamy rozmaite warianty – to pierwszy krok. Efekty widać już w coraz odważniejszych pomysłach pojawiających się podczas dyskusji na rozmaitych forach.

Problem 3: co proponujemy

Trzeci problem związany jest z tym, co jest treścią naszych działań (chciałoby się powiedzieć, wychowawczych). I tu można byłoby stwierdzić, że jest świetnie, bo co jak co, ale z technikami harcerskimi jest nieźle. Samarytanka, nadawanie morsem, wyznaczanie azymutów, tropienie za znakami patrolowymi – to jest to, z czego możemy być dumni, to jest sedno współczesnego harcerstwa. No właśnie i to jest... poważny problem. Bo okazuje się, że świadomość wychowawczą drużynowego, biegłość metodyczną zastępuje płytkie, powierzchowne, fasadowe harcerzowanie. I tak uczymy nieśmiertelnego alfabetu Morse'a, w razie czego dorabiając ideologię, gdy ktoś spyta, po co. Uczymy dzieci poruszać się po lesie, podczas gdy gubią się w dżungli miasta, i coraz trudniej nam konkretnie odpowiedzieć rodzicowi, który pyta, co ich synowi lub córce da przynależność do harcerstwa.

To zdumiewające, że zapominamy o swojej misji wychowania – kiedy istnieje tak duży społeczny popyt na kształtowanie młodego pokolenia, że nie stosujemy metody harcerskiej – skoro jest skuteczna, co widać po tych drużynach, w których się ją stosuje, a rozumienie harcerstwa spłaszczamy do tzw. tradycyjnych technik harcerskich, które są akurat tą częścią warsztatu drużynowego, która wymaga największej refleksji. Przy czym refleksja jest potrzebna każdemu drużynowemu, który planując i wdrażając w drużynie jakkolwiek swój pomysł programowy odpowie sobie na pytania: Po co to chcę robić? Jaki to ma cel wychowawczy? Czy to jest dla dzieciaków ciekawe?

Myślę, że w sprawach treści naszego harcerskiego wychowania, a konkretniej – inspiracji do rozważań na ten temat, zdarzyło się w minionym pięcioleciu najwięcej. Przy czym zdarzyło się wiele głównie w naszym otoczeniu.

W 2009 r. został zaprezentowany raport „Polska 2030. Wyzwania rozwojowe”, przygotowany przez Zespół Doradców Strategicznych premiera pod

kierunkiem Michała Boniego, który przedstawia dziesięć najważniejszych wyzwań, jakie stoją przed Polską w najbliższym dwudziestoleciu. Sam raport stał się „klasykiem”, lekturą obowiązkową na wielu kierunkach studiów, a jednym z efektów jest powszechne „odkrycie”, jak ważny jest rozwój kapitału społecznego. (Na marginesie: raport warto polecić jako lekturę przynajmniej na kursach harcmistrzowskich).

Ostatnich kilka lat to także wiele interesujących badań, analiz, konferencji w dziedzinie edukacji (zachęcam do odwiedzenia strony internetowej Instytutu Badań Edukacyjnych). Trudno się zresztą dziwić – niby obiektywne międzynarodowe badania pokazują na przełom edukacyjny w minionym dwudziestoleciu, z drugiej strony dość powszechne jest przekonanie, że polska szkoła osiąga dno (to temat ciekawy i dyskusyjny), a na pewno nie nadąży za zmieniającym się światem – kształci młodych ludzi dla świata tego sprzed kilku lat, w najlepszym razie na teraz, a nie na potrzeby, jakie będą w społeczeństwie za 10, 20 czy 30 lat.

Jako najbardziej pożądane (mówią o tym badacze systemu edukacji, ale też... pracodawcy) wymieniane są obecnie tzw. kompetencje miękkie. Prof. Brzezińska (warto wygooglować to nazwisko) wymienia cztery: ciekawość świata, twórcze podejście do rzeczywistości, umiejętność współpracy i zaufanie, wskazując przy tym, że należy je kształtować już od pierwszych dni w... przedszkolu! Badania pokazują także dość ciekawe zjawisko, będące wyzwaniem i dla systemu edukacji, i dla całego społeczeństwa – odroczoną dorosłość, a więc coraz późniejsze dojrzewanie młodych ludzi, którzy potrzebują więcej czasu, aby nabyć kompetencje niezbędne do samodzielnego życia.

Problemy, o których piszę wyżej, wydają się dziś wyzwaniem dla systemu edukacji. Dla harcerstwa jednak także są bezcenną wskazówką, pozwalającą myśleć o rozwoju naszego ruchu na 20 lat do przodu. Sądzę, że mogą być dla nas również nadzieją i motywacją do działania, gdyż przecież takie hasła, jak: ciekawość świata, twórcze podejście do rzeczywistości, umiejętność pracy w zespole – one chyba nam coś mówią, prawda?

* * *

Trzy wymienione wcześniej problemy zdecydowanie pozostawiam na podium. A co nowego? Dziś dopisują kolejne dwa, ale trochę innego typu – bo związane nie ze sprawami najważniejszymi (misją), ale z otoczką, z naszym codziennym funkcjonowaniem.

Problem 4: majątek i struktura

Truizmem jest stwierdzenie, że majątek powinien służyć organizacji, dawać bonusy, dzięki którym możemy lepiej, szerzej realizować misję ZHP. Kłopot w tym, że w przypadku wielu środowisk jest kulą u nogi. I to na kilka różnych sposobów.

Po pierwsze – determinuje działania programowe (musisz jechać nie do lasu, ale do bazy hufca, bo przecież nie może stać latem pusta). Po drugie – odciąga uwagę komend i komendantów od spraw najistotniejszych, czyli programu i pracy z kadrą. Po trzecie – często generuje straty, które bezpośrednio obciążają hufce, szczepy, drużyny albo wręcz dzieci (no, bardziej ich rodziców).

Z tym związany jest drugi wątek problemu 4 – kłopot ze strukturą Związku, która dla wielu instruktorów jest po prostu obciążeniem.

To obciążenie ma wiele aspektów. To kłopot z komendantem, który poczuł władzę – a jak się ma władzę, to warto z niej skorzystać, na przykład mnożąc wymagania, niepotrzebne przepisy czy formalizując funkcjonowanie tam, gdzie jest to naprawdę niepotrzebne. To także myślenie przez pryzmat potrzeb struktury, a nie tych, dla których jest się wybranym – a stąd już krok do wzajemnego braku zrozumienia. No i wreszcie to obciążenie bardzo namacalne – w postaci kosztów pośrednich, narzutów, potrąceń itd.

Co jest tutaj efektem? Na poziomie hufców to przede wszystkim coraz częstsze myślenie, że trzeba tak organizować swoją pracę, aby jak najmniej zależeć od chorągwi. A właściwie, aby być samowystarczalnym i jednocześnie odpornym na to, co dzieje się wyżej. Niewątpliwie stąd biorą się powracające przy kolejnym zjeździe postulaty, aby umożliwić hufcom uzyskiwanie osobowości prawnej. To także jest motywacją do zakładania przy różnych jednostkach harcerskich stowarzyszeń i fundacji oraz uciekania do nich z 1%, akcją letnią czy akcjami zarobkowymi.

To naprawdę groźny problem – musimy mieć bowiem świadomość, że na tej ucieczce od ZHP czy na tym uniezależnianiu się od struktur ZHP stracimy wszyscy wizerunkowo, programowo, ale też – i może to największy kłopot – ideowo, bo przecież każde działanie obok zamiast w ZHP to świadectwo nielojalności wobec własnej organizacji. A jeśli mogę być nielojalny w czymś małym, to za rok będzie we mnie większa skłonność, aby zdystansować się wobec organizacji w czymś większym. A to droga do degradacji myślenia i spójności ZHP.

Problem 5: zaufanie

Zastanawiałem się, czy pisać o tym, bo sprawa wydaje się być niewielkiego kalibru. Ale jednak trzeba, ponieważ problem ten rozwija się w niesłychanym tempie i w ostatnim pięcioleciu widać go naprawdę na każdym kroku – to problem zaufania. Takiego zwykłego, międzyludzkiego zaufania, którym powinni się darzyć członkowie jednej wspólnoty, tym bardziej takiej jak harcerstwo – z tak szczytnymi ideałami.

Deficyt zaufania widać w ZHP szczególnie na linii władze – instruktorzy. Przykładów mieliśmy ostatnio sporo, z których (na poziomie centralnym) warto przypomnieć choćby o „składce 80” oraz wprowadzeniu kart członkowskich. Ileż w tych sprawach było emocji (to jeszcze zrozumiałe). Ileż zarzutów o brak profesjonalizmu (to też można zaakceptować). Ale ile było także, niestety, insynuacji czy wręcz zenujących, poniżających oskarżeń, włącznie z sugestiami na temat osobistych korzyści! Pytam więc: co takiego stało się z nami – instruktorami, z nami – po prostu ludźmi, że w niemal każdej decyzji władz ZHP musimy widzieć przekręt, nieuczciwość, drugie (trzecie, czwarte) dno, podstęp albo – jakże by inaczej – chęć utrudnienia życia „dołom”?

Oczywiście w wielu przypadkach władze swoimi działaniami same doskonale zapracowały na ten brak zaufania (patrz: problem 4). Ale czy zawsze? Czy standardowo nie można przyjąć postawy zaufania, a nie – jak obecnie – postawy szukania dziury w całym i węszenia spisku?

Przyznam, że nie wiem, co z tym zrobić. I czy w ogóle da się coś zrobić. Może to naturalny proces w obecnym świecie, gdzie standardem jest opluwanie wszystkich za wszystko, brak elementarnego szacunku dla drugiego człowieka? No bo skoro dwunasto-, dwudziesto- i czterdziestolatek może w Internecie napisać wszystko o premierze, prezydencie, dowolnym artyście czy papieżu, to dlaczego wymagam, aby nie mógł równie dosadnie wypowiadać się o Naczelniku ZHP czy jakimkolwiek innym instruktorze?

Może po prostu trzeba się do tego przyzwyczaić i przestać wierzyć, że harcerstwo jest jakąś wyjątkową wspólnotą? Może, ja jednak chyba nie potrafię...

* * *

Jak widać, dużo w tym tekście było cytowania. I mógłby ktoś stwierdzić, że to nasza porażka – skoro nic przez te pięć lat się nie zmieniło. Ale to nieprawda – zmieniło się bardzo wiele! Kłopot w tym, że pozbycie się wskazanych proble-

mów wymaga zmian najtrudniejszych, bo mentalnych, także zmiany przyzwyczajzeń.

Musimy także pamiętać, że owszem – my się zmieniamy, ale zmienia się też świat wokół (patrz: problem 3). Uczestniczymy więc w niekończącym się wyścigu, starając się nadążyć za pędzącym do przodu światem. A że jesteśmy ogromną organizacją (tak, tak!), więc jedni instruktorzy, ci bardziej innowacyjni, i ich środowiska są w czubie a nawet w awangardzie, inni zaś tkwią w harcerstwie przedwojennym.

Głupoty piszę? Możliwe, ale nie wiesz, drogi Czytelniku, czy to nie dlatego, że prowokacja jest bardzo dobrym sposobem na pobudzenie dyskusji, której – zwłaszcza przez zjazdem – nigdy za wiele. Rozmawiajmy więc!

Kodeks Instruktorski

Dawno, dawno temu... Nie, wcale nie tak dawno, bo w grudniu 2005 roku XXXIII Zjazd ZHP podjął uchwałę w sprawie Podstaw wychowawczych ZHP, w której m.in. zobowiązał wszystkie środowiska harcerskie do przeprowadzenia dyskusji „na temat aktualnego rozumienia Prawa Harcerskiego”. Dyskusja ta się odbyła (mieliśmy konferencje w hufcach i chorągwiach, a ich efekty zostały zebrane i przedstawione zjazdowi ZHP) i zakończyła uchwałą XXXIV Zjazdu Nadzwyczajnego ZHP, który odbył się w czerwcu 2007 r. w Załączu Wielkim. Dodam dla porządku, że Prawo Harcerskie nie zostało zmienione. W tej dyskusji sporo miejsca zajęła rozmowa o postawach instruktorów, o tym, czy ich również obowiązuje Prawo, pojawiały się pomysły, aby stworzyć dla nich zupełnie nowe narzędzie.

Efektom tych rozważań była uchwała załącząskiego zjazdu w sprawie podstaw instruktorskich, w której czytamy m.in.: *Zjazd uznaje potrzebę stworzenia Kodeksu Instruktorskiego, który powinien być opisem pożądaných postaw instruktorów i osób pełniących funkcje instruktorskie. Kodeks powinien opisywać wzór instruktora świadomie realizującego misję ZHP oraz stanowić uzupełnienie Prawa Harcerskiego i Zobowiązania Instruktorskiego.*

Stało się zgodnie z wolą zjazdu. Powstał specjalny zespół, który stworzył projekt dokumentu. Ostatecznie Kodeks Instruktorski został przyjęty Uchwałą nr 33/XXXV Rady Naczelnej ZHP z dnia 7 marca 2009 r. w sprawie Kodeksu Instruktorskiego.

Został przyjęty i?... Pojawił się na stronie dokumentów ZHP, zrobiliśmy wkładkę do „Czuwaj” (6-7/2009), został wpisany w treści kursu podharcmi-strzowskiego, ale właściwie nie zaistniał w Związku. A szkoda.

Co to jest ten Kodeks? To właściwie zbiór wymagań, jakie powinni stawiać sobie instruktorzy, zgrupowanych w czterech obszarach: instruktor wobec siebie, instruktor wobec wychowanków, instruktor w organizacji i instruktor na

zewnątrz organizacji. Oprócz konkretnych wytycznych mamy w każdym z tych czterech obszarów coś w rodzaju idei/preambuły.

Łącznie znajdziemy w Kodeksie Instruktorskim 26 wskazówek. Ktoś mógłby powiedzieć, że to zbiór banałów. Czyżby? Jestem przekonany, że każde ze zdań może być doskonałym narzędziem do instruktorskiej refleksji i kształtowania swojego charakteru zgodnie z duchem Prawa Harcerskiego – szczególnie podczas realizacji prób instruktorskich, w których jakże często koncentrujemy się na realizacji namacalnych, technicznych zadań, zapominając, że podczas zamykania próby musimy wykazać się spełnianiem idei danego stopnia.

Kodeks to także doskonałe źródło inspiracji dla kadry pracującej z instruktorami. Twórcze podejście namiestnika lub kształceniowca może sprawić, że Kodeks będzie wspinałym punktem wyjścia do zajęć na kursach, rozmów instruktorskich czy komendanckich gawęd.

Zachęcam: odkryjmy Kodeks Instruktorski!

Szukajmy okazji!

W naszym statucie czytamy, że ZHP realizuje cele przez harcowski system wychowawczy rozumiany jako jedność zasad harcerskiego wychowania, metody i programu, w którym istotną rolę odgrywa – uwaga! – osobisty przykład instruktora. A w kolejnym zdaniu, że Zasady harcerskiego wychowania to: służba, braterstwo oraz – uwaga! – praca nad sobą.

Jeśli praca nad sobą jest jedną z najważniejszych naszych zasad i jeśli tak ważny jest osobisty przykład instruktora czy – szerzej – kadry, to trudno się dziwić, że wymyślono kiedyś stopnie instruktorskie, które – jak czytamy w Systemie stopni instruktorskich – wyznaczają drogę rozwoju instruktorskiego.

Szczególną rolę w tym rozwoju odgrywają zorganizowane, zwarte, opisane dość szczegółowo (standardami) formy – kursy „do stopnia”. Warto przypomnieć, że kandydat na przewodnika ma obowiązkowo ukończyć kurs przewodnikowski, a instruktor zdobywający stopień podharcmistra – kurs podharcmistrowski.

Jedynie przyszli harcmistrzowie nie muszą obligatoryjnie kończyć kursu harcmistrzowskiego. Ale im częściej słyszę z ust kandydatów na harcerskich mistrzów, że im to niepotrzebne albo że nie mają czasu na dokończanie się, tym bardziej jestem za wprowadzeniem obowiązku ukończenia także tych kursów!

Idźmy dalej. Ponad dekadę temu w Głównej Kwaterze (a może bardziej – w CSI ZHP) doszli do wniosku, że kształceniowiec to wyjątkowy typ instruktora. Taki, na którym ciąży szczególna odpowiedzialność za wiedzę, umiejętności i postawy nowych – w zależności od poziomu kształcenia – drużynowych, szczeponych, namiestników, komendantów hufców itd. Jeśli więc jakaś grupa instruktorów ma się naprawdę permanentnie rozwijać, to przede wszystkim właśnie kształceniowcy. I dlatego, że powinni być zawsze na bieżąco, i ze względu na konieczność doskonalenia swoich umiejętności i poszerzania kształceniowego repertuaru (co, jak wiadomo, może chronić przed zgonem w kształceniowej rutynie), i oczywiście dlatego, że uczestnicy kursów, warsztatów bacznie ich

obserwują, zatem wspomniany na wstępie osobisty przykład instruktora ma tu naprawdę duże znaczenie!

Efektom tego procesu myślowego było wprowadzenie czasowości odznak kadry kształcącej. Jak przy każdej zmianie opór był duży. Ale – tak z ręką na sercu – czy to źle, że chcemy w Związku, aby OKK nie była blaszką, lecz świadectwem chęci dalszego aktywnego udziału w kształceniu? I czy to źle, że wymagamy przy kolejnym przedłużaniu uprawnień tej odznaki, aby wykazać się uczestnictwem przynajmniej dwa razy (w ciągu trzech lat) w szkoleniu przydatnym w kształceniu?

Kiedy więc słyszę, a słyszę ostatnio dość często, że ktoś jest tak zajęty tym kształceniem, ma tyle roboty, że w ciągu minionych lat nie znalazł zaledwie dwóch okazji do doskonalenia swoich umiejętności kształceniowych, to jakoś nie mogę w to uwierzyć...

A propos okazji. Zachęcam do udziału w organizowanych przez CSI ZHP kursach kadry kształcącej II stopnia, adresowanych do kształceniowców z OKK, a przede wszystkim z doświadczeniem. Najbliższa okazja w maju na Głodówce. Kolejna – już we wrześniu. I nie będzie wcale tanim chwytem marketingowym, gdy napiszę, że liczba miejsc jest ograniczona...

Szukajmy okazji do doskonalenia się!

Życzliwość i szacunek

Może to wyczulenie wynikające z funkcji członka KSI przy GK ZHP? A może jakoś podskórnie szukam problemów ze względu na kończenie prac nad poradnikiem dla KSI? A może to tylko taka moja wrodzona alergia na głupotę i utrudnianie życia młodym instruktorom, którym jeszcze (na szczęście) się chce?

Nie wiem dlaczego, ale ostatnio skumulowały mi się (i rozgrzały mnie do czerwoności, harcmistrzowskiej, rzecz jasna) różne przykłady, pokazujące, że trzeba naszym komisjom stopni instruktorskich przypomnieć, jaka jest ich rola.

No bo jak tu się nie denerwować, gdy komisja nie przejmuje się zupełnie faktem, że wygasły jej uprawnienia i dalej prowadzi „na lewo” próby na stopień podharcmistra czy harcmistrza? Nielegalne otwieranie prób – no, to jeszcze mały problem, bo próbę może w trakcie przejąć KSI wyższego szczebla. Ale co zrobić, gdy przyznano bez uprawnień stopień instruktorski? Czy ktoś pomyślał, jakie to może mieć konsekwencje?

A co będzie, jeśli „nielegalny” harcmistrz będzie jesienią kandydował na funkcję komendanta chorągwi albo do sądu harcerskiego chorągwi? Albo jeśli „nielegalny podharcistrz” zostanie opiekunem próby przewodnikowskiej? Co się stanie, gdy już po fackie ktoś to wychwyci? Czekają nas anulowanie otwarcia próby albo unieważnienie wyborów dokonanych na zjeździe?

Inna sytuacja: jeden, drugi, trzeci instruktor opowiada podobną historię, jak to przychodzi na spotkanie pewnej komisji, ale komisja... zupełnie nie jest zainteresowana jego wypowiedzią, lekceważy argumenty, narzuca swoje zadania (które nie są dla danej osoby żadnym wyzwaniem), wyśmiewa zadania wykonane na wyższym szczeblu Związku – bardziej złożone, o kilka klas trudniejsze, niż zwykle spotykane na tym poziomie. Efekt? Przychodzenie po kilka razy na otwarcie, aż komisja zaakceptuje wszystkie zmiany (widziałem – głupie, psujące świetne, spójne i przemyślane próby!), płacz przy wychodzeniu ze spotkania z komisją, demotywacja młodych instruktorów. Jak się więc nie denerwować?

Warto może zajrzeć do Systemu stopni instruktorskich, w którym czytamy:

KSI stymuluje rozwój instruktorów, m.in. przez:

- *budowanie etosu stopnia instruktorskiego,*
- *dbałość o wysoki poziom prowadzonych prób instruktorskich,*
- *dbałość o poziom merytoryczny spotkań KSI ze zdobywającymi stopień i opiekunami,*
- *budowanie dobrego wizerunku KSI.*

Czy to naprawdę nie jest jasne? Czy tak trudno zrozumieć – to do was, komendanci! – że KSI to nie przechowalnia, ale miejsce dla instruktorów najlepszych z najlepszych, którzy potrafią pracować z młodą, ambitną kadrami, którzy potrafią ją zmobilizować, zmotywować? Czy to wymaga przypominania, zapisywania w dokumentach – teraz piszę do członków KSI – że rolą komisji jest dbałość o nasz największy kapitał, czyli kadre!?! I że podstawą jest tutaj zwykła, ludzka życzliwość i zwyczajny szacunek dla innego instruktora?

Można na co dzień

Można większość spraw między kadrą a władzami hufca i chorągwi załatwiać nie w formie oficjalnych pism. Można nawet w ogóle nie drukować pism i nie przysyłać ich jako skan pocztą elektroniczną (to taka modna forma udawania, że ograniczamy biurokrację), a poprzestać na formach mniej oficjalnych, opartych na zaufaniu między instruktorami.

Można nie tylko w sposobie korespondencji, ale w codziennym funkcjonowaniu pokazać, że mamy zaufanie do naszego drużynowego, szczerpewego – wierząc w to, co nam mówi, bez żądania dodatkowych potwierdzeń, dokumentów itd.

Można na co dzień ułatwiać naszej kadrze życie, załatwiając sprawy proste od ręki. Bo czy na przykład tak banalna czynność, jak rejestracja książeczki harcerskiej lub instruktorskiej, wymaga wypełnienia długiego formularza (oczywiście elektronicznie, bo „mniej papierów”) dwa tygodnie wcześniej?

Można oszczędzić czas drużynowemu, komendantowi obozu, rezygnując z wydawania instrukcji do zasad chorągwianych wydanych... do instrukcji GK ZHP; i generalnie – z produkowania masy hufcowych czy chorągwianych przepisów.

Można w całym okresie realizacji próby na stopień instruktorski udowodniać swoim podejściem, że tutaj przede wszystkim chodzi o rozwój instruktora, o jego dochodzenie do poziomu opisanego w idei stopnia, a nie o mechaniczne, bezrefleksyjne wypełnienie wymagań zapisanych w regulaminie.

Można, odwiedzając zbiórkę, przyjąć postawę nie ostrego wizytatora, ale życzliwego starszego instruktora, który z chęcią wspomże radą, skłoni do refleksji, podziękuje i zmotywuje do dalszego rozwoju jako człowieka i jako harcerskiego wychowawcy.

Można wreszcie tego naszego drużynowego traktować na co dzień jak partnera, tak po ludzku, pokazując mu, że jesteśmy mu wdzięczni za to, że zamiast iść na randkę, do kina, basen czy gdziekolwiek indziej – on robi coś fajnego dla dzieciaków. I że na nim – na jego rozwoju, jego satysfakcji, jego motywacji – nam naprawdę zależy!

Można częściej niż na zjeździe raz na dwa lata mówić „dziękuję”.

Naprawdę można na co dzień, na każdej funkcji (komendanckiej, w namiestnictwie i KSI, ale też w sądzie harcerskim i komisji rewizyjnej) i na bardzo wiele sposobów wdrażać życie nie tyle nawet zapisy, co idee zawarte w Strategii ZHP, obowiązującej już dwa i pół roku.

Ę? A? Że jak? Tak, tak, już dwa i pół roku temu Zjazd ZHP przyjął, że drużynowy ma być „w centrum zainteresowania całej organizacji”, że ma być prosta dokumentacja, kadra dobrze motywowana a struktura organizacji przyjazna... Czas podejść do tych zapisów na serio, nie godzi się przecież lekceważyć postanowień najwyższej władzy Związku, prawda?

Warunki konieczne

Zachęcony przez Justynę (patrz: tekst na stronie 30-31 [numeru 6/2014 – przyp. GC]), zajrzałem do „Raportu z Arkusza analizy Hufca 2012/2013”. Po przeczytaniu, popatrzyłem na liczby, pododawałem i czym prędzej sięgnąłem do „Zasad tworzenia i działania hufca”, aby sprawdzić, czy coś się nie zmieniło. Jakież to byłyby obciach, gdybym – jako komendant hufca z niemal dziesięcioletnim stażem – nie znał tego bądź co bądź podstawowego na tej funkcji dokumentu!

Sprawdziłem więc, a właściwie przypomniałem sobie, że obowiązuje wciąż dokument z 2006 roku, w którym mamy pięć warunków koniecznych utworzenia, a potem istnienia każdego hufca (podaję w skrócie):

- w hufcu działa co najmniej 10 podstawowych jednostek organizacyjnych, obejmujących wszystkie grupy metodyczne,
- działa co najmniej 15 instruktorów przygotowanych do realizacji zadań statutowych hufca, zgodnie z obowiązującymi instrukcjami dotyczącymi pracy z kadrą w ZHP (czytaj: głównie „System pracy z kadrą”, „System stopni instruktorskich” i „Kształcenie kadry w ZHP”),
- jest gwarancja pozyskania lokalu na siedzibę hufca,
- istnieje możliwość odbioru poczty elektronicznej,
- jednostki i instruktorzy regularnie opłacają składki członkowskie.

Wróćmy do „Raportu” – otóż poczułem nagłą potrzebę sprawdzenia tych zasad, gdyż kilka razy mi się coś nie zgodziło. Co takiego?

245 badanych hufców, czyli nieco ponad dwie trzecie, ma przynajmniej 10 działających podstawowych jednostek organizacyjnych. Można się próbować pocieszyć, że nie wszystkie hufce wypełniły wszystkie pola arkusza, obawiam się jednak, że wśród tej jednej trzeciej jest kilkadziesiąt jednostek, które nie mają wymaganych 10 gromad i drużyn.

Czytam dalej: „Aż 255 hufców deklaruje, że działa w nich co najmniej 15 instruktorów, co stanowi 71% ogólnej liczby hufców”. Hmmm, chyba nie napisałbym „aż”, bo przecież to podstawowy warunek istnienia hufca w ZHP!

Dalej: okazuje się, że w niespełna połowie hufców działają hufcowe lub międzyhufcowe zespoły kadry kształcącej. W 5% hufców nie ma KSI – niby niedużo, ale przecież to także jest zespół obowiązkowy w każdym hufcu!

Warto jeszcze poczytać o kursach, namiestnictwach, zespołach programowych – to naprawdę ciekawa lektura. Szkoda tylko, że wyłania się z tej lektury podział hufców mniej więcej na trzy równe części: jedna trzecia – takich, które realizują z powodzeniem swoje zadania, jedna trzecia takich, które realnie nie są hufcami albo ledwie zapią, no i jedna trzecia – wśród których są hufce „średnie”, mam nadzieję, że równające w górę.

Trzeba coś z tym zrobić! Ale to temat na inny, dużo dłuższy tekst...

Nienormalność w mowie

Afera podsłuchowa, która wstrząsnęła niedawno Polską, komentowana była chyba przez wszystkich – do najzwyczajniejszych obywateli na samym dole, przez media, aż po najwyższe władze państwowe. Większość oczywiście miała charakter bardzo polityczny (bo każdy przecież widzi i słyszy, co chce). Mnie natomiast chyba najbardziej zainteresowały komentarze pojawiające się dość powszechnie w mediach, które dotyczyły języka podsłuchanych rozmów.

Mogliśmy więc usłyszeć i przeczytać niejednokrotnie opinię, że jest to przecież normalny, codzienny język Polaków, że tak mówią teraz elity, że... tak mówią właściwie wszyscy – od ucznia po profesora.

I to mną wstrząsnęło, bo ja chyba jednak żyję w innym świecie – i nie otaczają mnie ci „wszyscy”! Owszem, słyszę w swoim otoczeniu rozmaite ozdobniki językowe, niezaciekawe słownictwo, ale to wcale nie jest norma, codzienność. A na pewno nie jest to coś normalnego w gronie harcerskim, czy – tym bardziej – instruktorskim (drużynowych, kształceniowców!). Wokół mnie na szczęście ludzie używają dość przyzwoitego języka, zostawiając sobie wulgaryzmy na wyjątkowe okazje. Ba, nawet tak powszechnie niestety używanego słowa, jak „zajeb...”, w mojej obecności raczej się nie używa, bo to tępię.

Cóż więc robić? Czy powinniśmy w życiu prywatnym i organizacyjnym – w harcerstwie przywyknąć do tego, że „wszyscy” tak mówią? Oczywiście, że nie! Choćby ze względu na to, co sobie napisaliśmy w kilku ważnych dla nas dokumentach. Przypomnę te najważniejsze:

Misją ZHP jest wychowywanie młodego człowieka, czyli wspieranie go we wszechstronnym rozwoju i kształtowaniu charakteru przez stawianie wyzwań.

ZHP realizuje cele przez harcerski system wychowawczy rozumiany jako jedność zasad harcerskiego wychowania, metody i programu, w którym istotną rolę odgrywa osobisty przykład instruktora.

Harcerz jest czysty w myśli, w mowie i uczynkach; nie pali tytoniu i nie pije napojów alkoholowych.

Jestem świadoma/świadomy odpowiedzialności harcerskiego wychowawcy i opiekuna.

* * *

W poczuciu odpowiedzialności instruktorów-wychowawców, postawmy więc naszym wychowankom wyzwanie – zadbajmy o czystość ich mowy. No i oczywiście zacznijmy od siebie. Już, od teraz!

Może będziemy przez to niedzisiejsi czy nienormalni, ale czy to nie jest interesująca nienormalność?

O co chodzi w kształceniu?

Na tytułowe pytanie (w którym, rzecz jasna, chodzi o nasze związkowe kształcenie), odpowiedź jest chyba oczywista: żeby czegoś nauczyć! Żeby dostarczyć konkretnej wiedzy, wykształcić albo przynajmniej zainicjować nabycie pewnych umiejętności, aby zmienić myślenie o czymś ważnym czy, patrząc głębiej, kształtować postawy – harcerskie, instruktorskie, ludzkie.

Aktywny kształceniowiec dopowie pewnie, że to, co ma się stać z uczestnikiem kursu czy warsztatów po zajęciach, znajdziemy w konspekcie tych zajęć. W przypadku kursów jest jeszcze łatwiej, bo mamy czarno na białym określone w standardach, co uczestnik kursu będzie wiedział, rozumiał, potrafił itd.

Dlaczego przypominam tutaj takie oczywistości? Czy naprawdę zapomnieliśmy, o co chodzi w kształceniu? Czasem mam wrażenie, że tak...

Do tego przypomnienia skłoniła mnie lektura kilku konspektów zajęć różnych instruktorów. Nie byle jakich, bo rasowych kształceniowców, którzy aspirują do posiadania brązowej i srebrnej OKK. Co znalazłem w tych konspektach? Opis zajęć, które z pewnością będą fajne, świetnie wspomniane przez uczestników. Tyle tylko, że to przerost formy nad treścią. Nie, nawet nie to. Bo tam nie było ŻADNEJ treści. Bo po tych zajęciach na pewno uczestnicy nie będą wiedzieli, umieli nic nowego związanego z tematem zajęć!

Wiem, że nie jest to odosobniony przypadek. Skąd to się wzięło? Pewnie stąd, że kiedyś sobie wmówiliśmy, że najważniejsze jest, aby być w stylu nauczania przeciwieństwem szkoły, bo uczymy w działaniu itd. W efekcie chcemy uczyć ludzi bez łopatologicznego czasem wyłożenia im tego, co najważniejsze – bo zero wykładu, bo przede wszystkim atrakcyjna forma! Co więcej, zawsze chcemy z ludzi wyciągać wiedzę, jakby rzeczywiście cała potrzebna wiedza w nich była. Chyba przez tę naszą wzajemność oddziaływań boimy się stanąć przed nimi i powiedzieć: ja to wiem, ja się na tym znam, więc chwilkę mnie posłuchajcie. Nie, tak nie wolno, bo uczenie w działaniu, bo wzajemność oddziaływań, bo

atrakcyjna forma. No, może z trudem to przejść, ale tylko w jednym przypadku – gdy naszą wypowiedź nazwiemy... gawędą.

No i jeszcze jedno – jesteśmy też niewolnikami ankiet ewaluacyjnych, w których uczestnik zajęć nie oceni przecież, czy coś zmieniło się w jego głowie, ale zwykle to, jakie zrobiliśmy show.

O co więc chodzi w kształceniu? O skuteczność w zmienianiu ludzi, a atrakcyjność to tylko pożądaný dodatek. (...)

PS: A propos poprzedniego tekstu o czystości w mowie – otrzymałem ostatnio taką oto wiadomość, jakże miłą i motywującą: Od przyjazdu z kursu pozarażałam cały nasz hufiec zwracaniem uwagi na słownictwo i wypowiedzi. Często się poprawiamy i leczymy z niepoprawnych sformułowań. Wejdzie to też jako stały punkt programu do moich kursów. Jeszcze raz dzięki.

Dylematy i okazje wyborcze

15 listopada tego roku mamy wybory samorządowe. Biorąc pod uwagę liczbę kandydatów, liczbę stanowisk do obsadzenia, a także poziom zaangażowania społecznego i odpolitycznienia mierzony liczbą niepartyjnych komitetów wyborczych – są to bez wątpienia wybory szczególne.

Dla nas – harcerstwa najistotniejsze jest to, że są to wybory najbliższe naszym sprawom – najbardziej lokalne, a zatem mające największy i bezpośredni wpływ na funkcjonowanie być może każdej drużyny i każdego szczepla, a na pewno na działanie każdego hufca.

Jest już za późno, aby przekonywać naszych instruktorów do zaangażowania w wybory przez udział w nich w charakterze kandydatów. Za późno, ponieważ listy zamknięte i machina wyborcza toczy się w swoim rytmie. Można jednak i warto zastanowić się nad miejscem harcerstwa w czasie kampanii wyborczej i zaraz po wyborach.

Jeśli chodzi o okres wyborczy – tu jest sprawa jasna, gdyż „od zawsze” pojawiały się przed kolejnymi wyborami uchwały, stanowiska i listy rozmaitych władz ZHP (zjazdów, Rady Naczelnej, Przewodniczącego), zachęcające naszą kadrę do kandydowania – bo przecież do tego wychowujemy, do aktywności obywatelskiej, a udział w wyborach do władz samorządowych jest tego wyjątkowo namacalnym świadectwem.

Ale również „od zawsze” w takich okresach wracają pytania o to, gdzie jest granica między pożądaną aktywnością obywatelską kadry a politycznym zaangażowaniem Związku, który – przypomnę – apolityczność ma zapisaną w swoim statucie.

Gdzie więc jest ta granica? Nie mam wąpliwości, że każdy kandydat może wpisać w swoim CV, na swojej ulotce, że jest instruktorem harcerskim – to przecież istotny fragment jego życiorysu, podobnie jak wykształcenie, zawód czy doświadczenie na innych polach społecznej aktywności. Nie mam też wąpliwości, że nie wolno żadnym władzom ZHP oficjalnie (np. w formie uchwał)

popierać konkretnych komitetów wyborczych i kandydatów. To skrajne problemy, natomiast większe dylematy są bliżej środka tej granicy, za którą jest już naruszenie apolityczności Związku.

Bo czy na ulotce wyborczej można pokazać się w harcerskim mundurze? Jeśli byłoby to jedno z kilku zdjęć kandydata – pewnie dla mnie byłoby to do zaakceptowania, ale gdyby to miało być główne zdjęcie wyborcze zamieszczane na plakatach – oj, chyba to już dla mnie przekroczenie tej granicy. Powtórzę: dla mnie, ale czy da się wyznaczyć tę granicę obiektywnie, „ogólnozwiązkowo”?

I na koniec jeszcze jedno: są okazje do pokazania się, zaprezentowania dorobku, potencjału i wspaniałości (tak, tak, nie bójmy się tego słowa) harcerstwa, które zdarzają się rzadko. Do nich należy z pewnością okazja do pokazania się nowym władzom samorządowym, zrobienia na nich dobrego „pierwszego wrażenia” – ona zdarza się raz na cztery lata. Nie wolno jej zmarnować! Niech więc napisanie listu gratulacyjnego do nowo wybranych radnych, prezydenta, burmistrza, wójta będzie zadaniem obowiązkowym na listopad dla każdego komendanta.

Żaden, tfu, tfu, trener!

Czasem dziwni jesteśmy. Na przykład kiedy organizujemy kurs, jakiś nasz typowo harcerski (oj, mamy ich mnóstwo), to wydajemy oprócz zwykłego dyplomu także zaświadczenie, dyplom tzw. zewnętrzny. Robimy tak i dlatego, że standardy kursów tego wymagają, i w związku z rosnącym zapotrzebowaniem na takie dokumenty – bo przecież nie wiadomo, co się kiedy przyda... Piszemy zatem językiem zewnętrznym, że ktoś uczestniczył w szkoleniu liderów, animatorów grup albo – o właśnie! – trenerów organizacji pozarządowych.

No ale jednak dziwni jesteśmy, bo jednocześnie widzę dość często, jak to słowo „trener” nie chce nam przejść przez usta (tutaj: raczej przez palce wypisujące na klawiaturze treść dyplomu). Bo przecież my nie jesteśmy żadni, tfu, tfu, trenerzy, tylko kształceniowcy! My przecież nie trenujemy naszej kadry (bo czy harcerstwo to jakiś sport albo biznes?), my ją kształcimy!!!

Kształceniowiec – powiedzmy sobie szczerze, że jest to nasz harcerski wymysł. Sam używam tego słowa z przyjemnością (a może bardziej z przyzwyczajenia), ale wiem doskonale, że poza ZHP to zupełnie niezrozumiałe określenie. Zresztą wystarczy podpytać wujka Googla, aby się o tym przekonać...

Czy zatem powinniśmy zaprzestać używania „kształceniowca”? Ależ nie! Jednak musimy mieć świadomość, co ono mówi osobom spoza ZHP (wiem: nic!), a na pewno przestać używać słowa „trener” z pewnym nieskrywanym obrzydzeniem – co niestety często ma miejsce. Dlaczego? Bo trener to nie tylko człowiek szkolący w biznesie albo sporcie. Mamy trenerów także w instytucjach publicznych oraz w organizacjach pozarządowych. No ale przecież nasz kształceniowiec to najczęściej coś więcej niż trener! To prawda, czasem, gdyż nasi związkowi trenerzy lubią wchodzić w rolę *coacha*. No ale *coaching* – o rety, to znowu zakazane słowo, o czym przekonałem się ostatnio po raz kolejny, czytając zaproszenie na jakiś kurs instruktorski, w którym zapewniano potencjalnych uczestników, że nie będzie na nim jakichś dziwnych wynalazków, jak m.in. ten – za przeproszeniem – *coaching*...

No i na koniec jeszcze jedno słowo, które budzi – na szczęście – coraz mniejsze obrzydzenie: wolontariusz. Już dociera do instruktorów, zwłaszcza tych w harcerskich komendach, że jesteśmy wolontariuszami, bo przecież ochotniczo i bez wynagrodzenia robimy wiele dla swojej organizacji, dla innych ludzi.

Zatem skąd się biorą te wszystkie nieporozumienia związane z trenerem, coachem czy wolontariuszem? Jak zwykle – z niewiedzy. Zachęcam więc: poznawajmy to, co nieznane. A przynajmniej, błagam: nie chwalmy się wszem i wobec swoją ignorancją!

PS: A propos instruktorów-wolontariuszy: wszystkim składam najserdeczniejsze życzenia z okazji przypadającego 5 grudnia Międzynarodowego Dnia Wolontariusza. To również nasze święto!!!

Refleksja o pokorze

Zamiast zuchy, harcerze, harcerze starsi, wędrownicy, instruktorzy może wrotki, hulajnogi, motory, samochody i bolidy? Zamiast zastępów, drużyn i hufców może dzielnice, gminy i powiaty? A obozy letnie w maju, bo wtedy ciepło choć niezbyt upalnie – dobre, nie? Głupoty? Nie dla wszystkich! Ale po kolei...

Od tak wielu lat obserwuję instruktorów na wszystkich szczeblach naszej organizacji, że przywykłem, a właściwie powinienem przywyknąć do tego, że wielu z nich nie potrafi mądrze i odpowiedzialnie objąć nowej funkcji. Jedni powiedzą, że uderzyła im woda sodowa do głowy. Inni, że pewnie poczuli z otrzymaniem nowego sznura nagły przypływ mądrości. Jak by tego nie nazywać, sprawa jest poważna, ale w sumie nie ma się czemu dziwić – takie zachowania są ludzkie.

W ostatnim roku, przy okazji prowadzonych przeze mnie kilku kursów dla instruktorów z całej Polski, przekonałem się, że jest to zjawisko niestety bardzo powszechne i dość... sprawiedliwe. Sprawiedliwe, bo ta mądrość spływająca wraz z nową funkcją obdarza ludzi niezależnie od chorągwi, funkcji i poziomu struktury (problem zaczyna się często już od zastępowego i przybocznego). No może bardziej to przekonanie o wszechwiedzy spływa na młodszych instruktorów – ale to też jest przecież ludzkie.

Tak więc w tym roku już niejednokrotnie z komendantką CSI ZHP rozmawialiśmy o tym, że warto byłoby na kursach kadry kształcącej, komendantów hufców, warsztatach dla KSI – właściwie na wszelkich formach kształceniowych znaleźć czas na refleksję na temat instruktorskiej i zwykłej, ludzkiej... pokory. Bo chyba właśnie ona – pokora, a właściwie jej brak, jest sednem opisywanego problemu!

Chciałem w tym miejscu zachęcić Czytelników, aby poszukiwanie pokory wobec świata, tego, co dzieje się w naszej organizacji, a nade wszystko wobec siebie i własnych ograniczeń, uczynić postanowieniem noworocznym na nowy 2015 rok. Ale, biorąc pod uwagę statystyki, z których wynika, że po kilkunastu dniach już nic by z tych postanowień nie zostało – nie warto. Może zatem popracujemy nad naszą instruktorską pokorą przynajmniej do 22 lutego? Choćby tyle!

A, jeszcze jedno, á propos tego, od czego zacząłem. Nie wnikając w szczegóły: pewna nowo wybrana władza jednej z chorągwi postanowiła, że pojęcia zapisane w statucie czy uchwałach zjazdu ZHP jej nie pasują i będzie używać własnych, a te zapisane rozumieć inaczej, po swojemu. Stąd już tylko krok do wrotek, hulajnogi...

Ignorancja i arogancja to dwie nierozłączne siostrzyce – to Giordano Bruno, ku pamięci.

To już ćwierć wieku!

Od słodkiego bobasa ssącego mleko matki do pełnowymiarowego harcmistrza – mistrza i autorytetu dla wielu młodych ludzi. Od harcerza będącego ostatnią ofertą w zastępie do profesora uniwersytetu, kierującego międzynarodowymi zespołami badawczymi. Od kraju u progu zmiany systemowej do państwa, w którym pojęcia demokracji, wolnego rynku są oczywistością. Od organizacji, która jest niepewna jutra i musi patrzeć na to, czy i co inni chcą z nią i jej zrobić, aż po czasy, gdy może samorzędnie i samodzielnie decydować o sobie.

25 lat to czas, kiedy może się naprawdę wiele zmienić. I w życiu pojedynczego człowieka, i dużej organizacji pozarządowej, i całego narodu...

Piszę o tym z oczywistego względu – w tym roku (1 września) „Czuwaj” obchodzić będzie swoje ćwierćwiecze. Również w przypadku naszej gazety te 25 lat było czasem wielu zmian, wielu wydarzeń...

Od strony wydawniczej – przeszliśmy od kilkunastostrońnicowego czarno-białego dwutygodnika, do kilkudziesięciostrońnicowego pełnokolorowego miesięcznika, ukazującego się także w wersji cyfrowej. Od gazety w wielotysięcznym nakładzie, rozchodzącej się „z urzędu” (czyli za darmo) do wszystkich komend, aż po gazetę w nakładzie niespełna tysiąca egzemplarzy, samofinansującej się przede wszystkim z wpłat prenumeratorów. Te zmiany to znak czasu!

„Czuwaj”, co naturalne, towarzyszył wielu wydarzeniom w najnowszej historii harcerstwa. Oczywiście zmianom z początku lat 90., których zwieńczeniem był powrót do światowych organizacji skautowych, kolejnym zjazdom ZHP, zmianom organizacyjnym i metodycznym w naszej organizacji. Przedstawialiśmy w gazecie kolejne programy i propozycje programowe, byliśmy na zlotach ZHP, zlotach kadry, relacjonowaliśmy wydarzenia takie, jak akcja „Grosik”, obejmowanie Związku honorowym protektoratem przez kolejnych Prezydentów RP, coroczne przekazywanie Betlejemskiego Światła Pokoju, udział środowisk w ważnych uroczystościach i rocznicach, Biała Służba, a także służba podczas powodzi, katastrofy smoleńskiej. Mieliśmy także swój udział w kreowaniu róż-

nych zmian w Związku dzięki temu, że nasze łamy zawsze były otwarte dla każdego, kto miał coś do powiedzenia i chciał się swoimi myślami podzielić z innymi. Warto też wspomnieć te „luźniejsze” działania, jak choćby pierwszą w ZHP społeczną akcją promocyjną (kto pamięta, jak w statusie komunikatora Gadu-Gadu pisaliśmy „jestem harcerką/harcerzem”?).

Krótko mówiąc: nasze pismo było tam, gdzie działo się coś dla harcerstwa ważnego. Było nierozdzielnie związane przez te 25 lat z historią harcerstwa. Te najważniejsze wydarzenia będziemy w tym roku z pewnością przypominać.

O czytaniu i pisaniu na próbę

Czy „Czuwaj” ma coś wspólnego z Systemem stopni instruktorskich? Ano ma. Punktów stycznych jest pewnie kilka. Ale przyjrzyjmy się dwóm z nich, które są związane ściśle z próbami na kolejne stopnie.

Po pierwsze – w wymaganiach na stopień przewodnika zapisaliśmy kiedyś, że przyszły instruktor ma korzystać z harcerskiej literatury i prasy. Intencja była oczywista – aby od najmłodszych instruktorskich lat przyzwyczajając kadre do czytania harcerskich tekstów. Bo dzięki temu można lepiej poczuć i zrozumieć harcerstwo, można znaleźć ciekawe inspiracje, wykraczające poza schematy, nawyki i pomysły własnego środowiska. Z drugiej strony – popyt na literaturę harcerską miał być motywacją dla namiestników, komendantów hufców, aby rozwijać hufcowe biblioteczki.

Oj, różnie w praktyce było z realizacją tego wymagania. Widziałem próby, w których zapisano przeczytanie pięciu numerów „Czuwaj”, „Czarnych stóp”, dwóch numerów „Zuchowych Wieści”, ale też regularne czytanie... „Motywów” (napisanie o tej gazecie to raczej zadanie dla Adama Czetwertyńskiego w jego rubryce stronę wcześniej). Może ktoś narzekać, że to niewiele dało, ale nie oszukujmy się: roczną próbą przewodnikowską nie nauczymy 16-17-latka czytać, jeśli nie ma on takiego nawyku.

Przy okazji ostatnich zmian w Systemie stopni instruktorskich prasę zastąpiliśmy w wymaganiach na przewodnika słowem „media” (podążając za zmieniającym się światem). I tym samym chyba pogrzebaliśmy na zawsze ideę czytania harcerskiej literatury. No bo skoro wystarczy w ramach próby „systematycznie odwiedzać profil ZHP na Facebooku” albo „być na bieżąco z zawartością strony hufcowej”, to czytanie prasy czy książek harcerskich staje się dość niszowym hobby...

Jest jeszcze drugi punkt styczny. Otóż w ramach prób instruktorskich (głównie na phm. i hm.) mamy dzielić się ze Związkiem swoimi doświadczeniami, swoim dorobkiem intelektualnym. Można to zrobić metodą zamieszczania tek-

stów na stronie internetowej albo produkując własne opracowania, miniporadniczki. Od nas i od wymagań komisji stopni instruktorskich zależy, jaka jest objętość takiego tekstu, jaka jest jego wartość merytoryczna i z jak szerokim wycinkiem ZHP podzielimy się naszymi myślami. Czasem więc teksty lądują na stronie internetowej szczebu czy namiestnictwa (to i tak dobrze). Czasem jednak kończą swój żywot jako kserówka w kilku egzemplarzach w szufladzie i dokumentacji KSI. A szkoda.

Z tym większą radością witamy więc w naszej redakcji teksty pisane w ramach prób – przesyłane nam do publikacji. Zdarza się, że marudzimy, iż na stopień harcistrza powinny to być raczej dłuższe artykuły merytoryczne, a nie półstronicowe opisy imprez, ale może i z takich tekstów powinniśmy się cieszyć?

Boskie problemy?

Propozycja wprowadzenia drugiej roty Przyrzeczenia, choć dość świeża, już wzbudziła niemałe emocje..

Otoczenie

Zaproponowanie przez zespół powołany do opracowania propozycji nowego brzmienia Prawa i Przyrzeczenia Harcerskiego (zgodnie z decyzją 38. Zjazdu ZHP), abyśmy wprowadzili w Związku drugą, alternatywną rotę Przyrzeczenia (bez słowa „Bóg”), spowodowało w otoczeniu Związku liczne komentarze. Oczywiście najlepiej słyszalne były te najbardziej radykalne, skrajne: z jednej strony – że ZHP będzie wyrzucać z organizacji wierzących, że nie będzie w niej miejsca dla tych, którzy wierzą w Boga, z drugiej strony – że wreszcie w ZHP będą mogli funkcjonować bez prześladowania ateści.

Tak, to skrajności, których nie warto nawet komentować. Warto jednak mieć świadomość, że w obecnym świecie, w którym – zwłaszcza w internecie – można powiedzieć bezkarnie wszystko, można opluć każdego i wyśmiać każde wartości, będziemy przedmiotem i poważniejszych analiz, i nieprawdziwych, niemających wiele wspólnego z rzeczywistością osądów, i zwykłego, internetowego hejtu. Czy to jednak takie komentarze powinny mieć wpływ na nasze decyzje?...

Skauting

Ale są też inne okoliczności zewnętrzne – skautowe. Pamiętamy, jaka była droga naszego Związku do powrotu do rodziny skautowej (przypomina je na kolejnych stronach hm. Ryszard Paclawski). Wiemy, jakie były wymagania światowych organizacji i znamy zasady fundamentalne skautingu (choć, o czym pisze dalej hm. Anita Regucka, z ich przestrzeganiem bywa dziś różnie). To również ważny kontekst naszej dzisiejszej dyskusji dotyczącej Przyrzeczenia Harcerskiego.

Można także zastanawiać się nad jeszcze innym, bardziej „politycznym” kontekstem skautowym – czy i jak nasza dyskusja i ewentualne decyzje mogą wpłynąć na poglądy światowych władz skautowych w sprawie przyznania nam prawa organizacji Jamboree w 2023 roku.

Czy te skautowe okoliczności powinny mieć jednak wpływ na nasze decyzje?...

Rozmowa

Jest oczywiście także kontekst wewnętrzny całej czekającej nas dyskusji. Bardzo ważny, bo związany z różnorodnością naszej organizacji. Nikt bowiem nie ma chyba wątpliwości, że w ZHP jest ogromne zróżnicowanie, jeśli chodzi o stosunek do wychowania duchowego, do wychowania religijnego i – szerzej – do obecności Boga w harcerstwie.

Mamy więc osoby i środowiska, które wprost artykułują swoje stanowisko, że nie wyobrażają sobie, abyśmy mieli drugą rotę Przyrzeczenia – taką bez Boga, bo przecież, cytując Roberta Baden-Powella: „Jeżeli nasz skauting miałby być bez Boga, lepiej, żeby go nie było”.

Ale są też w naszym Związku tacy, którzy mówią, że nadszedł już czas, aby wreszcie znalazło się w harcerstwie miejsce dla niewierzących, a właściwie, aby niewierzący, którzy przecież są i to w niemałej liczbie w ZHP (i będzie ich – w związku z szybko postępującą laicyzacją społeczeństwa – jeszcze więcej), nie byli zmuszani do wypowiadania nic nieznaczącego dla nich słowa „Bóg”.

To zupełnie inne spojrzenia na problem i zapowiedź bardzo trudnej dyskusji. Jeśli ta nasza wewnątrzorganizacyjna rozmowa nie będzie poprzedzona wnikliwą analizą wszystkich okoliczności, jeśli nie będzie w niej otwartości i chęci zrozumienia innych poglądów, jeśli zabraknie pokory i zrozumienia intencji „drugiej strony”, to możemy się spodziewać najgroźniejszej od wielu lat debaty wewnątrz ZHP, która może nawet doprowadzić do podziałów – jeśli nie formalnych, to na pewno ideowych, zaburzających poczucie wspólnoty – wspólnego rozumienia zasad i celów jednej przecież organizacji.

Sedno

Można w czekającej nas dyskusji patrzeć na opisane wyżej konteksty zewnętrzne, skautowe czy myśleć przede wszystkim w kategoriach zachowania

jedności organizacji. Ale nie należy rozmawiać wyłącznie patrząc na tę całą otoczkę.

Oto stoimy przed szansą, aby po raz pierwszy od wielu, wielu lat przeprowadzić ogólnozwiązkową dyskusję nie o Przymierzeniu, ale o tym, co jest sednem naszego istnienia – o WYCHOWANIU młodych ludzi na podstawie zdefiniowanego SYSTEMU WARTOŚCI.

Czy my jeszcze wychowujemy? Na jakich wartościach oparte jest nasze wychowanie? Czy rzeczywiście pamiętamy o wszystkich aspektach rozwoju człowieka, także o rozwoju duchowym? Czy nie stawiamy zbyt często znaku równości pomiędzy wychowaniem duchowym i wychowaniem religijnym? Czy w pracy drużyn istnieje w praktyce wychowanie duchowe? Czy na kursach uczymy drużynowych, w jaki sposób mają dbać o duchowość swoich wychowanków? Czy rozmawiamy na co dzień o naszych wartościach – w drużynach, szczeplach, kręgach i namiestnictwach – czy jedynie od święta? Czy te wartości realnie wpływają na nasze instruktorskie poczynania?

Czy tak naprawdę wszyscy mamy świadomość, jakie wartości stanowią, że harcerstwo jest harcerstwem?

Czy jako kolejne pokolenie harcerskie mamy prawo zmieniać fundamenty naszego ruchu? Czy harcerstwo bez Boga będzie wciąż harcerstwem?

Jest wiele pytań, które warto sobie w ramach tej dyskusji postawić. Jest czas, aby wspólnie znaleźć na nie odpowiedź.

Szukajmy więc tych odpowiedzi. Rozmawiajmy, będąc otwartymi na poglądy innych. Rozmawiajmy – przede wszystkim nie po to, aby koniecznie przekonać innych do swoich racji, ale aby zrozumieć sposób myślenia oraz intencje tych, którzy myślą inaczej niż my. Rozmawiajmy, pełni pokory i szacunku dla poglądów innych. Taka rozmowa może nam pozwolić zrozumieć więcej, może być dobra, twórcza dla nas wszystkich. To może być ta rozmowa, która wyniesie naszą organizację na zupełnie inny, wyższy poziom. Oby tak było!

O strategicznym zaufaniu

To już czwarty rok! Właśnie tak – weszliśmy niedawno w czwarty rok obowiązywania Strategii ZHP przyjętej przez XXXVII Zjazd Nadzwyczajny ZHP w dniu 4 grudnia 2011 roku.

Gdy spytać przeciętnego instruktora (choć mam świadomość, że większość jest oczywiście nieprzeciętna), z czym mu się kojarzy ta strategia, to okaże się, że bardzo różnie – w zależności od tego, na jakim poziomie organizacji działa.

Drużynowemu czy szczepowemu często nie kojarzy się z niczym. Owszem, słyszał o strategii, ale jakieś konkrety? Raczej nie, no, może coś więcej o hasło „opcja zero”. Ale instruktor z poziomu hufca wie już więcej. Bo przecież corocznie komenda hufca przyjmuje „plan operacyjny do Strategii ZHP”. W chorągwi wiedza powinna być jeszcze większa. Bo nie dość, że trzeba przyjąć własny „plan operacyjny...”, to jeszcze należy sprawdzić, jak sobie ze swoimi planami poradziły hufce. Tak więc corocznie przyjmujemy plany. O ich realizacji może innym razem...

Ale to się zmieni za sprawą dwóch dokumentów, które za chwilę zaczną obowiązywać w ZHP, a które dotyczą większości z nas. Od 1 kwietnia 2015 r. wchodzi w życie nowa instrukcja HALiZ (piszemy o niej w tym numerze), a jednocześnie do konsultacji trafił projektu „Instrukcji tworzenia i działania gromad, drużyn, kręgów i klubów specjalnościowych” (instrukcja ma obowiązywać od 1 września br.). Oba te dokumenty są efektem pracy zespołu ds. „opcji zero”.

Pewnie część instruktorów będzie zawiedziona. Wielu bowiem myślało, że napiszemy wszystkie dokumenty od zera, a niektórzy... że w ogóle się ich pozbędziemy (skoro mowa o opcji ZERO).

Część kadry prawdopodobnie miała nadzieję, że najistotniejsza będzie nie mniejsza liczba dokumentów, ale przede wszystkim nowa filozofia ich tworzenia. Po pierwsze – że mniej kwestii będziemy starali się koniecznie uregulować w dokumentach ZHP, pozostawiając większy margines zdrowemu rozsądkowi instruktorów, po drugie – że dokumenty będą przystępniejsze językowo i ob-

jętosciowo. Tymczasem dostajemy instrukcje kilkudziesięciostronicowe, które z racji swej objętości będą pewnie trudne do przyswojenia dla młodych ludzi zdolnych przeczytać tekst wielkości niedużego postu na FB. Nie będziemy więc mieć kilku instrukcji, tylko jedną, jednak taką, przez którą ciężko będzie przebrnąć, nie mówiąc o jej dokładnym stosowaniu. Tak, to pewnie będzie budziło obawy i utrudni wdrażanie zmian.

Myślę jednak, że dokumenty nie są wcale najważniejsze. Kluczowa jest ta filozofia: że ma być łatwiej dla drużynowego, że władze działają dla dobra swoich instruktorów, że nie trzeba wszystkiego szczegółowo regulować, bo w większości przypadków wystarczy zdać się na zdrowy rozsądek i odpowiedzialność naszej kadry. Wystarczy sobie zaufać.

Tolerować czy wymagać?

Dała mi do myślenia rozmowa, którą ostatnio przeprowadziłem – można by rzec – w związku z trwającą (mam nadzieję we wszystkich środowiskach) ogólnopolską dyskusją na temat Prawa i Przyrzeczenia Harcerskiego i – szerzej (znów mam taką nadzieję) – naszych wartości. Mój rozmówca osiłą swojej argumentacji uczynił to, że jedną z kluczowych wartości w ZHP jest tolerancja.

Cóż, repetitio est mater studiorum. Zatem postanowiłem zrobić sobie powtórkę z naszego Statutu. Czytam więc na samym początku: *ZHP jest dobrowolnym stowarzyszeniem otwartym dla wszystkich bez względu na pochodzenie, rasę czy wyznanie.*

Nieco dalej przypominam sobie kolejne ważne sformułowanie: *Podstawą wychowania w ZHP są normy moralne, wywodzące się z uniwersalnych, kulturowych i etycznych wartości chrześcijaństwa. ZHP uznaje prawo każdego członka Związku do osobistego wyboru systemu wartości duchowych.*

Dalej szukam tolerancji. Przechodzę do celów. I jest! Brzmi to tak: *Za główne cele swojego działania ZHP uznaje: (...) upowszechnianie i umacnianie w społeczeństwie przywiązania do wartości: wolności, prawdy, sprawiedliwości, demokracji, samorządności, równouprawnienia, **tolerancji** i przyjaźni...*

Czym jest więc ta tolerancja? Tym razem sięgam po *Słownik języka polskiego PWN*: „uznawanie czyichś poglądów, wierzeń, upodobań, czyjegoś postępowania, różniących się od własnych; wyrozumiałość”...

I już zrozumiałem, w czym problem! Zrozumiałem, w jaką pułapkę wpadł mój rozmówca! Tolerancja – tak, tego musimy uczyć. Zwłaszcza w obecnym świecie, w którym tak bardzo brakuje otwartości, tak rzadko ludzie starają się zrozumieć sposób myślenia innych, a reakcją na inność jest nie tyle brak zainteresowania czy obojętność, ale nawet agresja.

Ale czy można mówić o tolerancji organizacji wobec zachowań jej członków niezgodnych z wartościami tej organizacji? Czy organizacja ma zmieniać swe zasady, uginając się pod presją zmieniającego się otoczenia, dostosowując się

do tzw. społecznych oczekiwań, czy jednak powinna samodzielnie, świadomie kształtować swoje wartości i wymagać od tych, którzy chcą do niej należeć, aby postępowali zgodnie z nimi?

To jest chyba zasadniczy dylemat w naszej obecnej dyskusji i od odpowiedzi na powyższe pytania zależy, jaką drogę wybierzemy...

Twój dorobek instruktorski

Wśród naszych autorów jest kilkoro takich, którzy, pytając mnie, czy nie jestem zainteresowany tekstem do „Czuwaj” na konkretny temat, zwykle zaraz dopowiadają: – Tak, tak, wiem, w „Czuwaj” było już właściwie o wszystkim. – Coś w tym jest. Rzeczywiście – przez czas, kiedy jestem redaktorem naczelnym, a tym bardziej przez całe 25-lecie naszej gazety, pisaliśmy w niej właściwie na każdy temat. Ale gdy spojrzymy jeszcze szerzej niż przez pryzmat tylko jednej, funkcjonującej przez ćwierć wieku gazety instruktorskiej, to uświadomi-
my sobie, że wymyśliliśmy w Związku niemal wszystko.

Dorobek intelektualny Związku

Nie ma się co dziwić, przecież w czasie minionego stulecia do naszego ruchu należały miliony ludzi. Przez te sto lat mieliśmy też kilkaset tysięcy osób kadry, duża jej część to były (i są) osoby wybitne, które współtworzyły i współtworzą niesłychany dorobek intelektualny harcerstwa – dzięki sprawności i wnikliwości swego umysłu, dzięki swym doświadczeniom harcerskim i instruktorskim, ale także dzięki swym zainteresowaniom, pasjom oraz wiedzy i doświadczeniom zawodowym.

Tak, przypuszczam, że liczba takich instruktorów idzie nawet w dziesiątki tysięcy. To oni tworzyli i tworzą dorobek naszego ruchu. Dlaczego jednak potrafimy wymienić tak mało konkretnych nazwisk tworzących ten dorobek w ostatnich, powiedzmy, 30 latach? Kogo wymienią drużynowi z przeciętnego hufca? Czy nawet nie będą mieli kłopotu z przypomnieniem sobie nazwiska druha Mirowskiego?

Czy to nie dziwne, że więcej instruktorów dzielących się swoimi myślami na tematy harcerskie znamy z okresu pierwszych 30 lat harcerstwa? Małkowski, Sedlaczek, Falkowska, Grodecka, Lutosławski, Kamiński, Pawełek, Piasecki, Nekrasz, Wyrobek, Ciołkosz... – jest tych nazwisk naprawdę sporo.

No więc, dlaczego tak jest? Przyczyn jest z pewnością wiele. Tutaj chcę zasygnalizować dwie, moim zdaniem najważniejsze: po pierwsze – nie szanujemy dorobku pokoleń instruktorów harcerskich, po drugie, co częściowo wynika z pierwszego i jest najważniejsze – nie dbamy o utrwalanie naszego własnego dorobku.

Nie szanujemy go

Mógłby ktoś się obruszyć – jak to, czy naprawdę nie szanujemy harcerskiego dorobku? Przecież znamy te nazwiska, pamiętamy o nich, wiele publikacji jest wznawianych i czytanych! Cóż, kto zna, ten zna. Kto czyta, ten czyta...

O tym, jak odnosimy się do tego, co wymyślili nasi poprzednicy, świadczy nie to, co napiszemy w „Czuwaj”, nie cytaty „z kogoś ważnego” zamieszczony na harcerskim dyplomie, ale praktyka. A ta jest taka, że najczęściej (prawie zawsze), tworząc coś nowego w Związku, robimy to od nowa – zupełnie tak, jakby dorobek intelektualny w harcerstwie był zerowy! Dotyczy to i naszych dokumentów (ileż to mieliśmy rozmaitych rozwiązań, które sprawdziły się bądź nie), programów, propozycji programowych, konspektów zajęć na kursach (o, tych to mamy tysiące, naprawdę na każdy temat), a także części artykułów do „Czuwaj”. Wymyślamy więc „genialne”, „innovacyjne” rozwiązania prawne, programy, konspekty, piszemy „odkrywcze” artykuły – a tak naprawdę wyważamy otwarte drzwi, ponieważ zabierając się do tworzenia czegoś, nie sprawdzamy, co już zostało na ten temat w Związku zrobione, wymyślone, napisane.

Można powiedzieć, że w harcerstwie działamy dokładnie odwrotnie niż dzieje się w świecie cywilizowanym, co szczególnie dobrze widać w nauce, gdzie każdy, kto chce rozwinąć jakąś dyscyplinę, musi najpierw zapoznać się z dorobkiem poprzedników.

Nie tworzymy go

Ale bądźmy sprawiedliwi – w harcerstwie jest jednak inaczej niż w nauce. Bo ze źródłami jest dużo gorzej. Prasa harcerska mocno się skurczyła i w większości zajmuje się wydarzeniami, a nie kreowaniem nowej myśli, wydawnictw coraz mniej. Generalnie mniej czytamy, mniej zastanawiamy się nad tym, co w harcerstwie robimy, jak robimy i po co robimy...

Czy da się zmienić tę sytuację? Oczywiście! Musimy my wszyscy – instruktorzy – zacząć świadomie tworzyć i upowszechniać swój dorobek. Z kilku powodów.

Po pierwsze – z powodu, o którym była mowa wyżej – że w ten sposób tworzymy dorobek Związku, że w ten sposób, dokładając wiele choćby małych cegiełek, budujemy zbiór pomysłów, rozwiązań, doświadczeń, z którego mogą korzystać kolejne roczniki i pokolenia instruktorskie. To zaś zapobiega opisywanemu wyważaniu otwartych drzwi, a w konsekwencji przyczynia się do szybszego i mądrzejszego rozwoju organizacji.

Po drugie – to nasza instruktorska powinność. Brzmi to może nieco górnolotnie, ale chyba tak właśnie powinno być, że coś wymyślamy, że organizacja daje nam możliwość rozwoju, a my dzielimy się z nią naszą wiedzą i doświadczeniem. Czy przez pracę wychowawczą w gromadzie, drużynie czy przez kształcenie (przecież dobry konspekt zajęć na kursie to też świetny przykład utrwalania naszych myśli!), czy przez publikację artykułów – w sieci lub na papierze.

Po trzecie – warto świadomie myśleć o swoim dorobku także dla własnej satysfakcji, dla poczucia, że robię coś dobrego, że inni z tego korzystają, ale też dla potwierdzenia sobie, że się rozwijam.

Budowanie dorobku

Jak zatem powinniśmy zadbać o ten swój dorobek? Czy to wymaga od nas jakiegoś specjalnego wysiłku? I czy to jest trudne?

Nie, ponieważ każdy (!) instruktor ten dorobek z pewnością ma, a w drogę instruktorskiego rozwoju jest wpisane jego tworzenie. Oto w wymaganiach na stopnie instruktorskie czytamy:

- phm.: *Opracował i upowszechnił przynajmniej w swoim środowisku materiały do wykorzystania przez kadrę ZHP.*
- hm.: *Opracował i upowszechnił materiały programowo-metodyczne jako wkład w dorobek Związku.*

Ale to przecież nie wszystko! Już przybocznicy i drużynowcy tworzą ciekawe konspekty zbiórek, rajdów, w hufcach przygotowuje się i organizuje zloty, zjazdy, festiwale, opracowuje hufcowe programy. Pamiętamy też, że nie można zdobyć odznaki kadry programowej, nie można zdobyć ani przedłużyć odznaki kadry kształcącej bez tworzenia materiałów programowych lub metodycznych.

Widać więc, że okazji do wymyślania czegoś nowego Związek daje nam sporo. Stąd ta moja pewność, że każdy instruktor ma jakiś dorobek. Tylko gdzie on jest? Gdzie wytwory umysłów tysięcy drużynowych, tysięcy kształceniowców i programowców hufców i chorągwi?

I oto dochodzimy do sedna problemu: okazji do tworzenia własnego dorobku mamy bez liku. Kłopot w tym, że ten dorobek gdzieś w naszym Związku ginie. Tak właśnie jest – on ginie, bo czy inaczej można określić fakt, że zamiast być upowszechniane w hufcu, chorągwi, w całym Związku – nasze liczne konspekty, programy, opracowania pozostają jedynie w folderach na komputerach, biurkach namiestników lub w archiwach komisji stopni instruktorskich? Czy tego wszystkiego nie jest nam szkoda?

Zachęcam więc do myślenia o utrwalaniu swojego dorobku. Nie musi być tego wiele. Niech każdy zostawi po sobie ciekawy materiał metodyczny przygotowany w trakcie próby podharc mistrzowskiej, mądre opracowanie stworzone podczas zdobywania stopnia harcmistrza i może jeszcze dwa-trzy konspekty – to wystarczy! A możliwości do upowszechnienia swoich myśli jest wiele.

Piszcie przede wszystkim do swoich hufcowych gazet (jeśli ich nie macie, to może warto pomyśleć o ich założeniu?), twórcie banki pomysłów – hufcowe i chorągwiane. Piszcie do „Na Tropie”, które ukazuje się regularnie w internecie. Korzystajcie z możliwości, jakie daje Centralny Bank Pomysłów (szerzej pisze o nim dalej hm. Lucyna Czechowska). To bardzo dobry sposób, aby Wasze pomysły trafiły do instruktorów z całej Polski.

No i oczywiście piszcie do „Czuwaj”. Zachęcam do tego nie tylko „z urzędu” – jako redaktor naczelny, ale głównie ze względu na fakt, że jest to dziś właściwy sposób, aby mieć pewność, że Wasze myśli pozostaną na dłużej niż na kilka miesięcy czy kilka lat – do zmiany systemu informatycznego w hufcu czy chorągwi. Na dłużej – to znaczy na dziesięciolecia, gdyż każdy numer „Czuwaj” wysyłamy do wielu bibliotek. Kto wie, czy za 5, 10 albo i następne 100 lat ktoś nie będzie czerpał wiedzy o harcerstwie z początku XXI wieku właśnie z Waszych tekstów?

Reasumując: dbajcie o utrwalanie własnych myśli, upowszechniajcie swój dorobek! Piszcie! Także (zwłaszcza) do „Czuwaj”. :)

Stara promocja w realu

Wpadł mi ostatnio w ręce dawno temu wydany przeze mnie poradnik „Jak promować harcerstwo”. Właściwie nie dawno, ale bardzo dawno temu wydany, bo w roku 2000. To już 15 lat!

Te 15 lat to cała epoka w promocji, szczególnie ze względu na rozwój technologiczny, powszechność internetu oraz wynikającą z tego zmianę sposobu funkcjonowania pokolenia 20-30-latków, którzy czasem większość swego życia spędzają w świecie wirtualnym, niejednokrotnie zapominając o tym, co dzieje się realnie...

Efektom tych procesów są również zmiany w podejściu do promocji, także w harcerstwie. Właściwie zająbują się tu dwa czynniki. Po pierwsze – adresujemy działania promocyjne do ludzi coraz bardziej zatopionych w wirtualnym świecie, a więc oczywiste jest, że ona również jest z tego wirtualnego świata. Po drugie – w naszej organizacji promocję robią osoby młode (i dobrze!), wychowane w świecie internetowym – pełnym spontanu, hejtu oraz szybkich i krótkich informacji. Naturalne jest więc, że ich promocja jest taka, jaki ich świat.

Czy to jednak wystarczy – czy wystarczy promocja robiona w internecie, z pięknymi stronami, grafikami, zdjęciami, profilami w mediach społecznościowych? No, może jeszcze – tym razem w realu – z fajnymi gadżetami? Czy liczy się tylko spontan i fun? Czy – użyjmy tego określenia – stara promocja, ta w świecie realnym, świadoma, planowa jest słusznie zapomniana? A może mimo wszystko, mimo XXI wieku, mediów społecznościowych (itp., itd.), warto pamiętać o niektórych działaniach w świecie rzeczywistym?

Jakieś przykłady? Proszę bardzo:

Która chorągiew zadbała, aby jesienią ubiegłego roku po wyborach samorządowych komendy wysłały gratulacje do nowo wybranych radnych, wójtów, burmistrzów i prezydentów miast?

Czy w którymś hufcu pamiętaliśmy o idei Dnia Myśli Braterskiej, a więc o zbiorce/zarabianiu pieniędzy przekazywanych do WAGGGS na szczytny cel? I mówieniu o tym społeczeństwu?

Kiedy ostatnio zachęcano harcerskie komendy, aby jak najlepiej wykorzystały Międzynarodowy Dzień Wolontariusza (5 grudnia) jako okazję do promocji swoich instruktorów, choćby przez zgłoszenie ich w coraz liczniejszych lokalnych konkursach na „wolontariusza roku”?

W ilu hufcach prowadzono warsztaty mające przygotować drużyny i szczepy do pozyskiwania 1% podatku?

Na ilu kursach lub warsztatach drużynowi i szczepowi dowiedzieli się, w jaki sposób należy przygotować się do spotkania z dyrektorem szkoły, aby efekty rozmowy były dla harcerstwa jak najbardziej korzystne? Na ilu pokazano, jak przygotować materiały o nas do wręczenia na takim spotkaniu?

W którym hufcu po raz ostatni uczono kadre, jak dobrze pod względem treści i formy napisać tradycyjne pismo (tak, jeszcze się takie pisze), jakie zasady grzecznościowe obowiązują?

To co, może jednak jest trochę do zrobienia w harcerskiej promocji w świecie realnym?

Tak, kurs trzeba przeżyć

Hm. Stefan Mirowski, dla przypomnienia (choć – mam nadzieję – że to zbędne) przewodniczący ZHP w latach 1990–1996, wygłaszał przez wiele lat fascynujące gawędy, które systematycznie ukazywały się drukiem w miesięczniku „Czuwaj”. Wiele z tych gawęd pisał też specjalnie do naszego pisma. Był naszym najsolidniejszym (jak wieść głosi) autorem. Potem, przez złotem zegrzyńskim w 1995 r., wydaliśmy je w formie chyba powszechnie znanego zbiorku „Styl życia”.

Jednym z najbardziej znanych i powtarzanych cytatów hm. S. Mirowskiego jest ten, który dotyczy kształcenia: „Kursu instruktorskiego nie można odbyć, kurs trzeba przeżyć”.

Przy tym nie chodzi o przeżycie w sensie *przetrzymać, ująć z życiem*. Oczywiście druh Stefan Mirowski i wszyscy powtarzający jego słowa mają na myśli to znaczenie przeżycia, które „Słownik języka polskiego” PWN definiuje w następujący sposób: *doznać silnych emocji w związku z czymś; żywo zareagować na coś; przejąć się czymś, co powstało w świadomości, w wyobraźni*.

A cóż dla nas w Związku, w naszym harcerskim kształceniu oznacza przeżycie? Dlaczego tak często wracamy do tej złotej myśli?

Najczęściej słyszę słowa o przeżyciu kursu podczas rozmaitych szkoleń dla kadry kształcącej – aby uzasadnić czy wzmocnić przekonanie, że harcerskie uczenie musi odbywać się w działaniu. Tylko w działaniu. Autorytet hm. Mirowskiego używany jest więc po to, aby obrzydzić, zdyskredytować styl kształcenia, który sprowadza się do wielogodzinnego siedzenia, najczęściej przy stolikach, biernego słuchania prowadzącego i oglądania prezentacji wyświetlanej na ekranie z rzutnika, ew. pisania markerem na szarym arkuszu papieru. Znamy to?

Oczywiście uznanie takiego kształcenia za harcerskie to byłaby przesada. Należy jednak pamiętać, że kształcenie w ZHP, szczególnie dla kadry powyższej drużynowych (np. namiestników, kształceniowców, komendantów), to nie

zabawa z nastolatkami, zatem musimy uwzględnić w nim specyfikę uczenia osób dorosłych. A ta wskazuje, że czasami trzeba używać tak zniechęconych, „nieharcerskich” form podawczych – w imię naszej skuteczności!

Napisałem o przesadzie. Rzecz w tym, że przesada w drugą stronę też bywa uciążliwa!

Bo naprawdę, aby przeżyć kurs, nie trzeba przez tydzień żyć wyłącznie o chlebie i wodzie, oczywiście bez telefonu komórkowego i dostępu do sieci, przemierzać kilometry przez bagna, czołgać się w błocie itd. Nie trzeba też każdych zajęć kursowych okraszać tysiącem ozdóbek, niespotykanymi formami. Nie trzeba! Bo przeżycie to emocje, to coś, co dzieje się w naszej głowie, co porusza naszą wyobraźnię, uruchamia myślenie w nowym kierunku.

Aby dokonać wstrząsów, zmian w umysłach naszych kursantów, nie trzeba wcale ekstremalnych doznań na ciele, bagien, głodówki itd. Wystarczą ludzie – niesamowici uczestnicy kursu i charyzmatyczni liderzy.

Podziękowania

Adam, mój poprzednik na funkcji redaktora naczelnego „Czuwaj”, pisze obok [chodzi o tekst w numerze jubileuszowym na 25-lecie „Czuwaj”, który ukazał się we wrześniu 2015 r. – przyp. GC], że został naczelnym na prośbę ówczesnego naczelnika ZHP. Ze mną było troszkę inaczej – ja już byłem wybrany z duchem nowych czasów, a więc w konkursie, na marginesie – trochę z przymrużeniem oka, bo ileż wówczas było osób, które miało doświadczenie w tworzeniu pism harcerskich? Nie więcej niż sześć-siedem.

Ale o tym konkursie nie ma sensu pisać, bo przez 13 lat mojego redaktorowania niewiele zostało z tamtych planów. Tak wiele się zmieniło w Związku, wokół Związku, no i w „Czuwaj”.

Zmieniła się nasza gazeta pod względem technicznym: mieliśmy format A4, papier offsetowy i środek w dwóch kolorach, a teraz wydajemy gazetę pełnokolorową, w formacie B5, na kredzie. Pamiętam też dobrze zdjęcia robione specjalnie do gazety tradycyjnym aparatem, kiedy należało przyłożyć się do każdego z 36 ujęć (kiedyś tyle klatek mieścił standardowy film do aparatu), a dziś, w dobie powszechnie dostępnej fotografii cyfrowej, nie ma problemu z liczbą zdjęć ani z ich przygotowaniem do druku. Zmienił się także zasięg gazety – od kilkudziesięciu prenumeratorów (przypomnę, że kiedyś zdecydowana większość nakładu szła „z urzędu” do wszystkich komend), przez ok. 2000 prenumeratorów (po zmianie systemu finansowania gazety pod koniec 2002 r.), aż po 600 dziś, przy czym nowością jest blisko setka prenumeratorów wyłącznie wersji cyfrowej. Zmieniły się także realia finansowe – w 2002 r. z braku środków gazeta przez chwilę stała się kwartalnikiem, potem mieliśmy już w miarę duże pieniądze z wpłat prenumeratorów, a dziś – nawet nie wypada pisać...

Ale największa zmiana dotyczyła przez te „moje” trzynaście lat treści. Przeszliśmy bowiem długą drogę – od pisma głównie informacyjnego, przez okres bycia główną tubą zmian metodycznych, następnie lata wspierania drużynowych (bo nie było już dla nich gazet), aż po czasy współczesne, a więc czasy powszechnego Internetu, gdy gazeta nie ma już charakteru newsowego, lecz co najwyżej kronikarski (pisze o tym szerzej Misia), a merytoryczne jest miejscem do głębszych rozważań, których w harcerstwie ewidentnie brakuje.

Jedno się w „Czuwaj” nie zmieniło. I dotyczy to nie tylko mojego trzynastolecia, ale całych 25 lat gazety: świetni ludzie!

Myślę, że wszyscy naczelni – moi poprzednicy, zgodziliby się z tym, że „Czuwaj” miał szczęście do współpracowników. I nim właśnie, a konkretnie naszym autorom chciałbym poświęcić najwięcej miejsca.

Najwybitniejsi czuwajowi autorzy z całego ćwierćwiecza zostali wyróżnieni specjalnie ustanowionym Medalem pamiątkowym XXV-lecia „Czuwaj” (patrz: rozkaz Naczelnika ZHP), w tym miejscu chciałbym podziękować tym, którzy podczas moich 13 lat: po pierwsze – mieli coś interesującego do powiedzenia, po drugie – potrafili pisać po polsku i – po trzecie i chyba najważniejsze – po prostu do nas pisali!

Podziękowania olbrzymie

Kiedy piszę o autorach, niezmiennie zaczynam od Anity Reguckiej – autorki najpłodniejszej, a przede wszystkim potrafiącej pisać świetne teksty właściwie dla każdego. Anita pisała o metodzie, o harcerskiej idei, snuła ciekawe refleksje dla drużynowych i dla harcymistrzów. Od wielu lat, choć daleko od nas – w Irlandii, patrzy na Związek z tej zagranicznej perspektywy, także skautowej i oczywiście dzieli się z Czytelnikami nowymi przemyśleniami. Dzięki Anito za wszystkie teksty, nie proszę o więcej, bo... wiem, że i tak do nas napiszesz, gdy tylko poczujesz swędzenie mózgu...

Hmm, właściwie może powinienem zacząć od Ani Poraj. Wprawdzie jej dorobek pisarski jest pewnie dwa razy mniejszy niż Anity (cóż, Anitę trudno przebić!), ale to właśnie dzięki Ani (w okresie, kiedy pełniła funkcję zastępczyni naczelnika ZHP), zostałem redaktorem naczelnym, a „Czuwaj” był jednym z ważniejszych miejsc dyskusji o zmianach programowych i metodycznych oraz narzędziem ich wdrażania (kto dziś pamięta, że właśnie u nas zaproponowaliśmy oznaczanie drugiego i trzeciego stopnia harcerskiego krokiewkami?). Ania przez te wszystkie lata pisała do nas oczywiście głównie teksty programowo-metodyczne i za nie dziękuję. Ale podziękowania należą się także za jej naczelnikowski nadzór, a właściwie – to chyba lepsze słowo – opiekę.

Kolejną osobą, której chcę szczególnie podziękować, jest Ewa Lachiewicz. I za pisane teksty (solidne, rzeczowe, kompetentne i napisane po polsku!), ale przede wszystkim za bieżącą współpracę i życzliwość w rozwiązywaniu problemów, doradzaniu – czy jako wieloletnia członkini kolegium redakcyjnego, czy ot tak, przy okazji, przy kawie. Dodam jeszcze, że Ewa – jeśli chodzi o sprawy

językowe – to moja bratnia dusza: również potrafi przez kilkanaście minut rozgryzać pojedyncze słowa i zdania, szukając najlepszego sformułowania. Dobrze, że jest ktoś, kto rozumie to moje „zбочenie”...

Podziękowania konkretne

Miejsca coraz mniej, muszę więc przejść do podziękowań wciąż licznych, ale konkretnych!

Dziękuję Emilii Kulczyk, która pisze do nas od wielu lat, prezentując kolejne pomysły programowe. A dzieje się w programie, dzieje! I dzieć pewnie cały czas będzie, więc na miejsce w gazecie Emilka ma stały abonament!

A skoro jesteśmy przy instruktorach od programu, to podziękowania wędrują do Kasi Krawczyk, która pisała do nas szczególnie w czasie, gdy kierowała komisją RN ds. programu i pracy z kadłą. Podobną funkcję (szefa komisji programowej RN) pełnił później Wiesiu Laskowski – na którego mogłem liczyć nie tylko w okresie pełnienia tej VIP-owskiej funkcji, a który rozgryzał na łamach „Czuwaj” tajniki pracy z kadłą.

Jola Łaba zmonopolizowała zaś u nas w ostatnich latach temat wychowania duchowego i religijnego, ale od czego ma doktorat z teologii, prawda? Dzięki, Jolu!

Paweł Chmielewski to nasz współpracownik od wielu, wielu lat. Autor felietonów i tekstów dających instruktorom do myślenia – czyli tekstów takich, jakich w „Czuwaj” nigdy za wiele. Szkoda, że został skarbnikiem ZHP. Szkoda, bo teraz nie ma już czasu, aby systematycznie do nas pisać...

Teksty do myślenia – to także specjalność naszego byłego przewodniczącego – Andrzeja Borodzika, autora m.in. cyklu gawęd inspirowanych punktami Prawa Harcerskiego, który ostatnio powrócił na nasze łamy w specjalnym dodatku harcistrzowskim. Serdecznie dziękuję!

W harcerstwie zbyt często robimy wszystko „na baczność”, nie potrafimy spojrzeć z dystansu, z luzem – były czasy, gdy w każdym numerze pomagał w tym Rafał Suchocki. Może pamiętacie jego alfabet harcerski z przymrużeniem oka?

Z „Czuwaj” nierozzerwalnie związany jest autor łączący pisanie dające do myślenia z luzem i dystansem. Oczywiście myślę o Arkadiuszu Bojarunie, czyli Zubku – twórcy postaci podharcistrza Jossariana, która niedawno wróciła na nasze łamy.

Może nie 25 lat, ale na pewno przynajmniej 20 części lub rzadziej, ale jednak w miarę regularnie publikuje swe przemyślenia Paweł Weszpiński, który – jakby to określić, hmmm? – po prostu ma swój styl, styl nie do podrobienia!

Pamiętacie może ostre (jak na tamte czasy) teksty o hipokryzji w harcerstwie albo o relacjach intymnych między wychowawcami i wychowanymi? A hasło „trójkąt Klepacza”? Rafał Klepacz miał zawsze zdanie na różne kontrowersyjne tematy i nie wahał się nim dzielić z Czytelnikami. Oj, brakuje ostatnio tekstów Rafała...

Podziękowania należą się bardzo licznym autorom, którzy ściśle współpracowali z „Czuwaj” w okresie pełnienia przez nich funkcji w Głównej Kwaterze: Kasi Kwapińskiej (zastępczyni naczelnika odpowiedzialnej za wdrażanie strategii ZHP), Ani Filipow oraz Ryszardowi Polaszewskiemu (komendantom CSI), Jędrzejowi Kunowskiemu (swego czasu pierwszemu PR-owcowi Związku), Piotrowi Kowalskiemu (człowiekowi od pozyskiwania środków i pierwszej harcerskiej kampanii 1%), Michałowi Góreckiemu (autorowi reformy mundurowej i licznych tekstów, m.in. przypomnianego na dalszych stronach „Hartriksu”), Pawłowi Smardzowi (komisarzowi zagranicznemu ZHP), Ewie Gąsiorowskiej (pierwszej szefowej Wydziału Starszoharcerskiego GK ZHP), Tomaszowi Nowakowi (szefowi harcerskich specjalności, a prywatnie... muzykologowi) i Dorocie Kołakowskiej (zajmującej się sprawami programowymi, w szczególności rozwijaniem Nieprzetartego Szlaku).

Dziękując najlepszym autorom, nie mogę nie wspomnieć o: Indze Rusin (naszej komisarce zagranicznej), Grzegorzu Skrukwie (zawsze inspirującym), Basi Wojtaszek (wcześniej, za Adamowych czasów – Smole) i instruktorach z mojego hufca: Iwonie Brzózce-Złotnickiej (proszę, pisz częściej!), Darku Brzusce (nieustrudzonym tropicielu związkowych absurdów), Marcinie Bednarskim (walczącym o harcerstwo robione po harcersku) oraz Monice Marks (wybitnej znawczynie wędrownictwa – w teorii i praktyce!).

I już naprawdę na koniec tej wyliczanki (jakże przyjemnej!) podziękowania dla: Joli Kreczmańskiej i Doroty Całki (piszących głównie o pracy z kadra), Kamila Waisa (specja od historii harcerstwa, szczególnie tej najdalszej), Ryszarda Rutkowskiego (w okresie pracy w RN naszego głównego eksperta prawnego, którego tekst przypominamy w tym numerze), Andrzeja Grabowskiego (pierwszego promotora szczepów w ZHP), Marii Kotkiewicz (przysyłającej nam do czasu do czasu jakiś tekst ze swojego hufca, czyli z Częstochowy), Agnieszki Rytel (świetnej łódzkiej hufcowej, a dziś także VIP-a z Rady Naczelnej), Ani Głowackiej (znanej w gazecie jako Zabłocka), ks. Janusza Strojnego (autora piszącego teksty „głębokie”, niekoniecznie religijne), Marcina Binasiaka (który

wie wszystko o krzyżu harcerskim, czym dzielił się z naszymi Czytelnikami) i Sławka Postka (od niedawna dodającego czuwajowym tekstom pierwiastek naukowy).

A, jeszcze zdanie o nowym (jak na perspektywę 25 lat) autorze – ale nie słowa pisanego, tylko zdjęć: Piotr Rodzoch to fotograf, dzięki któremu czuwajowe okładki jeszcze lepiej mówią o tym, co jest tematem każdego z numerów.

To miejsce jest najlepsze, aby podziękować współpracującym z nami harcerskim VIP-om: naczelnikom (na czele z Wiesiem Maślanką, który mianował mnie redaktorem naczelnym), przewodniczącym i wiceprzewodniczącym, członkom władz naczelnych. Dziękuję raz jeszcze wszystkim naszym autorom i gratuluję tym najwybitniejszym – wyróżnionych medalem XXV-lecia.

Podziękowania specjalne

Na koniec pozostawiłem podziękowania dla dwojga moich najbliższych współpracowników, którzy są niezastąpieni (bo jednak są ludzie niezastąpieni!) – i ze względu na swoją fachowość, i przez zdrowe przywiązanie do szyldu „Czuwaj”, które sprawia, że robią ze mną tę gazetę wbrew przeciwnościom, a czasem wbrew zdrowemu rozsądkowi, który każe odpocząć...

Mowa oczywiście o moim poprzedniku – Adamie Czetwertyńskim, cały czas wnikliwym, cały czas dokładnym, cały czas pilnującym poziomu pisma – często wbrew mojej coraz łagodniejszej naturze, oraz o Misiu – niezmiennie zadziwiającej mnie swą dwoistą naturą osoby milusińskiej, towarzyskiej, takiej harcerskiej, a jednocześnie bezlitosnej redaktorce, żądnej pięknej polszczyzny i logiki w drukowanych tekstach, wycinającej z tekstów wszelki bełkot.

Misiu, Adamie – każdy rodzaj podziękowań dla Was byłby trywialny, zatem po prostu DZIĘKUJĘ!

Nie instruktorom h.c.!

W ostatnich miesiącach dość intensywnie pracowaliśmy w gronie członków KSI przy GK ZHP oraz szefów chorągwiowych KSI nad propozycjami zmian w Systemie stopni instruktorskich. Większość wypracowanych propozycji nie ma charakteru rewolucyjnego. Czy to dobrze? Czy to znaczy, że system działa dobrze? I tak, i nie.

Tak, ponieważ ze stopniami instruktorskimi generalnie jest dobrze. Wciąż cieszą się prestiżem, wciąż są zdobywane przez dość liczne kolejne pokolenia kadry, a komisje stopni instruktorskich są dobrymi zespołami instruktorskimi – z rozmaitych analiz wynika, że najlepiej funkcjonującymi w hufcach i mającymi największe przełożenie na skuteczność pracy z kadłą.

Nie, ponieważ możemy obserwować dość duże zróżnicowanie poziomu prowadzonych prób na wszystkie stopnie. Widać tu zarówno problemy całych środowisk (hufców, chorągwi), które nie mają utrwalonych dobrych praktyk, zasad działania KSI gwarantujących wysoki poziom, jak i pojedynczych instruktorów, którzy niestety chcą iść na skróty – którzy chcą zdobyć stopień łatwiej, szybciej, z pominięciem wymagań, bez wnikania w ideę stopnia i tak dalej.

I właśnie tym przypadkom mają przeciwdziałać zaproponowane zmiany, które (mam nadzieję) zostaną uchwalone w marcu przez Radę Naczelną.

Przykłady?

Proszę bardzo: tylko dwa, ale dobitnie pokazujące problem.

Kilka lat temu wpisaliśmy do systemu stopni (konkretnie: do warunków zamknięcia próby pwd.) konieczność ukończenia 15-godzinnego kursu pierwszej pomocy. Intencja wydawała się oczywista: instruktor, któremu powierzamy dzieciaki, musi posiadać przynajmniej podstawowe umiejętności radzenia sobie w sytuacji zagrożenia ich życia czy zdrowia. A jaka praktyka? Otóż okazuje się, że zdarzają się wcale nie tak rzadkie przypadki załatwiania tego warunku przez

kursy... e-learningowe (sic!). Proponujemy więc wpisanie, że chodzi o szkolenie stacjonarne – tak, tak, z poczuciem, że to jednak jest żenujące, iż zmuszeni jesteśmy walczyć z przejawami takiego cwaniactwa...

Inny przykład: ot, taka niby prosta zmiana – że kursy, warsztaty, konferencje, które mają służyć rozwojowi przyszłego podharcmistra czy harcmistra, mają być ukończone, odbyte w trakcie trwania próby. Niby oczywiste? A wcale nie! Okazuje się, że są tacy, którzy stwierdzają, że kiedyś już uczestniczyli w jakimś kursie, byli na konferencji, zatem więcej już nie muszą, a komisja stopni te poprzednie formy doskonalenia powinna im uwzględnić jako zrealizowanie wymagań próby. Tylko czy w tych wymaganiach chodzi o odfajkowanie kilku warsztatów i konferencji, czy o stworzenie i utrwalenie w przyszłym harcmistrze nawyku stałego doskonalenia się?

W sumie to przykre, że takimi zmianami musimy uszczelniać system, że wśród harcurskiej kadry mamy do czynienia z przypadkami cwaniactwa, „kreatywnego” spełniania zadań czy propozycjami „otrzymania” stopnia za byłe zasługi. Na szczęście u nas stopnie się zdobywa i nie ma podharcistrzów czy harcistrzów honoris causa! I to się nie zmienia.

Matryca kompetencji – dla mnie, dla Ciebie, dla nas

Kilka stron wcześniej Jacek Smura napisał, że matryca kompetencji jest narzędziem wspomagającym rozpoznawanie potrzeb rozwojowych oraz planowanie różnych form rozwoju instruktorów. Trzeba przyznać, że dla wielu osób, zwłaszcza nastawionych z dużą rezerwą do wszystkiego, co nowe, co nie pachnie spontanicznym harcerskim ogniskiem, ale światem profesjonalnych organizacji, może to nie brzmieć zachęcająco. A co nas powinno zachęcić do zrozumienia przedstawionej idei i rozpoczęcia jej stosowania? Oczywiście korzyści. A te są bezsprzeczne.

Dla instruktora

Najwięcej matryca kompetencji daje pojedynczemu instruktorowi. Moim zdaniem – same korzyści!

Po pierwsze – każda z najważniejszych funkcji w ZHP będzie opisana przez zestaw kompetencji niezbędnych do jej właściwego wypełniania. Nie chodzi jednak o spis wymogów, które należy „odhaczyć”, aby podjąć funkcję, ale jasno określoną, precyzyjną wiedzę, co jest potrzebne, aby służyć w określonym miejscu organizacji pełnić jak najlepiej. Zatem będzie to raczej ściągawka, która w łatwy sposób pomoże uzmysłowić sobie, co już potrafię, a w jakich aspektach jeszcze mi czegoś brakuje – a więc muszę się doskonalić, aby odpowiedzialnie podjąć się nowych instruktorskich zadań.

Po drugie – niezależnie od przygotowania się do wypełniania konkretnych ról w Związku, matryca będzie cenną wskazówką po prostu do rozwoju – pewnego rodzaju mapą pokazującą, jak różne mam drogi rozwoju instruktorskiego – w jakich obszarach mogę zdobywać kompetencje, w jakiej kolejności, jak się one ze sobą łączą, przenikają itd.

Po trzecie – dzięki operowaniu uniwersalnymi kompetencjami będzie to także szansa na świadome „układanie z klocków” drogi rozwoju nie tylko jako

instruktora, ale po prostu jako człowieka. Zatem pomoże rozwiązać istniejący problem braku świadomości i nienazwania nabywanych w harcerstwie kompetencji – w oczywisty sposób przydatnych w pozaharcerskim życiu.

Po czwarte i może najważniejsze – nie będzie się liczył w Związku wyłącznie dyplom ukończenia szkolenia, ale przede wszystkim posiadane kompetencje. Inaczej mówiąc: wreszcie organizacja uzna naszą wiedzę, nasze umiejętności i doświadczenia nabyte podczas studiów, szkoleń pozaharcerskich, pracy zawodowej, także podczas pełnienia wcześniejszych funkcji w ZHP oraz w drodze samorozwoju. To naprawdę przełom i postawienie na indywidualność, tak mocno wpisana przecież w metodę harcerską!

Dla kadry wspierającej

Dla przełożonych instruktorów, dla osób pracujących z kadrami (komendantów różnych szczebli, namiestników, kształceniowców, KSI i opiekunów prób) matryca kompetencji ma szansę stać się ciekawym punktem odniesienia, wskazówką, ściegawką – inspiracją do świadomego układania planu indywidualnego rozwoju jako instruktora i jako człowieka. Bez wątplenia będzie pomocna podczas układania prób na stopnie podharcmistra i harcmistrza, bo przecież w tych próbach określamy swoje ścieżki rozwoju, a w wymaganiach harcmistrzowskich czytamy wprost: „Przygotował się do pełnienia wybranej funkcji instruktorskiej na poziomie hufca/chorągwi/Związku”. Matryca zatem pomoże i przyszłemu harcmistrzowi, i jego opiekunowi, i komisji stopni w określeniu tej najlepszej drogi przygotowania się do określonej funkcji.

Ale na poziomie zespołów hufcowych i chorągwiowych matryca kompetencji będzie miała znaczenie nie tylko indywidualne, gdyż pomoże w budowaniu systemu pozyskiwania i systematycznego przygotowywania kadry do podejmowania funkcji w tych zespołach (np. namiestnictwach, zespołach programowych czy projektowych). Mówiąc prościej – korzystając z istniejących opisów kompetencji, będzie można łatwo określić, jakich kompetencji oczekujemy od przyszłych kandydatów na określone funkcje.

Dla hufca, chorągwi, dla Związku

Z perspektywy Związku najważniejsza zmiana dotyczy przejścia od systemu przeszkolenia do funkcji do systemu przygotowania do funkcji. Semantyka, subtelna różnica? Wcale nie!

Dziś od osób obejmujących rozmaite funkcje w ZHP oczekujemy, aby były przeszkolone do funkcji. Oznacza to, że ktoś ma mieć ukończony kurs (np. kadry kształcącej, komendantów hufców) zorganizowany zgodnie ze standardami kursów. Ktoś nie ma kompetencji, ale ma dyplom ukończenia kursu komendantów hufców – świetnie, sprawa (formalnie) załatwiona. Odwrotnie: ma kompetencje, bo jest harcmistrzem, był namiestnikiem, członkiem KSI i skarbnikiem hufca, ma BOKK, był radnym dwie kadencje, ukończył studia z psychologii i jest członkiem zarządu w dużej spółce – sorry, to mało, bo nie ma ukończonego kursu komendantów hufców. Absurd? Może, ale to stan dzisiejszy!

Reasumując: to może być największy efekt wprowadzenia matrycy kompetencji – po prostu będziemy mieć kadrę nie tyle przeszkoloną do różnych funkcji, ale bardzo dobrze do nich przygotowaną (choć w rozmaity, zindywidualizowany sposób). A o to przecież nam wszystkim chodzi, prawda?

Na koniec dwie ważne uwagi odnoszące się do dzisiejszego Systemu pracy z kadrą.

Po pierwsze – system rozwoju, zdobywania i potwierdzania kompetencji nie wyraca, nie unieważnia systemu stopni instruktorskich! Jest jedynie jego uzupełnieniem, wynikającym ze świadomego rozróżnienia kształcenia kompetencyjnego (to właśnie matryca) od kształcenia formacyjnego (kursy i inne formy rozwoju instruktora w ramach zdobywanych stopni). Powiem więc: bez świetnie działającego systemu stopni, bez dobrej pracy w hufcach nad kształtowaniem osobowości instruktorów zgodnie z ideą poszczególnych stopni nie możemy odnieść sukcesu w tym drugim elemencie – kształceniu kompetencji. Trudno bowiem wyobrazić sobie dobrego namiestnika, kształceniowca, ale także komendanta czy skarbnika hufca, którzy nie czują harcerstwa, nie reprezentują koniecznej w naszej organizacji postawy etycznej.

Po drugie – przedstawiony sposób podejścia do kompetencji zwraca szczególną uwagę na świadomy wybór drogi rozwoju instruktora i czyni ją bardzo indywidualną, wręcz osobistą. W tym sensie matryca kompetencji jest szansą na drugie, bardziej udane i bardziej powszechne życie IŚR – indywidualnych ścieżek rozwoju.

Nowe podejście do kompetencji w ZHP jest dla nas szansą. Czy ją wykorzystamy – to zależy wyłącznie od tego, czy będziemy otwarci na zmiany, czy dostrzeżemy, jak wiele możemy zyskać na nim my – instruktorzy, nasze środowiska i – nie bójmy się odrobiny patosu – cała nasza organizacja. Mam nadzieję, że wybierzemy dobrze i dokonamy znaczącego skoku jakościowego w pracy z kadrą.

Ramię w ramię z Rzecznikiem

Kiedy niedawno podzieliłem się z kilkoma instruktorami informacją, że na ostatniej stronie okładki grudniowego „Czuwaj” zamieścimy plakat najnowszej kampanii społecznej Rzecznika Praw Dziecka, najpierw było wielkie zainteresowanie – o jaką kampanię chodzi? Gdy jednak wyjawiłem, że chodzi o kampanię „Bicie, czas z tym skończyć!” – dostrzegłem na twarzach moich rozmówców zdziwienie, a z ich oczu czytałem jednoznacznie pytania: po co? co nam do tego?

Nie czekając na zwerbalizowanie tych wątpliwości, dałem do przeczytania na stronie kampanii informację o jej idei. Rzecznik Praw Dziecka Marek Michalak pisze między innymi tak:

...właściwie wszyscy lub prawie wszyscy dorośli powinni już zdawać sobie sprawę z faktu, że stosowanie przemocy jest niewłaściwe. Nie powinien też budzić wątpliwości fakt, że bicie to akt przemocy. Ten, kto bije – stosuje przemoc i to jest złe. Skoro tak, to jak wyjaśnić fakt, że ponad połowa dorosłych Polaków wciąż dopuszcza czy wręcz aprobuje sytuacje, w której rodzic bije dziecko?

Nadal bardzo wielu dorosłych uważa, że dobre lanie to nie koniec świata, a czasem jest wręcz potrzebne, żeby osiągnąć pożądaną skutek wychowawczy. Trudno się zgodzić z faktem, że stosowanie tzw. klapsów czy innych kar cielesnych w stosunku do dzieci odnosi skutek. Tylko że tym skutkiem są: strach przed rodzicem, obniżona samoocena czy wpojenie przekonania, że silniejszy może bić słabszego. To są tylko niektóre „efekty wychowawcze” bicia.

Co to ma wspólnego z harcerstwem? Widzę kilka punktów stycznych z nami, ale chcę zwrócić uwagę na dwa, moim zdaniem najważniejsze.

Po pierwsze – warto zauważyć, że nie chodzi w tej kampanii o samo bicie. W szczególności nie dopuszczamy, że mamy z nim do czynienia w naszej organizacji. I to nawet nie ze względów na penalizację tego zachowania, co po prostu na wysokie kwalifikacje etyczne i pedagogiczne instruktorów oraz świadomość naszej misji wychowawczej. Po prostu bicie nie jest najlepszą, ba, nie jest żadną

metodą wychowawczą! Bicie – tutaj rzecz jest chyba jasna. Ale spójrzmy szerzej na poruszany w kampanii RPD problem: w niej chodzi o stosowanie przemocy, wykorzystywanie przewagi fizycznej oraz przewagi wynikającej z zależności pomiędzy dorosłym (rodzicem, nauczycielem, wychowawcą) i dzieckiem – mniejszym, słabszym, bezbronnym. Jak z tym jest w ZHP? Czy wyrośliśmy z ciężkich alarmów plecakowych, karania uciążliwą fizycznie musztrą? Mam nadzieję, że tak, a ewentualne pojedyncze przypadki są traktowane z całą surowością przez komendantów i sądy harcerskie jako patologia.

Po drugie – Rzecznik w cytowanym liście wyraża nadzieję, że prawie wszyscy dorośli mają świadomość, że stosowanie przemocy jest niewłaściwe. Cóż, prawie wszyscy... Poza tym niektórzy rodzice to wiedzą, jednak w praktyce jest dużo gorzej. Uważam więc, że jako organizacja wychowawcza, która stoi na straży praw dziecka, powinniśmy mieć odwagę reagować, gdy zauważamy, że dziecko – nasz zuch lub harcerz – jest bite przez swoich rodziców. Oczywiście wymaga to dojrzałej, starszej kadry, która będzie w partnerskich relacjach z rodzicami. Ale przede wszystkim wymaga to świadomości, że to jest także nasza sprawa, nasz problem, na który musimy reagować!

Weźcie się za swoje hufce!

Zakończyła się w Związku Harcerstwa Polskiego jesień zjazdowa. Nowo wybrane komendy hufców, mam nadzieję wciąż pełne zapału, przystąpiły do działania i pewnie już odniosły pierwsze sukcesy czy choćby drobne sukcesiki.

Patrzę więc na rozmaite hufce: i te małe – czy sobie radzą, i te duże – jak wykorzystują swój potencjał kadrowy. Patrzę i widzę, że w wielu, bardzo wielu hufcach komendantami są przewodniczki i przewodnicy. Nie, wcale nie zamierzam piętnować tego faktu, odwołując się do przepisów związkowych, raczej skłania mnie to do refleksji, że coś dziwnego dzieje się z kadrą w ZHP.

Mamy przecież w naszej organizacji kilkanaście tysięcy instruktorów. To mnóstwo ludzi! Patrząc na liczby: widać, że samymi harcistrzami moglibyśmy obsadzić komendy wszystkich hufców! A z drugiej strony – komendy w dużej części składają się z przewodników, ba, hufcowymi są przewodnicy, jeszcze większe baaaaa – odnotowaliśmy, że w niektórych hufcach do komendy wybrano osoby niebędące instruktorami (co oczywiście powoduje konieczność odbycia „poprawkowego” zjazdu, gdyż – przypomnę – bez stopnia instruktorskiego może być w komendzie hufca jedynie skarbnik).

Rozumiem sytuację w małych hufcach – w takich, w których instruktorów jest zaledwie kilkunastu. Ale co takiego dzieje się w hufcach kilkusetosobowych, dysponujących nawet kilkudziesięcioma albo ponad stu instruktorami, że wybiera się w nich komendę przewodnikowską, z komendantem też przewodnikiem na czele? Gdzie ci wszyscy instruktorzy się podzieli?

Gdzie? Patrząc na stronę jednego z takich hufców i już wiem! Ci podharcemistrzowie i harcistrzowie zasiedli w dość licznej komisji rewizyjnej i w równie liczny sądzie harcerskim hufca. Tak, to wygodne funkcje, bo przecież – jak dobrze pójdzie – będzie trzeba się ruszyć co najwyżej kilka razy podczas czteroletniej kadencji, a w przypadku sądu harcerskiego – być może w ogóle. A codzienną robotę w hufcu niech ciągną młodzi (tak, dzieje się to pod pretekstem dawania miejsca młodszemu pokoleniu).

W poprzednim i w tym numerze Jacek Smura apeluje: weźcie się za prowadzenie drużyn! I ma rację, bo Związek drużynami stoi. Ale drużynowi muszą mieć stworzone komfortowe warunki do swojej pracy, muszą na co dzień doświadczać wsparcia, życzliwości, czuć, że usuwa się im wszelkie kłody spod nóg – by mogli skoncentrować się na tym, co najważniejsze: pracy wychowawczej. Od tego jest hufiec, w którym doświadczenia starszej kadry przekazywane są tym młodszym. W ślad za Jackiem wołam więc, szczególnie do podharcistrzów i harcmistrzów: weźcie się za budowanie swoich hufców! Podzielcie się swoim harcerskim i instruktorskim mistrzostwem z młodszą kadrami! Przekażcie swoje doświadczenia – te, które sprawiły, że nosicie zielone i czerwone podkładki – tym mniej doświadczonym, aby nie musieli wyważać wielokrotnie otwartych przez was drzwi!

Weźcie się za swoje hufce! Sąd, komisja rewizyjna hufca to za mało!

Przed nami... też było harcerstwo!

To nie może być przypadek – cztery podobne sytuacje w trzy tygodnie. A może to znak, że już jestem starym grzybem, który zbyt wiele pamięta?

W ciągu kilku tygodni stycznia przekonałem się, jaka jest perspektywa spojrzenia wstecz przez instruktorów naszej organizacji. Nie, nie takich zwykłych, ale ze sznurami, że ho ho – na ważnych funkcjach, realizujących próbę harcmistrzowską lub noszących czerwoną podkładkę pod krzyżem harcerskim.

Najpierw podczas pewnego spotkania instruktorskiego dowiedziałem się, że od dwóch lat wreszcie robi się w Związku zestawienie imprez ogólnopolskich – rajdów, festiwali itp. Taka nowość w organizacji. Ech, szkoda komentować, stali czytelnicy „Czuwaj” pewnie doskonale pamiętają nasze informatory imprez. Ot, pierwszy z brzegu przykład – warto zobaczyć, o czym mowa: http://www.czuwaj.pl/art_glowny/Informator2003-2004.pdf – data w linku już mówi wiele...

Chwilę później rozmawiam z instruktorem realizującym właśnie próbę harcmistrzowską o Muzeum Harcerstwa. Wspominam poprzedniego dyrektora – hm. Andrzeja Borodzika. – Że co, że kto? Sorry, nie słyszałem nazwiska... – słyszę zupełnie szczerze wyznanie. Moja mina musiała być bardzo niewyraźna, skoro zaraz dodał: – To pewnie ktoś ważny? No ale ja jestem instruktorem dopiero 5 lat! – co chyba miało brzmieć jak usprawiedliwienie. No tak, jasne, przy parzeniu całe 5 lat wstecz wiadomo tylko, że naczelniczką zawsze była hm. Małgorzata Sinica, a przewodniczącym hm. Dariusz Supeł. No, wersja dla pamiętliwych: przed nim hm. Adam Massalski... Znać nazwiska wszystkich pięciorga przewodniczących od druha Mirowskiego poczynając. A po co?

I ostatnio: harcmistrzynie mówi o swoich marzeniach, żeby powstała gazeta tylko dla drużynowych, cytuję – uwaga – „w której byłby repertuar dla drużynowych, konspekty, konkretne porady”, bo – jeszcze większa uwaga! – „przecież nigdy w Związku takiej gazety nie było”. No oczywiście, a choćby „Zuchowe Wieści”, „Propozycje” i „Na tropie” to pisemka z XX wieku – czyli czasów II wojny światowej, Piłsudskiego i tych rejonów historycznych...

Jeszcze á propos Wędrowniczej Watry – wymagać, aby było wiadomo, że wędrowników jeszcze na początku tego wieku nazywaliśmy w ZHP harcerzami starszymi – to już przesada, bo oczywiście obecne metodyki są „od zawsze”. PZHS-y (rozwinę może: Polowe Zbiórki Harcerstwa Starszego) – litości, to zamierzchła historia – gdzieś między Szarymi Szeregami i stanem wojennym. No ale żeby twierdzić, że Wędrownicza Watra odbywa się od 4 lat? Ech...

Czy oczekując znajomości tego, co było przed tym, zanim haremistrz został instruktorem, zanim powstał jego wspaniały zespół – czy naprawdę za dużo wymagam? Za dużo od instruktorów pełniących ważne funkcje i mających tworzyć przyszłość naszej organizacji? Naprawdę za dużo?

Fryz, pink i dziary

Ależ mnie Adam niespodziewanie zainspirował, pisząc na poprzedniej stronie o tych fryzjerskich wątkach [chodzi o tekst Adama Czetwertyńskiego „O harcerskich włosach i nie tylko” z nr. 4/2016 „Czuwaj” – przyp. GC!]! Poruszył temat ciekawy, który właściwie zawsze mnie intrygował, bo zawsze wskazywał na ogromną różnorodność harcerskich środowisk, ich różne postawy wobec umundurowania oraz stosunek do tradycji – tej kilkunasto- czy kilkudziesięcioletniej i tej (często mocniejszej, patologicznej wręcz) kilkumiesięcznej (oj, o sile tej tradycji też muszę kiedyś napisać!).

Jako początkujący harcerz nauczony zostałem szacunku do munduru. Nie, nie aż takiego, żeby przed jego każdym założeniem czy zdjęciem (oraz ułożeniem w kostkę) stawać na baczność i mu salutować. Ale wiedziałem, że musi być zawsze schludny, czysty, że musi być wszystko idealnie wyhaftowane i przyszyte, że mam mieć odpowiednie spodnie i obuwie.

A jeśli chodzi o wątek fryzjerski – problemu nie miałem, bo włosów długich nie nosiłem. Dziewczyny w znanych mi tych tradycyjnych środowiskach miały gorzej – włosy musiały upiąć, czasem niektórzy nakazywali zdjąć im do munduru kolczyki, bransoletki czy inne dodatki upiększające.

Efekt ubocznym tego tradycjonalizmu było – niestety – pewnego rodzaju poczucie wyższości: my jesteśmy lepiej umundurowani, my lepiej, bo jednolicie wyglądamy, a tamci – makabra, dziwne buty, spodnie w różową kratę – dno, a nie harcerstwo! Wówczas jako zwykły harcerz tego poczucia wyższości nie widziałem. Później, już jako instruktor, zacząłem to dostrzegać z wyraźną przykrością...

Poglądy na umundurowanie zaczęły mi się zmieniać w czasach licealnych – cóż, hormony robią swoje – więc zdecydowanie wolałem drużyny, które miały kolczyki, bransoletki, a także delikatny makijaż podkreślający walory naturalne, a pomalowane paznokcie też mi nie przeszkadzały – zresztą tu wchodził w grę również element praktyczny, bo czyż dziewczyna/kobieta ma zmywać lakier z paznokci, kiedy zakłada mundur?

Dziś widzę, że ta różnorodność w podejściu, co wolno, kiedy występujemy w mundurze, jest chyba jeszcze większa, co jest zapewne efektem zmian kulturowych.

I ciągle z jednej strony mamy środowiska jednolicie umundurowane, w których na przykład nie można do munduru założyć džinsów tylko bojówki (dziewczyny wiadomo – spódnice), włosy muszą być krótkie (chłopcy) lub spięte (dziewczyny), no i oczywiście nie ma mowy o kolczykach, makijażu i jakichkolwiek elementach prywatnych w kolorze różowym, a dziary to największy obciach – więc najmniejszy nawet tatuaż ma być zakryty.

Na drugim biegunie mamy zwolenników swobodnego podejścia, w którym kompletność i schludność umundurowania dotyczy wyłącznie bluzy, choć ta też może być „nieaktualna” („musztardy” sprzed 20 lat są najlepsze, bo mają walor sentymentalny, poza tym cały czas funkcjonują „olimpijki” – nie wiecie, o co chodzi? – wyguglujcie sobie!), do tego modne różowe klapki – jak najbardziej...

Zdecydowana większość jest gdzieś w środku. I dobrze. Przypomnijmy: chodzi przede wszystkim o to, że swoim wyglądem każdy z nas buduje wizerunek ZHP.

Uchwały łatwo zapomniane

Za chwilę minie dwa i pół roku od czasu, gdy XXXVIII Zjazd Związku Harcerstwa Polskiego przyjął uchwałę „w sprawie wzmocnienia działalności programowej drużyn i gromad” – zwaną potocznie uchwałą programową.

Wspominam o tej potocznej nazwie, gdyż wskazuje ona na – jak mi się zdaje – źródło tej uchwały. Ot, taka tradycja, tak było od zawsze, że zjazdy naszego Związku jako najwyższe władze organizacji widziały konieczność przyjęcia uchwały programowej. Tak się uтарыło. A skoro tak, to również zjazd w grudniu 2013 r. podjął się określenia kierunków programowych na rozpoczynającą się czteroletnią kadencję.

Kiedy patrzę na uchwały programowe kilku poprzednich zjazdów, kiedy próbuję, także patrząc na kolejne roczniki „Czuwaj”, przypomnieć sobie, jak żyły te uchwały w organizacji, jakie miały na nią wpływ, to widzę, że ta tradycja przyjmowania uchwał programowych niewiele wniosła w funkcjonowanie Związku. Śmiem twierdzić, że uchwały te miały jedną zasadniczą cechę – były zwykle łatwo zapomniane.

Powiedzieć „łatwo zapomniane”, to czasem nawet zbyt wiele, bowiem aby coś zapamiętać, najpierw... trzeba o tym wiedzieć. A jaka była wśród instruktorów ZHP, zwłaszcza wśród drużynowych, świadomość istnienia uchwał programowych? Ba, jaka jest znajomość treści aktualnej uchwały? Na przykład: czy potrafisz wymienić, jakimi czterema elementami został scharakteryzowany nasz harcerski program albo czy pamiętasz choćby dwa z sześciu kierunków programowych? Ano właśnie...

To, że uchwały programowe nie zyskały popularności, wynika z pewnością z drugiej ich nieodłącznej cechy – że zwykle są mało wnoszące – nie dokonują ani wieloletniego przełomu merytorycznego w myśleniu o misji Związku, ani nawet nie kierunkują realnie działalności gromad i drużyn w perspektywie czteroletniej.

Co z tym zrobić? W pierwszej kwestii, a więc aby przypomnieć uchwałę programową ostatniego zjazdu i aby zaistniała ona mocniej w umysłach instrukto-

rów, przygotowaliśmy ten temat majowego numeru „Czuwaj”. Znajdziecie więc na dalszych stronach krótkie teksty związane z sześcioma kierunkami uchwały. Różne, w różnym stylu, zwykle nie wprost inspirujące, dające do myślenia.

Gorzej z tym drugim problemem – małego znaczenia uchwały programowej dla organizacji. Zmiana w tym względzie wymaga bowiem kilku elementów.

Po pierwsze – konieczna jest zmiana filozofii myślenia o naszym programie. Bowiem w uchwale ostatniego zjazdu napisaliśmy sobie, że „osiąganie sukcesów wychowawczych w naszych czasach nie wymaga rewolucji programowej”. Oj, nie mogę się z tym absolutnie zgodzić. Sądzę, że już potrzebujemy rewolucji: i w samym programie, i w naszym sposobie myślenia o tym, co mamy robić w harcerstwie, na każdej pojedynczej zbiórce.

Po drugie – konieczne jest sformułowanie takich kierunków programowych, które będą wybiegały w przyszłość, a jednocześnie będą naprawdę interesujące, motywujące dla wszystkich, którzy są odpowiedzialni za działalność programową (od drużynowego po członka GK ZHP)!

Po trzecie i może najważniejsze – potrzebna jest determinacja i konsekwencja we wprowadzaniu tego nowego myślenia programowego w życie. Inaczej mówiąc: zjazdowa uchwała programowa ma być nie jej końcem, ale dopiero początkiem wprowadzania jej w życie w całym ZHP, na wszystkich szczeblach organizacji.

Troszkę utopijne? Wsadzam kij w mrowisko? No, może. Na szczęście do kolejnego zjazdu zwykłego ZHP jest jeszcze ponad półtora roku. Mamy zatem czas, aby dobrze się do niego przygotować, aby w sprawach programu, a więc tego, co powinno być dla nas najważniejsze, był on przełomowy!

Braterstwo

Czytałem ostatnio rozmaite publikacje, artykuły sprzed dziesięciu czy kilkunastu lat o relacjach międzyludzkich, a także o języku debaty publicznej. Zaskoczyły mnie. Zaledwie kilkanaście lat, a dokonała się w tej materii tak ogromna zmiana, niestety na gorsze...

Jeszcze dziesięć lat temu funkcjonowało zupełnie serio określenie „język parlamentarny”, wulgaryzmy zaś, owszem, były obecne w życiu publicznym, ale wyjątkowo – głównie dla podkreślenia sytuacji i najczęściej w wykonaniu np. artystów (którym zawsze pozwalano na więcej). A dziś? K... stały się normą, więc nie rażą już, niestety, w wypowiedziach na forach społecznościowych (a więc przecież nie anonimowych), w programach telewizyjnych czy nawet w słowie pisanym (i publikowanym) przez poważnych publicystów. Do języka marginesu społecznego, gdy k... zastępuje przecinek, niby wciąż daleko, ale coraz szybciej zmierzamy w tę stronę.

Jeszcze kilkanaście lat temu oburzenie wzbudzało używanie w polemikach argumentów ad personam – starano się w parlamencie, w poważnych telewizyjnych studiach rozmawiać o sprawach. A dziś? Dziś najczęściej i najciekawiej rozmawia się o ludziach. Wystarczy zaprosić dwóch polityków z przeciwnych ugrupowań i wiadomo, że będzie soczyście...

Jeszcze nie tak dawno jako ciekawe (z punktu widzenia językoznawcy) przykłady określeń pejoratywnych prof. Bralczyk podawał „aferałowie” czy „oszołomy”. A dziś? Zdrajcy, mordercy, chamy i dużo gorzej – to niestety norma, przerzucanie się takimi określeniami nie robi już na ludziach większego wrażenia.

Dlaczego o tym piszę? Bo uświadomiłem sobie, że mam ten niesamowity komfort, iż pamiętam tamte czasy. Czasy różnienia się, ale jednocześnie szanowania, mówienia dobitnego, dosadnego, ale bez uciekania się do wulgaryzmów i do określeń naruszających godność innego człowieka.

A nasi harcerze czy młodzi instruktorzy? Dla nich dzisiejszy język i dzisiejszy sposób odnoszenia się do siebie jest niestety czymś najzupełniej naturalnym. Oni wychowali się na mediach społecznościowych, na prostackich memach i bezpar-

donowym okładaniu się z użyciem najgorszych inwektyw. Oni żyją w świecie, w którym każdy może każdemu powiedzieć wszystko, nie licząc się z uczuciami innego człowieka i ubierając to w najdziksze słowa. Żyją w świecie, w którym coraz trudniej odróżnić język menela spod budki z piwem od języka profesora, posła czy ministra.

Czy zatem uchwała programowa, w której mowa o nauce dialogu i szacunku mimo różnic, o nawiązywaniu i utrzymywaniu kontaktów z ludźmi oraz sprzeciwianiu się przemocy – czy to nie jest zadanie ponad nasze siły? Czy próbując pokazać naszym wychowankom, jak można i powinno się do siebie odnosić, co to znaczy szacunek dla rozmówcy, dlaczego nie warto szydzić z innego sposobu myślenia – czy w ten sposób nie czynimy ich ułomnymi, nieprzygotowanymi do życia w takim dziwnym, strasznym świecie?

Wierzę w harcerstwo!

Zasmucił mnie Jacek Smura, harcmistrz, zastępca naczelnika ZHP. Zasmucił mnie swoim tekstem opublikowanym w poprzednim numerze „Czuwaj”...

Niby wszystko jest świetnie, bo właśnie mijają dwa lata od inauguracji programu Lider+ i jest to dobry czas na podsumowanie. A jest co podsumowywać, bo Lider to bez wątpienia sukces – mówią o tym chociażby liczby: liczba uczestników oraz liczba trenerów przygotowanych do prowadzenia szkoleń, ale też poszkoleniowe opinie i oceny. No ale przecież nie tymi sukcesami zasmucił mnie Jacek. Raczej tym, o czym pisze dalej...

A pisze o tym, że jego firma nieodpłatnie włożyła know-how do Lidera+, a także o tym, ile dni przepracował w tym programie, podkreślając, że czynił to jako wolontariusz. A następnie dodaje: „Nie uzyskałem ani nie oczekuję z tego powodu jakichkolwiek korzyści finansowych”.

Dziwne? Niby tak, bo po co na łamach miesięcznika instruktorów harcerskich pisać takie specyficzne wyznania? Przecież idea harcerska, służba, osobisty przykład i tak dalej – to dla nas oczywistość! Nie trzeba więc przekonywać, co nami kieruje, że nie chodzi o pieniądze, że z jednej strony wystarczy nam satysfakcja z dobrze wykonanej instruktorskiej pracy, a z drugiej jej spektakularne efekty.

Zatem po co ten tekst Jacka? Niestety znam odpowiedź na to pytanie, bo rozmawiałem z instruktorami zaangażowanymi w realizację programu Lider+. Otóż są członkowie naszego Związku, ba, instruktorzy w stopniu harcmistrza, którym nie mieści się w głowie, że można pracować dla ZHP za darmo, że można kierować się wyłącznie poczuciem służby, po prostu chęcią wpłynięcia na rozwój organizacji, że można czerpać największą motywację z kontaktu z innymi instruktorami, którzy dzięki naszemu zaangażowaniu fantastycznie się rozwijają. Ten sposób myślenia, tę motywację rozumieją doskonale prawdziwi harcmistrzowie, rozumieją doskonale autentyczni kształceniowcy.

Zdarzają się jednak tacy instruktorzy, którzy tego nie są w stanie pojąć. Przyznam, że mam z nimi kłopot. Bo jeśli jakiś instruktor, harcmistrz (obojętne, czy noszący granatowy, srebrny, czy skórzany sznur) wątpi w szczerłość intencji innego harcmistrza, to co mam o nim pomyśleć? Czy zgodnie z powiedzeniem, że każdy sądzi według siebie, powinienem sądzić, że to odzwierciedlenie jego nieinstruktorskiego sposobu myślenia?

Mam nadzieję, że owo nieinstruktorskie myślenie to margines. Że tekst Jacka jest pierwszy i ostatni. Że więcej nie trzeba będzie nikomu niczego w podobnych sytuacjach tłumaczyć. I tłumaczyć się z normalnego, codziennego pełnienia instruktorskiej służby. Wierzę w czystość intencji członków ZHP. Ja ciągle wierzę w harcerstwo, które daje tysiącom z nas energię do działania, które zachęca do służby. Wierzę w harcerstwo, które z ludźmi czyni cuda!

Jaka ta nasza aktywność!

Zdradzę troszkę redaktorskiej kuchni... W poprzednim „Czuwaj” (5/2016) temat wiodący numeru związany był z kierunkami programowymi ostatniego zjazdu ZHP. Sześć kierunków – zatem konstrukcja wydawała się prosta: poproszę sześć osób, aby napisały swoje przemyślenia inspirowane tymi sześcioma hasłami. Ja, jak to ja, oczywiście chciałem poprosić o współpracę kilku autorów i dać im wolną rękę, ale właściwie wiedziałem dobrze, o czym chciałbym, aby napisali...

Szczególny pomysł przyszedł mi do głowy w związku z kierunkiem „Aktywność społeczna”. A może lepiej będzie, jeśli w tym miejscu przypomnę cały opis tego hasła z uchwały programowej, a brzmi on tak:

AKTYWNOŚĆ SPOŁECZNA – zespołowe podejmowanie działań (inicjatyw) na rzecz społeczności lokalnej w oparciu o rozpoznanie potrzeb najbliższego środowiska działania gromad i drużyn. Tworzenie projektów mających na celu poprawę jakości funkcjonowania wspólnoty lokalnej.

Jaki zatem miałem pomysł? Otóż przyszło mi do głowy, że skoro w ostatnich kilku latach tak mocno rozwija się koncepcja budżetów obywatelskich, to z pewnością w wielu miejscach Polski harcerze, jako ci obywatele, którzy z definicji są wrażliwi na to, co dzieje się wokół, którzy nie są obojętni, dla których tak ważna jest służba – że oni z pewnością zgłosili mnóstwo ciekawych projektów, ważnych dla ich społeczności lokalnych.

I już oczami wyobraźni widziałem te profesjonalne analizy potrzeb dzieci i młodzieży dokonywane przez harcerskie komendy, widziałem doskonale opracowane projekty, a przede wszystkim efekty tych działań: place zabaw, ścieżki rowerowe, odnowione podwórka, spotkania i warsztaty tematyczne, imprezy plenerowe dla mieszkańców, ścieżki edukacyjne – wszystko z inicjatywy harcerzy! Zwróciłem się więc na naszym czuwajowym profilu na FB z prośbą o zgła-

szanie się środowisk, które skorzystały z instytucji budżetu obywatelskiego, aby przeprowadzić w swoim otoczeniu jakieś projekty.

Zgłosiło się kilkoro instruktorów, którzy napisali projekty, przeszli wszelkie etapy weryfikacyjne, uzyskali w głosowaniu mieszkańców poparcie dla nich i je zrealizowali! Brawo! Niestety żaden z tych projektów nie mógł zostać wykorzystany przeze mnie do artykułu o naszej aktywności społecznej. Dlaczego? Bo nie były to projekty będące odpowiedzią na potrzeby społeczności lokalnej, lecz na własne: remont harcówki, zakup wyposażenia itp.

Szkoda, bo budżet obywatelski to naprawdę świetna okazja, aby zrobić coś pożytecznego dla swojej miejscowości, także aby się pokazać jako organizacja, która dostrzega problemy społeczne, szczególnie dzieci i młodzieży, która rozumie ich potrzeby i jest dobrym rzecznikiem młodych ludzi, która potrafi zjednać sprzymierzeńców i skupić przyjaciół wokół ważnych lokalnie spraw oraz która jest profesjonalna i skuteczna.

Myślę, że budżet obywatelski to także szansa dla nas na świeże, radosne i naprawdę społecznie użyteczne spojrzenie na harcerską służbę. Nie zmarnujmy jej!

W Was nasza nadzieja

Kończymy w tym numerze cykl artykułów inspirowanych ideą stopni – najpierw przewodniczki/przewodnika, a potem podharcmistrzyni/podharcmistrza. Trzeba więc spojrzeć, co znajdzie na końcu idei stopnia instruktor, który przeszedł drogę od przewodnika i pragnie zostać podharcmistrzem. Podharcmistrz, a więc ktoś, kto już wychodzi instruktorsko ponad poziom swojej drużyny, swojego szczepu, zaczyna aktywnie współtworzyć wspólnotę hufca, uczestnicząc w pracach różnych zespołów – otóż ktoś taki ma mieć własny pogląd na sprawy nurtujące jego środowisko harcerskie.

Kilka razy zdarzyło mi się, że – korzystając z figury rodem z Jamesa Bonda – młodzi instruktorzy do tego posiadania własnych poglądów radośnie dopowiadali: i nie zawaha się ich użyć...

Więcej: spotkałem się z głosami, szczególnie starszych, bardziej doświadczonych instruktorów, którzy w ogóle poddawali w wątpliwość sens istnienia takiego zapisu w idei stopnia, twierdząc, że co jak co, ale przecież młodym ludziom pewności siebie, tupetu nie brakuje, nie mają więc żadnych zahamowań, aby głosić swoje poglądy. Nie bacząc przy tym, czy to, co mówią, jest mądre, nie przejmując się, jakie doświadczenia, jaką instruktorską czy po prostu ludzką mądrość mają ci, którzy ich słuchają. A więc nie zważając także na to, co sobie inni o nich pomyślą.

Coś w tym jest, prawda? Gdy jednak rozmawiałem i z tym młodymi, i z tymi starszymi instruktorami, okazywało się dość szybko, w czym problem: obie grupy koncentrowały się na drugim elemencie (notabene wcale niezapisanym w idei, a jedynie sobie dopowiadany) – na głoszeniu swoich opinii. Często, bądźmy szczerzy, nieprzemyślanych.

W tym miejscu powinienem więc wygłosić apel, aby powrócić do tego, co mamy zapisane w idei stopnia i skoncentrować się na tym POSIADANIU poglądów. Ale nie byle jakich sądów, które właśnie przyszły nam do głowy, gdy z kimś rozmawiamy, nie ad hoc sformułowanych opinii na potrzeby jakiejś

polemiki, ale poglądów ugruntowanych, przemyślanych, będących efektem rozważań, rozmów z innymi instruktorami, świadomego poszerzania wiedzy w określonych dziedzinach, a na końcu własnych przemyśleń przetwarzających te wszystkie informacje, które przyswoimy.

Proszę więc Was, przyszli i aktualni podharc mistrzynie i podharc mistrzowie: niech Wasza służba będzie pełna instruktorskiej refleksji, nabywania nowych doświadczeń, ciągłego poszerzania wiedzy, rozmów z osobami mądrzejszymi, bardziej doświadczonymi, a także pokory, która pozwoli wam formułować naprawdę mądre opinie, z którymi liczyć się będzie kadra waszego środowiska i które realnie wpłyną na rozwój. Na razie Waszej drużyny czy Waszego szczerpu, ale wkrótce pewnie hufca i chorągwi, a może także całego Związku.

Potrzeba nam mądrych podharc mistrzyń i podharc mistrzów! W Was – to wcale nie przesada – nasza nadzieja!

Dziękuję, druhu Stefanie!

Na kilka dni przed 20. rocznicą śmierci hm. Stefana Mirowskiego dociera do mnie, jakie miałem szczęście poznać osobiście człowieka, który dla wielu dzisiejszych instruktorów, także z czerwonymi podkładkami, jest wyłącznie częścią naszej historii – tak samo odległą, jak Małkowski, Kamiński albo Alek, Rudy i Zośka.

To było kilka miesięcy przez Światowym Zlotem Harcerstwa Polskiego w Zegrzu. Rok 1995. Nie pamiętam już, w jaki sposób narodził się pomysł, aby zebrać gawędy hm. Stefana Mirowskiego, przewodniczącego ZHP, publikowane (systematycznie, w każdym numerze!) od pewnego czasu w „Czuwaj”. Któregos dnia ówczesny szef Harcerskiego Biura Wydawniczego hm. Jurek Kaczorowski zapytał mnie, czy chciałbym ten zbiorek przygotować do druku. Są teksty, jest autor chętny do współpracy, a ja mam zająć się całą częścią edytorską na tyle sprawnie, aby książka ukazała się przed zlotem. Długo nie musiał mnie namawiać.

Warto pamiętać, że to były zupełnie inne czasy. Przewodniczący był kimś znanym na co dzień wąskiemu gronu kadry ZHP, obdarzanym szacunkiem – i ze względu na wiek, i na dokonania życiowe, i na funkcję. Dziś, niestety, żaden z tych elementów nie gwarantuje ochrony przed hejtem czy brakiem elementarnej szacunku. Szkoda.

Mam świadomość, że na moje wspomnienia wpływ ma mój wówczas młody wiek, a jednak nie tylko – bo przez ostatnich 20 lat miałem okazję współpracować, także w sprawach rozmaitych publikacji, z wieloma instruktorami. I... tym bardziej widzę tę różnicę...

Każde spotkanie z druhami Mirowskim było pełne serdeczności, ze składanymi za każdym razem szczerymi podziękowaniami za współpracę, za moje zaangażowanie. To było niezwykle motywujące!

A nasze relacje? No oczywiście nigdy nie śmiałybym powiedzieć swobodniej niż „Druhu Przewodniczący”, to było naturalne, ale nigdy nie odczułem z Jego

strony ani odrobiny wyższości. Mimo dzielącej nas przepaści lat, doświadczeń życiowych i funkcji. Miałem poczucie partnerstwa, dużego zainteresowania a jednocześnie pełnego zaufania, jeśli chodzi o wygląd publikacji. Jeśli druh Stefan miał specjalne życzenia (np. dotyczące okładki), to były one przekazywane niezwykle grzecznie, wręcz dla mnie krępująco.

Pamiętam tę niesamowitą skromność, gdy zaproponowałem, abyśmy na ostatniej stronie okładki dali życiorys oraz zdjęcie. Dostrzegłem na twarzy autentyczne zakłopotanie poparte słowami: czy to wypada, czy nie będzie to przesada. To z pewnością nie była fałszywa skromność!

I jeszcze jedno, co dostrzegam dopiero teraz, gdy mam za sobą wiele lat współpracy z instruktorami pełniącymi istotne funkcje w Związku. Po co to wszystko? Po co te gawędy? Myślę, że Stefan Mirowski doskonale rozumiał konieczność zwracania się bezpośrednio do instruktorów, pokazywania im, na czym polega ten harcerski styl życia. Rozumiał bowiem wagę swej funkcji – funkcji, ale nie siebie samego. Na dodatek swoje myśli potrafił ubrać w ciekawe słowa i zdania. Prosto i po polsku – choć miał przecież wykształcenie techniczne, a nie humanistyczne. Cóż, dobra, przedwojenna matura...

Tak, współpracowanie z druhem Stefanem było niesamowite.

Pozostało mi poczucie satysfakcji, że znałem kogoś niby tak zwykłego, a jednocześnie tak wyjątkowego, będącego po prostu autorytetem. Dziś, z perspektywy 20 lat, wyciągam z niej jeszcze jedną niezwykle ważną naukę: prawdziwy autorytet rodzi się z autentyczności, skromności, w dużej mierze z natury, a na pewno nie z posiadania ważnego sznura funkcyjnego. I jeszcze pozostał egzemplarz „Stylu życia” ze szczególną dla mnie dedykacją: „Druhowi Grzegorzowi, z podziękowaniem za opiekę”. To ja dziękuję!

Najważniejsze jest dziecko

Kiedy ponad 10 lat temu ZHP przyjmował pierwszą – jak się wówczas wydawało – profesjonalną strategię rozwoju organizacji, budziła ona różne emocje i oceny. Z jednej strony – mieliśmy (piszę tu o instruktorach zainteresowanych tematem) poczucie, że oto po raz pierwszy od dawna ktoś dokonał solidnej analizy organizacji i sytuacji, w której przyszło jej działać, że wreszcie myślimy w Związku na kilka lat do przodu, że zadajemy sobie istotne pytania o naszą przyszłość i stawiamy sobie dalekosiężne cele. Z drugiej jednak strony – było w niej coś takiego mało harcerskiego, korporacyjnego, technicznego, wydawała się oderwana od rzeczywistości „dołów” naszej organizacji. Nie bez powodu, przecież głównym jej adresatem byli przede wszystkim instruktorzy harcerskich komend, jako że strategia miała na celu rozwój Związku przez „naprawianie” i nowe, lepsze, skuteczniejsze działanie struktur ZHP. Ewaluacja w procentach „opisywała” realizację poszczególnych zadań.

Trudno się więc dziwić, że strategia ta nie była powszechnie znana w Związku, nie budziła entuzjazmu, nie motywowała powszechnie instruktorów do działania. Świadomi tego przygotowaliśmy i uchwaliliśmy (tzn. zjazd uchwalił) nową strategię, która w centrum stawiała drużynowego. To musiało zadziałać – przecież drużynowych (a także instruktorów im najbliższych – przybocznych, szczepowych) jest dużo więcej niż członków komend. To musiało zadziałać – bo kto powie głośno, że to zły pomysł, że nie należy wspierać, doceniać, otaczać życzliwością tych, którzy pracują na tzw. pierwszej linii?

Kończymy wkrótce realizację tej strategii, powinniśmy zrobić kolejny krok i zacząć myśleć strategicznie, stawiając na pierwszym miejscu nie struktury (które oczywiście powinny działać jak najsprawniej, tworząc kadry doskonałe warunki do prowadzenia pracy wychowawczej), nie drużynowych (którzy oczywiście powinni być świadomymi, bardzo dobrze wyszkolonymi wychowawcami, perfekcyjnie realizującymi misję ZHP za pomocą metody harcerskiej), ale... dziecko!

Właśnie tak: czas, aby przestać zajmować się sobą (strukturami, władzami, nami – instruktorami) i skoncentrować się na naszych wychowankach. Inaczej mówiąc: czas dokonać uczciwej, rzetelnej analizy skuteczności naszego realizowania misji ZHP, w tym metody harcerskiej, a następnie zaplanować działania (wykraczające poza jedną kadencję), dzięki którym będziemy – mówiąc najprościej – lepiej wychowywać.

To będzie trudny proces, ale trzeba zacząć od podstaw – od zastanowienia się, kogo chcemy wychować, w jaki sposób, jaką kadra. Zdaję sobie sprawę, że mamy wszystko, z Podstawami Wychowawczymi na czele. Że mamy swoją stuletnią metodę. Sądzę jednak, że musimy pokusić się o szerszą wychowawczą refleksję. I dlatego, że po prostu każda organizacja wychowawcza powinna to robić raz na jakiś czas (zwłaszcza w sytuacji dużej fluktuacji kadry „na pierwszej linii”), i ze względu na to, że realia, w jakich działamy, zmieniają się błyskawicznie. Musimy więc na serio myśleć o tym, do życia w jakim świecie wychowujemy naszych harcerzy, musimy też umieć lepiej odnajdywać się w zmieniającej się rzeczywistości społecznej. Czas przestać zamykać rozmowy stwierdzeniami, że mamy 100 lat i zawsze było dobrze, że metoda ma 100 lat i się sprawdza. Trzeba spojrzeć perspektywicznie na wychowanie dzieciaków, które chcemy przyciągnąć do organizacji i które chcemy zatrzymać z korzyścią dla ich przyszłości!

Kiedy mówimy, że najważniejsze jest dla nas dziecko – wychowanek naszych gromad i drużyn, wówczas myślimy o programie, o metodzie, o ciekawych zbiorach, rajdach i obozach. Jednak jest coś ważniejszego, coś, co jest podstawą naszego działania: to bezpieczeństwo zuchów i harcerzy. To warunek konieczny przede wszystkim dla każdego rodzica, który daje nam na czas zbiórki swój największy skarb. Daje, bo ma do nas zaufanie. Zaufanie jest więc największym kapitałem każdego instruktora, zwłaszcza drużynowego, i całej organizacji. Bez niego organizacja taka jak ZHP po prostu nie może istnieć. Dlatego zrozumiałe jest chyba dla każdego instruktora, jaki jest cel omawianej na kolejnych stronach „Polityki ochrony bezpieczeństwa dzieci w Związku Harcerstwa Polskiego”.

Ten dokument ma być gwarancją bezpieczeństwa dla rodziców zuchów i harcerzy. Ma być świadectwem naszej wysokiej świadomości wychowawczej dla tych, którzy przypatrują nam się z boku. I przede wszystkim ma być nie tylko wskazówką, ale twardą wytyczną dla kadry i harcerskich komend – wyznaczającą granice nieprzekraczalne.

Mając pewność, że dzieci podczas działań prowadzonych w Związku Harcerstwa Polskiego są bezpieczne, możemy spokojnie myśleć o tym, jak sprawić, aby bycie zuchem i harcerzem było dla nich niesamowitą przygodą, dzięki której w przyszłości będą wyjątkowymi, ciekawymi świata i po prostu dobrymi ludźmi.

O tym, jak Pani Minister mnie zainspirowała

Wszyscy, którzy interesują się edukacją, z pewnością wiedzą, co wydarzyło się na początku wakacji, a konkretnie 27 czerwca. Wówczas Minister Edukacji Narodowej przedstawiła w Toruniu, jak ma z grubsza wyglądać polska szkoła po przeprowadzonej przez obecne władze reformie. Było to wystąpienie dość długie, wypowiedziane na podstawie 55-słajdowej prezentacji (dostępnej na stronie MEN – swoją drogą zachęcam do zapoznania się z nią).

Nie ma tu miejsca na szerszą refleksję na temat planowanych zmian w systemie edukacji i ich wpływu na harcerstwo (napiszemy o tym szerzej w jednym z jesiennych numerów „Czuwaj”). Dziś chciałbym skoncentrować się tylko na jednym slajdzie – 20, a właściwie na jednym zdaniu, brzmiącym następująco:

Uwzględnienie w ocenie pracy szkoły współpracy z organizacjami adresowanymi do dzieci i młodzieży o charakterze formacyjnym, m.in. harcerskimi.

Co z tego niepozornego zdania wynika dla nas – dla ZHP?

Po pierwsze – mówiąc najogólniej – władze najważniejszego dla harcerstwa resortu mają o nas dość dobre zdanie. Dostrzegają znaczenie organizacji harcerskich dla pracy szkoły, a może nawet – to już moja optymistyczna interpretacja rozszerzająca – traktują nas jako naturalnego partnera szkoły w procesie wychowania. I ważnego przynajmniej na tyle, aby o nim powiedzieć w wystąpieniu, w którym między innymi poinformowano Polaków o przywróceniu struktury szkolnictwa sprzed lat.

Po drugie (nieco na marginesie) – praktyka wskazuje, że gdy MEN zacznie na serio oceniać szkoły (dyrektorów) m.in. z działalności organizacji harcerskich, to nawet najmniej przychylni nam szefowie placówek będą musieli zmienić do nas stosunek...

Po trzecie, co moim zdaniem jest wyjątkowo ciekawe – pani Minister umieszcza nas na slajdzie swojej prezentacji pod szyldem organizacji formacyjnych.

To, wbrew pozorom, wiele znaczy. To sygnał, że jesteśmy – przynajmniej w sferze werbalnej – postrzegani jako ruch realnie kształtujący młodych ludzi, w rzeczywisty sposób wpływający na rozwój, dojrzewanie ich świata wartości, a nie jedynie jako organizacja zabawowa.

Po czwarte – te słowa, zwłaszcza jeśli pójdą za nimi konkretne działania MEN, powinny być dla nas bodźcem do zastanowienia się nad tą naszą formacyjnością, nad tym, jak poważnie podchodzimy do naszej misji – do kształtowania charakteru przez stawianie wyzwań. Żeby nie okazało się, iż ministerstwo bardziej wierzy w nasze możliwości kształtowania młodych ludzi niż my sami. I niż to jest w rzeczywistości...

Na koniec – ciekawi mnie niesłuchanie, cóż takiego ma na myśli pani Minister, gdy używa pojęcia „organizacja formacyjna”. A ściślej: wychowywanie, kształtowanie młodych ludzi w świecie jakich wartości ma na myśli? Wbrew pozorom zgodność oczekiwań z naszymi zapisami statutowymi w tym względzie nie musi być taka oczywista...

Nie miejmy kompleksów

Podczas październikowej debaty Rady Naczelnej na temat zmian w Systemie stopni instruktorskich trochę czasu zajęła zgromadzoną rozmowa o uprawnieniach państwowych, które dają nasze stopnie instruktorskie. Konkretnie chodziło o stopień przewodniczk/przewodnika, który daje uprawnienia, a więc ma równoważyć kompetencje, przewidziane dla wychowawcy wycieczki.

Rozmowa miała dwa aspekty. Pierwszy, czysto formalny, pominię tutaj, bo wiadomo, jakie są przepisy i – mimo dużego zrozumienia dla często trudnych sytuacji zdarzających się naszej kadrze podczas kuratorskich wizytacji – jednak przekracza granice mojej akceptacji fakt, że oto jacyś urzędnicy kuratorium oświaty mogą sobie stwierdzić, że mają w nosie rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej. A do tego przecież sprowadza się kwestionowanie przez nich uprawnień wychowawcy posiadanych z racji bycia instruktorem ZHP.

Ważniejszy jest dla mnie drugi aspekt – mentalny, związany z tym, jak sami myślimy o sobie: o naszej organizacji, o metodach przygotowywania naszej kadry i jakości samych instruktorów.

Rzecz w tym, że – moim zdaniem – jest oznaką niezwyklej kompleksów fakt, że wątpimy w porównywalność przygotowania do pracy z dziećmi przewodnika i absolwenta kursu wychowawców. Wątpimy na tyle, że pojawiają się pytania, czy nie lepiej wprowadzić dla zdobywających stopień przewodnika obowiązek ukończenia takiego kursu. Czyli co, mielibyśmy wysyłać naszych ludzi na kurs wychowawców?! O nie! Szanujmy ich czas i szanujmy siebie! To naprawdę nie ma sensu! Dlaczego? Wystarczy sprawdzić, czy nasz proces przygotowania instruktora rzeczywiście równoważy kurs wychowawców wycieczki, czyli kurs, który trwa 36 godzin. Sprawdźmy zatem, jak przygotowany jest instruktor, a więc osoba, która zamknęła pozytywnie próbę przewodnikowską w ZHP. Oto najważniejsze fakty (wg Systemu stopni instruktorskich obowiązującego od stycznia 2017 r.):

Przewodnik na pewno ukończył kurs przewodnikowski, który jest obowiązkowy, a który trwać będzie za chwilę ok. 55-60 godzin. Ma przez 9 miesięcy pełnić aktywną służbę w drużynie – to nie ma być praktyka dorywcza, ale stała służba, która zawiera m.in. takie elementy, jak planowanie pracy, samodzielne prowadzenie zbiórek i organizowanie rozmaitych form pracy (w tym wyjazdowych). Ma także brać udział w przygotowaniu kolonii lub obozu i pełnić na nim funkcję (przyjmijmy, że mówimy tutaj o formie choćby 14-dniowej, to już pokazuje nam skalę zdobytych doświadczeń). I jeszcze jedno: warunkiem zamknięcia próby przewodnikowskiej jest ukończenie 15-godzinnego kursu pierwszej pomocy (na kursie wychowawców są na to przeznaczone 4 godziny).

Jak to wszystko się ma do 36-godzinnego kursu wychowawców? Widać gołym okiem, że to są dwa światy: w jednym otrzymujemy kogoś, kto ma zasygnalizowane podstawy na temat pracy wychowawcy, w drugim – kogoś, kto oprócz zdecydowanie pełniejszej wiedzy, ma także sprawdzone w działaniu umiejętności oraz już dość bogate doświadczenie w pracy z dziećmi.

Wniosek jest jeden: nasz przewodnik jest **znacznie lepiej przygotowany** do swojej roli podczas kolonii/obozu niż absolwent nawet najlepszego kursu wychowawców wypoczynku. Nie powinniśmy więc mieć tutaj żadnych kompleksów!

Instruktor-wychowawca

Po uchwaleniu przez Radę Naczelną na początku października nowego Systemu stopni instruktorskich rozgorzała w Związku dyskusja. Jej początek (jak się okazuje) zaprezentowaliśmy w poprzednim numerze „Czuwaj”, publikując list otwarty instruktorów Chorągwi Gdańskiej do Rady Naczelnej ZHP. Wówczas był to list podpisany przez dwoje instruktorów, z intencją zbierania pod nim podpisów. Tych podpisów jest już kilkadziesiąt, pojawiły się też nowe oświadczenia, stanowiska i poglądy na rozmaitych harcerskich forach.

I jest to... niesamowite! Ponieważ po raz pierwszy od naprawdę dawna mamy w Związku bardzo interesującą rozmowę instruktorską, wciągającą coraz więcej osób, angażującą instruktorów i z poziomu władz różnych szczebli, i z poziomu drużyn czy szczepli. Ale najważniejsze jest coś innego: ta rozmowa nie dotyczy (wreszcie!) składek, długów, regulaminów, absolutorium itp., itd., ale tego, co jest fundamentalne dla Związku: naszej misji i sensu bycia instruktorem!

To jest sedno sprawy – oto w Systemie stopni instruktorskich mówimy wprost, że stopnie są dla instruktorów-wychowawców, że idą za tym stwierdzeniem (zawartym w preambule uchwały) konkretne nowe wymagania na kolejne stopnie, zdecydowanie podkreślające ich wychowawczy charakter. To wyraźne postawienie na realizację misji ZHP, czyli na wychowanie, i na większe zwrócenie uwagi na wychowawcze umiejętności instruktorów. To wyraźna zmiana akcentów!

I rzeczywiście jest problem z formalnym rozwojem kadry specjalistycznej, komendantów, skarbników. Ale tu mamy dwie drogi. Możemy iść w kierunku, który zaproponowałem w poprzednim numerze, a więc zachęcać naszą kadre, aby myślała o sobie jako wychowawcach, zdobywała stopnie instruktorskie i aby w pełnieniu swej funkcji (każdej!) działała jak prawdziwy wychowawca (a nie menedżer czy finansista). Możemy też rozwijać istniejące pomysły i zacząć szukać nowych rozwiązań, narzędzi dla takiej kadry. Tym bardziej, że chcemy przecież przyciągać do nas kadre 35+ (a żeby przyciągać, trzeba mieć dla niej coś przyciągającego). Oczywiście możemy także i jedno, i drugie...

Mam nadzieję, że czeka nas dobra, ciekawa i ważna debata. Wskazuje na to i temat sporu, który dotyczy spraw absolutnie fundamentalnych dla organizacji

wychowawczej, i fakt, że ów spór nie jest wydumany. On jest jak najbardziej rzeczywisty, bo niewątpliwie mamy do czynienia z dwoma odmiennymi sposobami patrzenia na to, kim ma być instruktor ZHP.

Być może ta dyskusja zadecyduje na lata o kierunku, w którym podąży nasz Związek. Dlatego tak ważne jest, aby była to debata oparta na faktach, zakładająca dobre intencje dyskutantów, mająca na celu zrozumienie drugiej strony i wypracowanie takich rozwiązań, dzięki którym obie strony sporu będą w stanie z satysfakcją wspólnie rozwijać nadal naszą organizację.

Harc mistrzowie na fb

Zapytała mnie ostatnio pewna instruktorka, czy zaglądam na facebookową grupę harcmistrzów (szukaj: „Harc mistrzowie”). Malująca się na mojej twarzy niepewność była chyba dość jednoznaczna i czytelna, gdyż zaraz potem usłyszałem dłuższy wywód, brzmiący mniej więcej tak:

Bo wiesz, to takie specyficzne miejsce. Sami harcmistrzowie, harcerstwo, braterstwo etc., a te dyskusje takie dziwne. Zwykle wątki zaczynają się od jakiegoś problemu – albo rzeczywistego, albo kompletnie wydumanego, a potem jest już tylko nakręcanie się, szukanie dziury w całym, okropne marudzenie. I za każdym razem widzę, że ci harcmistrzowie to straszni pesymiści są, ten nasz harcerski świat widzą w czarnych barwach. A wiesz, co mnie dziwi najbardziej? Że harcmistrzowie nie są otwarci na poglądy innych. No bo jak rozmawiam z kimś, to cała frajda polega na tym, że jak ma inne poglądy, to chcę zrozumieć ten inny sposób myślenia, prawda? A tutaj nie – jest przekonywanie za wszelką cenę, że ja mam rację, bez jakiegokolwiek marginesu czy niepewności, że może jednak się mylę i ktoś inny ma rację? No i ta przewidywalność – wiadomo od razu, kto na kogo zareaguje i jaka to będzie reakcja. W sumie nudy...

Czytam te harcmistrzowskie facebookowe dyskusje, choć – nie ukrywam – rzadko, bo grupa wprawdzie ciekawa i duża (już ponad 1000 członków!), ale grono dyskutantów jakby to samo (a więc z tą przewidywalnością muszę się zgodzić). Jednak skuszony tak specyficzną „reklamą” zajrzałem. I co widzę? Widzę coś innego...

Widzę interesujące rozmowy: o finansowaniu ZHP, o zwołanym właśnie zjeździe nadzwyczajnym, o oficjalnej wykładni Prawa i Przyrzeczenia, o systemie stopni i pracy z kadrą, o działaniach rozmaitych władz ZHP, o wartościach na co dzień, o zniżkach PKP dla instruktorów...

Widzę bardzo pozytywne i budujące wątki: o najniższych w historii najnowszej zaległościach składkowych, o wyróżnieniach dla naszych instruktorów, o osiągnięciach rozmaitych środowisk...

Widzę ciekawe, choć czasami pozostające bez komentarza wpisy: o harcistrzowskich dylematach, spostrzeżeniach i obserwacjach rzeczywistości, o sprawach, które dla osoby piszącej są po prostu ważne, ciekawe, radosne (indywidualne sukcesy) lub smutne (kolejni instruktorzy odchodzą na wieczną wartę), także wpisy z linkami do zewnętrznych (nieharcerskich), ale dających do myślenia stron w sieci.

Widzę też wypowiedzi harcistrzów, którzy są żywo zainteresowani różnymi aspektami życia Związku, którzy odnoszą się do siebie z szacunkiem, są otwarci na inne poglądy, mają świadomość wspólnoty organizacyjnej.

Tak, widzę coś innego – nie jest tak źle, jak opowiadała mi moja rozmówczyni! Owszem, są przypadki dziwnych wypowiedzi, ale myślę sobie, że nie może przecież być tak, że zaledwie kilka osób ze swoim osobliwym spojrzeniem na świat czy jakimiś kompleksami (sorry, harcmistrz też człowiek), rzutuje na widzenie całego harcistrzowskiego grona. Bo przecież harcistrzów mamy kilka tysięcy, wśród nich osoby naprawdę wybitne, mądre, czujące doskonale harcerstwo i – tak po ludzku – po prostu dobre.

To napisałem ja, optymista z natury!

Moje prawa a organizacja

Wydarzenia z początków grudnia związane z publiczną wypowiedzią jednego z komendantów chorągwi na temat stanu wojennego znane są chyba każdemu instruktorowi. Z pewnością każdemu świadomemu instruktorowi dały do myślenia. Mnie również.

Od razu zaznaczę, że nie chcę się bezpośrednio odnosić do słów, które padły publicznie (są nie do obrony), nie chcę pisać oczywistości o stanie polskiej debaty publicznej, polskiego dziennikarstwa, pisać o krętych drogach wypowiedzi w świecie mediów elektronicznych, tym bardziej o jakości współczesnej polityki. Nie chcę także pisać o stereotypach, łatwości wydawania sądów, języku wypowiedzi czy krzywdzeniu zbiorowości (w tym przypadku instruktorów ZHP) przez nieuprawnione generalizowanie wyjątkowo niefortunnej wypowiedzi.

Zajmę się problemem relacji między poszanowaniem moich praw publicznych, obywatelskich a ograniczeniami, które wymusza (no właśnie, czy wymusza?) pełnienie określonych funkcji w organizacji harcerskiej.

Od wielu lat, przeważnie przy okazji kolejnych wyborów samorządowych, wraca sprawa uczestniczenia w nich naszych instruktorów. Bowiem wiadomo, że kandydowanie na funkcję radnego w zdecydowanej większości przypadków wiąże się z funkcjonowaniem w ramach jakiejś struktury partyjnej, a więc z zaangażowaniem instruktora w politykę. Jednakże skrajny pogląd, że to zaangażowanie narusza apolityczność organizacji, nie znajduje uznania. Górę bierze przekonanie, że bycie radnym to w sensie formalnym najwyższy poziom włączenia się w sprawy lokalne, czyli jest to właściwie kulminacja harcerskiego wychowania młodego człowieka do podejmowania odpowiedzialności za swoją społeczność lokalną. Podobnie oceniamy każdą aktywność publiczną naszych instruktorów – każdy przypadek zabierania głosu w sprawach publicznych (od problemów spalarni śmieci w gminie aż po sprawy o charakterze konstytucyjnym, ustrojowym).

Wspomniałem na wstępie, o czym nie chciałbym tutaj pisać, jednak właśnie te zjawiska sprawiają, że jest nam coraz trudniej cieszyć się z aktywności publicznej instruktorów. Dziś bowiem, w czarno-białym świecie polityki, która jest w stanie podzielić nawet rodziny i najserdeczniejszych przyjaciół, nie sposób wypowiedzieć się, nie będąc zaraz przypisanym do jakiejś grupy – co jednocześnie oznacza, że dla wielu człowiek staje się wrogiem...

W tej rzeczywistości wraca ze zdwojoną siłą pytanie, czy to, że ktoś jest instruktorem ZHP, powinno wpływać na świadome ograniczenie działalności publicznej? Czy możemy wymagać, aby pełnienie ważnej funkcji w ZHP ograniczało prawa obywatelskie instruktora? I które to są funkcje? Czy to ograniczenie miałoby dotyczyć członków władz naczelnych, czy może także władz chorągwi i hufców? A może też drużynowych, bo przecież nagłośnienie działalności politycznej drużynowego również może wpłynąć na wizerunek ZHP w środowisku lokalnym i na przykład relacje harcerstwa z burmistrzem czy wójtem? A może wręcz przeciwnie – nie powinniśmy ulec najbardziej prymitywnym zjawiskom społecznym i wprowadzając do działalności publicznej jak najwięcej uczciwych, przyzwoitych, propaństwowych instruktorów – zmieniać polskie życie publiczne?

Na te pytania każdy musi znaleźć odpowiedź w swoim instruktorskim sumieniu.

Refleksja nad naszą metodą

Weszliśmy w rok zjazdowy, coraz więcej instruktorów zaczyna myśleć o grundniowym zjeździe ZHP, zastanawiając się, co ze statutem, jakie nowe władze, jaka nowa strategia. My w „Czuwaj” myślimy o tym zjeździe już od dłuższego czasu, z dość dużym uporem zachęcając, aby kierować swe przedzjazdowe myśli w stronę tego, co najważniejsze – naszej misji. Dlatego tak często przypominamy, że na pierwszym miejscu powinno być dziecko, powinno być wychowanie. Że nie możemy ulec pokusie zajęcia się wyłącznie – skądinąd pasjonującymi – wyborami, sporami statutowymi, pieniędzmi i składkami. A nawet jeśli mówimy na przykład o składkach, to musimy pamiętać o oddziaływaniu każdego przyjętego systemu na nasze zuchy, harcerzy – o tym, czy i jak wspierać będą one wychowanie.

Ale kiedy mówimy o naszej misji, nie sposób uciec od tego, w jaki sposób ją realizujemy. Trzeba więc znaleźć czas na refleksję nad naszą metodą...

Otworzyć umysł

Żeby porozmawiać o metodzie harcerskiej w sposób odpowiedzialny, krytyczny i twórczy, konieczne jest przyjęcie wstępnego założenia – że jesteśmy otwarci na wszelkie argumenty, także, a właściwie zwłaszcza, te, które są niezgodne z naszą intuicją, z naszym sposobem myślenia. Można to ująć także odwrotnie – należy pozbyć się postawy bezkrytycznej, „na klęczkach” wobec naszej metody. Nie da się bowiem rozmawiać o skuteczności metody z przekonaniem, że została nam dana „z góry” i w związku z tym nie wolno w niej nic zmienić.

Otóż wolno, bo metoda to nie Dekalog dany przez Boga, ale sposób działania, który ma być przede wszystkim skuteczny, który ma pomagać realizować cele wychowawcze harcerstwa. Skoro w skautingu, którego jesteśmy przecież

częścią, myślą intensywnie nad zmianami w ponad stuletniej metodzie, to chyba my w ZHP też możemy przyjąć, że nasza harcerska metoda czy – szerzej – nasz harcerski system wychowawczy może zostać zmieniony?

Dlaczego?

Ale właściwie dlaczego mielibyśmy przyglądać się metodzie? Odpowiedź jest prosta a jednocześnie zatrważająca: bo coś nam szwankuje, to nam nie działa!

Zanim pomyślisz, drogi Czytelniku, czy aby nie warto (z przekonania bądź demonstracyjnie) się oburzyć i zakończyć czytanie tego tekstu, pomyśl o gromadach i drużynach w swoim hufcu. Będzie to łatwiejsze, gdy jesteś kształceniowcem, namiestnikiem, członkiem KSI lub szczepowym – otóż czy z ręką na sercu możesz powiedzieć, że w Twoim hufcu podstawowe jednostki rzeczywiście pracują zgodnie z metodą? Czy zuchy oprócz sprawności zespołowych zdobywają też gwiazdki i sprawności indywidualne? A harcerze – czy zdobywają stopnie i sprawności, czy pracują w zastępach, czy realizują zadania zespołowe? Jak jest?

Gdy zadaję podobne pytania, zwykle słyszę, że zdarzają się gromady, drużyny, w których to działa, a w pozostałych nie działa, „bo to szczególnie przypadek”. Ale co jest w hufcu regułą, a co wyjątkiem? Czy regułą jest rzeczywiście praca zgodna z metodą, a odstępstwa metodyczne są pojedynczymi przypadkami, nad którymi usilnie pracuje kadra hufca, wspierając drużynowego, który ma kłopoty? Nie oszukujmy się, wiemy, jak jest...

Odwołałem się tu do naszej oceny intuicyjnej, mam jednak świadomość, że wnioskowanie „a u mnie w hufcu” nie jest właściwe dla myślenia systemowego całej organizacji. Warto zatem zajrzeć do wyników pełniejszych badań. Wprawdzie nie mamy aktualnych badań stricte metodycznych, jednak z różnych innych prowadzonych przez Harcerski Instytut Badawczy możemy się zorientować, że ze stosowaniem choćby instrumentów metodycznych nie jest dobrze (patrz: tekst hm. Justyny Sikorskiej). Oto przykłady: 28% zuchów nie zdobyło w ubiegłym roku żadnej gwiazdki, w połowie badanych jednostek w ciągu roku zdobyło trzy lub mniej sprawności indywidualnych (w sumie – na całą jednostkę!), 1/3 drużyn harcerskich właściwie nie pracuje zastępami, 2/3 nie wykorzystuje zadań zespołowych. Czy to jest jeszcze harcerstwo???

Nie możemy jednak poprzestać na konstatacji, że metoda nie działa. Choć mam świadomość, że dla wielu instruktorów już samo to stwierdzenie jest nieakceptowalne – mimo rzeczywistości. Według mnie kluczowe jest odpowiedzenie

sobie na ważniejsze pytania: Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego ta nasza stuletnia metoda nie działa? Sądzę, że przyczyn jest co najmniej kilka. A większość z nich jest związana, niestety, z nią samą.

Dla młodych i nieprzygotowanych

Zwykle, gdy zachęcam do rozmowy o metodzie (z założeniem otwarcia się na jej ewentualne modyfikacje), słyszę jej obrońców, którzy powiadają tak: *Ale to nie metoda jest zła – ona jest bardzo dobra i skuteczna, ale ci, którzy mają ją stosować, są niedouczeni, po prostu nieprzygotowani do pracy nią! I za młodzi, więc nie są w stanie dojrzałe się nią posługiwać.*

Z główną myślą muszę się zgodzić. Tak, to prawda: nie dajemy sobie rady z metodą. Nie dają rady drużynowi. Wiemy nawet, dlaczego. Są rzeczywiście nieprzygotowani do świadomego korzystania z niej, co często wynika z ich młodego wieku. Ale czy to margines? No właśnie nie.

Z danych w Ewidencji (nie wiem, czy już oficjalnych – zdobyłem je „po kumotersku”) wynika, że na koniec 2016 r. wśród drużynowych ponad 45% nie było instruktorami! A – przypomnę – Statut ZHP mówi, że funkcja drużynowego co do zasady ma być pełniona przez instruktorów, a jedynie w wyjątkowych przypadkach (!) może być powierzona nieinstruktorowi. 45% wyjątków? Nie, to już niestety reguła!

Spójrzmy na jeszcze inne ciekawe dane – medianę wieku, w którym zostaje się drużynowym i kiedy odchodzi się w ZHP z tej funkcji. Otóż połowa drużynowych zostaje mianowana na funkcję, mając 18 lat lub mniej, a jest zwalniana w wieku co najwyżej 21–22 lat!

Jaki z tego wniosek? Metoda powinna być logiczna i rozumiała nie tylko dla pedagogów, ale przede wszystkim dla 16–17-letnich drużynowych! Inaczej mówiąc: powinniśmy mieć taką metodę, którą będzie rozumiał i potrafił z sukcesem stosować licealista – a więc człowiek, który z pewnością ma ambicję, energię, motywację do działania, ale w kwestiach wychowawczych jest amatorem.

Jeszcze inaczej to sformułuję: to profesjonaliści (pedagodzy, psychologzy) powinni sformułować metodę, która, wychodząc wprawdzie z solidnych podstaw naukowych, będzie opisana językiem dla nieprofesjonalistów, prostym, zrozumiałym dla 16–17-latków – aby z łatwością przełożyli ją na praktykę swojego działania!

Nieskomplikowana

Z powyższym postulatem wiąże się kolejny, bardziej konkretny: metoda musi być prosto opisana. Dziś jest bardzo skomplikowana: trzy zasady, cztery elementy i na dodatek sześć cech – nienaturalnych, nieintuicyjnych.

Jak tego uczyć? Metoda powinna być łatwa do opisania i zapamiętania, najlepiej za pomocą jakiejś sprytniej mnemotechnicznej sztuczki. Tak, wiem, dzielni kształceniowcy próbują sobie z tym radzić. Stąd pomysły na żaglowce o trzech masztach (zasady), czterech bulajach (elementy) i sześciu szalupach (cechy) albo zamki o iluś wieżach, bramach czy chorągiewkach, albo krowa z czterema nogami, trzema łatami i sześcioma wymionami – tak, to właśnie kształceniowa rzeczywistość. Ale gdzie statkowi, zamkowi czy krowie do ręki metody?

Intuicyjna

Kiedy nawet już uda się (z pomocą krowy czy statku) wtłoczyć młodym uczestnikom kursu wszystkie części składowe metody (nazywane dla urozmaicenia zasadami, elementami i cechami), to już nie ma czasu, ale czasem także predyspozycji, aby je naprawdę zrozumieć. A przecież zrozumienie jest podstawą, aby metodę z powodzeniem zastosować w pracy gromady lub drużyny.

Metoda powinna być zatem intuicyjna, a przez to łatwa w stosowaniu. Uczestnik kursu (przyboczny) powinien ją doskonale „czuć” z pracy swojej drużyny, a zajęcia o metodzie na kursie winny być jedynie zebraniem jego doświadczeń w całość, z ewentualnym uświadomieniem, czego w jego drużynie brakuje.

Motywująca

Żeby metoda była skuteczna, musi moim zdaniem być także motywująca. Rozumiem to w ten sposób: jeśli jako drużynowy ją stosuję, to odnoszę sukces. Ona po prostu daje gwarancję sukcesu.

Widać, że najbliższej nam do tego ideału w przypadku metodyki wychowawczej. Opisana jest ona w taki sposób, że nawet działanie nie w pełni świadome, realizowane przez drużynowego 16-letniego najczęściej kończy się sukcesem – mamy dobrą gromadę. Notabene to dowód potwierdzający słuszność wcześniejszego postulatu: metoda przygotowana przez profesjonalistów wychowania, ale dla amatorów.

Spójrzmy na to jeszcze z drugiej strony – ta motywacyjna rola metody musi polegać także na tym, że jeśli jej nie stosuję w całości, to drużyna mi po prostu pada. Zatem drużynowemu nie przyjdzie nawet do głowy, aby pójść na skróty, opuścić jakiś element, bo wie, że to prosta droga do porażki.

A jak jest dziś? Dziś można nie pracować zastępami, nie realizować zadań zespołowych, „zapomnieć” o stopniach i drużynowemu wydaje się, że prowadzi drużynę harcerską, bo jest nawet łatwiej, lepiej, fajniej...

Kompletna

Temu drużynowemu, który nie stosuje większości instrumentów metodycznych, może jest faktycznie łatwiej pełnić funkcję. Można rzec, że jest to normalne, ludzkie. Gorzej jednak, że często taki drużynowy nie ma świadomości, że owszem, prowadzi fajne zajęcia, że robi coś naprawdę pożytecznego dla dzieciaków, tyle tylko, że... nie jest to harcerstwo!

Metoda zatem powinna być kompletna – czyli opisana takimi składnikami (nie chcę używać pojęć cecha, element – żeby nie mylić nazw), że kiedy choć jeden taki składnik odejmę, to całość przestaje działać (patrz wyżej) i – co ważniejsze – możemy wtedy śmiało powiedzieć, że bez tego jednego (dowolnego) składnika to już nie jest metoda harcerska.

To szczególnie ważne, bowiem dziś z naszej metody młoda, nieprzygotowana wystarczająco kadra bierze tylko to, co chce. I nawet bez zastępów, bez stopni i sprawności, bez realnego istnienia w pracy drużyny Prawa Harcerskiego – mimo tych braków drużynowy, szczerpowy, namiestnik mówią, że to świetna drużyna, bo dzieci są ładnie umundurowane, mają zbiórki co tydzień, a nawet piękną stronę internetową (sic!).

A może...

Spotkałem się ostatnio z dwoma ciekawymi przykładami badań dotyczącymi wartości i postaw, które mają pokazywać, że metoda, ba, generalnie harcerstwo nie jest skuteczne. W badaniu przeprowadzonym przez panel badawczy ZHP wyszło, że około 60% respondentów pije alkohol. Automatycznie pojawia się wniosek: jesteśmy nieskuteczni! Podobne wnioski płyną z międzynarodowego badania Harcerskiego Instytutu Badawczego – młodzi ludzie, którzy przeszli przez harcerstwo (skauting), niczym się nie różnią, jeśli chodzi o wyznawane

wartości, od swych rówieśników. (Na marginesie: gdy wyniki obu badań będą już opracowane, z pewnością zaprezentujemy je w „Czuwaj!”).

Zgoda, z powyższych wyników można wysnuć wniosek, że jesteśmy nieskuteczni. Ale czy... jesteśmy w stanie być?

Sądzę, że jest jeszcze jeden niesłyszany ważny element, o którym warto pomyśleć, kiedy zastanawiamy się nad skutecznością harcerskiego oddziaływania. Bo, owszem, metoda jest nieskuteczna, ale może jej nieskuteczność nie wynika wcale z wewnętrznych uwarunkowań, o których pisałem wyżej, ale z czynników zewnętrznych?

Czy myśląc o skuteczności harcerstwa, nie przesadzamy, nie przeceniamy swoich możliwości? Czy naprawdę sądzimy, że jesteśmy w stanie mieć tak duży wpływ na młodego człowieka, że wartości wyniesione z drużyny przeważają nad wpływem klasy i innych grup w szkole, grup osiedlowych czy związanych z realizacją pasji sportowych, kulturalnych itp. Czy wierzymy, że styl harcerski jest w stanie powstrzymać negatywny wpływ wirtualnego świata oddziałującego na młodego człowieka (dosłownie) od przebudzenia aż po zaśnięcie? Czy – to gorzkie i chyba najbardziej kontrowersyjne – czy dalej jesteśmy w stanie wychowywać w taki sposób, jak zapisaliśmy w rozmaitych dokumentach i jak chcielibyśmy?

A może, oczywiście będąc cały czas wiernym zasadom fundamentalnym, harcerskim ideałom, trzeba jednak zmienić nieco nasze cele, urealnić je, dostosować do zmieniającego się świata zewnętrznego?

Ważne, aby umieć sobie uczciwie odpowiedzieć na te pytania i umieć przyznać się przed samym sobą, że nie jesteśmy w stanie sprostać wyobrażeniom organizacji wychowawczej, które tkwią w naszych głowach. Co więcej, jeśli uznamy, że nie jesteśmy w stanie kształtować młodych ludzi w tak szerokim zakresie, jak dziś chcemy, to będzie nam łatwiej dokonać redefinicji metody na model przystający do świata realnego, a więc skuteczny.

* * *

Wiem, to trudne sprawy. Wiem, czasem burzą nasz spokój, nasz ułożony harcerski świat, czasem także nasze dobre samopoczucie. Ale czy na taką szczerą, trudną autorefleksję i uczciwą, odpowiedzialną dyskusję będzie lepszy czas niż teraz – kilka miesięcy przez zjazdem ZHP?

Chyba włożyłem kij w mrowisko...

Rok 2016: K jak...

Zastanawiałem się ostatnio, jakie słowo najlepiej charakteryzuje miniony rok? Czy przez 12 miesięcy wydarzyło się w Związku coś takiego, co dotyczyło całej kadry naszej organizacji i wszystkich szczebli struktury – od Rady Naczelnej po gromady i drużyny?

Tak, myślę, że były to zmiany w dokumentach: od instrukcji podstawowych jednostek, przez liczne dokumenty kształceniowe, aż po dotyczący naprawę całej kadry System stopni instruktorskich. A to słowo? Wyszło mi, że K jak... konsultacje! Bo każdy z powyższych dokumentów był wszechstronnie konsultowany, choć każdorazowo przez kogoś innego (Zespół ds. „opcji zero”, CSI ZHP, Radę Naczelną).

Jednak niezależnie od tematu i od osób konsultujących słyszałem podobne uwagi, które dają do myślenia przed różnymi konsultacjami w przyszłości.

Biorący udział w konsultacjach cieszyli się oczywiście, że „ktoś tam na górze” pyta ich o zdanie, że wysłuchał, że można było przesłać swoje uwagi, ba, nawet otrzymało się indywidualną odpowiedź, która wskazywała, że ktoś je przeczytał i się nimi na serio przejął! Ale nie wszyscy podzielali tę radość, szczególnie ci, których uwagi nie zostały uwzględnione. Wtedy pojawiała się druga skrajność i opinie typu: „Nie biorą pod uwagę moich wniosków! Te konsultacje to tylko alibi dla władz, biorą tylko to, co im pasuje!”. Albo mocniej: „Robią to tylko po to, aby dać wrażenie dołom, że się z nimi liczą!”...

Z drugiej strony – konsultujący też mają spreczne odczucia. Satysfakcja i poczucie sensu, gdy padają naprawdę ciekawe i mądre spostrzeżenia, które pozwalają tworzyć dokumenty uwzględniające różnorodność naszej organizacji. Ale też zmęczenie, zniechęcenie, frustracja, bo ciągle słyhać narzekania niezadowolonych (czyli tych, których pomysły nie zostały uwzględnione), pojawiają się nowe formy protestu (listy, petycje) oraz coraz częstsze i mocniejsze wypowiedzi w mediach społecznościowych, czasem wręcz nieprzyzwoite pomówienia i wycieczki osobiste. Ech...

Cóż, taka jest właśnie specyfika konsultacji. Zawsze będą niezadowoleni, bo przecież nie da się uwzględnić wszystkich (nawet kilkuset!!!) pomysłów czy poprawek, często sprzecznych ze sobą albo pasujących do zupełnie innej koncep-

cji. Bo to także normalne (ludzkie po prostu), że tworzący dokumenty chętniej przyjmują te uwagi, które zgodne są z ich sposobem myślenia, które udoskonalają ich (najlepsze, najcelniejsze) pomysły. Mniej przyzwoite, ale też normalne (ludzkie) jest powoływanie się na konsultacje tylko wtedy, gdy to nam pasuje – a tak na przykład było podczas pracy nad stopniami instruktorskimi.

Mimo wszystko uważam, że konsultacje są potrzebne, ponieważ posłuchanie, co inni myślą, nigdy żadnym władzom nie zaszkodzi. W daniu instruktorom poczucia, że władze się z nimi liczą, też nie ma nic złego! Bo przecież na samym końcu i tak na nich spocznie odpowiedzialność za podjęcie uchwał, a inne władze czy zjazdy z tych decyzji je rozliczą.

Konsultacje – to według mnie słowo roku 2016. A jakie będzie słowo roku 2017? Może Z jak zjazdy (bo przecież szykują się nam dwa zjazdy ZHP i kilkadziesiąt zjazdów sprawozdawczych w hufcach)? Albo J jak jamboree (którego organizacja w roku 2023 może zostanie nam przyznana)? Hmm, chyba i w kontekście zjazdów, i Jamboree 2023, i codziennego działania wszystkich jednostek ZHP wolałbym W jak wychowanie...

Nie można spać spokojnie!

Piłka nożna, medycyna – od zawsze. Na początku tego wieku doszły jeszcze skoki narciarskie. Są takie dziedziny, na których Polacy znają się doskonale. Tak po prostu jest i już. Ostatnio, za sprawą niezliczonych reform oświatowych, doszły do tej listy edukacja, wychowanie. Z nimi to my w Związku mamy dodatkowy kłopot. No bo skoro wychowujemy, skoro wychowuje w Związku Harcerstwa Polskiego szesnastoletni drużynowy, ba, nawet czternastoletni przyboczny, skoro ponad połowa drużynowych nie jest nawet instruktorami (a więc nie mamy pewności, czy spełniają określone przez nas samych w ZHP wymagania minimalne dla instruktora – harcerskiego wychowawcy), to znaczy, że...

No właśnie – co to znaczy?

Że nie szanujemy dzieci – naszych wychowanków, dopuszczając do pracy z nimi osoby nie dość, że młode (to akurat nie jest złe), ale też nieprzeszkolone, nieprzygotowane do roli wychowawcy (to już bardzo niedobrze)?

Że nie szanujemy rodziców, ponieważ nie zdajemy sobie sprawy, że powierzą nam najcenniejsze swoje skarby, a więc że nadużywamy ich zaufania?

Że bagatelizujemy znaczenie rzetelnej wiedzy, wyuczonych umiejętności, doświadczenia nabywanego pod okiem mistrzów, skoro masowo dopuszczamy do pracy wychowawczej naturšczyków bez podstawowego przeszkolenia?

Że nie działa w Związku system pracy z kadrą, skoro próba przewodnikowska (która miała być elementem przygotowania się przybocznego do świadomego, odpowiedzialnego przejścia gromady lub drużyny) jest próbą na żywym organizmie – dla drużynowych?

Że mamy w... powołaniu Statut ZHP, który stanowi generalną zasadę, że drużynowymi powinni być instruktorzy?

Że godzimy się na bylejąkość, przymykanie oka na nasze własne zasady, te fundamentalne, bo dotyczące wychowania?

Że – gdyby spojrzeć na to wszystko powyżej – nie traktujemy na serio swojej misji wychowawczej?

Właściwie odpowiedź na każdą z tych wątpliwości jest zatrważająca.

Zastanawiam się, że może trzeba odwołać kwietniowy zjazd nadzwyczajny albo zmienić jego cel – dać sobie spokój ze statutem? Bo jakie ma znaczenie, czy i kto będzie wybierał Radę Naczelną ZHP, kto i kiedy może odwołać członka Głównej Kwatery, czy mogą być w Związku członkowie honorowi albo czy to coś przyjmowane na zjeździe hufca będzie się nazywało strategią a nie programem rozwoju hufca, skoro ponad połowę drużyn prowadzą nieinstruktorzy, a stosowanie metody... ech, poczytajcie w poprzednim „Czuwaj”?!?

Ludzie, mamy coraz mniej harcerstwa w harcerstwie!!! Nasza misja to fikcja! Tak nie może być dalej!!! Członkowie władz naczelnych, czy Wy jesteście w stanie spać spokojnie?????

Ja nie mogę... :(

Moje potyczki ze statutem

Dokonywanie zmian w statucie to jedna z wyłącznych kompetencji zjazdu ZHP. I chyba najczęściej wykorzystywana i jednocześnie budząca najwięcej emocji – no, może obok wyborów (i to tylko wtedy, gdy mamy kilku kandydatów na najwyższe związkowe funkcje).

Od kilku lat uczestniczę w rozmaity sposób w pracach nad zmianami statutowymi. Sądzę, że w tym momencie jestem jedną z kilku osób w ZHP, które najlepiej znają materię statutową (cóż, fałszywa skromność jest mi obca), dlatego pokuszę się o kilka refleksji, zwłaszcza że następne zmiany będą dokonywane już za kilka miesięcy – nie mam w tym względzie żadnych wątpliwości.

NIE TAK

Ten artykuł zrodził się właściwie z mojego zrezygnowania czy nawet frustracji, że dziesiątki, a może setki godzin prac Komisji Statutowej wybranej przez 38 Zjazd ZHP (w tym moich) w dużej mierze poszły na marne. Bo oto okazało się, że długie przygotowania przez wiele miesięcy wcześniej, wysyłanie materiałów 45 dni przed zjazdem – to wszystko nie do końca miało sens. Dlaczego tak uważam?

Po pierwsze i najważniejsze – z niemałą trwogą zauważyłem już w pierwszym dniu zjazdu, że wielu, bardzo wielu delegatów nie przeczytało materiałów otrzymanych przed półtora miesiącem (!). Rozmowy kularowe a także wypowiedzi na sali plenarnej dowodziły, że jeśli nawet zapoznali się z nimi, to pobieżnie, bo na przykład nie rozumieli zaproponowanego systemu pracy.

Po drugie – jaki sens ma przygotowywanie wcześniej materiałów, konkretnych projektów uchwał i zachęcanie delegatów do zapoznania się z nimi (patrz: wyżej), jeśli wnioskodawcy w każdej chwili mogą wprowadzić dowolną zmianę, czasem wywracającą pierwotną ideę? Oczywiście pod pretekstem zgłasza-

nia autopoprawki... Rozumiem prawdziwe autopoprawki – zmiana słów, szyku wyrazów, uspojnienie z innymi przepisami, ale wprowadzanie całych nowych ustępów – to już przesada. Jest to praktyka po prostu nieuczciwa i niebezpieczna. Nieuczciwa wobec delegatów, którzy przygotowali się wcześniej, przeanalizowali poprawki, skonsultowali je w środowiskach itd. Niebezpieczna, bo komisja zjazdowa składająca się nawet z największych fachowców może przeoczyć błędy, kiedy dostaje projekt w ostatnim momencie i pracuje (jak zwykle) pod ogromną presją czasu.

Po trzecie – jeśli już mowa o pewnej nieuczciwości: jej przejawem jest moim zdaniem zbyt duże poczucie autorstwa wnoszonych projektów, co manifestuje się między innymi tym, że w każdym momencie wnioskodawca może swój projekt wycofać. To nie jest dobre rozwiązanie, ponieważ wielu delegatów może jechać na zjazd z przekonaniem, że jakieś zmiany nastąpią. Ba, mogą nawet nie wnosić swoich projektów, propozycji zmian, gdyż widzą, że ktoś inny to już zrobił. I jak się czują, gdy w ostatnim momencie (bo, znowu, presja czasu), wnioskodawca projekt wycofuje? Czy to znaczy, że ten projekt był nieważny? Jeśli tak, to może wymagać więcej rozważań podczas wnoszenia projektów?

TAK

Ale są elementy, które moim zdaniem się sprawdziły. Oczywiście – zastrzegam – nie będzie to zdanie obiektywne, jako że oba elementy, o których chcę napisać, są moim osobistym sukcesem – trudno więc, żebym miał o nich zdanie inne niż pozytywne. :)

Przede wszystkim sędzę, że już na stałe weszło do naszych procedur poddawanie kolejno pod głosowanie wielu uchwał zmieniających statut. Z osobistą satysfakcją zauważyłem, że są delegaci, dla których taki sposób przyjmowania zmian w statucie jest czymś naturalnym. Jak bajki słuchali opowieści o zjazdach, które pracowały kilkanaście czy kilkadziesiąt godzin nad jedną uchwałą w sprawie zmian w statucie, która potem przepadała w ostatecznym głosowaniu nad całym statutem. To już przeszłość. Myślę, że wszyscy przekonali się już do systemu z wieloma uchwałami.

W materiałach Komisji Statutowej ze stycznia tego roku zaproponowałem inną nowość – pytania kierunkowe. Wydaje mi się, że jest to sposób, który też się przyjęło, bo chyba wszyscy delegaci rozumieją, jak trudno uzyskać jest większość statutową 2/3 głosów, widzą też, że nie ma sensu marnować czasu na pracę nad uchwałami, które nie są w stanie zebrać nie tylko 2/3, ale nawet połowy głosów.

Żeby ten pomysł zadziałał, konieczne będą jednak dwie istotne modyfikacje. Nie należy prowadzić dyskusji merytorycznej nad samą treścią (swoją drogą nie wiem, skąd się wziął ten pomysł – nie przyznaję się do niego!), ponieważ, co było widać w piątek, delegatom trudno odróżnić debatę właściwie „semantyczno-formalną” od merytorycznej. Ale jest coś jeszcze ważniejszego: warto, aby na takie pytania kierunkowe odpowiadać nie na tym samym zjeździe – aby były one wskazówką dla zespołów przygotowujących konkretne uchwały już po nim. Wyobrażam to sobie, że tegoroczny grudniowy zjazd może wytyczyć 2–4 kierunki zmian w statucie i powołać zespół, który nad nimi popracuje. Wyniki zaprezentuje na kolejnym zjeździe (zwykłym lub nadzwyczajnym), gdzie statut będzie zmieniony.

Oczywiście jest też wiele innych możliwości usprawnień, nie tylko związanych ze statutem, które warto wprowadzić...

W tym miejscu zaczynała się druga część artykułu. Kasuję ją jednak, gdyż wiele pomysłów (z którymi się zgadzam) zreferował obok hm. Paweł Chmielewski. Zachęcam do przeczytania jego tekstu. Może jeszcze tylko jedno – do tych założeń Pawła, o których pisze w pierwszej części swojego artykułu, dodałbym coś jeszcze, co wybrzmiewa między wierszami i o czym już pisałem powyżej, ale co moim zdaniem należy napisać wprost i powtarzać w nieskończoność: żaden system nie pomoże, gdy delegaci nie będą świadomi swojej roli i gdy nie przeczytają (ze zrozumieniem) materiałów zjazdowych!!!

Zatem do następnego, jeszcze lepszego zjazdu.

O rety! Co robić?

W numerze lutowym na końcu niepozornego felietonu pisałem, a właściwie wołałem: *Ludzie, mamy coraz mniej harcerstwa w harcerstwie!!! Nasza misja to fikcja! Tak nie może być dalej!!! Członkowie władz naczelnych, czy Wy jesteście w stanie spać spokojnie????? Ja nie mogę... :(*

To się nie zmieniło, problem, o którym pisałem, gnębi mnie wciąż okrutnie! Czas zmierzyć się z nim mocniej. Ale po kolei...

Tematem tym zajmuję się nie po raz pierwszy. Między innymi niemal dziewięć lat temu w numerze 11/2008 „Czuwaj” przedstawiałem w tekście okładowym „Prawdziwe problemy ZHP”. Wskazałem wówczas trzy takie sprawy, przypominę je pokrótce, cytując fragmenty owego historycznego już artykułu.

PROBLEM 1: w jakim celu

(...) najważniejsze jest to, co mamy zapisane w naszej misji, a więc wychowanie – to jest nasz problem numer jeden!

(...) szkoda marnować kolejny rok, lepiej jak najszybciej zmusić się do refleksji nad sprawami, które stanowią istotę problemu. A takich spraw, rozmaitych dylematów jest sporo. Odpowiedzmy więc sobie na kilka pytań:

- Czy można liczyć na to, że 16- czy 17-letni przyboczny lub drużynowy może realnie prowadzić działania wychowawcze?
- Czy metoda harcerska jest tak opisana, że drużynowy jest w stanie ją zrozumieć i – co najważniejsze – zastosować w praktyce?
- Czy mając do czynienia z bardzo słabym drużynowym, po prostu pozwalamy mu dalej działać (bo chodzi o to, aby było harcerstwo), czy rozwiązujemy drużynę (aby nie skażać dzieci pseudoharcerstwem)? A czy jeśli pozwalamy mu działać, to czy całą energię koncentrujemy na wsparciu merytorycznym dla niego?
- Czy instruktorem, a potem podharc mistrzem i harc mistrzem może zostać w ZHP tylko ten, kto rozumie wychowawczą misję harcerstwa (choćby tyle, choć tak naprawdę warto byłoby brać pod uwagę działanie zgodne z misją)?
- Czy w ZHP mówi się o popełnianych błędach wychowawczych i czy coś się z tym robi?
- W ilu hufcach prowadzona jest systematyczna ocena gromad i drużyn pod kątem osiągnięcia przez drużynowych wymiernych rezultatów wychowawczych?
- Czy mamy – jako organizacja – jakieś realne możliwości wymuszenia na komendach hufców i chorągwi autentycznego wspierania drużynowych?

- Kiedy ostatni raz w naszym Związku dokonano zmiany przepisów tak, aby ułatwić życie zwyktemu drużynowemu (chodzi tutaj o realne działania, a nie uchwały w sprawie odbiurokratyzowania)?
- Kiedy po raz ostatni w ZHP dokonaliśmy wnikliwego, szerokiego przeglądu sposobów i form naszej działalności wychowawczej? Kiedy po raz ostatni zmieniliśmy coś w sposobie naszego działania, tak aby skuteczniej oddziaływać na wychowanków? I czy to były działania powszechne?

PROBLEM 2: w jaki sposób

Obok problemu, czy ciągle jeszcze wychowujemy, współistnieje drugi – dla harcerstwa szczególnie ważny – czy to, co robimy, jest rzeczywiście... harcerstwem, a więc czy pracujemy metodą harcerską.

(...) Przyczyn jest wiele. Po pierwsze: chyba dość powszechnie... nie wierzymy w metodę harcerską. Brzmi to może strasznie, wręcz absurdalnie, ale to – jak sądzę – jest główny powód niestosowania metody. (...) Po drugie: metoda jest nieznaną instruktorom. I nie chodzi mi tutaj o wklepanie na pamięć elementów i cech metody, nie chodzi o znajomość jej rozmaitych mnemotechnicznych systemów zapisu (typu statki, zamki, koła zębate itp.), rzecz w tym, że nie jest znana jako praktyczny zbiór zasad pracy z drużyną. Dlatego właśnie mamy drużynowych, którzy w środku nocy wyrecytują cechy metody harcerskiej, ale nie podadzą ani jednego przykładu, jak te cechy przekładają się na funkcjonowanie ich drużyny. (...) po trzecie – metoda harcerska nie jest stosowana, bo w namiestnikach, kształceniowcach i hufcowych, mianujących drużynowych, jest za mało determinacji, aby wymagać jej znajomości oraz stosowania. Wystarczy więc, że ktoś chce pracować z dziećmi, a już szczęśliwi powierzamy mu prowadzenie drużyny. Nieważne, czy ma predyspozycje do pracy wychowawczej, nieważne, czy potrafi prowadzić drużynę metodą harcerską. Ma chęci, więc niech robi.

PROBLEM 3: co proponujemy

Trzeci problem związany jest z tym, co jest treścią naszych działań (chciałoby się powiedzieć, wychowawczych). I tu można byłoby stwierdzić, że jest świetnie, bo co jak co, ale z technikami harcerskimi jest nieźle. Samarytanka, nadawanie morsem, wyznaczanie azymutów, tropienie za znakami patrolowymi – to jest to, z czego możemy być dumni, to jest sedno współczesnego harcerstwa. No właśnie i to jest... poważny problem. Bo okazuje się, że świadomość wychowawczą drużynowego, biegłość metodyczną zastępuje płytkie, powierzchowne, fasadowe harcerzowanie. I tak uczymy nieśmiertelnego alfabetu Morse'a, w razie czego dorabiając ideologię, gdy ktoś spyta, po co. Uczymy dzieci poruszać się po lesie, podczas gdy gubią się w dżungli miasta, i coraz trudniej nam konkretnie odpowiedzieć rodzicowi, który pyta, co ich synowi lub córce da przynależność do harcerstwa.

Wróciłem do tematu w październiku 2013 r. w tekście „Najważniejsze – pięć lat później”, dokładając jednak dwa dodatkowe problemy: majątku i struktury, które nie służą organizacji, nie wspierają realizacji misji oraz problem braku zaufania, głównie na linii władze ZHP – instruktorzy.

TAK SAMO? NIE!

Patrząc na ten tekst sprzed czterech lat i widząc, że zrobiłem wtedy dokładnie to samo, co teraz. Nie pisałem niczego na nowo, ale po prostu w odniesieniu do trzech pierwszych problemów wkleiłem to, co napisałem wcześniej. Dziś to już niemal dziewięć lat, a wygląda na to, że jest tak samo, że niewiele się zmieniło. Ale nie, to nieprawda – jest gorzej!

Sytuacja wygląda tak – warto to sobie przypomnieć – że **niemal dwie trzecie (!!!) drużynowych ZHP to nie są instruktorzy**. Mimo że według Statutu ZHP zasadą powinno być mianowanie na tę najważniejszą funkcję instruktorską, funkcję wychowawczą wyłącznie instruktorów, a powierzanie funkcji drużynowego komuś bez stopnia instruktorskiego winno być sytuacją wyjątkową, odpowiednio uzasadnioną! Warto przy tym pamiętać (mamy wyraźnie wskazane to w Statucie!), że taka osoba i tak musi posiadać odpowiednie kwalifikacje instruktorskie, czyli w przypadku funkcji drużynowego ukończone kursy: przewodnikowski i drużynowych. Trudno uwierzyć, że ponad 60% drużynowych bez stopnia instruktorskiego nie zdołało czy nie chciało sfinalizować próby przewodnikowskiej, jeśli faktycznie ma za sobą ukończone te dwa kursy i prowadzi drużynę – ponieważ to właściwie wypełnia treść próby przewodnikowskiej. Należy raczej przypuszczać, że komendanci hufców masowo powierzają funkcję drużynowego nie tylko osobom bez stopnia instruktorskiego, ale bez odpowiedniego przygotowania do pracy z dziećmi. Dodajmy jeszcze rzecz najważniejszą: do pracy METODĄ HARCERSKĄ!

CO TO OZNACZA?

Mamy taki oto stan, że **to, co miało być wyjątkiem, stało się regułą**. Sytuacja, w której zaledwie jedna trzecia drużynowych to instruktorzy, oznacza, że w zasadzie tylko do tej mniejszościowej grupy odnoszą się liczne regulacje, które z wielką pasją i z wypiekami na twarzy przygotowują instruktorzy z rozmaitych zespołów centralnych i władz naczelných (zresztą ja też się do nich zaliczam). Innymi słowy:

- Dla dużej części komendantów hufców nie mają znaczenia zapisy Statutu ZHP dotyczące powierzania funkcji instruktorskich, a do takich należy oczywiście funkcja drużynowego. Nasuwają się tutaj zatem oczywiste pytania: czy lekceważący stosunek do zapisów statutowych dotyczy tylko tego jednego (21) paragrafu? A może też innych? I co zrobić w sytuacji, gdy ważni funkcyjni Związku łamią jego najważniejsze reguły???

- Dla większości komendantów hufców i drużynowych nie ma znaczenia dość świeża uchwała Rady Naczelnej „System stopni instruktorskich”. Po co zatem było to męczenie się, wielogodzinne dyskusje, cyzelowanie pojedynczych wymagań, wręcz pojedynczych słów w idei stopnia przewodniczki/przewodnika? A te spory o długość praktyki w drużynie albo wykorzystywanie kontaktu z przyrodą? To przecież nie ma znaczenia dla ponad 60% drużynowych oraz ich komendantów...
- Dla większości drużynowych i mianujących ich komendantów hufców nie ma także znaczenia „Instrukcja tworzenia i działania gromady, drużyny, kręgu i klubu specjalnościowego” przyjęta przez Główną Kwaterę. Przecież w niej jest także mowa o warunkach mianowania na funkcję drużynowego – o byciu instruktorem ew. członkiem ZHP z minimum otwartą próbą przewodnikowską, a przede wszystkim o ukończeniu kursu drużynowych odpowiedniej metodyki.
- Mamy też w Związku udoskonalone niedawno standardy kursów, przy czym te najważniejsze – kursu przewodnikowskiego i kursów drużynowych też jakby nieco zbędne się wydają. Bo czy ukończyli je będący w zdecydowanej większości drużynowi niebędący instruktorami?

Jeśli można lekceważyć zapisy Statutu ZHP, uchwały Rady Naczelnej ZHP, uchwały Głównej Kwatery ZHP i to te w najważniejszych sprawach – kadry wychowawczej, bezpośrednio realizującej misję ZHP, to gdzie my jesteśmy? Kim my jesteśmy? **Kim jesteśmy – my, którzy je lekceważymy i my, którzy będąc we władzach ZHP na to pozwalamy?** Po co te wszystkie zjazdy, władze, uchwały, skoro można robić, co się chce? Gdzie to nas doprowadziło i dokąd jeszcze doprowadzi, skoro najmłodszą kadrę (jeszcze nawet nieinstruktorską) uczymy, że tymi uchwałami nie należy się przejmować, że można lekceważyć przepisy swojej własnej organizacji, że można robić harcerstwo po swojemu?

MISYJNIE PATRZĄC

Jest jednak ważniejszy aspekt całej sprawy, niż lekceważenie przepisów czy pewien bezsens ich tworzenia i obowiązywania. Aspekt najważniejszy – misyjny. Bo to, że większość drużynowych nie jest instruktorami, to nie tylko nieposzanowanie przepisów wewnątrzorganizacyjnych, ale przede wszystkim zagrożenie dla jakości realizacji naszej misji wychowawczej, dla jakości harcerstwa, dla bezpieczeństwa dzieci – **to zagrożenie sensu istnienia Związku Harcerstwa Polskiego.**

Musimy sobie uświadomić, że **zezwalamy na to, aby w przypadku niemal dwóch trzecich gromad i drużyn pracowały z dziećmi osoby być może nieprzygotowane do tego**. A to jest bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa wychowanków (czy mamy pewność, że nieprzeszkoleni drużynowi znają zasady bezpieczeństwa obowiązujące w ZHP?) i dla harcerskości działań (czy mamy pewność, że zbiórki prowadzone przez drużynowych bez kursu mają cokolwiek wspólnego z harcerstwem?). Dla jasności: nie mogę drużynowym-nieinstruktorom odmówić zapału, pomysłowości itd. Nie o to chodzi! Rzecz w tym, że po prostu mogą nie mieć wiedzy, odpowiednich umiejętności, doświadczenia, które pozwalają być pewnym, że to, co robią, jest zuchowaniem czy harcerzeniem.

Mamy do tego jeszcze jedno zagrożenie – dzisiejsze zuchy, dzisiejsi harcerze, wychowani w półharcerstwie czy ćwierćharcerstwie będą za ileś lat naszą kadra, będą drużynowymi. Na jaką jakość ich pracy możemy liczyć, gdy dziś doświadczają kiepskiej jakości harcerstwa? Zresztą ów problem zna chyba każdy z nas, bo każdy miał do czynienia ze słabymi środowiskami i widział kolejne pokolenia kadry odtwarzające (co naturalne) swoje harcerskie przeżycia – jaka to była jakość, gdy była to kolejna kopia iluś kopii słabego harcerstwa???

PRZYCZYNY

Dochodzimy do kluczowego pytania – o przyczyny tego stanu rzeczy. Bo o ile coraz większa grupa instruktorów chyba zaczyna dostrzegać problem i groźbę sytuacji, to dodatkowo musi niepokoić dynamika opisywanego zjawiska. Przecież przed laty owszem, mieliśmy kilkanaście, może nawet ponad 20% drużynowych bez stopnia instruktorskiego, ale ponad 60%??? Cóż takiego się stało w ostatnich kilku latach? Skąd to nagłe tąpnięcie? A może tąpnięcie wprawdzie nagłe, ale nie powinno być zaskakujące, ponieważ solidnie zapracowaliśmy na nie przez lata?...

Gdy szukam przyczyn, przychodzi mi do głowy właściwie tylko jedna odpowiedź. **Przyczyną jest kadra naszej organizacji, jesteśmy MY**. Przy czym, mówiąc o kadrze, trzeba spojrzeć na nią wielowątkowo. Zwrócę uwagę na kilka moim zdaniem najważniejszych kwestii.

Po pierwsze – **cierpimy powszechnie na braki kadrowe**. Z wielu przyczyn. I obiektywnych (np. niż demograficzny, większa „konkurencja”, odpływ młodych ludzi do miast akademickich), ale też będących naszą własną „zasługą”. Wymienić tu można na przykład zbyt wczesne powierzenie funkcji, kiedy młody człowiek sam nie zdążył jeszcze w pełni zasmakować harcerstwa i gdy ma naturalną skłonność do szybkich zmian (znam 17-latków, którzy po roku prowadzenia drużyny już są wypaleni!), nieumiejętną pracę z kadra (wiele innych

organizacji pozarządowych coraz lepiej pracuje z młodymi wolontariuszami), słabą, mało pociągającą ofertę dla kadrotwórczego gimnazjum i liceum (dla harcerzy starszych i wędrowników), ciągle niewystarczającą pracę z kadrami 35+, ale też młodszą – akademicką. Te braki kadrowe mają oczywiście skutki – łapiemy niemal każdego, kto chce być kadrami, nie zważając na naturalne predyspozycje, na wiedzę i umiejętności (lub ich brak), nie dbając o konieczne przeszkolenie (bo jest za długie, za trudne i nasz złapany delikwent się rozmyśli).

Po drugie – **drużynowi to kadra źle kształcona (o ile w ogóle jest kształcona!)**. Brak kadry obserwujemy nie tylko na poziomie drużyn, ale też hufca. To skutkuje brakiem namiestnictw lub innych zespołów czy choćby pojedynczych instruktorów, których zadaniem jest permanentne monitorowanie stanu drużyn i bieżące wspieranie drużynowych. Statystyki są tu bezlitosne: liczby wskazują, że namiestnictwa mamy w jednej trzeciej hufców, ale gdyby uwzględnić fakt, że w niektórych hufcach jest kilka namiestnictw, wówczas okaże się, że drużynowi mogą liczyć na wsparcie takich zespołów może w jednej czwartej hufców...

A jak jest z przygotowaniem drużynowych na kursach? Też kiepsko, bo **generalnie mamy słabą kadrę kształcącą**. I nie chodzi mi tylko o tych, którzy uciekają z funkcji drużynowych, aby jak najszybciej robić karierę w hufcu lub wyżej (znamy takich, prawda?). Myślę także o tych, którzy mają za sobą doświadczenie na funkcji w drużynie. Ale jeśli oni robili słabe harcerstwo, mieli słabe wzorce (pisałem o tym wcześniej), to jakim cudem mają przekazywać dobre wzorce, zarażać harcerstwem, przekonywać do skuteczności metody swoich kursantów? Przesadzam? Wcale nie – właściwie na każdym kursie kadry kształcącej, który prowadziłem (a było ich trochę), był taki moment, że musieliśmy usiąść i pogadać o podstawach – o naszej metodzie, musieliśmy w praktyce kursowej pokazać, jak to działa. Zresztą tak jest cały czas. Bo jak tłumaczyć sukces kursów „Ręka metody”? Ano również tym, że młoda kadra często po raz pierwszy odkrywa na takim kursie, czym jest metoda i jak ona działa. Pojawia się zachwyt, fascynacja. I trudno się dziwić – bo to wspaniale odkryć, jak skuteczna jest nasza metoda, jak wspaniale jest harcerstwo!

Po trzecie – **mamy problem z kadrami komend**. Kadrami, która mianuje na funkcje drużynowych bez przygotowania. Nie można jednak patrzeć na ten problem jednostronnie – że to źli instruktorzy, którzy lekceważą Statut ZHP. Nie, to nie jest takie proste. Myślę, że znaczenie mają okoliczności, o których pisałem wyżej (braki kadrowe) i ciągle dylematy niejednego komendanta hufca: powierzyć funkcję osobie nieprzygotowanej czy rozwiązać drużynę i pozostawić dzieci bez możliwości zasmakowania może nie najwyższych lotów, ale jednak harcerstwa? Z drugiej strony – czy jednak zbyt łatwo nie odpuszczamy, zapominamy, jak ważna jest jakość?

Ale z kadrami komend (wszystkich szczebli) wiąże się jeszcze jeden problem – **rozdrabniamy się, mylimy priorytety**. Przecież dla komend praca drużynowego naprawdę powinna być najważniejsza (piszę „naprawdę”, mając świadomość zapisów na papierze – w rozmaitych uchwałach). A tymczasem widzę hufce, dla których najważniejsze są bazy i ich utrzymanie. Widzę hufce, gdzie jest wymienienie działający zespół promocji, ba, nawet rzecznik prasowy, ale nie ma namiestnictw. No i widzę chorągwie, które drużynowym kojarzą się tylko z różnymi opłatami. Widzę też mnóstwo propozycji programowych, zadań, interesujących wyjazdów – wszystko to wspaniałe i naprawdę ciekawe, ale problem w tym, że drużynowi nie znają metody, nie prowadzą drużyn harcerskich, więc to, czy ekonomia jest kobietą, czy mężczyzną albo o co chodzi w etyce środowiskowej (wybór przykładów ad hoc, zupełnie przypadkowy) – to naprawdę rzeczy pięciorzędne!!!

CO ZATEM ROBIĆ?

Generalnie nie wiem. Po raz pierwszy chyba w tekstach harcerskich (a piszę je od ponad 25 lat) muszę tak napisać. Bo naprawdę nie wiem, jakie działania mogą przynieść efekty – spektakularne i szybkie.

Intuicyjnie, korzystając głównie z moich dziesięcioletnich doświadczeń komendanta jednego z największych hufców w Polsce, przychodzi mi do głowy pięć elementów, a właściwie haseł.

JAKOŚĆ! Postawienie (na wszystkich szczeblach organizacji, na wszystkich funkcjach) na jakość działań, wszystkich, nawet tych najmniejszych, bo tu chodzi o nawyk – że ma być zawsze nie jakoś, ale jakość. Jakość w programie, kształceniu, w organizacji imprez, HAL i tak dalej – zawsze!

METODA! Powrót (delikatniej: wzmocnienie) metody. Metody w drużynach, metody w kształceniu. Róbmy kursy woodbadge, niech odbywają się kursy „Ręka metody”, ale też niech znajomość, zrozumienie i czucie metody zejda niżej – już na poziom kursu zastępowych czy przybocznych!

PRIORYTETY! To truizm, ale naszym priorytetem powinna być jak najlepsza realizacja misji wychowawczej. A że natura ludzka sprawia, że wybieramy to, co najciekawsze, co nas kręci, to może wymusimy priorytety. Niech hufiec zapomni o zespole promocji, wyjazdach zagranicznych i bazach, jeśli nie ma drużynowych robiących prawdziwie harcerstwo. To da się osiągnąć, tylko trzeba tego wymagać (na marginesie: przez moich 10 lat bycia komendantem hufca komenda chorągwi interesowała się terminowością rozliczeń finansowych,

składania rozkazów i protokołów, sprawozdań z HAL i HAZ, ale ani razu nie zainteresowano się stanem drużyn i przeszkoleniem funkcyjnych!).

KONSEKWENCJA! To też wydaje się oczywiste, wiemy bowiem z życia, że jest ona konieczna, aby osiągnąć ambitne cele. Dołożyłbym jeszcze cierpliwość, bo ona też jest niezbędna (wstawka ze wspomnień hufcowego: gdy obejmowałem hufiec ponad 20 drużynowych na około 60 nie miało nawet otwartej próby przewodnikowskiej, doprowadzenie do stanu, gdy tylko kilkoro nie było instruktorami, ale miało przynajmniej otwartą próbę przewodnikowską, zajęło mi 6 lat!).

OTWARTOŚĆ! To rzecz chyba najtrudniejsza. Może się okazać, że naprawienie sytuacji będzie wymagało zmian, których sobie nie wyobrażamy. Może zmiany zapisu metody, może zmiany systemu kształcenia, a może postanowienia, że modelowo drużynowy ma być starszy – co najmniej w wieku studenckim. Nie wiem, co to będzie, co okaże się skuteczne. Na pewno jednak łatwiej nam będzie, gdy będziemy otwarci na różne rozwiązania, otwarci na pomysły, argumenty myślących inaczej.

NA ZAKOŃCZENIE

To, że jesteśmy w d..., to jasne. Problem w tym, że zaczynamy się w niej urządzić. Ten soczysty cytat Stefana Kisielewskiego (zadanie dla niekojarzących, kim był Kisiel: wyszukać tę postać w internecie, przeczytać jakiś jego felieton a może nawet i powieść) dobrze oddaje grozę naszej sytuacji. Bo nie dość, że mamy w większości drużynowych nieprzygotowanych i w związku z tym nie realizujemy właściwie naszej misji, to wydaje się, że **coraz bardziej przyzwyczajamy się do tego – traktujemy obecną sytuację jako normalną**, może nawet nieuniknioną...

Dziś, przed nadchodzącym zjazdem ZHP, gorąco zachęcam, abyśmy na serio merytorycznie dyskutowali na powyższe tematy. Ważne jednak, byśmy nie czepiali się słów, drobiazgów – ponieważ ten tekst jest wsadzaniem kija w mrowisko. A właściwie jest czymś więcej. Jest próbą pobudzenia umysłów, jest moim wołaniem do wszystkich instruktorów, zwłaszcza do haremistrzów i członków władz naczelnych, abyśmy nie pozwolili, by taki stan trwał dłużej, abyśmy wszyscy zgodnie wzięli się do roboty. Bo Związek w potrzebie i musimy wspólnie działać, o ile chcemy, aby ZHP zasługiwał na miano organizacji wychowawczej.

Obudźmy się, rozmawiajmy, działajmy!!! Jeszcze (chyba) nie jest za późno!

Komentarz do Prawa Harcerskiego

Harcerz sumiennie spełnia swoje obowiązki wynikające z Przyrzeczenia Harcerskiego.

Całym życiem, nie tylko na zbiórce, rajdzie i obozie, harcerz stara się przestrzegać Prawa Harcerskiego. Wszystkie swoje obowiązki wykonuje jak najlepiej potrafi. Jest dobrym Polakiem – pilnym uczniem, aktywnym młodym obywatelem. Jest także dobrym synem lub córką, dobrym kolegą i przyjacielem. Inni zawsze mogą na niego liczyć. Wie, jak zgodnie ze swoją religią może służyć Bogu. Jest harcerzem, aby się rozwijać i być coraz lepszym człowiekiem.

Na słowie harcerza polegaj jak na Zawiszy.

To znaczy, że jeśli harcerz coś obieca, to na pewno spełni swoją obietnicę, jeśli mówi o czymś, to można mu wierzyć.

Harcerz jest pożyteczny i niesie pomoc bliźnim.

Harcerz poproszony o pomoc – na pewno nie odmówi, bo na harcerza zawsze można liczyć. Ale harcerz nie czeka, aż ktoś zwróci się do niego o pomoc – sam dostrzega ludzi, którzy potrzebują jego pomocy, miejsca, gdzie może być przydatny.

Harcerz w każdym widzi bliźniego a za brata uważa każdego innego harcerza.

Dla harcerza każdy człowiek jest ważny. Harcerz nie przechodzi obojętnie obok tych, którym dzieje się krzywda, jest wrażliwy na problemy innych. W kontaktach międzyludzkich jest otwarty i tolerancyjny, stara się zrozumieć każdego człowieka, odnaleźć w nim to, co wartościowe. Potrafi zdobyć prawdziwych przyjaciół. Do harcerza, jak do kogoś z najbliższej rodziny, w każdej sprawie może zwrócić się każdy inny harcerz i każdy skaut, wiedząc, że znajdzie w nim niezawodnego przyjaciela, któremu zawsze można zaufać.

Harcerz postępuje po rycersku.

Harcerz ma poczucie własnej godności i szanuje godność innych ludzi. Ma zasady życiowe, którymi się kieruje, dąży do celu zawsze przestrzegając obowiązujących reguł. Nie boi się przeciwstawiać nieuczciwości, nietolerancji i przemocy. Swym postępowaniem dowodzi, że warto być człowiekiem uczciwym, kulturalnym i honorowym.

Harcerz miluje przyrodę i stara się ją poznać.

Harcerz żyje blisko natury, dlatego chce ją jak najlepiej poznać i dobrze zrozumieć. Żyje w zgodzie z przyrodą, w sposób jak najbardziej dla niej przyjazny. Jest dla kolegów i rodziny wzorem, jak w codziennym życiu chronić środowisko naturalne – oszczędza wodę i energię elektryczną, segreguje odpady.

Harcerz jest karny i posłuszny rodzicom i wszystkim swoim przełożonym.

Harcerz ma zaufanie do swoich rodziców i przełożonych, wie, że chcą dla niego jak najlepiej, dlatego sumiennie wykonuje powierzone przez nich obowiązki. Szanuje ich, dlatego jest z nimi szczery – potrafi wyrazić swoją opinię, gdy myśli inaczej.

Harcerz jest zawsze pogodny.

Harcerza można poznać po tym, że to, co robi, sprawia mu radość. Jest pozytywnie nastawiony do ludzi. Swoją radością i poczuciem humoru potrafi pomóc innym. Nawet w trudnych sytuacjach umie zachować optymizm, aby łatwiej poradzić sobie z problemami.

Harcerz jest oszczędny i ofiarny.

Harcerz potrafi mądrze gospodarować pieniędzmi i wszystkim, co posiada. Szanuje pracę innych ludzi. Odpowiedzialnie korzysta z tego, co jest wspólne w domu, szkole i drużynie. Potrafi dzielić się z innymi tym, co ma – nie tylko przedmiotami, ale również swoim czasem, umiejętnościami.

Harcerz jest czysty w myśli, w mowie i uczynkach; nie pali tytoniu i nie pije napojów alkoholowych.

Harcerz myśli, mówi i postępuje tak, aby zasłużyć na miano kulturalnego człowieka, dobrego ucznia i kolegi. Nie życzy innym źle, nie mówi o innych źle, jest wobec innych uczciwy. Harcerz chce być silny i zdrowy, dlatego dba o higienę, właściwie się odżywia, wie, jak szkodliwe dla zdrowia jest picie alkoholu, palenie papierosów i próbowanie narkotyków. Chce być sprawny, dlatego potrafi mądrze dzielić czas na korzystanie z telewizji i komputera oraz ruch na świeżym powietrzu.

OD AUTORA:

Komentarz jest oficjalnym dokumentem ZHP – załącznikiem do uchwały nr 25/XXXV Rady Naczelnej ZHP z dnia 15 listopada 2008 r., ale że jestem jego autorem, więc pozwoliłem sobie umieścić go na końcu tej publikacji.

PODZIĘKOWANIA

(opublikowane na końcu wersji pierwszej)

Zgodnie z zapowiedzią na początku publikacji w tym miejscu chciałbym zwrócić się do wszystkich tych, którzy w ciągu 10 lat pełnienia przeze mnie funkcji komendanta Hufca Warszawa-Żoliborz byli razem ze mną, podejmując trud przewycięzania różnych problemów (zwłaszcza w pierwszych latach), rozwijania hufca, szlifowania jakości pracy, zwiększania zawartości harcerstwa w harcerstwie.

* * *

Kiedy przypominam sobie tych instruktorów, na samym początku myślę w sposób wyjątkowy o dwóch osobach.

Pierwszą jest Ola Kozubska, którą mogę nazwać sprawczynią tych 10 lat. To właśnie wielomiesięczne rozmowy z Olą o hufcu i jej namowy skłoniły mnie do podjęcia wyzwania. Ale na tym zasługi Oli się nie kończą. Przez cały ten czas, do dziś, służyła pomocą – jako namiestniczka zuchowa, moja zastępczyni i szefowa naszej Żoliborskiej Szkoły Kadry Instruktorskiej i po prostu jako kształce-niowiec i osoba, która zawsze ma chęć pomóc.

Druga osoba to Jacek Gałkiewicz, niezmiennie pełniący funkcję skarbnika. Jacek, bez którego nie mógłbym być komendantem, ponieważ ugrzązłbym w sprawach formalno-finansowych – bez szans na zajęcie się innymi sprawami. Jackowi mogłem w pełni zaufać, mając pewność, że nie muszę się martwić o kwestie rozliczeń, sald, not, raportów itd.

Kiedy już mówimy o pewności, o niezawodności, to muszę wspomnieć o moich dwóch zastępczyniach. O pierwszej, czyli Gosi Kowalskiej (Majkowskiej), której pomoc w pierwszej mojej kadencji jest nie do przecenienia, która dodawała swoją osobowością radości, optymizmu i siły w trudnych chwilach, których zwłaszcza na początku było sporo. No i myślę oczywiście o zastępczyni

ostatniej – Iwonce Brzózce-Złotnickiej, która najpierw razem z Olą (i Kasią Kuś, o której w tym miejscu muszę również przypomnieć) ciągnęła namiestnictwo zuchowe, potem zaczęła pracować w KSI, a przez ostatnie trzy lata była przewodniczącą komisji. Taką, która w 100% dała mi spokój, komfort i pewność, że wszystko idzie tak, jak powinno.

Kiedy mowa o zastępcach, to oczywiście moje myśli kierują się w stronę jeszcze dwóch osób: Gosi Brach – wcześniej namiestniczki zuchowej, takiej prawdziwej, świetnie czującej zuchowanie, z powołania, a potem mojej zastępczyni i szefowej Żoliborskiej Szkoły Kadry Instruktorskiej, oraz Marcina Wasielewskiego, który zrobił mi niebywałą przysługę, dając mi wolne od spraw logistycznych, reprezentacyjnych i innych, które po prostu „uwielbiam”.

Od początku mojego komendantowania postawiliśmy na bezpośrednie wspieranie drużynowych. Dlatego tak ważne było efektywne funkcjonowanie namiestnictw. I dlatego postanowiłem, że namiestnicy będą członkami komendy hufca.

Najwięcej szczęścia było z namiestnictwem zuchowym, gdyż na początku z rozędu prowadziło to wspomniane już supertrio: Ola Kozubska, Kasia Kuś i Iwona Brzózka. Ale potem też nie mogę narzekać, bo ekipy namiestnictwa zuchowego zawsze były dobre – wystarczy wspomnieć o namiestnikach i wicenamiestnikach: Gosi Brach, Wiktorze Jasionowskim, Kasi Chrzczanowicz, Magdzie Wycech, Kasi Dołowej, Karolinie Kuśmierczyk i Dianie Wojciechowskiej czy instruktorach tego namiestnictwa, m.in.: Uli Brzezińskiej, Agnieszce Kwiatkowskiej, Monice Raczyk (Stępiak), Justynie Gecow (Szlachetko), Ali Wasielewskiej, Dorocie Jaśkiewicz, Karolinie Dziegciar, Dorocie Kozłowskiej-Woźniak oraz Kasi Tradowskiej (drużynowej moich dzieci).

Zdecydowanie trudniej było z drużynami harcerskimi i starszoharcerskimi. Raz – że była tutaj znacznie gorsza sytuacja wyjściowa, dwa – że było ich dużo więcej, niż gromad zuchowych. Tym większe podziękowania należą się Marcinowi Bednarskiemu „Parasolowi”, który zgodził się zostać w tak trudnych warunkach namiestnikiem harcerskim i walczyć o bezpośredni dostęp do drużynowych (tak, tak, szczepowi bronili tego dostępu bardzo mocno) oraz poziom ich drużyn. Zresztą – podobnie jak w przypadku namiestnictwa zuchowego – miałem niebywałe szczęście do kadry tego namiestnictwa. Przypomnę Alę Olesiejuk (Komar) – tytana pracy, świetną metodycznie, po prostu namiestniczkę i instruktorkę wybitną, harcmistrzynię najwyższej klasy, która (jak przystało na prawdziwą

harc mistrzynię) doskonale przygotowała swego następcę – Michała Maciąga. Michał to przykład instruktora, która wspaniale się rozwinął i pokazał, co to jest skuteczność – dzięki jego determinacji i systematyczności udało się na koniec mojego komendantowania coś wyjątkowego – podział namiestnictwa na dwa, którymi kierują, zaangażowani wcześniej we współpracę z Michałem, Kasia Bakuła i Piotrek Mostowski. Mam nadzieję, że będzie swoją pracę kontynuowała jako zastępca komendanta hufca ds. programowych (to taka moja skromna rekomendacja). To jednak był długi proces, w którym oczywiście główną rolę odegrały wymienione wyżej osoby, ale nie udałoby się to wszystko, gdyby nie wielu instruktorów, którzy przez te lata angażowali się w pracę namiestnictwa harcerskiego i starszoharcerskiego. Myślę tu szczególnie o Ewie Mostowskiej (Błasiak), Gosi Grabowskiej, Kasi Delązek, Ali Rzechule, Magdzie Kazulak (Zadróżnej), Dorocie Wieluńskiej, Dorocie Brzusce, Uli Cyrynger, a także Damianie Tarnowskim, Wojtku Brygiderze, Kamie Bykowskiej, Mateuszu Chmielewskim, Oli Wasielewskiej i Marcinie Życzkowskim.

I znów muszę napisać o dużym szczęściu, kiedy myślę o namiestnictwie wędrowniczym. To był ostry start i od razu wysoki pułap – przede wszystkim za sprawą Zuzy Zielińskiej (Zaleskiej), która swoją energią obudziła pion wędrowniczy w naszym hufcu, a przy tym dała mi niesamowitą energię na początkowym etapie – kiedy trzeba było zmierzyć się z elementarnymi problemami. Zuza współpracowała z Moniką Czokajło (Marks), która potem przejęła namiestnictwo. Monika to kolejna osoba, której mogłem bezgranicznie zaufać, która dawała mi niesamowity komfort – i ze względu na swą solidność, i ze względu na znajomość rzeczy (Monika to moim zdaniem jedna z najlepszych w ZHP specjalistek od wędrownictwa). Z czasem do tego namiestnictwa dołączył Paweł Błasiak – z kolei jeden z najlepszych w ZHP drużynowych wędrowniczych.

Paweł pozwala płynnie przejść od wspierania drużyn w namiestnictwach do programu, bowiem odpowiadał on w jednej mojej kadencji właśnie za program. Dziś chyba każdy pamięta (i dobrze wspomina) złoty hufca pod marką „Obieżyświat” i doskonały pomysł poznawania różnych kultur. Mam nadzieję, że za komendantury Pawła wrócimy do tego...

Wspomniałem już wcześniej o KSI, która działała świetnie w ostatnich latach. Trzeba jednak wyraźnie stwierdzić, że to efekt bardzo dobrej jakości pracy komisji we wcześniejszych latach. To zaś niewątpliwie zasługa długoletniej przewodniczącej – Agnieszki Kalińskiej-Brzuski, której determinacji w podnoszeniu

poziomu zdobywania stopni instruktorskich i pracowitości nie sposób przecenić. Na szczęście Agnieszka po odejściu z naszej KSI realizuje się w chorągwianej, a efekty przeszczepienia na grunt chorągwiany żoliborskich zasad pracy KSI widać gołym okiem.

Ale KSI to oczywiście zespół. W naszym przypadku był to zespół wybitnych instruktorów, wyjątkowych osobowości – ze śp. drużną Bożenną Strzałkowską na czele, mocnymi wiceprzewodniczącymi: Pawłem Wespiańskim, Jackiem Kocerka (jak dobrze, że wreszcie hm!), Rafałem Zajączkowskim (też wreszcie hm!), Piotrkim Buczkim, wyjątkowymi harcmistrzami: Jackiem Gałkiewiczem, Marcinem Bednarskim, Alą Olesiejuk, Radkiem Morkiem, Marcinem Wasielewskim, Pawłem Błasiakiem oraz Olgierdem Annusewiczem (mistrzowsko wspierającym pracę KSI) i Marysią Albosztą (Majkowską). No i najnowszy komisyjny narybek – Karolina Dziegciar. Tak, KSI to był przez te 10 lat wybitny zespół!

Ogromne znaczenie w naszym hufcu zawsze miało kształcenie. Bo duże potrzeby kształceniowe, bo dobra marka (kursy sylwestrowe Darka Brzuski). Dokładnie rok od mojego wyboru na funkcję komendanta powołałem Żoliborską Szkołę Kadry Instruktorskiej im. hm. Jana Rossmanna, która wypełniała zadania zespołu kadry kształcącej hufca. Tak się złożyło, że zawsze szefowały mu świetne instruktorki – moje zastępczynie: Gosia Majkowska, potem Ola Kozubska, a na koniec Gosia Brach. No i zawsze były to ciekawe zespoły, że wspomnę m.in. Anetę Kaniewską, Monikę Czokajło (Marks), Alę i Marcina Wasielewskich, Ewę Mostowską (Błasiak) i Pawła Błasiaka, Alę Olesiejuk czy Ulę Brzezińską. No a do tego mógłbym dołożyć bardzo długą listę instruktorów, którzy nie byli formalnie w zespole, ale wspierali kształcenie, prowadzili kursy czy pojedyncze zajęcia na różnych formach prowadzonych przez ŻSKI.

Podziękowania należą się także Sebastianowi Meitzowi, który w pierwszej mojej komendzie odpowiadał za promocję oraz Marcinowi Golemanowi – człowiekowi spoza naszego hufca, ale bezinteresownie pomagającemu w stawianiu i modernizowaniu strony internetowej hufca.

Dziękuję także członkiniom moich komend: Kasi Majkowskiej, która w komendzie była krótko, ale należy do tych osób, które zawsze swym uśmiechem i optymizmem dodawały mi siłę, oraz Eli Kocerce, która gościła nas długi czas i budowała rodzinną atmosferę.

Specjalne, osobiste podziękowania, Elu, należą Ci się oczywiście za rok 2012, kiedy pozwoliłaś Jackowi, aby poszedł na szaleńczą misję chorągwaną. No i podziękowania dla Jacka za rozgryzanie trudnych spraw chorągwianych i pomoc w trudnych momentach...

W hufcu jest jeszcze wiele osób, którym powinienem podziękować, bo robiły ważne rzeczy. Na przykład Ania Kowalczyk, która wyprowadziła na czysto nasz hufiec w Ewidencji ZHP. Każdy, kto cokolwiek dłużej w tym systemie, wie, jaka to mrowcza praca.

Dziękuję także tym, którzy wnieśli swój wkład w działania promocyjne hufca. Szczególnie Agnieszce Baranowskiej-Morek za rozpoczęcie współpracy z Gminą Bielany, Michałowi Piotrowskiemu za systematyczną pracę w Komisji Dialogu Społecznego oraz Gosi Szwed – drużynowej Drużyny Reprezentacyjnej Hufca.

Czasem jest też tak, że ktoś nie pełni żadnej funkcji w agendach hufcowych, ale można liczyć na jego pomoc. Takich osób było sporo, a wymienię tu Hanię Kocerkę (pomocną w różnych chwilach), a także Maćka Pietraszczyka z jego ekipą szturmowo-ratowniczo-porządkową i Jarka Szymaniaka – człowieka numer 1 od spraw łącznościowo-elektrycznych, którzy wraz z Piotrem Stanisławskim rozpoczęli działania w zespole specjalności pod kierunkiem Doroty Jaśkiewicz (od początku wiadomo było, że dla Doroty takie grono to będzie wyzwanie...). No i wymienić tu muszę Ewę Mackiewicz, która przez długie lata organizowała największą imprezę hufcową – festiwal Kakofonia, z pomocą Maćka Służały i Marka Szlifierskiego, oraz jej kakofonijnych „następców”: Wiktora Jasionowskiego, Dorotę Wieluńską i Filipa Stojanowa.

Nasz hufiec zawsze stał szczepami. Dlatego muszę podziękować w tym miejscu wszystkim szczepowym: szczepu „Po drodze” – Marcie Gałkiewicz (której jednak przede wszystkim powinienem podziękować za to, że wytrzymała 10 lat z mocno obciążonym przez sprawy hufcowe Jackiem) oraz Karinie Wieczorek (Świątkowskiej), szczepu „Rzeka” – Pawłowi Błasiakowi i Ewie Mostowskiej, szczepu 56: Marcinowi Bednarskiemu, Kasi Delązek, szczepu 305 – Tomiłowi Brzezińskiemu i Magdzie Wycech, szczepu 423 – Hani Gadaj i Filipowi Stojanowowi (nadziei naszego hufca), wcześniejszym komendantom szczepów już nieistniejących – Ani Belcarz, Oli Łopatek, Asi Sieradzkiej, Dorocie Szturm de Hiszfeld, a także formalnym i nieformalnym szefom środowisk samodzielnych

i (prawie)szczepów: Ali i Marcinowi Wasielewskim, Darkowi Brzusce, Jarkowi Szymaniakowi, Marysi Sokołowskiej i Piotrkowi Sępniewi.

Na sam koniec pragnę w szczególnie sposób podziękować za pracę na różnych funkcjach (nie będę ich już tutaj wymieniał), ale także wsparcie radą, pomysłem w trudnych chwilach (a takich nie brakowało) moim poprzednikom: Darkowi Brzusce, Pawłowi Weszpińskiemu i Radkowi Morkowi. Proszę Was o życzliwą pomoc kolejnemu Waszemu, ale też już mojemu następcy.

* * *

Jak widać z powyższego opisu, śmiało mogę stwierdzić, że po prostu miałem szczęście do wyjątkowych współpracowników – może dysponujących różnym czasem, może mających momenty lepsze i gorsze (jak każdy), ale wyjątkowych osobowości, życzliwych ludzi i po prostu bardzo dobrych instruktorów. Bo generalnie na Żoliborzu mamy bardzo dobrą kadrę, co pozwala mi z optymizmem patrzeć w przyszłość.

Jeszcze raz wszystkim (wymienionym i tym, których niestety pomiąłem) serdecznie dziękuję za ostatnie 10 lat! Czuwaj!

hm. Grzegorz Catek

PS: Absolutnie poza wszelkimi kategoriami są podziękowania dla mojej rodziny, szczególnie żony, która znosiła moją nieobecność w poniedziałki i nie tylko, oraz dzieci, których całe dzieciństwo, a szczególnie wyjazdy wakacyjne, uzależnione były od terminów i miejsc hufcowych obozów.

wrzesień 2014

SPIS ARTYKUŁÓW

artykuły z miesięcznika Chorągwi Stołecznej „W kręgu”

Jak pracują komisje stopni	7
We właściwym czasie	10
Analfabetyzm mistrzów	11
Jawność po harcersku	12
75 wyborowych tipsów	13
Nasz rytualizm	22
Cele dobrze uformowane	23
Piraci w mundurach	26

artykuły z gazety Ruchu Całym Życiem „W instruktorskim kręgu”

Twarzą w twarz z dyrekcją szkoły	27
Z kim trzymamy sztamę	33
XXXII Zjazd ZHP: co nam się szykuje?	35

artykuły z miesięcznika „Czuwaj”

Image, czyli o różnych drobiazgach słów kilka	37
Image, czyli o dalszych drobiazgach słów kilka	39
Po co nam logo?	42
Nie wstydzmy się swoich sukcesów!	44
O nurtach w logo słów kilka	49
Ofiary harcerstwa	51
Jak nas widzą? A dobrze!!!	53
Piją i palą	56
Gminne refleksje	60

Radny – recepta na sukces?	63
Radny – duża wiedza	67
Radny – wiele umieć powinien	71
WWW sieci	75
Pytania o punkt 10	78
Pytania o punkt 10 raz jeszcze	80
Syndrom staruszki	83
cykl na temat Zobowiązania Instruktorskiego	
Umowa harcerskich pokoleń	85
Podejmowanie odpowiedzialności	88
Gramy do jednej bramki	91
Na serio	94
Będę... profesorem?	97
W poczuciu odpowiedzialności	100
Będę prawdziwym instruktorem	103
Nowa filozofia, czyli harcerstwo XXI wieku	106
Co ja – szaraczek mogę?	114
Super-Rada pod choinkę	117
Całkiem serio	120
Instruktorzy	121
Całkiem sprawiedliwie	125
Całkiem refleksyjnie	126
Całkiem nienormalnie	127
Całkiem solidarnie	128
Całkiem niby	129
Deklaracja ideowa	130
Całkiem zniesmaczony	133
Całkiem wakacyjnie	135
Całkiem medialnie	136
Demokracja „kruczków”?	137
Całkiem dorosłe	146
Całkiem zjazdowo	147
Całkiem szczęśliwy	148
Jak nas widzą, czyli rzecz o wizerunku harcerstwa	149
Całkiem marzycielsko	157
Całkiem zatrważające	158
Czuwaj družno! Czuwaj druhu!	159
Całkiem zaufali?	164

Po co nam to?.....	165
Całkiem po bratersku	167
Całkiem motywacyjnie	169
Całkiem biernie.....	170
Całkiem marzycielsko.....	171
Całkiem prawdziwie	172
Całkiem czasowo	173
Całkiem odważnie i lojalnie.....	174
Podstawy wychowawcze	175
Całkiem mocna przestroga.....	177
Higienicznie, przepisowo.....	178
Ech.....	186
Więcej elastyczności!.....	187
Instruktorska elita.....	190
Polityka kadrowa w hufcu	196
Skąd ich brać?	200
Co mam robić, co mam zrobić?	205
Co muszę móc?	208
Po prostu demokracja.....	210
Co w zamian?.....	215
Blisko finału	219
Zatoczyliśmy koło.....	223
Biję się w piersi.....	226
Instruktorzy, dyskutujmy!	228
Być harcmistrzem	231
Tani Związek.....	233
Baza – karmicielka.....	235
Koniecznien harcmistrz?.....	236
Kodeks – cztery pory roku.....	239
Prawdziwe problemy ZHP	241
Za zasługi – ale jakie?.....	248
Na wstępie.....	252
Jest po bratersku.....	253
Harcerskie formaty.....	255
„Naj”, ale zgodnie z prawdą	257
Jak rodzi się Statut?	259
Strategia, czyli co dalej?	266
Krótka ławka.....	269
Ważniejsi, najważniejsi.....	271
Instruktor – wolontariusz na 100%.....	273

Na telefon.....	274
Formalnie = realnie	276
Instruktor – wolontariusz	278
Punkty za... harcerstwo	283
80 złotych.....	284
Dla kogo czynne prawo wyborcze?	291
Przedzjazdowo o statucie.....	292
Zjazdowe pozytywy	296
Mniej papierów – zacznijmy już!	298
Zjazdowe oszczędności.....	300
Od redaktora.....	302
Czas na refleksję	303
Nasze obozowe stałości	305
Od redaktora.....	306
Uczmy się na (cudzych) błędach!	307
300 x CZUWAJ. Ludzie.....	308
Przyzwyczajenie	315
Po prostu sensowny!	316
O naszych kwalifikacjach	318
W harcerstwie wyższe standardy	320
Obozowe normalności	322
Harcerstwo: radość i satysfakcja!	323
Najważniejsze – pięć lat później.....	325
Kodeks Instruktorski.....	333
Szukajmy okazji!	335
Życzliwość i szacunek	337
Można na co dzień	339
Warunki konieczne.....	341
Nienormalność w mowie	343
O co chodzi w kształceniu?.....	345
Dylematy i okazje wyborcze.....	347
Żaden, tfu, tfu, trener!	349
Refleksja o pokorze.....	351
To już ćwierć wieku!.....	353
O czytaniu i pisaniu na próbę.....	355
Boskie problemy?	357
O strategicznym zaufaniu	360
Tolerować czy wymagać?	362
Twój dorobek instruktorski	364
Stara promocja w realu	368

Tak, kurs trzeba przeżyć.....	370
Podziękowania	372
Nie instruktorom h.c.!	377
Matryca kompetencji – dla mnie, dla Ciebie, dla nas	379
Ramię w ramię z Rzecznikiem	382
Weźcie się za swoje hufce!	384
Przed nami... też było harcerstwo!	386
Fryz, pink i dziary	388
Uchwały łatwo zapominane	390
Braterstwo	392
Wierzę w harcerstwo!	394
Jaka ta nasza aktywność!	396
W Was nasza nadzieja	398
Dziękuję, druhu Stefanie!	400
Najważniejsze jest dziecko	402
O tym, jak Pani Minister mnie zainspirowała.....	404
Nie miejmy kompleksów	406
Instruktor-wychowawca.....	408
Harc mistrzowie na fb.....	410
Moje prawa a organizacja	412
Refleksja nad naszą metodą	414
Rok 2016: K jak.....	420
Nie można spać spokojnie!	422
Moje potyczki ze statutem	424
O rety! Co robić?	427

ponadto

Komentarz do Prawa Harcerskiego	435
Podziękowania (opublikowane na końcu wersji pierwszej).....	437

Chyba od zawsze, a przynajmniej od czasu, kiedy jestem komendantem hufca (czyli długo), powtarzam jak mantrę, że harcerstwo powinno dawać radość i satysfakcję. Szczególnie zaś odpowiadają za to władze na każdym szczeblu harcerskiej struktury – to one powinny tak rządzić, aby ich „podwładnym” stwarzać warunki do takiego funkcjonowania w ZHP, aby służba instruktorska była źródłem radości i ogromnej satysfakcji z robienia czegoś potrzebnego, ważnego, dobrego...



ISBN 978-83-932395-3-5